

Dorothea Benton Frank

Wyspa Palm

Dla moich cudownych dzieci, Victorii i Williama

BARRIER ISLAND

Gdzie nic nie jest pewne, budzimy się
do następnej nocy łagodnej mżawki,
padającej tak, jakby deszcz nie chciał
nikogo niepokoić. Syreny mgielne na przemian

wyją i cichną. Światło z latarni morskiej
okraża wyspę. Godzinami fale melancholii
szarpia ziemię, na której stoimy.
Posłuchaj morza - deszcz kapie
przez mgłę, zawieszony na krawędzi ziemi,
na kręgu piasku, gdzie my nieustannie
podążamy w kierunku stałego gruntu.

Marjory Wentworth

Podziękowania

Niniejsza opowieść jest owocem przyjaźni i pomocy ze strony wielu osób. Przede wszystkim chcę podziękować mojej rodzinie, Peterowi, Victorii i Williamowi, za ich nieustające wsparcie oraz wspaniałe pomysły dotyczące pewnych scen czy dialogów. Nie może być łatwe życie z kimś, kto połowę czasu spędza za zamkniętymi drzwiami. Kocham was bardziej, niż potrafię wyrazić. I pragnę, zginając kolano, wyrazić wdzięczność mojej pięknej córce Victorii za pomoc przy rozdziałach dotyczących Emily oraz upewnienie się, że jej język nie trąci myszką. Twierdzisz, że nastolatka w 2002 roku nie powie: „Klawo! W dechę! Fajowo!”. Dzięki, słoneczko, za pokazanie starej nudziarze właściwego miejsca.

A teraz sprostowanie: babka Violet w żadnym szczególe nie przypomina mojej prawdziwej teściowej. Hanna Frank z Dearborn w Michigan jest świętą, dobrą kobietą, która rzeczywiście wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej. Wielkodusznie pozwoliła mi skorzystać ze swych doświadczeń, lecz Violet Lutz z mojej książki to kompletna paranoiczka. Hanna Frank jest zdrowa na umyśle, niezwykle inteligentna i, dzięki Bogu, odznacza się wielkim poczuciem humoru. Naturalnie pragnę też podziękować Shannon Gibson, mojej najlepszej przyjaciółce, która dokonywała korekty maszynopisu i wysłuchiwała moich biadoleń, kiedy bywało trudno. Hau - hau - hau! To taki nasz żart o mówiących psach, ale Shannon będzie wiedziała, o co mi chodzi.

Pomyślałam, że zabawnie będzie pokazać w książce prawdziwych ludzi, chcę więc teraz podziękować serdecznym, cudownym i ufnym osobom, które pozwoliły mi wykorzystać swoje nazwiska. Są to: Big Al z Shem Creek Bar and Grill oraz oczywiście John i Angie Avinger, właściciele lokalu; Mary Meehan, Helen Clarkin i panna Marguerite Stith, które żyją

na kartach tej książki jako klientki salonu; Marilyn i Billy Davey, Betty Hudson, Larry Dodds, Patty Grisillo, Brigitte Miklaszewski, Bill Rzeźnik, Tommy Proctor, Dominique Simon, Ed Williams, Sparky Witte i panna Vicki, uprzednio znana z powieści Dunleavy'ego, oraz naturalnie Patty i Bill Dunleavy, do których lokal należy i którzy serwują najlepsze hamburgery na świecie. Specjalne podziękowania otrzymuje burmistrz Wyspy Sullivana, Marshall Stith, właściciel Twenty Two Restaurant. Zapytałam go, dlaczego jego krewetki i kasza kukurydziana są takie smaczne, a on odpowiedział, że chyba z powodu masła i pół na pół. Wspaniale. Zegnaj, pasku. Witajcie, spodnie od dresu.

Szczególne podziękowania przekazuję mojej najstarszej i najdroższej przyjaciółce z dzieciństwa, Francesce Jean Gianaris. Hej, Fran! Chyba już pora na nasz weekend na wyspie? Nie zapomnij, dobrze? A także Charliemu Moore'owi za dobrą wolę i pozwolenie na wykorzystanie zdania: Takie dobre, że buldog zerwałby się z łańcucha! Ogromne podziękowania i wyrazy miłości otrzymuje mój brat Michael Benton z Irving w Teksasie oraz wielebny Ben Michaels za odprawienie ceremonii ślubnej. Boże! Wszyscy myśleliśmy, że ta para nigdy się nie zwiąże! Dobra robota!

Potężne podziękowanie przekazuję pracownikom wszystkich salonów, którzy codziennie dokonują cudów i którzy udzielili mi wspaniałych rad oraz podzielili się opowieściami, a byli to: Francis Dubose z London Hair w Mount Pleasant, cały zestaw wyrazistych osobowości z Salon and Company na Isle of Palms - Wyspie Palm, i wreszcie, choć nie najmniej ważny, cudownie utalentowany i niezwykle zabawny cudotwórca William Howe z John Barrett Salon w Nowym Jorku.

Podziękowania otrzymują też Bruce i wszyscy pracownicy Wine Connection w Pound Ridge w Nowym Jorku za wybranie właściwego wina do kolacji Anny i Jima w High Cotton w Charlestonie w Karolinie Południowej. Myślicie, że to łatwo zaplanować kolację, prawda? Ha, musiałam skorzystać z pomocy niezwykle utalentowanych osób, by się udało!

Wielkie dzięki dla Marjory Wentworth za jej przyjaźń i wsparcie. Madge! Kocham cię! Kiedy przyjedziesz? Specjalne podziękowania otrzymuje Michael Uslan, mój przyjaciel z Hollywoodu, producent „Batmana” i „Swamp Thing”, który twierdzi, że moje zwariowane książki powinny zostać sfilmowane, i usiłuje pomysł ten przekuć w czyn, zajmując się równocześnie własnymi dziewięćdziesięcioma dwoma projektami. Michael, jeśli ktoś złoży poważną ofertę, wiesz, do kogo zadzwonię,

prawda? Dobrze. Sprawa załatwiona. Dziękuję Mary Jo McInerney za jej miłość, wytrwałość, poczucie humoru i wszystko - to najlepsza kuzynka i przyjaciółka, o jakiej mogę marzyć. I musi też zostać wspomniany mój kuzyn Charles „Comar” Blanchard Jr. Dziękuję, dziękuję, dziękuję! Bez tego przystojnego, utalentowanego młodego człowieka moja rodzina nigdy nie mogłaby się cieszyć rejsami wzdłuż wybrzeża ani wysypiać się tak dobrze, jak tam się nam to udaje. Dalej: Dennisie Craver z Beaufort - jesteś wspaniałym przyjacielem! Złotko, ten człowiek rozпали każdą ostrygę! Dziękuję Aleksowi i Zoe Sandersom. I Jonathanowi Greenowi za podniesienie nas na wyższy poziom. Kocham cię!

Dziękuję Cassandrze King, mojej koleżance po piórze (napisała „The Sunday Wife” - idźcie i kupcie!), za jej przyjaźń, rady, poczucie humoru, wsparcie i za to, że dla nas wszystkich stanowi inspirację. Cała rodzina Franków kocha na zabój Pata Conroya. Ty jeden ze wszystkich znanych nam ludzi przyjmowałeś wraz z nami rachunki wystawiane przez życie. Wspólnie je pokryjemy, kiedy inni zapadną w śpiączkę. Wracaj do nas w każdej chwili. Czytali państwo jego nową książkę „My Losing Season”? Wszystko, co pisze, jest rewelacyjne. Mam cię, koleś!

Podziękowania otrzymują Robert i Susan Rosenowie z Charlestonu za lata niezwyklej przyjaźni i wsparcia na mojej nowej drodze zawodowej - nie przychodzi mi na myśl nikt, kto nie cieszyłby się i nie czuł się zaszczycony, mogąc nazwać was swoimi przyjaciółmi.

Specjalne podziękowania dla rad miejskich Wyspy Palm i Mount Pleasant za dostarczenie mi danych statystycznych oraz przyjazne traktowanie.

A teraz czas wymienić geniuszy z Berkley Publishing. Ojej. Od czego mam zacząć? Normanowi Lidosky'emu i jego ekipie Houdinich oferuję usługę czyszczenia butów. Okay, może nie dosłownie, ale moja wdzięczność jest prawdziwa. I wiecie, ile wam wszystkim zawdzięczam.

Jak zawsze szczerze podziękowania przekazuję Joni Friedman, redaktorowi literackiemu, za nieposkromione wizje piękna, oraz Richowi Hasselbeigerowi za niezwykle wysiłki dokonywane w moim imieniu.

Całuję ziemię, po której stąpa wspaniała i nieustraszona Leslie Gelbman, mój wydawca, i we wszystkich modlitwach dziękuję za jej niewyczerpaną ciepłość, wspaniałe rady oraz wsparcie. Liz Perl i Hillary Schupf, kocham was ogromnie! Nie tylko odznaczacie się błyskotliwością, ale dzięki wam najtrudniejsza część całej operacji, czyli sprzedaż książek, staje się łatwa. Dziękuję, dziękuję! To samo odnosi się do Matthew Richa. Na zawsze masz miejsce w moim sercu! Buzzy Porter? Okay, podzielę się z wami poufną informacją: wszyscy pisarze z Południa, nie, wszyscy

pisarze promujący książki powinni postarać się, żeby w Mount Pleasant podpisywanie organizował Buzzy. W głowie mi się nie mieści, jak tego dokonuje. Nie trzeba dodawać, że sprzedaż książek przy okazji idzie w górę. Poza tym z Buzzym cudownie się pracuje. Filizanki cappuccino i ciasteczka! Kocham cię, Buzzy! Zwariowane imię, ale człowiek wspaniały.

Wiem, że ma po dziurki w nosie żartów z jej nazwiska, lecz kto by nie chciał, żeby jego redaktor nazywał się Fortune? Gail Fortune ma niezwykły talent wydobywania z mojej pracy wszystkiego, co wartościowe. Nie tylko od pierwszego dnia potrafi objąć wzrokiem to, co próbuję stworzyć, ale posiada narzędzia, dzięki którym pomaga mi doprowadzić pracę do końca. Nigdy niemiała, nigdy zirytowana, zawsze gotowa. Gail, ty i ja na zawsze. I dziękuję za wszystko.

Moja agentka Amy Berkowerno, Amy? Zawsze kiedy z tobą rozmawiam, dowiaduję się czegoś nowego o tym zwariowanym świecie. Dziękuję za zrozumienie i wspaniałą pomoc. Powiedz Alowi, że wciąż wszystko zawdzięczam jego książce „Writing the Blockbuster Novel”.

I wreszcie chciałabym podziękować moim czytelnikom i księgarzom.

Uwielbiam e - maile od was. Uwielbiam być w waszych księgarniach. A nade wszystko uwielbiam łączność z wami, zwłaszcza kiedy moje historie zachęcają was do przekazania mi waszych. W ciągu kilku krótkich lat potwierdziliście mi prawdę, której istnienie zawsze podejrzewałam: że opowiadanie historii pomaga ludziom znaleźć wspólny grunt i lepiej się wzajemnie zrozumieć. W tym niedoskonałym i niepewnym świecie głębsze zrozumienie i odrobina tolerancji mogą tylko przynieść korzyść. Dziękuję i kocham was bardzo!

Prolog

Okay, zeszłej nocy śniłam o mamie, a wydaje mi się, że przychodzi do mnie we śnie, gdy czuje potrzebę, żeby mi pomóc. Tańczyła walca z tatą na jakiejś wielkiej uroczystości. Uśmiechali się i cudownie bawili. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała Doktora tak szczęśliwego, a mamę równie piękną. Nie odezwała się ani słowem, uśmiechała się tylko do mnie. Tyle pytań chciałam jej zadać, lecz z jakiegoś powodu nie mogłam mówić.

A potem nagle wyczułam, że wstał już dzień, światło poranka nabierało intensywności. Musiałam urodzić się z najcieńszymi powiekami na świecie. Wiesz, jak to jest? No, w każdym razie rozumiałam, że się obudziłam. Przez chwilę jeszcze kurczowo trzymałam się resztek snu, próbując zapamiętać wszystkie szczegóły. Zastanawiałam się, jak zawsze

zresztą, czy sen miał jakieś głębsze znaczenie. Połowa mojego DNA jest niemiecka, lecz to ta druga połowa z Lowcountry, samego południa Karoliny Południowej, odpowiada za męczące poszukiwania kosmicznych wyjaśnień.

Może coś rzeczywiście ma się zdarzyć. Czy byliśmy na weselu? Stare wygi powiadają, że sen o weselu wróży koniec, a nie początek. Następne zmiany? Nie, dziękuję.

I w tej chwili moje stopy zderzyły się z podłogą. To pewne, że kolejną błogosławioną odmianę losu powitałabym atakiem furii. Ha, mieliśmy tyle zmian, że cap by się zakrztusił. Przetrwaliśmy jakoś Święto Dziękczynienia, teraz czekaliśmy na Boże Narodzenie. W Święto Dziękczynienia tyle się działo, że głowa człowiekowi mogła pęknąć niczym przejrzały melon. Jak ciągle powtarza Bettina, już dość tego. Bettina jest z Nowego Jorku, z Brooklynu. To nasza manikiurzystka, pokochasz ją od pierwszego spojrzenia. Czasem nazywamy ją Brooklyn. Mam ci tyle do opowiedzenia.

Tak czy owak, skoro już wstałam, zaparzyłam kawę - mielone kolumbijskie ziarna z kawałkiem laski waniliowej wrzuconym do filtra - i wyszłam na dwór, żeby wziąć gazetę i popatrzeć na niebo. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, był mój cholerny ogród, który dalej wspina się na drzewa i dom. Co noc zdobywa nowy kawałek. Nie żeby był brzydki. Do diabła, wręcz przeciwnie! To po prostu ogrodniczy cud.

Czarodziejska fasola Jasia.

Niebo było czyste, nie zapowiadało bliskich burz ani nic w tym rodzaju. Czekał nas piękny dzień. Stałam, patrząc na słońce wschodzące nad Wyspą Palm, i pojęłam, że sen zawierał przesłanie, iż najwyższy już czas opowiedzieć moją historię. Zaczynam więc.

Na razie jeszcze mnie nie znasz, ale jak skończę kłapać buzią, przekonasz się, że nie jestem papłą. Choć słyszałam więcej opowieści niż jakikolwiek barman w Irlandii, zawsze starałam się trzymać z daleka od kłopotów. A plotki to kłopoty, więc omijałam je szerokim łukiem. No, przynajmniej próbowałam. Też miałam swój udział w omawianiu skandalików. Boże! Matko jedyna! Były okresy, kiedy mi się zdawało, że to sam diabeł mnie goni. Może i faktycznie gonił, ale ostatnio jakby uznał, że dość mnie już ponadziewał na widły. Nie żebym była podejrzliwa, ale lepiej tego nie powtarzaj, dobrze? Mówienie na głos pewnych rzeczy może zwrócić jego uwagę.

Oto co przede wszystkim wpakowało mnie w tarapaty. Przez większość życia dryfowałam, planowanie odstawiając na boczny tor. Czekałam, aż

zaczę żyć. Czy nie tak postępują wszystkie kobiety? Czy nie przedkładamy obowiązków nad nasze ambicje? Czy nie opiekujemy się bliskimi, nie doprowadzamy do zgody, nie budujemy domu, nie powtarzamy naszym mężczyznom i dzieciom, że zawsze przy nich wytrwamy, bez względu na to, co się wydarzy? Przekonujemy, że wszystko dobrze się ułoży i znowu warto będzie żyć.

Ha, większość z nas próbuje postępować w ten sposób, choć nie wszystkie. Niektóre są tak podłe, że na sam ich widok włosy mogą się zamienić w węże, ale zyskują tylko tyle, że z upływem czasu stają się coraz podlejsze i bardziej rozgoryczone. Och! Za długo tolerowałam kilka kobiet tego pokroju. Niech im ktoś lepiej powie, żeby uciekły i znalazły sobie kryjówkę, bo teraz mówi Anna. To ja: Anna Lutz Abbot.

Praca zawodowa nie dała mi nic poza popękkanymi bębenkami w uszach i ciągłym gryzieniem się w język, jako że jestem właścicielką salonu fryzjerskiego. Pracuję w tym salonowym świecie od dwudziestu lat.

Widzisz, kiedy klientki obnażają przede mną dusze, to, co mówię, i to, co myślę, to często zupełnie różne rzeczy. Kto na tej ziemi cieszy się przywilejem mówienia tego, co naprawdę myśli? Wariaci, kochana, tylko oni. Naga prawda z moich ust już dawno temu zaprowadziłaby mnie do przytułku. A poza tym czy nie lepiej radzić sobie z ludźmi i ich problemami, okazując przy tym odrobinę współczucia? Ależ oczywiście! Jaki jednak z tego morał? Ja to WSZYSTKO słyszałam!

Czy mam do opowiedzenia historię? Tak, złotko, poczęstuję cię szklanką słodziutkiej herbaty, a ty usiądziesz sobie wygodnie w fotelu. Zdradzę ci wiele sekretów, ale jeśli usłyszysz, że je rozpowiadasz, przyjdę po twój język z moimi nożycami. Albo gorzej, z młotkiem! Tak zrobię. Cała ta historia jest prawdziwa do ostatniego słowa, wszystkie imiona i miejsca są prawdziwe i wskażą winnych.

Niedawno mówiłam Arthurowi - Arthur to facet, który doprowadza mnie do obłędu - że tak sobie myślę, czy to nie odpowiednia pora, żeby opowiedzieć ludziom, jak cały mój świat zmienił się w ciągu kilku miesięcy. Jeśli mnie się to mogło przydarzyć, to może przydarzyć się każdemu, no nie? Śmiał się tak serdecznie, że już zaczęłam myśleć, czy nie padnie trupem na miejscu, więc zapytałam, co, do diabła, jest w tym takiego śmiesznego, a on na to: „A od kiedy to ty nie opowiadasz?”. Nie rozbawiło mnie to, wcale nie.

Poza tym wpadło mi do głowy, że byłoby tres super, gdyby ludzie poznali inną stronę życia w Lowcountry, a - do licha! - sporo jest do opowiedzenia. Każdy możliwy i godny poznania aspekt życia na Południu

omawiany był pod dachem „Altany Anny” - nic nie mów, wiem! „Altana Anny” brzmi jak nazwa jakiejś podrzędnej meliny na Wyspach Dziewiczych. To prawda! Kiedy jednak dowiesz się, skąd się wzięła, zrozumiesz, dlaczego się na nią zgodziłam.

W każdym razie mój zwariowany salon fryzjerski jest kopalnią złota, jeśli chodzi o studia nad zachowaniami ludzi. Kiedy weźmiesz jedną część zasiedziałych mieszkańców, zmieszasz z napływowymi i przyprawisz turystami, otrzymasz nieźle uderzający do głowy koktajl, co? Wydarzenia sprzed kilku miesięcy dosłownie odwróciły kolejność przyplływów. Tak jest. A gdybym brała za słuchanie tyle, ile biorę za układanie włosów, byłabym właścicielką największego domu przy tej plaży. To nie żart. I nie chodzi wyłącznie o to, co słyszę w pracy. Wcale nie. Na naszej wyspie istnieje całe uniwersum. Mówimy, że jesteśmy z Charlestonu, ale tak naprawdę jesteśmy z East nad rzeką Cooper. Wszyscy tu są albo z Charlestonu, East, West nad rzeką Ashley (to druga wielka rzeka) albo z Awendaw. Może mieszkałaś kiedyś w jednym z tych dziwacznych osiedli, które się wysypują jak grzyby po deszczu i przypominają dekoracje do filmu o przedmieściach, lub na jednej z wysp, gdzie dostać się można tylko łodzią. Rzecz w tym, iż w tym zakątku świata lepiej uwierzyć, że to, gdzie wieszasz kapelusz, decyduje o twoim statusie. Ja jestem i zawsze byłam dziewczyną z wyspy, i nic na to nie mogę poradzić.

Moja rodzina nie mieszka w Charlestonie od tysiąca lat. Nie mamy wspaniałej rodzinnej rezydencji, plantacji ani sreber, które uratowaliśmy przed Jankesami, chowając je w kominie. Prawdę mówiąc, nie mam nic srebrnego, i to mi odpowiada. Polerowanie sreber nie jest najlepszym sposobem spędzania czasu. Jednakże do szaleństwa kochamy historię Lowcountry i upiększamy ją, mówiąc sobie, że tylko dlatego, iż akurat to miejsce nazywamy domem, wszystko można o nas powiedzieć, tylko nie to, że jesteśmy zwyczajnymi ludźmi.

Moja mama i jej krewni wywodzą się z Beaufort; jak sądzę, jedynym niezwykłym elementem w moim drzewie genealogicznym jest to, że tata z rodzicami wyemigrował z Europy do Ameryki po drugiej wojnie światowej. Zamieszkali w Estill i zajęli się hodowlą brzoskwiń. Co oznacza, że mój tata i jego tata pracowali jak kulisi, żeby osiągnąć to, co osiągnęli a to, co osiągnęli, było wygodnym, acz mało spektakularnym życiem bez nadzwyczajnych bajerów.

Mogę ci od razu powiedzieć, że nigdy mnie nie rozpieszczano, głaskano czy przekarmiano. Brało się to chyba z faktu, że rodzina mojego taty musiała walczyć o przetrwanie. Na początku było im ciężko i mnie też.

Przez długi czas wydawało mi się, że moje życie będzie wiecznym wtaczaniem pod górę ogromnego kamienia. Weźmy pieniądze. Wartości dolara nauczył mnie tata. Okay, miał opinię okropnego skąpca, ale to było silniejsze od niego. A czasami, kiedy najmniej się tego spodziewałam, otwierał portfel, wąż uciekał z kieszeni i banknoty zaczynały płynąć. Tata był pełen sprzeczności, tak samo jak inni ludzie. W każdym razie to od niego nauczyłam się, że dzięki oszczędności i uporowi możesz coś osiągnąć, jeśli bardzo tego pragniesz. A jedyną rzeczą, na której naprawdę mi zależało, był powrót na Wyspę Palm i własne życie.

To zajęło mi o wiele więcej czasu, niż powinno, ujmując rzecz bardzo ogólnie. Tylko że nic w moim życiu nie zdarzyło się tak, jak w wypadku innych znanych mi ludzi. Wszystko odbywało się jakoś dramatycznie, przez co życie miałam burzliwe i ciągle dostawałam po nosie. Szczerze mówiąc, mogę się obyć bez pouczających doświadczeń do końca moich dni. (Panie, mam nadzieję, że to usłyszałeś). A oto najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłam: jeśli chcesz być naprawdę szczęśliwy, musisz zwracać uwagę na ten głupi głosik przemawiający w twoim wnętrzu. On wie, czego ci potrzeba, i tak długo będzie cię męczył, aż go wysłuchasz. Gwarantowane. Moje klientki - wyznawczynie New Age (poznaję je na pierwszy rzut oka, bo noszą kryształ, którym nadają imiona) - nazywają to łącznością z kosmosem. Jak mówi moja córka, niech będzie. Ja tam zostanę przy własnej nazwie, wielkie dzięki. A choć sprawa z tym wewnętrznym głosem wydaje się prosta, aż trudno uwierzyć, jak wiele znanych mi osób utknęło w koleinach, które same dla siebie wykopały. Dobry Bóg nie planował przecież, żeby aż tyle ludzi było potwornie niezadowolonych ze swojego życia. Tego jestem pewna.

Zastanówmy się. Jeśli ktoś przez dziesięć lat marzy o podróży do Chin, to istnieje spora szansa, że życie w końcu dostarczy mu tego, czego on w duszy naprawdę pragnie. Nie mam na myśli tych, co mówią: „Cholera, najchętniej uciekłbym do Chin”. Ucieczka nigdy niczego nie rozwiązuje. W gruncie rzeczy prawdziwe szczęście ukryte jest w każdym z nas, trzeba tylko siebie pytać, czego oczekuje się od życia, i uczciwie traktować odpowiedzi. A tak przy okazji, za żadne pieniądze nie pojechałabym do Chin.

Mam szczęście, bo zawsze wiedziałam, czego chcę, tylko zabrało mi to cholernie dużo czasu, to wszystko. Ja, żeby być szczęśliwą i zadowoloną, muszę być na tej konkretnej wyspie. Wiesz, nie potrafię oddychać nigdzie indziej. Mówię poważnie. Pytałam o to innych mieszkańców i właściwie zgodzili się ze mną. Nigdzie indziej nie mają tego wrażenia, że to ich

miejsce, że tu przynależą. Moja dusza jest tutaj silniejsza.

Oczywiście mam w tej kwestii własną teorię. Wyspiarze to odrębny gatunek. Musimy mieszkać blisko oceanu, by pozostać w kontakcie z naszymi duszami. Wszystko tu jest powiększone. Wiatr słodszy, powietrze gęstsze, słońce silniejsze, noce bardziej tajemnicze. Na każdym kroku widoczne są odciski palców Boga, a zanim się na mnie wkurzysz, powiem, że tak, powinno się chodzić do kościoła, choć wierzę też, że z Bogiem rozmawiać można wszędzie. Zwłaszcza na Wyspie Palm.

Z drugiej strony wcale nie jesteśmy bandą nieruchawych mięczaków.

Wręcz przeciwnie, jesteśmy odważni, nie boimy się niczego, czym raczy nas matka natura. Huragany? Wielka mi rzecz. To może się wydać szaleństwem, ale z jakiegoś szczególnego powodu chcemy, nie, musimy stać przed rozgniewanym oceanem na chwilę przed uderzeniem sztormu. Kiedy byłam mała, mój tata, Doktor, mówił: „Anno, chodźmy popatrzeć, co też knuje Atlantyk, nim rozpęta się piekło”. Staliśmy na wydmie i wdychaliśmy dość soli, by podskoczyło nam ciśnienie krwi. Dobrze nam to robiło. Ewakuacje? Zwykle zostawaliśmy w domu, wyjątkiem był huragan Hugo. A potem wszyscy wznosili ręce do nieba i pytali, po co w ogóle płacą te niebotyczne składki ubezpieczeniowe. Jeśli huragan był prawdziwym potworem, pakowaliśmy nasze kosztowności i rodzinne fotografie i opuszczaliśmy miasto. Pozwalaliśmy sztormowi panoszyć się po ulicach przez dzień lub dwa, później wracaliśmy i sprzątaliśmy bałagan. Siadywaliśmy wieczorami na werandach i bujaliśmy się na fotelach, śmiejąc się i opowiadając historie o huraganach.

Wyspiarze rozpoznają się od pierwszego wejrzenia, bo łączy ich jakieś podobieństwo. Cholera, jeśli na moim fotelu siedzi turystka i mówi, że jest z Karoliny Północnej, traktuję ją jak... Jak Jankeskę, ale nie opowiadaj tego nikomu, dobrze? Jeśli jednak mówi, że mieszka w Wrightsville Beach, ha, wtedy zostaje obsłużona jak stara przyjaciółka.

Ludzie plaży mocniej kochają życie niż inni. To prawda! Mamy tendencję do zachowań, cóż, nieco przesadnych. Nikt nie zobaczy nas jedzących jednego orzeszka, pijących jedno piwo, opowiadających jeden dowcip albo tylko troszkę się opalających. Kiedy więc ktoś mi mówi, że jest z plaży, wiem dokładnie, jaki jest. Wyjątek stanowi Kalifornia, gdzie wszystko się trzęsie. Rozumiesz, co mam na myśli? Huragany mnie nie przerażają, ale trzęsienia ziemi? To nie dla mnie, słonko.

Wyspiarze są też zwykle bezpretensjonalni. Jest to cecha niedoceniana i niedostrzegana przez innych. Weźmy nowojorczyków. Mają ubiory na każdą okazję! Mają stroje do joggingu, które różnią się od strojów do

pracy, te z kolei różnią się od strojów na weekend, a w dodatku, Panie, miej nad nami litość, każdy szew jest czarny! Cholera! Przypuszczalnie układają sobie włosy, żeby pójść do kiosku na róg po gazetę!

Nie potrafiłabym tak żyć. To znaczy, niech im Bóg błogosławi, na pewno mają też swoje problemy. Chodzi po prostu o to, że - moim zdaniem - życie nie może wymagać aż takiego wysiłku. Tutaj, w Lowcountry, wolimy trochę mniejsze tempo i smakowanie każdej chwili.

Arthur mówi, że w Nowym Jorku kolacja dla dwóch osób w modnej restauracji kosztuje setki dolarów. U nas też można wydać niezłą sumkę na kolację. To znaczy, jeśli komuś się chce jechać do Charlestonu. Na wyspie trzeba by chyba czekać dwadzieścia minut na stolik, gdyby poszło się do restauracji, która rezerwuje miejsca (czego żadna nie robi), ponieważ nie lubimy popędzać ludzi, kiedy jedzą i cieszą się swoim towarzystwem. Prawdę mówiąc, większość z nas raczej woli zostać w domu i zjeść to, co złowili w ciągu dnia, a do tego sałatę czy coś w tym rodzaju. Może powodem jest upał, ale główny posiłek wypada w środku dnia, o ile uda nam się wygospodarować czas na obiad. Za to kolacja (zwana wszędzie indziej obiadem) jest zwykle lżejsza.

Wyspiarze nie są podobni do ludzi ze stałego lądu ani nie chcą tacy być. Mamy własny styl i własny punkt widzenia. Życie tutaj sprawia, że trzeba być praktycznym. Wiedziałam od dawna, że moja profesja odporna jest na recesję. Wystarczy zapytać jakąkolwiek kobietę. Jeśli musi wybierać pomiędzy farbowaniem odrostów a kupnem sukni, natychmiast pędzi do fryzjera. I wiedziałam też, a przynajmniej miałam taką nadzieję, że moje stare klientki będą przyjeżdżały do mnie z Charlestonu. I rzeczywiście, przyjeżdżały co do jednej, bo kiedy kobieta znajdzie fryzjera, który jej pasuje, zostaje przy nim jak biel na ryżu.

No i są ci, co się tu transplantomali. Obecnie jakoś każdy, kogo spotykam, pochodzi z Ohio. Mówię nieraz: „Słuchaj, złotko, rodowitą mieszkanką Charlestonu możesz zostać w trylion lat po śmierci. Ale zawsze możesz zostać wyspiarką”. I to wystarcza im do szczęścia.

Najważniejsze w życiu jest nastawienie, prawda? Wszyscy jesteśmy zdolni się zmienić. Nawet ja. W ostatnim pół roku złapałam się na tym, że na nowo uwierzyłam w dobroć ludzi, siłę miłości i cuda. Nie wierzysz w cuda? Ha, jak tu skończymy, przyjdź do mnie i obejrzyj podwórko.

Parę dni temu przed moim domem zatrzymał się ktoś z czasopisma. Facet był specjalistą od roślin ogrodowych i fotografem z magazynu w Vermoncie czy gdzieś tam. Chciał wiedzieć, jakich nawozów używam. Śmiałam się tak bardzo, że spłynął mi cały tusz. Powiedziałam: „Złotko,

nie używam niczego poza powietrzem Lowcountry i magią tej wyspy!". Pokręcił głową i odszedł, przekonany, że stroję sobie z niego żarty. A ja powiedziałam mu prawdę. Nigdy nie kłamię. No dobra, czasami mogę pominąć pewne fakty, to jednak zupełnie inna kwestia.

Jestem pewna, że słyszałaś te wszystkie historie o nawiedzonym Południu, o ludziach, którzy tu rozmawiają z umarłymi i widują duchy. Muszę cię zmartwić, to wszystko prawda, każda z tych historii jest prawdziwa. Takie jest Lowcountry. Zdarzają się tu rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić.

Kiedy jesteś na wyspach, włącza się niesamowitość. Nam to nie przeszkadza. Lubimy to, co dziwaczne i niewytłumaczalne, tak samo jak cenimy naszych ekscentryków.

Wszyscy otrzymujemy w życiu swój przydział kłopotów. Jak powiada panna Angel, każdy pies ma swój dzień, a każdy kot swoje popołudnie. Panna Angel jest moją sąsiadką i miejscową filozofką. Oraz miewa prorocze sny. Mnie też śnią się różne rzeczy, ale nie tak jak jej. Nie martw się, do niej dojdziemy w stosownym czasie. Jest mnóstwo ludzi, których chcę ci przedstawić.

Wiesz, nie zawsze byłam zadowolona. Przeszłam przez piekielne katusze, by w końcu pokochać życie. Nigdy jednak nie zrezygnowałam z nadziei. Zawsze powtarzam, że najgorsze były lata mojego dzieciństwa. Musiałam je przetrwać, by zrozumieć, o co warto walczyć, a o co nie, i musiałam się nauczyć, jak poradzić sobie w świecie. Dlatego myślę, że najlepiej będzie, jeśli zacznę od mamy.

Chcesz jeszcze herbaty? Należę ci od razu, bo chyba za długo powstrzymywałam ten potok słów. Myślę, że wszystkie moje niepowodzenia i zwycięstwa ładnie się ułożyły - niczym sznur dojrzałych pereł. Teraz mogę mówić o mamie spokojnie, ale kiedy miałam dziesięć lat? Złotko, wolałabym wsadzić sobie patyk w ucho, niż usłyszeć jej imię choćby przez kogoś wyszeptane.

4. Pożar serca

1975

A oto, co pamiętam. Tamtego dnia byłam w stanie myśleć tylko o powrocie do domu i jeździe na rowerze. Z perspektywy swoich dziesięciu lat uważałam, że zmarnowałam najlepsze godziny dnia w dusznym i gorącym więzieniu budynku szkoły podstawowej na Wyspie Sullivana, pobierając edukację, która - moim zdaniem - była kompletnie zbędna. Kończył się maj, temperatura znacznie podskoczyła.

Młodzież z deskami do surfowania i mocną opalenizną roiała się na wszystkich skrzyżowaniach, podążając na plażę lub z niej wracając. Hordy

letników zaczęły już zjeżdżać na wyspę, wakacje były tuż - tuż. Z trudem mogłam skupić się na czymś innym poza lataniem na bosaka.

O drugiej czterdzieści pięć wsiadłam do szkolnego autobusu i szybko zajęłam miejsce przy oknie, to znaczy przy takim, które dało się otworzyć. Śmieszne, co umysł zapamiętuje, a co zapomina. Jak większość dziewcząt, dokładnie pamiętam, co miałam na sobie: jasnożółtą sukienkę z zielonym ręcznym haftem oraz pasujące do niej zielone sandały. Wyglądałam jak laleczka. Naprawdę. Według ówczesnych zapatrywań moich rówieśników posiadałam najlepsze ubrania spośród nich. Nie najładniejsze włosy (jasne i cienkie) i twarz (zbyt blada, niewidoczne rzęsy), za to bez dwóch zdań najfajniejsze stroje. Pamiętam, jak tamtego dnia myślałam, że choć mam na sobie ulubioną sukienkę, parna pogoda i bliskość wakacji sprawiają, że jestem niespokojna i zrzędliva.

Spociłam się, próbując otworzyć okno. Irytowało mnie, że dorośli mający władzę nad naszym życiem tak małą wagę przykładają do dziecięcej wygody. Ławki w klasie były twarde niczym kamień, uwierały nas w tyłki, nic więc dziwnego, że wierciliśmy się, jakby majtki nakrochmalono nam proszkiem wywołującym swędzenie. Przygniatający nas do ziemi ciężar książek gwarantował trwałe skrzywienie kręgosłupów. W parnej stołówce czyściło nam wszystkie pory. Każdy aspekt życia wydawał się niewygodny i męczący. Nawet papierowe ręczniki w toalecie dla dziewcząt wydzielały chemiczny odór i były tak sztywne, że lepiej już wytrzeć ręce w ubranie, o ile oczywiście ktoś w ogóle mył ręce. Ja robiłam to zawsze. Wiesz, bakterie.

A co najgorsze, w maju głosy nauczycieli brzmiały jak niekończący się biały szum, były drażniącym mamrotaniem w tle. Miałam po uszy piątej klasy i jednego byłam pewna na sto procent. Postanowiłam, że jak dorosnę, zmienię ten niedbały sposób traktowania dzieci przez władze.

Tamtego dnia trajkotałam jak najęta, wyliczając tę litanię dziecięcych żalów i pretensji, kiedy wsiadałam do starożytnej żółtej pułapki na szczury, która miała zawieźć mnie do domu. Jediną atrakcją autobusowych przejazdów stanowił Uroczy Leon, kierowca. Był po prostu słodki i flirtował ze wszystkimi dziewczętami. Przydługie i proste brązowe włosy ciągle zasłaniały mu oczy, co uważałam za nieodparcie pociągające. Kochaliśmy się w nim i nasze małe serduszka były jak szalone, gdy puszczał do nas oczko. Leon był w ostatniej klasie liceum, zajęcia kończył o drugiej i zatrudniono go jako kierowcę szkolnego autobusu. Ponieważ mieszkałam na końcu Wyspy Palm, najczęściej jechałam z nim najdłużej, bo reszta w przeważającej większości wysiadała wcześniej. Czasami

zaczynał od końca i tak też zrobił tamtego dnia.

Na ostatnim siedzeniu Eddie Williams (pierwszy przystanek na trasie) robił Patty Grisillo (trzeci przystanek) pokrzywkę godną medalu olimpijskiego. Ona w rewanżu gryzła go w rękę. Mocno. Oboje okropnie się darli. Przyjaciółki Patty waliły Eddiego tornistrami, przyjaciele Eddiego śmiali się i radzili mu, żeby się poddał.

- Zachowujecie się jak banda kretynów! - powiedział Leon. - Eddie, no już, tyłek w troki i zajmij się drzwiami. Zaczynam od końca Wyspy Palm!

Autobus toczył się po Middle Street w kierunku Breach Inlet z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, jęcząc i prychając przy każdej zmianie biegów. Poirytowani kierowcy wyprzedzali nas, a my zaklinaliśmy się, że dostaną za to mandat. Wykrzywialiśmy się i krzyczeli z całej siły na tych godnych pogardy przestępców, mknących niczym błyskawica. Stanowili kolejny dowód na ogólny brak szacunku dorosłych dla dzieci.

Przejechaliśmy przez most i skręciliśmy na Fortyfirst Avenue, która prowadziła na koniec wyspy. Wszyscy krzyczeli, choć Leon ciągle nas upominał:

- Bądźcie cicho! Do diabła, zamknijcie się! Ktoś, chyba Sparky Witte, powiedział:

- Hej, popatrzcie na te wozy policyjne!

W autobusie zapadła cisza jak makiem zasiał. W okolicy, gdzie mieszkałam, panowało wielkie zamieszanie. Za nami pojawiły się wozy strażackie, Leon zjechał na bok, żeby zrobić im miejsce. Były z głównego na wyspie oddziału. Sprawa musi być poważna, pomyślałam. Ruszyliśmy za nimi trochę szybciej niż przedtem.

Na Forty First Avenue okazało się, że drogę zablokowała policja, wszędzie pełno było ludzi. Leon nie miał pojęcia, co robić, więc zahamował. Zaczęłam się trząść, bo bałam się, że coś się dzieje w moim domu.

Leon kazał nam być cicho, po czym wysiadł i wyjaśnił policjantowi swój problem. Wiezie dziecko, które mieszka na tej ulicy, jak powinien postąpić? Policjant wrócił z nim do autobusu i zawołał mnie po nazwisku:

- Anna Lutz!

- Tak, proszę pana? - Zdrętwiałam cała ze strachu.

- Chodź ze mną, słoneczko.

Popatrzyłam na umundurowanego nieznajomego z bronią na biodrze i wiedziałam, że stało się coś strasznego. Lillian, moja najlepsza

przyjaciółka, chciała iść ze mną, ale on powiedział: „Nie, tylko Anna”. To nie byłby dobry pomysł, dodał. Lillian wybuchnęła płaczem, ja też. Wciąż pamiętam, jak płacze, a wszyscy wokół mówią: „Och, nie! Co się stało? Zadzwoń do nas, Anno, słyszysz? Dobrze się czujesz?”.

Nie czułam się dobrze. W żadnym razie. Jakże mogłam odczuwać cokolwiek poza śmiertelnym przerażeniem? Poszłam z policjantem, który przedstawił się jako Beau. Trzymał mnie za spoconą dłoń i niósł mój tornister. Wiedziałam, że czeka mnie coś strasznego. Kiedy wyszliśmy z za rogu, wszystko zobaczyłam.

Mój dom otaczały wozy policyjne. Tak mnie to przeraziło, że chciałam uciec, ale stałam koło tego Beau i czekałam, aż ktoś wszystko mi wyjaśni. Co to ma znaczyć? Czy włamano się do naszego domu? Złodzieje uciekli? Wszystko nam ukradli? A może w środku nadal są źli ludzie i dlatego tyle tu policji?

Sąsiedzi stali jak posągi na swoich podwórzach, przykuci do miejsca rozgrywającym się na ich oczach widowiskiem. Zobaczyłam karetki pogotowia i sanitariuszy czekających z noszami. A gdy zauważyłam samochód taty, ogarnęła mnie panika. Czy on jest w domu? O mój Boże! Co z mamą? Gdzie ona jest? Gdzie są oboje?

Tata pojawił się dosłownie znikąd i wziął mnie na rękę. Tak głośno oddychał, że zaczynałam wpadać w histerię. Nie pojmowałam, co się dzieje, ale wiedziałam, że to coś bardzo złego.

- Mama jest... mama miała poważny atak serca - powiedział tata. - Tak mi przykro, Anno. - Czy to znaczy, że umarła? Ojciec drżał i płakał. Zakaszłał, po czym wyjął chusteczkę i głośno wytarł nos. - Boże kochany! Dlaczego? Jak mogłem na to pozwolić?

Nie potrafiłam wykrztusić słowa, brakowało mi tchu. Czy ojciec miał z tym coś wspólnego? Mogłam tylko patrzeć. Mama umarła? To było po prostu niemożliwe. Sanitariusze weszli do domu, po niedługim czasie wyszli, niosąc na noszach ciało. To była mama, przykryta prześcieradłem. Sanitariusze zamknęli worek. Kilka minut później w progu pojawili się policjanci z jakimś człowiekiem w rozpiętej koszuli. Z miejsca, gdzie stałam, wydawało mi się, że ręce ma skute kajdankami. Czy to on? Zaczęłam krzyczeć. Co on zrobił mojej mamie?

- Cicho!

To była nasza sąsiadka, panna Mavis, która przedarła się przez tłum i chwyciła mnie za ramię.

- Dziecko nie musi tego oglądać, Douglas! Straciłeś rozum czy co? Ktoś powinien był od razu ją do mnie przyprowadzić. Chodź, malutka!

I pociągnęła mnie za sobą. Tata poszedł za nami. Mama od dawna nie rozmawiała z panną Mavis, bo o coś się pokłóciły, tak więc jej nagłe pojawienie się zaskoczyło mnie. Mama powiedziała, że panna Mavis ma język długi jak kabel telefoniczny i za plotkowanie pójdzie prosto do piekła. Ponieważ jednak tata szedł z nami, nie sprzeciwiałam się. To nie była odpowiednia pora na bunt przeciwko dorosłym.

Panna Mavis miała dom wart dogłębnego zbadania, choć za żadne skarby nie chciałabym w nim mieszkać. Ponieważ hodowała stado kotów, uznała za konieczne na każdym stole i w każdym kącie postawić żaby i muszle z odświeżaczami oraz miseczki z potpourri. Ich zapach doprowadzał mnie do mdłości. Kiedy z dziećmi z sąsiedztwa wstępowaliśmy tam na ciasteczko, zawsze wstrzymywaliśmy oddech. Zaraz za progiem głośno wrzeszczeliśmy: „Fuj!” i śmialiśmy się z tego, przez resztę popołudnia udając, że wymiotujemy.

W domu panny Mavis były dwa mieszkania, na parterze i na piętrze. Właścicielka mieszkała na górze i widziała z okien ocean, a panna Angel, która u niej pracowała, na dole. Panna Angel była o wiele bardziej interesująca od panny Mavis, jej drzewo genealogiczne sięgało czasów niewolnictwa. Była też mistrzynią w wyplataniu koszyków. Znała mnóstwo historii, jej historie znały inne historie.

Panna Angel siedziała na tylnym podwórku i wyplatała kosz z turówki, obszywając go pasemkiem palmiczki, a czasami łuskała kukurydzę albo fasolę. Gdy zmęczyło nas bieganie albo robiło się za gorąco, kryliśmy się koło niej w cieniu i pytali, co robi.

- Czy wy, smarkacze, nie macie lepszego zajęcia, tylko przeszkadzać Angel?

I jedno po drugim mierzyła nas wzrokiem od stóp do głów.

- Nie, pszepani - odpowiadaliśmy chórem.

- No to chyba chcecie się czegoś napić, co?

- Tak, pszepani.

Wzdychając, odkładała robotę, a my jak kaczęta szliśmy za nią gęsiego do kuchni. Tam zaczynały się opowieści.

- Jak byłam mała, musieliśmy pompować wodę... Kiedy się rozgrzała, mogła mówić bez końca.

- To prawda! Mój tata mówił do mnie: „Angel, bądź aniołkiem i napełnij to wiadro jak grzeczna dziewczynka. Boże! Ta mała jest silna jak para wołów!”. Tak było. Wy, smarkacze, nie wiecie, co to ciężkie czasy! Mam nadzieję, że pomożecie mamie, jak poprosi. Pomożecie?

- O tak, pszepani! - odpowiadaliśmy, łżąc w żywe oczy.

- To dobrze. Angel da wam świeżej lemoniady, zrobiła ją rano. Rano tak sobie powiedziałam: „Angel, dzisiaj będzie gorąco jak w piekle! Lepiej zrób coś dla tych niedobrych dzieciaków, jak tu przyjdą, bo przyjdą jak dwa razy dwa”. Pijcie i zostawcie mnie w spokoju!

Domowa lemoniada! Cudownie! Zawsze robiła nam takie niespodzianki.

Panna Mavis stanowiła dokładne przeciwieństwo panny Angel. Mama powiedziała, że ciągle zadziera nosa, cokolwiek to znaczyło. Miała córkę, która uczyła się w college'u, i żonatego syna, który w Kalifornii próbował zostać gwiazdorem. Pokazywała mi jego zdjęcia i mówiła, że spodziewa się dostać rolę w reklamówce albo filmie. Tata powtarzał, że jej syn to kompletny głupek, bo zmienił imię z „Thurmond” na „Fritz”. Nie potrafiłam się zdecydować, które brzmi idiotyczniej.

Panna Mavis i panna Angel były miejscowymi sławnymi, acz szanowanymi starymi jędzami. Wiele nas nauczyły, w przeciwieństwie jednak do tego, co panna Angel myślała o mnie i moich rówieśnikach jako o bandzie rozpuszczonych bachorów, ja miałam dowiedzieć się, co to są ciężkie czasy.

Weszliśmy na górę do mieszkania panny Mavis. Przekroczywszy próg, człowiek nie czuł niczego innego poza suszonymi kwiatami i sosną. Usiadłam na kanapie, płacząc i czkając. Panna Mavis podała mi chusteczki higieniczne w saszetce wyszywanej w kwiaty magnolii na czerwonym tle. Należała do kobiet zręcznie posługujących się igłą.

- Nie rozumiem - powiedziałam. - Kim był ten człowiek? Czy mamę zamordowano? Czy to włamywacz?

- Nie, malutka, jestem pewna, że jej nie zamordował. Wielkie nieba! Za dużo telewizji!

Głośno się rozszlochałam. Żeby powiedzieć taką podłą rzecz! Co miały do tego programy telewizyjne! Moja mama nie żyła! Tata robił mi dziurę w plecach, głaszcząc mnie wciąż w jednym miejscu. Sam był w szoku i przypuszczam, że nie potrafił jeszcze zacząć się zastanawiać, co ze mną pocznie.

- Uspokój się, Anno - poleciła panna Mavis. - Wytrzymaj teraz nos, dobrze? Pójdę z twoim tatą do waszego domu i spróbujemy czegoś się dowiedzieć. Ty zostań tutaj, póki nie wrócimy, zgoda?

- Zgoda - odparłam, myśląc przy tym, dlaczego dorośli wygadują głupstwa w rodzaju „wytrzymaj teraz nos”. Panna Mavis była miła, ale doprowadzała mnie do szaleństwa.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, poczułam się bardzo samotna i

zagubiona. Nie miałam pojęcia, co powinnam robić podczas ich nieobecności. Oglądanie telewizji wydawało mi się niestosownym zajęciem, podobnie jak dzwonienie do Lillian. Pozostawałam chyba w stanie osłupienia, ponieważ nie byłam zdolna do niczego poza rozglądaniem się po pokoju i rozmyślaniami, jak to możliwe, że coś tak strasznego mi się przydarzyło. W piersiach czułam wielki ucisk i przez chwilę bałam się, że z moim sercem też jest coś nie tak. A jeśli obie z mamą umrzemy tego samego dnia? Nie chciałam umierać. Spróbowałam się odprężyć.

Stolik do kawy zasłany był magazynami, na stołach tłoczyły się fotografie w ramkach. Nie interesowało mnie to, ale w pewnym momencie moją uwagę zwróciło zdjęcie panny Mavis w ślubnej sukni, które musiało mieć chyba z milion lat. Wyglądała na nim ślicznie i naprawdę młodo. Mama zawsze powtarzała, że jej mąż biegał za innymi, jakby spodnie się na nim paliły, i od tego wątroba stwardniała mu na kamień. Kiedy umarł, panna Mavis opowiadała wszystkim, jakim był świętym człowiekiem. To nieprawda, nawet ja wiedziałam, że daleko mu było do świętości.

Tata, który znał tyle samo historii co panna Angel, często opowiadał mi o piracie nazwiskiem major Stede Bonnet. Ludzie mówili, że został piratem, żeby uciec od swej zrzędzącej żony. Ha, skończył z pętlą na szyi. Nigdy nie rozumiałam, jak ktoś mógł zrobić coś tak podłego swojej rodzinie i wątrobie, a jednak zostać świętym. Nie byłam do końca pewna, co znaczy biegać za innymi, ale domyślałam się, że ma to związek z innymi kobietami. Stede Bonnet powiedziałby mi, że lepiej na tym wyjdzie, jak zostanie w domu i będzie się dobrze zachowywał. Tak czy owak, ta wystawa rodzinnych fotografii była żałosna, bo mama powiedziała mi, że panna Mavis i wszyscy jej krewni to banda świrów.

Mama. Byłam taka zmęczona, że chciałam tylko położyć się i zasnąć. Nie zdawałam sobie sprawy, że nie jestem sama, póki panna Angel nie przyszła sprawdzić, co robię.

- Chodź, złotko - powiedziała. - Angel przygotowała ci coś do jedzenia.

Angel rzadko mówiła w pierwszej osobie. Może myślała, że nie potrafię zapamiętać jej imienia. Poszłam za nią do kuchni, gdzie czekał na mnie kawałek brzoskwiniowego ciasta na talerzu w kwiatki i szklanka mleka. Angel była jedyną znaną mi osobą, która naprawdę potrafiła piec i gotować. Ciasto było wyśmienite, pożarłam je wielkimi kęsami i zaraz zwymiotowałam na podłogę i przód mojej ulubionej sukienki.

- Przepraszam. - Znowu wybuchnęłam płaczem. - Mam uczulenie.

- Biedne dziecko - odparła Angel - nie musisz się przejmować. W tym roku jest okropnie dużo pyłków i można się od nich rozchorować.

To nie było uczulenie. Jako urodzona kłamczucha nie chciałam mówić, że było mi niedobrze od chwili, gdy wysiadłam z autobusu, że ten koci smród jest obrzydliwy i że gdy tylko przełknęłam jedzenie, żołądek mi się zbuntował. Czy ona nie czuje kociego odoru? Najwyraźniej nie. Wytarła mi twarz papierowym ręcznikiem. Kiedy próbowałam się uspokoić, powiedziała:

- Chodź, chodź z Angel.

Zaprowadziła mnie do pokoju Merilee, córki panny Mavis.

- Sprawdźmy, co tu mamy. - Pogrzebała w szufladzie i wyciągnęła olbrzymi T - shirt. - Przebierz się w to, a ja wrzucę sukienkę do pralki. Będzie jak nowa.

Zachowywała się tak miło, że trudno mi było odczuwać zakłopotanie, nie miałam jednak zamiaru rozbierać się w jej obecności, więc czekałam. Ona czekała. Ja też.

- Chcesz, żebym się odwróciła? Mogę się odwrócić, ale Angel ci powie, że nie masz nic, czego Angel nie widziała.

- Przepraszam, tylko że...

Pewnie wyglądałam, jakbym zaraz miała się znowu rozplakać, bo odparła:

- Wszystko w porządku, dziecinko. Angel rozumie. Poczeka za drzwiami.

Wyszła z pokoju, a ja szybko się przebrałam i podałam jej zabrudzoną sukienkę.

- Dobrze, a teraz się połóż i prześpij. To był straszny dzień, co? Zawołam cię, jak twój tata wróci. Ale teraz zamknij oczy, bądź grzeczną dziewczynką.

I zamknęła za sobą drzwi. Po raz drugi tego dnia bez słowa sprzeciwu miałam zrobić, co mi kazano.

Pamiętam, że pokój Merilee pełny był typowych dziewczyńskich pamiątek z dzieciństwa. Na ścianach wisały plakaty z Audrey Hepburn i innymi dawnymi gwiazdami filmowymi. Rozpoznałam tylko Audrey Hepburn, bo zawsze oglądałam jej filmy z mamą. Była to jedna z nielicznych rzeczy, które robiłyśmy razem, a które jej sprawiały prawdziwą przyjemność, no ale mama miała słabość do splendoru. Uwielbiała też chodzić na zakupy i zabierała mnie do sklepu Evelyn Rubin na King Street w Charlestonie, gdzie kupowałyśmy ubrania dla mnie. Będzie mi bardzo brakować tych popołudni, pomyślałam. Czy teraz z tatą

będę robić zakupy? Jak się wtedy zachowa? Oboje będziemy pewnie czuć się niezręcznie; myśl ta przepelniła mnie smutkiem.

Na łóżku Merilee siedziało mnóstwo króliczków, przypuszczalnie z wielkanocnych koszyków, oraz pluszowych misiów Bóg wie skąd. W pokoju pełno było książek, starych lalek, pomponów cheerleaderek, zdjęć klasowych, a z drążka nad lustrem przy toalecie zwisało ze sto wstążek.

W innych okolicznościach pewnie wszędzie wetknęłabym nos. Nie wtedy jednak. Moje nogi ważyły po sto funtów każda, a powieki same opadały. Wdrapałam się na wysokie łóżko, odepchnęłam zabawki i złożyłam ciężką głowę na chłodnej, miękkiej poduszce.

Gdy tylko zamknęłam powieki, powrócił obraz naszego domu, otoczonego przez wozy policyjne. Moja mama nie żyje. Moja piękna mama miała atak serca. Cholera, powiedziałam do siebie i postanowiłam zapamiętać sytuację, w której po raz pierwszy użyłam przekleństwa i zrobiłam to poważnie, choć nie na głos.

- Do cholery ze wszystkim! - krzyknęłam głośno w pokoju Merilee. Miałam do tego prawo. Czułam się zamroczona, jakbym znowu miała wymiotować, leżałam więc bez ruchu i raz po raz odmawiałam ulubione modlitwy. W zapadającym zmierzchu usłyszałam wołający mnie cichy głos:

- Przykro mi, Anno. Przykro mi.

Myślałam, że to mama mówi mi, że to była pomyłka i wszystko będzie jak dawniej, ale ujrzałam pannę Mavis. Siedziała na skraju łóżka. Na dworze było ciemno, a ja jednak spałam - czarnym snem bez żadnych marzeń.

- Jest ósma, złotko - oznajmiła panna Mavis, odgarniając mi włosy z twarzy. - Zjesz kolację?

- Nie - odparłam, po czym zmusiłam się do dodania „dziękuję”. Nagle ogarnął mnie wielki gniew.

- Jest rosół drobiowy Campbella z krakersami i coca - cola z lodem - powiedziała. - Zawsze dawałam lód swoim dzieciom, kiedy się źle czuły.

Mówiła tak współczującym i serdecznym tonem, że kiwnęłam głową i usiadłam. Panna Mavis zapaliła nocną lampkę i wyszła z pokoju, pewna, że pójdę za nią. A ja miałam ochotę wyrzucić każdego królika i misia Merilee przez okno i zmiażdżyć buzie wszystkich jej lalek. Chciało mi się krzyczeć. Gdzie jest mój tata? Dlaczego go tu nie ma?

Obciągnęłam T - shirt Merilee i powędrowałam do kuchni. Panna Mavis usadziła mnie na taborecie i poszła otworzyć drzwi. Siedziałam przed parującą zupą i patrzyłam, jak panna Angel wyciera półki tak długo,

aż zaczynają błyszczeć. Moja sukienka, wykrochmalona i gotowa sama tańczyć, wisiała na wieszaku na gałce szafki. Nic nie mówiłam. Panna Angel milczała. Już nigdy nie będę szczęśliwa. Popijałam colę i obserwowałam pannę Angel.

Jest tak wysoka, jak wysoka może być kobieta, nie uderzając przy tym głową w sufit, pomyślałam. Stała prosto jak stempel (nie miałam pojęcia, co to jest, ale tak mówili ludzie). Kiedy wszystkie dzieci z sąsiedztwa, łącznie ze mną, obrywały śliwki z ulubionych drzew panny Mavis, panna Angel straszyla nas policją, a my pierzchaliśmy na boki jak rtęć. (Znałam się na rtęci, bo kiedyś chciałam udać chorą, żeby nie pójść do szkoły, i przytknęłam termometr do żarówki, a on pękł). W inne, miłsze dni, kiedy nas lubiła, wołała, gdyśmy bawili się na ulicy, żebyśmy przyszli spróbować jej słynnych czekoladowo - kokosowych ciasteczek.

- Chciałam się przekonać, czy są dość dobre, żeby je posłać dzieciom panny Mavis - mówiła, puszczając do nas oko. - Jak was zemdli, powiedzcie mi szybko, to je wyrzucę, okay?

Przybiegaliśmy i pożeraliśmy ciasteczka niczym wataha wygłodniałych psów; wiedzieliśmy, że tak naprawdę upiekła je dla nas. Była siłą, z którą należało się liczyć.

Jak zawsze, włosy miała upięte w schludny koczek. Idealnie biała koszula ostro kontrastowała z gładką cerą, przywodzącą na myśl orzechy pekanu. Dawałam jej jakieś czterdzieści lat, co - według moich kryteriów - oznaczało zgrzybiałą starość. Fascynowało mnie, że nigdy nie używała szminki ani nie stosowała makijażu. Przypuszczalnie dlatego, że mama malowała się aż za bardzo. Jednakże Angel nie musiała poprawiać sobie urody. Gęste, podwinięte rzęsy osłaniały niczym daszek jej piwne oczy, w których kryła się mądrość tysiącleci. Za chwilę miałam otrzymać sporą dawkę tej mądrości.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, przerywając wreszcie milczenie. - Sama się przekonasz. A teraz jedz.

- Chciałabym, ale nie będzie.

- Przecież dobry Bóg opiekuje się swoimi dziećmi, a ty jesteś jednym z Jego dzieci, prawda?

- Bez obrazy, panno Angel, ale Bóg nie przyśle mojej mamy z powrotem. Ona umarła. Umarły to umarły.

- Twoja mama była piękną kobietą, panienko Anno, i najlepszą ogrodniczką, jaką znałam. Teraz jest w niebie i opiekuje się kwiatami Boga. Jedz zupę, zimna nie będzie dobra.

- Gorąca też nie jest dobra - odparłam, czekając na jej reakcję.

Spojrzała na mnie ostro. Pomyślałam, że zaraz mi powie, jaka jestem niewdzięczna, ale zmieniła zdanie i usiadła obok mnie.

Głośno nabrała powietrza i klepnęła się po udach.

- Wiesz co? - zapytała. - Co?

- To w ogóle nie jest dobre - powiedziała, znowu wzdychając. - Wcale nie jest dobre.

- Co? Ta zupa?

- Nie, dziecko, dzień. Jest po prostu okropny, Angel nic więcej nie doda.

- Tak, to racja - zgodziłam się, nie ruszając łyżki leżącej koło talerza.

Przyglądała mi się kilka minut, a potem spojrzała przeze mnie na wylot, jak gdyby za mną zobaczyła ścianę.

- Jestem bogobojną kobietą, panienko Anno, nigdy nie opuszczam niedzielnego nabożeństwa. Mój kaznodzieja mówi dużo o Bogu, o Jego planie, Jego tajemnicach i tak dalej. Ale ja ci powiem, i niech piorun mnie strzeli tu, w tej kuchni, że na ziemi zdarzają się rzeczy, które nie są dziełem boskiej ręki. Ludzie wyczyniają najrozmaitsze szaleństwa, niewinni cierpią. Takie rzeczy po prostu nie mają sensu. Żadnego sensu ani celu. Takie rzeczy w ogóle nie powinny się zdarzać.

- Tak. - Po policzkach znowu płynęły mi łzy, otarłam je wierzchem dłoni. O czym ona mówi? Nie potrafiłam skupić się na żadnej myśli, mogłam tylko siedzieć. Było mi słabo, ale Angel mówiła dalej, jakbym uważnie słuchała.

- W ogóle nie powinny się zdarzać - powtórzyła, podając mi wyjętą z kieszeni chusteczkę. - Naprawdę żałuję, że dożyłam tego dnia. Płacz, dziecinko. Łzy są dobre.

Oparłam głowę na rękach i zaczęłam szlochać. Co miała na myśli, mówiąc, że takie rzeczy nie powinny się zdarzać? Czy ktoś wie, co naprawdę się zdarzyło? Chciałam wyjść z tego domu, pobiec przed siebie. Gdybym tak biegła i biegła, na pewno poczułabym się lepiej. Pragnęłam, żeby był dzień, a nie noc. Ciemność z jakiegoś powodu mnie przerażała. Wcześniej nigdy nie przyszło mi to do głowy, teraz wszystko wydawało się złe. Chciałam wrócić do domu, zatrzaskać drzwi i przekręcić klucz. Chciałam być z tatą. I z mamą.

Tata przypuszczalnie był w naszym domu. Nagle uświadomiłam sobie, że nie mogę tam pójść, nawet po ubrania. Powiedziano mi, żebym tu została. W normalny dzień nie posłuchałabym i przyjęła konsekwencje nieposłuszeństwa. Pojęłam, że boję się ruszyć z miejsca.

- Nie mogę iść do domu - pożałowałam się. Popatrzyłam na Angel i

domyśliłam się, że twarz mam wykrzywioną, bo czułam, jakby coś ciągnęło mnie za szczękę. Zaczęłam się trząść i po raz kolejny wybuchnęłam płaczem. - Co ja mam zrobić? Siedzieć tutaj? Tylko tutaj siedzieć?

Moje lamenty musiały ją otrzeźwić, uświadomić, że to, co dla niej owego wieczoru było pewnością, do mnie dopiero zaczęło docierać. Byłam rozpuszczonym jak dziadowski bicz bachorem z wyspy, ale byłam też małą dziewczynką. I teraz temu rozpieszczonemu bachorowi, tej małej dziewczynce, osieroconej przez matkę, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu odmówiono nawet pociechy spania we własnym łóżku, a jej tata pogрузił się w żałobie, za którą trzeba będzie zapłacić.

- Nie przejmuj się tym teraz - powiedziała. - Posłuchaj mnie uważnie, panienko Anno. Twój tata to dobry człowiek i ty też jesteś dobrą dziewczynką. Musisz teraz być samodzielna, doktor Douglas tego potrzebuje. Żadne z was nie zasłużyło na taką straszną rzecz, ale ona i tak nadeszła. I co teraz? Jeśli stracisz głowę i zaczniesz wariować, pogorszysz tylko sytuację. Musisz sobie powiedzieć, że będziesz mądrą młodą kobietą, jaką zna Angel. Bo przecież to prawda, no nie? I wiesz, że twój tata potrzebuje tego, żebyś była silna? Założę się, że on też czuje się źle.

- Tak.

Naprawdę nic mnie nie obchodziło, jak kto się czuje. Byłam taka oszołomiona, że nie potrafiłam myśleć o niczym ani o nikim. Przestałam płakać i otrząsając się z głębokiego smutku, poczułam, jak rośnie moja wściekłość. Nie mogłam nic zrobić z tym gniewem, zacisnęłam więc szczękę i przestałam się odzywać.

W salonie byli jacyś ludzie. Co dziesięć minut drzwi otwierały się i zamykały. Tata chyba wrócił, tylko dlaczego mi nie dał znać, że jest? Na tylnym podwórku rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu.

Angel zirytowana otworzyła drzwi i krzyknęła:

- Cicho! Zaraz tam będę!

Z szafy wzięła torebkę i poszła do wyjścia. W progu odwróciła się do mnie.

- To mój siostrzeniec. Obiecałam mu, że dzisiaj pójde zobaczyć jego nowo narodzone dziecko. A niech to! Stał się ojcem, a rozumu ma tyle co fasolka. Twoja sukienka jest gotowa.

Wskazała na wieszak. Zupełnie o niej zapomniałam.

- Dziękuję. - Postarałam się zapanować nad sobą. - Wygląda wspaniale.

- Cieszę się, że mogłam coś dla ciebie zrobić. Lepiej się już czujesz?

- Tak, lepiej.

- Cieszę się. Panna Mavis i ja pomożemy tobie i twojemu tacie. Nie martw się, poproś Boga, żeby dał ci siły, a on wysłucha twoich modlitw. Dobrze?

- Dobrze, panno Angel, tak zrobię.

Chwilę jeszcze stała, uśmiechając się do mnie serdecznie, a potem powiedziała:

- No to w porządku.

I zamknęła za sobą drzwi.

Wylałam zimną zupę do zlewu i poszłam do salonu, gdzie ciągle przychodzili sąsiedzi. Stałam koło taty, który pogłaskał mnie po głowie, ścisnął za ramię i przestał zwracać na mnie uwagę. Nikt nie zachowywał się normalnie. Panna Mavis i tata rozmawiali nad moją głową, więc ich zostawiłam. Tata siedział w fotelu w kącie, czasami się odzywał, a czasami chował głowę w dłoniach, łokcie opierając na kolanach. Słuchał, kiwał głową, niekiedy wstawał, by uścisnąć komuś rękę. Oczy miał czerwone i podpuchnięte. Nie ulegało wątpliwości, że płakał. Nigdy nie widziałam, żeby tata płakał, i nawet tego wieczoru, kiedy powinniśmy wzajemnie się pocieszać, ukrył przede mną swoje łzy. Serce mi pękało na myśl, że tata płakał w samotności. Matka zrobiła to mnie i jemu. Dlaczego? Co się teraz z nami stanie?

Ludzie wchodzili i wychodzili. Lillian i jej mama przyniosły bukiet kwiatów, co tylko pogorszyło moje samopoczucie zamiast poprawić. Wręczyły mi też torbę od Belka. Otworzyłam ją - w środku była nowa nocna koszula i kilka par majtek. Wiedziały więcej niż ja, mój gniew jeszcze wzrósł.

Każdy tamtego wieczoru coś nam przynosił: kwiaty, coca - colę, ciasto. Patrzyłam na te wszystkie rzeczy i z wolna docierało do mnie, że moje życie zmieniło się na zawsze. Zaczęłam oddychać głęboko i pośpiesznie, jak przy hiperwentylacji. Lillian się przestraszyła. Przytuliła mnie mocno, bo chciała, żebym się uspokoiła. Wyrwałam się jej, z trudem łapiąc oddech i walcząc o zapanowanie nad sobą.

- Przestań! - wykrztusiłam.

- Chodź, kochanie - powiedziała mama do Lillian i zabrała ją. - Annie przydarzyła się straszna rzecz. - Pochyliła się nade mną i położyła mi dłonie na ramionach. - Serduszko, bardzo, bardzo współczujemy tobie i twojemu tacie. Ale nie martw się. Dorośli wszystko załatwią i będzie dobrze.

- Dziękuję - odparłam.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Wiele wysiłku kosztowało mnie, żeby nie załamać się na oczach tych wszystkich ludzi, ale wyglądało na to, że poniosę klęskę.

To, co powiedziała matka Lillian, było bezdyskusyjnie najgłupszą rzeczą, jaką słyszałam w całym swoim życiu z ust osoby dorosłej. Dorośli wszystko załatwią? A czy to nie dorośli całą sprawę zaczęli? Czy to nie oni zawsze powodują kłopoty?

Może i byłam jeszcze dzieckiem, ale też nie na próżno córą Południa. Wojną o niepodległość i prawa obywatelskie karmiono mnie od dnia, gdy przyszłam na świat. A po tamtej wojnie, która przyniosła takie mnóstwo cierpienia, wybuchła kolejna wojna i ludzie znowu cierpieli. Mimo upływu tylu wieków, mimo tylu potężnych umysłów na świecie wciąż są wojny i cierpienia. Który dorosły miałby to rozwiązać? Nie miałam matki. I nawet dla mnie było oczywiste, że nie umarła śmiercią naturalną, bo w przeciwnym wypadku policja nie zabrałaby tego człowieka do więzienia. W moim domu przypuszczalnie wciąż roi się od funkcjonariuszy. Nie wiedziałam, bo nikt mi nic nie mówił, a bałam się zapytać.

Nie. Tej sprawy nie da się załatwić. Czy ktokolwiek na tym świecie mógłby mieć aż taki tupet, by wierzyć, że potrafi naprawić wszystko dla mnie i taty? Prawdę mówiąc, chyba jednak była taka osoba. Matka taty. Kiedy już zaczynałam myśleć, że zupełnie mnie ignoruje, tata oznajmił:

- Jutro przyjeżdża moja matka.

Do babki Violet, która wołała, by tak właśnie się do niej zwracać - nie babcia, nie babunia, nie bunia, ale babka - zatelefonowano do Estill z wiadomościami. Miała przyjechać rano. Cudownie, pomyślałam, i to akurat teraz, kiedy wydaje się, że moja sytuacja nie może być gorsza.

Babka była najbardziej nieprzyjemną kobietą, jaką w życiu spotkałam. Zawsze szukała dziury w całym, nic ani nikt nigdy jej się nie podobał. Synowej też nie lubiła, nazywała ją „poszukiwaczką złota”, gdy mamy nie było w pobliżu. Dorośli sądzą, że dzieci nie mają pojęcia, co się dzieje, ale to nieprawda. Słyszałam każde słowo wypowiedane w naszym domu, ponieważ babka przemawiała niewiarygodnie donośnym głosem. Kiedy się denerwowała albo wybuchała grzmiącym śmiechem, psy w okolicy zaczynały wyć. Wcale nie żartuję, wyły. Nie chodziło o to, że chciałam podsłuchiwać, ale tego hałasu nie sposób było nie słyszeć. Może i rodzina mamy nie pochodziła wprost z amerykańskiego snu, jak rodzina babki, ale mama była przecież królową piękności i mówiła jak normalny człowiek. A poza tym w sąsiedztwie nie było żadnego złota, nigdy go nie widziałam.

Istniała niewielka szansa, że mama nieżywa będzie tak wielka i

straszna, iż babka stanie się miłą. Na dzień serca wątpiłam w to. Naprawdę.

Przez całą noc słyszałam, jak dorośli omawiają przygotowania do pogrzebu. Czyściłam zęby w łazience nową szczoteczką, która była dla mnie za wielka. Postanowiłam, że najlepiej zrobię, jeśli odizoluję się od tego tłumu, lecz drzwi były uchylone i wszystko słyszałam.

Zona pastora powiedziała, że kościół urządzi stypę. Ktoś inny miał wykonać wszystkie telefony w imieniu taty. Jego najlepszy przyjaciel, też lekarz, przyszedł z butelką w papierowej torbie dla niego oraz z lalką Barbie dla mnie. Nie miał pojęcia, co mi przynieść, uznał jednak, że Barbie może pocieszyć małą dziewczynkę. W końcu zaczęli mówić o mnie, o tym, kto będzie się mną opiekował popołudniami po szkole.

Z salonu dobiegł czyjś głos:

- No, możesz ją posłać do szkoły z internatem.

Nie wierzyłam własnym uszom. Stałam w nowej koszuli nocnej i nagle wszystkie tamy puściły, a z moich ust popłynęły strumieniem słowa, jakbym była Zaporą Hoovera, w której doszło do poważnego przecieku.

- Co się tu dzieje?! - wrzeszczałam. - O co chodzi? Nie wiecie, że jestem chora? Rzygałam dzisiaj! Nie chcę iść do szkoły z internatem! Mam tutaj szkołę i jutro do niej idę! Nawet nie odrobiłam lekcji!

Wszyscy umilkli i gapili się na mnie; uświadomili sobie, że ta tragedia była za wielka, bym umiała ją pojąć. Zawsze będę pamiętać ich twarze, zakłopotane i zmieszane, bo tej strasznej nocy zupełnie o mnie zapomnieli. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że na moich oczach wyniesiono mamę z domu. Panna Mavis miała rację. Nie było potrzeby, żebym patrzyła, jak mamę zamykają w plastikowym worku. Chciałam, żeby wszyscy ci ludzie natychmiast wyszli z domu.

Stałam tam, bosa, ze szczoteczką wystającą z ust, z rozczochranymi włosami i patrzyłam na nich, a oni na mnie. Byłam wściekła jak wszyscy diabli. Namawiali tatę do podejmowania różnych decyzji, ja zaś chciałam poczekać i porozmawiać o tym w cztery oczy, tak jak zawsze robiliśmy. A potem, jakby ktoś rzucił: Wykonać!, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, jeden do drugiego i do mnie.

Złotko, z praktycznego punktu widzenia pewne sprawy muszą być załatwione natychmiast. Trzeba podjąć jakiś plan, racja, doktorze? Słoneczko, wiemy, że kochasz wyspę. Wszystkie dzieci kochają tę wyspę. Nie martw się. Nie pójdziesz do szkoły z internatem. Och! Popatrz tylko na siebie! Oczywiście, przeżyłaś okropną, straszną stratę! To dla niej za wiele, doktorze! Powinna być w łóżku, doktorze. Już po dziesiątej, doktorze.

Tata przedarł się przez tłum i wziął mnie na ręce.

- Chodź, moja śliczna fasolko - powiedział znużonym głosem. - Tatuś położy cię do łóżka i opowie ci bajkę. Jutro nie pójdziesz do szkoły.

Ze względu na niego wysłuchałam cierpliwie jednej z tych starych, powtarzanych w kółko historyjek, lecz tamtej nocy wiedziałam, że jestem za duża na to, żeby kłaść mnie do łóżka. Czułam się mała i słaba, ale za skarby świata nie chciałam, żeby tata się o tym dowiedział. Poglądził mnie po plecach i wreszcie napomknął o paru sprawach, o których pragnęłam usłyszeć.

- Rano wrócimy do domu. Kocham cię, dziecinko, i nie chcę, żebyś się martwiła.

- Pomogę ci, tatusiu. Mam prawie jedenaście lat i umiem zrobić mnóstwo rzeczy. Mogę usmażyć jajecznicę, przecież wiesz.

W półmroku panującym w sypialni Merilee dojrzałam, jak się uśmiecha.

- Wiem, serduszko. Szybko dorastasz, ale zawsze, zawsze będziesz moją dziecinką. Nie zapominaj o tym. - Wstał i podszedł do okna.

- Tatusiu!

Nie odpowiedział.

- Tatusiu!

- Co, kochanie?

Odwrócił się w moją stronę. Może sprawiało to niebieskie światło i cienie nocy, ale wyglądał na śmiertelnie wyczerpanego. I starego.

- Co się stało? No, jak to się stało?

- Nie wiem... Naprawdę nie wiem - dodał. - Postaraj się teraz zasnąć, dobrze?

Pocałował mnie w czoło i wyszedł, nie domykając drzwi. Gdybym go potrzebowała, mogę zawołać, tak jak robiłam, kiedy byłam malutka i śniły mi się koszmary. Zawsze to tata przychodził mnie pocieszyć. W końcu był pediatrą i rozumiał dzieci. Większość ludzi - poza mną - nazywała go Doktorem. To sugerowało, że jest człowiekiem, który potrafi wszystko naprawić.

Tamtej nocy jednak sen nie chciał do mnie przyjść. I tata też nie przyszedł. Wolałam go kilka razy, ale na próżno. Pomimo późnej godziny drzwi domu panny Mavis ciągle otwierały się i zamykały, bo sąsiedzi przychodzili z wyrazami współczucia i ofertami pomocy. To było naprawdę bardzo miłe ze strony panny Mavis, że nas do siebie przyjęła, pragnęłam jednak, żeby wszystkie te donośne głosy wreszcie zamilkły. I dlaczego tatuś przynajmniej raz do mnie nie zajrzy?

A potem usłyszałam, jak Jackson, komendant policji, mówi:

- Przykro mi, doktorze Lutz. Byli razem w łóżku. Trzymamy faceta pod kluczem w Charlestonie. Wygląda na to, że podawał jej zabronioną substancję, azotan amylu, i serce nie wytrzymało. On straci licencję aptekarską i...

Byli w łóżku? Moja mama była w łóżku z tym mężczyzną? On podawał jej narkotyk? Choć byłam tylko dzieckiem, rozpieszczonym bachorem z Wyspy Palm, wiedziałam, co to znaczy. Moja mama była kurwą. Od tamtej chwili do końca życia - w to nie wątpiłam - będę nią pogardzać. Tak bardzo się wstydziłam, że chciałam umrzeć. A co najgorsze, gdzie jest mój tatuś, żeby powiedzieć mi, że wszystko będzie dobrze?

5. Żuję końce włosów

Maj 2002

Pomiędzy śmiercią mamy w 1975 roku a dniem dzisiejszym wydarzyło się w moim życiu tyle, że włosy stanęłyby ci dęba, jakby w nie piorun strzelił. To szczerą prawdą. Wyszłam za męża, urodziłam dziecko, rozwiodłam się, przeprowadziłam do taty, ukończyłam szkołę piękności, zostałam stylistką, wychowałam córkę Emily i po drodze nauczyłam się tyle, że głowa mi od tego wiruje jak kulka w dłoniach smarkacza z trzeciej klasy.

Mam kilka zalet: jak nikt znam się na ogrodnictwie i umiem gotować, złociutka, odprawiam wudu nad kurczakiem i wieprzowiną, gotuję smacznie i tanio, po domowemu. No, nie bój się, nie mam zamiaru zanudzać cię każdym szczegółem mojego życia. Chciałam tylko rozjaśnić najważniejsze sprawy. Rozjaśnić? Łapiesz, nie? Fryzjerski dowcip. Chryste, czasami fiksuję. Przepraszam, ryzyko zawodowe.

Gdzie to byłyśmy? Aha, już wiem. Dzień dzisiejszy. Jest coś, o czym wiem tylko ja i South Caroline Federal Bank. Na koncie oprocentowanym mam siedemdziesiąt cztery tysiące osiemset osiemdziesiąt trzy dolary, choć w dzisiejszych czasach trudno się chwalić odsetkami. Ale nie mam długów.

Nigdy nie sądziłam, że dożyję takiego dnia, a tu proszę. Tylko że istniała potężna przeszkoda, blokująca mi drogę do domu na plaży.

Tata.

Wiedziałałam, że powinnam się wyprowadzić, bo doprowadzał do szaleństwa ten mój południowokaroliński rozumek. Z drugiej zaś strony, bałam się odejść, ponieważ kiedyś tam, w którymś momencie, zapomniałam zacząć żyć.

Uwielbiam, gdy ludzie tak mówią. Zaczynij żyć. Co ten idiotyczny banał w ogóle znaczy? (Moim zdaniem, jeśli człowiek chce, żeby traktowano go poważnie, powinien unikać banałów jak zarazy). Jeden facet zajeżdża drugiemu drogę w korku. Ocknij się! Zaczynij żyć! Tak wrzeszczy ten drugi. Mój ojciec rok za rokiem spędza przed telewizorem. Zaczynij żyć! - myślę sobie. Nie uwierzyłabyś, ale to kretyńskie zaczynij żyć wreszcie do mnie dotarło. Wielkie dzięki. Za długo to trwało! Oczy mi się otworzyły po nadzwyczaj bezceremonialnym i okrutnym ciosie, który wymierzyli mi Jim i Frannie.

Jim mieszka w San Francisco, Frannie w Waszyngtonie. To moi najlepsi przyjaciele, odkąd tylko sięgam pamięcią. W zeszłym tygodniu podczas naszej comiesięcznej konferencji telefonicznej tak mi nawrzucałi, że miałam się z pyszna. Popęłniłam głupią, egoistyczną, drobną pomyłkę, o jeden raz za dużo narzekając na humory taty.

- Anno, dziewczyno! - powiedział Jim. - Frannie i ja nie mamy ochoty słuchać twoich narzekań na Doktora. Są jak stary, znoszony kostium z krempliny.

- Z marynarką w stylu safari - dodała Frannie. - Z watowanymi ramionami i patkami.

- No dobra! - odparłam. Zrozumiałe, że zaczęłam wycofywać się na pozycje obronne. Bo wiesz, jeśli nie mogę zwierzyć się z problemów najlepszym przyjacielom, to komu mam o nich powiedzieć?

- Daj spokój! To nic nowego.

- Jim ma rację, Anno - powiedziała Frannie. - O ile wiem, nie byłaś na randce od dwóch lat. A w kinie od kiedy? Czy ty w ogóle wiesz, kto to jest Cameron Diaz?

- Wiem, ale kogo to obchodzi?

- Posłuchaj, złotko - ciągnęła Frannie - i pamiętaj, mówię to z czystej sympatii, ale wydaje nam się, że po powrocie z pracy kręcisz się bez celu po podwórku, gotujesz obiad i idziesz spać, a następnego dnia to samo od nowa! Zachowujesz się, jakbyś miała sześćdziesiąt lat! Jak lubiła powtarzać moja stara kochana babcia z Waterford, musisz przewietrzyć dupę. Częściej się baw, przepraszam, w ogóle zaczynij się bawić, a wtedy tata nie będzie tak cię irytował. Ani nas!

- Anno! Musisz się wygrzebać z tej koleiny i nigdy więcej do niej nie wpadać!

Sapnęłam, wyrzucając wstęt do siebie i frustrację wywołaną słowami przyjaciół. A niech to piekło pochłonie. Nie znosiłam się mylić.

- No dobra, oboje macie rację! Oboje, wiem. - Żułam końce włosów,

okropne przyzwyczajenie, ale od wczesnego dzieciństwa przynosiło mi ulgę.

- To dobry początek. Chodzi tylko o to, że nie cierpię, kiedy taka jesteś. Frannie też nie. Do diabła, oboje cię kochamy!

- Słuchaj Jima. Musisz wyprowadzić się od taty, Anno, sama doskonale o tym wiesz. To nie jest naturalne, żeby nasze pokolenie przechodziło menopauzę pod dachem tatusia. Magnolia nie wygląda ładnie, kiedy wędnie na gałęzi w cieniu tatusia.

- Chryste! Menopauza! Akurat to musiałaś wybrać ze wszystkich odpychających i wstrętnych rzeczy! - To pewnie ten przysłowiowy kubek zimnej wody. Boże. Rzeczywistość naprawdę jest do dupy! Czasami. - Frannie? Dobra, masz rację. Wiem, że nie uwierzycie, ale szukam domu na Wyspie Palm. Poniekąd. - Co?

- Wreszcie! Wielki Boże, kobieto! - ucieszył się Jim. - Wielki Boże!

Prawie słyszałam, jak Jim usiadł prosto, a Frannie odetchnęła tak mocno, że mogłaby całą woskownię z mojego ucha wdmuchnąć prosto do mózgu.

- Tylko się upewnij, że masz pokój gościnny - powiedziała przeciągle Frannie. - Miło będzie popatrzeć na ocean.

- Marzenie ściętej głowy, ale tak, szukam. Może coś się znajdzie.

- Słodkie Majteczki, jeśli jakakolwiek kobieta zasługuje na dom na plaży, to właśnie ty!

Zachichotałam, kiedy Jim nazwał mnie Słodkimi Majteczkami. Powiedziałam im, że studiuje ogłoszenia i że zwróciłam się do agenta handlu nieruchomościami. Wszyscyśmy się zgodzili, że dom to sprawa podstawowa dla moich stosunków z Emily oraz mojego zdrowia psychicznego.

- Bóg jest dobry, Anno, ale tańczysz w małej łódeczce! A jeśli naprawdę coś znajdziesz? Stary Doktor będzie wył jak dziki zwierz przy pełni księżyca!

- No to będzie wył. W końcu na pewno coś znajdę, ale jak go o tym powiadomić?

- Dziewczyno, posłuchaj swojego byłego męża. Powiesz mu, że ja ci poradziłem tak zrobić i Frannie też.

- O, to rzeczywiście rozwiąże cały problem! Chciałabym, żeby rozwiązało, ale wiedzieliśmy, że tak

nie będzie. Tak, Jim to mój były mąż, niedługo do niego dojdziemy. Teraz wystarczy, jak powiem, że Jim był moją największą miłością, chociaż jego hormony miały inne plany wobec naszego małżeństwa.

Frannie z kolei to najważniejsza przyjaciółka w całym moim życiu. Gdyby nie ona, moja Emily uczyłaby się teraz w jakiejś podrzędnej szkole, a nie na Georgetown University. Frannie jest absolwentką tej uczelni i jedną z najbardziej wpływowych lobbistek w Waszyngtonie. Ruszyła do akcji i zaskarbiła sobie uznanie Emily. Frannie i Jim to zaangażowani bojownicy o prawa kobiet, wierzą, że każda powinna stać na własnych dwóch nogach. Uwielbiam ich oboje, odkąd umarła mama. Wtedy mnie uratowali, choć przypuszczałam, że byli już trochę zmęczeni tym ciągłym stawianiem mnie do pionu. Nie mogłam ich za to winić.

- Zrobię to - oznajmiłam. - Mam mnóstwo szmalu w banku, wystarczy na depozyt i wiem, że dostanę hipotekę. Do diabła, pracuję u Harriet już milion lat.

- Jeśli potrzebna ci pomoc, daj znać - powiedział Jim.

- Dzięki, serduszek, ale zamierzam sama sobie poradzić.

- Jednakże? - roześmiała się Frannie.

- Okay, będę się wściekała, jeżeli mi się nie uda, ale przysięgam na Boga, zrobię to.

- Dopilnuj tylko, żeby był tam pokój dla mnie. Rozpowiem po całym San Francisco, że mam dom na sławetnej Wyspie Palm.

- Z widokiem na ocean, proszę.

- Wszystko notuję - odparłam.

Tak to było. Wiedziałam, że czas niszczenia reputacji taty musi się skończyć albo stracę w ich oczach szacunek. Ta niewinna comiesięczna pogaduszka z Jimem i Frannie przepaliła do szczytu mój od dawna przeterminowany bezpiecznik. Wyłoniłam się jako kobieta z misją pirotechniczną.

Byłam jak przedsiębiorca pogrzebowy, codziennie czytałam ogłoszenia i nekrologi - z należyтым szacunkiem, to oczywiste. Wiadomo było powszechnie, że w taki to sposób „klasyczne domy” na Wyspie Palm wchodzą na rynek. Smutne: ktoś musi kopnąć w kalendarz.

Jeśli nieboszczyk miał ponad osiemdziesiątkę, istniała szansa, że jego potomstwo dorobiło się własnych nowiutkich domów z oknami Andersona oraz drzwiami Pella i teraz chciało jak najszybciej sprzedać rodzinną siedzibę. Tak właśnie kupowałam dom i powtarzałam sobie, że nie ma w tym nic przerażającego ani bezwzględności.

A utwierdzała mnie w tym przekonaniu Marilyn Davey, moja agentka. Dzwoniła, kiedy trafiała na coś mieszczącego się w zasięgu moich możliwości finansowych. Jechałyśmy na miejsce i naszym oczom ukazywał się następujący widok: sprzedający ściskali dłonie kupującym.

Tak było za każdym razem.

- Cholera!

Widziałam, jak miele pod nosem przekleństwa za kierownicą swojego granatowego bmw. Kiedy wysiądzie z auta, będzie mnie przepraszać.

- Nie ma sprawy - odpowiadałam. - Odpowiedni dom sam mnie znajdzie we właściwym czasie.

Najwyraźniej sporo ludzi miało takie same zamiary jak ja, mimo to nie traciłam nadziei. Podliczywszy swoje szanse, doszłam do wniosku, że jestem następna w kolejce po międzygalaktyczny, wielowymiarowy, karmiczny akt boskiej sprawiedliwości i otrzymam - w najgorszym razie - należne mi miejsce na tej planecie. Daj mi tylko, Panie, ten cholerny dom, dobra? Choć nigdy nie twierdziłam, że coś się mi należy, tym razem w to uwierzyłam. W dzieciństwie byłam pozbawiona możliwości przebywania na Wyspie Palm, moja córka została zmuszona do mieszkania razem z dziadkiem, wszyscy dość się namęczyliśmy.

Nie chciałam wielkiej wspaniałej rezydencji nad oceanem, przede wszystkim dlatego, że nie było mnie na nią stać. Może los dorzuci splendor w późniejszym okresie. Byłabym w siódmym niebie, gdyby udało mi się nabyć dom za rozsądną cenę.

I wreszcie cudowna wiadomość! Pan Randolph Simmons, mieszkaniec Wyspy Palm, lat osiemdziesiąt osiem, w zeszłym tygodniu podczas rodzinnego grilla udławił się kawałkiem wieprzowiny i oddał ducha Bogu. Jego dzieci, które w tym czasie grały w piłkę, myślały, że to atak serca. Kiedy później uświadomiły sobie, że odpowiednia pomoc mogła uratować mu życie, były załamane, zawstydzone i pełne żalu. Kiedy usłyszałam nowinę w salonie, uznałam to za znak od Boga. W tym samym czasie Marilyn dowiedziała się o wszystkim od jednego z potomków pana Simmonssa. Tanie domy pozostają na rynku przez jakieś dwie sekundy, ponieważ informacje o nich rozchodzą się szybciej niż karaluchy po zapaleniu światła. A dziwnym zbiegiem okoliczności dom Simmonssa oddalony był o kilka domów od tego, w którym mieszkałam jako dziecko. Złożyłam ofertę i uścisnęłam dłonie. Marilyn i ja obejmowałyśmy się i piszczały jak nastolatki.

Teraz muszę powiedzieć tacie. Pociłam się całą drogę do domu.

Najpierw zadzwoniłam do moich przewodników duchowych, by dodali mi odwagi. Zamknęłam się w pokoju i wykręciłam numery.

- Jim? Poczekaj chwilę, zadzwonię do Frannie.

- Hej!

- Hej, Frannie! - powiedział Jim. - Dobra, aniele, wykrztuś to

wreszcie! Popijam merlota, a wszyscy wiemy, że kalifornijskie wina nie wystarczają na długo!

- Tak - odezwała się Frannie. - Miałam właśnie wychodzić. Jem obiad na Kapitolu z żartownisiami z Merrill Lynch.

- Dobra. Mam ważne wiadomości - oznajmiłam.

- Doktor sam sobie znalazł żonę}

- Wykluczone - zaprzeczyła Frannie. - To by podkopało jego szanse na męczeństwo.

Zachichotałam.

- Nie, tata nie znalazł jeszcze panienki, a za to ja znalazłam sobie dom!

Rozległy się radosne okrzyki.

- To wspaniale!

- Mów, ale szybko! Mam dwie sekundy, jutro zadzwonię i opowiesz mi wszystko szczegółowo.

- No, mówiłam wam, że szukam, nie? To nie żaden pałac, dom jest mały, ale mnie na niego stać. Pomożecie mi doprowadzić go do jakiego takiego wyglądu?

- Jasna sprawa. Mam tyle rzeczy na składzie, że byś nie uwierzyła - zapewnił Jim. - Nad samą wodą?

- Oszalałeś? Stoi o dwa domy od ścieżki na plażę, tej przez Dzikie Wydmy. I ma wielkie podwórko, więc będę mogła go rozbudować. No i jest jeszcze pewien drażliwy aspekt. - Portfel Jima mieszkał w innym świecie niż mój, nie wątpiłam, że to, co Jim ma w składziku, jest lepsze od tego, na co mogłabym sobie pozwolić.

- Niech zgadnę - zaryzykowała Frannie. - Doktor popełni samobójstwo?

- No właśnie.

- Cholera - mruknął Jim.

- Jak powinnam mu to powiedzieć?

Oboje przez chwilę milczeli. Pierwsza odezwała się Frannie:

- On zrozumie, Anno. Jestem tego pewna.

- Anno, nie owijaj w bawełnę, ale bądź miła. Stary Douglas cię uwielbia, wiemy o tym. Chryste, przecież nie planujesz przeprowadzki do Patagonii ani nic w tym rodzaju.

- Masz rację. Dobra, powiem mu. Zadzwonię do was jutro.

- Bez nas byś umarła - podsumował Jim, Frannie zaś dodała:

- Jeśli będzie robił trudności, jutro około dziesiątej będę w domu.

- Dziękuję wam. Kocham was do szaleństwa! Na dworze było jeszcze

jasno, postanowiłam więc do

powrotu taty zająć się pieleniem grządek i wyrywaniem zeschłych kwiatów. Ogrodnictwo to dla mnie coś w rodzaju medytacji. Rozmawiam z naturą i zawsze uzyskuję odpowiedzi na pytania. Teraz potrzebowałam właściwych słów. Po pierwsze, zajrzałam do potrawki z kurczaka, którą rano ugotowałam - po podgrzaniu pachniała wspaniale. Była gęsta i pożywna. Kiedy uniosłam pokrywkę, całą kuchnię wypełnił aromat cebuli i selera. To starego Douglasa wprowadzi w dobry nastrój. Wybrałam kawałek grzybka, podmuchałam na niego i wrzuciłam do ust.

- Do diabła, złotko - powiedziałam do siebie głośno - nie jesteś zbyt wyrafinowana, ale na pewno wiesz, jak zarzucić sidła na ptaszka!

Przesadzałam z tym doskonałym humorem i tłumiałam zdenerwowanie. W końcu wyszłam na dwór i zaczęłam wyrywać trawę, która wkradła się pomiędzy azalie. Na podwórko wjechał samochód taty. Serce przestało mi bić, wiedziałam, że chwila prawdy jest bliska, jak zawsze powtarzał ojciec, kiedy miał obejrzeć moją cenzurkę. Ściąłam garść bazylii do sałatki z pomidorów i trochę pietruszki do udekorowania potrawki. Z wymuszonym uśmiechem podeszłam, żeby się przywitać z tatą.

- Cześć! Jak ci minął dzień?

- Cześć, serduszek! Zobaczmy. - Tata z tyłu swojego szacownego buicka wyciągnął zniszczoną torbę lekarską. - Trzy przypadki zatrucia pokarmowego, cztery zapalenia ucha, mnóstwo szczepień i jeden wyrostek robaczkowy. W sumie dzień jak co dzień.

Nic nie spostrzegł. Dobrze.

Poszłam za nim do domu. Nakrywałam do stołu, podczas gdy on przeglądał pocztę. Odprawiał swój codzienny rytuał, mówiąc te same rzeczy po raz milionowy z rzędu. To dziwne. Słowa, które tak mnie irytowały, teraz wydawały mi się przyprószone melancholią. Uświadomiłam sobie, że może nadejść dzień, kiedy zateśknę, by znowu powiedział: „Chciałbym mieć pieniądze wydawane na produkcję tych śmieci z poczty, które codziennie wyrzucam. Mamy piwo?”

- Chciałbym mieć pieniądze wydawane na produkcję tych śmieci z poczty, które codziennie wyrzucam. Mamy piwo?

Otworzyłam lodówkę i po chwili grzebania znalazłam corone light. Ja piłam corone, tata becka. Zaraz powie: „Hm, piwo dla dziewczyn”.

- Muszę się wybrać do sklepu - powiedziałam. Teraz zapyta, o której kolacja.

- Hm, piwo dla dziewczyn. O której kolacja?

I co przed chwilą mówiłam? Rozumiesz, o co mi chodzi? Miłe, ale irytujące. Może upłynie sporo czasu, nim poczuję, że brakuje mi tej błyskotliwej wymiany zdań.

Podaliśmy potrawkę z kurczaka na grzankach i zabraliśmy się do jedzenia. Teraz tata zapyta mnie o mój dzień.

- Jak ci minął dzień? To jest pyszne, Anno.

- Dzięki. Jak zwykle męczyłam się z Harriet i plotkowałam z klientkami. Wiedziałaś, że Alex Sanders zrezygnował z pracy w college'u w Charlestonie? Słyszałam, że kandyduje do senatu na fotel Thurmonda.

- Osobiście bardzo lubię Aleksa Sandersa. Ale póki od oddechu Thurmonda lusterko zachodzi mgłą, ten fotel należy do niego.

Strom Thurmond był senatorem, nim wszyscyśmy się urodzili, miał sto lat i wydawało się, że będzie żył wiecznie. Ludzie głosowali na niego, choć zasypiał na sesjach senatu. Tradycja. Tak skonstruowani są mieszkańcy Charlestonu. Nikogo nie obchodzi, że reszta kraju śmieje się w kułak. A co tamci, do diabła, wiedzą? Nic, kompletnie nic o sprawach, które liczą się dla nas, to pewne.

- Myślę, że Sanders może wygrać. - Nie byłam specjalnie przekonana, ale powiedziałam tak z kilku powodów. Po pierwsze, uważałam, że Alex Sanders jest wspaniały, i to nie tylko jako dyrektor college'u; miał doskonałe maniery i można było na nim polegać, a to towar rzadki w Waszyngtonie. Po drugie, miałam ochotę na zmiany. Wreszcie zaś wykorzystywałam tę drobną pogawędkę na tematy polityczne jako sondę, bo chciałam się przekonać, jak mam przekazać tacie ważniejszą wiadomość. - No, przynajmniej chciałabym, żeby wygrał.

- Kto wie? Osobiście uważam, że wygra ten, kto zbierze więcej pieniędzy, co jest chore, jak się nad tym zastanowić.

Przez chwilę milczeliśmy, potem tata zapytał:

- Co cię gryzie?

- Dlaczego pytasz?

- Anno, od małego dziecka żujesz końce włosów, kiedy coś cię gnębi.

Wiedziałałam, że im dłużej będę zwlekać, tym będzie to trudniejsze, chwyciłam więc byka za rogi.

- Dobra, mam ci coś do powiedzenia. Znalazłam dom na Wyspie Palm i zamierzam go kupić.

Tata usiadł prosto, patrząc na mnie tak, jakbym obwieściła, że Izraelczycy zawarli pokój z Palestyńczykami. Chyba mi nie uwierzył, więcej - na pewno mi nie uwierzył.

- Powtórz to jeszcze raz - poprosił, mierząc mnie badawczym

spojrzeniem.

- Znalazłam dom na Wyspie Palm i...

- Czyli dobrze słyszałem. - Otarł usta serwetką, nie spuszczać ze mnie spojrzenia. - Dlaczego? Nie musisz się stąd wyprowadzać, Anno. Sądziłem, że mamy całkiem dobry układ, ty i ja. Mogłaś zaoszczędzić, kupić sobie porządny samochód...

- Nie o to chodzi, tato. I wiesz o tym.

- Jak sobie poradzisz? Kto zajmie się ubezpieczeniem i innymi sprawami? Przecież tego nie znosisz. I kto będzie kosił trawę, co roku malował okna, wynosił śmieci i... - Urwał i wstał, kładąc serwetkę obok łyżki. - Dobrze. Rób, jak chcesz.

- Przykro mi, tato.

- Niech ci nie będzie przykro. Jesteś dorosłą kobietą. Wiedziałem, że któregoś dnia tak się stanie.

Wyszedł na podwórze, by popatrzeć na wody zatoki Charleston. Zawsze tak robił, kiedy miał zmartwienie. Wychodził i rozmyślał o tym, co go dręczy. Tym razem jednak było inaczej. Tata miał sześćdziesiąt siedem lat, zbliżał się do emerytury. Może niepokoił się, że będzie sam, gdy się zestarzeje i zachoruje. Wiedziałam, że to dla niego okropna, mroczna myśl. Ale jeśli chodzi o mnie, perspektywa, że całe życie spędzę pod dachem taty, była tak samo przerażająca. Czy to źle, że pragnęłam własnego kąta dla siebie i Emily?

Ze strony ojca nie mieliśmy żadnej rodziny, ja urodziłam tylko jedną córkę. Od początku zakładałam, że pójdzie do college'u, i nie było pewności, że tu wróci. Mimo to jednak bardzo pragnęłam, żeby miała własny dom, do którego mogłaby wrócić i zobaczyć, co osiągnęłam.

Chciałam tacie powiedzieć, że w moim domu będzie dla niego pokój, ale zdawałam sobie sprawę, że to tylko na nowo stałoby się przyczyną tych właśnie kłopotów, które skłoniły mnie do przeprowadzki. Czułam, że mam prawo żyć według własnych reguł, bez konieczności wysłuchiwania litanii moich wad z ust innej samotnej osoby. Tata nie umiał się powstrzymać. Blizny po emigracji oraz małżeństwie z moją matką uczyniły go kategorię, nadopiekuńczym, wścibskim, patriarchalnym i mściwym.

Zacząłam sprzątać ze stołu i płukać naczynia przed włożeniem ich do zmywarki. Wytarłam stół i blaty do czysta. Myślałam przy tym, ileż to razy sprzątałam w tym domu po posiłkach. Tak wiele wspomnień wywoływał już sam stół. Święto Dziękczynienia, tata kroi indyka, mnie kładzie na talerz kawałek piersi. Dni, na początku, z babką Violet i jej

polskimi specjałami, którymi próbowała nas utuczyć. Jeśli przystanę i wstrzymam oddech, będę niemal mogła zobaczyć nasze duchy, włącznie z moim, poruszające się, oddychające, rozmawiające. Ile lat spędziłam przy stole taty? Spaghetti na urodzinowe obiady Emily...

Zdmuchnij świece, Emily! Emily, w głowie mi się nie mieści, że masz już sześć lat! Emily w najlepszej sukience, miękkie dziecięce włosy wymykają się spod spinki i opadają na buzię, mruży oczy, wypowiadając w myślach życzenie, tata z aparatem, oboje cieszymy się jej podnieconymi piskami...

Chcesz wiedzieć, czego sobie życzyłam, mamó? Zawsze mnie o to pytała. Nie, dziecinko, jeśli mi powiesz, to się nie spełni. Zawsze sama piekłam ciasto - żółte, z kakaowym kremem i bananami, oblewane czekoladą. Emily wylizywała miskę z polewą i zadawała milion pytań. Czy Doktor mi coś kupi? Tak, kochanie. Czy zdjął kółka do ćwiczeń? Idź do garażu i zobacz. Czy tatuś zadzwoni? Tak, wieczorem. Czy coś mi przysłał? Pod moim łóżkiem jest wielkie pudło...

Niedługo skończą się wszystkie te okazje, które odmierzały nasze życie przy tym stole. Tata zostanie sam, kiedy się wyprowadzę.

Podeszłam do okna i popatrzyłam na niego. Ręce miał wepchnięte głęboko w kieszenie.

Stał przy starym molo, obserwując zachodzące słońce. Plecy mu się jakoś zgarbiły, cała jego postawa świadczyła o fatalnym nastroju. Fakt, że przygnębiła go sprawa, która we mnie budziła podniecenie, zepsuł mi kompletnie humor. Nie chciałam, żeby tata czuł się samotny. Choć był przesadnym pedantem i wszystko musiał mieć na swoim miejscu, to przecież kochałam go głęboko. Przyrzekłam sobie, że często będę go zapraszała na obiad albo przywoziła mu jedzenie, że będziemy razem gotować. Znałam serce mojego taty i potrafiłam niemal czytać w jego myślach. Jeśli się wyprowadzę, co on ze sobą pocznie?

Zawiązałam worek ze śmieciami i wyniosłam do pojemnika na dworze. Firma Mount Pleasant jutro go opróżni. Przed oczyma mignął mi obraz, jak ściagałam śmieciarkę na rowerze, bo babka wyrzuciła moje lalki Barbie, żeby mnie za coś ukarać. Chyba za pyskowanie. Śmieciarz oddał mi lalki i poradził, żebym je dobrze schowała. Babka była surowa i zimna. Nie lubię jej wspominać.

Kiedy wróciłam, tata siedział przed telewizorem i skakał po kanałach.

- Trzysta sześćdziesiąt kanałów i same bzdury. No, przynajmniej ze mną rozmawiał.

- Tak, same bzdury. Wyłączył telewizor i powiedział:

- Wiem, że pragniesz wrócić na wyspę. Zawsze o tym wiedziałem. Trudno mieszkać z tobą pod jednym dachem i nie wiedzieć, czego chcesz.

Tą uwagą dawał mi do zrozumienia, że mogę się odprężyć.

- Nie potrafię tylko znieść myśli, że będę tu sam - ciągnął. - Z drugiej strony, to całkiem naturalne, że chcesz żyć na własny rachunek, i nie chodzi tu tylko o wyspę, którą szermujesz wobec mnie nieustannie od śmierci twojej matki. Jednym słowem, pomogę ci, jeśli chcesz. To jedyne rozsądne wyjście. Jeśli potrzebna ci pomoc, możesz na mnie liczyć.

- Zanim pobiegnę do sklepu po skrzynkę becka, najpierw muszę cię uściskać! - Zarzuciłam mu ramiona na szyję. - Dzięki, tatusiu. Potrzebuję twojej pomocy, i to rozpaczliwie! I zawsze będę jej potrzebowała.

Uśmiechnął się i oboje odetchnęliśmy z ulgą. Ojciec udawał odwagę. Wiedziałam jednak: martwi się, czy czas jego przydatności nie minął. Świadomość, że tak właśnie jest, bywa gorsza od śmierci.

- Okay, dość już powiedzieliśmy. Idź po piwo. Masz pieniądze?

- Tak. Ja stawiam.

Zanim zwiędły wieńce pogrzebowe biednego pana Simmons, wysechł atrament na umowie o kredyt hipoteczny. Larry Dodds, kuzyn Marilyn, dopełnił ostatnich formalności, po czym oboje zabrali rozdrażnionego tatę i mnie, która prawie kwitowałam z podniecenia, do restauracji Station Twenty Two na najlepsze krewetki i kaszę kukurydzianą, jakie kiedykolwiek w życiu jadłam. Byłam uszczęśliwiona. Marshall Stith, burmistrz Wyspy Sullivana i właściciel restauracji, przystanął przy naszym stoliku.

- Co słyhać? Wszystko gra?

- Wspaniałe nowiny! - odparłam. - Kupiłam dzisiaj dom na Wyspie Palm i teraz to oblewamy!

- Zawsze powiadam, Wyspa Palm jest najlepsza zaraz po Wyspie Sullivana!

- Nie bierz tego poważnie - wtrąciła ze śmiechem Marilyn. - W końcu to burmistrz!

Zanim umarła mama i zamieszkała z nami babka, która zniszczyła do cna resztę mojego dzieciństwa, zmuszając mnie do marzeń o długiej śmiertelnej chorobie (mojej lub jej)... cóż, możesz mi wierzyć, możesz nie wierzyć, ale z czasów sprzed tej katastrofy zachowałam wiele pięknych wspomnień.

Przed pojawieniem się firm budowlanych Wyspa Palm pełna była tajemnic. Istniały tam nietknięte, dziewicze plaże, większe niż domy wydmy, zdające się ciągnąć w nieskończoność krętym labiryntem.

Stawałam na pustej plaży i krzyczałam przez ogromny Atlantyk wprost do Londynu. To były takie plaże, na których można znaleźć dzina w butelce, a w najgorszym razie wiadomość. Czasami tylko moje stopy pozostawiały ślady na piasku.

W tamtym czasie mamę, młodą i piękną, tata bardzo kochał, a ja byłam jego oczkiem w głowie. Mama stanowiła wielką wygraną taty, mając nas obie przy boku, zostawił za sobą koszmar wojny i emigracji. A chociaż mama nie zawsze była szczęśliwa w swojej roli, mogłam z tym żyć. Aż do dnia, gdy przyjechała babka.

Wówczas wszystko - wojenne blizny, desperackie dążenie do zapewnienia sobie bezpiecznej przyszłości - wróciło z głośnym wrzaskiem i niczym czołgi Hitlera potoczyło się po Palm Boulevard w stronę mojego domu.

3. Violet

Nazajutrz po śmierci mamy, spełniając swą groźną obietnicę, przybyła stara dobra babka Violet z koszykiem brzoskwiń i energią stu mężczyzn, gotowa zapanować nad sytuacją, w tym i nade mną.

W ludzkiej pamięci pewne wydarzenia wypalone są na trwałe, jak film wideo, na przykład lądowanie człowieka na Księżycu i przybycie babki Violet. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy postawiła stopę na naszym podwórku. Siedziałam na frontowej werandzie i zbijałam baki na starej huśtawce. Zajmowałam się zdzieraniem farby paznokciem. Byłam pogrążona w smutku.

Mimo młodego wieku uświadamiałam sobie ów trzymany w sekrecie i głośno negowany fakt, że mama darzyła minimalnym uczuciem mnie i tatę. Nie nazwałabyś tego miłością. A co gorsza, nie potrafiła nic na to poradzić. Doszłam już do wniosku, że po prostu nienawidziła małżeństwa i bycia matką. Musiała tak czuć, ponieważ nigdy nie okazywała entuzjazmu dla moich dokonań. I to nie moje straszliwe wady spowodowały, że nie mogła mnie pokochać; to samo dotyczyło zresztą taty. Rzecz w tym, że nie było w niej miłości. Jak tata mówił o pomarańczach w lipcu: „bez soku”. Mama nie miała soku.

Tak więc kiedy przyjechała babka, starałam się pojąć, dlaczego w ciągu jednego dnia moje życie tak straszliwie się odmieniło, i z całego serca pragnęłam, żeby panna Angel pracowała u nas, a nie u panny Mavis.

Samochód babki, ogromny biały cadillac, skręcił na podjazd, wzbijając tuman kurzu, i gwałtownie zahamował. Ciemna chmura przez kilka minut wisiała w powietrzu, co pewnie uznałabym za znak, gdybym odznaczała się choć szczyptą intuicji. Kiedy kurz opadł, zobaczyłam, że

tylne siedzenie załadowane jest po dach. Babka wysiadła, przeciągnęła się z rękami założonymi za plecy i spojrzała na dom z miną, która mówiła jasno: „Wreszcie zajmę należną mi od dawna pozycję głównego kata”.

Wszystkie włoski na moim ciele stanęły dęba. Nie byłam pewna czemu, ale wiedziałam, że znalazłam się po uszy w gównie; to chyba wtedy po raz pierwszy w ogóle użyłam tego słowa. Szczerze mówiąc, nie ma w języku odpowiedniejszego określenia.

Wróg zbliżył się i warknął:

- Nie siedź jak kornik na drzewie! Chodź tutaj! Daj słodkiego i pomóż rozładować samochód!

Danie słodkiego nie oznaczało przyniesienia cukiernicy. Miałam ucałować jej policzek, a potem zostać mułem roboczym. Co gorsza, mimo lat spędzonych w Stanach, babka wciąż nie widziała potrzeby używania przedimków. Szyk zdań i wschodnioeuropejski akcent przypominały te okropne niemieckie wojenne sitcomy, pokazywane w telewizji o drugiej w nocy. „Chciałbym przedstawić moją babkę, pułkowniku Klink”. Nie mogąc uciec ani nie mając wyboru, zeskoczyłam z huśtawki i dla własnego dobra udałam gotowość do pomocy.

- Babciu, czy mogę ci pomóc?

Z doświadczenia wiedziałam już, że upór może przynieść różne skutki, poczynawszy od ostrych słów, skończywszy na smagnięciu po łydkach.

- Ależ oczywiście, młoda damo.

Ta kobieta musiała pochodzić od kruków, sądząc po jej okropnym głosie.

Zgięłam się pod ciężarem kartonowego pudła, umieszczonego na moich plecach, i z trudem doczłapałam do werandy. Babka wyminęła mnie z walizkami w obu rękach, otworzyła drzwi i przytrzymała je stopą, bym mogła przejść, po czym zawołała ojca. Nic dziwnego, że dziadek zmarł przed nią. Mądry wybór. Naprawdę, wyjątkowo roztropny.

- Douglass! Gdzieeee jeeesteeeś?

- Próbuje się zdrzemnąć - wyjaśniłam, upuszczając pudło na podłogę i zaraz wybiegając po kolejną partię bagażu. Byłam niegrzeczna i w ogóle mnie to nie obchodziło.

Usłyszałam, jak babka syczy za mną coś w rodzaju: „Co za impertynencja!”, ale się nie zatrzymałam. Naprawdę myślałam, że powinna zostawić tatę w spokoju. Jednakże Violet nie miała zamiaru nikogo zostawić w spokoju.

Wróciłam z drugim pudłem. Tata zszedł z góry; cmoknął z obowiązku

starą wiedźmę, a ona, niech Pan ma nas w opiece, wybuchnęła płaczem, obejmując tatę za szyję. Nie przypuszczałam, że ta stara pomarszczona czarownica ma w ogóle w sobie jakąś wodę.

- Wszystko w porządku, mamó - powiedział tata. - Oboje z Anną dobrze się czujemy. To tylko szok. Naprawdę wszystko w porządku.

- W porządku? Jak to możliwe? Mary Beth jeszcze nie ostygła. Pokaż no się. Och, mój biedny chłopcze!

Kompletnie ignorując mnie i stan, w jakim się znajdowałam, doszła chyba do wniosku, że z tatą rzeczywiście wszystko w porządku, bo zebrała się w sobie i zapytała:

- Gdzie mam położyć moje rzeczy? Pokaż.

Tata poszedł pierwszy, ja za nimi; pułapka zamknęła się na dobre.

Nasz dom nie był pałacem, ale miał znośny wygląd i sensowny rozkład. Zbudowany na palach, z frontową werandą dla ochrony przed wiatrami, stanowił typowy przykład miejscowej architektury. Było co najmniej sto innych domów takich jak nasz. Przez frontowe drzwi wchodziło się do holu z klatką schodową, a idąc dalej prosto, trafiało się do jadalni. Po prawej znajdował się salon, za nim kuchnia i gabinet, po lewej dwie sypialnie i łazienka. Na piętrze były jeszcze dwie sypialnie i druga łazienka. I to wszystko.

Tata mruknął, że babka zamieszka chyba w tych dwóch pokojach na parterze.

- Jak długo u nas zostanie, tato?

- Jak długo będzie chciała, słoneczko.

Do diabła, pomyślałam, to koniec. Moje życie się skończyło, już po mnie.

- Potrzebuję lamp, synu - oznajmiła babka. - Od górnych światel dostaję migreny.

- Dobrze, to się da zrobić - odparł tata.

Prychnęła pogardliwie na widok tapety, bo była wyblakła od słońca i brzydka, nawet ja musiałam to przyznać. Ostentacyjnie pociągała nosem, otwierając zatechłe szafy, i krzywiła się na zniszczoną podłogę. Mama istotnie nie należała do najlepszych gospodyń w świecie. Babka w dalszym ciągu prowadziła szczegółową inspekcję pomieszczeń, doprowadzając się prawie do ataku alergii.

- Chcesz chusteczkę? - zapytałam, przewracając oczami.

Zobaczyła mnie.

- Douglas, powiesz Annie, żeby nie pyskowała babce?

Tata spojrzał na mnie tak, jak nigdy dotąd. Twarz miał zimną jak lód i

z tego jednego spojrzenia zrozumiałam, że oddał całą władzę swojej matce. Stała się murem berlińskim, odgradzającym ojca od córki.

- Anno, może przyniesiesz babci zimną coca - colę? - zwrócił się do mnie tata.

- Och, nie trzeba, synu - odparła babka z najbardziej nieznacznym z zadowolonych uśmiezków. - Myślę, że jak się postaramy, doprowadzimy ten dom do ładu. Zajmę się tym. Ludzie przyjdą tu z pogrzebu. Jak to wszystko planujesz?

Pogrzeb! Wielki Boże! Nie chciałam nawet o tym myśleć. Nie poruszaj tego tematu, błagam! Nie wspominaj o tym w mojej obecności!

Pobiegłam na górę do mojego pokoju. Pragnęłam, żeby życie jak najszybciej wróciło do normy, a rozmowa o planach pogrzebowych nie była normalna. Nie chciałam tego słuchać i nie chciałam też brać udziału w pogrzebie. Straciłam matkę. Czy to nie wystarczy?

Nie minęło wiele czasu, gdy w drzwiach zobaczyłam babkę.

- Co ty wyprawiasz? Czemu tu nie posprzątasz?

- Nie cierpię swojego pokoju - odparłam. - Jest brzydki.

Babka zlustrowała wzrokiem moje wąskie łóżko, turkusowe ściany i zasłony w kwiatki i nie zaprzeczyła.

- Ciesz się, panienko, że masz łóżko do spania - oświadczyła. - Mnóstwo dzieci na świecie śpi na twardej zimnej ziemi i na obiad je surową rzepę. Twój tata spał w pudle po jabłkach.

- W skrzyni. - Właściwie nie chciałam jej poprawiać. Słowo samo wymknęło mi się z ust.

- Tak, w skrzyni - powtórzyła babka.

Zerknęłam na nią. Mało brakowało, aby rozpoczęła kolejną opowieść o swych cierpieniach. Zacisnęłam gniewnie szczęki, dając w ten sposób sygnał, by się nie odzywała. Czy ona nie wie, jak się czuję? Nie, babka Violet nie była gejzerem ciepłych leczniczych wód dla mnie, swojej jedynej wnuczki. Ani dla kogokolwiek innego. Co prawda zrezygnowała z wykładu, za to przez resztę dnia przy każdej nadarzającej się okazji mruzczała, jak bardzo ją przeraża moje podobieństwo do mamy. Jej myśli snuły się w każdym pokoju niczym wstrętne opary, wydzielające się przy zaparzaniu trujących ziół.

- Na Boga, mówię ci, Douglasie, ona wygląda jak skóra zdjęta z Mary Beth - oznajmiła babka. - Lepiej coś zrób, bo skończy tak jak ona!

Według niej byłam winna jakiegoś genetycznego grzechu, niczym dziecko Ewy. Od samego początku wiedziałam, że mądrze zrobię, schodząc babce z drogi. Z drugiej strony, muszę przyznać, że pomimo

złego nastroju, związanego z jej przyjazdem, ucieszyło mnie stwierdzenie, iż jestem podobna do mamy. Nikt nigdy mi tego nie mówił, uznałam, że to wspaniała nowina. W ustach babki jednak w żadnym razie nie był to komplement.

Właśnie dzięki swej urodzie mama poznała i oczarowała tatę. Zostali sobie przedstawieni na Święcie Wody w Beaufort i zaczęli się spotykać. Była, zdaje się, wicemiss i tatę zaproszono na przyjęcie na dworze królowej piękności. Chociaż był sporo od niej starszy, zakochali się w sobie. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby przypominać tacie mamę. Kochał ją jak szalony, mimo że ona tego uczucia nie odwzajemniała. Widzisz, urodziłam się w Krainie Królowych Piękności. Było Święto Brzoskwiń, Święto Melonów i święto każdej innej uprawy, włączając w to azalie. Podczas wszystkich tych świąt odbywały się parady, przyjęcia, wybory królowych i dworu. Piękno było wysoko cenione przez większość dorosłych, których znałam, niezależnie od tego, czy dotyczyło podwórek, psów czy córek. Jeśli chodzi o córki, oczekiwano, że w najgorszym razie będą dobrze wychowane i skromne, pozbawione wszelkiej próżności. Mama i ja podzieliłyśmy się tak: ja byłam dobrze wychowana, ona próżna. Dość wcześnie postanowiłam, że nigdy nie stanę się próżna, ponieważ w moim młodym umyśle łączyło się to jakoś ze zbytnim egocentryzmem, który prowadził do tego, że kochało się siebie zbyt mocno i niewiele miłości pozostawało dla innych. Nie byłam głupia, byłam odrzucona.

Niestety, musiałam stawić czoło sytuacji: następnego dnia miał się odbyć pogrzeb mamy. Pamiętam tylko, że poszłam i że w kościele było gorąco i tłoczno. Nie uroniłam ani jednej łzy, póki nie znaleźliśmy się na cmentarzu. Tam zanosilałam się szlochem jak małe dziecko. Kiedy ujrzałam drewniane pudło spuszczone do dołu, zaczęłam krzyczeć.

- Mamo! Mamo! Nie! Mamo, proszę, nie!

Byłam przerażona, straciłam panowanie nad sobą. Co mi po matce, której pragnę i potrzebuję, jeśli jest martwa? Po raz pierwszy w życiu ogarnęła mnie beznadzieja.

Tata, nawet babka obejmowali mnie i przytulali tak mocno, że wydawało mi się, że zaraz zemdleję. Prawda chyba wreszcie do mnie dotarła, a ja w żaden sposób nie potrafiłam powstrzymać paniki. Ludzie mówili:

- Tak nam przykro. Jeśli możemy jakoś pomóc... Będziemy się za was modlić.

Ja tylko płakałam i płakałam.

- To straszne. - Po pokrytej zmarszczkami twarzy babki Violet toczyły

się łyzy. - Straszne, okropne.

Podawała mi chusteczkę, a mnie przez głowę przemknęły dwie myśli. Jedna, że jej dłoń jest jak łapa gada, druga, że chusteczka pachnie lawendą. Ale był to jedyny raz, kiedy poczułam do niej sympatię.

Spojrzałam na tatę. Wydawał się załamany, nie potrafiłam znieść jego żalu. Wtedy właśnie zrozumiałam, że namiętność może być śmiertelna. Jeśli kiedykolwiek popełnię ten błąd i poślubię niewłaściwą osobę, skończę w trumnie. Jeśli natomiast pozwolę sobie na namiętność, będę taka jak tata, pochylający się nad świeżym grobem. Miłość może zrujnować człowiekowi życie.

W końcu wróciliśmy do limuzyny i pojechaliśmy na stypę. Mama została pochowana, a ja miałam ochotę skopać komuś dupę. (Dupa. Brzydkie słowo numer cztery). Nie mogłam jednak tego zrobić. Gardło miałam wyschnięte i obolałe, pragnęłam tylko, żeby wróciły dni, nim rozpętało się to piekło. Wolałabym raczej mieć matkę, która mnie nie kocha, niż nie mieć żadnej. Chciałam wczłgać się do łóżka. Może to tylko długi, koszmarny sen. Jeśli zasnę i obudzę się, okaże się, że to wszystko nieprawda.

Ale nigdzie nie było spokoju. Choć stypa odbywała się w sali przy kościele, wydawało się, że każdy, kto w niej uczestniczył, przyszedł za nami do domu. Nieczęsto się zdarza, żeby umierała młoda kobieta. Wszyscy dokładali starań, by nas pocieszyć - przyjaciele, rodziny pacjentów taty. Pragnęli pomóc nam przetrwać najgorsze dni naszego życia.

Samochody stały przy ulicy i na całym podwórku. Dom pękał od ludzi, którzy przynieśli jedzenia chyba na miesiąc.

Sałatka z jajek, sałatka z tuńczyka, sałatka z kurczaka, przyprawione, choć bez majonezu, żeby dłużej zachowały świeżość, w plastikowych pojemnikach na kanapki. Pieczone szynki, makaron z serem, kurczak do zamrożenia, ciasto czekoladowe, skrzynki coca - coli i cały indyk z nadzieniem i sosem. Kulki serowe i kulki jajeczne w panierce z orzechów pekanowych, i czekolady z Russel Stover. Chciało mi się wymiotować na sam widok tego żarcia. Ktoś zajął się barem i zaczął serwować drinki. Dorośli zachowywali się, jakby byli na przyjęciu, rozpaczliwie smutnym przyjęciu, ale - według mnie - atmosfera zanadto przypominała sytuację czysto towarzyską.

Dzieci z sąsiedztwa, które znałam doskonale, ledwo się do mnie odzywały, dziwnie zażenowane; chyba nie wiedziały, co właściwie powiedzieć. Ja też nie miałam pojęcia, o czym mam z nimi rozmawiać.

Ogarnęła mnie nieprzeparła chęć, by udawać, że nic się nie stało, uciec i bawić się. Nie potrafiłam się jednak na to zdobyć, ponieważ wiedziałam, że takie zachowanie uznano by za niewłaściwe. Ale, z drugiej strony, czy to wszystko razem było inne? Staliśmy, ubrani jak do kościoła, od upału i zaduchu pot spływał nam po włosach i po ciele pod koszulami. W końcu zagadnął mnie Sparky Witte:

- Dobrze się czujesz?

- Chyba tak - odparłam.

Miałam wrażenie, że wszyscy znają okoliczności śmierci mojej matki, orientują się, co wtedy robiła. Chodzi mi o to, że strata każdego z rodziców sama w sobie jest oczywiście tragiczna, ale czy w takim przypadku ludzie powinni okazywać współczucie? Tak więc wszyscy zachowywali się niezręcznie, poza Lillian, która wiedziała, że jestem w strasznym stanie, i starała się uświadomić mi, że świat się jednak nie skończył.

- To najgorsza część, Anno. Pogrzeb jest zawsze najgorszy.

- Nie, nie o to chodzi. Okropne jest co innego. Nie rozumiesz? Ukradzono mi całe moje życie.

- Tak, ale przecież żyjesz i wszystko będzie dobrze. Przysięgam, że będzie. Mama mówi, że czas leczy rany. Ojej! Nigdy przedtem nie byłam na pogrzebie.

- Chcę wierzyć, że twoja mama ma rację, i że przez milion najbliższych lat nie będziemy musiały iść na żaden pogrzeb - odparłam. Nie byłam najlepszego zdania o mądrości jej mamy. Ale kto miał mnie pocieszać? Babka? - Pogrzeby są do dupy. - Mój język stawał się coraz gorszy.

- Jasne.

- Babka zostaje.

- O nie! Na zawsze?

- Na zawsze.

Spojrzałyśmy po sobie i westchnęłyśmy jak dwie staruszki.

Przez całe popołudnie babka Violet krzątała się w kuchni z panną Angel i panną Mavis, próbując zapamiętać, co kto przyniósł, i pilnując, żeby talerze na stole były pełne, tak by jak najwięcej jedzenia zniknęło.

Sprawianie, by rzeczy zniknęły, wydawało się dobrym pomysłem nawet dziecku w moim wieku. Ja także chciałam zniknąć, ale znalazłam się w pułapce. Przez całe popołudnie na mój widok dorośli przestawali rozmawiać, a ich szeptu zmieniały się w nieszczerą kondolencje. Wiedziałam przecież, że mówią o mamie, o tym, jaka z niej była dziwka.

Wówczas nie potrafiłam tego tak nazwać, wyraźnie jednak dostrzegałam wzór, w jaki układają się ich myśli. Mama umarła, bo była zła. Jeśli wyglądam jak mama, to niedobrze. Może ze mną też będzie coś nie tak, skoro jestem jej córką. Coś niedobrego może mi się pewnego dnia przydarzyć, ponieważ i ja jestem zła.

Zawędrowałam do kuchni. Angel kroїła pieczeń i pakowała do zamrożenia. Stałam dobrą chwilę, nim mnie zauważyła.

- Dobrze się czujesz, cukierczku?

- Chyba tak.

Przesunęła dłonią po moim policzku, uśmiechając się z wyrazem takiej miłości i zrozumienia, jakiego do tej pory u nikogo nie widziałam.

- Babka zostaje - szepnęłam do niej.

- To dobrze, dziecinko. Pozwól jej się kochać.

- Ona nie kocha nikogo ani niczego. Angel pokręciła głową.

- To nie w porządku. Powiedziałam to wcześniej i powtórzę. To nie w porządku.

Czasami, kiedy myślę o Angel, wydaje mi się, że tamta chwila i ten jej prosty gest pogładzenia mnie po policzku zbiegły się w czasie z faktem, iż po raz pierwszy pogodziłam się z rzeczywistością. Moje życie się nie skończyło, mamy tak. Moje zmieniło się w sposób niewyobrażalny, ale się nie skończyło.

W końcu jakoś się pozbieraliśmy. Życie odmierzane było ocenami z klasówek i świadectwami na koniec roku - stara Violet przypominała mi surowo, że dobre oceny to mój obowiązek i nie zasługują na nagrodę. Czekałam do obiadu, żeby najpierw pokazać je tacie. Łaknęłam pochwał.

- Anno, wspaniale - mówił. - Jestem z ciebie bardzo dumny, kochanie.

- Douglas! Nie możesz pozwolić, żeby Anna myślała, iż spodziewałaś się czegoś gorszego. Daj, niech zobaczą.

Ze sposobu, w jaki wyciągała swoją gadzią łapę, wynikało jasno, że oczekuje od taty, by natychmiast i bez sprzeciwu podał jej świadectwo. Tak też zrobił.

Dostałam A z angielskiego, historii i przyrody, B z zajęć plastycznych, a B minus z matematyki.

- I co w tym takiego wspaniałego? Świadectwo jest średnie, a bądź pewna, twój ojciec dobrze wie, że średnie to to samo co przeciętne. Jeśli chcesz całe życie być przeciętna, twoja sprawa. Ale nie ma powodów do świętowania, możesz mi wierzyć. Gdyby twój ojciec przyniósł takie świadectwo swojemu ojcu, dostałby lanie na goły tyłek. Cały problem z amerykańskimi dziećmi polega na tym, że nie mają pojęcia, co to walka o

przetrwanie. Są słabe.

- Może powinniśmy zrezygnować z telewizji, dopóki nie skończysz lektur przewidzianych na lato - włączył się tata. - Twoja babcia ma rację.

Odpowiedziałam milczeniem. Przy stole panowała cisza, nieznaczący, acz tryumfalny uśmiezek przemknął po twarzy babki. Kolejne zwycięstwo wroga.

Trudno mi było znaleźć spokój ducha przy negatywnym nastawieniu babki i upalnej pogodzie. Czerwiec i lipiec w tamtym roku były tak gorące, że człowiek przysięgał, iż świat zaraz spłonie. Staralam się pozwalać babce, żeby mnie kochała, Bóg wie, że potrzebowałam miłości. Jednakże jej letnie uczucie przybierało co najwyżej formę troski.

- Nie możesz sama pływać, Anno! To niebezpieczne!

- Dobrze, nie pójdę bez kolegów.

- Na jakiej będziesz głębokości? Ocean zmienia się z każdym przypiływem! Bądź ostrożna, bardzo cię proszę! Twój ojciec nie zniósłby, gdyby coś ci się stało!

I po raz pierwszy w życiu stałam się ostrożna, uważałam na to, gdzie pływam, gdzie się bawię, jak wysoko wspinam się na drzewa, jak mocno się opalam - i dzwoniłam, jeśli miałam się spóźnić. Babka zawsze wiedziała, gdzie jestem. Te małe ustępstwa były wyrazami mojego szacunku dla niej, jej troska była jedyną formą miłości, jaką potrafiła okazać. Nie było to nadzwyczajne, ale dało się znieść.

Staralam się być szczególnie miła wobec zamkniętego w sobie taty i modliłam się, żeby wrócił mu dobry nastrój. Zastanawiałam się, co by było, gdybym jego też straciła. Ja stałam się mniej hałaśliwa, tata bardziej odległy, przypuszczalnie miał nadzieję, że jego matka wypełni lukę. Nosił żalobę po mamie i rozumiałam go, choć wcale mi się to nie podobało. Znajdowałam go śpiącego w hamaku albo na sofie. Spał przez cały czas. Rozmowy przy obiedzie przerywały okresy milczenia i głębokie westchnienia taty i babki. Częściowo brałam udział w ich dramacie, jednakże dziecięca część mej natury łaknęła działania, ruchu.

Nie dbając o konsekwencje, przebiegałam pod zraszczem u sąsiada i moczyłam sobie ubranie. W końcu było okropnie gorąco, rosa wczesnym rankiem momentalnie parowała. Babka zawsze kazała mi zostawać na ganku, póki nie wyschnę. Całkiem mi to odpowiadało.

Pewnego dnia, gdy słupek rtęci przekroczył sto stopni Fahrenheita, Lillian i ja próbowałyśmy usmażyć jajka na chodniku. W rezultacie tylko je rozpaprałyśmy, przez co obie musiałyśmy wysłuchać kazania o grzechu marnotrawstwa, sama wiesz od kogo. W końcu wykombinowałam, że

najlepszym sposobem na poradzenie sobie z Violet jest robienie tego, czego ona chce. Kiedy warknięciem przekazywała rozkaz, poruszałam się tak szybko, jak potrafiłam; poza tym usiłowałam schodzić jej z drogi. W taki to sposób zapanowały w naszym domu nowy porządek i coś na kształt świętego spokoju. Babka Violet była jednoosobowym posterunkiem policji. Tata przypominał zombi. Ja zachowywałam się poprawnie - w granicach rozsądku.

Zycie było niemal do zniesienia, aż do dnia, gdy babka obwieściła, że - jej zdaniem - powinniśmy się przenieść do Mount Pleasant, co oznaczało, że decyzja już zapadła. Czuła się poniżana przez sąsiadów z powodu mojej skandalicznej matki. Nie podobało jej się też, że biegam po okolicy bez nadzoru, choć starałam się spełniać jej żądanie, bym informowała o swoich poczynaniach. Bardzo żałowała, że mama nigdy nie przeszła na katolicyzm, choć przecież zgodziła się, żeby mnie w tej wierze wychować; sama do kościoła chodziła tylko w Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Pewnego wieczoru na początku sierpnia leżałam w łóżku, wstrzymując oddech, i słuchałam, jak babka podejmuje decyzje w sprawie mojej przyszłości.

- Mówię ci, Douglas, nie będę dłużej spokojnie patrzyła, jak wychowujesz to dziecko na poganę! Wyrośnie z niej rozpustnica, jeśli czegoś nie zrobimy. Potrzeba jej porządku, dyscypliny, tradycji religijnej i szansy, by zostawić za sobą tę brudną, ponurą przeszłość.

- Daj spokój. Nie byłbym pewien, czy rzeczywiście jest aż tak źle - usłyszałam głos taty.

- W takim razie dobrze. Skoro uważasz, że nie potrzebujesz moich rad...

- W porządku, mamó. Cokolwiek zrobisz, zgodzę się. W jego głosie była tylko obojętność. W ciągu kilku dni babka sprzedała nasz dom, zorganizowała przeprowadzkę do Mount Pleasant, a szesnastego sierpnia stałam się nową uczennicą Szkoły Chrystusa Naszego Króla - Stella Maris.

Pierwszego dnia miałam ochotę tylko spluwać. Zamiast tego wkroczyłam na ową długą, cieszącą się złą sławą drogę przetrwania poprzez negację. Wobec osób posiadających władzę zachowywałam się jak dziecko niemal idealne, bo w ciągu lata spędzonego pod jednym dachem z babką nauczyłam się, że nie warto być sobą.

Przede wszystkim, z zapalem odniosłam się do katolicyzmu. Miłosierne siostrzyczki były zaszokowane mrocznymi i nader doczesnymi szczegółami mojego życia, gdyż każda gospodyni domowa na wschód od Cooper niemiłosiernie strzepiła sobie na nich język. Może się myliłam,

lecz uważałam, że nasze problemy stanowią żer dla plotkarzy wszelkiej maści.

Bóg wie, siostrzyczki niczego nie pragnęły bardziej niż wyrwać ze szponów Szatana zbłąkane dziecko, uratować jego nieśmiertelną duszę i zasłużyć sobie tym na miejsce w niebie w bliskości samej Najświętszej Panienki. Do pracy zabrały się rażno.

- Wyglądasz tak ładnie w swoim nowym mundurku - zauważyła pierwszego dnia siostra Rosaire.

- Dziękuję - odpowiedziałam, czując się jak kosmitka.

- Anno, dzieci w Stella Maris mówią: „Dziękuję, siostro”.

Zdecydowana zrobić dobre wrażenie, powtórzyłam:

- Dziękuję, siostro.

W duchu zaś dodałam: „Do diabła, gdzie ja jestem? Ty na pewno wyglądasz dziwnie w tym swoim stroju”. Niemal natychmiast pojęłam, że chodzi o to, by jak najrzadziej podpadać Siostron Orędowniczkom Dobrych Manier. To w połączeniu z nieustannym dialogiem wewnętrznym utrzyma moją prawdziwą naturę w bezpiecznej hibernacji. Któregoś dnia wyrwę się z tego domu obłąkanych. Jedynym miejscem gorszym od Stella Maris, jakie przychodziło mi na myśl, była jezuicka szkoła wojskowa z internatem.

Robienie kawałów w Stella Maris niewarte było burzy, jaka rozpętywała się nad głowami durniów, którzy obudzili do działania wewnętrzny system alarmowy aktualnej SD, czyli SIOSTRY DYŻURNEJ. Trzeciego dnia mojego pobytu w szkole miałam próbkę skuteczności owego systemu oraz sposobu, w jaki rozprawiano się z kawalarzami.

- Proszę o uwagę!

Głos siostry Jakiejś tam przy akompaniamencie trzasków zadudnił w głośniku. Przestaliśmy pracować, odłożyliśmy ołówki do rowków w ławkach i unieśliśmy głowy, jakby mogła nas widzieć poprzez zakurzoną osłonę z brązowego lnu.

- Proszę wstać. Wszyscy wstali, ja też.

- Proszę parami, bez hałasu, przejść do holu. Nie blokować drzwi do innych klas. Ustawić się przy ścianach.

Nauczycielka historii, siostra Immaculata, nabrała powietrza w płuca i szeptem poleciła:

- Idziemy, dzieci, idziemy.

Machała rękoma jak dyrygent na koncercie, doprowadzający symfonię do crescendo. Pośpieszyliśmy do holu, by na własne oczy oglądać wymierzenie kary.

Idiotą dnia był Sally Denofrio. Sally to zdrobnienie od Salvatore, bez wątpienia przyczyna jego kłopotów. Jeśli na Południu jakiegoś chłopca nie najmądrzejsi rodzice nazwali Sally, jego dzieciństwo znaczyły najrozmaitsze tortury, krwotoki z nosa i trzepanie skóry przez Siostrę Dyżurną - w tym wypadku Siostrę, Która Ci Pokaże, Gdzie Raki Zimują, czyli siostrę Świętą Pobożnisię.

Sally Denofrio, uczeń przeniesiony z Albany w stanie Nowy Jork (Jankes, co czyniło go jeszcze bardziej bezbronny z powodu nieznajomości zachowań uznawanych tu za akceptowane), stał, drżąc na całym ciele, pośrodku holu w kształcie krzyża, podczas gdy piętnastoletni uczeń ósmej klasy, masywny byczek, nieodznaczający się wielkim intelektem, przyszedł członek drużyny futbolowej w Clemson, wyniósł ciężkie drewniane krzesło Świętej Pobożnisi i ustawił w takim miejscu, by widzieć je mogła cała niechętna widownia.

Późnosierpniowe powietrze ciężkie było od odoru potu i przesyconych sałatką jajeczną oddechów stu pięćdziesięciorga siedmiorga umundurowanych i współczujących widzów. Czekaliśmy, chcieliśmy, żeby wreszcie cała rzecz zaczęła się i skończyła. W tamtej chwili wiedziałam, że po pierwsze, za chwilę zobaczę coś, o czym słyszałam, ale w co nigdy nie wierzyłam, po drugie, na Sally'ego nie mógł donieść nikt inny, tylko Theodore McGee, przyszedł duchowny, z którym mało kto się zadawał, ponieważ ten od dawna cieszył się reputacją lizusa. Usłyszałam o nim, od razu gdy pojawiłam się w szkole.

- Widziałam, jak Pobożnisia zabrała Theodore'a McGee do swojej kancelarii i zamknęła drzwi - powiedziała mi Frannie pierwszego dnia.

Na dziedzińcu pod drzewem persymony jadłam lunch z Penny Wilkins i innymi dziewczętami, i chłopcem, który się nazywał Tommy Proctor. Chłodny wiaterek ratował nas przed piekielnym upałem, nowiny jednak były tak interesujące, że nie zwracaliśmy w ogóle uwagi na aurę. Zdażyłam się już dowiedzieć od swojej nowej przyjaciółki, Frannie Gianaris, że Sally zabrał całe mydło z toalety chłopców i zapchał ubikacje papierowymi ręcznikami, co spowodowało powódź.

- Kto to jest Theodore McGee? - zapytałam; strasznie chciałam wszystkiego się dowiedzieć.

- To wielka owłosiona dupa - odparł Tommy.

- Uua! - wykrzyknęły chórem dziewczęta, a ja z nimi.

- Tommy! - upomniała go zgorszona Penny. - Anna zaraz pomyśli, że jesteśmy tacy sami jak dzieciaki ze szkoły publicznej! McGee to chudy i wstrętny palant w wielkich okularach, cieknie mu z nosa i nosi elastyczne

majtki.

Rzeczywiście, już wcześniej tego dnia wypatrzyłam chłopaka, który odpowiadał temu opisowi. Zanim jednak zdążyłam stanąć w obronie szkół publicznych, odezwała się Frannie:

- Nic nie wiem o owłosionym tyłku Theodore'a McGee, ale sprzedałby własną matkę, byle tylko wpędzić któreś z nas w kłopoty. Wszyscy go serdecznie nienawidzą. To dupek, Tommy ma rację.

„Dupek” był użytecznym i popularnym epitetem w słowniku moich nowych przyjaciół w Szkole Chrystusa Naszego Króla - Stella Maris. Ja jako dziecko idealne nigdy dotąd nie wypowiedziałam na głos tego słowa, używałam go tylko w myślach. Nie potępwszy jednak kolegów, znalazłam się na dobrej drodze do zostania ich zaufaną powiernicą.

Wracając do rzeczy: o drugiej trzydziści po południu, tuż przed zakończeniem lekcji, ustawiliśmy się w szeregu, by oglądać publiczną chłostę Sally'ego Denofrio. Siostra Pobożnisa wynurzyła się z głębin swojej kancelarii z wiosłem w dłoni i zwróciła się do Sally'ego, by się upewnić, że zrozumiał powody, dla których jest powodem tego zgromadzenia i kary.

- Salvatore, czy pojmujesz, że niszczenie mienia publicznego to przestępstwo i grzech?

- Tak, siostrzo. Bardzo przepraszam. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło. - Sally płakał i był przerażony.

- Może to wiosło pomoże ci zapamiętać, żebyś więcej tego nie robił. Połóż się na moich kolanach.

Kiedy nie posłuchał jej od razu, chwyciła go za ramię. Chciało mi się rzygać. Łup! Otworzyłam oczy, żeby sprawdzić, czy Sally żyje. Łup!

- Jezu Chryste! Siostra mnie zabije! - wrzasnął Sally.

Wszyscyśmy przygryźli wargi, a Frannie szepnęła mi do ucha:

- Nie uważasz, że jest głupi? Łamię przykazania w czasie chłosty!

- Używasz imienia Pańskiego nadaremnie? - spytała zakonnica z niedowierzaniem.

Sally pozbierał się niezgrabnie i uciekł na ulicę. Biegł w stronę autostrady numer 17, przy której mieszkał, krzycząc wniebogłosy:

- Policja! Pomocy! Policja!

Pobożnisa nawet nie mrugnęła okiem, choć wciąż słyszeliśmy lamenty Salvatore'a Denofrio. Wstała i przesunęła wzrokiem po naszych twarzach, by sprawdzić, czy ktoś się śmieje.

- Dzwonię do biskupa - oznajmiła, po czym ruszyła ku drzwiom. Po drodze posłała nam jeszcze spojrzenie swych ptasich oczu i dodała: -

Wracajcie do klas po rzeczy. Lekcje na dzisiaj skończone.

Takie było moje wprowadzenie do katolickiej edukacji. Sally Denofrio został usunięty ze Stella Maris i przeniesiony do szkoły publicznej. Zrozumiałam wtedy, że najsłuszniejszą taktyką będzie stosowanie się do wymogów warstwy rządzącej i zamknięcie niewyparzonej buzi na podwójną kłódkę.

Nie pozwalałam nikomu drwić z siebie. Słyszałam, jak umarła twoja mama, Anno. Tak powiedziała do mnie główna cheerleaderka drużyny koszykarskiej. Odpowiedziałam: Tak, tata i ja będziemy wdzięczni za twoje modlitwy. Strzał w dziesiątkę, umiem grać w tę grę, pomyślałam.

Choć nie zawsze; w toalecie raz dałam się wyprowadzić z równowagi.

- Moja mama mówi, że twój tata pieprzy pielęgniarce - powiedziała Denise McAffrey, kiedy myłyśmy ręce w tej samej umywalce.

Znieruchomiałam wstrząśnięta, przez chwilę myślałam, że ona wie o czymś, o czym ja nie wiem. Potem otworzyły się drzwi kabiny i wyszła Frannie.

- Idź do diabła, pryszczata gębo, i zostaw Annę w spokoju. Twoja mama gównie wie.

Frannie okazała się bardzo pomocna w okresie przystosowawczym.

Kiedy nadeszła wiosna, urządziłam w swoim pokoju majowy ołtarzyk na cześć Matki Boskiej i wieczorami na kolanach odmawiałam różaniec pod czujnym okiem babki.

- A teraz pomódl się w specjalnej intencji - mówiła babka Violet.

Proszę, Panie Boże, żeby moja babka umarła. Panie Boże, jeśli w ogóle mnie kochasz, to skoro nie chcesz jej zabić, przynajmniej odeślij ją z powrotem do Estill.

Owego pierwszego roku zmówiłam tyle różańców i nowenn, że wystarczyłoby na zbawienie wszystkich lokatorów czyścica i zewnętrznych kręgów piekła. Nie udało mi się jednak pozbyć babki.

Bóg albo zajęty był innymi prośbami, albo moje problemy w ogóle go nie interesowały. Przypuszczalnie starał się pomóc w większych nieszczęściach niż moje.

I wciąż pozostawała sprawa taty. Jakby nie potrafił pogodzić się z tym, że jego żona umarła w ramionach innego mężczyzny. Emocjonalnie wciąż był zablokowany. Wiedziałam, że nigdy nie będzie taki jak przedtem. A przez cały ten czas babka nieustannie gderała.

Pościeliłaś łóżko, Anno? Żadnego oglądania telewizji, dopóki w twoim pokoju będzie bałagan. Wysprzątałaś łazienkę? To oznacza też ubikację! Wygrabiłaś podwórze? Myślisz, że jestem w tej rodzinie wołem

roboczym ? Boże wielki, z dnia na dzień bardziej przypominasz Mary Beth!

W dodatku znalazłam nowe sposoby na wywołanie jej gniewu. Zjadłaś to ciasto orzechowe, które upiekłam tacie na kolację? Ale z ciebie egoistka! Oczywiście Frannie, Jim - nowy przyjaciel - i ja pożarliśmy ciasto, zapijając je półgalonem dwuprocentowego mleka. No to świetnie! Jak następnym razem będziesz sobie czegoś życzyła, nawet mnie nie pros', młoda damo! Doskonale, myślałam sobie, i tak niczego od ciebie nie chcę.

Z babką Violet nie mogłam wygrać. Pojęłam z czasem, że po prostu są ludzie, którzy nie lubią dzieci. I nic nie można na to poradzić. Jak to się stało, że spośród tylu miłych kobiet na świecie mnie przypadły w udziale dwie, tak się od nich różniące? Choćbym nie wiadomo jak się starała, złamanie najdrobniejszej z babcinych zasad było surowo karane. Próbowałam rozmawiać o tym z Lillian, ale ona miała teraz inną najlepszą przyjaciółkę i mówiła wyłącznie o niej. W końcu przestałyśmy się odwiedzać. Raz wpadłam z wizytą do panny Angel, dowiedziałam się jednak od panny Mavis, że nie ma jej w domu, i więcej tam nie poszłam. Nie wiem dlaczego. Czulałam się z tego powodu niezręcznie. Wiedziałam, że gdyby babka wykryła, że rozmawiałam z panną Angel, byłaby wściekła jak diabli.

Wraz z upływem czasu przywykłam do jej obecności; przypuszczam, że podobnie pies przywyka do smyczy. Chodziłam do ósmej klasy, byłam piątkową uczennicą, która z rzadka jedynie dostawała czwórki; stało się tak częściowo z powodu moich własnych chęci, częściowo zaś dzięki nieustannym wysiłkom nieugiętych siostrzyczek. Dawały mi książki do czytania, Jane Austin, sióstr Bronte. Uwielbiałam te powieści, pomagały mi uciekać w przyjemniejszy świat. Nigdy nie popadłam w konflikty z siostrami, ponieważ najsurowsze ich wymagania były niczym w porównaniu z wymaganiami babki. Prawdę mówiąc, właściwie lubiałam zakonnice, ciekawiły mnie. I wiedziałam, że przydział szczęścia zależy od tego, do jakiego stopnia jeden stary nietoperz gotów jest pomóc drugiemu. Czasami więc zostawałam po szkole i pomagałam. Było to lepsze niż śpieszyć się do domu.

Zamykałam okna w klasach, pomagałam ładować samochody sióstr, porządkowałam książki w bibliotece i ścinałam kwiaty, by ozdobić nimi ołtarz. Myślę, że siostry w pewnym sensie mnie pokochały, i z tego też się cieszyłam. Moje wyjątkowe zachowanie było powodem niekończących się spekulacji, czy jestem dobrą kandydatką do zakonu, czy też nie. Pozwalałam im myśleć, że to możliwe, bo dlaczego nie?

Na wywiadówki zamiast taty przychodziła babka. Kiedy siostry mówiły jej, jaka jestem wspaniała, odpowiadała, że padły ofiarą manipulacji ze strony dziecka. A jej oceny, pani Lutz? W ciągu ostatnich dwóch lat wygrała wszystkie konkursy ortograficzne! Skąd wiecie, że nie oszukiwała? Ależ pani Lutz, to miła dziewczynka! Nie znałyście jej matki.

Nie znałyście jej matki. Tak brzmiała odpowiedź babki na wszystko, co podkopywało jej solidnie ugruntowaną złą opinię o mnie.

Dobre siostrzyczki, choć same były twarde, przerażał ten polarny chłód; spotęgowało to jedynie ich sympatię i troskę wobec mojej osoby. Pełna jadu plwocina babki sprawiła tylko, że trzęsły się nade mną jak stado kwok - czyli odniosła odwrotny skutek. Moi przyjaciele - najważniejsi z nich to Frannie, Jim, Tommy i Penny - nigdy nie byli o to zazdrośni. Mieliśmy wszyscy poczucie sprawiedliwości, a oni, wiedząc o tyranii panującej w moim domu, uznali jak jeden mąż, że coś mi się należy od życia. Woleliby ulice Kalkuty od życia z Violet. Poza tym ostatnią rzeczą, na jakiej im zależało, była stara koza o oddechu pachnącym komunią, która nie wypuszcza ich z objęć. To oczywiste. A ja przynajmniej nauczyłam się, że nie wszystkie dorosłe kobiety są sadystkami o sercach z lodu.

Gdy tylko dorosłam na tyle, że mogłam wsiąść do samochodu z czymś bratem albo siostrą, którzy byli szczęśliwymi posiadaczami świętego Graala - czyli prawa jazdy - błagałam, byśmy pojechali na Wyspę Palm. Stało się to już czymś w rodzaju obiegowego żartu. Jakiś chłopak czeka tam na ciebie na wydmach? Każdy facet w mieście umierał z pragnienia, żeby umówić się na randkę z workiem kości w okularach i ze złą cerą. Coś ty tam zgubiła? Okropną prawdą było to, że na Wyspie Palm straciłam wszystko.

Pakowaliśmy się do samochodu czyjejs matki i jechaliśmy z otwartymi oknami i ryczącym radiem. W gruncie rzeczy jazda cudzym wozem zdominowała lata mojego dojrzewania; była to popularna w Lowcountry rozrywka.

Gdy przekraczaliśmy Breach Inlet, wystawiałam głowę przez okno i rzeźwiłam się morskim powietrzem. Przyjaciele chcieli wpaść do Burger Kinga, żeby sprawdzić, kto tam jest. Ja nie. Pragnęłam tylko, by trzymali mnie poza zasięgiem Violet na tyle długo, żebym mogła otrzymać swoją dawkę wyspiarskiej bryzy.

Lata mijały, a moją obsesją stał się powrót na Wyspę Palm i poukładanie własnych myśli. Zbyt długo zbyt wiele w sobie tłumiałam. Może sądziłam, że jeśli będę mogła zacząć na nowo życie na Wyspie

Palm, uda mi się zmyć z siebie ból i cierpienia dzieciństwa i wczesnych lat młodości.

Wreszcie nadeszła chwila, by stawić czoło przeszłości. W dniu mojej przeprowadzki tata i ja rozładowywaliśmy furgonetkę. Byłam pewna, że tata myśli o mamie, o jej śmierci i naszym stąd wyjeździe. Ja też o tym myślałam. Sporo rzeczy kołatało mi w głowie.

6. Na chwilę przysiadłam na zderzaku. Odtwarzając wydarzenia, które doprowadziły do przeprowadzki do Mount Pleasant, a potem mego powrotu tutaj, nie mogłam opędzić się od myśli o wszystkich tych latach pracy i wyrzeczeń, dzięki którym mogłam teraz stać się właścicielką domu biednego pana Simmonsa. Niezwykłym zbiegiem okoliczności mój nowy dom sąsiedował z domem, w którym mieszkały panna Angel i panna Mavis, kiedy byłam dzieckiem. Zastanawiałam się, czy wciąż są takie pełne energii. Czy mnie pamiętają...Mavis mówi: co za sąsiedzi

2002

Angel? Angel! Gdzie jesteś? Chodź tu szybko!

Ignorowała mnie, wiedziałam o tym i powiem ci, że wściekało mnie to okropnie. Czy ten, kto nazwał ją „Angel”, orientował się, jakie problemy to wywoła, co? Płaciłam jej sporo. Powinna mieć choć tyle przyzwoitości, żeby mi odpowiedzieć.

Jak w każdy czwartek, zajmowałam się swoimi zwykłymi sprawami; właśnie miałam zamiar podlać afrykańskie fiołki. To moje dzieci - poza Blanche i Stanleyem, kociętami.

Usłyszałam raptem harmider ze dworu i zerknęłam przez firanki w salonie. Do okropnego domku obok wprowadzała się jakaś kręcąca tyłkiem latawica z facetem dość starym, żeby mógł być jej ojcem. Na sam ten widok o mało nie dostałam ataku. Gdybym sobie nie uświadomiła, że upadek może zniszczyć ręcznie malowaną konewkę, którą w lutym sama wykonałam na kursach rzemiosła, pewnie bym się przewróciła.

- Angel, odezwij się! - Przeszłam przez salon i jadalnię do kuchni. Drzwi otworzyłam tak zamasyście, że walnęły w ścianę, ale w ogóle nie zwracałam sobie tym głowy. - No i co ty na to?

Stała przy zlewie i czyściła miedziane patelnie, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

- Na co? - spytała zadziornie. - Popatrz tylko na tę patelnię! Można się w niej przejrzeć jak w lustrze!

Nalałam sobie szklanke wody i huknęłam na tę starą chudą tyczkę:

- Chcesz coś zobaczyć, to chodź ze mną! Dlaczego nie odpowiadałaś?

- Bo cię nie słyszałam. Wołałaś mnie? Łgała w żywe oczy. Zawsze tak robiła.

- Wytrzymaj ręce i chodź ze mną natychmiast. Przecież nie znosisz, jak coś cię omija.

Poszła za mną, mrużąc coś o Lincolnie, który wyzwolił jej lud, oraz o doktorze Martinie Lutherze Kingu i jego mowach, ale szczęka jej opadła do ziemi, kiedy spojrzała na sąsiednie podwórko. Oto dowód numer jeden: młoda kobieta w szortach i stary cap w długich spodniach.

- Hm - mruknęła, ukazując się beztrosko w oknie całemu światu. - Zeszłej nocy śniło mi się, że ten dom obrośnięty był kwitnącymi kwiatami.

- Co?

- Powiedziałam: zeszłej nocy śniło mi się, że ten dom obrośnięty był kwiatami! Głucha jesteś!

- Nie jestem! A na podwórku nie ma nic poza zielskiem! Rusz stąd tyłek, stara wiedźmo, bo cię zobaczą!

Posłała mi to swoje spojrzenie, ostre i zimne jak lód - tak tylko Angel potrafi patrzeć. Przeszły mnie dreszcze.

- I kogo niby nazywasz starą? Jeśli ja jestem starą wiedźmą, to ty też! Powiedz mi, czym się tak podniecasz? Ta kobieta nie jest zdzirą. To nauczycielka albo coś w tym rodzaju!

- A ty skąd o tym wiesz? - Ponad ramieniem Angel jeszcze raz zerknęłam na nieznajomą. Nic, absolutnie nic nie wskazywało na to, że jest nauczycielką.

- Poznałam po butach. Ma te okropne buty marki Birkenstock, które nosi moja wnuczka i wszystkie jej przyjaciółki. - Zmrużyła oczy i dodała: - Jest na nie trochę za stara, nie?

- Otóż to! Właśnie przez takie jak ona nigdy ponownie nie wyszłam za mąż.

Zawsze szczególnym smutkiem napawał mnie fakt, że odkąd mój Percy umarł i poszedł do piekła, nie pojawił się żaden mężczyzna, żeby mnie pocieszyć. Wiele razy rozmawiałyśmy o tym z Angel.

- No cóż, skoro tak... - powiedziała Angel i zawróciła w stronę kuchni.

A cóż to znowu miało znaczyć? Kręcąc głową, poszłam za nią, postanawiając na razie nie zważać na to double entendre.

- Dokąd się wybierasz? - zapytałam.

- Mam zamiar upiec ciasto dla nowych sąsiadów. - Co?

- Powiedziałam, że mam zamiar upiec ciasto! Na cukier złapiesz więcej much, nie? Gdzie twoje dobre wychowanie, panno Mavis?

No i masz. Wszystko można mi powiedzieć i nie zdenerwuję się, ale niech nikt mi nie zarzuca braku dobrego wychowania! Angel jednak pozwalam mówić, co jej ślina na język przyniesie. Od dawna mieszkamy pod jednym dachem, zdążyłam już usłyszeć każdą myśl tej kobiety z tysiąc razy.

Mój Percy kupił ten dom w przekonaniu, że będzie to tymczasowa siedziba. Na dole mieliśmy sympatyczną parę, my mieszkaliśmy na piętrze. Oba mieszkania były całkiem znośne. W naszym są trzy sypialnie, dwie łazienki i cudowny widok na Atlantyckie Wybrzeże. Na dole - dwie małe sypialnie, salon połączony z jadalnią i kuchenką. To mieszkanie zostało pomniejszone kosztem garażu i składziku, więc jest nieco mroczne, choć we właściwych rękach może być bardzo przytulne.

Kiedy urodził się nasz Thurmond, Angel zaczęła mi pomagać. Pomogła mi też wychować Merilee. A kiedy Percy zapił się na śmierć, a para z parteru rozwiodła i wyprowadziła, Angel zajęła mieszkanie na dole. Wydaje mi się, że jest tu od stu lat. Teraz mój Thurmond zmienił imię na Fritz, wyjechał do Kalifornii z trzecią żoną imieniem Karyn, przez „y”, dziękuję bardzo. Merilee dalej jest żoną tego bankiera z Atlanty. Nie widuję moich dzieci, chyba że kostucha zagląda mi w oczy. Zostało mi życie z Angel i efektowne wizyty u bram śmierci co pięć lat.

Zgoda, przyznaję, lubię czasami poddramatyzować. Dzięki temu mam niski poziom cukru i doskonały nastrój. Ale, ale. Nowa sąsiadka? Znam ten typ aż za dobrze. Jedna z tych latawic, co to rozbijają rodziny! Hm!

Ogarnął mnie smutek, naprawdę. Wzięłam konewkę i dałam pić moim maleństwom, wyglądając przez okno i wzdychając, podczas gdy Blanche ocierała mi się o nogi. Stanley leżał cały szczęśliwy na parapecie, jakby ryba miała wlecieć mu z dworu prosto do pyska.

Koty to głupty, liżą wszystko, a potem ciebie, ale są dobrym towarzystwem dla samotnej damy, takiej jak ja. Gdybym znalazła sobie miłego mężczyznę z alergią na koty, natychmiast wyrzuciłabym je z domu. One o tym wiedzą. Dzięki swym zdolnościom telepatycznym zachowują się więc naprawdę grzecznie.

7. Usiadłam w moim różowym fotelu i włączyłam Ophrę.

Zastanawiałam się, co powiedziałyby na ten majowo - grudniowy związek z sąsiedztwa. Może powinnam napisać do niej list. Musiałam się zdrzemnąć, bo kiedy się ocknęłam, Angel włączała klimatyzator i okrywała mi nogi

pledem. Niech Bóg ją błogosławi, pomyślałam, i znowu zasnęłam. Coś mi się śniło... co to było? A tak, Anthony Hopkins prosił mnie do tańca. Ależ z przyjemnością... Poluzowane śruby

Rozładowywałam furgonetkę, podczas gdy tata w domu starał się naprawić uparte drzwi przesuwne. Kłął przy tym jak szewc. Miał okropny humor, bo słupek rtęci na termometrze wskazywał ponad dziewięćdziesiąt stopni. Było absolutnie zrozumiałe, że nie czuje się dobrze. Przyzwyczailiśmy się do siebie; cóż, jeśli skręcisz sobie kostkę, zastanawiasz się, co byś poczęła bez kul. Wzajemnie wyświadczaliśmy sobie drobne przysługi, a teraz mieliśmy zostać bez tej drugiej osoby, która uprzedza nasze myśli. Moja przeprowadzka zupełnie rozwaliła jego rozkład dnia i oznaczała, że sam będzie musiał sobie radzić, robić zakupy, zanosić rzeczy do pralni i zajmować się resztą domowych obowiązków, które dotąd należały do mnie.

A co gorsza, odkąd oznajmiłam mu o przeprowadzce, podważał każdą moją decyzję, budząc we mnie poważną niepewność, czy potrafię sama prowadzić dom. Niewykluczone, że pewnego dnia przeniosę się do osiedla w Wild Dunes, gdzie wszystkim zajmuje się ekipa techniczna. Zanim jednak do tego dojdzie, zdecydowana byłam mieć własne podwórko, dom i prawdziwą ziemię.

- Do kogo się zwrócisz, jak dach zacznie przeciekać?

- Do ciebie.

- Gdzie się podziejesz, jak będzie huragan?

- U ciebie.

- To jaki sens ma twoja przeprowadzka? Nie lepiej, żebyś co roku gdzieś sobie pojechała? Zobaczyła świat? Mieszkała w porządnym hotelach? Dług hipoteczny to pętla zarzucona na szyję!

- Nieprawda, tato. Ten dom to inwestycja. Gdybym wydała pieniądze na podróże, nie miałabym ich. Puf! Zresztą nie mam nic na przyszłość.

- Gdybyś podróżowała, może poznałabyś miłego mężczyznę i miała przyszłość zapewnioną.

- Tani chwyt, tato. Wolę już sama za siebie odpowiadać, niż wychodzić za mąż wyłącznie dla bezpieczeństwa finansowego. - Widziałam, że jest wściekły, ponieważ sądził, że tak właśnie postąpiła mama. - A dlaczego ty nie podróżujesz? Może poznałabyś miłą kobietę.

- Tylko nie mów mi, co mam robić, dobrze? Feministki! Wszystkie jesteście szalone! Pomieszałyście szyki porządnym dziewczętom, którym zależy na rodzinie!

- Jasne, feministki pomieszały szyki porządny dziewczętom. Zawsze tak mówisz, kiedy wiesz, że mam rację.

- Nie krepuj się! I tak zrobisz to, co chcesz! Zawsze tak robisz!

- Ty też, a ja jestem twoją córką! Do diabła, gdzie, według ciebie, nauczyłam się być takim upartym mułem?

Potem zapadała cisza, aż oboje dochodziliśmy do tego samego wniosku: że jest psychicznie niezdrowe, żebyśmy do tego stopnia byli od siebie zależni. To było przyczyną stagnacji. Chociaż wszyscy znani nam rodzice i dzieci dożywali końca swych dni pod jednym dachem, chyba że któreś zawarło małżeństwo - a czasami współmałżonek wprowadzał się do domu, i tyle - oboje wiedzieliśmy, że nie jest to sytuacja optymalna.

W ciągu ostatnich tygodni wymienialiśmy te uwagi po sto razy. Gdy tata nie mówił o podróży, podnosił kwestię uzupełnienia mojego wykształcenia. Kupno domu naprawdę go rozgniewało. Ignorowałam jego humory, kiedy tylko było to możliwe. Pomimo koszmarów nocnych wywołanych wątpliwościami taty, ogólnego poczucia niepewności i zdenerwowania z powodu „wielkiego skoku” wciąż tryskałam entuzjazmem.

Poprzedniego wieczoru ojciec zaprezentował nowe podejście, mające usprawiedliwić w jego oczach moją przeprowadzkę. Wieszłam ubrania w garderobie, kiedy wszedł do pokoju.

- Wiesz, Anno, rozmyślałem.

Czy znowu próbuję skłonić mnie do zmiany decyzji?

- Tak? A o czym? - Uśmiechnęłam się do niego, bo uznałam, że gdy zobaczy moją radość, zrezygnuje z ataku.

- O twojej matce. Masz ochotę na herbatę?

- Jasne. - Poszłam za nim do kuchni i stanęłam przy blacie. Podał mi szklanekę. - Dziękuję. Co cię gryzie?

- Mniejsza różnica wieku była między rodzicami twojej matki a mną niż mną a nią, kiedyśmy się pobierali.

Wycisnęłam do herbaty cytrynę.

- Patrząc wstecz, uświadamiam sobie - ciągnął tata - że wyszła za mnie, bo umożliwiłem jej ucieczkę od życia w biedzie.

- To nie najgorszy powód, tato. Jej rodzice mieli swoje lata, ona pracowała jako kasjerka w sklepie spożywczym. No wiesz, to nie jest szczyt marzeń pięknej młodej kobiety. Ludzie pobierają się z najrozmaitszych powodów.

- To prawda. Chcesz kanapkę?

- Nie, dziękuję. Otwórz nowe salami, tamto jest przeterminowane.

Tu nastąpiła krótka sprzeczka na temat marnowania żywności; wiedziałam, że tata będzie jadł wszystko, co wpadnie mu w ręce. Zanotowałam w pamięci, że powinnam często go odwiedzać i robić porządek w lodówce.

- Racja. - Tata wyjął deskę do krojenia. - Ludzie pobierają się z najrozmaitszych powodów, a chociaż ty i Jim nie mogliście swojego małżeństwa utrzymać, ten chłopak zawsze kochał ciebie i Emily.

- Myślę, że nadal nas kocha i będzie kochał.

- Właśnie. Motywy twojej matki nie były zbyt szczytne. Skorzystała z pierwszej szansy na lepsze życie, jaka jej się trafiła.

- Posłuchaj, tato, bardzo cię kocham. Wiesz o tym doskonale. Jestem już zmęczona tym pluciem na grób mamy. Myślę, że była młoda i głupia, to wszystko.

- Poczekaj, dziecinko. Chodzi mi o coś innego, o to, że nie dała sobie szansy, by pożyć samodzielnie i dopiero potem wyjść za mąż. Nigdy nie dała sobie szansy na dowiedzenie się, czego naprawdę chce. Dlatego w pewnym sensie dobrze robisz. Nie łap pierwszego głupka, który obieca ci gwiazdkę z nieba. Jeśli z jakiegoś powodu coś ci się nie uda, powiedz mi o tym, dobrze?

- Po pierwsze, nie wyprowadzam się od ciebie po to, żeby znaleźć męża. Poza tym nie ma tu odpowiednich kandydatów, tato. Wszyscy są albo żonaci, albo pokręceni, albo przegrani. Małżeństwo nie jest dla wszystkich. Chodzi o to, że zamieszkać w miejscu, w którym zawsze chciałam mieszkać, i będę miała dom dla siebie i Emily, nasz własny. Nie jestem romantyczką. A ostatnią rzeczą, jaką bym zrobiła, jest wyjście za mąż bez wysłuchania opinii twojej, Jima, Frannie i Emily. Rozumiesz? Dajże spokój, przecież mnie znasz.

- Znam cię, ale pamiętam, jak łatwo przekonałem sam siebie, że Mary Beth naprawdę mnie kocha. To wszystko.

- Nie martw się. Będę cię informowała na bieżąco, zgoda? A teraz skończ kanapkę i pomóż mi się pakować!

Prawie nie spałam ostatniej nocy, taka byłam podniecona. I miałam powody. Wystarczyło tylko wyjrzeć na dwór. Późnopołudniowe niebo było tak błękitne, że ogarnęła mnie ochota do latania. Ogromne poduchy i czyste łąy obłoków zapraszały do gry w chowanego anielskie istoty. Cudowne!

Otworzyłam wszystkie okna w domu i zaduch natychmiast wyssała oceaniczna bryza. Powietrze było ciepłe i aromatyczne, dawno takiego nie czułam: beztłuszczowa zupa z solanki, otulona ptasim śpiewem i szelestem

liści. Był piękny letni dzień. Wiesz, że musiał taki być, skoro mówię o szeleście liści.

- Chodź tu i powiedz, czy tak ma być! - zawołał tata. Ale w jego głosie dosłyszałam zniechęcenie. Nie podobał mi się nastrój ojca, ale nie zamierzałam pozwolić, żeby zepsuł mój.

- Już idę! - odparłam.

- Hej! - krzyknął ktoś nagle. - Wprowadza się pani? Zachrypnięty głos, bez wątpienia kobiecy, dobiegał

z sąsiedniego domu. Wyjrzałam i zobaczyłam kobietę o bardzo jasnych włosach, na oko moją rówieśnicę, która opierała się o balustradę ganku.

- Hej! Tak, wprowadzam się! - odkrzyknęłam.

- To dobrze! Sąsiedztwu przyda się świeża krew! Jestem Lucy. A ty?

- Anna! - odparłam z uśmiechem. - Anna Abbot. Dobra, może to nieładnie z mojej strony wspominać

o tym, ale pod przezroczystą sukienką na ramiączkach nie miała żadnej bielizny. Nie żartuję. Zwykle nie zwracam uwagi na to, co kobiety noszą lub nie pod sukienkami na ramiączkach, i przyszło mi do głowy, że może ona nie uświadamia sobie, że popołudniowe słońce bezwstydnie prześwieca przez materiał, dlatego też udawałam, że nic nie dostrzegam. A może właśnie wzięła prysznic i zaraz miała się przebrać.

- Zaraz wracam - dodałam. Pudło, które trzymałam, wcale nie robiło się lżejsze, i nie mogłam się powstrzymać od diabelskiej sztuczki. - Tatusiu - mój głos brzmiał anielsko niewinnie - mógłbyś przynieść tu tę skrzynkę, która w aucie stoi koło pudła z ubraniami? Dla mnie jest za ciężka.

Tata uwielbiał bezradne kobietki. Natychmiast więc przyszedł mi z pomocą, mamrocząc coś pod nosem. Na moich oczach nastrój kompletnie mu się zmienił, gdy wyszedł na podwórko i ujrzał sąsiadkę, żywe lekarstwo na depresję, i to w podwójnej dawce. Szłam tuż za nim.

- Cześć! - zawołała Lucy, machając ręką i prezentując się w całej okazałości. - Jesteś mężem Anny?

Tata podniósł głowę. Wziął tak głęboki oddech, że mógłby w płuca wciągnąć cały dom towarowy Lowe'a w Mount Pleasant razem z parkingiem.

- Jestem Dougle Lutz - odparł. - Douglas, ale przyjaciele nazywają mnie Doktorem. Anna to moja córka, panno...

- Aha! Rozumiem! - Umilkła na chwilę. - Na imię mi Lucy - oznajmiła i zachichotała. - Dajcie mi dziesięć minut, a błyskawicznie coś

zorganizuję i zaraz u was będę!

Odwróciła się i weszła do domu, zatraskując za sobą drzwi. Biedny tatuś. Zmienił się w zaślinionego głupka, a ja musiałam zagryzać policzki od środka, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Wielki Boże - mruknął tata. Na jego twarzy malowała się mieszanina przerażenia, szalejącego testosteronu i urażonego poczucia przyzwoitości. - Zauważyłaś, że ona nie miała... jak się nazywa?

- Lucy - odparłam, szukając jakiegoś wyjaśnienia, a równocześnie zadając sobie pytanie, dlaczego uważam, że moim obowiązkiem jest sprawianie, żeby ten pokręcony świat zyskał w oczach taty jakiś sens. - Cóż mogę powiedzieć, tato? Przynajmniej tubylcy są przyjaźnie nastawieni.

- Bardzo - odparł tata.

Klepnęłam go w ramię, żeby wrócił na ziemię. Jego oczy wypaliły dziurę w miejscu, gdzie przed chwilą stała Lucy. Przypuszczalnie minęło sporo czasu od chwili, kiedy stary Douglas, dla mnie od teraz na zawsze Dougle, widział coś równie prowokacyjnego w biały dzień - albo w środku nocy, skoro o tym mowa. To samo dotyczyło mnie, ale nie miałam zamiaru przyznawać się do tego przed nim ani przed nikim innym.

Zanieśliśmy stopy pudeł do domu, a tata wciąż coś mamrotał pod nosem na temat mojej sąsiadki.

- Kto to był? Gdzie chcesz postawić stereo?

- Nie mam pojęcia. - Biedny tatuś. - Stereo powinno chyba stać w salonie, no nie?

Miałam miniwieżę, którą za rozsądną cenę kupiłam w Wal - Marcie; bez trudu mieściła się na regale z książkami. Skandynawska meblościanka w salonie była jedynym większym szaleństwem, jakie popełniłam, urządzając nowy dom. Nabyłam ją od Katie z Danco w Mount Pleasant. Była piękna - lekka, ale solidna, prosta i współczesna. Po latach desek i cegieł uznałam, że moje książki zasługują na szacowniejsze miejsce. Nikt na tym świecie nie mógłby nazwać mnie materialistką, choć na pewno byłam posiadaczką wielkiej kolekcji książek ogrodniczych, tony książek kucharskich oraz niewielkiego zbioru oprawnej w skórę klasyki - i wszystkie te pozycje bardzo sobie ceniłam. Teraz miały znaleźć się na tym cudownym meblu, a ja nie mogłam się już tej chwili doczekać. Gromadzenie książek i przechowywanie ich dla przyszłych pokoleń to zajęcie warte zachodu. Jeśli jest coś, na czym znają się mieszkańcy Charlestonu, to na pewno jest to dbanie o rzeczy, które kochają.

Tak głęboko pogrążyłam się w myślach, że nie usłyszałam pukania do

drzwi. Tata usłyszał, ponieważ zobaczyłam, jak rozmawia z Lucy, trzymającą w ręce dzbanek z jakimś napojem. Przebrała się w króciutkie szorty i obcisłą koszulkę. On stał z rękoma w kieszeniach, kompletnie oszołomiony, i błędził wzrokiem po jej postaci, podczas gdy ona zasypywała go miłymi słówkami.

- No i powiedziałałam sobie: Lucy, musisz pójść i pomóc nowym sąsiadom! Napijcie się? Przyniosłam nawet papierowe kubki!

- Jasne, bardzo dziękujemy - odparł tata. - To bardzo uprzejme z pani strony.

- Cześć! Dziękuję, Lucy - dodałam.

Nachyliła się, by rozlać napój do kubków, które ustawiła na pudle. Z dzbanka popłynęło coś, co wyglądało jak zmrożony sok owocowy. Gdyby Lucy pochyliła się jeszcze o cal, tata i ja poznalibyśmy ją dogłębniej, niż uważaliśmy za konieczne. Muszę jednak zdecydowanie przyznać, że to wrażenie wkrótce minęło, a my niechcący przekonaliśmy się, że w jej wypadku treść nie pasuje do formy. Wcale zresztą nie myślałam, że będzie inaczej.

Lucy podała nam kubki, uniosła swój i powiedziała:

- No i co, złociutcy? Witajcie w sąsiedztwie, a jeśli będziecie potrzebować zabawowej dziewczyny na randkę, to wiecie, gdzie mnie znaleźć. Zdrówko! - Kiedy mówiła, słońce wpadające do salonu oświetliło jej pokryte grubą warstwą szminki usta, zmieniając wydatne, pełne ekspresji wargi w żywą grę blasków. Przez całe życie nie spotkałam nikogo takiego jak Lucy. „Przerysowana” to było stanowczo za słabe określenie. Upiłam spory łyk i zatkało mnie.

- Co to jest? - wykrztusiłam.

- Och, coś w rodzaju zamrożonego Planter's Punch - wyjaśniła - ale przepis to sekret! Dobrze, nie?

- Wyśmienite - przyznał tata. - Mogę napełnić pani kubek, panno Lucy?

- Złociutki, możesz napełniać mój kubek, kiedy tylko zechcesz! - odparła i wybuchnęła najidiotyczniejszym śmiechem, jaki w życiu słyszałam.

Szczerze mówiąc, i jej słowa, i śmiech były tak skandalicznie nieprzyzwoite, że uznałam je za niezbyt udany żart. Musiała żartować.

Tata oblał się rumieńcem. Skonfundowany wpatrywał się w jej buty; dla ścisłości: były to espadryle na grubej platformie, z czarnymi tasiemkami, obwiązanymi wokół kostek. W sumie strój Lucy sugerował, że jest ona hybrydą robotnika budowlanego, gladiatora i panienki z

rozkładówki. Może ta kobieta nie ma w domu dużego lustra?

Lucy popatrzyła na moją nową meblościankę, przesunęła dłonią po gładkim drewnie i zachwyciła się:

- Ojej, ale to ładne. Nowe?

Okay. No cóż. Podziwiała meblościankę z moich snów, więc nie mogła być zupełnie pozbawiona zalet. Poza tym, choć przed oczyma przebiegały mi twarze najbardziej podejrzanych klientek, z jakimi miałam do czynienia, Lucy bez dwóch zdań była okazem zmutowanym, zbyt interesującym, by go odrzucić.

- Tak - potwierdziłam - i muszę się przyznać, że szaleję na punkcie tego mebla. Czy to normalne?

- Całkowicie! Od kiedy to grzechem jest podziwianie pięknych rzeczy?

To wtedy właśnie doszłam do wniosku, że dziwka czy nie, ale ją lubię. Tata podał jej drinka.

- Proszę, panno Lucy.

Uśmiechnęła się do niego i odpowiedziała bezczelnie:

- Dzięki, Dougle, złotko.

Dougle. Wszyscyśmy wybuchnęli śmiechem, coraz bardziej zamroczeni alkoholem, do którego nie byliśmy przyzwyczajeni. No, w każdym razie tata i ja. Nigdy nie piliśmy alkoholu w ciągu dnia! Nie sądzę, by to samo odnosiło się do panny Lucy.

Rezerwa taty malała z każdym łykiem. Lody zostały przełamane, nie, topniały w oczach i było jasne, że Lucy szybko nas nie opuści. Cieszyłam się z jej towarzystwa, ponieważ tata dobrze się bawił. Przypuszczam, że po prostu nie mógł być ponury, kiedy ten nieprawdopodobny mały wamp flirtował z nim bezwstydnie. W życiu nie miałam takiej uciechy. A co najlepsze, wcale nie zapomnieliśmy o rozpakowywaniu rzeczy. Lucy zaproponowała, że zajmie się pościelą, my tymczasem zarzucaliśmy ją osobistymi pytaniami.

Przy drugim dzbanku tropikalnego napoju dowiedzieliśmy się, że rozwiodła się z mężem, który odniósł niebywały sukces w branży budownictwa mieszkaniowego.

- Hugo był najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła się staremu Danny'emu - powiedziała; miała na myśli straszliwy huragan z roku 1989, który o mało nie zdmuchnął z powierzchni ziemi Charlestonu i wszystkich otaczających go wysepek. - Zrobił wtedy fortunę.

- A gdzie jest teraz? - zapytałam, zupełnie nieprzygotowana na to, co nastąpi.

Jej oczy napełniły się łzami.

- Zostawił mnie i wyjechał na Key West łowić ryby. Był miłością mojego życia! Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd zmył się! Jakby nigdy nie! Wróciłam do domu z aerobiku i znalazłam pustą butelkę po wódce Absolut Citron, jego ulubionej, oraz list w kuchni. - Odchrząknęła i trzymając w dłoni wyimaginowaną kartkę, odczytała: - „Kochana Lucy, nie zniosę Twojego towarzystwa ani minuty dłużej. Wkurzasz mnie do nieprzytomności. Zabrałem łódkę i pięćdziesiąt tysięcy z konta, resztę możesz wziąć Ty. Do widzenia. Nie próbuj mnie szukać. Rezygnuję”. Czy to nie największa zniewaga, jaką możecie sobie wyobrazić? - Łzy jak groch toczyły się po jej wydatnych kościach policzkowych na wydatny biust.

Tata dosłownie skoczył do niej z chusteczką w rękę. Jak jego matka, używał chusteczek płóciennych, nie jednorazowych.

- Chryste! - powiedziałam. - To okropne!

- Był miłością mojego życia - powtórzyła Lucy.

- Był cholernym głupcem, panno Lucy - oświadczył tata z całą szczerością. - Cholernym głupcem.

- Robiłam wszystko, co chciał. Po prostu wszystko! Tata odkaszlnął i Bóg tylko wie, co sobie pomyślał po

tej wypowiedzi, a Lucy mówiła dalej:

- W każdą środę robiłam potrawkę według przepisu jego matki i... Do diabła! Dlaczego zawsze płacze, kiedy zaczynam o nim mówić? Pewnie myślicie, że wariatka ze mnie!

- Wcale tak nie myślimy, prawda, Anno?

- W żadnym wypadku - zapewniłam. Oczywiście że tak, pomyślałam. Gdyby mój mąż zostawił mi taki list, podążyłabym za nim na dno piekieł i ołówkiem wepchnęła łobuzowi kartkę do ucha.

- Prasowałam mu koszule i składałam jego głupie majtki...

Znowu zaczęła lamentować, a ja mogłam tylko się zastanawiać, dlaczego akurat majtki są dla niej tak drażliwym wspomnieniem.

Tata objął ją, ona zaś przytuliła się do jego piersi i buczała, jakby jej za to płacili. A okazało się, że płacili całkiem sporo. Danny budowniczy, który został wędkarzem, w latach osiemdziesiątych zakupił akcje Microsoftu i America OnLine, które przyniosły niebotyczne zyski. Nigdy też nie wydał ani centa z tego, co zarobił w latach boomu. W rezultacie zostawił Lucy całkiem spory majątek. Na początku zeszłego roku zamieniła portfel akcji na gotówkę.

- Nie czułam się dobrze, kiedy cała moja przyszłość zależała od

giełdy - wyznała. - Okazało się, że miałam szczęście.

Ha, to najmniej, co można powiedzieć. Mojej uwagi nie uszła niesprawiedliwość losu, który ją obdarzył fortuną, mnie każąc wiecznie zmagać się z rachunkami, gdyż nie po raz pierwszy się z ową niesprawiedliwością zetknęłam. Kiedy Lucy się uspokoiła, razem z tatą poszli wyjąć z jej zamrażarki potrawkę na nasz obiad.

Układałam kasety magnetofonowe i kompakty z dziwnym uczuciem, że ktoś mnie obserwuje; znasz to nieprzyjemne uczucie, kiedy włosy stają ci dęba? Obejrzałam się i w drzwiach zobaczyłam drobną staruszkę.

- Jest tu ktoś? - zapytała, chociaż doskonale się orientowała, że ja, skoro szpiegowała mnie od Bóg wie jak dawna.

Podeszłam do drzwi z siatki i przyjrzałam się gościowi, kruchej starowince, mniej więcej osiemdziesięcioletniej. Czy to panna Mavis?

- Dzień dobry - powiedziałam. Wiedziałam, że czuć ode mnie alkohol, ale nic mnie to nie obchodziło. Po pierwsze, nie gap się na moje drzwi. Po drugie, właśnie płynę po Rumowej Rzece.

- Mieszkam obok i przyniosłam ciasto! - oznajmiła staruszka. - Nie zaprosisz mnie do środka?

Aż podskoczyłam, słysząc zrzędliwą nutę w jej głosie.

- Och, oczywiście! Gdzie się podziały moje dobre maniery? Dziękuję.
- Otworzyłam drzwi na oścież. - Witam w moim bałaganie!

Stała na środku salonu i powiodła wzrokiem po stosach pudeł i papierach, a następnie nieznośnym sprzeciwu tonem oznajmiła:

- Wieki miną, nim doprowadzisz to do porządku! Masz psa?

- Nie, proszę pani, mieszkam tu tylko z córką, to znaczy, kiedy nie jest w szkole.

- Co? Kto?

Najwyraźniej była przygłucha, podniosłam więc głos:

- Nie, proszę pani. Mam tylko córkę, która uczy się w college'u.

- To świetnie. Nie chcę, żeby jakieś psisko niepokoilo moje dwa koty. Lubisz urządzać imprezy? Na litość boską, zabierz to wreszcie ode mnie.

- Dziękuję. - Postawiłam ciasto na jedynym wolnym kawałku stołu. - Jeśli chce się pani dowiedzieć, czy robię dużo hałasu, to odpowiedź brzmi: nie.

- To dobrze. Potrzebuję snu i lubię zostawiać otwarte okno, kiedy wieje wiaterek.

- Ja też, panno... Przepraszam, ale chyba jeszcze się sobie nie przedstawiłyśmy. Jestem Anna.

- A ja panna Mavis. Na Wyspie Palm przeżyłam całe życie, tak jak

moi rodzice. Przyjeżdżali tu na lato. - Z rękoma na swych kościstych biodrach mierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. - Znam każde ziarnko piasku na tej wyspie i każde miejsce. „Zapytajcie Mavis!” - tak wszyscy mówią.

- Bardzo się cieszę, że panią poznałam, i dziękuję za ciasto, panno Mavis.

Nie ulegało wątpliwości, że mnie nie pamięta, a ja naprawdę nie wiedziałam, co począć. Nie mogłam jej zaprosić na kawę, bo jeszcze nie rozpakowałam ekspresu, nie kupiłam herbaty, a na każdym krześle stało pudło albo leżała sterta książek. Poza tym byłam trochę wstawiona i uważałam, że to nie najlepszy moment, by pannie Mavis czy komukolwiek innemu przypominać, kim jestem.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, a ja ujrzałam twarz, którą zapamiętałam sprzed wielu lat, tę, która wydała mi się taka miła w dniu śmierci mojej mamy. Tak, pamiętałam ją. Nie byłam jednak jeszcze gotowa składać wizyty mojej przeszłości. Ale to wspaniale! Cudownie, że panna Mavis żyje i w ogóle się nie zmieniła, naprawdę. Wciąż lubi, żeby nazywać ją panną Mavis. Przez wszystkie te lata pozostała staroświecką dziewczyną z wyspy, pyskącą i stronniczą. Postąpię mądrze, jeśli będę traktowała ją z szacunkiem. Zasłużyła sobie na to z racji wieku i przeżyć. Kiedy indziej zdradzę jej swoją tożsamość. Powiedziała coś, co zabrzmiało jak:

- Ciasto jest anielskie. Przyszłam się rozejrzeć i przywitać.

- Dzięki, doceniam to. Uwielbiam anielskie ciasto, to mój przysmak.

- Co takiego? Nie, dziewczyno, ciasto upiekła Angel!

- W takim razie proszę jej ode mnie serdecznie podziękować. - Aha!

Czyli Angel też ciągle żyje!

- Na pewno to zrobię. A teraz powiedz mi, gdzie jest ten mężczyzna?

- Jaki mężczyzna?

- Wyraźnie widziałam, że pomagał ci mężczyzna. Jesteś jedną z tych kobiet żyjących w grzechu?

Wybuchnęłam śmiechem.

- Żartuje pani? To mój ojciec!

- No, to w takim razie gdzie on jest? Czemu nie przyjdzie się przywitać?

- Och, przepraszam! Jest w sąsiednim domu, poszedł po potrawkę.

- Co? Lucy już tu była? Już zatopiła pazurki w twoim tatusiu?

- Nie, proszę pani, nie sądzę, żeby...

- Hm! Zapamiętaj moje słowa, młoda damo, ta kobieta to... ona jest...

no cóż, miej się na baczności, dobrze?

Pannę Mavis fakt, że tata się z nią nie przywitał, wzburzył bardziej, niż, moim zdaniem, na to zasługiwał, ale pominęłam sprawę milczeniem. Poza tym nie musiała mi mówić, kim jest Lucy.

Ruszyła do drzwi, głęboko nabierając powietrza w płuca, by się uspokoić.

- Świat wokół mnie się zmienia, Anno, ale ja jestem za stara na zmiany. Jeśli czegoś ci będzie potrzeba, po prostu przyjdź.

Patrzyłam, jak przez podwórze wraca do swojego domu. Od dawna nie widziałam tak pełnej życia, zadzierzystej osóbki. Była jak mały, stary niebieski raczek z Karoliny i wiedziałam, że będę lubiła, nie, uwielbiała mieszkać w jej sąsiedztwie. Opowie mi historie z lat, gdy nie było mnie na Wyspie Palm, a ja okażę się wdzięczną słuchaczką. Panna Mavis będzie też pomocna w uleczeniu zranionej części mojej natury. Jeśli zechce.

Zaczynałam się już zastanawiać, co się stało z tatą i Lucy, ale dalej pracowałam, rozpakowałam pudła ze sprzętem kuchennym, włączyłam ekspres.

Kiedy wrócili po godzinie, Lucy znowu była inaczej ubrana, a tatuś unikał mojego wzroku.

Takie zachowanie ojca wydawało się zupełnie niezwykle. Uznałam, że najlepiej nie wspominać, że włosy z tyłu głowy mu sterczą, jakby go polizała krowa. Jednorogi stary Dougle. Cóż, tata na pewno jest świadom tego, że kobiety w rodzaju Lucy są emocjonalnymi wrakami: egoistki, dbają tylko o siebie, korzystają z każdej nadarzającej się okazji... Ojej!

Co się ze mną dzieje? I cóż z tego, jeśli nawet tata zaliczył drobne obmacywanko w jej kuchni? Czy to taka wielka sprawa? Boże! No bo kiedy właściwie ostatnio mógł czuć się zakłopotany? Do diabła, to może poprawić mu nastrój i pozytywnie wpłynąć na jego zdrowie! Zrozum, proszę. Nigdy w życiu nie myślałam o tacie odczuwającym popęd seksualny. Od śmierci mamy zupełnie zrezygnował z kobiet, które nie miały nic przeciwko łóżkowym figlom. Ale teraz został złapany na haczyk jak niepodejrzewająca niczego, naiwna, mała rybka. Chyba nawet nie stawiał oporu, i bardzo dobrze. Bóg wie, że jeśli tata czegoś potrzebował i ja też, to tylko, no cóż, sama wiesz...

Tak więc Lucy przyniosła potrawkę, która była - mówię to na wypadek, gdyby jutro znaleziono mnie martwą - najobrzydliwszym daniem, jakie trafiło do mojego przewodu pokarmowego. Składała się z kurczaka, elementu pozornie zupełnie bezpiecznego, zatopionego w serze cheddar, pieczonej fasoli i chipsach taco. Ohyda. Lucy jednak pękała z

dumy, a tata był przymilny, więc jakże mogłam nie okazać wdzięczności! Nasz pierwszy posiłek w nowym domu, a służba zdrowia nie została powiadomiona o konieczności przyjścia nam z pomocą. Tata zajadał, aż mu się uszy trzęsły, ja dziobałam pomiędzy chipsami, a Lucy piła (z zapalem, który wydał mi się godny odnotowania) martini, które także przyniosła.

- Lucy, to był naprawdę piękny gest z twojej strony - powiedziałam.

- Nie ma o czym mówić, złotko!

- Wręcz przeciwnie, panno Lucy - wtrącił tato - to pamiętny wieczór!

Prawda, Anno?

- Oczywiście - odparłam. Bo taki też był. - Na deser jest ciasto, jeśli ktoś ma ochotę.

- Ciasto? A skąd? - zapytał tata.

- Od panny Mavis z sąsiedniego domu.

- Mavis? Żartujesz! Ona wciąż tu mieszka? - zdziwił się tata.

- Tak. Nie poznała mnie.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła Lucy. - Boże kochany! Lepiej się pilnujcie!

Nic dziwnego, że do Lucy nie dotarła informacja, że znamy pannę Mavis. Byłam zaskoczona, że w ogóle trzyma się na krześle.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Dlatego, złotko, że ona jest jak siostry Wścibskie i porucznik Columbo w jednym! Obserwuje moje wyjścia i powroty niczym FBI! Nie kłamię! To szczerą prawdą! Ma wstrętne kociska i tę starą gullah (Gullah - murzyńscy niewolnicy, osiedleni na wyspach oraz terenach przybrzeżnych Karoliny Południowej, Georgii i płn. - wsch. Florydy, a także dialekt, którym się posługują (przyp. tłum.)), która Bóg wie jakie czary tam odprawia! Słuchajcie, wy dwoje, uważacie, że za dużo gadam? - Wstała i przeciągnęła się, pokazując pępek. - Czas, żeby panna Lucy udała się do swojego buduaru, co? Cholerka, Anno, tak się cieszę, że jesteś moją sąsiadką!

- Ja też, Lucy. Dzięki za pomoc.

- Będziemy się wspaniale bawić - zapewniła Lucy.

Jak tylko wytrzeźwiejemy, dodałam w myślach.

Przez cały czas, gdy mówiła, oboje z tatą tylko kiwaliśmy głowami. Teraz dała nam sygnał, że chce się pożegnać, i najwyraźniej kolejny ruch należał do nas.

Tata wstał.

- Mogę odprowadzić panią do domu, panno Lucy?

- To będzie dla mnie największa przyjemność! - odparła.

Wyszłam z nimi na dwór i patrzyłam, jak przecinają trawnik i wchodzi po schodach na ganek. Księżyc nad nimi wyglądał niczym niegrzeczny Kupidyn. Tata rozmawiający z Lucy wyglądał na zakochanego młodego mężczyznę.

Nie mogłam czekać, żeby sprawdzić, czy się pocałują. Tego byłoby za wiele. Poza tym tata miał prawo do prywatności, w końcu dlatego między innymi zdecydowałam się na przeprowadzkę. Jeśli zechce, powie mi, czy się całowali, ale ja go o to nie zapytam.

Wrócił w najbardziej fałszywym złym humorze, jaki kiedykolwiek widziałam; była to przyjęta w ostatniej chwili postawa obronna, dzięki której zamierzał uniknąć przesłuchania. W ogóle nie powinien był się tym martwić. Cmoknęłam go w czubek głowy i oświadczyłam:

- Dzięki, tatusiu. Bez ciebie nie dałabym sobie dzisiaj rady.

- Prześpij się teraz - odparł. - Wrócę jutro.

Patrzyłam, jak wycofuje wynajętą furgonetkę z mojego podwórka. Na Wyspie Palm panowała cisza, na lewo ode mnie rzekome siostry Wścibskie najwyraźniej już dawno poszły spać. U Lucy światła były pogaszone. Ruszyłam na plażę.

Ten wieczór był niezwykle ważny. Po jednym odpływie, jednej przespanej nocy moje największe marzenie stanie się rzeczywistością. Zeszłam wilgotną ścieżką nad ocean. Na mrocznej plaży było o wiele chłodniej, choć od domu dzieliło mnie tylko sto jardów. Wiatr przybrał na sile, niebo pociemniało. Każdy element krajobrazu wydawał się większy, trochę niesamowity. Ruszyłam w kierunku Wyspy Sullivana, myśląc o przeprowadzce, o tym, co jeszcze muszę zrobić.

Niedługo Emily przyjedzie ze szkoły. Po raz pierwszy, odkąd Jim nas opuścił, miałam własny dom. Był niewielki, pewno będzie mu przypominał adaptowaną wozownię, w której mieszkaliśmy, kiedy urodziła się Emily. Zanotowałam w pamięci, żeby zadzwonić do niego z rana i opowiedzieć o najnowszych wydarzeniach. W podniecenie wprawiała mnie myśl, że może się zdarzyć wszystko.

W przeciwieństwie do tych kobiet, którym do życia potrzebny jest mężczyzna, już dawno doszłam do wniosku, że mogę obyć się bez męża. Spotykałam się z wieloma facetami, ale nigdy się nie zakochałam. Przypuszczalnie była to bardziej moja wina niż ich. Nie zostawało mi zbyt wiele czasu, żeby koncentrować się na czymś więcej poza pracą, oszczędzaniem na dom, opieką nad tatą i wychowywaniem Emily.

Na tym etapie musiałam tylko udowodnić sobie, że potrafię zrobić to,

co na całym świecie robią samotni rodzice: stworzyć dom dla Emily i siebie. Może kiedy mi się to uda, kiedy zacznę żyć zgodnie z własnymi pragnieniami, wezmę pod uwagę jakiś dziki romans i ewentualne zamążpójście.

Gorączkowo wręcz pragnęłam, by moje nowe życie wreszcie się rozpoczęło. Do przyjazdu Emily zostały tylko trzy tygodnie. Całą uwagę zamierzałam poświęcić temu, by dom wyglądał jak prawdziwy dom.

Nie mogłam powstrzymać się od rozważań, co też mama by powiedziała, gdyby mnie teraz zobaczyła. Przypuszczalnie byłaby zaskoczona. A Violet? Na wspomnienie babki wybuchnęłam szaleńczym śmiechem. Dostałaby niezłego kręcka, gdyby mogła zobaczyć, jak wprowadzam się do własnego domu na wyspie. Przy jej poglądach na życie! Gdyby wciąż żyła, mogłabym obciążać ją winą za wiele moich problemów. A co z pozostałymi? Cóż, albo sama je sobie ściągnęłam na głowę, albo nie ruszyłam palcem, żeby im zapobiec, to pewne. Istniała długa lista kobiet, które mnie skrzywdziły. Mama była pierwsza, babka Violet druga, Trixie następna. Trixie to mama Jima. Jeśli w piekle jest jakiś stadion, na pewno nosi jej imię.

6. W świetle dnia

Kiedy do pokoju wpadły pierwsze promienie słońca, wyskoczyłam z łóżka. Było w pół do szóstej, o wiele wcześniej, niż zwykle wstawałam. Przedarłam się przez pudła i stosy rzeczy do mojej nowej kuchni, żeby włączyć przygotowany wieczorem ekspres do kawy. Zapach świeżych ziaren sprawił, że na moment zastygłam. Mój pierwszy dzbanek kawy. Oto nadszedł mój pierwszy poranek.

Wciągnęłam workowate spodnie khaki i biały podkoszulek, pobieżnie umyłam zęby, spryskałam twarz zimną wodą. Po kilku minutach byłam już za drzwiami.

Wyspa wciąż spała, w brzasku światła nad gankami połyskiwały bursztynowo. Może zostawiono je zapalone dla kogoś, kto nie wrócił na noc, a może też ten, kto wrócił, zapomniał je zgasić. Lubiłam zastanawiać się nad życiem innych, nad tym, co myśleli, kiedy późnym wieczorem zamykali drzwi domu. Weźmy dla przykładu taką Lucy. Czy co wieczór upija się do nieprzytomności? Czy naprawdę jest nieszczęśliwa, czy tylko udaje? Manipulatorka? Czy tata zasnął, myśląc o niej? Zawsze uważałam, że niewidoczne dla świata poczynania innych są o wiele bardziej interesujące niż to, co ludzie mówią i okazują.

I uwielbiam maski noszone przez moich bliźnich. Te maski to dowód siły ludzi z Południa. Bo czy Południe nie wyzwalało się z taką

częstotliwością, że zrobiło to wrażenie na całym świecie? Każdy wie, że niemożliwością jest odgadnięcie prawdziwych myśli i uczuć tylko z naszego wyglądu. Mamy uśmiechnięte twarze pokerzystów. Mnóstwo zębów. Uprzejmi aż do znudzenia. Chyba popełniamy grzech pychy, sądząc, że świat poznał i docenił nasze doskonałe maniery.

Prawdziwi południowcy od urodzenia marynowani są w zaprawie uroku i wdzięku, którą sporządzili nasi przodkowie. Pieniądze i majątek niewiele mają wspólnego z zachowaniem. Południowcy bez względu na rasę i pochodzenie zachowują się absolutnie bez zarzutu. Doskonale rozumiemy niuanse, które pozwalają odróżnić dobrych starych chłopców, twardzieli i wieśniaków.

Starzy dobrzy chłopcy są tradycjonalistami. Pastują do połysku swoje buty marki Weejuns, noszą koszule z monogramami, ładnie pachną i przepuszczają kobiety w drzwiach. Są światowcami, potrafią mieszać koktajle i niewykluczone, że ukończyli college. Twardziele czasami bez szczególnego powodu mają ciężarówkę, ale to porządni faceci, można ich przyłapać na picciu piwa na śniadanie i nigdy nie cofają się przed męskimi wyzwaniem. Wieśniacy jedzą wieprzowinę i kurczaki wyłącznie rękami, tresują psy rasy Heinz 57, żeby od razu rzucały się do gardeł, niekiedy biją żony, ciężarówki wykorzystują jako minivany do wożenia dzieci na pole i prowokują męskie wyzwania.

Nie znaczy to, że nie szanujemy wszystkich ludzi. Choć bywają wyjątki, jak na przykład moja druga sąsiadka, panna Mavis. Za grosz jej nie obchodzi opinia innych. Na samą myśl o tej kobiecie zaczynam się uśmiechać. Cóż to za niewiarygodna stara despotka! Pewnie bardzo przyjemnie jest, kiedy człowiek całe życie zachowuje się tak, jak ma na to ochotę, i jeszcze zmusza świat, by przyjmował to bez szemrania. Ja na pewno nigdy nie miałam szczęścia cieszyć się taką wolnością. Może kiedy powiem jej, kim jestem, przypomni sobie przeszłość, pogratuluje mi i stanie się dla mnie kimś w rodzaju dobrej babci.

Szłam dalej przed siebie. Na początku powietrze było tak gęste od mgły i rosy, że niemal mogłam złapać je w rękę. Widziałam nie dalej niż na dziesięć jardów. A potem, zupełnie jakby ktoś powiedział: „Dobra, czas na trochę słońca!”, zasłona wilgotnego powietrza zaczęła się unosić, ja zaś zobaczyłam to wszystko, po co tu przyszłam, na żywo i w kolorze.

W oddali dwa psy goniły mewy. Ich pan wydawał się w pogodnym nastroju, machał smyczami i czasami gwizdał na pupilów, żeby do niego wróciły. A one, dwa wspaniałe irlandzkie setery, posłusznie wykonywały polecenie, to znaczy do chwili, gdy zauważały następne stadko mew

brodzące przy brzegu. I znowu z ujadaniem ruszały w pogoń za ptakami, które dosłownie w ostatniej chwili podrywały się do lotu, skrzecząc i piszcząc. Widok był przyjemny, wcale mi nie przeszkadzało, że dzielę plażę z innym człowiekiem. Przelotnie nawet pomyślałam, czy nie sprawić sobie psa. Nigdy nie miałam psa, zupełnie nic nie wiedziałam o tych zwierzętach, ale pewnie byłby z niego dobry kompan, choć pannie Mavis na sto procent by się to nie spodobało.

Byłam w doskonałym humorze; zastanawiałam się, czy gdyby minął mnie ten nieznajomy, nie poczułabym się w obowiązku go pozdrowić, ale tą sprawą nie musiałam się martwić. Zniknął z psami po drugiej stronie wydm. Plaża należała teraz wyłącznie do mnie.

Zerknęłam na zegarek: szósta trzydzieści. Wciąż było bardzo wcześnie, a pierwszą klientkę zamówioną miałam na dziesiątą. Coś trzeba będzie zrobić z Salonem Pięknych Włosów Harriet. Pracuję tam, odkąd skończyłam dwadzieścia lat. Lubię tę pracę, właściwie nawet bardzo. Nieźle zarabiam, większość klientek jest miła. Chodzi o Harriet. Jak powiedziałaby były mąż Lucy, wkurza mnie do nieprzytomności.

Wracając do domu, przystanąłam, żeby wytrzepać piasek z butów do biegania. Pomyślałam, że może znowu zacznę biegać, skoro już mam takie buty. Czyżbym podświadomie sprawiła sobie konieczne do uprawiania sportu rzeczy? Absolutnie nie! Żaden ze mnie sportowiec, śmiałam się z siebie, że spędziłam dwadzieścia lat z rękoma we włosach innych ludzi, zamknięta w klimatyzowanym salonie, nieświadoma zmieniających się pór roku (co nie znaczy, że w Charlestonie pory roku się zmieniają).

Uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem szczęśliwa. Może w ogóle po raz pierwszy, a już na pewno po raz pierwszy od wielu lat byłam naprawdę szczęśliwa.

Przez minutę stałam i patrzyłam na mój domek, usadowiony pomiędzy dwoma o wiele bardziej imponującymi budowlami, należącymi do panny Mavis i Luzackiej Lucy. Różnica pomiędzy ich domami przypomniła mi to, co tata zawsze powtarzał: „Ta wyspa jest pełna charakterów”. Przy odrobinie szczęścia może ja też dorobię się własnego.

Moje podwórko wymaga solidnej pracy. Notowałam w pamięci listę rzeczy do zrobienia, kiedy zadzwonił telefon. Założyłam, że dzwoni tato, żeby się upewnić, czy w nocy nie porwał mnie jakiś szaleniec, ale się pomyliłam. To była matka Jima, moja była teściowa.

- Chciałam zapytać, jak ci idzie, moja droga! Przed chwilą rozmawiałam z twoim tatą, o wszystkim mi powiedział. Nie mogę uwierzyć, że kupiłeś dom, przeprowadziłeś się, a ja nawet go nie

widziałam!

- No tak...

- Słówkiem mi o tym nie wspomniałaś! Ale to nic nowego, w końcu zawsze taka byłaś, prawda?

Jej afektowany ton nieodmiennie wprawiał mnie w stan irytacji, czułam się, jakbym zrobiła coś złego, złamała zasadę, bo wszystkiego z nią nie uzgodniłam. Wyczuwałam w Trixie tłumiony gniew. Mimo to starałam się być miła.

- Musisz mnie odwiedzić! Potrzebuję kilku dni na rozpakowanie i urządzenie się - powiedziałam. - Dom jest mały, ma tylko dwie sypialnie.

- Wielkie nieba! Dwie sypialnie? Ach, jestem pewna, że to ci wystarczy.

Boże broń, żebym kiedykolwiek miała czegoś więcej, niż - twoim zdaniem - potrzebuję.

- Właściwie to jakby mieszkanie z podwórkiem - dodałam - ale za to z widokiem na ocean. Miejsce jest naprawdę wyjątkowe.

- Cóż, jeśli ty jesteś zadowolona, to ja też będę. Może przyjadę w sobotę i przywiozę luuunch?

Lunch nie jest słowem trzysylabowym, Trixie.

- Jasne, świetny pomysł! - Wiedziałam, że nie wymigam się od tej wizyty, lepiej więc mieć ją z głowy jak najszybciej. I niech to diabli porwą, malkontentka we mnie już podnosiła głowę, miałam nadzieję, że ona będzie zadowolona!

Słyszałam, jak Trixie przewraca kartki.

- Och, sobota wykluczona, moja droga! Regaty! Do licha, zapomniałabym o nich! Możesz sobie wyobrazić, co...

- Byłoby okropne, gdybyś nie wzięła w nich udziału - odparłam z nadzieją, że moje słowa nie zabrzmiały zbyt nieszczerze.

- A więc dam ci znać, Anno. A jak się miewa nasza Emily?

- Wspaniale! Wraca do domu za trzy tygodnie! Nie mogę się już doczekać. Nie widziałam jej prawie pół roku, to nasza najdłuższa rozłąka!

- Nasza Emily, rzeczywiście.

- Cudownie! Jak będziesz z nią rozmawiać, pozdrów ją ode mnie serdecznie i powiedz, że bardzo, bardzo chcę ją uściskać!

Pożegnałyśmy się, a mnie ogarnęła nieprzemierzalna ochota, by powiesić jej zdjęcie w łazience. Opowiem ci teraz o czymś, o czym nikt nie wie, i mam nadzieję, że nie rozniesiesz tego po mieście. Jest to skrócona wersja powodów, dla których nie powinno się brać niczego od nikogo poza najbliższymi krewnymi, a nawet wtedy zachowywać najdalej posuniętą

ostrożność.

Po pierwsze osoba, która ma pieniądze, zwykle sądzi, że ma też władzę. Co gorsza, pieniądze naklejają na związki między ludźmi etykiety z cenami. W niektórych wypadkach działa to tak, że doprowadza do rozłamu w rodzinach. W moim wypadku, choć nie zapisałam się na te lekcje, rozpoczęłam edukację od niesławnej randki, zakończonej gwałtem, którego owocem były narodziny Emily.

Trudno może uwierzyć, że w roku 1983 istniało coś takiego jak randka z gwałtem i narkotykami, ale to prawda. Spośród wszystkich znanych mi ludzi wyróżniam się wątpliwie jako jedyna osoba, która zażyła rohypnol, narkotyk na randki z gwałtem. Okazał się niezwykle skuteczny.

Na bal maturalny babka załatwiła mi chłopaka, który - jej zdaniem - był odpowiednim dla mnie towarzyszem. Należy tu zaznaczyć, że chodzi tu o moją pierwszą randkę, ponieważ babka uważała, że pójsie z chłopakiem do kina oznacza uprawianie seksu. Sądziła też, że malowanie ust prowadzi do seksu. Dla ścisłości chcę powiedzieć, że na te jej mądrości reagowałam wyłącznie pogardliwym uśmieszkiem, choć i tak nie miało znaczenia, co myślę. W ostatnich klasach liceum wciąż jeszcze nie umawiałam się na randki, ale wtedy powodem było to, że nie znałam nikogo, z kim chciałabym przebywać. Do szczęścia wystarczali mi przyjaciele.

Tak czy owak, tym wielkim nieudacznikiem, którego mi znalazła, a który odegrał kolejną przełomową rolę w dramacie mojego życia, był syn pastora z Atlanty. Jak sądzę, moja stara babka wykombinowała sobie, że syn duchownego to bezpieczny wybór, nie wzięła jednak w tym równaniu pod uwagę jego pobytu w college'u. W szalonych latach osiemdziesiątych studenci college'u dorównywali swymi wybrykami studentom z lat sześćdziesiątych. Jako że w Charlestonie mieściło się wiele college'ów, jego mieszkańcy wyrozumiałym okiem patrzyli na bójki złych chłopców i potężną konsumpcję alkoholu, usprawiedliwiając takie zachowanie zbyt wieloma zakazami, tęsknotą za domem i tysiącem innych motywów. Cóż, Everett zajmował pokój z chłopakiem z Ameryki Południowej, który parał się importem - sprowadzał mianowicie medykamenty dla celów rekreacyjnych.

Everett, zaopatrzwszy się w pełną kieszeń rohypnolu, zabrał mnie na bal, a potem do domu nad oceanem w Folly Beach, gdzie mnóstwo moich przyjaciół zamierzało spędzić weekend. Przebraliśmy się w szorty i sandały, noc upływała nam w doskonałych nastrojach. Tak dokładnie wszystko pamiętam, jak gdyby się zdarzyło wczoraj, choć z drugiej strony,

można też oczywiście zakwalifikować to jako wspomnienie wryte w pamięć szympansa z sinym zadkiem.

Everett, platynowy blondyn o idealnym uzębieniu, zielonych jak morską wodą oczach i z głębokimi dołeczkami w policzkach, był w porządku, póki nie zaczął pić PJ - co jest skrótem od Punch Jesus, straszliwej mieszanki soku owocowego z jakimkolwiek dostępnym akurat alkoholem - i dobierać się do mnie. Byłam taka głupia, że mi to pochlebiało. Nigdy w życiu nie miałam w ustach kropli alkoholu. Moi najlepsi przyjaciele, Frannie i Jim, wybrali się na to przyjęcie razem, co uznałam za świetny pomysł, ponieważ Jima uważano za geja, a Frannie w tamtym okresie była za gruba, żeby sobie kogoś znaleźć. Oboje przewracali oczami, kiedy Everett całował mnie w szyję. Ja się tylko uśmiechałam. Ależ była ze mnie kretynka.

Wszyscyśmy pili to, co wetknięto nam w rękę, i w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że słodki Everett prowadzi mnie do sypialni. Wciąż pamiętam, jak myślałam, że drzemka to doskonały pomysł, bo do niczego innego i tak się nie nadawałam. Wzrok miałam zamglony i czułam się strasznie słabo.

Następna rzecz, jaką pamiętam, to Jim i Frannie stojący nade mną. Frannie płakała, ja krwawiłam, Jim miał pięść owiniętą koszulką. Najwyraźniej wymłócił Everetta po tej jego ślicznej główce oraz żołądku. Everett dowlókł się do drzwi i odjechał, zostawiając moją osobę własnemu losowi. Frannie i Jim jakimś cudem wsadzili mnie do auta i zawieźli na izbę przyjęć szpitala St. Francis. Miałam złamany nos, z którego leciała krew, i było mi niedobrze.

- Och, mój Boże - powtarzała Frannie - i co my powiemy twojej babce?

- Powiemy, że spadłam ze schodów - odparłam mimo oszołomienia, które wciąż uważałam za skutek wypitego alkoholu.

- Doskonały pomysł - orzekł Jim. - Tak właśnie powiemy.

- Jedź, nie gadaj - poleciła Frannie, po czym znów zwróciła się do mnie: - Trzymaj się, Anno, jesteśmy prawie na miejscu.

Dochodziła już pierwsza w nocy. Jim i Frannie byli przy mnie, gdy jakiś biedny, okradziony ze snu lekarz oczyścił i delikatnie nastawił mi zamrożony uprzednio w celu znieczulenia nos i zalepił go chirurgiczną taśmą. Na koniec wypisał receptę na antybiotyk. Zasugerował, żebym za kilka dni wybrała się do chirurga plastycznego, czego oczywiście nigdy nie zrobiłam i stąd mam na nosie garb. Nikomu nawet nie zaświtała myśl o napaści seksualnej. Włączając w to mnie. Po prostu coś takiego nie

przyszło mi do głowy.

Jim i Frannie nie wspomnieli o tym, czy byłam ubrana, czy rozebrana. Kiedy wreszcie zdobyłam się na odwagę, żeby o to zapytać, dowiedziałam się, że byli zbyt wstrząśnięci całą sceną - pijany, miotający przekleństwa Everett na łóżku obok mnie, ja skrwawiona, jęcząca, z ubraniem w nieładzie - i przede wszystkim chcieli mnie stamtąd zabrać. To znaczy, kiedy już Jim sprzął Everetta na kwaśne jabłko. Jim może i jest gejem, ale zupełnie nie odpowiada zniewieściałemu stereotypowi homoseksualisty, jasne? Bardzo mnie kocha. Zrobilibyśmy dla siebie wszystko.

Tatuz kupił opowiadkę o tym, jak spadłam ze schodów, i przypisał ją beztrójce nastolatki. Pamiętam, jak chichotał i żartował ze mnie, przypuszczalnie zadowolony, że wreszcie zdarzyło się coś niebanalnego w moim poza tym śmiertelnie nudnym życiu. Dzięki temu oboje wydawali się normalniejsi, mniej wykrochmaleni i sztywni. Wypisał mi receptę, pogroził palcem i powiedział, że miałam wielkie szczęście, bo nie skręciłam sobie karku.

Sześć tygodni później byłam pewna, że złapałam grype. Była połowa czerwca, rozprażonego niczym smoła na dachu. Prawdziwe piekło, a ja myślałam, że to już mój koniec. Wszystko mnie bolało i byłam tak zmęczona, że ledwo mi się udawało podnieść głowę albo utrzymać otwarte powieki. Przez cały czas spałam. I wreszcie tata zaczął coś podejrzywać. Z początku sądził, że to mononukleozą, potem, że anemia. Po kilku następnych tygodniach, zdesperowany, wysłał mnie do internisty, swojego starego kumpla, który zalecił wykonanie serii testów, w tym badania krwi i moczu. Wystarczyła niecała minuta i doktor Goodman miał już gotową diagnozę. Siedziałam w jego gabinecie.

- Jesteś w dziesiątym tygodniu ciąży - oznajmił, patrząc na mnie zza biurka.

- To nie jest śmieszne! - wykrzyknęłam i zerwałam się na równe nogi, jakby prąd poraził mnie w pupę.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, Anno. Ile masz lat? - Najzupełniej poważnie zakładał, że jestem nastoletnią puszczałką, która w niewiarygodnie podstępny sposób oszukiwała swego doświadczonego przez los ojca.

- To niemożliwe! - Słowa same płynęły mi z ust. - Niemożliwe.

Dzięki Bogu i wszystkim jego aniołom, i świętym za to, że doktor Goodman zauważył mój wyraz twarzy, ponieważ dostrzegł, a co ważniejsze, uwierzył, że jeśli mówię prawdę, to stało się coś strasznego. I rzeczywiście tak było.

Na doktora czekała jeszcze tylko jedna pacjentka, jako że dzień pracy dobiegał końca.

- Anno - powiedział cicho lekarz, podchodząc do mnie. Ujął moje lodowate dłonie w swoje ręce i ciężko westchnął, po czym patrzył na mnie przez długą chwilę. - Teraz muszę zostawić cię na parę minut, bo w poczekalni jest starsza pani z zapaleniem ucha. Ty tu posiedź i spróbuj sobie przypomnieć, co się mogło wydarzyć. Potem oboje spokojnie, bez hysterii zastanowimy się nad wyjściem z tej sytuacji. Reszta to już moje zmartwienie, nie twoje, zgoda?

Poklepał mnie po dłoni i wyszedł. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, zaczęłam się trząść jak osika. Mógłby przez ścianę wbić mi w serce sztylet, nie zareagowałabym.

Staralam się skupić. W całym moim życiu tylko raz urwał mi się film, a było to po balu maturalnym. Wiedziałam więc, że noszę dziecko Everetta Fairchilda. Everett Fairchild uprawiał ze mną seks, choć ja o tym fakcie nie miałam pojęcia. I co teraz pocznę? Czy powiedziałam mu wtedy, że się zgadzam?

Wciąż zadawałam sobie jedno pytanie: jak to się mogło stać? I dlaczego właśnie mnie się przytrafiło? To takie okropne i niesprawiedliwe! W sierpniu miałam rozpocząć studia na University of South Carolina! Solidnie zapracowałam na tę ucieczkę z domu! A teraz co? Krążyłam po gabinecie.

Ogarnął mnie straszliwy niepokój, bo cała moja przyszłość zaczęła się walić w gruzy. Co zrobi tata? Weźmie strzelbę i zabije Everetta Fairchilda? Zmusi go do ożenku? Najgorsze było to, że wcale nie chciałam być matką!

Nie miałam na to ochoty! Aborcja? W żadnym wypadku! Byłam zbyt przerażona, żeby w ogóle brać takie rozwiązanie pod uwagę! No bo jeśli to rzeczywiście jest morderstwo? Nie chciałam iść do piekła. Jeśli jednak Bóg mnie kocha, jak w ogóle mogło do tego dojść? A anioł stróż? Gdzie był?

Strach rósł, podczas gdy przekonania religijne słabły. Nigdy nie czułam się bardziej samotna. Usłyszałam, jak pielęgniarka mówi doktorowi „dobranoc” i przypomina, żeby zamknął drzwi na klucz.

Po kilku minutach doktor Goodman wrócił, zastając mnie w strasznym stanie. Było mi zimno, trzęsłam się cała i szlochałam głośno. Wzdragałam się przed powiedzeniem mu, że zostałam zgwałcona, ponieważ wcale tego nie pamiętałam. W życiu nie czułam się tak bezradna i bezbronna. Kto mi uwierzy? Nikt, absolutnie nikt.

Doktor podał mi pudełko chusteczek i szklanek wody.

- Nie... - zaczęłam urywanie. - Nic nie pamiętam... Boże!

- Anno - powiedział doktor najłagodniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałam z ust dorosłego - posłuchaj, domyślam się, co zaszło, i chcę ci pomóc.

- Jak ktokolwiek może mi pomóc? Jestem skończona, już po mnie!

- Nieprawda - zaprzeczył doktor. - Ktoś cię wykorzystał, a ja chcę, żebyś mi powiedziała wszystko, co możesz.

Nie wiedziałam, czy uważa mnie za jakąś pierwszą naiwną, która spała ze swoim nauczycielem chemii, nie mając zielonego pojęcia o ptaszkach i pszczołkach, czy za kogo. A może sądził, że jestem upośledzona umysłowo. Tak czy owak, wyjąkałam w końcu wszystko, powiedziałam o złamanym nosie i całej reszcie. Słuchał uważnie, a kiedy skończyłam relacjonować zdarzenia tamtej nocy, oparł się o fotel, zdjął okulary i przetarł oczy. Wydawał się stary jak Matuzalem. W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że przekroczyłam próg, że na zawsze zostawiłam za sobą lata dziewczęce. Przepęłniało mnie poczucie niesprawiedliwości, pragnęłam umrzeć. Czułam niewiarygodny smutek.

- Jeśli uda nam się ustalić ojcostwo, Anno, możemy posłać tego faceta za kratki. Gwałt to poważne przestępstwo.

- A jaka będzie z tego korzyść? - Skręciłam chusteczkę w kulkę i wzięłam następną. Zaczęłam odczuwać gniew.

- Ten sukinsyn złamał ci nos, Anno, wybacz moją łacinę. Zgwałcił cię i jesteś teraz w ciąży. Pomyśl, że to samo może zrobić innej dziewczynie.

O tym na pewno nie byłam w stanie myśleć.

- Nie wiem - odparłam. - I jak ja o tym powiem tacie? To go zabije!

- Zdaj się na mnie, Anno. Potrzebny jest ktoś trzeci, kto pomoże twojemu tacie zachować chłodny umysł. Znam Douglasa Lutza od lat i wiem, że rozsądny z niego człowiek.

- Nic pan nie rozumie! Nie wie pan, jak się wobec mnie zachowuje! Od czasu kiedy mama... i wojna... i jeszcze babka. O mój Boże! I co ja teraz pocznę?

- Oni oboje nie są głupi, Anno, znają życie. Zrozumieją, że to nie była twoja wina, nie mam co do tego wątpliwości. Chodź, odwiozę cię do domu.

Przez całą drogę rozmyślałam, starając się opancerzyć przed wszelkimi możliwymi scenariuszami. Co w najgorszym wypadku może się stać? Babka i ojciec wyrzucą mnie na ulicę? Wątpiłam w to. Babka może, tata nigdy. Kochał mnie i byłam pewna jego miłości. Będzie wstrząśnięty i zły, jak ja, ale potem... co zrobi potem? Nie chciałam o tym myśleć.

Byłam wdzięczna Bogu za towarzystwo doktora Goodmana. Ponieważ był uzasadniony powód do wkroczenia na drogę prawną, tata będzie miał z kim całą sprawę przedyskutować, zanim wezwie kogokolwiek, policję czy prawnika. O mój Boże, pomyślałam, a jeśli rzeczywiście to zrobi? Czy będą o tym pisać w gazetach? A jeśli dojdzie do rozprawy?

Czy nie dość, że rośnie we mnie dziecko, o którego istnieniu do tej pory nie miałam pojęcia? Czy Bogu to nie wystarczy, nie uznał, że przysporzył mi dość problemów w ciągu jednej nocy?

Najwyraźniej nie.

Tata był na frontowych schodach. Doktor Goodman skreślił w podjazd i oboje niemal równocześnie wysiedliśmy z auta. Wyraz przerażenia na mojej twarzy tata skojarzył z wiadomością o śmiertelnej chorobie i pobał jak ściana.

- Hej, Douglas, masz piwo dla starego przyjaciela? - Doktor Goodman chciał, żeby tata poczuł się swobodnie, i ku mojemu zdziwieniu, ojcu wróciły kolory i zdołał opanować niepokój.

- Jasne. Wchodźcie.

Usiedliśmy przy kuchennym stole w milczeniu ciężkim jak kamień. Tata otworzył dwie butelki beka i jedną podał doktorowi.

- Jakie wieści? - zapytał.

Wybuchnęłam płaczem, kryjąc twarz w dłoniach.

- Anna jest w ciąży, Douglasie - powiedział doktor. - Po balu naturalnym chłopak, z którym była, dał jej narkotyk i zgwałcił ją.

Przez chwilę długą jak wieczność w kuchni panowała absolutna cisza.

- Który to miesiąc?

- Dziesiąty tydzień.

- Z Anną wszystko w porządku?

- Wygląda na to, że tak.

Rozmawiali w ten sposób kilka minut, potem tato zwrócił się w moją stronę.

- Zamorduję tego skurwysyna gołymi rękami - oznajmił takim tonem, jakby prosił o podanie masła.

- Kogo zamordujesz?

To babka Violet weszła do kuchni. Po chwili wszystkie mieszkające w niej demony natychmiast puściły się w tany. Zaczęła wrzeszczeć i miotać się jak obłąkana, obrzucając mnie wszelkimi możliwymi obelgami. Tata i doktor Goodman starali się ją uspokoić, tłumacząc, że to był gwałt. Gwałt jednak tylko wyniósł jej szaleństwo na wyższy poziom. Taka hańba! Jak

mogłaś? Ty dziwko! Dlaczego nie walczyłaś? Co z tobą nie tak? Tłumaczyli, że podano mi narkotyki, podniosła wtedy głos do rejestru słyszalnego tylko przez psy. Narkotyki? Narkotyki?

Najpierw myślałam, że babka udaje, ale chwyciła się za głowę, a potem za twarz, oczy przewróciły jej się białkami do góry i upadła na podłogę. Tata zareagował z opóźnieniem, stał jak słup soli - zwykle tak się zachowywał, kiedy jego matka szalała, za to doktor Goodman podbiegł do niej, sprawdził jej puls i uniósł powieki.

- Zadzwoń po karetkę, Douglas. Myślę, że miała udar.

Święta Mario, Matko Boska, to moja wina, pomyślałam. Nie wiedziałam, co robić. Wyszłam z kuchni i usiadłam na tylnych schodach, w zapadającym zmroku patrząc na wody zatoki Charleston. Po raz pierwszy przez wszystkie te lata zapragnęłam, żeby mama żyła. Nie wiem, jak by zareagowała, ale znałaby mnie lepiej i na pewno nie nazwałaby dziwką. Nie byłam dziwką.

Wycie syreny przybliżyło się. Wróciłam do domu, popatrzyłam na brzydką, wykrzywioną twarz babki i ogarnął mnie taki gniew, że chciałam ją spoliczkować. Kiedy ojciec i doktor Goodman wyszli po sanitariuszy, zrobiłam najgorszą rzecz, jaka w ogóle przyszła mi w całym moim życiu do głowy. Pochyliłam się nad babką i szepnęłam:

- Nie jestem dziwką, a w ogóle wszystko to twoja wina, a nie moja. Mam nadzieję, że umrzesz, ty podła, stara, wstrętne suko.

Babka umarła spokojnie w tydzień później. Nigdy nie czułam najmniejszych nawet wyrzutów sumienia. Nie podejrzewałam, że mogę drugiego człowieka aż tak nienawidzić, i to mnie zaskoczyło. Co więcej, obrabowano mnie z szansy na jej pokutę. Zmarli rzadko przepraszają.

Jeśli zakonnice miały rację, swoim niewyparzonym językiem zapracowałam przypuszczalnie na to, że moja arogancka dusza zostanie wysłana do specjalnej izby tortur w czyścicu z prędkością jakichś dwudziestu milionów mil na godzinę. Ogromną zaletą katolicyzmu jest to, że można odpokutować grzech na tej stacji pośredniej dla zbłąkanych. Nawet ja wiedziałam, że oczyszczenie się w oczach Boga wymagać będzie więcej niż jednej wyprawy do konfesjonału. To nie było ważne. Z przyjemnością przyjąłabym każdą karę, którą przygotowałby dla mnie Stwórca. Przynajmniej stanęłam we własnej obronie.

Pogrzeb był skromny i na szczęście odbył się szybko. Nieliczna procesja odprowadziła zmarłą babkę na Cmentarz Magnolii, gdzie została pochowana z uszanowaniem większym, niż kiedykolwiek komuś choć przez minutę okazała. Dziwne, lecz nawet tata zdawał się odczuwać ulgę z

powodu jej przenosin na tamten świat. Kiedy stało się jasne, że babka nigdy nie wróci do zdrowia, chyba uznał, że śmierć jest lepsza niż życie w stanie, w jakim pozostawił ją atak.

Nie trzeba dodawać, że nadal byłam w ciąży i wściekałam się. Ironia całej sytuacji polegała na tym, że kobieta, która i tak bardzo mnie nie lubiła, w dodatku jeszcze wybrała mi gwałciciela. Szczegół ten nie uszedł uwagi mojej i taty. Od dnia ataku do chwili, gdy na zawsze zamknęła powieki, babka Violet ani słowem nie wyraziła żalu z powodu słów, które rzuciła mi w twarz. Nie do wiary. Każda inna na jej miejscu przez wiele dni płakałaby z żalu, ale nie moja. Winiła mnie za ciążę i swój atak. Moje serce bardziej niż kiedykolwiek stwardniało względem niej, ponieważ wiedziałam, jak wielkim i niebezpiecznym błędem z jej strony było zwalenie całej winy na mnie. Rzucanie takich oskarżeń to poważna sprawa.

Zawinił Everett Fairchild, dopuszczając się bezwzględnego aktu przemocy, a przyczyną udaru babki była jej własna głupota. Choć cytaty z Biblii nie schodziły tej kobiecie z ust, nie miała pojęcia o współczuciu i przebaczeniu. A skoro, by tak rzec, wieko się nad nią zamknęło, nadeszła pora, by zacząć rozmawiać o Everecie.

W dzień pogrzebu siedzieliśmy po południu z tatą w kuchni. Jim i Frannie pomagali mi podawać jedzenie. Rano powiedziałam im, że jestem w ciąży; ta wieść wprowadziła ich w zrozumiałe oszołomienie. Frannie płakała i złorzeczyła, Jim był przygnębiony. Znali mnie na wylot, wiedzieli, że na to nie zasłużyłam.

Tamtego dnia drzwi naszego domu się nie zamykały. Jak zawsze, gdy sprowadzał się nowy sąsiad lub jakiś odchodził do wieczności, cała okolica pojawiała się z ciastami, indykami, szynkami i wszelkiego rodzaju potrawkami. Nie mogłam uwierzyć, że ludzie przyszli z jedzeniem, by uczcić pamięć Violet, ale tak właśnie było. Wyglądało na to, że przez długi czas nie będziemy musieli gotować. Kiedy tłum się przerzedził i zostali tylko doktor Goodman, Frannie i Jim, usiedliśmy wszyscy w kuchni, żeby zjeść kolejny kawałek ciasta.

- Chcesz mleka? - zapytała mnie Frannie. - Jasne. Chyba powinnam zrezygnować z coli, co?

- Ona wie? - zapytał tata. Był wykończony, na jego twarzy malowała się mieszanka smutku i rezygnacji.

- Oboje wiedzą. Jim i Frannie to moi najlepsi przyjaciele, tato. Byli tam, pamiętasz?

- Tak, oczywiście. - Odchrząknął, po czym dodał: - Nie mieliśmy

dotąd okazji o tym rozmawiać, ale chcę, żebyście oboje wiedzieli, jak bardzo jestem wam wdzięczny za pomoc, którą tamtej nocy okazaliście Annie.

- Nie ma sprawy, doktorze Lutz - odparła Frannie. - Nie orientowaliśmy się...

- Nie - powiedział tata. - Na pewno.

- Chcę się z nią ożenić, doktorze Lutz, to znaczy, jeśli się pan zgodzi - oznajmił Jim.

Byłam tak wstrząśnięta, że mogłabym mnie jednym palcem zepchnąć z krzesła. Pewnie poczerwieniałam jak burak, bo nagle zrobiło mi się gorąco. Frannie dosłownie szczeka opadła, tak samo jak tacie i doktorowi Goodmanowi.

- Powiedziałem, proszę pana, że chciałbym się ożenić z Anną - powtórzył Jim. - Dziecko potrzebuje nazwiska i ojca. Anna w żadnym wypadku nie może wyjść za Everetta Fairchilda, zresztą nigdy bym jej na to nie pozwolił. Kocham Annę, odkąd poznaliśmy się jako dzieci, i wydaje mi się, że jestem najlepszym kandydatem na tę posadę.

- Jim! - wykrzyknęłam. - Wiesz, że dałabym się dla ciebie pokroić na kawałki, ale nie mogę za ciebie wyjść!

- Dlaczego nie? - zapytał Jim i wstał.

- Bo nie chcę wychodzić za męża! A poza tym jesteś moim przyjacielem! Ludzie nie żenią się z najlepszymi przyjaciółmi!

Tata znowu odchrząknął i oświadczył:

- No, ale powinni.

Po tym stwierdzeniu w mojej głowie zaroilo się od najdzikszych przypuszczeń. Czy tata chce przez to powiedzieć, że małżeństwa z miłości są dla głupców, że on był głupcem, bo kochał mamę, a ja powinnam wyjść za Jima, choć on doskonale się orientuje, że - według wszelkiego prawdopodobieństwa - Jim jest homoseksualistą? Nie wystarczy, że zostałam zgwałcona i teraz spodziewam się dziecka, że nie mogę iść na uniwersytet, wstąpić do stowarzyszenia Tri Delt, mieć chłopaków, chodzić na tańce i mecze? Teraz tata chce, żebym na zawsze związała swoje życie z mężczyzną, który nigdy nie będzie prawdziwym mężem? Czy chodzi o to, że rodzice nie potrafią znieść myśli o życiu seksualnym swoich pociech? Wszystko to wyłącznie dlatego, żeby dziecko, które przyjdzie na świat, miało nazwisko? Chociaż byłam bardzo młoda, wydawało mi się, że żąda się ode mnie za wiele. Zebrałam się na odwagę.

- Jim, okazałeś niezwykłą wielkoduszność, składając mi propozycję małżeństwa, ale nie mogę się na to zgodzić. Po prostu nie mogę.

Wstałam, podeszłam do Jima i objęłam go. Oddał mi uścisk, ujął mnie za rękę, po czym poprowadził ku drzwiom. W progu odwrócił się i zapytał składu sędziowskiego za kuchennym stołem:

- Pozwolicie, że na chwilę wyjdziemy?

Byli jak skamieniali, wszyscy kiwnęli głowami w taki sposób, jak korek podskakuje na falach.

Jim wyprowadził mnie na podwórze i kazał usiąść. Usiadłam na jednym z trzech krzeseł, które stały na trawniku, odkąd się tu wprowadziliśmy.

- Dobra. Zastanawiałaś się nad skrobanką?

- Chryste, Jim! Po pierwsze, to już koniec trzeciego miesiąca. Może gdybym wiedziała o wszystkim sześć tygodni wcześniej, wzięłabym to pod uwagę. Ale jestem taka głupia, w najgorszych snach nie przyszło mi do głowy, że mogę być w ciąży! A poza tym nie zdecydowałabym się na zabieg. W żadnym wypadku. Za wielki ze mnie tchórz.

- Musiałem cię o to zapytać.

- Jim, czy zdajesz sobie sprawę, że nie miałam zielonego pojęcia, że ten drań uprawia ze mną seks? Podał mi narkotyk, na litość boską!

- Dobry Boże. Ktoś powinien wyprać flaki temu skurwysynowi.

- Już to zrobiłeś, pamiętasz?

- Tak, ale jeśli będę jeszcze miał okazję, rozpołowię mu czaszkę jak arbuź.

- I dlatego zawsze cię kochałam i będę kochała.

- Ja też zawsze będę cię kochał. Posłuchaj, chcę zrobić przysługę nam obojgu. Może już do końca życia nie trafi mi się szansa, żeby jakieś dziecko nazwać swoim. Mój brat Paul na wiosnę kończy college i żeni się z dziewczyną, z którą już właściwie mieszka. A ona ma biodra jak klacz zarodowa i przypuszczalnie zajdzie w ciążę, nim pokroją tort weselny! Słoneczko, a jak już raz zacznie, będzie rodzić taśmowo wnuki dla starej Trixie i pana Jimbo! - Mówiąc to, strzelał palcami.

Uśmiechnęłam się. Jim był cudowny, nawet w takiej chwili jak ta, rozgorączkowany, potrafił mnie rozbawić.

Odetchnął głęboko i ukląkł przede mną. Z bardzo poważną miną powiedział cicho:

- Pokochałbym to dziecko, Anno. I bardzo bym nie chciał, żeby ojciec pominął mnie w testamencie, rozumiesz?

Skubiąc skórki przy paznokciach, spuściłam wzrok.

- Jim, wiesz dobrze, że to nie w porządku. Ludzie nie żenią się tylko po to, żeby odziedziczyć pieniądze.

- Tak? Od kiedy to? Żartujesz sobie ze mnie? Poczytaj historię! Ludzie żenią się z każdego możliwego powodu! Nie rozumiesz? Gdyby ojciec wiedział, że śpiewam pod prysznicem piosenki Judy Garland, skopałby mi mój śliczny tyłeczek!

- A jeśli się nie uda?

- Co się nie uda? Słuchaj, możemy przecież oboje iść do college'u w Charlestonie. Rodzice nam pomogą. Mama będzie uwielbiała ciebie i dziecko! Chryste, dziewczyno, można by pomyśleć, że proszę cię, żebyś się rzuciła pod pędzącą ciężarówkę! No dalej, powiedz: tak.

Wstałam i poszłam na brzeg; byłam świadoma, że rozważam najlepszą, a zarazem jedyną propozycję rozwiązania całej sytuacji. Jeśli jej nie przyjmę, moje dziecko będzie nieślubne. Myślałam już o tym, wiedziałam, że nie prosiło się na ten świat, w dodatku w taki sposób. Miałam trzy wyjścia. Pierwsze to oddanie go do adopcji, co z góry wykluczałam. Drugie - wychowanie nieślubnego dziecka przy pomocy taty. I trzecie - wychowanie dziecka z legalnego związku z Jimem.

- Jim, nie owijajmy spraw w bawełnę. Jesteś gejem, tak?

Odpowiedziała mi cisza. Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym go spoliczkowała. Ja jednak musiałam powiedzieć i wysłuchać wiele trudnych rzeczy.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Jim, będę cię kochała do końca swojego życia. Ale nie chcę przekreślać szansy, jeśli w ogóle jakąś mam, na poślubienie mężczyzny, którego pokocham, wychodząc za mojego najlepszego przyjaciela geja. I nie chcę też, żebyś ty czuł się jak w potrzasku! Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Wiem, o co ci chodzi, Anno. Ale kiedy to się może zdarzyć? Za dziesięć lat? Posłuchaj, co proponuję. Wyjdiesz za mnie, zamieszkamy razem i dam dziecku nazwisko. Ja będę dyskretny, ty będziesz dyskretna. Nie będziemy się nawzajem krępować.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? Że jeśli któremuś z nas przyjdzie ochota na romans, to wszystko będzie w porządku, dopóki utrzymamy rzecz w tajemnicy?

- Tak. Wiem, brzmi to dość paskudnie, ale tak.

- Ile pieniędzy ma ci zostawić ojciec?

- Całe wiadra - odparł z uśmiechem.

- Jezu! Dobrze, dobrze. Wyjdę za ciebie, ale tylko jeśli twoja rodzina wyrazi na to zgodę.

- Żartujesz? Skoro jesteśmy na tyle zwariowani, żeby coś takiego zrobić, nie będziemy nikogo pytać o pozwolenie. W weekend jedziemy do

Georgetown i tyle.

- Możemy zabrać Frannie?

- Chodź tutaj! - Jim objął mnie i mocno przytulił. - Anno, masz się nie martwić, rozumiesz? Zostanę ojcem rodziny, Boże dopomóż!

I tak to w moje życie wkroczyła matka Jima, stara dobra Trixie, która spała na pieniądzach

.7. Kochana Trixie

Okay, jesteś zszokowana. Wyszedłam za geja. Ha, pozwól, że coś ci powiem: małżeństwo z Jimem wcale nie było takie złe. Prawdę mówiąc, przez te cztery lata, które spędziliśmy razem, był słodki i uroczy. A seks? No cóż, pamiętaj, że nie byłam gotowa nawet na połowę tego, co mi się przydarzyło, tym bardziej na seks.

Tylko sobie to wyobraź. Masz zaledwie osiemnaście lat, a twój twardej jak kamień, płaski brzuch nadyma się z szybkością światła. Mówią ci, że jest tam dziecko, które będzie chciało wydostać się na świat. Twój mąż wraca z uczelni, robi ci coś zimnego do picia, masuje stopy i bez końca opowiada zwariowane głupstwa, a ty zaśmiewasz się do rozpuku. Mówi ci, że jesteś piękna, cieszy się, kiedy kładzie dłoń na twoim brzuchu, żeby poczuć, jak dziecko kopie. Przynosi do domu pluszowe zwierzątka i maleńkie ubranka, gdy tylko wpadnie mu w ręce dodatkowa gotówka. Jest zauroczony twoją przemianą. Nie może się doczekać zajęć w szkole rodzenia. To, moja kochana, mężczyzna idealny. Do dzisiaj całuję ziemię, po której stąpa.

A teraz przejdźmy do Trixie. Okay, wiem, że chciała dobrze, i naprawdę w to wierzę. Od chwili, gdyśmy oznajmili nowinę, matka Jima była zachwycona. Jego zbity z tropu ojciec, który żywił niejakię podejrzenia co do orientacji seksualnej syna, był w rozterce. Dołączył do niego mój tata, któremu nie powiedzieliśmy, dokąd się wybieramy w tamtą sobotę. Cała trójka szalała jak dzikie rysie, w końcu pierwsza wróciła do przytomności Trixie.

Oznajmiła, że bierze sprawy w swoje ręce, znajdzie nam mieszkanie i wszystkim się zajmie. I rzeczywiście - znalazła uroczy, przytulny domek, przerobiony z dawnej wozowni. Właścicielka posesji, wdowa Augustine Bennett, oświadczyła, że będzie zachwycona obecnością młodego małżeństwa w sąsiedztwie. Panna August - lubiła, żeby ją tak nazywać, bo to sugerowało, że kiedyś jej zdjęcia zdobiły rozkładówkę - była kochaną staruszką po osiemdziesiątce, rzadko wychodzącą z domu.

Trixie wynegocjowała warunki najmu - zresztą młody wiek i tak nie pozwalał nam na samodzielne zawarcie umowy - i uparła się, że będzie

płacić za dom, bo nie chce, żeby któreś z nas pracowało. Dzięki temu zyskiwała pewność, że Jim będzie miał dość czasu na naukę, ja zaś, jak twierdziła, powinnam odpoczywać. Pomijając już fakt, że nie znałam nikogo, kto zgodziłby się zatrudnić ciężarną, i tak nie mogłabym pracować, ponieważ nie czułam się zbyt dobrze. Zamierzałam wrócić do nauki i podjąć pracę, gdy tylko dziecko przyjdzie na świat i uda mi się znaleźć dla niego opiekunkę.

Zdecydowana stworzyć nam małżeński raj, Trixie rozpoczęła meblowanie domu. Chociaż domek z dwoma sypialniami był umeblowany, wszystko oddała do magazynu, każdy cal kwadratowy kazała wyszorować i pomalować. Następnie wyposażyla nas w sprzęty, które uznała za odpowiednie; głównie były to pozostałości z okresu depresji gospodarczej, dotąd przechowywane na strychu. Meble z dzieciństwa Jima - pojedyncze łóżko, biblioteczka, komoda i nocny stolik - zostały polakierowane na biało i przeznaczone do pokoju dzieciennego. W naszej sypialni znalazł się ogromny materac na sprężynach, ulokowany przy ścianie i zarzucony wszystkimi chyba poduszkami świata. Mieliśmy dwa stoliki i kanapę w salonie oraz prostokątny stół w części jadalnej, który szybko stał się miejscem do nauki Jima. W kuchni był dwupalnikowy piecyk i maleńka lodówka. Trixie chciała je wymienić, ale oboje z Jimem sprzeciwiliśmy się. Uznałam, że będziemy żywić się tym, co potrafię upitrasić na chybcika, skoro żadne z nas w gruncie rzeczy nie umie gotować.

Kiedy Trixie zawiesiła w oknach firanki po jakiejś zmarłej krewniaczce, a w łazience nowe ręczniki, zaczęła zwalniać tempo. Jakimś cudem. Ostatnim prezentem od niej była książka „Radość gotowania”.

- Chcę się upewnić, że będziesz właściwie karmiła mojego chłopca.

Ładny strzał, prosto między oczy, pomyślałam.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Mam nadzieję, że nie uważasz, że się wtrącam? - pytała Trixie.

Nic nie dało się poradzić na jej wymowę.

- Nie, proszę pani - odpowiadałam. - Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez pani!

Bo wiesz, żeby prawdę powiedzieć, byłam pozbawioną matki i babki ciężarną nastolatką, która nie miała zielonego pojęcia, co jest normalne, jeśli chodzi o rodzicielsko - matczyne zaangażowanie w życie potomstwa. Mogę ci jednak powiedzieć jedno, i niepotrzebny mi do tego dyplom z psychologii: Trixie miała jak najlepsze intencje, ale była nadopiekuńcza matką, która przypuszczalnie w głębi serca wiedziała doskonale, że jej syn w takim samym stopniu jest ojcem tego dziecka, jak istota z Księżyca.

Mimo to nie przestawała się starać.

Podejmowała wszelkie możliwe próby, żeby wprowadzić mnie do rodziny, i całym sercem oddawała się tej farsie. Moim zdaniem, zawsze była świadoma, że Jim jest gejem. Może sądziła, że jeśli będzie mnie naprawdę mocno kochała, Jim się zmieni. Że jeśli ona odczyni uroki nad naszym małżeństwem, okaże się ono trwałe. Biedactwo. Starła się nawet zmienić mnie w słynną kucharkę Julię Child, oczywiście jeśli w ogóle udawało się podnieść mnie z kanapy.

Spędziłam prawie pół roku, niemiłosiernie eksploatując łazienkę oraz kontemplując sufit naszego mieszkania.

- Przez całe życie nie spotkałam kobiety, która by tak bez przerwy wymiotowała w ciąży! - mówiła Trixie. - Czemu nie zjesz słonych krakersów, kochanie?

Sama wzmianka o słonych krakersach sprawiała, że galopowałam do łazienki, żeby sobie ulżyć, i wracałam prosto na kanapę. Jim zawsze był pod ręką z mokrym kompresem na głowę i szklanką coca - coli, w której nie było bąbelków.

- Nie mów przy niej o jedzeniu, mamó - upominał Jim, po czym włączał „Kocham Lucy”, żeby odwrócić moją uwagę. - Lekarz mówi, że Anna i dziecko są w porządku. A nudności się czasami zdarzają.

- No wiesz, jesteś niesamowita - powtarzała raz po raz Trixie. - Ja nigdy tak nie wymiotowałam! Po prostu rozkwitałam przy moich chłopcach!

To idź rozkwitać do piekła! - myślałam, choć nigdy nie powiedziałam tego głośno. Próbowала. Naprawdę się starała. W tamtych czasach miałam parszywe poczucie humoru.

Jim interesował się naszym domem, robił wiele, by stał się on naprawdę nasz. Przynosił rośliny i przestawiał meble. Jasne było, że ma talent do dekoracji wnętrz, ponieważ z naturalną łatwością i prawie bez żadnych kosztów zmienił dawną wozownię w obiekt wart sesji fotograficznej. Jim był wspaniały.

Zostawmy jednak dom; kiedy urodziła się Emily z platynowymi włosami i urokliwymi zielonymi oczami Everetta Fairchilda, Trixie nie skomentowała tego ani słowem. Może dlatego, że ja też byłam blondynką. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że oczy Emily odziedziczyła po kimś innym. I chociaż wtedy obie uświadomiłyśmy sobie, że mnóstwo rzeczy pozostało niewypowiedzianych, nie mąciłyśmy tej ciszy i żyłyśmy dalej.

Odkąd Emily skończyła sześć tygodni, wozilałam ją po South Battery w ogromnym angielskim wózku, jeszcze jednym prezencie od Trixie. Oto ja,

ubrana w stare dzinsy i spłowiały T - shirt, pcham wózek za tysiąc dolarów. To był absurd.

Brakowało nam pieniędzy, choć Jim dostawał co miesiąc pewną sumę od rodziców. Dawał mi, ile mógł, mnie jednak brakowało odwagi, żeby prosić o cokolwiek dla siebie. Dla oszczędności zaczęłam strzyc Jima sama i nieźle mi to wychodziło. Z czasem stało się również dorywczym zajęciem, za pięć czy dziesięć dolarów strzygłam bowiem innych studentów. Rozeszła się wieść, że jestem w tym dobra.

Tata dawał mi czasami dwadzieścia albo pięćdziesiąt dolarów, generalnie jednak zajął stanowisko, że skoro wyszłam za męża, to powinnam sama płacić swoje rachunki. Rzadko kiedy byłam innego zdania niż on, choć wydawało mi się, że szczególne okoliczności, w jakich się znalazłam, powinny mieć jakiś wpływ na jego opinię. Ale nie miały. I choć kochałam tatę gorąco, wiedziałam, że próżno byłoby prosić go o pomoc. Dziedzictwo Violet było niesamowite.

Tato stał się jeszcze oszczędniejszy niż zwykle, a przy tym uparty jak dziecko. Albo też mnie się tak wydawało. Poza tym musiał pałaszować góry spaghetti i blachy ciasta, które znosiły mu rozmaite wdowy, odkąd wieść o tym, że się wyprowadziłam, rozeszła się w kręgach towarzyskich Mount Pleasant. Uważałam, że to chyba dobrze. Powiększał się jednak między nami niemiły dystans.

Wysilałam mózgownicę, usiłując zrozumieć, dlaczego ojciec tak nieprzyjemnie mnie traktuje. Może po prostu chciał, żebym dorosła. A może był zazdrosny o pomoc Trixie, bo sam jako dziecko doświadczył prawdziwego ubóstwa.

A ja pogrążałam się w niebezpiecznej depresji. Zamiast się cieszyć macierzyństwem, martwiłam się i smuciłam. Nie potrafiłam znieść myśli, że nic nie umiem, nie mam żadnych kwalifikacji czy wykształcenia. Na naukę nie mogłam sobie pozwolić. Tata nie wyrażał chęci udzielenia mi pożyczki. Bałam się wziąć kredyt. Jak bym go spłaciła? Poprosić Trixie? W żadnym wypadku! Z rosnącym zniecierpliwieniem odhaczałam dni w kalendarzu. To miało być moje życie? Zmienianie pieluszek i czekanie, aż Jim skończy studia i zostawi mnie z dzieckiem? Musiałam wyrwać się jakoś z tej czarnej dziury, do której wepchnęli mnie bliscy ludzie i moja własna stagnacja.

Spacery z Emily po ulicach Charlestonu szybko mnie znudziły. Postanowiłam, że muszę znaleźć sobie jakieś hobby, i podjęłam pierwszą próbę zostania ogrodniczką. Pamiętałam, jak w dzieciństwie przyglądałam się mamie. Zawsze bardzo lubiłam jej pomagać przy kopaniu, posługując

się małą łopatką, i napełniać konewkę wodą, zwłaszcza w upalne dni. Może teraz też będzie mi to sprawiać przyjemność.

Nasz domek miał ogródek od frontu i długi, wąski pas ziemi biegnący wzdłuż wschodniej ściany. Z drugiej strony był ceglany mur i nie dochodziło tam słońce. Zdecydowałam, że zacznę od frontu.

Emily spała sobie w wózku, a ja plewiłam i kopałam niewielki ogródek, wyrywając stare korzenie i bulwy, usuwając kamienie. Przy moich skromnych dochodach byłam w stanie zasadzić tylko kilka rzędów kwiatów i ziół. Kiedy zakwitły, uznałam, że bardzo rozweseliły otoczenie naszego domku. I mnie też.

Moje petunie szybko zaczęły się rozrastać. Pewnego dnia zrywałam uschłe kwiaty, by zrobić miejsce dla nowych pąków, kiedy nagle za moimi plecami pojawiła się panna August.

- Twoje kwiaty ładnie wyglądają, Anno - powiedziała. Podskoczyłam na dźwięk jej głosu.

- Dziękuję. Pomyślałam, że dodadzą urody otoczeniu, a ja będę miała coś do roboty.

- Tak. Kiedy byłam w twoim wieku, w całym ogrodzie jak rok długi kwitły różne kwiaty. Teraz już nie zaprzęłam sobie tym głowy. Mam artretyzm, wiesz. Wchodzi w kolana, a do ogrodnictwa potrzebne są posłuszne kolana.

- Tak, proszę pani - odparłam; nie miałam pojęcia, co powinnam powiedzieć.

- Byłam członkiem zarządu Klubu Ogrodniczego w Charlestonie - ciągnęła panna August. - Znałam panią Whaley.

- Jejku. To musiała być wspaniała zabawa. - Pomyślałam, że pewnie jest trochę samotna, a poza tym starzy ludzie lubią wspominać dawne czasy.

- Twój ogród jest tylko tak dobry, jak twoja ziemia, wiesz - dodała.

- Tak, proszę pani, słyszałam to powiedzenie.

- Co trzy stopy zaczyna się nowy ogród, wiesz.

- Tak. - Zaśmiałam się. Panna August bez wątpienia nabierała coraz większego zapału do udzielania pouczeń, po każdym zdaniu dodając „wiesz”, jakbym w ogóle coś wiedziała - ale to nie była prawda.

- Rozumiem, że lubisz ogrodnictwo? - zapytała.

- No, to chyba coś, czego o sobie nie wiedziałam - odparłam. - Okazało się, że bardzo lubię.

- Ręce czarne od ziemi i maleńkie dziecko w wózku. Co innego mogłoby bardziej zbliżyć cię do Boga?

- Tak, proszę pani.

Długo po jej odejściu rozmyślałam o tym, co mi powiedziała. Od ślubu z Jimem zaniedbałam powinności religijne, Emily nie została jeszcze ochrzczona. Może dlatego, że katolicyzm był religią babki, a mnie do niego zmuszono siłą. Wcześniej nie miałam czasu na zastanawianie się nad tą kwestią. Wszystko było zbyt poplątane, wciąż czułam gniew z powodu sytuacji, w jakiej się znalazłam: żona i matka, a nie studentka jak Frannie. Frannie studiowała nauki polityczne na Georgetown University. Przypuszczalnie zostanie zawodowym politykiem. Nie ulegało wątpliwości, że czułam się oszukana, uznałam jednak, że na jakiś czas powinnam przestać się nad sobą użalać. Robiło mi się już niedobrze od własnych myśli.

Moje życie nie było przecież kompletnie przegrane. Ilekroć patrzyłam na Emily, na jej małe paznokietki i niewinne minki, czułam się obdarowana i wdzięczna. Tak, wdzięczna Bogu za zdrowe dziecko i zawstydzona własnym rozgoryczeniem, że nie dostałam dokładnie tego, czego chciałam. Powtarzałam sobie to, co zakonnice wbiły mi mocno do głowy: Bóg ma co do mnie swoje plany. Zastanawiałam się tylko, kiedy po raz ostatni w nie wejrzał, a na myśl, że być może Wszechmogący skierował jednak wzrok w inną stronę, na nowo zaczynałam się martwić. Czytałam ogłoszenia w nadziei, że znajdę jakieś zajęcie poza domem. Choćby w niepełnym wymiarze.

W następnym tygodniu panna August zapukała do moich drzwi.

- Masz czas? - zapytała bez wstępów.

- Tak - odparłam, zastanawiając się, czegoż to może ode mnie chcieć.

Wyszłam przed dom i zobaczyłam ciężarówkę załadowaną po brzegi ziemią uprawną, nawozami i środkami owadobójczymi. Robotnicy zrzucili ziemię koło podjazdu i czekali na dalsze instrukcje.

- To taki mały prezent ode mnie - oznajmiła panna August, bardzo z siebie zadowolona.

- No to w takim razie urządzmy ogród!

Panna August przyniosła dzbanek mrożonej herbaty, a potem nadzorowała mężczyzn, którzy usuwali krzewy i przekopywali ziemię w jej ogrodzie, a potem od frontu i przy ścianie naszego domku. Starannie wykopałam rośliny, by potem na nowo je posadzić.

Siedziałyśmy na ganku jak dwie stare przyjaciółki, popijałyśmy herbatę i patrzyłyśmy na pracujących mężczyzn.

- Uprowadziłam kierownika w szkółce ogrodniczej Abide - A - While w Mount Pleasant, że przyjdiesz po sadzonki. Wybierz, co będziesz chciała.

Czy to ci odpowiada?

- Bardzo, proszę pani!

Byłam taka szczęśliwa, jak tylko kiepska ogrodniczka może być. Poza tym po raz pierwszy w całym moim życiu ktoś mi powiedział: Bierz, co chcesz! Na samą myśl o takiej możliwości ogarnęło mnie wielkie podniecenie. Wciąż tylko karmiłam Emily, odznaczającą się żarłocznym apetytem, a przecież uprawa ziemi to doskonała rozrywka, która zajmie mi myśli. Panna August zaskoczyła mnie, dodając:

- Pomyślałam, że mogłabym ci zaoferować niewielkie wynagrodzenie, jeśli będziesz pielęła także mój ogród. No wiesz, żeby utrzymać go w porządku. Co powiesz na siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo? Chodzi mi o to, że każda dziewczyna powinna mieć własne pieniądze.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, siedziałam więc w bujanym fotelu, myśląc i szukając słów, by jej podziękować. Jim nie miał aż tylu kumpli, których mogłabym ciągle strzyc!

- Dobrze, umówmy się, że będzie to sto pięćdziesiąt dolarów na tydzień, ale jeśli powiesz mężowi, zrywam umowę! Albo teściowej! Tej intrygantce! To sprawa tylko między nami, jasne?

- Panno August, cudownie! Bardzo dziękuję i niech mi pani wierzy, że nikomu nawet słówkiem o tym nie pisnę!

- Doskonale! Z pewnością nie okażesz się gorsza niż ten idiota, który ostatnio u mnie pracował. Irlandzki pijus, ot co! Miał szerniały kciuk i dziurę w nodze, tyle ci powiem!

- Będę się starała, panno August.

I dotrzymałam słowa. Nowe ogrody rozrosły się i zmieniły w kalejdoskop barw i zapachów. Trixie nie mogła się nadziwić, powtarzała, że panna August znalazła czarodzieja. Nie miała pojęcia, że tym czarodziejem byłam ja, dopóki kiedyś nie zaskoczyła mnie przy pracy.

- Nie wiedziałam, że lubisz uprawiać ogród, Anno. Powiedziała to takim tonem, jakim ludzie mówią: Nie

wiedziałem, że umiesz czytać, kochanie!

- Tak - odparłam. - Bardzo to lubię.

- No, jeśli możesz to robić dla Augustine, to może mogłabyś także i dla mnie?

- Jasne, zobaczymy.

Wydawało mi się, że ta wymiana zdań była niezobowiązująca, choć dotarło do mnie zawarte w słowach Trixie przesłanie: skoro ona płaci nasze rachunki, jestem jej coś za to winna. Ja jednak wcale tak nie czułam.

Może Jim był jej coś winien, lecz to, że płaciła za nas czynsz, nie upoważniało jej, moim zdaniem, do wymagania ode mnie pracy fizycznej. Macierzyństwo i małżeństwo bez spełnienia sprawiły, że trochę zgorzkniałam.

Powiedziałam Jimowi, że Trixie chce, żebym zajęła się jej ogrodem. W odpowiedzi usłyszałam, że mam się nie przejmować, bo niedługo zapomni, że w ogóle coś takiego mówiła. Powinnam sama to wiedzieć najlepiej.

Ogrody kwitły - ogromne kępy astrów, malw i trawy na tle niebieskich, białych i różowych kwiatów jasnoty oraz szarobłękitnych aksamitnych czyścica wełnistego. Od mojej doradczyni z Abide - A - While - nazywała się Libby Hawkins - przejęłam zdecydowane przekonanie, że w ogrodzie nie powinno być niecierpka i begonii. Libby wyznawała filozofię, że ogród z niecierpkami i begoniami wygląda jak stacja benzynowa. Z początku nie całkiem się z nią zgadzałam, ale postanowiłam wypróbować jej teorię w praktyce. W jednej sprawie miała rację. Brak niecierpków bez wątplenia dodawał ogrodowi dystynkcji.

Wyglądało na to, że cała moja robota sprowadza się do tego, żeby roślinę posadzić w ziemi, a ona zaraz sama ruszy ku słońcu. W szopie panny August znalazłam stos krat, które oczyściłam i ustawiłam, a potem posadziłam przy nich małe mandewille i jaśmin konfederacki. Rośliny w mgnieniu oka obrosły drzewa i wszystko, co znalazły na swej drodze. Kupiłam książkę o przycinaniu i zabrałam się do wiekowych bukszpanów panny August. Po czterech tygodniach pełno było na nich nowych, żywotnych gałązek.

Pod koniec lata miałam pieniądze w banku, a panna August nie posiadała się z zachwytu. Wyczyściłam stary żeliwny stół i krzesła w ogrodzie; z okna nieraz widywałam ją tam, jak się rozgląda wokół, popijając coś zimnego.

Emily, która powoli przestawała być niemowlęciem, włosy miała coraz jaśniejsze, a oczy coraz bardziej zielone, Trixie zaś dalej na całego wtrącała się w nasze życie, zupełnie niespieszona wyraźnymi dowodami na wątpliwą raczej tożsamość ojca dziecka.

Mój teść Jimbo, który wzruszył ramionami, widząc po raz pierwszy maleńką Emily, wiedział swoje. Prawie trzydzieści lat znoszenia dominacji władczej Trixie doprowadziło go na skraj szaleństwa, w ramach odwetu więc zajął się brydżem i jeździł z turnieju na turniej po całym świecie. W hotelu Connaught w Londynie zabił go tętniak. Jimbo umarł, mając zaledwie pięćdziesiąt siedem lat, choć w rękach trzymał dość kart

atutowych, żeby podbić cały świat. Trixie szybko przyszła do siebie po stracie męża, a Jim zajął się własnymi sprawami.

Śmierć mojego teścia stała się początkiem końca naszego małżeństwa. Jim zaczął wracać późno, cuchnąc potem, piwem i papierosami po wieczorze spędzonym na tańcach w którymś z barów dla gejów w Charlestonie. Rano zastawałam go śpiącego w ubraniu na kanapie. Kiedy go budziłam, wołał:

- Wielki Boże, Anno! Wierzyć mi się nie chce, że pozwalasz mi tak długo spać! Spóźnię się na zajęcia!

Ledwo wyszorował zęby, i już go nie było. Wracał do domu, spał do dziesiątej albo jedenastej i znowu wychodził. Naturalnie, nie zdarzało się to codziennie, a kiedy był z nami, nie skąpił czasu ani uwagi Emily. Kochał ją na zabój. Ale kiedy skończyła trzy lata, prowadził już własne, odrębne życie. A z rozmów telefonicznych jasno wynikało, że z kimś się spotyka.

Kiedy po śmierci ojca otrzymał swoją część spadku, formalnie rzecz biorąc, spełnił warunki naszej umowy. Nie poprosił mnie wcale, żebym się wyprowadziła ani nic w tym rodzaju. Nie, łączyło nas głębokie przywiązanie, choć ja byłam niespokojna. Wiedziałam, że Jimowi zależy na swobodzie, i nie mogłam go za to winić.

Wiesz, chodzi mi o to, że w głębi serca zawsze wiedziałam, że nasze małżeństwo w końcu natrafi na jakąś rafę, ale nie byłam na to przygotowana. Co więcej, nie chciałam, żeby Trixie poznała prawdę. Rację mają starzy ludzie, utrzymując, że kiedy w rodzinach zaczynają się tajemnice, do drzwi pukają kłopoty.

Trixie udawała, że nic nie zauważa. Wobec wnuczki była tak troskliwa, jak powinna być babka, co znaczy, że nigdy nie zapominała o urodzinach ani o Gwiazdce. Kiedy Emily miała ospę wietrzną, to babcia Trixie smarowała jej pęcherze maścią kojącą, śpiewając przy tym piosenki z Broadwayu. Dzięki niej mała nauczyła się słów piosenek z „Pięknej i bestii”, „Króla Lwa” i „Nędzników”. Emily śpiewała też piosenkę z „Kabaretu” niczym jakaś miniaturowa Ethel Merman, co niekoniecznie było najlepszym wykonaniem na świecie, ale nie szkodzi.

Stosunek Trixie do Emily nie stanowił więc problemu. Kłopoty się zaczęły, kiedy Trixie dostrzegła oznaki psychicznego dyskomfortu, w jakim żył Jim. Był jej synem, a żadna matka nie chce, żeby jej syn był nieszczęśliwy. Trixie poza tym podejrzewała, że siedzę na pieniądzach od panny August. Przez cały czas robiła na ten temat aluzje, które ja konsekwentnie ignorowałam.

Po plecach chodziły mi zimne dreszcze, kiedy Trixie usiłowała przeniknąć wszelkie szczegóły naszego życia.

Z początku działała subtelnie. Dzwoniła późnym wieczorem i prosiła do telefonu Jima. Oczywiście nie było go w domu, a ja serwowałam jej jakąś bajeczkę, że jest na przykład w bibliotece. Moje słowa kwitowała milczeniem i głębokimi westchnieniami.

Po telefonach nastąpiły pozornie niewinne, niezapowiedziane wizyty pod hasłem „właśnie przypadkiem byłam w sąsiedztwie”. Trixie wpadała z jakimś drobiazgiem dla Emily i węszyła po domu niczym pies myśliwski. Jej uwagi nie uchodziła wygnieciona kanapa czy wąskie łóżko w pokoju Emily, gdzie Jim zwykle sypiał. Wiedziała dokładnie, co się dzieje. Nie dzielimy łoża małżeńskiego, a więc nie ma i małżeństwa.

I w końcu zaczęła mówić, krusząc dzielący nas mur nieuczciwości. Z Emily w spacerowym wózku szłyśmy King Street, przystając przed witrynami wszystkich sklepów z antykami. Przed Birlant's Antiques Trixie powiedziała:

- Wiesz, Anno, to nie może trwać w nieskończoność. Chodzi mi o to, że nie uważam, bym musiała utrzymywać ciebie i Jima, skoro ty zajmujesz się ogrodnictwem, a on się uganiania Bóg wie gdzie.

Czyżby życie znowu miało lec w gruzach? Wbrew mojej woli? Trixie zaskoczyła mnie zupełnie. Oczywiście bardzo dużo myślałam o naszym małżeństwie.

- To rzeczywiście problem - powiedziałam tylko.

- To więcej niż problem. To jakaś szopka.

Poczułam wtedy, że rośnie we mnie żar jak w hutniczym piecu. Nie mogłam dłużej znieść jej obecności. Coraz szybciej pchałam wózek, a Trixie musiała niemal biec, żeby dotrzymać mi kroku.

- Zwolnij, Anno. - Brakowało jej tchu. - Porozmawiajmy o tym.

- Nie, nie chcę z panią o tym rozmawiać. Wracam do domu.

Biegłam ulicami, byle dalej od niej, aż wreszcie byłam bezpieczna, z powrotem w naszym domu. Emily patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, kiedy schyliłam się, żeby wyjąć ją z wózka. Wyczuła, że dzieje się coś złego, i zaczęła płakać.

- Mamusiu!

- Cicho, dziecinko. Wszystko jest dobrze. Potrzebujesz drzemki, złotko. Mamusia położy cię do łóżeczka.

- Co się stało, mamusiu?

- Nic, kochanie.

Czasami wspólnie ucinałyśmy sobie drzemkę na pojedynczym łóżku

w jej pokoju. Kładłam ją od ściany i przytulałam do siebie jak szczeniaczka. Tamtego dnia jednak ona musiała wygodnie się położyć i zasnąć, a ja - zastanowić. Przykryłam Miły ulubioną kołderką, opuściłam żaluzje i włączyłam kasetę z kołysankami. Czują się pewniej, kiedy spała przy swojej muzyce, a ja bez żadnych ograniczeń pozwalałam jej być małym dzieckiem.

- Teraz zaśniesz jak grzeczna dziewczynka - powiedziałam, podając jej ukochaną lalkę Lulu.

Emily już oczy się kleiły, wyszłam zatem, zostawiając drzwi uchylone. Nie wiedziałam, co robić, zadzwoniłam więc do taty. Jego recepcjonistka Naomi kazała mi czekać. Rzadko dzwoniłam do gabinetu, ale nigdy nie odmówił mi rozmowy.

- Co się dzieje, Anno? Emily dobrze się czuje? - zapytał.

- Ona tak, ale ja nie.

- O co chodzi, cukiereczku?

- Potrzebuję rady. To poważna sprawa.

- Strzelaj.

- Nie przez telefon. Możesz do mnie przyjść?

- Tak, jak tylko zaszczepię trojaczki Salernich i pobiorę wymaz z gardła dziecka McGinnisów.

Czekając na tatę, krążyłam po pokoju. Emily spała jak kamień. Nie miało sensu ojca okłamywać. Byłam zresztą pewna, że i tak już wszystko wie. Zgodnie z obietnicą, nie minęła godzina, gdy siedział już w moim salonie.

Pocałowałam go w policzek i zapytałam:

- Napijesz się herbaty? - Jasne. O co chodzi?

- O mnie, Jima i Trixie.

- A masz piwo?

- Pewnie. - Otworzyłam dwie butelki, jedną dla siebie, drugą dla niego. Stuknęliśmy się, podczas gdy tata zbierał się w sobie, by usłyszeć to, czego wcale nie chciał słyszeć - co do tego nie miałam wątpliwości.

- Tatusiu, muszę się rozstać z Jimem - zaczęłam. - Nie mogę wiecznie tak żyć.

- Co zrobił? - Tata odstawił butelkę na stół i przysiadł na skraju kanapy. - Co się stało?

- W gruncie rzeczy to nie jego wina ani moja... Opowiedziałam mu całą historię. Pod koniec tata stał

przy oknie i patrzył na ogród. Zapadło milczenie, tak głębokie, że słyszałam pulsowanie krwi w uchu. Kiedy tata się do mnie odwrócił,

wyczułam, że jest smutny i rozczarowany.

- Nie powinienem był ci pozwolić, żebyś za niego wychodziła - powiedział. - Przykro mi. Gdybym okazał więcej stanowczości...

- Tatusiu. - Objęłam go w pasie i oparłam głowę o jego pierś. - To nie twoja wina.

- Ale po śmierci matki...

- Nikt nie jest winien.

Poklepał mnie po plecach i odsunął się.

- Rozważmy wszystkie ewentualności - rzekł, po czym jednym haustem opróżnił butelkę. - Możesz wynająć mieszkanie, oddać Emilię do przedszkola, narażając ją na Bóg wie jakie choroby i ataki pedofilów, a sama znaleźć fizyczną pracę w rodzaju odwracania hamburgerów na ruszcie i powiększania tłustych zadków klientów. Albo też możesz wrócić z Emilią do domu, dopóki nie staniesz na własnych nogach. Możesz się dalej uczyć. Bez trudu znajdę opiekunkę dla Emili. A potem możesz się wyprowadzić i żyć na własny rachunek.

- Ten drugi wariant mi się podoba. Wspaniale. Dziękuję, tatusiu.

Łzy zaczęły mi płynąć niczym rzeka występująca z brzegów, płakałam tak długo, aż koszulę miałam zupełnie moką. Usiedliśmy na kanapie i tata gładził mnie po plecach, zataczając dłonią kółka po łopatkę; tak samo pocieszał mnie, gdy byłam mała. W kółko i w kółko, dopóki się nie wypłakałam.

- Nie powinienem był ci pozwolić na to małżeństwo - powtórzył. - Należało się sprzeciwić. Ale to był okropny okres, ta nagła śmierć mamy i cała reszta...

- Nienawidziła mnie - powiedziałam. - Obwiniła.

- I co z tego? Przecież to bez znaczenia; możesz mi wierzyć, że sporo się nad tym zastanawiałem. Była naprawdę niegodziwą starą jędzą bez serca. Przypuszczalnie dokłada teraz węgli do ogni piekielnych. - Tata uśmiechnął się do mnie krzywo.

To samo ja czułam do babki.

- Cóż, niech spoczywa w spokoju, stara suka.

- Ty to powiedziałaś!

Nie było ważne, czy tata naprawdę tak myśli o swojej matce. Próbował mnie przekonać, że wszystko będzie w porządku i że we dwoje, nie, we troje, stanowimy rodzinę. Podał mi szklanekę wody, którą wypiałam, czkając i dławiąc się. A choć wciąż płakałam, zaczęłam się też śmiać. Wizja babki dokładającej węgli pod ogień piekielny była zbyt piękna, by dalej szlochać. Gdyby zobaczyła, w jakiej teraz znalazłam się sytuacji,

pewnie by jej pękła kolejna żyłka.

- Boże, to było wspaniałe. Dziękuję, tato. Bardzo tego potrzebowałam.

- No cóż, jej głupie zadufanie w sobie może i posłało ją do diabła, ale ty dalej jesteś moją małą dziewczynką. - Znowu mnie objął i mocno uściskał. - Emily też. Zawsze tak będzie.

Słyszałam, że Emily się bawi, i wiedziałam, że muszę się wziąć w garść, żeby znowu być matką. I co ja powiem Jimowi?

Przytuliłam tatę ze słowami:

- Muszę to sobie przemyśleć. Dziękuję, tato, tak strasznie cię kocham!

Do salonu weszła Emily.

- O, Doktor! Doktor! Chcę na ręce!

Po wyjściu taty pobawiłam się z Emily, a zanim wrócił Jim, zdążyłam już ułożyć prowizoryczny plan. Tata nie powiedział złego słowa o Trixie. Nie usłyszałam od niego: „Mówiłem, że tak będzie”. Po prostu, z serca, zaproponował mi schronienie. Dzięki Bogu! Myślałam, że nigdy tego nie zrobi, kiedy jednak zrozumiał całą głębię mojego problemu, a ja przyznałam, że sama jestem sobie winna, stanął po mojej stronie. Porozmawiam z Jimem. Jeśli nie tego wieczoru, to następnego.

Pragnęłam nienawidzić Trixie i twierdzić, że chodzi Wyłącznie o pieniądze. To nie była prawda. Rzeczywiście, Trixie zawsze umiała sprawiać, że czułam się jak pijawka, ale i dzisiaj myślę, że po prostu nie potrafiła inaczej. Nie byłam pijawką. Byłam po prostu za głupia, za leniwa wolałam widzieć się w roli ofiary. Ale czy tak musi być do końca życia? Czy jestem tchórzem? Nie, powinnam stawić czoło faktowi, że to wszystko - moje małżeństwo cały ten układ - polegało na oszukiwaniu innych. Uczciwe i szczerze były wielkoduszność mojego ojca oraz niewinność Emily. Przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie będę kłamać i manipulować własnym życiem. Ani życiem innych ludzi.

8. Przyływy i odpływy

2002

W pierwszym tygodniu na Wyspie Palm w dzień pracowałam w salonie, po powrocie do domu zaś zajmowałam się rozpakowywaniem rzeczy, snułam sny na jawie, urządziłam się, a o zachodzie słońca piłam koktajle z Lucy, niemal zawsze w towarzystwie taty. Czasami wydawało się, że przyjeżdża tu dla mnie, kiedy indziej znów, że powodem jest jego fascynacja Lucy. Niezależnie od motywów, dodawało mu wigoru okazywane przez nią zainteresowanie. I oczywiście był przekonany, że

nadal jest niezastąpiony, bo ciągle wyznaczałam mu drobne zadania. Świetnie się składało, że miał wiertarkę bezprzewodową.

To jasne, że folgowałam sobie i wspominałam przeszłość. Łatwo było pograć się w sentymentalnych rozmyślaniach, kiedy słońce wędrowało po niebie ze wschodu na zachód, a morzem władały przypyływy i odpływy. Rano widziałam wokół połyskliwą wodę i czyste lazurowe niebo. Wieczory były zmysłowe, wilgotne, słone, domagały się zaspokojenia najgłębszych pragnień. Postanowiłam, że nigdy nie opuszczę wyspy.

Codziennie jeździłam do Salonu Pięknych Włosów Harriet, moje myśli jednak były gdzie indziej. Nadszedł czas, by przestać marzyć, spoważnieć i uporządkować wszystkie sprawy, nim Emily przyjedzie z Waszyngtonu.

Spacerując po plaży, przystanąłam, żeby poskładać gazetę. Postawiłam na niej termos z kawą, by uchronić ją przed nagłym porywem wiatru. Zaczęłam trochę biegać. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz biegałam (chyba że to była ucieczka), i zastanawiałam się, czy nie będę się potykać. Przypuszczalnie wyglądałam dość głupio, ale z drugiej strony, moją jedyną widownią były skrzydlate. I kto by się tym przejmował? Pomyślałam, że chwilę pobiegam, potem pochodzę i sprawdzę, jak sprawuje się mój puls. Przeczytałam, że powinno się tak robić, w jakimś czasopiśmie, gdy stałam w kolejce do kasy w supermarkecie. Do wszystkich tych kolorowych gazet pisują nieprawdopodobnie młodzi mężczyźni i kobiety, a ich zadaniem jest danie do zrozumienia ludziom takim jak ja, że od ogromnego brzucha i rychłej śmierci dzieli nas tylko krok, jeśli nie zaczniemy intensywnie ćwiczyć. Wiedziałam, że moja kondycja pozostawia wiele do życzenia, i nie miałam zamiaru puszczać się w szaleńczy galop, na którego końcu pęknie mi serce. Zbadałam puls, przeszłam spory odcinek, a potem znów ruszyłam biegiem, myśląc przy tym, że takie wyczyny sportowe to już nie dla mnie.

Zaczynał się przypyływ, mokry piasek był twardy, połyskiwał w porannym słońcu. Po kilku minutach te same co kilka dni wcześniej dwa irlandzkie setery zaczęły zabiegać mi drogę, najwyraźniej zainteresowane tym, żebym runęła jak długa. Byłam tego niebezpiecznie bliska, ale zatrzymałam się i popatrzyłam na nie.

- Hej, głupie psy, chcecie, żebym skreśliła przez was kark?

Jeden, suka, przysiadł na przednich łapach, z zadem wysoko uniesionym, i machał ogonem, gotów do zabawy. Drugi stanął na tylnych nogach, a potem pobiegł ku czemuś z tyłu, za moimi plecami.

- Przepraszam.

Odwróciłam się i ujrzałam właściciela seterów, przypinającego smycz do obroży jednego z nich.

- Głupie psy! Nikki, do nogi!

A więc suka, bardziej rozbrykana z tej dwójki, wabiła się Nikki. Zaczęła biegać w kółko, podczas gdy ja stałam i czekałam, aż pan weźmie swoich pupilów w rzy. On też czekał. Chyba myślał, że Nikki w końcu sama się zmęczy i przyjdzie do niego. Niestety, wyraźnie było widać, że jej energia przewyższa jego cierpliwość, wyciągnął więc ku niej rękę ze smyczą i rzucił rozkazującym tonem:

- Idziemy!

Nikki zwolniła i zbliżyła się do niego, schylając łeb, żeby jej też mógł przypiąć smycz do obroży.

- To dobre psy, naprawdę, tyle że mają diabła za skórą - wyjaśnił. - A przy okazji, jestem Arthur. Arthur Fisher.

- Cześć, Arthurze. Jestem Anna Abbot. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Cóż, opat lepszy od mnicha (Gra słów. Abbot to po angielsku „opat” (przyp. tłum.)) - oznajmił Arthur i zachichotał, dumny ze swego dowcipu.

- Ha, pewnie ci się wydaje, że pierwszy na to wpadłeś, co?

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

Miał roztańczone oczy, ładne, piwne, z długimi rzęsami. Brązowe włosy były ostrzyżone krótko, prawie na jeża, tu i tam srebrzyła się nitka siwizny. Oceniałam, że ma jakieś pięć stóp dziesięć cali wzrostu. Stare dzinsy. Bawełniana koszula. Wzbudzał zaufanie. Przystojny, nie oszałamiająco, ale miło było zawiesić na nim wzrok. Uroda cokolwiek surowa, typ Harrisona Forda. Bez obrączki.

- W porządku, to było śmieszne - powiedziałam. - Mieszkasz w okolicy? - Matko jedyna, zgłupiałam czy co? A może do końca życia mam już być sama?

- Tak. Ściślej rzecz biorąc, opiekuję się domem przyjaciela, który wyjechał na Alaskę. To jego psy. Dla „National Geographic” prowadzi badania nad zwyczajami godowymi maskonurów.

- Boże Wszechmogący!

- To takie ptaki.

- Dzięki Bogu. Już myślałam, że jakieś plemię. Uśmiechnął się od ucha do ucha i mogłam zobaczyć dołeczki w jego policzkach.

- Pracuję w Charlestonie i zastanawiam się, czy nie zostać tu na stałe. A ty?

- Wychowałam się tutaj, najpierw na wyspie, a potem w Mount

Pleasant, a teraz wróciłam.

- Dlaczego mi się zdaje, że nie mówisz wszystkiego?

- Co takiego? - Znowu się nie pilnowałam. Boże, czy ja już nie potrafię zamienić kilku słów z mężczyzną, tak by nie wydawać się żywym dawcą mózgu?

Szliśmy brzegiem, patrząc, jak Atlantyk wsysa piasek i fale. Ten odgłos był muzyką, surową i domagającą się ciszy i spokoju.

- A twoje życie? - zapytał. - Mnóstwo przeprowadzek i niewiele poza tym?

Zjeżyłam się. Do diabła, kim jest ten nieznajomy facet, może to zboczeniec, że zadaje mi tak osobiste pytania? Mimo to zdecydowałam, że będę urocza, bo może jednak nie jest zboczeńcem, tylko wolnym inteligentnym mężczyzną, niezależnym finansowo i szukającym takiej dziewczyny jak ja. Nigdy nic nie wiadomo.

- No cóż - odparłam, mobilizując całą nonszalancję, na jaką było mnie stać, zważywszy wczesną porę oraz fakt, że na plaży pojawili się inni biegacze, którzy w razie konieczności mogli mnie uratować - trochę jesteśmy wścibscy, prawda? - Roześmiałam się krótko i spojrzałam, by się upewnić, jak to przyjął. Gdyby nie miał poczucia humoru, i tak nie byłabym zainteresowana.

- Pozwól, że zgadnę. Kupujesz wiejski serek z ananasem i jesz go z krakersami firmy Ritz?

- Ojejku! Chryste! - Dobra, był dziwny. - Żeby coś takiego powiedzieć! Skąd, do diabła... - Jak mógł się o tym dowiedzieć? Szpieguje, co mam w lodówce?

- Ponieważ, szanowna pani, jestem Serowym Ekspertem z Charlestonu.

Wybuchnęłam śmiechem. Uwaga, świr! Ale miły świr.

- Serowy Ekspert z Charlestonu. To miło. Wspaniale! Naprawdę! Rewelacyjnie! Jestem... eee... zaszczycona.

- Nie, nie. To całkiem poważne stanowisko.

- Oczywiście. W końcu każde miasto potrzebuje takiego eksperta, prawda?

- Natur - haaalnie - odparł z okropnym francuskim akcentem. Wyczuł jednak, absolutnie prawidłowo, że niejasności są interesujące tylko do pewnego punktu, po którym zdrowi na umyśle ludzie słusznie oczekują wyjaśnień. - Nie, chodzi o coś innego. Wiesz, że restauracje mają specjalnych kelnerów, którzy pomagają klientom wybrać gatunek wina?

- Jak na przykład u Dunleavy'ego?

Dunleavy's Pub miał miliard gatunków piwa, ale wino oferowano tylko według kolorów: białe, czerwone i różowe.

- Nie, mądralo, jak w High Cotton albo Cypress, gdzie karta win oprawna jest w skórę i trzeba dwóch ludzi, żeby ją podnieść.

- Aha! No, ale ja tam nie byłam, więc nie wiem.

Spojrzałam na niego przymrużonymi oczyma, przesyłając ciche ostrzeżenie, żeby nie próbował udawać wielkiego bywalca. Przy ludziach, którzy na prawo i lewo szastają pieniędzmi, dostają gęziej skórki. Im dłużej jednak z nim rozmawiałam, tym ciekawszy mi się wydawał.

Po chwili omawialiśmy restauracje w Charlestonie. Stale otwierano nowe, a ludzie ciągle szukali takich, które ukryte były w pobliżu doków, jak The Wreck w Mount Pleasant nad Shem Creek albo legendarny lokal na Bowen's Island niedaleko Folly Road. W samym Shem Creek każdy mógł znaleźć coś dla siebie, okolica ta znana była z największego wyboru. Mieściły się tam: Trawler, California Dreaming, The Water's Edge i mój od dawna najbardziej ulubiony lokal - The Shem Creek Bar and Grill.

Jego główną atrakcją - poza widokami - było doskonale jedzenie i miła obsługa. Pracował tam Albert, prowadził bar z ostrygami. Al był maszyną do wyjmowania ostryg ze skorup. Robił to chyba najszybciej na całym świecie. Mój Boże, ostrygi mieli tam delikatne i pyszne, jedzenie ich było niczym smakowanie napoju życia i odkrywanie, dlaczego ziemia dalej się kręci. Obserwowanie Ala i korzystanie z efektów jego talentu było moim ulubionym sposobem spędzania wieczoru poza domem. Wiesz, każdy ma swoją listę.

W Charlestonie, gdzie jak rok długi pełno jest turystów, wyróżniamy kilka odmian klientów restauracji. Są więc tacy, którzy uważają, że jeść można tylko to, co smażone, i nigdzie nie pójdą, jeśli muszą elegancko się ubrać, co w tym mieście oznacza długie spodnie albo suknie na ramiączkach zakrywających nieopalone paski od bikini. Tych klientów można znaleźć przez cały dzień w jednym z licznych lokali nad wodą, gdzie dzielą się miskami miejscowych specjałów. Odwiedzam takie miejsca przy tych rzadkich okazjach, kiedy w ogóle gdziekolwiek wychodzę.

Następnie są ci, którzy zamawiają stolik w wybranej modnej restauracji, by wszyscy mogli ich zobaczyć. Zwykle chcą pochwalić się towarzystwem, którym może być ważna persona ze sfer biznesowych, kochanka albo jedno i drugie naraz.

I na końcu - hordy turystów, którzy chętnie wydadzą równowartość mercedesa na obiad, dając naszym szefom kuchni okazję, by doskonalili

swoje umiejętności. A teraz najwyraźniej wznieśliśmy się lub zeszliśmy do królestwa Kelnerów Serowych - Serowców?

- Jesteś mężatką?

- Co?

- No wiesz, czy masz męża?

- A kto chce wiedzieć? - Czułam, że coraz bardziej się pocę.

- Pomyślałam tylko, że oboje moglibyście przyjść na kolację, kiedy pracuję, a ja bym wam pokazał, o co chodzi z tymi serami.

- Dzięki, ale mój mąż w zasadzie na stałe przebywa poza miastem. A ja pracuję w Salonie Pięknych Włosów w mieście.

Mogłam po prostu powiedzieć, że jestem rozwiedziona, ale nie, do diabła, to jakoś nie przyszło mi do głowy. Musiałam zaprezentować jakiś idiotyczny życiorys. Psy szarpały się na smyczy i wiedziałam, że zaraz się pożegnamy.

- Och.

- Jestem rozwiedziona. No wiesz, na własnym utrzymaniu.

- Och. Dobrze, jeśli kiedykolwiek będziesz chciała dowiedzieć się czegoś o świecie serów...

Oto najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego od wieków spotkałam, nawet jeśli nazywa siebie Serowym Ekspertem, za chwilę odejdzie. Muszę przyznać, że oczy zasnuł mu obłok, kiedy wspomniałam o rozwodzie. Cóż, może jest żonaty. To, że wdał się ze mną w rozmowę, nie oznacza przecież, że chciał się ze mną umówić, powiedziałam sobie. Dlaczego tak się dałam ponieść?

- Hej, Arthurze!

- Spokój! - nakazał psom, po czym zwrócił się do mnie: - Tak?

- Gdybyś kiedyś chciał się ostrzyć... - Do licha, nic głupszego chyba nie mogłam wymyślić. - Tylko jedno pytanie. Skąd wiedziałeś o wiejskim serku i ananasach?

- Masz plastikowy termos na kawę z Dunkin Donuts, a nie ze Starbucks, biegasz w zwykłych szortach i koszulce, a nie kombinezonie upstrzonym logo firm. Nie przywiązujesz wagi do zewnętrznych oznak statusu i jadasz w biegu.

- Czyli bardziej nie mogłabym się zdradzić?

- Powiedzmy.

Uśmiechnął się i ruszył, prowadzony przez wyrywające się psy. Pomachał do mnie przez ramię. Miło było cię poznać, pomyślałam. Pieprz się.

Do siódmej wieczorem tamtego dnia ostrzygłam dziesięć głów,

zrobiłam trzy trwałe i padałam z nóg. Kiedy praca nie wymagała pełnej koncentracji, spalałam energię, rozpamiętując spotkanie z Arthurem. Wydawało mi się, że źle je rozegrałam. Powinnam była zaproponować mu kawę. Zachowałam się mało sprytnie. Z drugiej strony, nigdy nie sądziłam, by podczas zwykłego spaceru plażą należało podrywać mężczyzn i szukać rozrywki. W końcu więc przekonałam siebie, że postąpiłam słusznie, a jeśli zechce, to znajdzie mnie bez trudu. Wróciłam do pracy z nadzieją, że zechce.

Dopiero kiedy panna Harriet z Salonu Pięknych Włosów po raz osiemnasty zażądała listy moich klientek, uznałam, że nasze wspólne dni chyba dobiegają końca. Pracowałam u niej od dawna i w głowie mi się nie mieściło, jak może podejrzewać, że chowam do kieszeni należność za usługi, choć z każdym rokiem coraz bardziej dziwaczała. Dłużej nie będę tego znosić. Skoro doszło do tego, że mam ochotę pokazywać jej za plecami środkowy palec albo robić coś równie głupiego i wulgarnego, najwyższy czas się rozstać.

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Marilyn Davey, agentki handlu nieruchomościami.

- Marilyn? Cześć, mówi Anna Abbot. Co wiesz na temat rynku lokali usługowych?

- Na Wyspie Palm?

- Niekoniecznie. Charleston albo Mount Pleasant też wchodziłyby w grę.

Rozmawiałyśmy parę minut i kiedy zyskałam pewność, że Marilyn już wie, o co mi chodzi, pożegnałyśmy się. Obiecała, że da mi znać, gdy rozezna sprawę. Nie było powodów do pośpiechu, dopiero zaczęłam się nad tym zastanawiać. Mówiłam sobie, że skoro odważyłam się opuścić dom taty, to czemu nie miałabym się rzucić na głęboką wodę? Śniłam właśnie na jawie, próbując rozstrzygnąć, czy to w ogóle możliwe, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. W progu stała Lucy.

Ubrana była niezwykle jak na nią konserwatywnie, w czarne spodnie, czarny luźny top i sandały na płaskim obcasie. Okay, buty zdobyły jedwabne owoce i kwiaty, ale pamiętaj, w końcu to była Lucy.

- Hej, Anno! Jesteś w domu?

- Wejdz, proszę!

- Wpadnij do mnie na chwilę. Twój tata jest u mnie i chce się z tobą przywitać. Powiedziałam, że cię przyprowadzę. Złotko! Popatrz tylko na siebie! Potrzeba ci szklaneczki rozweselacza.

- Czegoś rzeczywiście mi potrzeba! O co chodzi?

- Zachód słońca, cukiereczku. Nie chciałybyś, żeby cię to ominęło.

Poszłam za nią do jej domu, spiralnymi schodami wspięłyśmy się na taras na dachu. Był tam tata, patrzył na ocean.

- Cześć, tatusiu! - Pocałowałam go w policzek, zastanawiając się, kto do kogo zadzwonił. Czy to randka? A ja jestem ich przyzwoitką? Lucy podała mi lampkę białego wina. Na małym stoliku koło wiaderka z winem zobaczyłam misę z krewetkami i sos koktajlowy. Biorąc pod uwagę umiejętności kulinarne Lucy, było to niezwykle wytworne przyjęcie.

- Cześć, serduszek! - odpowiedział z uśmiechem. Skropił się wodą kolońską! A cóż to ma znaczyć? Nie zwracaj na to uwagi, powiedziałam sobie i tak też uczyniłam.

Milczeliśmy, podziwiając widok. Niebo znaczyły smugi fioletu i różu, błękit dnia pogłębiał się z każdą minutą. Słońce stało się wielką, czerwoną, pulsującą tarczą, wolno, z ociąganiem znikało w szczelinie nad horyzontem.

Wkrótce na niebie pojawi się mrowie jasnych gwiazd, zerwie się wiatr i kolejny dzień przejdzie do historii. To była pora na sny na jawie. Każde z nas jednak zachowywało je dla siebie. Takich myśli nie należy wypowiadać na głos. Dobrze było czuć, jak serce bije mi na myśl o mężczyźnie w moim życiu, własnym salonie, który będę miała pewnego dnia, bliskim przyjeździe córki.

Patrzyłam, jak dłoń Lucy przesuwają się po balustradzie, by spocząć na ręce taty. Uśmiechnął się, przykrył jej dłoń swoją i kilka razy serdecznie poklepał. Nie przeszkadzało mi, że to zobaczyłam. Wszyscy byliśmy zwykłymi ludźmi z własnymi cierpieniami i pragnieniami, a nawet jeśli pragnienia te nigdy nie zostaną spełnione, to, że się je ma, nie jest grzechem. Trzeba natomiast uświadomić je sobie i dokładnie rozważyć szanse ich realizacji. Jaki byłby ten świat, gdybyśmy nie marzyli?

- Zadzwoniłam do twojego taty - odezwała się Lucy - a potem poszłam po...

- Lucy, wszystko gra. Nie denerwuj się. Jestem szczęśliwa, że mogę teraz tu być.

- Och, Anno, dzięki. Pomyślałam tylko, że ty i twój tata...

- Poznałam mężczyznę - przerwałam jej.

- Kto to? Wspaniała nowina! - ucieszyła się Lucy. Tata patrzył na mnie, wyraźnie oszołomiony.

- Poznałam mężczyznę i poważnie zastanawiam się nad otwarciem własnego salonu. Może.

- Co? - zapytała Lucy. - Jak? Dlaczego?

- Dobre pytanie, Lucy. Wszystkie te pytania są dobre. Ale znajdę na nie odpowiedź.

- Nie potrzebujesz własnego salonu! Dopiero co kupiłaś dom! - zaprotestował tata. - Cholera, rozum ci odebrało czy co? Proszę wybaczyć mój język, panno Lucy.

- Tato, nie otwieram salonu dzisiaj. Nie nakręcaj się! - Boże! Przecież ledwo o tym pomyślałam i wykonałam dopiero jeden głupi telefon.

- Uważaj, co mówisz, Anno - skarcił mnie tata.

- Jej wcale nie odebrało rozumu, Dougle, ona marzy na głos.

- Przepraszam, Anno.

Tata zmięgował się pod wpływem Lucy, a do mnie zaczęło docierać, że zaczyna mu to już wchodzić w nawyk. Przypomniałam sobie, jak zareagował, kiedyśmy ją poznali, ich długie nieobecności, jego zmierzwiłone włosy. Wszystkie oznaki mówiły wyraźnie, że tata stracił dla niej głowę.

- Wszystko w porządku, tato. Wicie, nie ma gorszej jędzy od Harriet.

- Ma opinię lekko stukniętej - zgodziła się Lucy.

- Nie wiedziałem - mruknął tata. - To znaczy, zawsze wydawałaś się zadowolona z pracy u niej.

- Tato, przez całe życie musiałam rezygnować ze zbyt wielu rzeczy. Doszłam do wniosku, że jeśli w ogóle mam coś zmienić, muszę sama się do tego zabrać. Jestem po trzydziestce! To naprawdę ostatni dzwonek.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jesteś aż tak nieszczęśliwa, Anno - powiedział tata, a mnie na te słowa boleśnie ścisnęło się serce. Czy myślał, że to także jego wina?

- Douglas, wydaje mi się, że Anna chce, żeby jej życie stało się naprawdę jej. Czy to nie Gloria Steinem powiedziała, że historia jest jego opowieścią, a nam potrzeba także jej opowieści?

Tata i ja znieruchomieliśmy, gapiąc się na Lucy. Nie mogłaby lepiej trafić w sedno, gdyby całe swoje życie poświęciła na studiowanie filozofii. To naprawdę była Lucy? Cytowała Glorię Steinem?

- Co? Powiedziała coś nie tak? Nie chciałam... Mimo zmroku widziałam, że drży jej dolna warga.

Zaraz się rozplacze, jeśli ja albo tata jakoś nie zareagujemy.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo masz rację - zapewniłam. - Wielki Boże, Lucy! Masz stuprocentową rację!

Tata objął ją i uścisnął. Strach Lucy rozpułynał się w uśmiechu ulgi. Lucy, pomyślałam, nie jest przyzwyczajona, żeby chwalono ją za inteligencję. Przypuszczalnie dlatego, że dawno tę inteligencję pogrzebała

na głębokości sześciu stóp.

- Mówiłem ci, że sprytna z niej babeczka – powiedział tata.

Nic takiego nigdy nie mówił, ale Lucy zarzuciła mu ramiona na szyję i stary Douglas został nagrodzony za swoje słowa pełnym kontaktem z jej implantami.

Byłam pewna, że zaczerwienił się jak burak, ale na szczęście nie musiałam tego oglądać w zapadającym mroku.

Robiło się coraz ciemniej, wkrótce trzeba będzie zejść z tarasu i zrobić coś na kolację. Postanowiłam, że zaproponuję, żeby poszli po jakieś dania na wynos, a ja tymczasem zaparzę bezkofeinową kawę i nakryję do stołu.

- Anno - zapytał tata godzinę później, stawiając na stole wielką papierową torbę - kim jest ten mężczyzna?

Sporo czasu minęło, nim zdecydował się mnie o to zagadnąć.

- Jaki mężczyzna? - Otworzyłam torbę, zerknęłam do środka i wyjęłam pudełko z kurczakiem po chińsku oraz plastikowy pojemnik z zupą. - Zaraz wracam, tylko wrzucę to do mikrofalówki. Gdzie Lucy? - Na chwilę zapomniałam o Arthurze Fisherze, całą uwagę skupiłam na jedzeniu.

- Będzie za minutkę. Powiedziała, że chce coś sprawdzić, chyba pocztę e - mailową. Wróćmy do sprawy. Powiedziałaś, że poznałaś mężczyznę. - Nalał sobie piwa do szklanki.

Wrzuciłam makaron na trzydzieści sekund do wody.

- Niestety, w kwestii męskiej niewiele mam do zrelacjonowania.

- Ale co o nim wiesz?

Wróciła Lucy, przebrana we wdzianko z czerwonego lnu, odsłaniające brzuch. Dekolt ujawniał tyle rowka między piersiami, że zmieściłaby się tam cała flota, a szminki na wargach wystarczyłoby na pokrycie całego mostu na Cooper River.

- Poznałam go dopiero dzisiaj rano. Jeżeli zadzwoni, upiekę ciasto i was też zaproszę.

- Musisz się przygotować - oznajmiła Lucy. - Dam ci „Podręcznik stosunków międzyludzkich”. Dowiedz się, kiedy ma urodziny.

- O co ci chodzi?

- Ta książka jest niesamowita. A chodzi o to, że jeśli chcesz, żeby mężczyzna do ciebie zadzwonił, musisz być przygotowana, kiedy już to zrobi! - odparła. - Pewnie myślicie, że czasami bywam kompletnie świrnięta...

- Ależ w żadnym wypadku! - zaprotestował tata.

- Nigdy! - dodałam. Zawsze, pomyślałam.

- Więc słuchaj, Anno. Zabieram cię na zakupy, dobrze? A ty dowiedz się, kiedy ma urodziny. Zgadzasz się? I zrobię ci makijaż.

Wybuchnęłam śmiechem. Lucy także.

Mogę przeczytać tę książkę, ale w żadnym razie nie pozwolę, żeby Lucy zbliżyła się do mojej szafy albo dotknęła mojej twarzy. To absolutnie wykluczone.

9. Mavis doradza: zbadaj swoje korzenie

I znowu nadeszła niedziela. W niektóre dni wydawało mi się, że nie robię nic poza przejściem z sypialni do kuchni, a stamtąd na różowy fotel. W niedzielę miałam przynajmniej mszę, która rozbijała ten schemat. Och, bawiłam się z kociętami i podlewałam fiołki, lecz to było nudne. To ci mogę powiedzieć! Tak, nudne jak flaki z olejem. Stałam przy oknie, patrzyłam, jak moja sąsiadka kopie grządki kwiatowe, i myślałam, że jest w niej coś dziwnego i znajomego. Czy to możliwe? Wiedziałam, że lat mi nie ubywa i że umysł płata ludziom różne sztuczki, postanowiłam jednak, że zanim sobie odpuszczę i zamienię się w starą wariatkę, o której ludzie plotkują, najpierw sprawę wybadam. Zdjęłam sweter i wyszłam na dwór.

Wszyscy święci, ale gorąco! Ha, Angel pewnie by powiedziała, że tak mocno odczuwam upał, bo w ciągu dnia za mocno rozkręcam klimatyzację. I co z tego? To moja sprawa! Ja płacę rachunek! Prawdę mówiąc, ja płacę wszystkie rachunki! Co z niej za nudziara!

Utrapieniem były też oleandry odgradzające nasze posiadłości, tyle ci powiem. Choćbym nie wiem jak ostrożnie między nimi przechodziła, zawsze mam potargane włosy. Łodygi przypominają długie palce, czyhające tylko żeby mnie zaatakować. Co wtorek chodzę do fryzjera umyć i ułożyć włosy, i musi mi to wystarczyć na cały tydzień. Przyznaję, nie bardzo sobie radzę z fryzurą. Kiedy jakaś złośliwa gałąź przerośniętego krzaka złapie mnie i wyciągnie pasmo z boku głowy, to bardzo prawdopodobne, że tak już zostanie do wtorku. Tamtego dnia jednak nie przejmowałam się tym. Byłam zdecydowana wyjaśnić, co niepokoii mnie w dziewczynie z sąsiedztwa.

- Anno?

- Witam, panno Mavis!

Przestała kopać i odwróciła się do mnie.

- Jak się pani miewa w ten piękny dzień?

- Szykuję się do kościoła. A ty chodzisz do kościoła? - Tylko mi nie mów, że to nie moja sprawa, co ta młoda kobieta robi w niedziele. Wiem o tym! Z drugiej strony, czułam, że mam prawo do sprawdzenia morale przynajmniej moich najbliższych sąsiadów.

- Nie, proszę pani. Od dawna tego nie robię, choć powinnam. A pani gdzie chodzi?

Wiedziałam!

- O, to zależy od mojego nastroju - odparłam tonem słodkim jak cukierek, mając nadzieję wyraźnie dać jej do zrozumienia, że porządni ludzie czczą dzień święty. - Najczęściej do Stella Maris na Wyspie Sullivana. Ojciec Michaels to przystojniak. I mądry facet. Mówi zwięźle i nie wygłupia się. To mi się podoba. A kiedy Angel ma ochotę prowadzić, zawozi mnie do Najświętszego Sakramentu na drugim brzegu Ashley. Przez ponad trzydzieści lat nie opuściłam ani jednej mszy! - Pomyśl o tym, panienko!

Myślisz, że na jej twarzy pojawił się ślad skruchy? Nie!

- Najświętszy Sakrament? To chyba daleko stąd, prawda?

- Tak, ale wtedy mogę ją namówić, żeby poszła ze mną do S&S przy autostradzie numer 7. Dzięki temu nie musimy gotować. Mają tam pudding chlebowy, mogę wziąć tyle, ile zechcę.

- Lubię pudding chlebowy - powiedziała. - Tuczący, ale dobry.

- Hm! W moim wieku nie przejmuję się już tymi głupstwami. Lekarz, stary dureń, powiada, że zawsze powinnam uważać na to, co jem. Ale ja myślę sobie tak: mam już po osiemdziesiątce i nic się nie stanie, jeśli nie dożyję setki! Najwyżej umrę w wieku dziewięćdziesięciu lat.

- Tak, proszę pani.

Stała, przestępując z nogi na nogę. Patrzyłam na nią i wiedziałam, że czeka, aż znów się odezwę. Tak więc, zanim zdążyła pomyśleć, że nie wszystkie klepki mam w porządku, zrobiłam to. Poza tym pojawiły się komary, a ja ich nie cierpię! Wstręciuchy, wpadają mi do oczu.

- Znam cię! - oświadczyłam. No i proszę, załatwione.

- Tak, proszę pani. Ja też panią znam.

- Znasz mnie? - Miłosierny Boże! Kim jest ta kobieta?

- Wzięła mnie pani do siebie w dniu, kiedy umarła moja mama, panno Mavis. Nie pamięta pani? Jestem Anna Lutz.

- Wielki Boże w niebiesiech! - Pomyślałam, że zaraz upadnę! Upadnę i na miejscu wyzionę ducha! - Lepiej usiądę. - To był za wielki wstrząs jak na mój delikatny organizm.

- Och, bardzo proszę! - Anna ujęła mnie pod ramię. - Zapraszam do środka!

Pozwoliłam, żeby podprowadziła mnie do kanapy i podłożyła mi pod plecy poduszki. Kanapa była bardzo ładna, pokryta lnem barwy kości słoniowej, ale mało praktyczna.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Przyniosę pani szklanę wody.

To dało mi czas na rozejrzenie się po jej salonie. Nie pochwalam wściubiania nosa w cudze sprawy, ale sporo można się dowiedzieć o ludziach na podstawie przedmiotów, które do nich należą. Ona miała ładną biblioteczkę, która wyglądała na zagraniczny mebel, naprawdę ładną. I tony książek. Może jednak jest nauczycielką. Ha, zaraz się dowiem. Anna Lutz! Była miłą dziewczynką, rozbrykaną, ale miłą.

Wróciła i podała mi szklanę wody, z czego bardzo się ucieszyłam. Upiłam wielki łyk i znowu oparłam się o poduszki.

- To naprawdę szok! - rzekłam. - Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś, kim jesteś? - Nagle poczułam irytację, że bawiła się ze mną w kotka i myszkę.

- Panno Mavis, na początku też nie byłam pewna, czy to pani, a kiedy nabrałam pewności, pani już wychodziła. Uznałam, że wcześniej czy później i tak wszystko sobie powiemy. Pamiętaj pani, że kradłam pani śliwki?

- Czy pamiętam? Ha! Była was cała banda rozpuszczonych jak dziadowski bicz dzieciaków, które biegały i piekielnie hałasowały, działając mi na nerwy! Och, to były cudowne czasy! - Znowu się napiłam, a potem odstawiłam szklanę na stolik. Czułam się o wiele, wiele lepiej.

- Tak - przyznała. - Cudowne.

- Mała Anna Lutz! Jak ten czas szybko mija!

- O tak, panno Mavis.

Przysiadła na brzegu stolika do kawy i zaczęłyśmy rozmawiać. Boże wielki! To było cudowne! Wszystko szło doskonale, dopóki nie wspomniała o swojej matce. To ją zdenerwowało.

- Nigdy się z tego nie otrząsnęłam, z tego straszego wstydu, jaki na nas wszystkich sprowadziła. Biedny tata. A potem babka Violet po prostu zniszczyła mi życie...

- Poczekaj chwilę, młoda damo - wtrąciłam. - Posłuchaj! Myślę, że jesteś już dość dorosła, by wziąć pod uwagę punkt widzenia obu stron. Znałam twoją matkę. Była piękną kobietą! I dobrą! Ze wszystkich sił próbowała zadowolić twojego ojca. Coś ci powiem, ale jeśli komuś powtórzysz choćby słówko, zarzucę ci kłamstwo...

- Obiecuję - odparła. Miała dziwną minę.

- W tamtych czasach twój ojciec był trudnym człowiekiem, Anno. Przypuszczam, że dalej taki jest.

- Czy wszyscy mężczyźni nie są tacy? Z tym akurat musiałam się

zgodzić.

- Tak myślę, ale twój tata miał charakterek, przysięgam, nawet ja przy nim przestałabym żartować.

- Co pani przez to rozumie?

Oto siedzi przede mną ta miła młoda kobieta. Wiele lat minęło, zanim odzyskała równowagę po śmierci swojej matki. Czy powinnam powiedzieć jej wszystko, co wiem? Tak, uznałam, powinnam. Ktoś musi otworzyć jej oczy. Tylko dlaczego zawsze spada to na mnie?

- Anno, kiedy twoi rodzice przeprowadzili się na wyspę, zaprzyjaźniliśmy się, Percy i ja, Mary Beth i Douglas. Wszyscyśmy byli młodzi i weseli, chodziliśmy do Seaside na drinka albo graliśmy w kanastę. Kiedy twój tata był w pracy, twoja mama siedziała u mnie w kuchni i opowiadała mi historie o nim, o wojnie i piekle, przez jakie przeszedł razem ze swoimi rodzicami. Marzyli tylko

o jednym: żeby dostać się do Ameryki i ciężką pracą zdobyć tu pozycję.

- Tata nigdy wiele mi nie mówił o swoich rodzicach i emigracji. Przyjechał do Stanów jako dziecko.

- No, to możliwe, ale twoja mama miała mnóstwo do opowiadania. Niekiedy mocno skrobałam się w głowę żeby się w tym połapać. Sporo teraz musisz się dowiedzieć. Po pierwsze, weź młodą, piękną, ambitną kobietę i wydaj ją za o wiele starszego mężczyznę, którego nigdy nie ma w domu. Potem zamknij ją w starym, pełnym przeciągów domu na samiułtkim skraju wyspy. I wreszcie pozwól, żeby teściowa rządziła wszystkim i nigdy nie dawaj żonie żadnych pieniędzy. Uważasz, że to szczyt szczęścia? Ale, ale, już dziesiąta. Muszę być w kościele o wpół do jedenastej, jeśli na mszy chcę siedzieć.

Wstałam, potem raz jeszcze na nią spojrzałam. Wydawała się zszokowana i było jasne jak dzień, że nie może pozbierać myśli.

- Proszę, niech pani nie idzie. Porozmawiajmy.

Co powinnam wtedy zrobić? Zostawić to dziecko w takim stanie? Wielkie nieba! A to ci ambaras! Nie mogłam tak po prostu zaniedbać obowiązków religijnych. Byłam zbyt blisko śmierci, żeby ryzykować przedłużenie sobie pobytu w czyścicu.

- Coś ci powiem, kochanie. Przyjdź na obiad, wtedy porozmawiamy o wszystkim, o czym tylko będziesz chciała. W niedzielę Angel zawsze robi pieczonego kurczaka i czerwony ryż. Jadamy o trzeciej. Zgoda?

- Tak, dziękuję. Przyjdę.

- A teraz uśmiechnij się, dobrze?

Wreszcie na jej twarzy pojawił się uśmiech, a ja wyszłam. Idąc przez podwórze, krzyknęłam jeszcze do niej:

- O trzeciej!

- Będę na pewno! - odkrzyknęła.

Powiedzieć ci coś? Zbyt duża wiedza o ludziach może być straszliwym brzemieniem. Niestety, to prawda.

10. Ofiarne kurczaki

Dochodziła trzecia, ale akurat wpadła do mnie Lucy. Zaczynałam się już poważnie zastanawiać, jak ludzie zabijali tu czas, zanim ja kupiłam dom.

- Hej! Jest ktoś w domu? - zawołała od progu.

- Wejdz! - odkrzyknęłam.

- Ojej! Co za zapach! Daj skosztować!

Byłam w kuchni, która, jak wiesz, jest tak mała, że ledwo można zamieszać w garnku. Kuchnia zdecydowanie jednoosobowa. Wyciągałam właśnie z piekarnika blachę czekoladowych ciastek. Piekę bardzo dobre czekoladowe ciastka, jeśli mam być szczerą. Uznałam, że po tonach ciasteczek panny Angel, które zjadłam przed laty w domu panny Ma - vis, nie powinnam pojawiać się tam z pustymi rękami.

- Upiekłam ciastka dla sióstr Wścibskich - wyjaśniłam, podając jedno Lucy. - Za parę minut idę do nich na obiad.

- Chyba zwariowałaś! W zupie będzie kocia sierść. Chcesz dostać niestrawności?

- Żaden kot nie stanie pomiędzy mną a obiadem. Nie musisz się martwić.

- A niech to, dzieyno! To jeet badzo obe!

- Jakie?

Lucy wciągała powietrze przez zęby, żeby ostudzić sobie sparzony język. Nalałam wody do szklanki.

- Masz mleko?

- Mówisz jak w reklamie.

Nalałam jej mleka, a ona wzięła kolejne ciasteczko najpierw na nie dmuchając.

- Dzięki - powiedziała. - Co to za okazja? To znaczy, czy jest jakiś powód - poza ich zwykłym wścibstwem - dla którego cię zaprosiły?

- Pewnie w to nie uwierzysz, bo mnie samej nie chce się to pomieścić w głowie, ale chyba ja nim jestem.

- To jest połamane. Mogę je zjeść?

Spojrzałam na zegarek - była prawie trzecia. Postanowiłam, że później

opowiem Lucy o matce.

- Jasne - odparłam. - Oj, bo się spóźnię! Mam propozycję. - Zaczęłam układać ciastka na talerzu. - Po obiedzie wpadnę do ciebie i wszystko ci opowiem.

- Przygotuję kolację. Mam zadzwonić po Dougle'a?

- Pewnie, zaprosz go. Powiedz mu, żeby zrobił pierogi. Kiełbasę. Gołąbki. Przekaż, że moim zdaniem, czeka nas interesująca rozmowa.

- Zgooda! To brzmi tajemniczo. Zapowiada się świetna zabawa! Dobrze nam to zrobi.

- Nie wątpię.

Zostawiłam Lucy i z talerzem osłoniętym folią przeszłam pomiędzy oleandrami, które omal nie wyrwały mi wszystkich włosów z głowy.

- Auu! Cholera, ale to boli! - Kiedyś na pewno potraktuję te oleandry maczetą. Są okropnie niebezpieczne.

Teraz jednak parłam dalej, szarpnięciami uwalniając włosy z gałęzi. Co też panna Mavis może mi powiedzieć, czego jeszcze nie wiem? Nie potrafiłam uwierzyć, że tak dobrze się orientuje w dziejach mojej rodziny. I bardzo mnie zirytowało jej przekonanie, że moja matka była coś warta. Jak śmie tak twierdzić? Matka to była najstraszniejsza część mojego życia. Okay. Może to nie najwłaściwsze ujęcie sprawy, ale nie miałam czasu się przygotować. Języki ognia czekały, by rozpętać pożar, ja też.

Zaraz, zaraz! Czy idę do domu w sąsiedztwie, żeby się kłócić z parą staruszek? Co się ze mną dzieje? Czy nie powinnam najpierw wysłuchać, co mają mi do powiedzenia, a potem dobrze się zastanowić?

Ognie piekielne, Anno, czekają tylko, żeby cię pochłonąć! Uspokój się! Czy nikt poza tobą nie ma prawa do własnego zdania? Twierdzisz, że umiesz słuchać - więc teraz udowodnij, że to nie czcze przechwałki!

Mój głos wewnętrzny miał uratować mi tyłek po raz milionowy z rzędu.

Opanowana, spokojna i w przyjaznym nastroju zapukałam do drzwi. Otworzyła panna Mavis i gdy tylko weszłam do salonu, czas się cofnął. Czułam aromat pieczonych kurczaków. Smakowity! I ten sam ohydny sosnowy zapach, który miał zagłuszać smród kociej skrzynki. Nagle miałam znowu dziesięć lat. Jeśli jednak to była prawda, to dlaczego panna Mavis tak się postarzała? Złapałam się na tym, że śnię na jawie.

- Upiekłam dla was ciasteczka - powiedziałam.

- Och! - Panna Mavis chrząknęła cicho. - Dziękuję, Anno. Wejdz, proszę.

Mogłabym przysiąc, że płacze, płakała albo przynajmniej znajduje się

w stanie emocjonalnego wzburzenia. Dowiem się, powiedziałam sobie, choć nie byłam pewna, czy naprawdę mi na tym zależy. Poszłam za nią do kuchni, gdzie panna Angel wyjmowała kurczaka na papierowe ręczniki przykrywające blat stołu.

- No, no! Patrzcie, kogo tu mamy! Panna Anna! Niech ci się przyjrzę! Odłożyła szcypce, wytarła dłonie w fartuch i podeszła do mnie.

- Panno Angel, czy życie nie jest dziwne? - powitałam ją pytaniem.

- Wręcz przeciwnie, życie jest cudowne. - Położyła mi dłonie na ramionach i zrobiła krok do tyłu, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. - Tak się cieszę, że moje stare oczy cię widzą. - Westchnęła głęboko i pokiwała głową.

Panna Mavis, nie spuszczać oczu z warg Angel, dodała:

- I ja też, ja też.

- Tak, cieszę się, że cię widzę, Anno.

- Ja się cieszę, że widzę was obie - odparłam. Mówiłam szczerze.

- Chciałam powiedzieć, że się cieszę, że wróciłaś na wyspę, ponieważ tu jest twoje miejsce.

- Dzięki. - Na chwilę umilkłam, patrząc jej w oczy, potem dodałam: - Też tak uważam. To jak zamknięcie koła.

- Co?

- Mówi, że się cieszy z powrotu do domu!

- Nie wrzeszcz, Angel! Biedactwo, pewnie masz hipotekę, która cię zabija - rzekła współczująco panna Mavis.

- Nie jest tak źle. Ale sporo się tu zmieniło. Co myślicie o nowym centrum handlowym w Mount Pleasant?

- Co? O co chodzi? Co mnie ominęło? - dopytywała się panna Mavis.

- Pyta, jak nam się podoba nowe centrum handlowe w Mount Pleasant!

- Aha. No, ja jestem o wiele za stara na te idiotyczne sklepy, ale miło jest mieć w pobliżu Belka.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nad domem w tamtej okolicy, zanim zobaczyłam ten.

- Co? Zwariowałaś, dziewczyno? Ty, stara wyspiarka, tak jak my! A ten ruch? Litości! Postradałaś chyba zmysły!

- Zabierajmy się do jedzenia, dziewczęta - wtrąciła panna Angel - ta kura oddała za was życie.

- I za ciebie też! - odcięła się panna Mavis, po czym odwróciła się do mnie i szepnęła: - Ona czasami strasznie lubi się rządzić!

- Słyszę cię! - zawołała panna Angel.

Wyraz twarzy panny Mavis był jak skacząca linia na monitorze obrazującym pracę serca - choroba została zdiagnozowana, ale pacjent nie poddawał się i koniec wcale nie był taki bliski.

Ich mała sprzeczka poprawiła mi nastrój. Pomogłam nakryć do stołu.

Na jego środku znalazł się półmisek z kurczakiem i chciałam zająć ci chwilkę opisem szczegółów. Kurczak był złotobrazowy i zupełnie nietłusty. Panna Angel musiała mieć taki przepis, że pieczone kurczęta z Kentucky ze wstydu mogłyby się schować w mysia dziurę. To był kurczak jak ze zdjęcia w magazynie ilustrowanym; na taki widok człowieka ogarnia chęć, żeby skubnąć kawałek chrupiącej skórki, kiedy nikt nie patrzy.

Był też czerwony ryż w zamkniętym naczyniu, fasolka szparagowa gotowana z cebulą i szynką, jajka na ostro i gorące grzanki w koszyku, który bez wątpienia uplotła panna Angel. Panna Mavis wyjęła najlepszą porcelanę i srebra; wiedziałam, że dla obu staruszek ten obiad to naprawdę wydarzenie. Byłam teraz bardzo zadowolona, że nie przysłam do nich z ponurą miną. Może i nie mają mnóstwa znajomych, w których towarzystwie mogłyby spędzać niedzielne popołudnia, ale jedno ci powiem. Gdyby ludzie wiedzieli, jak kurczak panny Angel rozplywa się w ustach, co tydzień przed ich drzwiami ustawiałaby się kolejka długa aż do Shem Creek.

- Pomódlmy się - powiedziała panna Mavis i wszystkie pochyliłyśmy głowy. - Panie Boże, pobłogosław te dary i wybac moim ustom to, co za chwilę powiem tej młodej kobiecie. Dziękujemy też, że nauczyłeś Angel piec kurczaka, po którym zanadto nie tyjemy. Amen. - Podniosła głowę i spojrzała na mnie. - O czymś zapomniałam.

- Wszystko w porządku, Mavis, nie krępuj się i powiedz to.

Posłała pannie Angel jadowite spojrzenie, po czym znowu pochyliła głowę.

- Panie Boże, jesteś tam jeszcze? Dzisiaj mamy wyjątkowy dzień, ponieważ jedna z nas wróciła do domu. Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie pora powrotu do domu dla mnie i Angel, ktoś w niebie będzie choć w połowie tak uradowany, jak my teraz. Dziękuję ci, Panie. - Otworzyła oczy, spojrzała na pannę Angel, i dodała: - Oczywiście, jeśli Pan cię tam wpuści.

- Hm - mruknęła Angel.

Tak, właśnie o to chodziło. Czułam, jak gardło ściska mi ból całego mojego życia.

Jedna z nas wróciła do domu.

Oczy mnie piekły i wstydziłam się, że przez tyle lat wierzyłam bez zastrzeżeń w opowieści taty, a nigdy na - wet przez myśl mi nie przeszło, że przecież z punktu widzenia drugiej strony mogło to wyglądać zupełnie inaczej. Nigdy go o to nawet nie zagadnęłam. Po drugie, zapomniałam o poczuciu przynależności, jakie zawsze dawała mi ta wyspa. Miłość to jedno, ale cudownie jest naprawdę gdzieś należeć. Ile lat przeżyłam ze świadomością, że miejsca, w których się znajduję, nie są moje? Ilu ludzi nigdy nie poczuło, że należą do przestrzeni, którą zajmują?

Nakładając na talerz kurczaka, kawałek piersi i udko, miałam nadzieję, że pyszne jedzenie poprawi mój płaczliwy nastrój, choć z góry wiedziałam, że w końcu i tak rozryczę się jak bóbr. Chciałam, żeby panna Mavis i panna Angel jak najszybciej wszystko mi opowiedziały. Zżerały mnie żywym niecierpliwością i strachem.

Panna Mavis nałożyła mi na talerz górę czerwonego ryżu i dwie łyżki fasolki. Wzięłam trzy jajka na ostro. Panna Angel podała mi grzanki - wzięłam dwie i posmarowałam obficie masłem, po czym niecierpliwie odgryzłam kawałek.

- Angel umie piec kurczaka, co?

- Zawsze umiała! Nie mogę się doczekać na pierwszy kęs! Zaraz się przekonam, czy nadal jest w tym taka dobra.

- Hm. Czy jestem dobra? Kiedy ostatni raz naprawdę jadłaś, dziewczyno? - oburzyła się panna Angel.

- Panno Angel, wciąż jest pani bardzo, bardzo niegrzeczna!

Roześmiałyśmy się, a panna Mavis zapytała:

- Co ona powiedziała?

- Głucha jak pień - mruknęła do mnie panna Angel, a potem krzyknęła do panny Mavis: - Powiedziałam: Wygląda na okropnie głodną!

- Nie zwracaj na nią uwagi - doradziła mi panna Mavis. - To tylko stara kobieta. A ty przestań na mnie wrzeszczeć, wariatko - zwróciła się do panny Angel.

Zabrałyśmy się do kurczaka, wymieniając podczas jedzenia uprzejme uwagi. Powiedziałam gospodyniom, że tata nigdy powtórnie się nie ożenił, że pracuję jako fryzjerka w Charlestonie, że jestem rozwiedziona i mam cudowną córkę Emily. Panna Mavis chwaliła pannę Angel, która dzięki swoim koszykom uzyskała stypendium z Narodowego Funduszu Rozwoju Sztuki. Potem przeszła do Fritza (dawniej Thurmonda). Starał się o rolę w „West Wing” i dobrze sobie radził; był zdecydowany nigdy więcej nie wracać do ośrodka. Nie zapytałam, dlaczego w ogóle musiał iść do ośrodka, i po namyśle uznałam, że dobrze zrobiłam. Wszystkie

przyznałyśmy, że w naszym życiu mało miejsca zajmowali mężczyźni, ale to nie szkodzi, skoro zawsze zbyt byłyśmy zajęte, żeby się tym przejmować. Głównie jednak rozmawiałyśmy o tym, jak bardzo chciałam wrócić na Wyspę Palm. Wtedy też panna Mavis wzięła głęboki oddech i zaczęła od słów:

- To bardzo ważne, że tu wróciłaś, Anno.

- Tak, marzyłam o tym od lat.

- Niewiele na tym świecie jest rzeczy ważniejszych od świadomości, gdzie jest nasze miejsce.

- Ale dlaczego? Powrót na Wyspę Palm zawsze bardzo wiele dla mnie znaczył. Nie wiem dlaczego.

- Anno - powiedziała panna Angel - wiesz, że jesteś we właściwym miejscu, kiedy możesz poczuć je stopami. Może to brzmi głupio, ale kiedy stawiam stopy na tej wyspie, czuję coś zupełnie innego niż na chodnikach Charlestonu.

- To wcale nie jest głupie - odparłam. - W dodatku myślę, że serce wolniej mi tu bije. Naprawdę czuję się inaczej. Odprężona. Rozumiecie?

- My zawsze tak myślałyśmy - powiedziała panna Mavis. Spojrzała na widelec i odłożyła go na talerz. - Czy tata kiedykolwiek mówił ci o swoim bracie?

- On nie miał brata - zaprzeczyłam, myśląc, że starowinka ma jednak umysł zmacony wiekiem.

- Ależ miał. Na imię mu było John. Johnny. Umarł, kiedy miał dwa lata. Straszne. Ale to były w ogóle straszne czasy dla twoich dziadków i dla taty też.

- A więc miałam stryjka? Dlaczego nigdy o nim nie słyszałam?

Panna Angel wstała od stołu.

- Przyniosę więcej lodu do mrożonej herbaty. Chce któraś cytryny?

Nie odezwałyśmy się, więc bez słowa wyszła do kuchni. Może nie akceptowała tego, że panna Mavis chce mnie w to wszystko wtajemniczyć.

- Chyba dlatego, że to zdawało się zbyt straszne, by o tym opowiadać. Złapał odrę, na którą nie było lekarstwa. To znaczy, lekarstwo było, ale nie dla przesiedleńców pracujących w podziemnej fabryce samolotów. To pewne. Umarł w ramionach twojej babki. Biedna kobieta!

- O mój Boże! To potworne! I może tłumaczyć, dlaczego była taka nieczuła, bez serca.

- W gruncie rzeczy wcale taka nie była, Anno. Myślę, że człowiek może cierpieć tylko tak długo, dopóki coś w nim nie pęknie. Wiesz co? Gdybym straciła któreś z moich dzieci, oszalałabym! Ale zapytaj tatę o

brata. Jeśli to zrobisz, powie ci.

- Żartuje pani? Tata zawsze unikał rozmów o tamtych latach, twierdził tylko, że były okropne. Życie zaczęło się dla niego wtedy, kiedy dziadek kupił sad brzoskwinowy w Estill. Wiedziałam, że w Polsce mieszkali w Warszawie, że rodzina dziadka stamtąd pochodziła. Ale nikt nigdy nie mówił, skąd się wzięli w Niemczech.

- Co mówisz?

- Powiedziałam: Skąd się wzięli w Niemczech.

- Przepraszam, Anno, nie słyszę już zbyt dobrze.

- Hm, możesz to powtórzyć? - zażartowała panna Angel, wrzucając kostki lodu do naszych szklanek.

Panna Mavis spojrzała na nią spod przymrużonych powiek, a ja uśmiechnęłam się do obu.

- Musieli gdzieś przecież zarobić na życie, na litość boską - ciągnęła panna Mavis. - Poza tym Warszawa była zrujnowana, nie było prądu, brakowało jedzenia. Nie mieli pracy i nie wiedzieli, czy za chwilę nie zacznie się radziecka okupacja.

- To musiało być straszne.

- Tak, też mi się tak wydaje. Kiedy Niemcy przegrywali wojnę, do Warszawy wkroczyli Rosjanie, twoi dziadkowie ruszyli do Augsburga, gdzie umieszczono ich w obozie dla przesiedleńców. Tydzień spędzili w pociągu, stłoczeni w bydłowym wagonie z różnymi ludźmi. Skarpety twojego dziadka dosłownie rozlazły się w butach! Nie potrafię sobie nawet czegoś takiego wyobrazić! Kiedy w końcu dojechali na miejsce, twój dziadek dostał pracę w fabryce produkującej amunicję, a babka zajmowała się trochę księgowością. Uwierzysz, że korzystała z liczydła? Pokazała mi je kiedyś.

- To dlatego je zachowała! Mój Boże! Zaraz, zaraz, czy oni byli... czy mogli być nazistami?

- Wielki Boże, nie! Wszystko ci się pomieszało. Chociaż pochodzili z Prus. Czy nikt nie opowiadał ci historii twojej rodziny?

- Nie. To znaczy wiem, że emigrowali, to wszystko. Ale skąd pani o tym wie?

- Oczywiście od twojej mamy. I babki. A od kogóż innego? Wiedziałaś, że rodzina twojego ojca ma drzewo genealogiczne sięgające czasów Karola Wielkiego? Twoich przodków chowano w pełnej zbroi! Przez wieki byli rycerzami!

Pokręciłam głową.

- No to szkoda. Widzę, że nie za dobrze znasz europejskie dzieje

swojej rodziny.

- Chyba nie.

- Widzisz, Polska w różnych okresach należała do różnych państw. Niemcy, Austriacy i Rosjanie klócili się o nią przez wieki. Ale, do diabła, wszyscy oni są jednakowo szaleni. Nie wiem, co to jest, że ludzie zawsze muszą ze sobą walczyć.

- Mavis, chcesz herbaty? - Co?

- Herbata!

Panna Angel, chociaż zirytowana za każdym razem, kiedy musiała powtarzać ostatnią kwestię, z rezygnacją znów podsunęła nam koszyk z grzankami.

- Twój dziadkowie pracowali tak samo, jak ludzie w Charlestonie przez lata pracowali w stoczni marynarki wojennej, wojna, nie wojna. Część z nich to byli cywile. Kiedy Rosjanie zmusili Niemców do wycofania się z Warszawy i front się przesunął, twoi dziadkowie wylądowali w Niemczech. Coś ci powiem, Anno. Ich polityka w ogóle nie interesowała. Była wojna! Próbowali tylko przeżyć, ująć z życiem.

- Wielkie nieba - powiedziałam. - Nie umiem sobie nawet wyobrazić...

- Więc pomyśl o tym. Byli młodzi, dopiero co się pobrali i pewnego dnia we wrześniu wybuchła wojna. Czekaj! Tak, we wrześniu 1939 roku. Twoja babka była wtedy młodą dziewczyną. Wyszła przed dom i usłyszała okropny, ogłuszający huk. Zaczęły wyć syreny i, och, Boże! Powiedziała, że o mało nie umarła ze strachu. Ja pewnie bym umarła, tyle ci powiem.

Wydawało się, że panna Mavis odplywa gdzieś myślami. Znowu zaczęła jeść, jakby wyrzuciła już z siebie wszystko, co miała do powiedzenia. Panna Angel spojrzała na mnie, zacisnęła usta i pokręciła głową.

- Mavis! Obudź się i dokończ tę historię!

- Och! - odparła panna Mavis. - Gdzie to ja byłam?

- Mówiła pani o bombardowaniu Warszawy, panno Mavis - przypomniałam - i o tym, jak moi dziadkowie jechali pociągiem do Niemiec.

- Chcecie jeszcze ryżu? - zapytała panna Angel, podnosząc naczynie.
- Albo grzankę?

- Nie, dziękuję, wszystko było przepyszne - odparłam. - Panno Mavis! Czy oni się bali nazistów?

- Owszem! To znaczy jestem pewna, że tak. Twoja babka nigdy nie mówiła o tym wprost, ale wielkie nieba! Kto by się nie bał?

- Tata będzie wiedział.

- Tak, i powinnaś go zapytać o wojnę. Wiesz, Anno, mówię ci o tym, bo wojna zmienia ludzi. Naprawdę. Czasami na lepsze, ale czasami wychodzą z niej z tak głębokimi ranami na duszy, że do końca życia nie przestają się bać. Każdy drobiazg wydaje im się potencjalną katastrofą.

- I myśli pani, że dlatego babka była taką jędzą? Panna Mavis popatrzyła na mnie uważnie.

- Doprowadziła twoją matkę na skraj szaleństwa. A to, co z niej zostało, zniszczył Douglas. Nikt, kto naprawdę znał ich oboje, nigdy nie obwiniał twojej mamy za to, co się stało. Pomóż teraz Angel posprzątać ze stołu. Chcę dostać lody i jedno z twoich ciasteczek. Wiesz, zawsze jem obie te rzeczy razem. - Wstała od stołu i z talerzem w ręku poszła do kuchni za panną Angel.

A więc to tak. Siedziałam, jakby wyssano ze mnie wszystkie siły. Potrzebny mi był pełniejszy obraz, musiałam o wiele więcej zrozumieć, nim w ogóle zacznę rozważać możliwość wybaczenia mamie. Co właściwie miała na myśli panna Mavis? Jak mogła to wszystko powiedzieć? Byłam zdolna uwierzyć, że babka zrobiła z mamy ruinę człowieka, ale tata? Nigdy! Pamiętałam, jak bardzo ją kochał! Panna Mavis myli się, i tyle!

Zmusiłam się do wstania. Byłam słaba, ręce mi się trzęsły. Wzięłam swój talerz, koszyk z grzankami i maselniczkę i poszłam do kuchni. Znowu się sprzeczały, ale na mój widok umilkły.

- Coś mnie ominęło? - zapytałam.

- Mówiłam właśnie Mavis - odparła panna Angel - że nie wszystkie fakty bierze pod uwagę, panienko Anno. To jasne, dlaczego nigdy nie mogłaś nic z tego zrozumieć. Byłaś małą dziewczynką, ledwo sięgałaś nad stół, kiedy twoja mama umarła. A twoja babka? Twoja babka nie miała z tym nic, absolutnie nic wspólnego.

- Anno - odezwała się panna Mavis - złotko, twój tata był ich jedynym dzieckiem po śmierci drugiego syna. Możesz sobie wyobrazić, jak się wszystko dalej potoczyło. Potem musieli się nauczyć nowego języka. Mieli bardzo mało pieniędzy, żadnych przyjaciół ani rodziny. Minęło wiele lat, nim zapuścili tu korzenie. Kiedy twój tata zdobył wykształcenie, został lekarzem i ożenił się z dziewczyną wprawdzie niewykształconą, ale królową piękności, wydawało im się to szczytem szczęścia!

Postawiłam naczynia na blacie i oparłam się o niego.

- Chcę wiedzieć o wszystkim. Proszę, niech mi pani opowie.

- Naczynia pozmywam później - oznajmiła panna Angel. - Teraz zjemy deser.

- Co?

- Powiedziałam: Naczynia pozmywam później, Mavis! - Wyminęła mnie w drodze do łazienki. - Czasami mam ochotę ją udusić.

- Cicho bądź! - mruknęła panna Mavis. - A ja mogłabym ci skrócić kark.

- Słyszysz, co chce, i ani słówka więcej - skomentowała panna Angel.

- O, pycha! - Panna Mavis wzięła talerz z ciasteczkami, który przyniosłam, i zaproponowała: - Chodźmy na ganek. Wieje przyjemny wiaterek, a tu jest tak duszno!

Kiedy zajęłyśmy miejsca w bujanych fotelach, podjęła swoją opowieść:

- Za twoją matką wszyscy się oglądali, Anno. Jesteś do niej bardziej podobna, niż ci się wydaje.

- Tak, była piękna, choć, moim zdaniem, przesadzała z makijażem.

- Hm. Ale to ty pracujesz w tym interesie, tak czy nie? - wtrąciła panna Angel.

Twarz zalał mi rumieniec, fala ciepła powędrowała po kręgosłupie i zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Ja też nie znoszę, kiedy ona ma rację - mruknęła panna Mavis. - Jest okropnie dokuczliwa, kłuje jak jeź!

- Mówię tylko prawdę, Mavis, dobrze o tym wiesz! Boże! Miała śliczny ogród, tak jak ty. Twoja mama mogła wiele w życiu osiągnąć. - Teraz zwracała się do mnie.

- Gdyby tylko twój tata jej pozwolił! - włączyła się panna Mavis. - Musieliśmy z Percym błagać go, żeby mogła prowadzić samochód.

- A pieniądze? Hm. Kazał jej notować wszystkie zakupy i co piątek pokazywać mu rachunki. Naprawdę!

- I sprawdzał ją przez telefon co pięć minut. Kiedy gdzieś wychodziła, to musiała do niego dzwonić i meldować mu się. Wiele razy płakała w mojej kuchni. Tak było. To biedactwo wylało rzekę łez.

Oczy panny Mavis, wodniste i na starość otoczone czerwoną obwódka, zatrzymały się na mojej twarzy. Wiedziałam, że każde słowo, które usłyszałam, było szczerą prawdą.

Taka była moja rodzina: stryj, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, babka, której zachowanie niemal można było zrozumieć, i ojciec, który moją nierozumianą, zmarłą matkę traktował jak strażnik więzienny, cierpiący na paranoję.

Gubiłam się w tym labiryncie, przytłoczona faktami, które poznałam, i prawdą, która jeszcze czekała na odkrycie. To straszne, że człowiek potrafi tą prawdą tak manipulować, żeby usprawiedliwiała jego postępowanie.

11. Dziękuję, za dużo na raz

Jeśli błędem było przedzieranie się przez oleandry do domu panien Mavis i Angel z nadętą miną humorzastej nastolatki, to takim samym błędem byłoby pójście do Lucy z nastawieniem hiszpańskiego inkwizytora. Trwał jeden z tych dni, kiedy nic nie układa się zgodnie z oczekiwaniami. Coś mi mówiło, żebym schowała pazurki. Tak, to był znowu ten sam wewnętrzny głosik.

Po powrocie do domu od sióstr Wścibskich wzięłam długi prysznic, a potem gapiłam się w telewizor jak pacjent wariatkowa. W głowie wciąż wirowały mi ich słowa. Byłam tak wstrząśnięta i zaskoczona, że nie miałam pojęcia, od czego zacząć rozmowę z tatą. Było pewne, że sprawa wypłynie. A może nie? Musiałam sobie wszystko dokładnie przemyśleć. W końcu nie mogłam wykluczyć, że wspomnienia panny Mavis o mojej matce zostały wypaczone przez romantyczną wizję przeszłości starszej pani. Z drugiej jednak strony, panna Angel się z nią zgadzała, a przecież nigdy nie lubiła dramatyzować. Jak mam zapytać ojca, czy on i babka przedstawiali mi fałszywy obraz wydarzeń? Wszystkie te kłamstwa! Wszystkie lata, kiedy powtarzali w kółko, jaka zła była moja mama!

Zapytam go, nic się przecież nie stanie.

Nie, nie mogłabym. Byłam słabym i płacziwym tchórzem.

Co za idiotyczny moment sobie wybrałam, żeby najboleśniejse blizny dzieciństwa serwować ojcu jako hors d'oeuvre w domu przyjaciółki! Po raz pierwszy w życiu widziałam, jak tata w towarzystwie kobiety nie tylko znajduje przyjemność, ale wręcz nie posiada się z radości. Zwariowana Lucy, bez dwóch zdań. Przez wszystkie te lata ojciec umawiał się z wieloma wdowami i rozwódkami w odpowiednim wieku. Były to rozsądne i myślące, tradycyjnie wychowane kobiety, które ubierały się u Talbota i skromnie oblewały rumieńcem. A teraz spotykał się z szaloną Lucy. Jedyny rumieniec, jaki znała, sprzedawano w pudełeczku, z pędzelkiem do kompletu.

No cóż? Rzecz w tym, że Lucy ze wszystkimi swoimi wyskokami była dla mnie tylko zabawnym kociakiem, dla taty zaś kwintesencją uroku i wdzięku. Nie miałam jednak prawa psuć im wieczoru wybuchem gniewu.

Ale... Do diabła, co się wtedy naprawdę działo? Czy moja matka rzeczywiście była lekkomyślną, fałszywą i zimną kurwą, tak jak dawali mi do zrozumienia? A może to ojciec był apodyktycznym, nadmiernie

podejrzliwym mężem młodszej od siebie kobiety, której przede wszystkim nie powinien był w ogóle poślubić? Czy naprawdę dał jej uzasadniony powód, by szukała pociechy w ramionach innych mężczyzn? Czy w ogóle istnieje uzasadniony powód do zdrady?

Straszliwie obawiałam się poznania prawdy. Kochałam ojca bardziej niż kogokolwiek na świecie - poza moją córką. Czy dlatego nigdy nie miałam zdrowej uczuciowej relacji z matką, że ojciec wpędził ją w sytuację bez wyjścia i musiała go w jakiś sposób ukarać, a tą karą było odebranie nam swojej miłości?

Poczekalam, aż minęło pół godziny od chwili, gdy tata zaparkował na podjeździe Lucy. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego czas tak wolno płynie. Czy chciałam wiedzieć? Miałam prawo do tej wiedzy, uświadomiłam sobie jednak, że może chodzić o taki rodzaj prawdy, która rani głęboko i nieodwracalnie.

Staralam się uspokoić i zebrać myśli. W końcu doszłam do pocieszającego wniosku, że może odkryję prawdę, która pozwoli mi zatrzymać się gdzieś pośrodku pomiędzy wersją panny Mavis a szczerym przekonaniem taty na temat tamtych wydarzeń.

Powinnam ładnie się zachować i dorzucić coś do kolacji, tak samo jak zrobiłam, idąc do panny Mavis. Co mam? Zbadałam czym prędzej kuchnię i pośpieszna inwentaryzacja wykazała, że mogę wybierać między butelką taniego wina i kawałkiem żółtego sera. Zdecydowałam się na ostry cheddar.

Pokroiłam go w plastry i ułożyłam na talerzu razem z krakersami, a w połówkę jabłka wetknęłam kolorowe wykałaczki. Uznałam, że całość wygląda zupełnie ładnie, jak jeżozwierz, który szykuje się do skoku przez pomarańczowe koło ratunkowe. Wystarczy. Układanie sera przynajmniej pozwoliło mi się opanować.

Zachowam się kulturalnie i poczekam, aż tata wypije kilka drinków, a potem dam mu najłżejszy z możliwych prztyczków w kark, kiedy Lucy nie będzie patrzeć. Zgoda, to nie w porządku, byłam tego świadoma. I pomyśleć, że o mało nie powtórzyłam Lucy tego, co mówiła u mnie panna Mavis! A zresztą. I tak dawno już minęła właściwa pora na prostowanie faktów.

Należało rozważyć o wiele więcej spraw. Co z babką? Chciałam się dowiedzieć, dlaczego tata pozwolił jej na powtarzanie tych okropnych historii o mojej matce, jeśli istotnie były to kłamstwa. I dlaczego po śmierci babki nigdy nie próbował powiedzieć mi prawdy. I czemu zgodził się, by babka miała tak wielki wpływ na moje życie? To wszystko było

żałosne.

- Cześć! Wchodź, właśnie przygotowujemy się do oglądania zachodu słońca.

- Proszę - powiedziałam, wpychając talerz w rękę Lucy. - Przyniosłam przekąskę do koktajli.

- Świetnie!

I Lucy chwiejnie odplynęła w swoich klapkach na koturnie, które - to do mojego notatnika z dziedziny mody - były z czarnej lakierowanej skóry malowanej w stylizowane jaskraworóżowe flamingi w okularach przeciwsłonecznych. Gdzie ta kobieta robi zakupy? Zamawia chyba wszystko z katalogów wysyłkowych. Innego wytłumaczenia nie widzę.

Tata i ja przywitaliśmy się, jak zwykle, lekkim uściskiem i cmoknięciem w mój policzek. Opowiadał, jak rewelacyjnie Lucy zamarynowała kurczaka i tuńczyka w sosie teriyaki z czosnkiem i szalotką, a jego udział polegał wyłącznie na otwarciu opakowania i podpieczeniu zamrożonego chleba czosnkowego. Pod niebiosa wychwalał umiejętności kulinarne Lucy. Czułam się dziwnie, obserwując jego zachowanie. Jeżyłam się na widok ich obojga.

Od razu się zorientowali, że jestem w złym nastroju, i wdali się w pogawędkę z rodzaju tych, kiedy to rozmawiającym towarzyszy nadzieja, że swoim świetnym humorem poprawią samopoczucie trzeciej osoby. Wzięłam z rąk Lucy lampkę białego wina i prawie całą wypłam, słuchając ich paplaniny. Paplanina. Paplanina. Na miłość boską, czemu jedno z nich po prostu nie zapyta mnie, co się stało?

Po prostu nie chcieli wiedzieć. Jasne. Ja byłam gotowa wywołać trzecią wojnę światową, a im zależało wyłącznie na miłym wieczorze. Od bardzo dawna nie czułam się jak piąte koło u wozu. Ten mój parszywy nastrój był chyba nie do zniesienia, ale oni byli tacy szczęśliwi, że robili wszystko poza gwizdaniem „Dixie”.

Dopiero kiedyśmy weszli na dach podziwiać nocne niebo, poczułam, że zaczynam inaczej patrzeć na świat. Błękitne światło zmieniło się najpierw w różowe, a potem we fioletowe, dając mi czas potrzebny na uspokojenie się.

Spojrzałam na moich towarzyszy. Okolone głębokimi zmarszczkami oczy taty, które głośno krzyczały o dziesiątkach lat, kiedy z własnego wyboru odmawiał sobie wszystkiego poza najdrobniejszymi przyjemnościami, te oczy podążały za Lucy z wyrazem wdzięczności za okazywane mu uznanie. Nie, chodziło nawet o mniej - wystarczyło, że w ogóle go zauważała.

To, że zwróciła na niego uwagę tryskająca wprost witalnością kobieta, było eliksirem młodości o potężnej mocy. A co więcej, uczucie, jakim go darzyła, jakiegokolwiek ono było, wystarczyło, by podnieść poziom jego endorfin, wytworzyć w obfitości feromony i - czego chyba nie trzeba dodawać - pompować testosteron, który od dawna z utęsknieniem czekał, by znaleźć ujście.

Któż mógłby ojca obwiniać? Ja nie. Nie, nie mogłabym. W każdym razie nie z tego powodu. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy widziałam mojego ojca tak podekscytowanego. Mimo całego swojego konserwatyizmu w tej chwili mógłby się przedzierać w Tarzana i obwieścić, że zamierza ruszyć w dżunglę na poszukiwanie małej zagubionej panienki. Tata wpadł - skutecznie i na własne żądanie.

Mogę napełnić pani kieliszek, panno Lucy?

Och, Douglas! Kochanie, ależ z ciebie dżentelmen! Prawda, że twój tata jest prawdziwym dżentelmenem, Anno?

- Jest wspaniały.

I Lucy też widziałam w innym świetle. Nie była wcale taka młoda, jak wcześniej mi się wydawało. Nad oczami miała chirurgiczne blizny, a kiedy powiew wiatru odgarnął jej włosy, takie same zobaczyłam też za uszami. Nawet jeśli Lucy zrobiła sobie lifting, to co z tego? No i usta. Kolagen. Już pierwszego dnia uznałam, że jej piersi są zbyt idealne, a kości policzkowe co najmniej podejrzanym. Człowiek zaczyna się zastanawiać. Ile z niej było autentyczne? Ale, z drugiej strony, jakież to miało znaczenie? Należała do kobiet, które potrzebują męskiej obecności, żeby czuć się lepiej. Wybrała mojego ojca w charakterze takiego lekarstwa.

Okrutna część mojej osobowości, ta, która do domu Lucy sprowadziła rozgniewaną kobietę z talerzem byle jakiego sera, twierdziłaby, że tata jest pieskiem Lucy. Aport! Rzuciła tylko patyk, a on już był z powrotem u jej stóp, uszczęśliwiony, że w nagrodę drapie go za uszami, gotów do nowego biegu, i tak przez całą noc. Aport, piesku! Dobry piesek! Paradoks polegał jednak na tym, że Lucy też była pieskiem taty. Ta para osieroconych psów w średnim wieku, zmieniających się na swój widok w medalistów wystawy ogólnokrajowej, prezentowała się przede mną, ich sędzią.

Nie była to pora właściwa, żeby zapraszać ojca na ring, pojęłam bowiem, że mogę się tu nauczyć czegoś bardzo cennego. Czemu nie pozwolić im teraz być szczęśliwymi?

Obserwując z dachowego tarasu Lucy, jak słońce znika za wspaniałym rubinowym horyzontem, zdecydowałam, że jednak nie rozszarpię taty. Nie będę go przesłuchiwać w jej obecności. Chyba z tym poczekam na

bardziej odpowiedni moment.

Jeśli z tego, co tu widziałam, wyciągnęłam jakiś wniosek, to brzmiał on następująco: każdy ma prawo do odrobiny szczęścia. Nikogo nie krzywdzili, wystawiali na ryzyko jedynie własną godność.

- Co za cudowny zachód słońca - rzuciłam, by zasygnalizować im, że zmieniłam nastawienie.

Wyraźnie się odprężyli, twarze im złagodniały. Burza, której się spodziewali, odeszła nad morze wraz z dniem ustępującym nocy.

- Tak - potwierdził tato, obejmując mnie i Lucy.

- Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym płakać - odezwała się Lucy.

- A może raczej upieczemy tego kurczaka? - zapytałam.

Nawet ja, byle jaka kucharka, uważałam, że wymoczonego kurczaka można jeszcze uratować, za to biedny tuńczyk nurzał się w marynacie tak długo, że należało raczej porzucić wszelką nadzieję. Gdybym go zjadła, prawdopodobnie już więcej nie oglądałabym zachodu słońca.

Kiedy wreszcie grill osiągnął odpowiednią temperaturę, położyłam kurczaka nad węglami. Na przemian to zajmowałam się nim, to klęłam i odganiałam moskity, wielkie w stanie Karolina Południowa jak ptaki. Tato i Lucy byli w kuchni, robili sałatę i jak podejrzewałam, czulili się do siebie. Moje podejrzania się potwierdziły, kiedy usiłując zachowywać się jak najciszej, weszłam tam na palcach po rozmoczoną rybę. Tata stał tyłem do drzwi, Lucy przed nim, trzymając dłoń na jego plecach.

- Dobrze, powiedz mi, co to znaczy. - Palcem napisała coś na jego skórze.

- Smok.

- Smok? Nie, głuptasie! Cmok! Chrząknęłam.

- Hej, wy dwoje, tu są dzieci.

Lucy zachichotała, tata z purpurową twarzą wyjąkał:

- Ona tylko...

- Daj spokój - przerwałam. - Ja też kiedyś byłam młoda.

- Rany, Anno, musimy ci znaleźć chłopaka. Jak tam twoje życie miłosne?

- Wiesz co? To cholernie dobre pytanie. Spotkałam tego faceta i... - I nic się nie stało, dodałam w myślach.

Dziobaliśmy kurczaka, przywiedłą sałatę i chleb czosnkowy, popijając to dwiema butelkami białego wina. Lucy, zgodnie ze swoim zwyczajem, zdołała jeszcze wlać w siebie dzbanek mrożonej margerity i kilka kieliszków wódki, którą pił również tata.

W końcu ja musiałam jeszcze przejść przez podwórze, żeby wrócić do

domu, gdzie nikt na mnie nie czekał. Ci tutaj wpędzali mnie w melancholię.

Nadeszła pora, żebym się wymknęła, zostawiając ich na resztę wieczoru, by mogli go spędzić we dwoje. Podniosłam się z kanapy.

- Wychodzisz?

- Tak, jutro muszę wcześniej wstać. Cześć, Lucy, dzięki za kolację!

- Och, złotko, naprawdę nie ma za co!

- Lucy, wracam za kilka minut. Chcę sprawdzić zamek w kuchennych drzwiach Anny.

- Jasne, chłopczyku! Będę na ciebie czekała! - Lucy objęła mnie, tatę zaś cmoknęła w policzek. - Do zobaczenia, panno Anno! Karaluchy pod poduchy!

Skierowaliśmy się do mnie.

- Zamek jest w porządku, tato.

- Wiem, chciałem z tobą porozmawiać. Otworzyłam drzwi i weszliśmy do kuchni.

- Chcesz wody?

- Tak, proszę. - Tata oparł się o blat i czekał, które z nas pierwsze się odezwie. - Co cię gryzie, Anno?

W jego głosie nie było agresji, nie było nic, co pozwoliłoby mi podnieść gardę i ruszyć do walki. Po prostu ojciec pytał córkę, czy dzieje się coś złego i czy nie mógłby pomóc.

Nie należę do kobiet, które płaczą łatwo czy często. Pamiętam dwie sytuacje w życiu, kiedy straciłam panowanie nad sobą i szlochałam jak dziecko. Raz, kiedy umarła moja matka i uświadomiłam sobie, że już na zawsze pozostanie martwa. Tamte łzy trysnęły z głębokiej studni wszechogarniającego smutku. Drugi raz, gdy zrozumiałam, że dłużej nie mogę mieszkać z Jimem. Wtedy płakałam przede wszystkim z poczucia winy i strachu przed samodzielnością. Obecna sytuacja była całkowicie odmienna. Wiązała się z wykopywaniem kości.

Kiedy więc gorące łzy, takie, które cię przerażają i płyną wbrew tobie, kiedy te zdradzieckie, palące strumienie spłynęły na moje policzki, zabrakło mi słów. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Ojciec podszedł do mnie i wziął mnie za rękę. Dłonie mi się trzęsły, gdy próbowałam napełnić ekspres kawą na rano. Odsunęłam go, rozsypując brunatny proszek. Odwróciłam się, oparłam głowę na ramieniu taty, objęłam go w pasie i zaczęłam brzydko, głośno szlochać. Było mi wszystko jedno.

- Do licha, co właściwie się stało, Anno?

- A niech to diabli. Nic.

- Jasne. No, dziecinko, powiedz mi. Bóg jeden wie, że twój staruszek wszystko już w życiu słyszał.

- Nie wiem... Boże wielki, tato, nie mam pojęcia, od czego zacząć. Chyba chodzi o to, że nie wiem, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Tata wyjął z kieszeni wyprasowaną chusteczkę, strzepnął ją, żeby się rozłożyła, i podał mi.

- Nie cierpię tych chusteczek z pralni. Są strasznie sztywne. Wysiąkaj nos.

- Nie mam serca jej brudzić - powiedziałam i z pudełka koło mikrofalówki wyciągnęłam chusteczkę higieniczną, po czym z ogłuszającym hałasem wydmuchałam nos.

- To cała ty, Anno. Praktyczna. Myślisz o wszystkim.

- I przez to myślenie wpadam w kłopoty.

- No, jeśli mi nie zdradzisz, o co chodzi, nie będę mógł ci powiedzieć, czy to, co myślisz, jest prawdą, czy nie.

- Okay. Muszę ci zadać jedno pytanie. Jak to się stało, że nigdy mi nie mówiłeś o bracie, który zmarł w czasie wojny?

Tata wziął głęboki oddech i najpierw zapatrzył się w sufit, potem w podłogę.

- Nie wiem. Bo nie było powodu.

- I czy to prawda, że kazałeś mamie dzwonić do siebie, jeśli wychodziła z domu, powiedzmy na zakupy do sklepu spożywczego?

- Była fatalnym kierowcą, bałem się o nią. Widziałam, że zaczyna się wściekać. I widziałam też,

że próbuje zapanować nad swoim gniewem. Staliśmy tak przez czas, który wydawał się latami, aż wreszcie tata powiedział:

- O co naprawdę chodzi, Anno? To te dwie wścibskie staruszki tak cię nakręciły, co? Boże wielki! - Zaczął krążyć po salonie. - Ludzie nie powinni wtykać nosa w nie swoje sprawy! Nie mogę ścierpieć, kiedy zaczynają gadać! Wracanie do przeszłości, wymyślanie jej na nowo jest okrutne i głupie. Co się stało, to się nie odstanie!

Byłam tak wyczerpana, że mogłabym zasnąć na podłodze tam, gdzie stałam. Zapomniałam już, jak potężną ulgę przynoszą łyzy. Mięśnie mnie bolały, ciało było ociążone. Ledwo miałam siły, by na koniec długiego dnia rozmawiać o poważnych sprawach.

- Robi się późno, tato, a Lucy na ciebie czeka. - Przygryzłam dolną wargę, czekając na jego odpowiedź; był wściekły, rozpalony gniewem do białości.

- I to wszystko, o co ci chodziło?

- Nie, nie wszystko. Chyba próbuję inaczej spojrzeć na mamę.

- Możesz robić wszystko, co ci się podoba, ale niczego to nie zmieni. Twoja matka była największym rozczarowaniem w moim życiu, Anno. Była hańbą. Jej śmierć mnie też o mało nie zabiła.

- O mało nie zabiła nas wszystkich, tato. Myślę tylko, że może nie była aż taka zła, jak zawsze wierzyłam. Wiesz? Kiedy dzieci chcą czegoś, czego nie mogą mieć, tupią nogami i krzyczą.

- A ona chciała mieć innego mężczyznę, Anno. Pamiętasz, że umarła, biorąc narkotyki i uprawiając seks z innym mężczyzną?

Teraz ja zaczęłam się złościć.

- Jakbyś ty albo babka kiedykolwiek pozwolili mi o tym zapomnieć! Ale nie sądzę, żeby akurat tego chciała!

- Och, teraz jesteś ekspertem od spraw małżeńskich? Był wkurzony jak wszyscy diabli. Nie miałam dość sił,

żeby kłócić się na śmierć i życie z tatą, chciałam tylko, żeby pomógł mi zrozumieć. Może jeśli będę mogła zrozumieć, uleczy to nasze pokręcone, chore dusze.

- Myślę, że się dusiła, tato. Ze czuła się jak w pułapce.

- To śmieszne.

- Nieprawda!

- Jesteś zazdrosna o moje uczucia do Lucy, tak?

- Wielki Boże, skądże znowu!

- Jesteś. Widziałem to dzisiaj, byłaś pochmurna i nadaśana. Jesteś zazdrosna!

- Byłam pochmurna, bo zastanawiałam się, w jaki sposób mam zacząć z tobą rozmowę o mamie! Zazdrosna o ciebie i Lucy? Nic podobnego!

- Aha.

Minęło kilka sekund, potem rzuciłam na ring ręcznik, kończąc starcie.

- Lucy jest szurnięta, ale bardzo ją lubię. Kogoś takiego przypuszczalnie oboje potrzebowaliśmy. Wiesz, byliśmy zbyt poważni. A ona to żywe srebro.

Na twarzy taty pojawił się zaczątek uśmiechu, wypierając gniew. Kiedy to zobaczyłam, także przestałam się złościć.

- No, na pewno dosypuje pieprzu do mojej zupy. Dobry Boże. Pieprz w jego zupie! Nie słyszałam tego

zwrotu, odkąd przestałam oglądać powtórki powtórek serialu „Donna Reed” albo innych telewizyjnych ramot.

- Och, tato! Pieprz w zupie! Porozmawiamy jutro, zgoda?

- Weź tabletkę motrinu. Zadzwoń do ciebie rano. Może się przeziębiałaś czy coś takiego.

Pocałował mnie w czoło i wyszedł. Zawołałam za nim:

- Dobranoc, tato!

- Dobranoc - odpowiedział i dopiero wtedy znów się do mnie odwrócił.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Anno, wiesz, twoja matka... Miałem powody... no cóż, byłem bardzo głupim człowiekiem. Zaborczym. Dumnym.

- Ja też byłam głupia, tato. I dumna.

- Ludzkie słabości. - Tak.

To połowiczne przyznanie, że wina być może nie leżała wyłącznie po stronie mamy, było jedynym, jakie kiedykolwiek udało mi się z niego wyciągnąć.

Czekałam, był już w połowie schodów, nim przyszło mi na myśl, że powinnam się odwrócić i przestać na niego patrzeć. Tata się starzał. Widziałam to po sposobie, w jaki szedł. Dawniej stawiał kroki energicznie, teraz przechylał się niepewnie na jeden bok. Wydawało się, że bardziej polega na lewej nodze niż prawej, bolało go biodro, a może kolano.

Ale przynajmniej miał życie uczuciowe.

Przez chwilę pomyślałam o Arthurze, Serowym Ekspercie. Rzeczywiście, Lucy miała rację. Potrzebowałam w swoim życiu kogoś poza nią, tatą i ciągle kurczącym się kręgiem znajomych, którzy zamieszkiwali stronicę mojego anorektycznego kalendarzyka.

Czyż w obecności taty i Lucy nie wygłosiłam idiotycznej informacji o spotkaniu mężczyzny i otwarciu własnego salonu? Proszę, widać jak na dłoni - nikt z nas nie jest doskonały, konsekwentny czy absolutnie szczery, nawet w wielkich sprawach. Może nawet częściej oszukujemy siebie właśnie w tych wielkich sprawach niż w drobnych.

Cieszyłam się, że nie zaczęłam rozmowy z tatą u Lucy. Jego związek z moją matką to nie jej rzecz.

A może też nie moja.

Co spowoduje ta moja obsesja? Odgrzebywanie przeszłości zapewne sprawi, że ojciec poczuje się gorzej, a nie ma najmniejszej gwarancji, że ja poczuje się lepiej. Alboż dzisiaj jest ważne, czy moja matka była świętą, czy grzesznicą? Czy nasze życie może stać się lepsze dzięki rozpamiętywaniu jej uchybień?

Umyłam twarz, wyszorowałam zęby i przebrałam się do snu. Wsunęłam się pod koc i zamknęłam oczy, próbując przywołać matkę w

myślach. Po raz pierwszy od wielu lat postanowiłam się za nią pomodlić.

Mamo? Mamo, muszę wiedzieć. Czy wszyscy mylili się co do ciebie? Szukam cię, chcę, żebyś wiedziała, że myślę o tobie. Mam nadzieję, że spoczywasz w spokoju. Naprawdę mam taką nadzieję i proszę Boga, by zesłał na ciebie spokój. Tęsknię za tobą.

Zawsze za tobą tęskniłam.

Byłaś mi wtedy potrzebna i nie pojmowałam, dlaczego nie możesz mi pomóc, ale teraz już jest wszystko w porządku. Wybaczam ci. Wybaczam. Proszę, pomóż mi zrozumieć... Jestem taka samotna. Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do tej chwili, ale jestem zmęczona i zupełnie sama. Przesyłam ci moje serce, proszę, daj mi swoje.

12. Włosy, włosy, włosy

Zeszłej nocy znowu śniłam o matce. Byłam mała, a ona bujała mnie na huśtawce. Co to znaczyło? Może próbowała mi powiedzieć, żebym się rozchmurzyła. Tyle tylko umiałam wymyślić, kiedy spacerowałam po plaży, szukając pieniążkowców i odpowiedzi. Ani jednych, ani drugich nie znalazłam w nadmiarze.

Tyle spraw krążyło mi po głowie. Wciąż dręczyła mnie przykra rozmowa z tatą poprzedniego wieczoru. Nikt nigdy nie zmieni w całości opinii taty o mamie, ale ja mogę zmienić swoją. W końcu przecież przyznał, że niezbyt dobrze radził sobie w małżeństwie, z drugiej strony jednak, jego duma była twarda jak diament. A moja? Cóż, jeśli tak, to zrobię wszystko, by się zmienić. Raz czy dwa zapędzono mnie w sytuację bez wyjścia, mogłam więc zrozumieć, że mama się buntowała. Nie ulegało wątpliwości, że dokonała złego wyboru, zadając się z tym aptekarzem. Może bała się rozwodu. A może dała się przyłapać, bo była głupia. Współczułam jej. Do diabła, kim byłam, żeby kogokolwiek osądzać? Miałam tylko kilka lat mniej niż ona, kiedy wychodziła za tatę, i upiłam się na balu maturalnym, co skończyło się ciążą. Nikt nie wlewał mi siłą alkoholu do gardła i nikt siłą nie prowadził przez nawę do ołtarza. Obu nam jednak oczy się otworzyły, kiedy dokonałyśmy złych wyborów. Różnica polegała na tym, że w jej wypadku frustracja miała metkę z ceną życia, a moja dała mi Emily. Pochopny ślub, żal w wolnych chwilach. Gdyby stara Violet umiała haftować, na pewno wyszylaby to na poduszce!

Ostatniej nocy płakałam jak małe dziecko. Kiedy na wyspie zaczyna się przyływ, zwłaszcza ten wieczorny, serce wypełniają ci najrozmaitsze tęsknoty. Kto by nie płakał? Ktoś, przed kim ponad dwadzieścia lat ukrywano prawdę, a potem on sam nagle staje z nią twarzą w twarz? Miałam stryjka? A co więcej, choć nigdy nie powiedziałam tego głośno,

zawsze zadawałam sobie pytanie, czy nic nie zależało ode mnie, jeśli chodzi o mamę. Gdybym kochała ją mocniej, gdybym tylko okazała, że bardziej jej potrzebuję, czy silniej by się do nas przywiązała? Kiedy byłam mała, nigdy nawet do głowy mi nie przyszło, że ciąży na mnie tak wielka odpowiedzialność. Teraz, jako osoba dorosła, zrozumiałam, że nienormalne byłoby myśleć, iż choćby częściowo ponosiłam winę, wiedziałam jednak, że zawsze tak będę czuła.

A jakby nieustanne rozprawianie się z przeszłością mi nie wystarczało, z każdym dniem coraz rozpaczliwiej pragnęłam uwolnić się od Harriet. Ciągłe czepianie się, szpiegowanie i oskarżenia z jej strony doprowadziły mnie do stanu, w którym ledwo potrafiłam to znieść, udając w jej obecności, że zachowuję resztki dobrego humoru. Na nieszczęście to nie była odpowiednia pora na rzucanie pracy. Nie znaczy to, że hipoteka stanowiła aż takie obciążenie, rzecz w tym, że wcześniej nigdy nie musiałam spłacać długoterminowych kredytów. Chciałam przywyknąć do nowych zobowiązań, nim podejmę nowe ryzyko.

Z daleka zobaczyłam Arthura - pomachał do mnie. Wyrzuciłam w odpowiedzi rękę w powietrze z większym entuzjazmem, niż nakazywał rozsądek, ale pragnęłam żeby podszedł, zachował się jak kumpel, wysłuchał żalów i doradził. On jednak skończył już poranny spacer, odwrócił się i zniknął za wydmami.

Jeśli czegoś naprawdę mi brakowało, to przyjaciół, którym mogłabym się zwierzać. Odkąd Frannie po skończeniu college'u została w Waszyngtonie, a Jim wyjechał, oczywiście ciągle rozmawialiśmy, ale kontakty telefoniczne, nawet częste, to w gruncie rzeczy za mało. Potrzebowałam przyjaciół, z którymi mogłabym pójść na kolację albo do kina, no wiesz, ludzi, z którymi spędzałabym czas. Byłam jednak tak zajęta, że nigdy nie znajdowałam czasu na podtrzymywanie nowych znajomości. To był bez wątpienia minus.

Prawdę powiedziawszy, związaaliśmy się z tatą w sposób, który był chyba niezdrowy. Nie znaczy to, że łączyło nas coś podejznanego. Chryste! W żadnym razie. Chodzi o to, że kiedy się do niego przeprowadziłam, w sposób zupełnie naturalny przejęłam określone funkcje: zakupy, prowadzenie domu, gotowanie, uprawianie ogródka. On z kolei dobrze sobie radził z drobnymi naprawami, choć lubił przy tym zrzędzić, a także spłacał hipotekę. Ja byłam tarczą, która chroniła go przed powtórny małżeństwem, a każdy biedny sukinsyn, przyprowadzony przeze mnie do domu, poddawany był istic szatańskiemu przesłuchaniu. Przez całe lata oboje bezpiecznie do niczego nie dochodziliśmy w życiu osobistym. Oto

czego mogą dokonać lenistwo i strach.

Kolejnym dobrym przykładem ilustrującym moje lenistwo było to, że niemal w tej samej minucie, w której podpisałam umowę hipoteczną, uświadomiłam sobie, że nasze wspólne dni z szaloną Harriet dobiegają końca. Wspaniale, Anno, po prostu cudownie. Miałam tylko nadzieję, że zachowam zdrowy rozsądek i potrafię określić, który dzień będzie odpowiedniejszy na oznajmienie jej, że moją wspaniałą posadę w Salonie Pięknych Włosów może sobie wsadzić w okolice, których nigdy nie opala.

Wlokąc się do domu, żeby się przebrać do pracy, uznałam, że powinnam chyba o wiele poważniej podejść do sprawy pracy. Jakies wyjście przecież musi być.

Jadąc do Charlestonu, rozważałam możliwości: z wolna tracić zmysły u Harriet albo tracić je w innym salonie. Gdyby wziąć pod uwagę pełny wachlarz szaleńców, Harriet wydawała się niemal do przyjęcia. Przynajmniej wiem, jak dalece jest świruską. Stare wyspiarskie powiedzenie głosi: trzymaj się zła, które znasz. W ostatniej chwili udało mi się uciec z domu taty. Myśl o następnej drastycznej zmianie przyprawiała mnie o ból brzucha.

Praca w innym salonie mogłaby okazać się gorsza od skoku w bok. Choć niespełna rozumu, Harriet miała najlepszy salon w Charlestonie. Odwiedzało nas więcej klientek, mieliśmy też większą liczbę stylistów oraz większy wybór kosmetyków i akcesoriów niż jakikolwiek inny zakład. A co ważniejsze, nie chciałam uciekać z salonu za wszelką cenę, tylko dlatego, że serdecznie nie znosiłam Harriet. Musiałam najpierw zyskać absolutną pewność, że znajdę miejsce, gdzie dostanę następną wypłatę. A więc co robić?

Gdybym miała kupić nowy samochód (czego pewnie nie zrobię przez najbliższych pięć lat), przypuszczalnie odwiedziłabym kilku dealerów, żeby się przekonać, co oferują. Postanowiłam, że zastanawiając się nad zmianą miejsca pracy, przeprowadzę dyskretną ankietę pomiędzy moimi zaufanymi klientkami, żeby się przekonać, czy poszłyby za mną do nowego salonu. Może to na jakiś czas stłumi moje pragnienie ucieczki i potrafię nadal znosić jakoś towarzystwo Harriet. Tak, właśnie tak zrobię.

Weszłam do zakładu i wzięłam listę klientek od Carli, naszej recepcjonistki od prawie pół roku, najdłużej w historii Salonu Pięknych Włosów utrzymującej się na tym stanowisku piękności o sylwetce i proporcjach przyprawiających wprost o zawrót głowy. Zajmowała się organizacją dnia pracy i była czarodziejką.

Carla Egbert, wysoka i wiotka jak modelka z wybiegu, miała twarz

bez skazy i operowała na pierwszej linii naszego salonu niczym szef sztabu. A wszystko z uśmiechem i złośliwym poczuciem humoru. Powiedzieć, że kochano ją i bano się jej, byłoby sporym niedomówieniem. Jeśli nadepnęłaś jej na odcisk, przydzielała ci w nadmiarze nowe klientki i słaniała się ze zmęczenia. Jeśli jednak traktowałaś ją z należyтым szacunkiem, stawała się twoją tajną bronią w walce z Harriet i hordami bab, natarczywie domagającymi się fryzury na lato, lub wybierającymi się na bal naturalny nastolatkami z pryszczami na dekolcie, które pragną wyglądać jak Jennifer Aniston. A jeśli poważnie się Carli narazisz, przydzielili ci bandę gości weselnych.

- Cześć, Carlo - powiedziałam, biorąc od niej kartkę. - Jak się udał weekend?

- Dobrze - odparła z uśmiechem. - Masz nową ofiarę na swojej liście przebojów.

- Tak? A kto to?

- Jakaś Lucy. Próbowałam zapisać ją do Nicole, ale uparła się, że to masz być ty. Będzie tu za godzinę. Przepraszam.

- Nie ma sprawy, to moja nowa sąsiadka. Przynajmniej mi się wydaje, że to ona.

- A, racja! Przeprowadziłaś się! I jak tam?

- No wiesz, zarzuciłam sobie pętlę na szyję, i tyle - Niezbyt wielką, ale byłam debutantką w tej dziedzinie, póki nie podpisałam pożyczki hipotecznej. Musisz wpisywać mi wszystkie możliwe zlecenia, zgoda? Minęły dwa tygodnie, a ja nadal się denerwuję.

- Nie ma sprawy.

- Dzięki.

Poszłam na zaplecze i nalałam kawy do „mojego” kubka z napisem MUSISZ POKOCHAĆ TEGO PROSIAKA z jednej strony i obrazkiem śmiejącego się wieprzka z drugiej. Choć, jak wszyscy, lubiłam święty spokój, to przecież nie chciałam spędzić reszty życia na picciu wodnistej kawy z wyszczerbionego kubka za pięć dolarów.

Zasłużyłam sobie na coś lepszego, ponieważ przetrwałam psychiczne eksplozje Harriet, a ona, co prawda, z niechęcią, musiałaby jednak przyznać, że jestem jej najbardziej godną zaufania pracownicą. Wiedziała, że otworzę salon wcześniej i zamknę go porządnie, kiedy wyjedzie z miasta lub źle się poczuje.

Nie znaczy to, że stale miałam klucze. Nie. Jeśli Harriet była chora, musiałam po nie wpadać do niej do domu przy Beaufain Street. Co jakiś czas zmieniała zamki w zakładzie, chyba przekonana, że zrobiłam sobie

duplikaty. Chciało mi się z tego śmiać, bo co właściwie myślała? Ze przyjdę w środku nocy i ogołoce pieprzoną półkę na zapleczu z szamponów i używek, a potem sprzedam je na ulicy? Była zupełnie pokrecona.

Udawało się nam jakoś ze sobą wytrzymywać, bo jedna nie wchodziła drugiej w drogę. Dostawałam połowę z tego, co klientka płaciła za usługę, podczas gdy większość pozostałych fryzjerek otrzymywała tylko niskie Pensje lub mały procent. Chociaż więc Harriet była patentowaną wariatką, trudno będzie znaleźć drugą taką szefową. Ale kto wie...

Zobaczyłam, że moja pierwsza klientka, Susan Hayes, już czeka na fotelu, pognałam więc, żeby się z nią przywitać. Jedna z moich stałych i ulubionych. Asystentka szcztokowała jej świeżo umyte włosy i proponowała kawę.

- Proszę bez śmietanki, czarną - powiedziała Susan. - Witam, jak się pani miewa?

- Och, doskonale, dziękuję. A co u pani?

- Sądzę, że trzymam się świetnie, zważywszy okoliczności.

- Miło mi to słyszeć. Wyszła już pani za tego Simona?

- Jeszcze nie, ale uważamy, że trzeba to wreszcie załatwić i mieć sprawę z głowy. Skoro mój były ożenił się ze swoją konkubiną i żyje szczęśliwie w Vermoncie, zgodnie z zaleceniami nowego guru robiąc sobie kawowe płukanki okężnicy oraz wstąpiwszy do spółdzielni farmerów organicznych, to może rzeczywiście najwyższy czas. Sama nie wiem. A co pani o tym myśli? Kolejny małżonek? Powinnam wyjść za Simona?

Stałam za nią i przeczesałam grzebieniem jej włosy, sprawdzając stan końcówek i odrosty.

- Niech pani to zrobi - doradziłam - zanim poderwie go jakaś pielęgniarza.

Ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

- Uważa pani, że powinnam odessać sobie tłuszcz z podbródka? Jest obwisły jak plastikowy worek z jogurtem!

- Ależ skąd. Wygląda pani rewelacyjnie. To co, trochę podfarbujemy i przytniemy? Warto się odrobinę odświeżyć.

- O tak! W ten weekend idę na przyjęcie do Akademii Medycznej. Coroczne spotkanie dawców i biorców. Nie chcę wyglądać jak własna matka! Co z moimi odrostami?

- Jakimi odrostami? Złotko, nikt nie chce wyglądać jak własna matka, no, może z wyjątkiem córki Catherine Deneuve.

- Świetnie to pani ujęła! Ojej! A czy ona ma córkę?

- Trudno powiedzieć. - Roześmiałyśmy się, a ja dodałam: - Pójdę teraz przyrzadzić czarodziejską mieszankę, wrócę za chwilę. Jak z panią skończę, na pewno nie będzie pani wyglądała jak własna matka!

Po godzinie wsunęła mi do ręki złożony banknot dwudziestodolarowy i już miała zniknąć za drzwiami, czując się jak zupełnie inna kobieta.

- Boże, Anno, jest pani wspaniała! Dzięki.

- Susan? - Pociągnęłam ją z powrotem, rozglądając się, czy ktoś nas przypadkiem nie słyszy. - Gdybym stąd odeszła, byłaby pani nadal moją klientką?

- Głupie pytanie! - oburzyła się. - Chodzę do pani, odkąd Kim wyprowadziła się z Charlestonu. Do licha, pojechałabym za panią do Columbii! Może nawet do Greenville! Jest pani moją najlepszą tajną bronią! Myśli pani o odejściu od starej Harriet, tego psa Baskerville'ów? To świetnie! Nigdy jej nie lubiłam.

- Dam pani znać, co i jak.

- Podła stara jędra będzie wściekła, ale dobrze jej tak. - Roześmiała się i dodała: - Sprawiedliwości stanie się zadość!

- Jest pani okropna - szepnęłam, opanowując się z trudem, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Punkt dla mnie! Jedna klientka w kieszeni. Jeszcze tylko dwie setki innych i wszystko będzie w porządku. Poszłam do Carli, żeby jeszcze raz sprawdzić, ile osób do mnie zapisała. W tej samej chwili w progu pojawiła się Lucy. Była w obcisłych i przykrótkich dżinsach, klapkach na koturnie, obszernej bawełnianej koszuli i jakichś dwóch tonach plastikowej biżuterii. Nigdy nie byłam na Coney Island, ale wyobrażałam sobie, że tak wygląda ktoś, kto się urwał z takiego miejsca.

- Chciałam zobaczyć twój salon, więc...

- Lucy! Co za wspaniała niespodzianka! Chociaż, prawdę mówiąc, słyszałam, że masz przyjść! - Ujęłam ją pod ramię.

- O mój Boże! Tu jest bajecznie!

- Dzięki! Chodź ze mną! - Zaprowadziłam ją na fotel i spytałam: - Napijesz się coli albo kawy?

- A macie wodę z lodem?

Podaliśmy jej złożoną pelerynkę i poprosiłam, żeby ją włożyła. Moja asystentka Ivy (odznaczająca się talentem i możliwościami intelektualnymi rośliny doniczkowej) wolno podryfowała po napój. Jeśli to dziecko przekłuje sobie jeszcze jedno miejsce, będzie wyglądało jak drucziana siatka. W duchu podziękowałam Bogu, że moja Emily nie ma skłonności do samookaleceń.

Prawdę mówiąc, myślałam o włosach Lucy od chwili, gdy ją poznałam. Włosy innych ludzi to moja idee fixe, a jej były szczególnie niepokojące. Zamierzałam wyruszyć z misją ratunkową, by uratować ten spalony puch.

- Dobra, Lucy, będziesz wyglądała o dziesięć lat młodziej.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Po gorącej oliwce, nabłyszczaniu i usunięciu co najmniej trzech cali rozdwojonych końcówek głowa Lucy nabrała niezwykle obiecującego wyglądu. Jej włosy odżyły i były tak błyszczące, jakbym wypastowała i wyfroterowała każdy kosmyk. Lucy wyglądała, jeśli możesz w to uwierzyć, super.

- Cholera, Anno. Dobra jesteś. Piekielnie dobra. - Uśmiechała się od ucha do ucha i już miała pociągnąć wargi błyszczkiem w kolorze burdelowej czerwieni, ale ją powstrzymałam.

- Dzięki. Poczekaj, mam coś jeszcze. To kosmetyki nowszej generacji. - Poszłam do stanowiska makijażu i wybrałam beżową konturówkę, jasnoróżową szminkę i odpowiedni błyszczek. - Zaraz zobaczysz.

Niezbyt chętnie uległa. W końcu jeśli jej się nie spodoba, zawsze może to zetrzeć. Kiedy jednak spojrzała w lustro, była zaskoczona i wyraźnie zadowolona.

- Jasne usta powiększają oczy - zauważyła.

- Właśnie.

- Zawsze uważałam, że usta mam najładniejsze.

- Są ładne, ale zaczynaj makijaż od oczu. Chodźmy, odprowadzę cię do wyjścia.

- Mogę kupić tę konturówkę i szminkę?

- Oczywiście.

Pozbierała swoje rzeczy, raz jeszcze przejrzała się w lustrze i ruszyliśmy w stronę kasy.

Nie żeby było w tym coś niezwykłego, ale przez całe rano Harriet grasowała po salonie z kwaśną miną, a teraz z jakiejś niepojętej przyczyny szła krok w krok za nami. Tej kobiecie na gwałt potrzeba hormonalnej kuracji zastępczej.

Kiedy wszystkie znalazłyśmy się przy recepcji, frontowymi drzwiami wszedł mężczyzna. Sam ten fakt nie był dziwny, bo odwiedzało nas mnóstwo mężczyzn. Chodziło o jego rozbiegany wzrok, o to, jak wodził oczami po całym salonie i twarzach klientek, a zwłaszcza ich biżuterii, jakby zaraz miał wyciągnąć broń i obrabować wszystkie. Mówiłam sobie,

że powinnam się uspokoić. Cóż to, nagle od pierwszego wejrzenia potrafię rozpoznać kryminalistę? Czyżbym została panną Marple fryzjerstwa?

Nie powinnam była jednak lekceważyć intuicji. Spojrzałam na niego z ukosa i dostrzegłam, że jego czoło pokrywają kropelki potu. Naprawdę miał zamiar obrabować nasz salon i klientki, byłam tego pewna tak jak własnego nazwiska. Nie chciałam, żeby Lucy otworzyła torebkę. Carla właśnie przyjmowała zlecenie telefoniczne i nie zwróciła na faceta uwagi. Frau Harriet weszła za kontuar, po czym z teatralną przesadą zaczęła sprawdzać wykaz usług wykonanych dla Lucy.

- Miała pani też nabłyszczanie, prawda? Nie widzę tego na rachunku. Dlaczego?

To było bardziej oskarżenie niż pytanie. Ale tym razem nie zamierzałam narażać siebie i swojej klientki na kolejny incydent, spowodowany przez Harriet.

- Lucy - przerwałam szefowej, bo własne bezpieczeństwo okazało się ważniejsze od zasad grzeczności - możesz przecież zapłacić później. Chodź, odprowadzę cię do samochodu.

- Ale nie kupiłam szminki i...

- Szybciej, Lucy!

Złapałam ją za ramię i pociągnęłam w stronę drzwi, wymijając dziwnego nieznanego i próbując jednocześnie gestami dać znać Harriet, że facet jest podejrzany i należy mieć go na oku.

- Co ty wyprawiasz? Twoja klientka nie może wyjść bez uregulowania rachunku! - zawołała za nami Harriet, spoglądając na mężczyznę.

Zobaczyłam, że z kieszeni kurtki wyjął pistolet.

- Otworzyć kasę, a potem wszyscy na podłogę - rozkazał. - Dawaj portfel, paniusiu.

Boże w niebiesiech! Wypchnęłam Lucy za próg i ruszyliśmy biegiem. King Street jakieś dwie przecznice dalej jechał patrol policyjny, zaczęliśmy więc machać i krzyczeć jak szalone.

- W naszym salonie jest bandyta! Ma broń! Salon Pięknych Włosów Harriet!

- Zostańcie tutaj - polecił nam jeden z policjantów, podczas gdy drugi nacisnął na gaz.

Samochód pognał w kierunku salonu, tam gwałtownie zahamował. Obaj policjanci wyskoczyli, wyciągnęli broń i weszli do środka.

- Wielki Boże! - jęknęła Lucy. - Uratowałeś mi życie, Anno!

- Raczej twój zegarek. Boże, co się tam dzieje? Chodźmy!

I ruszyłam z powrotem, żeby się przekonać, czy będzie widać cokolwiek z drugiej strony ulicy. Wtedy też usłyszałam strzał. Pojedynczy. Bum! A potem drugi. Serce podskoczyło mi do gardła i skamieniałam, przyklejona do witryny piekarni Old Colony. Lucy złapała mnie za rękę.

- Cholera, Anno! Idziemy!

Wyrwała mnie z osłupienia i wciągnęła do sklepu. Czułam się tak, jakbym za chwilę miała zemdleć. Broń! Ktoś posadził mnie na krześle i podał mi szklankę wody. Minęło może dziesięć minut, pełnych napięcia. Słyszałam policyjne wozy, głośne klaksony, wycie syren.

- Muszę tam wrócić - powiedziałam. - Boże, a jeśli zastrzelił Harriet?

- Nawet tak nie myśl! Powinnam zapłacić rachunek - przypomniała sobie Lucy.

Trzęsąc się, przebiegłyśmy przez ulicę. Kiedy pchnęłyśmy szklane drzwi, zobaczyłyśmy, że w salonie panuje kompletny chaos. Klientki tłoczyły się wokół Harriet, która leżała na sofie w recepcji i jęczała, trzymając przy szczęce worek z lodem. Carla wachlowała ją jakimś magazynem. Pozostałe kobiety przez telefony komórkowe zdawały mężom relacje z incydentu.

- Próbowала odebrać mu broń - wyjaśniła Carla - więc walnęła ją w szczękę.

- Chryste! - jęknęłam. Nie była to właściwie modlitwa, raczej ulga, że Harriet żyje.

Rozejrzałam się dookoła. Lustro za biurkiem recepcjonistki popękało od wystrzałów. Żel do włosów, pianka, spreje i szczotki leżały na podłodze. W gipsowym suficie ziały wielkie dziury, sypał się z nich pył, pokrywając wszystko grubą warstwą.

Harriet spojrzała na mnie.

- Dobrze się pani czuje? - zapytałam.

- Nie, a ty już tu nie pracujesz - odpowiedziała.

- Co? - Byłam oszołomiona.

- Słyszałaś, co powiedziałam! Wynoś się! Pomogłaś swojej przyjaciółce uciec stąd i nie zapłacić, a potem przez ciebie o mało nie zostałam zabita! Wynoś się!

W salonie zapadła cisza jak makiem zasiał. Byłam taka wstrząśnięta, że nie wiedziałam, jak zareagować, mimo to próbowałam się tłumaczyć.

- Pani Harriet, nie może się pani bardziej mylić! To ja zauważyłam tego zbira! Dawałam pani znaki! I to ja wezwałam policję!

- Obserwuję cię od dawna - oznajmiła najbardziej nieprzyjemnym gardłowym głosem, jaki słyszałam z ust żywego człowieka. - Wyjdz,

zanim cię stąd wyrzucę!

Carla przewróciła oczyma, solidarnie zgadzając się ze mną, że Harriet to kompletna świruska. Klientki cofały się, zażenowane i pełne współczucia dla mnie, mrużąc pod nosem: To się w głowie nie mieści... Jak mogła coś takiego powiedzieć... Znam Annę od... To niemożliwe... Co się z nią dzieje? Tym razem Harriet naprawdę posunęła się za daleko... A pamiętasz, jak...

Nie miałam pojęcia, co dalej robić. Nie ulegało wątpliwości, że w tym stanie Harriet i tak nie da się niczego wytłumaczyć, że zmarnuję tylko czas. Potrzebowała dwudziestu miligramów czegoś, czego nie miałam, a gdybym nawet miała, i tak bym jej nie dała. Postanowiłam wyjść.

- Carlo, jeśli klientki będą o mnie pytać, powiedz, że poszłam do domu, bo jestem chora, dobrze?

Po raz drugi tego dnia Lucy ujęła mnie pod ramię i powiedziała na cały głos:

- Nie potrafisz rozpoznać znaku od Boga? Do licha, dziewczyno! Jesteś tępa jak noga stołowa! Zabieraj stąd swoje rzeczy, bo otworzymy sobie własny salon. - Spojrzała na leżącą na sofie Harriet. - Jest pani w wielkim błędzie i powinna się pani cieszyć, że żyje! A poza tym podła i głupia z pani baba!

Carla zachichotała, ale mnie nie było na to stać. Wciąż byłam zbyt oszołomiona. Tak szybko, jak potrafiłam, pobiegłam do swojego stanowiska pracy, z szuflady wyjęłam torbę i wrzuciłam do niej nożyce, żelazko do prostowania włosów, szczotki oraz - najważniejszy ze wszystkiego - notes z nazwiskami klientek i uwagami o farbach. Zza ramy lustra wyrwałam zdjęcie Emily i złapałam kilka książek, które trzymałam dla klientek. Kiedy wychodziłam, wszyscy obecni wyrażali swoje ubolewanie: Daj znać, gdzie się przenosisz... Wcale cię nie obwiniam, złotko... To nie twoja wina, Anno... w żadnym wypadku!

Wyszłyśmy obie na ulicę zalaną wspaniałym słońcem Karoliny Południowej. Lucy pojechała za mną swoim samochodem. Przez całą drogę płakałam i klęłam na Harriet. To zadziwiające, że tyle lat mojego życia zmieściło się w jednej torbie. Kiedy wysiadłam z wozu, Lucy przyszła na moje podwórko.

- O rany, co się z tobą dzieje? - zapytała.

- Naprawdę nie wiesz? - Jak mogła być taka niewrażliwa?

- Posłuchaj, złotko, ta baba nie jest warta potu z zadka maciory, a co dopiero twoich łez. A pracy u niej nie możesz porównać z pieniędzmi, jakie zarobisz u siebie!

- Lucy, na głowę upadłaś czy co? Teraz nie mogę o niczym takim myśleć.

- Kto jest twoim agentem od nieruchomości? Otworzyłam drzwi i weszłyśmy do domu.

- Marilyn Davey. Jej wizytówka jest na drzwiach szafki w kuchni. Ale nie dzwoń do niej. Poczekaj, aż to sobie przemyślę. Idę się umyć.

Oplukałam twarz zimną wodą. Byłam w takiej depresji, że miałam ochotę położyć się na tydzień do łóżka. Przyczesalam włosy gumową szczotką i połknęłam dwie aspiryny; nie zaszkodzą, a mogą pomóc.

Lucy wisiała na telefonie, dokonując ustaleń mających na celu moje bankructwo. Postanowiłam się przebrać, włożyłam więc szorty i tenisówki. Uznałam, że spacer po plaży może okazać się dobrą terapią, a równocześnie zastanawiałam się, jak mogłam tak długo przeżyć bez plaży. Zabiorę ze sobą Lucy i przekonam ją, żeby dała spokój. Jak na jeden dzień, dość miałam kłopotów.

Nie potrzebowałaś plaży, bo miałaś tatusia, do którego biegłaś w trudnych chwilach - może to już czas, żebyś wreszcie dorosła, raz i na zawsze!

Ten głosik w mojej głowie stawał się naprawdę dokuczliwy.

- Wsiadaj do samochodu - poleciała Lucy. - Co?

Pisała coś na odwrocie koperty.

- Powiedziałam: wsiadaj do samochodu. Marilyn Davey, najmiłsza osoba, z jaką w życiu rozmawiałam, ma odpowiedni lokal na salon, więc rusz tyłek! Upchnęła nas między innymi klientami.

- Lucy, nie jestem na to gotowa. To szaleństwo. Nie stać mnie. Dopiero co kupiłam ten dom.

- Wręcz przeciwnie, stać cię. Wszystko omówimy. Skąd Lucy brała ten tupet?

Poszłam za nią, bo nie miałam sił się sprzeciwić.

Lokal, który oglądałyśmy, był pusty i znajdował się w stosunkowo nowym centrum handlowym. Przy odrobinie szczęścia mógłby tam być wspianały salon. Tylko skąd wezmę pieniądze?

Wbrew własnemu przekonaniu tamtego wieczoru rozmawiałam z tatą, Jimem i Frannie. Wszyscy chcieli mi pomóc. Nie potrafiłam jasno myśleć, bo wylanie z pracy, na które niczym sobie nie zasłużyłam, wytrąciło mnie poważnie z równowagi. Razem z Lucy wypiliśmy dwie butelki wina, potem zasnąłam na kanapie.

Usłyszałam dzwonek telefonu i uświadomiłam sobie, że to już rano. Powinnam była wziąć więcej aspiryn. Dzwoniła Harriet, tonem na poły

przepraszającym sprawdzała, czy jej wybaczę. Powiedziałam, że zastanawiam się nad otwarciem salonu na Wyspie Palm. Tak się wściekła, że jej wrzaski pewnie zachwiały fundamentami Urzędu Celnego w Charlestonie. Jeżeli zabierzesz mi choć jedną klientkę, oddam cię do sądu! Oskubię cię do nitki!

I to tyle, jeśli chodzi o ceremonię pożegnalną.

- Niech pani da spokój, dlaczego po prostu nie życzy mi pani powodzenia?

Trzasnęła słuchawką z taką siłą, że podskoczyłam. Ja na pewno nie będę za nią tęsknić. W pewnym sensie współczułam jej. Przez lata przepraszałam najwierniejsze klientki za jej wybuchy złości i podejrzania. Ale to się skończyło. I kto będzie teraz ją chronił?

A kogo to obchodzi?

Nad wieloma filiżankami kawy sporządziłam budżet. Ilekroć myślałam o Harriet, mówiłam: Pieprz się, dziecinko. Wyszło mi, że potrzebuję około pięćdziesięciu tysięcy dolarów na rozruch salonu i przeżycie następnych sześciu miesięcy. Przyszła Lucy z kanapkami z Burger Kinga i oznajmiła, że wypisuje czek. Oblał mnie zimny pot.

- Umowa jest taka, Anno: dostanę pracę. Będę recepcjonistką za dziesięć dolarów za godzinę, zgoda? Muszę oderwać się od tego czatowania, rozumiesz, o co mi chodzi.

- Lucy!

- I będę sprzedawała różne drobiazgi, jak ozdobne gumki na końskie ogony i te śliczne spinki dla maluchów, i...

- Lucy! - Co?

- Nie mogę od ciebie przyjąć takiej sumy!

- A niby czemu nie? Cholera, gdybym zostawiła pieniądze na giełdzie, to na pewno tyle bym straciła w ciągu tygodnia! Doszłam do wniosku, że jesteś lepszą inwestycją niż firma, której nie mogę się przyglądać i nie mam pojęcia, co się w niej wyprawia. Do diabła, co to właściwie jest Enron?

- Pokonałaś mnie.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? Zrób to! - powiedział wewnętrzny głosik. Skoczyłam ze szczytu Mount Everest.

- Tak, zgadzam się. Ale pod warunkiem, że to będzie pożyczka. - Zaraz się porzygam, zemdleję i umrę.

- Umowa stoi!

Byłam trzęsącym się, rozdygotanym kłębkim nerwów, kiedy podpisywałam umowę wynajmu. Lucy była idealnie opanowana, chodziła

po lokalu jak brygadzysta i gawędziła z Marilyn o rozkładzie.

- Cholera, powinnam była przynieść blok - powiedziała. - No trudno, następnym razem.

- Weź mój - zaproponowała Marilyn.

A ja mogłam tylko myśleć: co też narobiłam! Do diabła, co narobiłam! Weź się w kupę, Anno.

Pieprz się, popaprańcu, odpowiedziałam w duchu mojemu wewnętrznemu nałogowemu hazardziście.

Zebranie się w kupę oznaczało, że muszę zacząć urządzać lokal. Ile czasu mi to zajmie? Ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu, Lucy najwyraźniej nad tym wszystkim panowała. Może i wyglądała jak kłębek bawełny, ale nie zapominajmy, jej Danny był budowlańcem. Mimo to człowiek czuł się dziwnie, słysząc, jak Lucy z przekonaniem w głosie wypowiada się o wzmacniaczach, kontaktach i tak dalej.

Miałam mieć własny salon? Czy kompletnie straciłam rozum? Nie, tylko częściowo. I chciałabym się dowiedzieć, od kiedy to taka twarda sztuka jak ja rozczuła się nad sobą, ale nie mogłam nic poradzić na to, że w głowie wyświetlał mi się film przedstawiający epizod z mojego życia sprzed siedemnastu lat. Można by pomyśleć, że zaledwie wczoraj po raz pierwszy przekroczyłam próg niesławnego Salonu Pięknych Włosów Harriet.

Była połowa lat osiemdziesiątych. Z dyplomem ukończenia Szkoły Piękności w jednej ręce, a ogłoszeniem z „Post & Courier” w drugiej pchnęłam szklane drzwi salonu przy King Street w Charlestonie. Suszarki wyły ogłuszająco, z głośników stereo dudniło „I Will Survive”. Kolejny znak ostrzegawczy, którego nie rozpoznałam. Brakowało mi orientacji, byłam tak niepewna siebie, że outy niemal spadały mi z nóg.

Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam kilkanaście stylistek w czarnych spodniach i białych koszulach. Wydawało się, że ich dłonie z okrągłymi szczotkami są wszędzie. W części recepcyjnej znajdowały się dwie sofy, kilka krzeseł oraz stolik do kawy, zarzucony zniszczonymi czasopismami, które kobiety kartkowały, nie czytając.

Usiłowałam stać prosto przy biurku i robić wrażenie opanowanej. Właśnie pierwsze wrażenie jest najważniejsze a ja bardzo pragnęłam, by było pozytywne. Czekałam, aż zaaferowana recepcjonistka odłoży słuchawkę. Wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać osoba przyjmująca klientów w modnym salonie. Rewelacyjna fryzura, krótka i tak nażelowana, że można się było w niej przejrzeć. No, prawie. Ostry makijaż, obcisłe ubranie, wspaniała figura. Za dużo biżuterii. Nie żuła

gumy. Bardzo opanowana.

- Nie, przykro mi, ale nie ma wolnych terminów aż do następnego czwartku, pani Akers. Wiem, wiem. To straszne. Nie, tu jest okropny zamęt! Tak, wiem! Ma pani rację!

Spojrzała na mnie i przewróciła oczyma.

- A może Stacy? Przyrzekam, że będzie bardzo delikatna. - Jeszcze minutka, wyszeptała do mnie bezgłośnie. - Okay, zapiszę panią na manikiur u Stacy dzisiaj na czwartą po południu. Jasne. Na pewno. Do widzenia! - Odłożyła słuchawkę i wzięła głęboki oddech.

- Rany! Można by pomyśleć, że chodzi co najmniej o skórki królowej matki! Okay! Przepraszam, że musiała pani czekać. Jest pani umówiona? - spytała gładko, jakby to pytanie zadawała całą noc przez sen.

- Nie, przyszedłam na rozmowę w sprawie pracy.

- Co, desperatka? - Spojrzała na mnie, jakby osiemnaście warstw niebieskiego tuszu cementowało moje rzęsy. - Tylko żartowałam!

- Chciałabym rozmawiać z Harriet. Chodzi o pracę asystentki.

- Prawdopodobnie jest na zapleczu i ostrzy sobie zęby.

Choć chciało mi się śmiać, uznałam, że lepiej się nie wychylać. Kiwnęłam tylko głową i ruszyłam przez salon w poszukiwaniu Harriet.

- Proszę poczekać! Niech pani tu wróci!

Pomyślałam, że zrobiłam coś nie tak, że może ona zaraz głośno o wszystkim powie. Natychmiast poczułam się zawstydzona.

- Tak?

- Jak masz na imię?

- Anna.

- A ja Kelly. Posłuchaj, chcę ci coś powiedzieć. Harriet od razu cię zatrudni, o to nie musisz się martwić. Zmienia asystentki częściej niż ja chłopaków. A wiesz czemu?

- Bo jest wymagająca?

- Bo ma gorszy charakter niż jakakolwiek znana mi osoba. Nie mów, że cię nie ostrzegałam.

- Dzięki - odparłam szczerze.

Do tej rozmowy, która była moim pierwszym krokiem na drodze zawodowej, doszło zaraz po tym, jak z Jimem wystąpiliśmy o separację, a ja ostatecznie przeprowadziłam się do taty. Trixie zamknęła portfel, kiedy Jim jej powiedział, że się rozstajemy. No wiesz, jeśli wkrótce po śmierci męża syn oznajmia ci, że jest gejem, a jego małżeństwo to już przeszłość, czy płaciłabyś rachunki jego żony?

Nie miałam zbyt wielkiego wyboru. Barmanka? Hostessa? Kelnerka?

Ekspedientka? Kiedy się dowiedziałam, że wystarczy pół roku na ukończenie kursu dla fryzjerek w Karolinie Południowej, żadne inne rozwiązanie nie wydawało mi się sensowne. W gruncie rzeczy lubiłam strzyc. Tata nie był szczególnie zachwycony moją decyzją. Wydaje mi się, że chciał, żebym w college'u wybrała kierunek humanistyczny, a potem poszła na studia pedagogiczne albo coś w tym rodzaju. Ja jednak się uparłam, bo pragnęłam robić coś, co sprawia mi przyjemność. Praca w ogrodzie nauczyła mnie, że człowiek nie powinien spędzać zbyt wiele czasu, robiąc rzeczy, które wpędzają go w depresję.

Dlatego właśnie pewnego dnia znalazłam się w Salonie Pięknych Włosów Harriet, szukając Bestii. Cudownie. Tylko tak dalej.

Pamiętam, że zapytałam o nią dwie osoby, które skierowały mnie, gdzie należy, z wyrazem współczucia na twarzy, i po raz pierwszy zobaczyłam ją przy wózku, gdzie sortowała wałeczki do trwałej. Miała około czterdziestki, była chuda jak patyk, ufarbowana na ognistorudy kolor, z paznokciami, które też nie były żadną rewelacją. Pomyślałam sobie wtedy, że nosi za wysokie obcasy jak na kobietę w jej wieku. Szczerze mówiąc, była dość pospolita.

- Pani Harriet? Jestem Anna Abbot i chciałabym, jeśli to możliwe, porozmawiać o tej wolnej posadzie asystentki.

Bez śladu uprzejmości zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i powiedziała:

- Miotła jest tam. Porozmawiamy, jak będziesz zamiatała te włosy.

- Oczywiście - odparłam.

- Byłaś karana?

- Chryste, nie!

- Jesteś przyjęta. Minimalna płaca, nie chowaj napiwków, godziny od dziesiątej do osiemnastej, od wtorku do soboty. Będziesz musiała zostawać dłużej przed wszystkimi świętami, zrozumiałaś?

Kiwnęłam głową.

- Jeżeli przyłapię cię na kradzieży kosmetyków, pójdziesz za kratki. Jasne?

- Wielkie nieba! Ma tu pani tego rodzaju problemy?

- Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jakie mam problemy, dziewczyno. Powtórz jeszcze raz, jak się nazywasz.

I na tym wyczerpało się jej zainteresowanie moją osobą, a ja rozpoczęłam karierę stylistki na dworze Harriet. Rozmowa była krótka.

Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jakie mam problemy, dziewczyno. Siedemnaście lat później te słowa nadal dźwięczały mi w

uszech. Wydarzenia tak szybko się potoczyły.

Pokręcona Lucy. Wyszło na to, że ta zwariowana kobieta planuje moje nowe życie. Tamtego wieczoru do ósmej omawiałyśmy, jak urządzimy nasz salon, aż uznałyśmy, że każdy szczegół został uzgodniony. Ona poszła do siebie zadzwonić do taty, ja wyłączyłam telefon i zasnęłam jak kamień.

Następnego dnia rano postanowiłam zadzwonić do Emily, Jima, Frannie i naturalnie taty, żeby opowiedzieć im o wszystkim. Najpierw wykręciłam numer pokoju w akademiku. Emily odebrała, głos miała zaspany. Dochodziło dopiero wpół do siódmej, ale ja byłam taka rozgorączkowana, że zapomniałam zerknąć na zegarek.

- Halo?

- Emily? Dziecinko? Mówi mama.

- Czeoesz? Coęało?

Moje ukochane dziecko nie zasypiało, ono po prostu traciło przytomność. Niełatwo będzie Emily obudzić, ale skoro już ją miałam przy telefonie, postanowiłam nie rezygnować.

- Przepraszam, kochanie, wiem, że jest wcześnie, ale jestem taka podniecona, że musiałam do ciebie zadzwonić!

- ...bra. Oest? (Przekład: Dobra, co jest?)

- Właśnie podpisałam umowę wynajmu. Mam własny salon. Możesz w to uwierzyć?

- Mamusiu! Nie uda ci się! Nie możesz! Mamusiu? Od kiedy to jestem mamusią?

- Ależ mogę i zrobiłam to!

- Obrabowałaś bank czy co?

- Tak, wygrałam na loterii. Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczysz! Którego przyjeżdżasz?

- O kur...! - Nastąpiła chwila przerwy, po której Emily powiedziała: - Już jestem. Upuściłam telefon.

- Coś ty powiedziała? - Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Nigdy nie używała takiego języka.

- Co? Powiedziałam: już jestem. Upuściłam telefon, rozumiesz? Nic się nie stało, mammo. Boże!

Cóż, przynajmniej usłyszałam: mammo.

Przez ostatnie dwa tygodnie, kiedy nie mogłam zasnąć, krążyłam po nowym pokoiku Emily, jakby to było skrzydło Metropolitan Museum of Art, przestronne i rozległe. Dotykałam łóżka z białej wikliny, małych poduszek w kwiaty i kołdry, którą dla niej wybrałam. Dokonałam mnóstwa

takich wyborów.

A jeśli ona nie zorientuje się, że zaczynamy od nowa? Jeśli w ogóle nie będzie jej to obchodziło? Głęboko na dnie serca, w mrocznym miejscu, które trzymałam zamknięte na klucz, martwiłam się, że jest już za późno. Nie o wiele za późno, ale jednak. Za późno dla niej i dla mnie, żeby być razem.

13. Trudne wyzwolenie

Jim i Frannie poweseleli, kiedy usłyszeli nowinę o salonie, i żartowali z napadu na zakład Harriet.

- Wysoko grasz, Anno, jestem z ciebie bardzo dumny! - powiedział Jim. - Jak mogę ci pomóc?

- Na razie nie trzeba, dziękuję.

- Wielka szkoda, że ten facet nie odstrzelił Harriet języka - orzekła Frannie.

- Nie żartuj! Wiecie, co ona zrobiła? Posłuchajcie...

I powiedziałam im, jak do mnie zadzwoniła i wściekła się na wieść o moich planach. Prawie widziałam, jak oboje kręcą głowami.

- Niechaj Bóg błogosławi dziecko, które się usamodzielnilo - powiedział Jim.

- Zaśpiewaj to, Jimmy! - zawołała Frannie i zaczęła śpiewać nam w słuchawkę.

- Odezwę się do was później! - obiecałam i rozłączyłam się.

Potem zadzwoniłam do taty i wszyscyutko mu opowiedziałam. Mogłabyś pomyśleć, że głównym tematem naszej rozmowy będzie podpisanie umowy wynajmu, ale jego tak naprawdę zirytowało to, że nie zapytałam go wcześniej o zdanie.

Najpierw rozmawialiśmy o napadzie. Kiedy słuchał szczegółów, sapał jak parowóz. Widzisz, tata nie wzdycha. Nabiera powietrza, wydyma policzki i dmucha niczym zimowy wicher. Myślę, że w czasie naszej pogawędki kanał piąty nadawał ostrzeżenia dla małych samolotów.

- Boże miłosierny - powiedział tatuś - masz szczęście że nie zostałeś zabita! Co to się wyrabia na tym świecie!

- Masz rację. Facet prawdopodobnie potrzebował pieniędzy na narkotyki. No wiesz, to nie było szczególnie dobrze zaplanowane przestępstwo. Taki tam samotny rabuś.

- Ale powiedz mi, jaki człowiek wchodzi w biały dzień do salonu fryzjerskiego, wyciąga broń i straszy ludzi?

- Świr, który wie, ile gotówki codziennie wędruje do kasy. Tato, w szufladzie było ponad tysiąc dolarów. Zawsze tyle jest. Harriet zgarnia

forse jak szalona. Do diabła, jedna butelka szamponu kosztuje dwadzieścia dolarów.

- Rany Chrystusa - zdumiał się i znowu dmuchnął. - Nie sądzę, żebym wydał dwadzieścia dolarów na szampon w ciągu pięciu lat! I jak się domyślam, wy też będziecie takie rzeczy sprzedawały?

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiem, co będę mogła sprzedawać. Istnieje mnóstwo przepisów dotyczących tego, ile salonów w danej okolicy może zaopatrywać ten sam dostawca, a to przecież nie będzie jedyny salon na Wyspie Palm.

- Wielka szkoda. Cóż, zobaczymy się przy kolacji, Lucy mnie zaprosiła.

- To świetnie, może będziecie mogli mi pomóc to wszystko uporządkować.

- Wygląda na to, że nie potrzebujesz moich rad.

- Nie mów tak.

Cudownie, tata wpada w jeden ze swoich humorów.

- A przy okazji, wzięłaś pieniądze, które zaproponowała Lucy?

- Tato, sama nie wiem, co mam począć. Wypisała czek na dwumiesięczny czynsz, zanim się zorientowałam, co robi. Czy to znaczy, że jest moją współniczką?

- Jeśli naprawdę zależy ci na mojej opinii...

- Naprawdę!

- Tak, ale umowę podpisałaś, nawet mi o tym nie wspominając...

- Tato, przyznaję, że to było niezwykle posunięcie...

- Tak, i w dodatku olbrzymie ryzyko, które może się obrócić przeciwko tobie...

- Posłuchaj, tato, nie chcę, żebyś odebrał to jako oznakę braku szacunku dla ciebie, ale skoro siedzę w tym interesie przez całe swoje dorosłe życie, może wiem coś, czego ty nie wiesz. Chodzi mi o to, że teraz potrzebuję wsparcia, a nie krytyki.

- Wiesz wszystko, prawda? Nie potrzebujesz mojej rady. Idź i poszukaj sobie prawnika.

- Daj spokój, tato, porozmawiaj ze mną. Był taki dziecinny.

Głucha cisza.

- Tato, proszę cię.

- Dobra, gdybym był na twoim miejscu, otworzyłbym oddzielne konto dla firmy. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak, wiem.

- Następnie powinnaś zarejestrować spółkę i wykorzystać pieniądze

Lucy jako pożyczkę dla firmy, a nie dla ciebie osobiście. Prowadź sprawy czysto i zgodnie z prawem, niczego nie komplikuj.

- Racja. Jeśli pojawią się jakieś problemy, odpowiedzialna będzie firma, a nie ja.

- Cóż, każdy prawnik półgłówek z Broad Street z ciebie też wyciągnąłby ostatniego centa, ale to pomaga oddzielić życie osobiste od interesu na wypadek audytu. Urząd skarbowy uwielbia wynajdywać takie kwiatki.

- Jasne.

Kiedyśmy skończyli, zastanawiałam się nad tym, co mi powiedział. Od czterdziestu ośmiu godzin czułam strach. Po wstrząsie wywołanym napadem, po wybuchu wściekłości Harriet i przede wszystkim po podpisaniu umowy najmu lokalu musiałam zdecydować, co robić najpierw, a co później, tymczasem nie miałam o tym zielonego pojęcia. Czekало mnie strasznie dużo pracy i wydawało mi się, że po każdym odważnym kroku naprzód ze strachu natychmiast się wycofam.

Ustalenie, jakiego rodzaju produkty będę mogła sprzedawać, było zaledwie jednym drobiazgiem z tysiąca. Najbliższa przyszłość oznaczała zmaganie się z irytująco długą listą zajęć. I rzeczywiście potrzebowałam prawnika.

Podrapałam się w głowę i rozejrzałam po moim salonie. Kilka pudeł wciąż czekało na rozpakowanie, ale większość rzeczy rozmieściłam w jakim takim porządku, co oznaczało, że przynajmniej wiedziałam, gdzie co jest. W małym domu jest sporo pakownych schowków.

Postanowiłam pójść do Lucy i sprawdzić, co porabia. Może mnie też zaprosi na kolację i będę jej mogła pomóc przy gotowaniu czy coś takiego. Sama nie miałam ochoty nic dla siebie przyrządzać i czułam się naprawdę przytłoczona.

Zobaczyłam, że Lucy siedzi w kuchni przy komputerze, zastukałam więc w futrynę siatkowych drzwi.

- Wykładaj wszystko na stół, laleczko, a nikomu nie stanie się krzywda! - zawołałam męskim głosem.

- Chryste! Nawet nie słyszałam, jak nadeszłaś! Wchodź! Spójrz na to!

Spodziewałam się zobaczyć stronę internetową używanego sprzętu fryzjerskiego, ale ona pokazała mi coś zupełnie innego. Zalogowała się na stronie pod nazwą Love@AOL.com. Słyszałam, że są w Internecie miejsca, gdzie można poszukać sobie chłopaka albo przyjaciela na dłużej, dotąd jednak żadnego nie widziałam. A teraz miałam kogoś takiego przed oczyma. Facet imieniem Antonio, w kąpielówkach i okularach

przeciwsłonecznych, z szerokim uśmiechem, opierał się o harleya, usiłując nadać sobie wygląd swobodny, a zarazem nieodparcie męski. Był takim napompowanym macho, że niemal dawało się wyczuć zapach kokosu w jego olejku do opalania.

- Spójrz na jego życiorys!

- Przepraszam - powiedziałam - patrzyłam na jego bicepsy.

- Lubi psy, operę, spaceruje w deszczu... - odczytała Lucy, krzyżując ręce na biuście i wzdychając zmysłowo.

- Jeśli brakuje mu zdrowego rozsądku, żeby schować się przed deszczem, to czemu miałybyś... - Nagle poczułam lekką irytację. Przecież Lucy umawia się z moim ojcem, czyż nie?

- On tylko próbuje pokazać, jaki jest subtelny! Boże, Anno! Kiedy ostatni raz byłaś na randce?

Tu mnie miała.

- Chyba w zeszłym roku. - Zdawałam sobie sprawę, że w moim głosie pobrzmiwają obronne nutki.

- Złotko, tak poznaje się ludzi w erze komunikacji elektronicznej. Nikt już nie chodzi do barów dla samotnych. To takie nieprzyjemne! Teraz wymieniasz e - maile i możesz z bezpiecznej odległości obejrzeć sobie ewentualnego partnera. E - mail wiele mówi o człowieku.

Na blacie stała miska z łodygami selera, poczęstowałam się więc jedną. Ja wołałabym bary dla samotnych niezależnie od dnia tygodnia.

- No, nie wiem - powiedziałam. - Wydaje mi się, że to doskonały sposób na poznanie jakiegoś świra z piłą łańcuchową.

- Och, Anno - odparła Lucy z kolejnym westchnieniem, tym razem rozpaczy nad moim kompletnym brakiem życia uczuciowego. Nagle cała pojaśniała. - Chodź pokażę ci moje ogłoszenie.

- Masz tu swoje ogłoszenie? - Miałam tylko nadzieję, że oczy nie wyszły mi na wierzch.

- Tak, patrz!

Klik - klik. Dowód A: oto Lucy w kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych, oparta o porsche (nie miała go), w topie, który wszystko ujawniał, uśmiechnięta jak hiena, w Internecie, gdzie cały świat mógł ją zobaczyć. Pod zdjęciem znajdował się następujący tekst: Każdy kocha Lucy! Samotna, wysoka, z wszystkimi krągłościami na właściwym miejscu, uwielbia gotowanie, wolne tańce i śmiech. Po trzydziestce, dyplomowana opiekunka społeczna, nigdy niezamężna. Żadnych więcej świrów, bardzo proszę. Jeśli jesteś dojrzałym mężczyzną, który odniósł sukces zawodowy, i interesuje cię trwały związek, a pewnego dnia i

małżeństwo, będę szczęśliwa, gdy się do mnie odezwiesz!

Gapiałam się na monitor.

- Lucy! Boże wielki! - W duchu odmówiłam modlitwę, żeby oczy nie wypadły mi z oczodołów na granitowy blat.

- Co?

- Jesteś rozwiedziona...

- I co z tego?

- Masz dyplom opiekunki społecznej?

- Do diabła, nie! - Przewróciła oczami i parsknęła. - Więc dlaczego... czemu w ogóle to robisz... no

wiesz, to takie... sama nie wiem...

- Anno, przyjaciółko, uspokój się, okay? Pewnie, to nie jest do końca zgodne z prawdą, ale gwarantuję ci, że wszyscy inni też wypisują takie bzdury! Chodzi przede wszystkim o to, żeby poflirtować, żeby coś się działo. No wiesz, każdy chce sobie trochę pofantazjować. - Za chwilę miałam na własne oczy zobaczyć święte oburzenie w wydaniu Lucy. - Musisz wiedzieć, że na czatach poznałam bardzo miłych facetów.

Nie miałam zamiaru jej urazić, ale wydawało mi się, że taka autoprezentacja to jakiś okropny ekshibicjonizm. No bo tak: znalezienie przyzwoitego mężczyzny, który będzie cię szanował, drogą umieszczania w Internecie upiększonej podobizny oraz steku kłamstw jest, delikatnie mówiąc, problematyczne.

Postanowiłam jednak, że będę się kierować duchem tolerancji.

- Jestem pewna, że masz rację - przyznałam, a żeby pokazać, jaki mam otwarty umysł, dodałam: - Cholera, to chyba niezła zabawa!

- I o to w tym wszystkim chodzi, naprawdę. No wiesz, najprawdopodobniej większość tych facetów, którzy do mnie mailują, jest stara, łysa i żonata. Zwykle dalej się nie posuwam, chyba że jestem przekonana, że gość jest okay, ale nawet wtedy spotykam się z nim tylko w miejscach publicznych. Sama też powinnaś spróbować! Cholera, złotko, nie warto tego oszczędzać, bo jeszcze ci wyschnie na wiór!

Był to drobny znak ostrzegawczy, sygnalizujący problemy, jakie mogę mieć z Lucy jako współniczką. Związki między ludźmi to nie żarty. I według mnie na kłamstwo nie powinno być w nich miejsca. Cieszyłam się, że przeprowadziłam tę krótką, acz gderliwą rozmowę z tatą o pożyczce i współnikach. Ciekawe, co by pomyślał, gdyby wiedział, że Lucy wystawia swoje zdjęcia w Internecie jak jakaś panienska do towarzystwa na telefon. Nic dobrego.

- Niczego nie oszczędzam. Po prostu za dużo o tym nie myślę.

Otworzyłam lodówkę i zajrzałam do środka, jakbym była u siebie. Musiałam zmienić temat. Czułam się skrepowana tą rozmową.

- Chcesz się czegoś napić? Boże! Powinnam była kupić butelkę szampana! Jest sporo do uczczenia!

Szampan? Świętowanie w ogóle nie przyszło mi na myśl. Ale raz jeszcze ta wariatka miała rację.

- Pójdę do sklepu - powiedziałam - i wybiorę jakiegoś szampana nadającego się do picia. Kupić coś na ząb?

- Jasne! Później kochany Dougle przyjdzie na kolację, więc rozmroziłam wieprzowinę. Może zjesz z nami i zastanowimy się, co będziemy robić jutro?

- Doskonale - odparłam z uśmiechem, po raz pierwszy tego dnia nieco odprężona.

Przez całą drogę do sklepu mówiłam sobie: Dobra, ma stronę w Internecie. Może szuka partnerów do seksu. Kto wie? Choć na to nie wygląda. Bardziej prawdopodobne jest to, że samotna kobieta chce się rozerwać. Ale i tak to niesamowite. A może nie. Do diabła, co ja właściwie wiem? Przecież nie jestem znawczynią dusz ludzkich, no nie? jaką markę szampana dostanę na wyspie? Właśnie! Lucy chce urządzić uroczystość! Widzisz? Ona jest optymistką, a z ciebie po prostu pesymistka. I tyle. Ale, cholera, gdyby tata wiedział, że ona wyprawia takie rzeczy, jak by zareagował? Powinnam mu powiedzieć? Do diabła, nie! Trzymaj się od tego z daleka, Anno!

W sklepie poszłam prosto do działu z winami i znalazłam wino Napa Valley Chandon, już zmrożone. Cóż, formalnie rzecz biorąc, prawdziwy szampan jest tylko francuski, ale co z tego? Ten też miał bąbelki. A poza tym nie miałam czasu, pieniędzy ani ochoty na dalsze poszukiwania. Wrzuciłam do koszyka pudełko krakersów i kawałek próżniowo zapakowanego sera gruyere z terminem przydatności do spożycia upływającym w 2006 roku. Potem dołożyłam jeszcze pojemnik z niskotłuszczowym boursinem. Ser miękki i twardy. To jak mózg Lucy i mój charakter, pomyślałam. Zapłaciłam w kasie i wyszłam.

Jadąc z powrotem, złapałam się na tym, że patrzę w przeszłość. Wróciłam do miejsca, w którym zaczynałam, ale byłam teraz o wiele dalej niż wówczas. Miałam wspaniałą córkę, którą za kilka dni zobaczę, własny nowy dom i wszelkie powody, by z podnieceniem myśleć o nowych perspektywach. Przetrwałam chwile bardziej skomplikowane niż obecna, więc teraz też jakoś sobie poradzę. Przelotnie wspomniałam Arthura, Serowego Eksperta. Ciekawe, czy się mną zainteresował, bo mnie na jego

widok przeszedł prąd. Tego byłam pewna. Ha, zostawmy to losowi.

Kiedy parkowałam przed swoim domem, na podjeździe Lucy zobaczyłam auto taty. Postanowiłam włożyć sukienkę, więc szybko weszłam do siebie. Pójście na kolację w szortach wydawało mi się niestosowne. Wychodząc znów na podwórze, zauważyłam Angel.

- Cześć! - zawołałam. - Jak się pani miewa, panno Angel?

Odwróciła się, poznała mnie i uśmiechnęła, ucieszona moim widokiem.

- Cześć, dziewczuszko! Co nowego? Anno, wyglądasz tak ślicznie i świeżo! Pewnie w twoim życiu jest nowy mężczyzna! Śniło mi się, że jesteś zakochana! - Jej głos brzmiał młodo, gdy to mówiła.

- Hm! Nic o tym nie wiem! A pani ma nowego mężczyznę? - odcięłam się.

Obie wybuchnęłyśmy serdecznym śmiechem. Dobrze było znać kogoś, o kim wiedziałam, że na bank jest zdrowy na umyśle.

- Na tym etapie życia nie potrzeba mi żadnego mężczyzny. Nie, proszę pani. Wolę mieć spokój.

- Ktoś mi dzisiaj powiedział, że oszczędzam coś, co nie jest zbyt trwałe!

- Racja, to grzech i marnotrawstwo! A teraz mi powiedz, jak ci się mieszka w nowym domu.

- Och, panno Angel, nie uwierzyłaby pani, co się stało! Opowiedziałam jej o napadzie, a ona tylko pokręciła głową i mruknęła:

- Co też ci ludzie wyrabiają! Dzięki Bogu, wyszłaś z tego bez szwanku.

A kiedy powiedziałam jej o nowym salonie, popatrzyła na mnie z pewnym zaskoczeniem. Nie odrywała od mojej twarzy skupionego wzroku, gdy relacjonowałam jej wszystkie szczegóły.

- Poradzisz sobie bez problemu - oznajmiła, jakby wiedziała coś, o czym ja nie miałam pojęcia. - Gdybyś zdecydowała się sprzedawać koszyki, daj mi znać.

- Na pewno to zrobię. Proszę pozdrowić ode mnie pannę Mavis i wszystko jej opowiedzieć.

- Na pewno to zrobię! Idziesz do Lucy?

- Tak, pomaga mi zaplanować i urządzić wnętrze. Wie pani, miała kiedyś męża budowlańca.

Zdawałam sobie sprawę, że według panien Angel i Mavis poziom intelektualny Lucy plasuje się gdzieś na poziomie ameby, nie zdziwiłam

się więc, gdy usłyszałam:

- To miło z jej strony, ale uważaj, ona jest głupia.

- Nie, właściwie nie jest głupia, tylko... no...

- Głupia! - I panna Angel znowu się roześmiała. - Pamiętaj, co mówiłam o koszykach. Przynoszą szczęście i wielkie pieniądze.

- A czy szczęście i wielkie pieniądze to nie to samo?

- Chyba tak!

Uśmiechnęła się i zniknęła pomiędzy oleandrami odgradzającymi nasze podwórza. Pomachałam jej na pożegnanie.

Koszyki? Kto wie, może będę sprzedawała jej koszyki. Dlaczego nie? Angel przez całe życie je wyplata. Mnóstwo kobiet z Lowcountry ma swoje stoiska wzdłuż autostrady numer 17. Wyplatanie koszyków to umiejętność od czasów niewolnictwa przekazywana z matki na córkę. Długie żdźbła turówki, oplecione i zszyte palmiczką - wspaniałe! Bardziej wyszukane koszyki znajdują się w zbiorach muzeum i warte są małej fortuny. To naprawdę całkiem niezły pomysł. Mamy sprzedawać kosmetyki do włosów, więc czemu nie dorzucić do tego koszyków Angel? Jeśli turyści, których miałyśmy nadzieję przyciągnąć, rzeczywiście się pojawiają, na pewno z przyjemnością zabiorą koszyk do Ohio czy Nowego Jorku.

Ale z drugiej strony, byłoby miło, gdybym najpierw miała półki na te koszyki.

14. Salon Fryzjerski i Kosmetyczny „Wyspa Palm”

W następnym tygodniu przeglądałam ogłoszenia w „Moultrie News” i odkryłam, że wyposażenie salonu fryzjerskiego można nabyć w Monck's Corner. Betty Hudson, właścicielka Salonu Piękności Betty, mieszczącego się w przybudówce jej domu, przechodziła na emeryturę i jak najszybciej chciała go zamienić na pokój do zabawy i sypialnię dla trójki wnucząt. Miała półki ze szkła i chromu, które mogły się nadać, oraz cztery fotele z lat siedemdziesiątych - retro, że palce lizać. Nie opłacało się przenosić umywalek, suszarki były za stare, a reszta rzeczy lepsze czasy miała za sobą. Za dodatkowych dwadzieścia pięć dolarów zięć Betty wrzucił wszystko do swojego pikapa i przywiózł na miejsce.

- Boże! Są rewelacyjne! - wykrzyknęła Lucy, mając na myśli fotele. - Trzeba je tylko wyczyścić i na nowo obić. Znam dziewczynę z Lowcountry Interiors. Załatwiają też transport. Mam do niej zadzwonić?

- Doskonale - odparłam i skreśliłam fotele z listy. - Dzięki.

Lucy i ja, samozwańcza spółka budowlano - dekoratorska, z nikim się nie konsultowałyśmy i na własną rękę decydowałyśmy, jak najlepiej

podzielić sto dwadzieścia stóp kwadratowych powierzchni. Wyznaczyłyśmy miejsca na niewielką recepcję, butik oraz cztery fotele i stanowiska dwóch manikiurzystek. Zostało nam dość miejsca na pomieszczenie do woskowania, dwie umywalki, kącik kawowy, maleńką łazienkę oraz składzik.

- Wiesz - powiedziałam, pokazując Lucy obliczenia w notatniku - chyba zaoszczędzimy, jeśli będziemy same prały ręczniki, zamiast oddawać je do pralni.

- Czemu nie? Jest dość miejsca na pralkę i suszarkę.

- Tak. Lucy, musimy jeszcze omówić sprawę tej pożyczki.

Postanowiłyśmy pójść na lunch do Long Island Cafe. Zamówiłyśmy po sałatce ze świeżymi smażonymi krewetkami.

- Lucy, mam następującą propozycję. Wiesz, byłaś wspaniała, mówię poważnie, zachowałam się jak najlepsza przyjaciółka. Jeśli, Boże broń, jutro dojdiesz do wniosku, że nienawidzisz mnie serdecznie i nigdy więcej nie chcesz oglądać, ja dalej będę cię kochała. Problem tylko w tym, że ja w gruncie rzeczy nie chcę współnika. Rozumiesz mnie?

- Do diabła, Anno, wcale nie zamierzam być twoją współniczką! Tak myślałaś? Wiesz, w tej chwili niewiele w moim życiu się dzieje i po prostu chciałam ci jakoś pomóc.

- Tak. I pomogłaś.

Uśmiechnęła się i przyjrzała uważnie krewetce na widelcu. Obróciła ją, a potem wsunęła do ust.

- Pyszna - zawyrokowała. - Przepyszna. Wiesz, kiedyś w Filadelfii poszłam na przyjęcie i wszyscy tam jedli te wielkie stare krewetki, które smakowały jak guma. Ale im się wydawały bardzo dobre, choć mnie przypominały te z sosu koktajlowego. Musiały być mrożone.

- Jankesi nie mają krewetek. Trzeba je jeść tutaj. Ale coś ty robiła w Filadelfii?

- Goniłam za facetem. - Zachichotała. - A z jakiego innego powodu ty byś tam pojechała?

- Jasne - przyznałam jej rację tak cicho, jak się dało, mając nadzieję, że nie siedzą koło nas żadni turyści z Filadelfii.

Chodzi o to, że ludzie z Filadelfii są bardzo sympatyczni, wiem, bo wielu w życiu spotkałam. Nie wyobrażam sobie jednak, że miałabym tam pojechać, a gdyby już się tak zdarzyło, na pewno nie jadłabym u nich owoców morza. Nawet te biedne stworzenia nie wiedzą, od jak dawna przebywają poza wodą. Widzisz, to wygląda tak: rybacy zamrażają połów. Bywa, że na łowiskach spędzają kilka dni, a po powrocie do portu

złowione sztuki sortowane są według wielkości i gatunku, ładowane do zamrażarek i transportowane do handlarzy, którzy dostarczają je do restauracji. Kiedy więc w końcu widzisz je na swoim talerzu, są martwe od tak dawna, że w smaku nie przypominają nic, co warte by było spożycia bez zwracania uwagi na kalorie.

Jednym z błogosławieństw Lowcountry jest nie tylko dostępność owoców morza, ale i wspaniały smak krewetki czy ryby złowionej tego samego dnia. Od dzieciństwa słyszałam, że wszystko, co żyje w naszych wodach, jest znakomite. I to prawda.

- Ale mówiłam poważnie, że chcę zostać recepcjonistką - dodała Lucy. - Nie żartuję.

- Będziesz rewelacyjna - odparłam.

Zupełnie inną sprawą było, co sobie myślałam. Miałam tylko nadzieję, że znajdzie się dość klientek, by recepcjonistka okazała się w ogóle potrzebna. Marzyłam, żeby pojawiła się Carla i zaoferowała swoje usługi, ale tego nie zrobiła. Była bardzo zajęta od rana do wieczora i przypuszczalnie nie miała nawet chwili, by pomyśleć o odejściu od Harriet. Pozostało mi więc wierzyć, że uświadomię Lucy, jak ważne jest prawidłowe prowadzenie rejestru wizyt - zajęcie to przypomina trochę pracę kontrolera lotów. Nie ma nic gorszego od złości kobiety, której w ruchliwy dzień każe się czekać, bo recepcjonistka pomyliła się przy zapisie.

Kiedy po wyspie rozniosła się wieść, że ma być otwarty nowy salon, pod naszymi drzwiami stanęła kolejka niezadowolonych pracowników innych zakładów. Wybrałyśmy Brigitte, dziewczynę z Mount Pleasant, która była przekonana, że podąży za nią spora grupa klientek, oraz Bettinę, niezwykle energiczną manikiurzystkę z Brooklynu; jej mąż, żołnierz Straży Przybrzeżnej, stacjonował w Charlestonie. Bettina szczyciła się wieloma umiejętnościami: woskowała wszystko, co tylko kto chciał, wykonywała pedikiur oraz przysięgała, że zna się na technikach relaksacyjnych, masażu i aromaterapii.

- Powiem wam coś, dziewczęta, umiem nawijać przy robocie jak mało kto - oznajmiła. - Mówię im, że pracowałam u Elizabeth Arden w Nowym Jorku, i zanim zdążycie mrugnąć, ich wąsy są moje.

Lucy i ja natychmiast się w niej zakochałyśmy.

- Wierzymy ci - powiedziałam. - Możesz zacząć, jak tylko otworzymy?

Mój adwokat sporządził umowę określającą warunki pożyczki udzielonej mi przez Lucy, a także dokumenty konieczne do

zarejestrowania salonu jako spółki z o.o. Podpisałyśmy z Lucy papiery. W ciągu kilku dni położono terakotę na podłogę, wytapetowano ściany, zainstalowano umywalki i na nowo obite fotele, a na końcu zamontowano lustro i oświetlenie. Lucy zadzwoniła do każdego znanego sobie mężczyzny z prośbą o pomoc i naturalnie sprowadziła legion męskich muskułów, które potrzebne były do wykonania pracy w rekordowym czasie.

Wnosząc pudła, słyszałam, jak na zapleczu Lucy rozmawia z hydraulikiem Johnem. Wydawało mi się zabawne, że facet instalujący nam toalety nazywa się John (W potocznej amerykańskiej angielszczyźnie „john” to „kibelek” (przyp. red.)), ale z drugiej strony, cały świat wirował po beztrudnej orbicie.

- John, kochanie - mówiła Lucy - jesteś cudowny, że nam pomagasz, naprawdę. Jak mogłybyśmy ci się odwdziaczyć?

- To proste - odparł John. - Wystawianiem rachunków zajmuje się moja żona. Po prostu go zapłać.

Czy to możliwe, że znalazł się mężczyzna odporny na jej sztuczki? Nie.

- Boże miłosierny, John! Oczywiście, że czekamy na rachunek! Pomyślałam tylko, że mogłybyśmy was ostrzyć albo coś w tym rodzaju. A może dam twojej żonie darmowy kupon? Jak ma na imię? Ruthie, prawda? Ojej, od tak dawna was wszystkich nie widziałam, odkąd Danny...

I łamiącym się głosem zaczęła opowiadać, jak to mąż bezceremonialnie wyrzucił ją ze swego życia, jakby była puszką po piwie. To musiało Johna ruszyć.

- Cóż - wrócił do poprzedniego tematu - to byłoby miłe. Jestem pewny, że Ruthie weźmie pod uwagę przy rachunku, że to nowy interes i tak dalej.

Po nowych płytkach zastukały obcasy Lucy. Zatrzymała się koło mnie i szepnęła:

- To będzie warte co najmniej dziesięć procent.

- Jesteś brutalna - odparłam. - Dorzuć pedikiur.

I tak to szło. Lucy flirtowała, schlebiała, uwodziła i wyciskała z kumpli swojego byłego rabata. Takie prowadzenie interesów nie było w moim stylu, ale czegoś się nauczyłam. Każdy z tych darmowych kuponów oznaczał potencjalnego stałego klienta. Niezwykle cenny okazał się też internetowy komponent prowadzonej przez Lucy kampanii.

- Umieściłam salon w sieci - oznajmiła mi później. Tego już było dla mnie za wiele.

- Co zrobiłaś?! - Wydawało mi się, że za chwilę dostanę ataku serca.
- No, zrobiłam stronę. Chodź, mam dla ciebie małą niespodziankę.

Otworzyła laptopa na frontowym kontuarze, weszła do sieci i po kilku kliknięciach na ekranie pojawiła się strona Salonu Fryzjerskiego i Kosmetycznego „Wyspa Palm”. Patrzyłam zadziwiona. Na tle wirujących mchów i traw widniało nasze logo, które po chwili zbladło, ustępując miejsca spisowi świadczonych przez nas usług oraz zdjęciom fryzur, po których z kolei ukazał się adres oraz numer telefonu. Całości towarzyszył szum oceanu i szelest liści.

- Hmm, wiem, że najpierw powinnam cię zapytać o zdanie, ale byłam przekonana, że to świetny pomysł, więc od razu się tym zajęłam. Tak czy owak, mam linki do Izby Handlu, Wild Dunes Resort, Caldwell Brokers, O'Shaunessy Rentals, Carroll Real Estate oraz wszystkich innych agencji handlu nieruchomościami na wyspie. No wiesz, to jest PowerPoint. Jak coś ci się nie podoba, możemy to zmienić.

- PowerPoint? Linki?

Dla mnie Lucy mogła równie dobrze mówić po norwesku. Umiałam postawić pasjansa i coś tam napisać w systemie Word, ale na tym właściwie kończyły się moje komputerowe umiejętności.

- To program, w którym robi się te filmiki. Nie jest może najbardziej wyrafinowany na świecie, ale lepsze to niż nic. W zeszłym tygodniu całą noc nie spałam, bo się martwiłam, jak damy świata znać, że otwieramy salon.

- Masz rację. No wiesz, nie zadzwoniłam jeszcze nawet do połowy moich klientek.

- A poza tym przecież brak w naszym budżecie środków na reklamę, no nie? Ponieważ jednak mam PowerPoint, więc zaczęłam się nim bawić i tak mi to wyszło. Program jest bezpłatny i teraz jesteśmy połączone ze wszystkimi instytucjami w Lowcountry! Oczywiście wiem, że to nic wielkiego, ale, Anna Bananna, od czegoś trzeba zacząć.

Ta kobieta była niekończącym się pasmem niespodzianek.

- Lucy, gdybyś była mężczyzną, pocałowałabym cię w usta! Jak jeszcze możemy wykorzystać twój komputer?

- Wysłać maile na cały świat! Na swojej liście mam chyba ze dwieście nazwisk!

- Zajmij się tym, siostró. Zastanawiam się, czy mogłybyśmy namówić właścicieli letnich wypożyczalni, domków i sprzętu, żeby do swojej oferty włączyli nasz kupon rabatowy.

- Dowiem się! Ile? Dwadzieścia procent?

- A co powiesz na dziesięć procent przy sprzedaży oraz piętnaście przy usługach? - Lucy oddałaby ostatnią koszulę, gdybym jej nie pilnowała.

- Możemy zwrócić się do Świnki, żeby wkładali nasze ulotki do toreb z zakupami...

- Myślisz o sklepie Piggly Wiggly? Czy to nie troszkę, bo ja wiem, źle się kojarzy?

- Jasne! Racja! A Harris Teeter?

- Muszę się nad tym zastanowić. Emily wraca w sobotę, na pewno nam pomoże.

- Och, Emily! Tak! Zapomniałam ci powiedzieć! Siostrzeniec spędzi u mnie lato! David, syn mojej siostry z Greenville. Jest uroczy! Ma dwadzieścia lat i jesienią zaczyna studia na uniwersytecie.

- To wspaniale. - Rzeczywiście, pomyślałam, będzie demoralizowała siostrzeńca. - Lucy, chwileczkę.

- Tak?

- Jeszcze raz nazwiesz mnie Anna Bananna, a podbiję ci oko.

- Tak jest, szefowo!

Wkrótce rozdzwonił się u nas telefon. Brzęczał bez przerwy. Lucy na komputerze zrobiła pocztówki z informacją o otwarciu i wysłała do wszystkich moich klientek. Prawie każda, z którą rozmawiałam, wydawała się zachwycona, że znowu będzie mogła korzystać z moich usług.

Otwarcie wyznaczyłyśmy na następny poniedziałek. To była wykalkulowana decyzja, jako że większość salonów jest zamknięta w poniedziałki, tak by personel miał dwa dni wolnego. Postanowiłyśmy, że w sezonie letnim nasz zakład będzie czynny codziennie z wyjątkiem niedziel. W końcu musiałyśmy wyciągnąć jak najwięcej korzyści z ruchu turystycznego.

W piątek po południu byłam już bardzo rozgorączkowana. Po raz ostatni wybrałam się do Abide - A - While, szkółki ogrodniczej, w której zaopatrywałam się od czasów małżeństwa z Jimem. Emily przyjeżdżała następnego dnia w południe i zamierzałam odebrać ją z lotniska. Myślałam o wszystkim, więc skończyło się na tym, że kupiłam pięć skrzynek różowego i białego geranium oraz dwie skrzynki różnobarwnej hosty, uznając, że będą stanowiły miły dodatek do frontowego ogródka. Wybrałam najzdrowsze okazy w sklepie. W ostatniej chwili złapałam dwie różowe mandewille i dwa jaśminy. Anna Skapi - radło opuściła budynek.

Oczywiście nie wzięłam pod uwagę faktu, że z grządkami od frontu od wieków nic nie robiono. Już przy pierwszej łopacie stwierdziłam, że

muszę wrócić do Mount Pleasant po glebę, środek owadobójczy i nawóz. W trakcie trzeciej wyprawy kupiłam zraszacze, zwykły wąż i - w chwili zapomnienia - nowy ogrodowy podwójny kran z pelikanem. Innego dnia pewnie bym czuła się zgnębiona własną sklerozą i długą listą czekających mnie zajęć, ale tamtego popołudnia cały świat należał do mnie.

Uznałam, że ziemię wystarczy przekopać na jakieś pięć, sześć cali głęboko i przesiać. Przecież nie chciałam, żeby podły Atlantyk zalał mój ogródek i zamordował solą kwiaty. Podwórze wyglądało jak po przejściu huraganu, wszędzie wały się urządzenia. W małej szopie za domem znalazłam stare taczki, łopate, grabie i kilkoro zapasowych drzwi z siatką. Wzięłam jedne i wraz z narzędziami rzuciłam na taczki, po czym wszystko zawiozłam przed dom. Ustawiłam skrzynki z sadzonkami w cieniu, przygotowałam wielki pojemnik na chwasty, włożyłam jakieś stare ciuchy i zabrałam się do pracy.

Każdą łopate ziemi rzucałam na drzwi, by zostały na nich jak na sicie kamienie, stare pędy i śmieci. Z domu dobiegał natrętny dzwonek telefonu, ale zostawiłam załatwienie rozmów automatycznej sekretarce - później oddzwonię. Najprawdopodobniej ktoś chce mi coś sprzedać. W końcu dla większości ludzi była to pora kolacji, a wtedy właśnie zaczyna się inwazja telemarketingu.

- Zostaw numer, a ja zadzwonię, kiedy ty będziesz jeść! - powiedziała głośno w przestrzeń i wróciłam do kopania i przesiewania.

Etap drugi polegał na zebraniu śmieci do worka, wzbogaceniu starej ziemi nową oraz rozrzuceniu jej na grządkach. Zrobiwszy to wszystko, ustawiłam na środku zraszacze i podłączyłam je do kranu krótkim węzłem, ukrytym za krzewami rosnącymi koło domu.

Telefon wciąż dzwonił, trwało to tak długo, że wyobraziłam sobie, jak spada ze ściany i odbija się od podłogi. Wiedziałam, że to nie Lucy, bo widziałam ją na ganku. Byłam cała oblepiona ziemią i nie miałam najmniejszego zamiaru wnosić brudu do domu, żeby potem musieć sprzątać.

Dryń! Dryń!

- Na miłość boską, dajcie mi spokój!

Wciąż mówiłam na głos, co przypuszczalnie nie jest oznaką zdrowia psychicznego. Nic mnie to nie obchodziło. Prawie już kończyłam i po raz kolejny dziwiłam się ogromowi wysiłku potrzebnego na wykonanie tak niewielkiej pracy. Włożyłam każdą sadzonkę do jamki, na zmianę geranium różowe i białe, podlałam je, a potem delikatnie okryłam korzenie ziemią. Brzegi grządek obsadziłam hostami, co sześć cali jedną,

rozzrzuciłam nawóz i włączyłam wodę.

- Kiedy Emily przyjedzie, przywitajcie się z nią, dobrze? Nie było jej bardzo długo, nie sądzicie?

- Wielkie nieba, z kim ty rozmawiasz?

Przede mną stała Lucy z dwoma kieliszkami i butelką białego wina.

- Tak się składa, że rozmawiam z moimi cholernymi nowymi kwiatami. A co, nie podoba ci się?

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

- Złotko, potrzebujesz wina! Szkoda, że się teraz nie widzisz!

Podniosłam się i trochę otrzepałam, potem ściągnęłam rękawice i wzięłam kieliszek. Ręce i nogi miałam czarne od ziemi. Stuknęłyśmy się kieliszkami.

- Dzięki - powiedziałam. - Słońce nad keją!

- Okay, ty szczwana lisico, kto to jest Jim? - Jim?

- Tata ciągle do ciebie dzwoni, ten Jim też. Szuka cię! Jest w mieście i chyba zaraz tu będzie!

- Cholera jasna! Muszę się przebrać! - Wepchnęłam jej kieliszek do ręki i pobiegłam do domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. - Jeśli zawieziesz wszystkie te graty do szopy, będę twoją niewolnicą!

- Anno, kim jest Jim?

Znowu wybiegłam na dwór i wyrwałam kieliszek Lucy, która stała jak wryta.

- To mój były mąż! Zakochasz się w nim na zabój! - Upiłam spory łyk, zatrzasnęłam drzwi i wskoczyłam prosto pod prysznic.

Wynajęty przez Jima biały kabriolet chrysler sebring zaparkował pod moim domem, nim zdążyłam się przebrać i uspokoić. W głowie krążyła mi tylko jedna myśl: O mój Boże, ile czasu minęło? Włosy wciąż miałam mokre, twarz tak wyszorowaną, że lśniła. Gorączkowo wciągnęłam jedyne czyste ubranie, jakie wpadło mi w ręce: czarne spodnie i czarną bawełnianą bluzę z dekoltem w serek. Wsuwałam właśnie stopy w czerwone klapki, kiedy Jim wkroczył do domu. Krótka obcięta, ustawiona na żel włosy, okulary przeciwsłoneczne w prawej dłoni, idealne bicepsy, szerokie spodnie khaki, wsuwane skórzane plecione buty. Bez skarpet. Granatowy blezer, zahaczony na palcu i przerzucony przez ramię.

- Jest ktoś w domu?

- Ty wstręciuchu! Nie mogę uwierzyć, że cię widzę! Niech ci się przyjrzę!

Objęliśmy się i przytulili.

- Boże! Pachniesz tak ładnie, że mógłbym cię zjeść! - oznajmił i

polizal mnie w kark. - A te włosy... dziewczyno!

Nie da się zaprzeczyć, że dawna, doskonale znajoma i bardzo określona chemia wciąż między nami istniała.

- Poczęstuj się, żarłoku - odparłam ze śmiechem. - Wyzywam cię!

- Anno, Anno. - Jim pokręcił głową, grożąc mi palcem. - Wiesz, że na czas postu zrezygnowałam z dziewcząt.

W jego piecu zawsze brakowało węgla, żeby wzniecić ogień. Mimo to kochałam go, a on mnie. Zawsze tak było, zawsze tak będzie. Ludzie, ależ on jest uroczy, może nie?

Ale kiedy nie ugryzł mnie ani nawet nie cmoknął, z teatralną przesadą wykrzyknęłam:

- Jestem załamana, cóż więcej mogę powiedzieć? No chodź, pokażę ci mój nowy dom!

- Wspaniale! Masz piwo? - zapytał, rozglądając się po salonie. - Jest tu pokój gościnny?

- Stoisz w nim! Popatrz na kanapę i wyobraź ją sobie z prześcieradłem i kołdrą!

- Pomyślałem, że dom wygląda na mały, ale małe jest dobre. Małe jest skuteczne!

- No, ten pałac usytuowany jest na Wyspie Palm, pamiętasz? A tu wszystko kosztuje dwa razy więcej, niż jest warte. Poza tym właśnie otworzyłam własny interes!

- Tak, racja! Ho, ho! W głowie się nie mieści! Wreszcie to zrobiłaś! Stara Harriet musi się teraz szczypać!

- Powinna być cała w siniakach!

Jim znowu mnie objął i zaczęliśmy wirować po pokoju.

- Ho, ho! Ona ma dom na wyspie!

- Ho, ho! I własny salon!

- Ona jest bogata! - wykrzyknął Jim.

- Ona jest spłukana! - wykrzyknęłam ja. - Jemu kręci się w głowie!

- Jej też! Puszczaj!

Wylądowałam na fotelu, a Jim padł na kanapę, omal nie wywracając stolika do kawy oraz sztucznej (ale w bardzo dobrym gatunku) palmy. Brakowało nam tchu i zanosiliśmy się śmiechem. To był wciąż ten sam stary dobry Jim. Dzięki Bogu za drobne łaski.

- Piwo - mruknął Jim.

- Wiesz co? Tak sobie myślę...

- Ty zawsze myślisz, laleczko.

- Tak, ale dlaczego ludzie zawsze proszą mnie o piwo, a nie o wino

czy koktajl?

- Bo masz mokre włosy i jesteś bez makijażu.

Trybiki w mojej głowie zaczęły się obracać niczym koła ekspresu z Topeki do Santa Fe. Byłam już pewna. Koniec z Anną, co przynosi piwo. Ona musi umrzeć.

- Jim?

- Tak, dziecinko?

- Zaprosisz mnie na kolację?

W dwie minuty oprowadziłam go po domu, po czym przez następną godzinę opowiadałam mu o tacie i Lucy, salonie i moim strasznym zadłużeniu. Był przerażony, gdy słuchał o napadzie. A kiedy doszłam do tego, jak zostałam wylana, ciśnienie gwałtownie mu podskoczyło.

- Wiesz co? Harriet musi być naprawdę chora na głowę! To się kwalifikuje do sądu!

- Och, daj spokój z Harriet! Kogo to teraz obchodzi? Po prostu się wściekłam, kiedy mnie wylała, i tyle.

- Spiorę ją, jeśli chcesz.

- Boże, kochany jesteś!

Jim stał w progu łazienki, gdy suszyłam sobie włosy i robiłam makijaż. Rozmawialiśmy o Trixie. - Doprowadza mnie do szaleństwa - Mnie też - Nie wie, że tu jestem - Ode mnie się nie dowie! - Tak, ale muszę jej powiedzieć - Zadzwoń do niej jutro. Uaktualniłam jego wiadomości o Emily i jej życiu. zaproponował, że zrobi jej niespodziankę i pojedzie po nią na lotnisko.

- Zemdleje - powiedziałam.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. Dasz wiarę, że nie widziałem jej od dwóch lat?

- Przestała być małą dziewczynką. Przeróżające. Ale jest porządna, wiesz? Żadnych narkotyków ani innych świństw, którymi się faszerują w Kalifornii... - Pochwyciłam jego wzrok w lustrze, wyłączyłam suszarkę i wybuchnęłam śmiechem.

- Hej, licz się ze słowami! - Jim dał mi klapsa w tyłek. - Mówisz o ziemi mojego ludu, pamiętaj.

- Racja! A niech to! Przepraszam! San Francisco! Miasto Świętych, rzeczywiście. Pomóż mi wybrać coś do ubrania.

Przeszłam do sypialni i otworzyłam szafę.

- Nie śmieć się, żyję w aurze świętego Franciszka. Na kogo polujemy? W tym stroju możesz liczyć chyba tylko na poderwanie marynarza!

- Serowego Eksperta. Na imię ma Arthur. I przestań przewracać oczami. Wy tłumaczę ci wszystko w samochodzie.

15. Urywa mi się film

Może dlatego, że skończyłam już trzydzieści pięć lat, hostessa w High Cotton nie wyglądała w moich oczach na dość dorosłą, żeby pracować w lokalu, w którym podaje się alkohol. Trzeba jednak przyznać, że okręciła się na swoich obcasach, cienkich jak szpikulec do lodu, zaprowadziła nas do wspaniałego stolika pod oknem i wskazała miejsca z subtelną wprawą profesjonalistki. Wzięłam głęboki oddech i rozejrzałam się po sali. Nigdzie nie było śladu Arthura.

Jim wyglądał wprost nieskazitelnie. Po trzydziestce stał się uderzająco przystojnym mężczyzną o manierach i obejściu gwiazdora filmowego. Powiedział mi, że też wyglądam całkiem bosko, to znaczy jak na dziewczynę. Po gruntownych poszukiwaniach wyłonił się z mojej szafy z czarnym żakietem, czarną krótką spódnicą i zaczął mnie strofować.

- Do diabła, co się z tobą stało? Dawniej miałaś garderobę godną studia MGM! To wygląda jak jakieś nędzne resztki z wyprzedaży w ciucholandzie! Koszmar!

Zmarszczyłam brwi, przyznając mu w duchu rację.

- No, faktycznie od jakiegoś czasu nic nie kupowałam.

- Najwyraźniej. - Jim pokręcił głową. - Anno, Anno, widzę, że muszę nad tobą popracować. W przyszłym tygodniu idziemy na zakupy.

- W przyszłym tygodniu otwieram salon.

- Racja. Ja ruszę na zakupy, a ty do pracy.

- Zobaczymy. - Byłam przekonana, że wyprzedaż w ciucholandzie to wszystko, co mój wycieńczony portfel będzie w stanie znieść.

Jednakże prosta czarna spódnica i takiż żakiet uratowały wieczór. Zwykle wkładam do nich top, ale Jim się sprzeciwił.

- Rusz swoją śliczną główką, złotko. Ten cały Arthur stoi przy swoim śmierdzącym wózku z rozkładającym się nabiałem. Ty siedzisz przy stoliku z nogą założoną na nogę i wystawiasz je dla jego przyjemności. Jeśli jeszcze leciutko, w pewien określony sposób się pochylisz, to może poruszą się klejnoty tego staruszka. Przy odrobinie szczęścia.

- On nie jest stary, ale rozumiem, o co ci chodzi. - W myślach zanotowałam, żeby wetrzeć balsam w nogi.

Rzecz w tym, że nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy Arthur powiedział, że właśnie tu pracuje, pamiętałam natomiast, że wspominał coś o High Cotton. Pomyślałam sobie jednak, że jeśli się mylę, to przynajmniej zjemy smaczną kolację. Było sporo spraw do omówienia, a

odkąd usłyszałam od Arthura o tej restauracji, chciałam ją odwiedzić. Żeby zobaczyć, jak tu jest, rozumiesz? I natychmiast pojęłam, dlaczego ludzie ustawiają się w kolejce przed drzwiami: wspaniały wystrój, przestronnie, elegancko, a jeśli to, co widać na talerzach sąsiadów, może być jakąś wskazówką, to bez ryzyka da się założyć, że jedzenie jest rewelacyjne.

Mimo iż nie dostrzegłam nigdzie Arthura, usiadłam trochę bokiem, tak by wyeksponować nogi na tle białego obrusa. Jednym z plusów tego, że urodziłam się chuda jak szparag, były całkiem niezłe, długie nogi. Zaczynały mi się robić kurze łapki i niezbyt cieszył mnie widok wyraźnych od niedawna linii przy kącikach ust, ale wciąż jeszcze miałam kilka wypróbowanych środków w swoim arsenale.

Nadszedł nasz kelner, cały wykrochmalony i sztywny. Podał Jimowi oprawną w skórę kartę win i zapytał:

- Czy mogę zaproponować państwu koktajl przed kolacją?

- Oczywiście, czemu nie? Poproszę Gibsona - odparł Jim. - A co dla ciebie, Anno?

No cóż, nie przepadam za koktajlami. Zaczęłam się śmiać na myśl o ich nieprzyzwoitych nazwach - Puszysty pepek, Seks na plaży, Śrubokręt - ale uświadomiłam sobie, że muszę cokolwiek odpowiedzieć, tylko nie prosić o piwo. Cierpliwość kelnera była ograniczona, a Jim nie krył ciekawości, co mnie tak rozbawiło.

- Martini proszę - zamówiłam, jakbym stale je pijała, i spokojnie patrzyłam Jimowi w oczy.

- A dlaczego nie Cosmopolitan? - zapytał.

- Zgoda, Cosmopolitan - powtórzyłam za nim jak pojętna papuga, choć pojęcia nie miałam, co to może być.

- Doskonale. - Kelner kiwnął głową i odszedł, wyraźnie przekonany, że ma do czynienia z parą świrów.

Otworzyliśmy menu i przebiegliśmy je wzrokiem. Jak było do przewidzenia, w części poświęconej deserom znajdował się spis serów. Może jednak trafiliśmy pod właściwy adres. Bo jeśli nie, to marnowałam tyle wewnętrznej energii, że wystarczyłoby na oświetlenie średniej wielkości miasta.

- Czy ty w ogóle słuchasz, co mówię? - zapytał Jim.

- Och, Jim, przepraszam, zamyśliłam się. Powtórz.

- Jeśli nie będziesz zwracała na mnie uwagi, każę ci zapłacić połowę rachunku!

Zamknęłam menu i uśmiechnęłam się do Jima.

- Proszę, nie zachowuj się jak stara baba, tylko powtórz, na litość

boską.

- Powiedziałem, że Gary odszedł ode mnie. Gary i Jim mieszkali razem od naszego rozstania. - Wielki Boże! Ale dlaczego? I kiedy chciałeś mi o tym powiedzieć?

- Jest chory.

- Boże, Jim, tak mi przykro. - Wiedziałam, co to znaczy, w każdym razie zakładałam, że Gary jest zakażony wirusem HIV A jeśli tak, to istniało wielkie prawdopodobieństwo, że Jim też. Zanim zdążyłam sformułować następną straszną myśl, Jim znowu się odezwał:

- Ja nie jestem chory. Zrobiłem sobie testy, wynik był negatywny. Ale nie mogę znieść... - oczy wypełniły mu się łzami, dolna warga zadrżała - ...myśli o...

Sięgnęłam ponad stolikiem, ujęłam jego dłoń i ścisnęłam.

Kelner znowu się pojawił, westchnął głęboko na widok naszych splecionych dłoni i postawił na stole drinki. Jim wstał.

- Przepraszam - mruknął, kierując się do męskiej toalety, żeby tam odzyskać równowagę.

Biedny Gary! Biedny Jim! Niewiele w sumie mi powiedział, ale co tu było do mówienia? Jego łzy wystarczyły. W ciągu tych lat, podobnie jak inni ludzie, straciliśmy zbyt wielu przyjaciół, kobiet i mężczyzn, którzy na różne sposoby zarazili się AIDS. Prawdę mówiąc, byłam już w wieku, kiedy traci się przyjaciół, a powodem są wszystkie istniejące choroby. Rak piersi. Rak okrężnicy. Wczesne ataki serca. Wiedziałam, że tabele firm ubezpieczeniowych wykazują, iż istnieje możliwość śmierci nawet ludzi po dwudziestce, po trzydziestce liczba ta wzrasta i tak dalej. Ale statystyka to jedno, co innego w życiu; nigdy nie umiałam sobie poradzić z faktem, że młodzi ludzie umierają na prawo i lewo. Kto wychowa ich dzieci i spełni marzenia? Nie bierzemy tu pod uwagę wypadków samochodowych ani samobójstw. Na wypadki samochodowe nie mamy wpływu, samobójstwa to zupełnie inna kwestia. Tak czy owak, nigdy nie chodziłam na pogrzeby, choć zawsze posyłałam kwiaty i kondolencje. Czy pozwolę, żeby w tym pogrzebie Jim wziął udział sam, beze mnie? Czy na zawsze już pozostanę tchórzem, gdy przyjdzie do oglądania martwych ciał? To niewykluczone.

Siedziałam wpatrzona w kieliszek i myślałam, że gdybym miała na nowo zacząć życie, to na pewno poświęciłabym się medycynie. Ile jeszcze czasu minie, nim będziemy umieli powstrzymać te okropne choroby? W gazetach pisano o ogromnych postępach nauki, ale wszędzie dookoła ludzie wciąż umierali zbyt młodo.

Zastanawiałam się, czy Gary zażywał tak zwany koktajl, obecnie skompromitowany lek, mieszaninę środków, których celem miało być podtrzymywanie życia pacjentów z wirusem HIV. Ze sposobu jednak, w jaki Jim przekazał mi tę wiadomość, wynikało, że choroba Gary'ego jest w zaawansowanym stadium. Boże, ogarnął mnie straszliwy smutek, nie tylko z powodu Jima i Gary'ego, ale nas wszystkich. Nienawidziłam śmierci. Po prostu jej nienawidziłam.

Musiałam się jakoś wziąć w garść, nim całkiem się rozkleję, bo wiedziałam, że muszę okazać Jimowi współczucie, na jakie zasługiwał. Upiłam łyk drinka w kolorze jasnych porzeczek i uznałam, że nazwanie go Cosmopolitan było błędem. Smakował świetnie, ale powinien się nazywać raczej Różowa Rteć. Spływał mi do gardła gładko i szybko. Jim wiedział, że przypadnie mi do gustu - on zawsze taki był, należał do ludzi, którzy myślą o tym, co może ci się spodobać, a potem pilnują, żebyś to dostała. Upiłam kilka kolejnych łyków, myśląc, że chyba w ogóle nie ma w tym alkoholu.

Nie mogłam przestać myśleć o Garym. Nie darzyłam go przesadną sympatią, ponieważ uważałam, że to z jego winy w odrzutowym tempie musiałam wrócić pod ojcowski dach, z drugiej jednak strony, nie chciałam słyszeć, że ma umrzeć okropną śmiercią. To nie było w porządku.

Zresztą dobrze wiedziałam, że gdyby Jim nie był z Garym, to byłby z kimś innym. Niedługo po naszym zerwaniu musiałam przyznać, że podczas spędzonego wspólnie czasu moje uczucia do Jima wykroczyły poza przyjaźń. Przypuszczam, że w moim sercu zaczęło się coś zmieniać po narodzinach Emily, kiedy bawiliśmy się w dom. Jakby przez ten pierwszy rok wszystkie kawałki skomplikowanej układanki trafiły na miejsca, zakochałam się w Jimie bez pamięci. Mieszkaliśmy razem w swobodny, naturalny sposób, dzieląc wszystko z wyjątkiem łóżka. Może nasze małżeństwo było białe, lecz istniała w nim miłość.

Uszczęśliwianie Jima nie przysparzało wielkich trudności. Pilnowałam, żeby było cicho, kiedy siedział nad książkami, utrzymywałam dom w nieskazitelnej czystości i nigdy nie narzekałam. W tej ostatniej kwestii sporo nauczyłam się od matki, która była urodzoną zrządcą, choć stara Violet ją przebiła. W naszym domu panowała naprawdę miła atmosfera, przywodząca na myśl stare, wygodne buty, których za żadne skarby nie chcesz się pozbyć. Kilka razy, zwykle po zbyt wielu piwach, próbowałam okazać Jimowi swoje uczucia, ale on delikatnie zdejmował moje ręce ze swojej szyi prowadził mnie do łóżka i okrywał jak dziecko. Po czymś takim następnego dnia rano czułam się okropnie.

Wiedziałam, że Jim mnie kocha. On wiedział, że ja go kocham. Byliśmy małżeństwem. Dlaczego nie dać naszemu małżeństwu szansy? Nikt nie mógłby mi mieć za złe, że próbowałam.

Tyle że nie było nam to pisane. Moje romantyczne zapędy powodowały, że Jim czuł się coraz bardziej niezręcznie, a stan ten pogłębiała jeszcze moja gwałtownie rosnąca frustracja, więc w rezultacie odszedł do Gary'ego. W swoim czasie wystarczyło, żebym zapaliła świecę zapachową - Jim natychmiast oświadczał, że wieczór zamierza spędzić poza domem. Owe przeciągające się w noc wieczory stanowiły niezbity dowód, że pierwotne warunki naszej umowy raz na zawsze określiły charakter relacji między nami, ale jakaś część mnie uparcie zaprzeczała orientacji seksualnej Jima. Ten upór właśnie bałamucił mnie i kazał wierzyć, że pewnego dnia Jim znajdzie się na właściwej drodze. On jednak nigdy mnie nie oszukiwał, to ja oszukiwałam sama siebie.

- Czy szanowna pani ma ochotę na następny?

Brwi kelnera znajdowały się gdzieś pomiędzy sufitem a księżycem.

- Tak, szanowna pani ma ochotę. - Chciałam mu powiedzieć: odpieprz się, sztywniaku. Szanowna pani snuje mroczne myśli i nie jest to odpowiednia pora na wkurzanie jej. Co za idiota?

Zanim wrócił Jim, osuszyłam pierwszą szklanekę i niewiele mnie dzieliło od opróżnienia następnej. Koktajl był wyśmienity, czarny welon unosił się, ustępując lekkiemu oszołomieniu alkoholowemu.

- Okay, musimy o tym pogadać - oznajmiłam, kiedy Jim zajął swoje miejsce.

- Niewiele jest do powiedzenia. - Łyknął drinka i wyłowił ze środka cebulki. - Dzięki Bogu za wódkę.

- Amen. W każdym razie podejrzewam, że w moim jest wódka. Piję już drugą szklanekę, więc lepiej coś zjedzmy, bo będziesz musiał wynosić mnie przerzuconą przez ramię. - Pamiętałam, że od śniadania nic nie miałam w ustach. Przełamałam bułeczkę i zaczęłam jeść, urywając małe kawałki. - Opowiadaj. On się przeprowadził czy ty?

- On. Ja nadal mam to mieszkanie przy Union Street. Gary przeniósł się do Ohio, żeby być z matką i rodziną. Śmieszne, bo cały czas myślałem, że to ja jestem jego rodziną. Nie, wcale nie śmieszne. Wiesz, mieszkaliśmy razem przez całe nasze dorosłe życie.

- Słuchaj, Jim, nie jestem lekarzem ani psychiatrą, ale myślę, że kiedy ktoś się boi i jest bardzo chory, to chce być z rodzicami, jeśli wciąż żyją. Powiedz mi, jak w ogóle się zaraził? Może to nie jest najważniejsze...

- W zwykły sposób. Przez długi czas kłóciliśmy się i boczyli na

siebie. Prawdę mówiąc, przez lata. Myślę, że powinniśmy byli się rozstać wcześniej z miliona powodów, ale dalej mieszkaliśmy razem jako przyjaciele. Tylko że on, jak by to powiedzieć, badał rynek, rozumiesz? Widocznie kogoś poderwał i był nieostrożny. W głowie mi się nie mieści, że coś takiego mogło przydarzyć się Gary'emu. Ale wiesz, jaki on jest. Bary to była jego specjalność, nie moja. Przynajmniej raz w życiu dobrze wyszedłem na swoim lenistwie.

- Chcesz powiedzieć, że nigdzie nie wychodziłeś?

- Boże, Anno, w barach aż się roi od napalonych młodych i wyranżerowanych starych pedziów. A nie ma nic żałośniejszego niż stara ciota, polująca na chłopców ze sfałszowaną datą urodzin w dokumentach, którzy lecą na darmowe drinki i awanse podtatusiałych lowelasów.

- Nie masz jeszcze czterdziestki.

- Wiem, ale według mnie faceci dobiegający czterdziestki powinni być urzędzeni, ustabilizowani. Do diabła, od dwunastu lat prowadzę własną firmę i przez mniej więcej tyle lat był w moim życiu Gary. Zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

A więc Jim wrócił do mnie po to samo, po co Gary pojechał do Ohio. Przybył tu, bo chciał się wzmocnić, opancerzyć, a moja misja polegała na tym, żeby okazać mu przyjaźń. Pewnego dnia wróci do San Francisco, gdzie czeka go praca. Jim, jak możesz sobie wyobrazić, miał niezwykle interesującą pracę. Wykorzystując swój dyplom z zarządzania oraz zamiłowanie do dobrych rzeczy, Jim został ekspertem od win i prowadził firmę, która kupowała wina krajowe oraz importowała zagraniczne dla restauracji i hoteli w całym kraju.

- No, na razie nie musisz robić nic poza wypoczywaniem, a poczynając od jutra, nurzaniem się w młodości Emily. Dzwoniłeś do Gary'ego?

- Tak, dzwoniłem. Jego matka uważa mnie za zło wcielone i próbuje kontrolować nasze rozmowy.

- Jakby to cokolwiek mogło zmienić.

Wrócił kelner, by zanotować i ocenić nasze wybory kulinarne.

- A więc dobrze. Co zamówimy?

Ja zdecydowałam się na carpaccio z łososia, skropione cytrynowym wasabi, Jim wybrał zupę krabową, specjalność Lowcountry, oraz przepiórkę nadziewaną foie gras.

- Głodny? - zapytałam.

- Jak wilk.

Nie miałam zielonego pojęcia, co to jest carpaccio i wasabi. Dla mnie

to drugie brzmiało jak nazwa afrykańskiego tańca. Pamiętasz, jestem dziewczyną, która woli jedzenie w piknikowym koszyku, a nie taką, co to regularnie zamawia potrawy o obco brzmiących nazwach.

Jim wahał się z dalszym wyborem pomiędzy jagnięciną i chateaubriandem, tak więc kelner wkroczył do akcji.

- Bardzo smaczna jest potrawka z owoców morza - oznajmił.

- To ją weźmy. Anno, co o tym sądzisz?

Skinęłam głową, zamknęłam menu i oddałam je kelnerowi.

- A więc podjęliśmy kolejną decyzję najwyższej wagi - zauważyłam, po czym wypiliśmy do końca koktajl.

Jim czytał kartę win w takim tempie, jakby smakował dobrą książkę.

- Czy mógłbym zaproponować Cakebread Sauvignon Blanc? Rocznik 1999 jest bardzo popularny i ma rozsądną cenę - wyrecytował kelner, raz po raz unosząc brwi. Był przekonany, że Jim zupełnie nie zna się na winach.

Nie docenił Jima.

- Nie sądzę - odparł Jim, ze zmarszczonym czołem przesuwając spojrzeniem po karcie. - Och! Nie wierzę, że to macie! A może nie?

- Jaki gatunek ma pan na myśli?

- Clos St - Theobald rocznik 97.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i pokazał mi to w karcie?

Uwaga! Brwi w szybkim tempie opadały w dół. Stłumiłam uśmiech, przygryzając dolną wargę. Oto karma w działaniu.

- Jest tutaj. Domaine Schoffit, rocznik 97, Rangen de Thann Vineyard, Grand Cru, numer dziesięć. Jest lekko słodkawe, idealnie pasujące do ostrego wasabi oraz foie gras. Doskonałe. Anno, będziesz uwielbiała to wino.

- Uwielbiam ciebie! - Jim zdruzgotał zadowolonego kelnera, będąc po prostu sobą.

- Zaraz przyniosę wino, proszę pana.

- Doskonale! Proszę też wziąć lampkę dla siebie! - odparł Jim i odwrócił się do mnie, zarumieniony z podniecenia. - Boże, zeszłego lata byłem w Alzacji i odkryłem Rangen de Thann Vineyard. To niewielkie miasteczko w Colmathaut Rhin... och, no tak! Znowu zaczynam! Przepraszam, Anno.

- Nie, bardzo mi się to podoba! Wiesz, to cudowne, że praca sprawia ci taką przyjemność, a równocześnie przynosi pieniądze! Nie mogę się zdecydować, czy bardziej cię kocham dla ciebie samego, czy też kocham cię za to, że dałeś mi taką nauczkę.

- To bez znaczenia, najważniejsze, że mnie kochasz. Właśnie to usłyszałam - facet, który potrafi dawać, ale nie brać, przyznał, że jestem mu potrzebna. Nie ma sprawy, pomyślałam.

W zachowaniu naszego kelnera nastąpiła zmiana, teraz był uosobieniem grzeczności. Odkorkował butelkę pewną ręką, nalał odrobinę Jimowi, by spróbował, robił wszystko, tyle że nie przyklął przy prezentowaniu korka.

Jim skosztował wina, kiwnął głową i powiedział:

- Proszę sobie też nalać. Sądzę, że uzna je pan za nieco lepsze od Cakebreada.

- Nie wątpię - odparł kelner, odsłaniając w uśmiechu mysie ząbki.

Wino było przepyszne. Przypuszczałam, że będzie nieco za słodkie, ale nie. Zjedliśmy pierwsze danie i osuszyliśmy butelkę przy pomocy kelnera imieniem Maurice, który dosłownie się śliniąc, poprosił Jima o jeszcze jeden kieliszek. Jim, człowiek wielkoduszny, nalał hojną ręką, po czym zamówił kolejną butelkę. Tym razem był to zupełnie inny w smaku riesling, Domaine Trimtrees, rocznik 83, Clos St. Hune. Ha, nie minęło wiele czasu, a zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem widelec znajduje drogę do moich ust. Pewnie błędziłam w kosmosie.

Jim mówił bez przerwy. Słuchałam go, jedząc i starając się zachować trzeźwość na tyle przynajmniej, żeby formułować jakieś słowa pociechy. Kiedy uznałam, że Jim wszystko już powiedział o Garym, pomyślałam, że przydałby mi się haust świeżego powietrza. Bardzo chciało mi się spać. To pewnie połączone siły kosmosu i wina. Słuchałam przecież, sporo piłam i niewiele się odzywałam. Uważałam jednak, że niezłe się trzymam, choć z drugiej strony, dobrym pomysłem było pójście do toalety i poszczypanie się w policzki.

- Jim? Zaaz wacam. Nie staaj.

Jim mimo to wstał, a ja, gdy podniosłam się na nogi, pojęłam, że jestem po prostu pijana jak bela.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak - odparłam i żeby go w tym upewnić, wycelowałam w niego palec.

Dzięki łasce niebios dowlokłam się jakoś do toalety i usiadłam na sedesie, mając zamiar z niego skorzystać. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, była myśl, że pięciominutowa drzemka rozjaśni mi umysł.

- Panno Abbot! Panno Abbot! Jest pani tam? Obudziłam się w połowie chrapnięcia i o mało nie

spadłam na podłogę. Nawet ja usłyszałam ten hałas i byłam zdruzgotana, że chrapałam jak stu pięćdziesięciokilowy wieprzek.

Głos należał do zachowującej się oficjalnie, acz troskliwej hostessy, którą Jim posłał mi na ratunek. Najwyraźniej na czterdzieści pięć minut zapadłam się w nicość, a on zaczął się trochę niepokoić.

- Tak, wszystko w porządku! - zawołałam. - Dziękuję!

Przez szparę między drzwiami kabiny a podłogą widziałam jej cieniutkie obcasy. Nie poruszyła się.

- Na pewno? Może potrzebuje pani czegoś?

- Umm... nie ma pani przypadkiem tamponu? - O, to mi się udało!

- Jasne. Biedactwo! Ja też mam straszne skurcze! Dobrze wiem, jak pani się czuje. - Usłyszałam kroki, potem chyba otworzyły się drzwi.

W szparze pojawiła się dłoń. Odebrałam tampon.

- Dzięki. Zaraz wychodzę. Czy mogłaby pani powiedzieć mojemu mężowi, że żyję?

- Jasne! Niech pani się nie śpieszy. Cieszę się, że nic się nie stało.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Hostessa wyszła. Opuściłamabinę i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Makijaż wymagał natychmiastowego ratunku. Wyszczotkowałam włosy, wytarłam tusz spod oczu, umalowałam na nowo usta, a potem zapatrzyłam się w lustro, usiłując ocenić swój stan. Wiedziałam, że jestem w poważnych tarapatach. Umyłam ręce, przeklinając własną głupotę, po czym ruszyłam w drogę powrotną przez bar do stolika. Pomyślałam, że czuję się o wiele lepiej. Idiotycznie, ale lepiej.

Z odległości kilkunastu kroków zobaczyłam Arthura. Gawędził z Jimem, jakby byli starymi kumplami.

Staraj się być uwodzicielska. Uważnie stawiaj kroki, idź, jakbyś się skradała. Myśl o kocie. Wielkim kocie. Zachowaj czujność. Odrzuć ramiona do tyłu. Przybierz pozę swobodnego zainteresowania. Nie potknij się o nic. Na miłość boską, nic już nie pij. Okay. Jesteśmy na miejscu. Zaczynaj.

- Czy my się skądś nie zna-amy? - Miałam nadzieję, że w zabawny sposób włączyłam się do rozmowy. Miałam też wrażenie, że niezbyt mi się przy tym płacze język. Jak na razie doskonale. Zająłam miejsce, a Maurice, obecnie sama usługa i wdzięk, podał mi serwetkę, żebym położyła sobie na kolanach, i lekko przysunął mnie z krzesłem do stołu. Uśmiechnęłam się łagodnie i potrząsnęłam włosami. Dlaczego to zrobiłam? Nie cierpię kobiet, które potrząsają włosami!

- Myśleliśmy, że zostaniesz tam na zawsze, Anno. Dobrze się

czujesz? - zapytał Jim.

- Witaj, Anno. Właśnie omawialiśmy z twoim mężem nasze ulubione gatunki serów pleśniowych.

- To nie mąż. Widzisz? - I machnęłam ręką w powietrzu, żeby pokazać mu serdeczny palec bez obrączki. Niestety, całe moje ciało podążyło za tym ruchem. Byłam już blisko dywanu, kiedy mocne ramię Arthura podtrzymało mnie i posadziło z powrotem na krześle.

Arthur i Jim, szczerząc zęby w uśmiechu od ucha do ucha, popatrzyli na siebie i pokręcili głowami. Jim zrobił do mnie minę oznaczającą: Weź się w kupę.

- Dzięki - powiedziałam - i przepraszam. - Z trudem starałam się odzyskać równowagę. Nie radziłam sobie tak dobrze, jak miałam nadzieję.

- Anno - odezwał się Jim głosem zdradzającym zarówno jego niepokój, jak i determinację, by całą rzecz dalej ciągnąć. - Powiedziałem, że chętnie zjemy kawałek Chiabro D'Henry. To sardyński gatunek sera owocowego. A potem może kawałek francuskiego Fourme D'Ambert.

- A ja powiedziałem - przemówił Arthur - że moim zdaniem kanadyjski Chaput Brique oraz francuski Rougerus są łagodniejsze i bardziej jedwabiste.

Wysunęłam nogę spod obrusa i Arthurowi nie pozostało nic innego, jak przyrzec się mojej rozkołysanej kończynie. Jim, obserwując, jak wykopuję sobie coraz głębszy grób, uniósł tylko wzrok, prosząc niebiosa o wskazówki.

- Jestem nieameżnaa - oznajmiłam z uśmiechem, który w moim przekonaniu był nieodparcie uwodzicielski.

Jim zerwał się na równe nogi i chwycił Arthura pod ramię.

- Zaraz wracamy, Anno. Ty tu siedź jak grzeczna dziewczynka.

Pośpiesznie się ulotnili, mnie zaś zupełnie nie obeszło, dlaczego to zrobili. Arthurowi moja noga się podobała. Tego byłam pewna.

Maurice sprzątnął naczynia i stół przede mną był pusty. Wydawało mi się, że nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałabym złożyć na nim swojej biednej głowy na minutkę czy dwie. Do diabła, włosy miałam czyste. Nikomu to chyba nie będzie przeszkadzało.

16. Za dużo wrażeń

Usłyszałam jakiś nieprzyjemny i przenikliwy głos. Czy w czole miałam topór? Dryń! Dryń! Telefon. Natychmiast też odezwał się instynkt. Zabić intruza. Byłam zaspana, jeszcze nie do końca się obudziłam, gdy spod skłębionej pościeli sięgnęłam po słuchawkę.

- Dobrze spałaś? - zapytał męski głos z niejakim rozbawieniem.

- Kto dzwoni o tak nieludzkiej porze? - Topór się przesunął. Teraz był w potylicy.

- Tu Arthur, budzę cię. Prosiłaś mnie wczoraj, żebym rano do ciebie zadzwonił i upewnił się, że wczesnie wstaniesz, bo masz sporo rzeczy do zrobienia. Pamiętasz?

Nie, nic takiego nie pamiętałam. Prawdę mówiąc, ostatnią rzeczą, jaką pamiętałam, był powrót z toalety w restauracji. A później - czarna dziura. Jim musiał przywieźć mnie do domu. Ogólnie rzecz biorąc, obsłużono mnie w nadmiarze. Zastanawiałam się, kogo będę musiała przeproszać.

- Boże wielki, tak mi przykro. Pewnie uważasz mnie za skończoną pijaczkę. - Czy to jest sposób na zdobycie serca mężczyzny? Podrzucić mu coś, żeby mógł opowiedzieć swojej mamie o miłej dziewczynie, którą właśnie poznał. Przypomnieć o poziomie alkoholu we krwi.

- Nie, myślę, że jesteś po prostu samotna. Mam rację?

- Wielki Boże! - Schowałam głowę pod kołdrę i ugryzłam się w dłoń, bo przypominałam sobie, jak idiotycznie się zachowałam. Pod przykryciem było okropnie gorąco.

- A także, że nie jesteś przyzwyczajona do picia wina.

- To prawda.

Jego głos rewelacyjnie brzmiał w telefonie. Z lekkim przydechem. Z nutą piżma.

- Oraz że masz wspaniałe nogi.

- Dzięki, ale to mała rekompensata za mój wstyd i upokorzenie. Powiedz mi tylko, czy musieli wynosić mnie na noszach?

- Ależ nie! Wyszłaś sama, w doskonałym nastroju. To znaczy byłaś śpiąca i lekko się słaniałaś, za to wykonując „New York, New York”, w zasadzie trzymałaś się linii melodycznej. Właściciele byli zachwyceni!

- Powiedz, że kłamiesz...

- These little town blues... - zaśpiewał Arthur.

- Zastrzel mnie, dobra? Wyceluj prosto w serce i połącz kres moim cierpieniom.

- Moim zdaniem, byłaś cudowna. A ten Jim to przyzwoity facet. No wiesz, powiedział mi, że zwał ci na głowę złe nowiny i tak dalej. Po czymś takim ja też zacząłbym pić. Byłaś jego żoną?

Wiedziałaś, że pyta o rzecz oczywistą.

- To długa historia. A Jim jest wspaniały.

- Wygląda na takiego. Dobra, odwalilem robotę. Rozumiem, że już wstałaś?

- Tak. Dzięki, naprawdę.

- Doskonale. Słuchaj, gdybyś kiedyś chciała pójść, sam nie wiem, na spotkanie AA, do kina albo gdzieś...

- Bardzo śmieszne, rzeczywiście. Spotkanie AA. Do kina? Może. - W niedzielę?

- Wiesz, moja córka przyjeżdża ze szkoły. Nie widziałam jej od pół roku, ale...

- W porządku, nie ma sprawy.

Zaraz odłoży słuchawkę. Myśli, że nie jestem zainteresowana.

- Nie, czekaj! Chciałam powiedzieć, że może wpadniesz w niedzielę po południu koło piątej, to urządzimy sobie barbecue albo ugotujemy krewetki.

- Wspaniale! Brzmi zachęcająco!

- To świetnie. Podać ci adres?

- Nie ma potrzeby. Czy mogę ci powiedzieć, że ślicznie wyglądasz w T - shircie z logo uniwersytetu?

Popatrzyłam po sobie - owszem, moje ciało okrywała właśnie taka szmatka.

- Chcę umrzeć.

- Żartuję, Jim pomagał ci się rozebrać. Ja zachowałem dobre maniery i wróciłem do pracy.

- Arthur?

- Tak?

- Dziękuję. Do zobaczenia w niedzielę.

Odłożyłam słuchawkę, zwlokłam się z łóżka i chwiejnie ruszyłam pod prysznic, po drodze zaglądając do salonu. Jima tam nie było, ale kanapa znajdowała się w okropnym stanie. Pewnie wyszedł po gazetę.

Wzięłam trzy aspiryny i wypiałam dwie szklanki wody. Spojrzałam w lustro, wysuwając język, przekonana, że zamiast niego mam przepoconą skarpetkę. Wyszorowałam zęby bardzo starannie, skruszona pożałowałam za grzechy, po czym weszłam pod prysznic, wstawiając głowę pod strumień wody. Ależ zrobiłam z siebie idiotkę!

W życiu nie zachowałam się tak kretyńsko! Nigdy więcej!

Nie ulegało wątpliwości, że Arthur widział mnie na jakimś etapie rozbierania. Skrzywiłam się, w pełni świadoma, że moje mięśnie brzucha (zwłaszcza w stanie spoczynku) nie są dokładnie takie, jak na okładce „Shape”. Mogłam sobie wyobrazić, że oglądał mnie w najmniej zachęcającej wersji: zaschnięta ślina i szminka w kącikach ust, tusz zlepiający rzęsy, oddech, od którego buldog zerwałby się z łańcucha - Boże w niebiosach! Kto wie? Czy widział mój cellulitis? Naprawdę

śpiewałam? Cholera! Przecież słoń nadepnął mi na ucho!

Zaczęłam chichotać. Ha, powiedziałam sobie, skoro zadzwonił do ciebie dzisiaj rano i chciał się umówić, to może aż tak okropnie nie było. Przynajmniej wiedziałam, że oglądał mnie w najgorszym stanie. Rozmyślałam o minie Lucy, o jej otwartych ze zdziwienia jak wrota stodoły ustach, kiedy usłyszy ode mnie całą historię. A może lepiej nikomu nic nie opowiadać?

Emily! Która godzina? Zawinęłam się w ręcznik i spojrzałam na budzik. Kwadrans po ósmej. Dobra. O której ląduje jej samolot? W południe. Zadzwoniłam na komórkę Jima.

- Nie denerwuj się! Odbiorę ją z lotniska i przywiozę prosto do domu. Chcesz bezkofeinowe cappuccino? Po drodze wstąpię do Starbucks.

- Z kofeiną, proszę, i pączek z lukrem.

- Jak twoja głowa?

- Dobrze - skłamałam. - Wzięłam prysznic.

- Okay. Wracam za kilka minut.

Odwiesiłam słuchawkę, narzuciłam coś na siebie i rozejrzałam się po domu. Cóż, był mały i nie do końca urządzony, to pewne, ale był mój. Nasz. Emily i mój.

Moja słodka córeczka, ta sama, której przez telefon wyrwało się słowo na „k”, ale i tak jest porządną, przez wszystkich lubianą dziewczyną z Karoliny Południowej, wreszcie wraca do domu i jej mama nie może się doczekać, kiedy ją uściska!

Postanowiłam, że postawię w pokoju Emily kwiaty, poszłam więc do kuchni po sekator. Koło szopy kwitło kapryfolium, mogę też dodać gałązkę sosny, myślałam, rozglądając się po podwórzu i szukając czegoś, co nadawałoby się na bukiet powitalny. Ścinając wybrane łodygi, usłyszałam trzask zamykanego bagażnika. Uniosłam głowę i zobaczyłam pannę Angel. Dokądś się wybierała. Musiała już mieć siedemdziesiąt pięć lat, ale nikt by się tego nie domyślił ze sposobu, w jaki się poruszała.

- Dzień dobry! - zawołałam, idąc ku niej. - Śliczny poranek, prawda?

- Dzień dobry, Anno! Tak, jest piękny! Jak się miewasz? Ścinasz kwiaty?

- No tak. Na bukiet. Wie pani? Moja córka przyjeżdża dzisiaj z Waszyngtonu i taka jestem podniecona, że wreszcie zobaczy nasz nowy dom!

- O, mogę sobie wyobrazić! To wspaniale! A teraz powiedz wszystko Angel. Kim jest ten mężczyzna, który spał u ciebie?

- Och, to... Mój były mąż.

- Twój były co? Postradałaś rozum?

Nie do końca byłam pewna, o co jej chodzi, więc wyjaśniłam:

- Nie, to nie tak! On jest gejem.

Nie chciałam, żeby myślała, że przez całą noc miałam w łóżku jakiegoś faceta.

Zacisnęła szczęki, tak więc jej twarz nie ujawniała ani szoku, ani rozbawienia, i popatrzyła na mnie ze śmiertelną powagą. Było jasne, że nie ma pojęcia, co powiedzieć. Czas stanął w miejscu. A potem, dość nieoczekiwanie, zaproponowała:

- Chodź, obejrzysz moje koszyki.

Cóż, zgoda, podałam jej więcej szczegółów, niż oczekiwała, ale z jakiegoś nieuchwytnego powodu Angel była taką osobą, której - moim zdaniem - należało mówić całą prawdę, jeśli człowiek chciał się z nią zaprzyjaźnić. Nigdy nie miałam w zwyczaju omawiać niczych preferencji seksualnych z wyjątkiem własnych, a już na pewno nie Jima. Z drugiej strony, nie chciałam, żeby myślała, że sypiam, z kim popadnie, bo tego nie robiłam.

Poszłam za nią do jej samochodu. Otworzyła bagażnik.

- Zastanawiam się nad kupnem minivana - powiedziała. - Jest pojemniejszy. A poza tym ten stary grat jest taki niski, że nie widzę, co nadjeżdża. Wszyscy ci zabójcy w wielkich SUV-ach, co to jeżdżą z nadmierną szybkością i rozmawiają przez komórki... Tak, popatrz na to.

Wyjęła stertę prostokątnych koszyków, które mogły służyć jako pojemnik na papier do drukarki albo katalogi. Następny rozmiar przewidziany był na kolorowe magazyny, a największy na gazety. Potem pokazała mi koszyki wielkości pudełka na chusteczki higieniczne.

- Panno Angel! Są śliczne! Rzeczywiście można je wykorzystać! Są wspaniałe!

Znowu powiedziałam coś nie tak.

- Co to znaczy „można je wykorzystać”? Oczywiście że tak! - Pokręciła głową i mówiła dalej: - Widzisz te małe kwadratowe? Wsadzasz do nich czterocalowe doniczki i ustawiasz na parapecie. Mam je we wszystkich rozmiarach, na każdą wielkość doniczki.

- Można też w nich trzymać szczotki - dodałam. - I grzebienie. A te wielkie, ustawione na szklanych półkach, nadają się na szampony i odżywki, stojące w szeregu jak żołnierzyki.

Wreszcie zaczęłyśmy nadawać na tych samych falach.

- Gdzie jest twój salon?

- Naprzeciw Red and White, zaraz obok delikatesów. Lucy chyba

teraz tam jest. Ostatni szlif, rozumie pani. Otwieramy w poniedziałek.

- Wszystko będzie dobrze - oznajmiła panna Angel. - Zeszłej nocy mi się śniłaś, trzymałaś narecze kapusty. Kapusta oznacza pieniądze, będziesz ich miała pełno. Wstąpię tam i zobaczę, które z moich koszyków nadadzą się dla was.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie, przypieczętowując umowę. Panna Angel uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

- Całkiem dorosła, z córką i własnym interesem! Dobry Boże! Serce mi rośnie, jak o tym myślę!

- Dziękuję, panno Angel, naprawdę. Zawróciłam i chwilę stałam przed domem, tylko mu

się przypatrując. Pęczniałam z dumy, jakiej dotąd nie znałam.

Kwiaty i zielone gałązki w małym wazonie postawiłam na białej wiklinowej komodzie, po czym znowu się cofnęłam. Wszystko było przygotowane, no, prawie wszystko. Wkrótce nasz dom będzie tętnił życiem, rozpoczniemy nowy rozdział historii rodziny. Czas będziemy dzielić na okres „przed domem” i „po przeprowadzce”. Dzisiaj Emily przyjedzie do domu, potem nastąpi pierwszy grill, urodziny, pierwsze Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie.

Znowu trzasnęły drzwiczki samochodu. Pewnie wrócił Jim, pomyślałam. Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły.

Wzięłam od niego kubek z kawą i powiedziałam:

- Dzięki. Jim, jestem taka podekscytowana przyjazdem Emily i tym wszystkim, nawet nie mogę ci powiedzieć, jak bardzo. Myślałam o Bożym Narodzeniu i różnych rzeczach, jakie się tu wydarzą...

- Wiesz co, Anno? - przerwał mi Jim. - Masz rację! To rzeczywiście bardzo ważna okazja. Pomyśl! A gdyby mnie to ominęło? O, mam tu paczka dla ciebie.

- Dzięki. Bez ciebie byłby tylko w połowie taki dobry! - Ugryzłam dwa kęsy, po czym zaczęłam składać koc i prześcieradło z kanapy. - Hej, masz aparat? Nigdy nie robię zdjęć, a chcę widzieć wyraz jej twarzy, rozumiesz?

- Załatwione! Kupię jednorazowy w drodze na lotnisko.

- Wstaliście już? - W progu stała Lucy. - Przyniosłam kawowe ciasto. Pomyślałam, że może będzie smakować Emily. Kiedy przyjeżdża twój tata?

- O Chryste! Zapomniałam do niego zadzwonić! Na lunch? Powinnam zaprosić go na lunch?

Oboje popatrzyli na mnie i wybuchnęli śmiechem.

- Ty pewnie jesteś Jim - powiedziała Lucy z błyskiem uznania w oku.
- A ja Lucy, mieszkam obok.

- Tak, jestem Jim i bardzo mi miło cię poznać - odparł Jim i uściskał jej dłoń, po czym cofnął się o krok i, tak jak ona jego przedtem, zmierzył ją wzrokiem. - No, no! Dziewczyna z sąsiedztwa!

- Przepraszam, powinnam była was sobie przedstawić...

- Boże wielki, dziewczyno! Co się z tobą dzieje? Zadzwoń do Doktora, a ja w drodze z lotniska kupię coś na lunch - powiedział Jim.

- Dzięki.

- Mój plan jest następujący: wyjeżdżam natychmiast, wpadam do Trixie i robię jej niespodziankę, pędzę na lotnisko i z powrotem. Potrzebujesz czegoś poza aparatem?

- Nie. - Cmoknęłam Jima w policzek, - Jeszcze raz dziękuję. Pozdrów Trixie ode mnie.

Patrzyłyśmy, jak wychodzi.

- Jest super, złotko. Czemu w ogóle pozwoliłaś mu odejść?

- Nie potrafiłam go nawrócić.

- Wszyscy najlepsi są gejami. Cholera, co za marnotrawstwo.

- Nie żartuj. No, zaraz zgromadzi się cały klan i będzie miał okazję komentować mój marny wygląd. Wiesz, mam straszliwego kaca.

- W takim razie doprowadź się do porządku, złotko. Wydaje mi się, że miałaś ciężką noc! Nie pozwól, żeby twoja córka się tego domyśliła! Do niczego się nie przyznawaj!

- Bez obaw. Będę idealną matką, nawet gdybym miała delirkę.

- Doskonale.

Robiłam makijaż, rozmawiając z Lucy o Emily, tacie i salonie.

- Wiesz co?

Spojrzała na mnie z kanapy, gdzie przeskakiwała z CNN na Style Channel i z powrotem. - No?

- Chodzi o to, że nie przypominam sobie dnia, w którym tak wiele nowych spraw na mnie czekało.

- Życie to nic innego jak sen, trzeba machnąć czarodziejską różdżką!

- Tak, ale to dzięki tobie znalazłam się w tym śnie, panno Lucy.

- W twoim śnie, dziewczyno. Macham różdżką tylko dla ludzi, których lubię.

Zaśmiałam się.

- Idę teraz obejrzeć mój frontowy ogródek - powiedziałam.

- Zadzwońię do Dougle'a.

- Już do niego dzwoniłam.

- To zadzwonię jeszcze raz! - oznajmiła. - I muszę się odświeżyć.

- Dobrze, do zobaczenia później! Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, obie miałyśmy

znakomity humor. Patrzyłam, jak Lucy biegnie do siebie. Chciała, żeby tato też odczuł naszą radość.

Nie byłam ubrana do pracy w ogrodzie. Miałam beżowe spodnie, czerwoną bawełnianą bluzę i czerwone sandały, wszystko z Gapa. Emily uwielbiała Gapa i Banana Republic, zawsze kiedy trzeba było kupić nowe ubrania, chodziłyśmy tam na wyprzedaże. Miała doskonałego nosa do okazji i strój, który tego dnia wybrałam, był prezentem - niespodzianką od niej na moje ostatnie urodziny. Zastanawiałam się, czy będzie o tym pamiętała.

Dziwne, ogród wyglądał, jakby zapuścił już korzenie. Włączyłam zraszacz, żeby kwiatom dać wody z samego rana. Już było ciepło, wszystko wskazywało na to, że temperatura w ciągu dnia wzrośnie do dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Uwielbiam upał. A niech to, stawię mu czoło. W tamtej chwili uwielbiałam cały świat.

- Anno.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że panna Mavis schodzi po schodach, niosąc jakiś przedmiot owinięty w gazetę.

- Witam, panno Mavis! Co pani tam ma? Ostrożnie stawiając kroki, przeszła przez podwórze

z rękami schowanymi za plecy, co upodobniło ją do kury. Wreszcie stanęła.

- Obserwowałam cię! - oznajmiła.

- Naprawdę? - A co to ma znaczyć?

- Patrzyłam, jak sadzisz kwiaty! Wygląda na to, że wiesz, co robisz.

Wiesz czy nie?

- No, jak w każdej innej dziedzinie, niektóre próby są bardziej udane od innych. Ale rzeczywiście lubię sadzić rośliny i patrzeć, jak rosną.

- Ja też, tyle że w domu. Proszę, zasadź to koło licznika. Te przeklęte liczniki są brzydkie jak noc. Nie rozumiem, czemu muszą je ustawiać na samym środku, ale zawsze tak robią. To głupie.

Odwinęłam gazetę i zobaczyłam zieloną winorośl, już ukorzoną.

- Czy to wino? Nigdy jeszcze takiego nie widziałam.

- Co? Och, dobry Boże, to nic innego jak stara róża cherokee. Dała mi ją ta głupia kobieta z klubu seniorów. Myśli, że jest okropnie mądra, bo zna łacińskie nazwy. Rosa laevigata czy coś takiego. Boże! Nie miałam pojęcia, co z tym zrobić. A potem zobaczyłam, że kopiesz, jakbyś chciała

dostać się do Chin. Powiedz: dziękuję.

- Och, tak mi przykro! Dziękuję! Bardzo dziękuję!

- Hm. No to świetnie. Muszę iść nakarmić moje kotki. Do zobaczenia później.

- Jeszcze raz dziękuję, panno Mavis - powiedziałam do jej pleców.

Widziałam, jak kręci głową, idąc tak szybko, jak tylko pozwala jej na to wiek. Nie miałam wątpliwości, że uznała moje maniery za beznadziejne. Postanowiłam od razu zasadzić roślinę. W kwestii licznika miała absolutną rację. Wyobrażałam sobie, że gdybym kiedyś wzięła jakieś psychodeliczne prochy, w gruncie rzeczy bez trudu przekonałabym siebie, że licznik to głowa łosia z łopatami. Brzydki jak noc.

Przyniosłam szpadel i wykopałam niewielki dołek, po czym z grządek wzięłam trochę ziemi, by wzbogacić Piaszczystą glebę. Jej jakoś przypuszczalnie równać się mogła z Saharą. Mam bzika na punkcie krzewów i kwiatów, tak jak inne kobiety na punkcie butów. Kształtowanie krajobrazu to sprawa kosztowna i należy podchodzić do niej z rozwagą i cierpliwością.

Czekając na Jima i Emily, raz jeszcze zajrzałam w każdy kąt domu. Wydawało się, że dosłownie wszystko aż wibruje z podniecenia. Nie mogłam się zdecydować, gdzie powinnam być, gdy przyjadą: w domu, na ganku czy może w ogródku. Czekałam na Jima i Emily, tak jak w dzieciństwie wypatrywałam powrotu taty z pracy.

Na podjeździe zahamował samochód, pobiegłam więc do drzwi. Nie mogłam się opanować. Umierałam z chęci zobaczenia mojej córki. Pierwszy wysiadł Jim, potem otworzyły się drzwiczki od strony pasażera. Była spowita w czerń. Czarne skórzane spodnie, długi czarny płaszcz, czarny obcisły podarty T - shirt. Jej piękne jasne włosy były czarne jak sadza. Makijażem mogłaby przebić perkusistę Kiss. Stałam sparaliżowana z przerażenia, a ona podeszła i obojętnie mnie uścisnęła. Zobaczyłam kolczyki i tatuaże. Wyminęła mnie i weszła do domu, po czym z salonu dobiegł jej głos, który był prawdziwym zgrzytem dla mojego i tak już przeciążonego systemu nerwowego:

- Hej, mam, i to tyle? Ludzie, co za nora.

17. Kim jest ta dziewczyna?

Powrót Emily do domu nie przebiegł zgodnie z planem. Jim ujął mnie pod ramię i poprowadził do domu.

- Ani słowa - powiedział.

- Czyli mam z nią rozmawiać, dopiero jak ją zabije?

- To taki okres, nic więcej. Przeżywa spóźniony bunt. Nasza piękna

Emily wciąż jest tam w środku.

Znalazłam ją w jej pokoju, stała na środku i rozglądała się z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Zachwiałam się na nogach, usiłując sobie przypomnieć, co poradniki dla rodziców zalecają w podobnej sytuacji. Postanowiłam zachować spokój i zachowywać się tak, jakby Emily wyglądała jak harcerka.

- To poważny problem - oznajmiła. - Na pościeli jest tyle słodkich kwiatków, że mogłabym umrzeć na atak alergii, rozumiesz? Dostać astmy!

- No to proponuję, żebyś znalazła sobie pracę na lato, a za zarobione pieniądze kupiła to, co ci odpowiada. Zrobiłam, co mogłam.

- Tak, byłoby okay, gdybym miała dwanaście lat. Ale to jest do dupy, mam, naprawdę!

Była w domu dopiero od jakichś pięciu minut, a ja już tak się wściekłam, że miałam ochotę dać jej po buzi. Jim przyniósł torby Emily i rzucił na łóżko.

- Nie ma jak w domu. Twoja mama zadała sobie wiele trudu, panienko. Sugeruję, żebyś okazała jej odrobinę wdzięczności - powiedział i zostawił nas same.

- Może się teraz rozpakujesz, Emily? Aha, i nie wychodź z tego pokoju, póki nie będziesz przypominała cywilizowanego człowieka.

- Jasne. Niech będzie.

I trzasnęła drzwiami. Nie mogę na to pozwolić. Pobiegnę do telefonu, żeby powiadomić tatę, że lunch zjemy później. Nie odbierał, pewnie już był w drodze.

- Do kogo dzwonicz? - zapytał Jim, wnosząc zakupy. - Mam pięć funtów krewetek od Simmonsa, sałatkę coleslaw, czerwony ryż i chleb kukurydziany z Prosiaka. A także trzy butelki zabawnego Sauvignon Blanc, które na pewno podniosą cię na duchu... - Mówił tak, jakby nic się nie stało.

Spojrzał na mnie i z wyrazu mojej twarzy odgadł, że jestem wściekła.

- Okay - dodał - porozmawiam z nią. Ale są inne złe wieści. Trixie powiedziała, że wpadnie zobaczyć się z Emily.

- Zaraz zwymiotuję - odparłam. - Idę zabić tego wampira w pokoju mojej córki, a potem zwymiotuję.

- Poczekaj, zobaczymy, co mnie się uda zrobić. A ty weź głęboki oddech i nakryj do stołu.

Nastawiłam garnek z wodą, do którego wrzuciłam pół cytryny, łyżkę stołową suszonej gorczycy i woreczek z przyprawami Old Bay. Jakiś czas potrwa, nim woda się zagotuje, choć ja osiągnęłam poziom wrzenia

silników promu kosmicznego Columbia. Usłyszałam trzask samochodowych drzwiczek. Po kilku minutach tata, Lucy i Trixie byli w moim salonie.

- Anno, gdzie jesteś, kochanie?

- Co za śliczny dom! Przypomina słodki domek dla lalek.

- Cudne te półki na książki, prawda?

Tato zajął do kuchni.

- Gdzie Emily?

Na razie nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Stałam tylko i oblewałam się potem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Emily jest w swoim pokoju. Rozmawia z Jimem. Lepiej się przygotuj.

- Aha. - Wyjął z szafki szklanek i nalał sobie herbaty. - Masz cytrynę?

- Jasne. - Podałam mu cytrynę i nóż. - Ona... eee... zmieniła się.

I zostawiłam go w kuchni, żeby się przywitać z Trixie i Lucy.

- Anno! Kochanie! - Trixie ścisnęła mnie tak, jakbyśmy się nie widziały od wieków. - Gdzie jest nasza dziewczynka? Nie mogę się doczekać...

- Trixie, czeka nas długie i gorące lato.

Minęło pół godziny, wymieniono mnóstwo uwag o niczym, a po Emily i Jimie słuch zaginął. Lucy pomogła mi nakryć do stołu, ja chyba z pięćdziesiąt razy sprawdzałam wodę. Lucy trajkotała jak nakręcona i pilnowała, żeby kieliszek z winem Trixie był pełny. Wreszcie pojawił się Jim.

- Cześć, mamó. - Pocałował Trixie w policzek. - Witam, doktorze Lutz. - Uścisnął dłoń taty.

- No i? - zapytałam.

- Siadajmy do stołu. Ona nie jest głodna.

- Tak? Myślałam, że przynajmniej przyjdzie się przywitać - zauważyła Trixie. Nie znano jej skłonności do upijania się, za to komentarze cieszyły się powszechną stawą. A im więcej piła, tym więcej komentowała.

- Przyjdzie, mamó - powiedział Jim. - Kończy się rozpakowywać. - Dał mi znak, poszłam więc za nim do kuchni.

- Wiecie, regularnie posyłam jej pieniądze! - mówiła Trixie. - Nie było miesiąca, żeby nie dostała ode mnie czeku na pokaźną sumkę! Przysięgam, wygląda na to, że ja tylko daję i daję.

- Wiem, jak pani się czuje. - W głosie Lucy zabrzmiała jakaś tęskna

nutka.

- No, no, drogie panie, nie wątpię, że jesteście bardziej doceniane, niż wam się wydaje.

Sprawdzając wodę, mogłam myśleć tylko o tym, że tacie na pewno nie zależy na tym, żeby Lucy przestała dawać. Woda bulgotała, włożyłam więc do środka krewetki i zdjęłam garnek z pieca, tak by doszły w wolniutko stygnącym wrzątku.

Odwróciłam się do Jima.

- Słucham.

- Oznajmiła, że nie potrzebuje twojej cholernej łaski, że mogła zostać w Waszyngtonie na lato i mieszkać u Frannie, która najwyraźniej pomogła jej kupić całą tę pogrzebową garderobę.

- Ślicznie. Dzięki, Frannie. I co?

- Odparłem, że jeśli chce tak wyglądać, to jej sprawa, ale w San Francisco od lat nikt tak się nie ubiera. Powiedziałem: „Słuchaj, złotko, cały ten gotyk jest passe i finito”. To ją okropnie wkurzyło. „Co ty tam wiesz” - usłyszałem. Odparłem, że wiem bardzo dużo, a jeśli ona chce przez całe lato ze wszystkimi się kłócić, to świetnie, choć myślałem, że stać ją na coś więcej niż nadęta mina i szukanie dziury w całym.

- I co?

- Zejdzie za kilka minut. Powiedziałem, żeby włożyła coś lżejszego. Do diabła! Musi jej być goręcej niż dwóm szczurom parzącym się w wełnianej skarpetce! Skórzane

spodnie w czerwcu? Fuj! Kupka spoconego nieszczęścia! - Jim wziął papierowy ręcznik i otarł pot z czoła. -

Wiesz, bycie rodzicem nie jest wcale takie łatwe.

- Na pewno nie. Dzięki, Jim. Szczury w wełnianej skarpecie?

- Tak! Nie ma za co, zawsze możesz na mnie liczyć. Należę wszystkim wina, dobrze? - Zabrał butelkę i korkociąg do salonu, gdzie wszyscy rozmawiali, jakby życie było doskonałe, a w sypialni nie czał się potwór. - Dobre wino pomaga znosić wielkie tragedie.

- Wyobrażam sobie - odparłam.

- Potrzeba nam trochę muzyki! - usłyszałam głos Lucy. Minutę później ozwała się płyta „Sunday Brunch”, którą kupiłam u Williamsa - Sonomy na King Street. Byłam stara czy co? Osiągnęłam etap kupowania płyt u Williamsa - Sonomy. Gorzej, one mi się podobały.

Odcedziłam krewetki i ułożyłam na największej tacy, obok umieściłam miskę koktajlowego sosu i cząstki cytryny.

- Jedzmy, proszę - powiedziałam.

- A Emily? - zapytał tato.

- Już schodzę! - zawołała ze swojego pokoju.

Mam być szczerą? Dom jest mały, ściany cienkie, można wręcz usłyszeć, jak ktoś w myślach zmienia zdanie.

Zgromadziliśmy się wokół stołu, który mieścił akurat sześć siedzących ciasno osób.

- Och, po prostu boskie! - zawołała Trixie. - Och! Mam przynieść swój kieliszek?

Nie, kelner przyniesie.

- Tak, proszę - odparłam. - Siadajmy.

Tatuś zajął miejsce u szczytu stołu, przy ścianie, Lucy po jego lewej, a Trixie po prawej ręce. Jim usiadł na lewo ode mnie, krzesło na prawo przeznaczone było dla Emily. Już miałam zaproponować wzniesienie toastu, kiedy się pojawiła. Dzięki Bogu, włożyła obcisłe spodnie i ciemną bawełnianą bluzę z długimi rękawami, które zakrywały tatuaże. Włosy związała w koński ogon. Nadal były czarne, ale przynajmniej nie spadały jej na twarz w ohydnych strąkach.

- Siadaj, kochanie - zachęciłam.

Nie miałam zbyt wielkich nadziei co do tego posiłku.

- Cześć wszystkim - przywitała się Emily. W jej głosie nie było cienia entuzjazmu.

- Na Boga, co się stało z twoimi włosami?

- To taka płukanka, babuniu. Nie stresuj się.

Trixie najeżyła się i popatrzyła na mnie z oburzeniem. Lucy przedstawiła się Emily, ta zaś parsknęła drwiąco: - Fiu!

To było tak, jakby powiedziała: No, wspaniale. Nowa przyjaciółka mamy jest striptizerką.

- Emily, proszę, nie nazywaj Trixie babunią i nie mów jej, jak ma sobie radzić z szokiem na widok twoich włosów. Nagle stały się czarne.

- Dobrze. Przepraszam, babciu. Tylko że niedobrze mi się robi od tych wszystkich ludzi, którzy mi mówią, jak mam wyglądać. Włosy to moja sprawa, no nie?

- Tak - odparła Trixie - ale masz taki śliczny naturalny blond. Zapytaj mamy, kobiety wydają fortunę, żeby być blondynkami.

- Dzięki Bogu - powiedziałam. Postanowiłam za wszelką cenę zmienić temat, bo nie zamierzałam poświęcić całego dnia na omawianie z Trixie, co też Emily zrobiła ze sobą i swoim wyglądem. - Teraz wygłoszę toast.

Chcę podziękować tacie za pomoc przy przeprowadzce. I Lucy za

ogromną pomoc przy założeniu firmy...

- Co? - wtrąciła Trixie.

- W poniedziałek otwiera swój salon! - wypaliła Lucy. - Cudownie, nie?

- I Jimowi za to, że jest najlepszym przyjacielem na całym świecie i że robi dla mnie więcej, niż ośmieliłabym się poprosić...

- E tam - mruknął Jim.

- Twój salon? - zapytała Trixie. - Ale jak... to znaczy skąd wzięłaś...

Lucy wyjęła z kieszeni wizytownik i podała jedną karteczkę Trixie.

- Zrobiłam je na laptopie.

- Fajne - skomentowała Emily obojętnie i sięgnęła przez stół po kukurydziany chleb, który stał przed tatą.

Przy tym ruchu nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności rękawy jej bluzy zsunęły się i odsłoniły skomplikowany wzór na przegubie, przywodzący na myśl wymyślne, ażurowe żeliwne bramy w historycznych dzielnicach Charlestonu. Tata wstrzymał oddech, Trixie krzyknęła, a ja zerwałam się na równe nogi.

- W porządku - rzuciłam, kompletnie nie mając pojęcia, co powiem dalej, póki nie spojrzałam Emily w twarz.

Po jej ustach błąkał się pełen wyższości uśmiezek. Jeśli czegoś nie znosiłam, to takiego uśmiešku w wykonaniu mojej jedynaczki. Nie uśmiechaj się tak do mnie, do lustra ani do innej osoby. To zakazane. Czy ona myśli, że wygrała konkurs na to, kto najbardziej przerazi swoją rodzinę?

- Emily! Chodź ze mną!

- Co? - Nie poruszyła się. Prychała tylko i przewracała oczyma.

Wszyscy przestali jeść i utkwili w niej wzrok, czekając, aż wstanie z krzesła. Wreszcie odłożyła serwetkę, podniosła się i poszła za mną na tylne podwórko. Zatrzymałam się przy szopie i odwróciłam do niej. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i głową przekrzywioną na bok.

- Co się z tobą dzieje? - Nic!

- Emily, coś ci powiem. Jestem gotowa zachować zdrowy rozsądek, ale ty najwyraźniej nie. Rozumiem, że przyjechałaś z akademika, gdzie masz mnóstwo swobody. Nasz dom to nie akademik. Wiem, że jest mały, i mogę zrozumieć, dlaczego nie podoba ci się pościel. Zmieniłaś się.

Przez cały czas, kiedy mówiłam, Emily patrzyła na plażę widoczną za domem panny Mavis; dopiero teraz zorientowała się, jak to blisko. Wbrew sobie złagodniała odrobinę.

- Tak. Właściwie jestem już dorosła. Przez rok żyłam samodzielnie i

robiłam, co chciałam.

- O, a płacisz wszystkie swoje rachunki?

Jej głowa obróciła się w moją stronę jak u demona z filmu o opętaniu.

- Neeee! Przecież wiesz, że nie!

- Mów ciszej! - Sama też zniżyłam głos. Przed oczyma przemknęła mi wizja sióstr Wścibskich oraz moich gości, którzy z uszami przyklejonymi do okien próbują coś usłyszeć. - Jeśli nie płacisz za siebie, nie jesteś samodzielna. Zresztą płacenie rachunków to tylko drobna część dorosłości. Cała reszta w istocie polega na tym, jak się zachowujesz.

- Mogę już iść?

- Nie, nie możesz! Nie pójdziesz, dopóki mi nie po - wiesz, co się z tobą dzieje! Dlaczego jesteś taka wściekła?

- Nie jestem wściekła!

- Okay, przypiszę twoje wkurzenie zmęczeniu po podróży. Ja też jestem zmęczona. Wczoraj wieczorem wyszłam i trochę zabalowałam. - W głowie znowu zaczęło mi dudnić.

- Wyszłaś? Zabalowałaś?

- Tak - potwierdziłam, dostrzegając wyraz niedowierzania na jej twarzy. - Ściślej rzecz biorąc, poszłam na kolację z Jimem i widziałam tam tego faceta, którego spotkałam wcześniej i z którym umówiłam się na jutro.

- Cholera jasna! A to dobre! Wracam do domu, a ciebie wcale tu nie będzie! Po co w ogóle przyjeżdżałam?

- Co takiego? - O co jej chodzi?

- No, mogłam zostać w Waszyngtonie, znaleźć pracę w Gapie. Mieszkałabym u Frannie i świetnie się bawiła. Ale nie! Zaczęłam myśleć, że pewnie jesteś samotna i bardzo mnie potrzebujesz. Przyjeżdżam, a w domu roi się od tych wszystkich ludzi i ty masz własne plany. Wiesz co? Powinnam była zostać przy moich!

W jej słowach nagle uderzyło mnie to, że myśli o mnie jak o pomarszczonej starusze, która nie ma żadnego życia osobistego. Czy chce powiedzieć, że robi mi łaskę, bo raczy spędzić w domu lato? O nie, na to nie pozwolę, pomyślałam.

- Emily, od czasu do czasu musisz stawiać się na kontrolę. Jeszcze nie jesteś dorosła, więc nadal mam obowiązek sprawdzać, czy nie stałaś się narkomanką albo alkoholiczką i czy stan twojego zdrowia nie budzi zastrzeżeń. A także omawiać twoje postępy w nauce. I co ja widzę? Moja piękna córka wybrała się do piekła na zakupy i wygląda jak postać ze „Studni i wahadła”. Masz fatalnie ufarbowane włosy, a nie zapominaj, że

to akurat potrafię ocenić.

- Mnie się podobają.

- A mnie nie! Masz po cztery dziury w każdym uchu jedną w brwi i Bóg wie ile w innych miejscach. To też nie bardzo mi się podoba, ale naprawdę martwię się tatuażami. Dostaję na ich widok dreszczy, jak lubisz powtarzać. I co zamierzasz z nimi zrobić, kiedy będziesz miała pięćdziesiąt lat? Nie sądzisz, że wytatuowane pięćdziesięcioletnie kobiety są dość odrażające?

- Henna.

- Słucham?

- To jest namalowane henną, schodzi po kilku tygodniach. Każdy ma takie tatuaże.

- W klubie jachtowym babci nie znajdziesz nikogo z tatuażem, to mogę ci zagwarantować.

- Tak, ale oni wszyscy i tak stoją już nad grobem. Nuudziarze!

Zgadzałam się z nią, ale nie zamierzałam przyznać tego głośno. Klub jachtowy znany był z podeszłego wieku swoich członków oraz niepisanej księgi zasad. Było ich mnóstwo, dotyczyły tego, kto może wstąpić do klubu, jakie stroje są dozwolone, kto w które dni może jeść w której jadalni - Chryste, nawet gdybym miała wszystkie pieniądze Donalda Trumpa i Billa Gatesa i była właścicielką wielkiej łodzi, w życiu nie chciałabym zaprzętać sobie głowy podobnymi bzdurami. Zawsze uważałam, że ludzie po to zakładają kluby, żeby całą resztę trzymać na dystans. Czasami nie. W tamtej chwili jednak nic mnie nie obchodziły kluby jachtowe. Myślałam o niezadowoleniu Emily.

- Powiedz, ten dom naprawdę tak ci się nie podoba?

- Jest mały, ale chyba w porządku. Chodzi o to, że mój pokój wygląda tak, jakby miała w nim mieszkać jakaś trzylatka. Słuchaj, przepraszam, okay? Byłam spięta z powodu przyjazdu do nowego domu, którego nigdy nie widziałam. No i nie wiedziałam, po prostu nie miałam pojęcia...

- ...jak tu będzie?

- Tak.

- Możemy przemalować twój pokój.

- Zgoda.

- Wiesz, między innymi dlatego kupiłam ten dom, żebyśmy mogły pomalować sobie pokój na fioletowo, jeśli zechcemy.

- Niewielka zaleta.

- No to na kolor różu indyjskiego. Jeśli o mnie chodzi, możesz pomalować pokój na róż indyjski.

- Naprawdę?

- Oczywiście, fiolet i róż. Nie krępuj się. I wiesz co, teraz możemy sobie chodzić po domu w bieliźnie. Pomyśl o tym. Wiesz, że ja nigdy tego nie robiłam? Przez ponad trzydzieści lat byłam zapięta po szyję.

- Masz trzydzieści siedem lat! My po akademiku cały czas biegamy na wpół gołe!

Wyczuwałam, że zbliża się zawieszenie broni. Stałyśmy w to ciepłe popołudnie za domem, lekki wietrzyk chłodził nam skórę, i rozmawiałyśmy, na razie powściągając gniew. Przynajmniej miałyśmy jakiś punkt wyjścia.

- Słuchaj, Emily, zrobiłam, co mogłam. Mamy tu mieszkać razem. Ty tylko postaraj się być miła, zgoda?

- Tak, wiem.

- Kiedyś, w przyszłości, rozbuduję ten dom. Będzie jeszcze jedna sypialnia, wielka łazienka, gabinet i werandy na parterze i piętrze. Może też taras na dachu. Chyba śnię na jawie.

Emily przyglądała się domowi, długo i z namysłem, próbując dojrzeć możliwości, które ja widziałam. Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jej twarzy.

- To się może udać - orzekła.

- Wracajmy teraz do środka i bądźmy miłe, dobrze?

- Dobrze. Chryste, mamó, babcia jest okropną snobką, no nie?

- Złotko, w gruncie rzeczy sympatyczna z niej kobieta. To znaczy jest trochę sztywna, ale ma dobre chęci.

- Nigdy nie będę taka jak ona.

- Ja też nie - odparłam i objęłam córkę. Do domu wróciłyśmy ramię przy ramieniu.

Z nagle ożywionej paplaniny o niczym wyraźnie wynikało, że goście rozmawiali o Emily i zastanawiali się, jak też poradzę sobie z jej niewyparzoną buzią. Nic im nie powiedziałam, co przypuszczalnie bardzo ich rozczarowało. Obie z Emily usiadłyśmy i zabrałyśmy się do krewetek.

- W porządku, dziewczęta? - zapytał tata.

- Tak - potwierdziłam. - Co nas ominęło? Ominęło nas kazanie Trixie.

- Przede wszystkim w głowie mi się nie mieści, że się z nami nie przywitałaś! To było takie niegrzeczne! I ten twój wygląd, Emily! Jest... jest okropny! Musisz coś z tym zrobić! Nie możesz tak paradować po Charlestonie! I te tatuaże... wybaczn, moja droga, że to mówię, ale są okropnie niegustowne, w złym smaku!

Emily nie wytrzymała. Walnęła pięścią w stół i zapytała bez ogródek:

- Dlaczego nie możesz zachować swoich opinii dla siebie? I czemu jest to dla ciebie aż taki problem?

Nie trzeba dodawać, że przy stole zapadła kompletna cisza.

- Przepraszam, babciu, ale to prawda - dodała Emily dziwnie spokojnym głosem.

Nikt się nie odezwał. Jim nie kazał Emily przeprosić Trixie. Ani ja, ani tata. Lucy wciąż przetrawiała to, co się stało. Trixie, zaczerwieniona i zła, prychnęła, zaraz jednak odzyskała panowanie nad sobą. Spokojnie odłożyła serwetkę i podniosła się z miejsca.

- Dziękuję za lunch, Anno, miło było znowu się z tobą widzieć. Douglas, Lucy, z wami też.

Jim poszedł odprowadzić matkę do samochodu. Emily zgarbiła się na krześle. W krępującej ciszy tata, Lucy i ja nałożyliśmy sobie jeszcze krewetek na talerze.

Jim nie wracał. Uznałam, że zbyt długo cierpi samotnie. Wstałam, by ruszyć mu z odsieczą.

- To wiedźma z piekła rodem! - szepnęła Lucy. - Ratuj Jima.

- Powodzenia - dodał tatuś.

Trixie w końcu odsłoniła swoją wstrętą naturę, którą ja dobrze zdażyłam poznać - w tym punkcie wszyscy się zgadzali. Kiedy wyszłam na dwór, siedziała za kierownicą jaguara kabrioleta i płakała, Jim natomiast stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach i kręcąc głową, mówił do niej:

- Mamo, nie możesz przychodzić do Anny i mówić jej córce, że jest okropna! Dlaczego tak trudno ci to zrozumieć? Emily robi to po to, żeby zmanifestować swoją niezależność.

- Henna - powiedziałam. Co? Co?

- Te tatuaże są malowane henną i schodzą po kilku tygodniach.

- Ale jej włosy! - wykrzyknęła Trixie. - I to, jak się do mnie odzywała! W całym moim życiu...

- Trixie, przyłożyłaś jej solidnie, a potem oczekiwałaś, że nie będzie się bronić? To nie fair.

Trixie włączyła silnik i popatrzyła na mnie.

- Posunęłaś się za daleko, Anno.

- Skoro tak twierdzisz - odparłam najbardziej obojętnym tonem, na jaki było mnie stać.

- Nie spodziewaj się, że będę wspierała twój salon!

- Niczego się nie spodziewam, Trixie. Do zobaczenia.

Odwróciłam się i wróciłam do domu. Ku memu zaskoczeniu, cały ten

incydent nawet mi się podobał; był kolejnym potwierdzeniem, że postąpiłam słusznie, kupując ten cholerny dom. Dystans, o to chodziło.

18. Uniki

I co, jestem załatwiona do końca życia? Bo jeśli tak, to to jest bardzo nie w porządku!

Jim i ja spojrzeliśmy po sobie. Myślałam, że będzie się pakować, żeby uciec z domu, ale pomagała tacie i Lucy sprzątać ze stołu. Ściślej rzecz biorąc, stała w drzwiach ze stosem brudnych talerzy w ręce i czekała na nasz powrót. I - zważywszy na okoliczności - była odpowiednio wystraszona. Tata i Lucy krzętałi się w kuchni. O ile znałam własnego ojca, miał ręce po łokcie zanurzone w mydlinach i nasłuchiwał każdego słowa.

- Wręcz przeciwnie - powiedział Jim - to znaczy, jeżeli moje zdanie liczy się jeszcze w tym domu. Mama bywa nie do zniesienia i to rozumiałe, że jej słowa cię zdenerwowały.

- Z drugiej strony, widzę jasno, że dawno nadszedł czas na lekcje kindersztuby. W takim razie zacniemy od zasady numer jeden, obowiązującej w stosunkach ze starszymi osobami.

- Daj spokój, mamó, mówisz poważnie? - Jak najpoważniej.

- Mamó!

- Słuchaj matki - doradził Jim.

- Zasada pierwsza: kiedy starsze kobiety okazują się wrednymi jędzami, nie atakujemy ich, skoro i tak nikt nawet ostatni dureń, nie słucha tego, co gadają.

- Mamó, wiem, że masz rację! Ale to było takie nieprzyjemne! - Emily wzięła głęboki oddech. - Okay, wszystko to wiem, ale po prostu się wściekłam.

- Słowne atakowanie wrednych jędz jest bardzo niegrzeczne - dodał Jim.

- Nie potrafię zrozumieć, jak możecie spokojnie siedzieć, pozwalać, by gadała, co jej ślina na język przyniesie, i przyjmować to za dobrą monetę!

- Zrozumiesz, jak dorośniesz - odparłam. - Rozeznanie, które bitwy warto toczyć, to część dojrzałości.

- Nie! No dobrze! Może powodem jest to, że w Waszyngtonie żyję w stanie wiecznego napięcia? Po prostu nie mogłam się opanować!

- Tak, to się każdemu zdarza. Musisz przeprosić Trixie, Emily. Nie możesz tak się do niej odnosić. Ona zawsze dobrze cię traktowała. Zgadzasz się?

- Zgadzą. Dobrze. Cholera. Dobrze.

- Teraz.

- A nie mogę zrobić tego jutro? Jestem wykończona i nie mam ochoty drugi raz przez to przechodzić.

- Zadzwoń do mojej matki teraz, Emily, zanim dojedzie do domu, i zostaw jej wiadomość na sekretarce. - Jim uśmiechnął się do nas. - Boże, ale jestem mądry, no nie?

- Prawdziwy geniusz z ciebie, chłopczyku. Chodźmy wreszcie do kuchni.

- Zaraz do was dołączę - powiedziała Emily. - Boże, nie cierpię tego robić!

Emily zadzwoniła, my stłoczyliśmy się w piątkę w kuchni i posłaliśmy Trixie tam, gdzie jej miejsce - wyrzuciliśmy ją z naszych myśli.

Podsumowując: Lucy słowem nie skomentowała incydentu. Tata powiedział tylko:

- Rozumiem, że trudno ci było utrzymać język za zębami, ale na pewno razem z mamą jakoś to rozwiążecie. Ona też musiała przełknąć kilka gorzkich lekcji.

Nie rozwodził się, to pewne.

Wszyscy chwalili krewetki, cieszyli się ze spotkania i kręcili głową nad zachowaniem Trixie.

Wieczorem mieliśmy u Lucy podziwiać kolejny wspaniały zachód słońca pędzla matki natury. Emily i ja dalej rozmawiałyśmy o Trixie, więc pozostała trójka na razie poszła na taras bez nas.

- Tylko się pośpieszcie, bo wszystko was ominie! - ostrzegła na odchodnym Lucy.

- Ja idę z Lucy - oznajmił Jim. Zadzwoił telefon. To była żona Szatana.

- Chciałabym rozmawiać z Emily.

Podaliśmy córce telefon i obie się skrzywiłyśmy, z tonu głosu wnioskując, że zaraz rozpęta się piekło.

- Cześć, babciu. - Milczenie. - Tak. - Milczenie. - Przeprosiłam, prawda? - Milczenie.

Nie potrafiłam tego znieść. Chciałam wyrwać słuchawkę z rąk córki i powiedzieć Trixie, żeby się odczepiła. Zamiast tego jednak wyszłam, żeby nie wisieć nad Emily, choć byłam ciekawa, jak sobie poradzi z Trixie. Przeczekałam w łazience kilka minut, a kiedy znów się pojawiłam, z pokoju Emily dobiegał płacz.

- Co się stało?

Emily leżała na łóżku i szlochała. Nie odpowiadała, więc usiadłam obok i zagadnęłam ją ponownie.

- No, dziecinko, powiedz mamie. - Pochyliłam się i podrapałam ją po plecach. - Co ci mówiła?

- Och, mamie! To najbardziej podła, najwstrętniejsza jędba na całym świecie!

- Nic o tym nie wiem. Mam własną listę, rozumiesz.

- Och, Boże! Zabijesz mnie!

- Nic takiego bym nie zrobiła. Mogę zmyć to świństwo z twoich włosów i wyszorować papierem ściernym tatuaże, ale mordować cię? Nigdy.

- Powiedziała, że nie zobaczę więcej ani grosza, mamie. Wiem, wiem... nie mamy za wiele pieniędzy...

- Tak ci powiedziała? - Tak.

Trixie nie miała żadnego prawa wymierzać Emily tego rodzaju psychicznej kary. Powinna była porozmawiać ze mną i pozwolić, żebym jakoś tę sprawę rozwiązała. Ale nie, ona chciała, żeby Emily się martwiła i cierpiała. Udało jej się. Chwilowo.

- No to pieprzyć ją.

No i znowu wracamy do mojej teorii o przyjmowaniu pieniędzy od innych ludzi. Zawsze wracają, żeby ugryźć cię w tyłek.

- Mówisz poważnie?

- Tak. Słuchaj, Emily, kiedy ktoś daje ci takie czekie, to jest prezent. A ludzie nie powinni dawać prezentów ze sznurkami.

- Co w normalnym języku znaczy...

- Że do tego prezentu przyczepiono coś jeszcze. Zwykle są to jakieś oczekiwania względem ciebie.

- Och, a babcia oczekiwała, że urządzi mi bal debiutancki?

- Chyba tak! Jeśli naprawdę chcesz ją rozzłościć, to wyślij jej miły liścik z podziękowaniem i wyrazami wdzięczności za wszystko, co dla ciebie zrobiła.

- Tak! „Droga babciu, spadaj!”.

- No, to nie jest najgorsze, ale miałam na myśli coś sprytniejszego, na przykład: „Zrozumiem, jeśli nie zechcesz lub nie będziesz mogła mi pomóc, i bardzo Ci dziękuję za wszystko, co dotychczas dla mnie zrobiłaś”. To trafi ją celniej niż cokolwiek innego.

W końcu Emily usiadła i wzięła ode mnie chusteczkę. Wytarła nos.

- Zabić ją grzecznością, co?

- Właśnie! Kiedyś, gdy już obie będziemy staruszkami, opowiem ci

kilka historii, od których włosy stają dęba na głowie.

- Opowiedz mi teraz!

- Wykluczone! Na razie jesteś zanadto nieprzewidywalna! Jeszcze wykorzystasz to przeciwko mnie w sądzie albo coś w tym rodzaju!

Uśmiechnęłyśmy się do siebie i uścisnęły serdecznie. Gdybym zamknęła oczy, zobaczyłabym małą dziewczynkę, która mocno się do mnie tuli; czasami myślałam, że nigdy mnie nie puści. Może dlatego zrobiła ze sobą to wszystko - bo próbowała się oderwać. Zastanawiałam się, dlaczego młodzi ludzie nie idą po prostu własną drogą, tylko muszą wszystkich odpychać. Nie obchodziło mnie, czy włosy ma fioletowe, a tatuaże prawdziwe, bo wciąż była moją córką i kochałam ją bez pamięci.

- Wiesz co, serduszek? - Co?

- Postarajmy się, żeby to lato było piękne. Wiesz, będziemy musiały się zastanowić, jak sobie poradzimy bez pieniędzy Trixie. Przypuszczam, że ja będę musiała ostrzyć kilka głów więcej, a ty znaleźć sobie pracę.

- To mogę zrobić. Tylko że nie wiem, co właściwie potrafię.

- Jutro przejrzymy ogłoszenia. A teraz chodźmy podziwiać zachód słońca i wesprzeć Jima w roli przyzwoitki Doktora i Lucy.

Wstałam, Emily sturlała się z łóżka i poszła za mną do kuchni. Zapaliłam kilka świateł, żebyśmy nie wracały do ciemnego domu. Stare przyzwyczajenie - niech rabusie myślą, że jesteś w domu. Tak jakbyśmy miały coś godnego kradzieży!

- Hej, mamó, dobrze, że o tym wspomniałaś. Co się dzieje? Czy on, to znaczy oni, no wiesz, chodzą ze sobą?

- Trudno powiedzieć. Tak mi się wydaje. Zamknij na klucz kuchenne drzwi.

- Dobra.

- Ale na razie nigdzie jej nie zaprosił, przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Myślę, że tata jest zbyt nieśmiały.

- A może nie chce się pokazywać publicznie z podstarzałą Britney Spears.

- Nie wiem, kto to taki.

- Boże, mamó! Nie oglądasz telewizji?

- Oglądam, od rana do wieczora.

- Możesz sobie mówić, co chcesz, ale o mdłości przyprawia mnie myśl, że dziadek ma dziewczynę, która w dodatku tak wygląda!

- Spokojnie, kochanie. Stara Lucy ma złote serce. Sama się przekonasz. Tylko daj jej czas.

Następnych kilka godzin spędziliśmy u Lucy, śmiejąc się i pijąc

mrożone drinki. Nie minęło wiele czasu, a Emily zaczęła zmieniać zdanie o Lucy. Kiedy słońce zniknęło za horyzontem, zeszliśmy z dachu do kuchni, żeby na kolację ugotować makaron. Siekałam cebule, czosnek szklął się na patelni. Jim otworzył trzy wielkie puszkę pomidorów, po czym niewielkim narzędziem, przypominającym zakrzywione ostrze, pokawałkował je w misce.

- Hej, Lucy, jak się ten przedmiot nazywa? - zapytał.

- Tasak do pomidorów.

- Po co w ogóle pytałem? - Jim roześmiał się, a ja pokręciłam głową.

Zgarnęłam cebule z deski na patelnię i po kilku minutach w całym pomieszczeniu unosił się cudowny zapach. Lucy siedziała przed swoim laptopem.

- Chodź tu, złotko, pokażę ci coś.

- Co? - zapytała Emily.

- To grupa dyskusyjna University of South Carolina.

- Fiu! Niezła.

- No nie? - Lucy zachichotała.

Podeszłam, żeby też zobaczyć. Na ekranie prezentowali się przystojni młodzi ludzie, wszyscy śmiertelnie poważni. Lucy pokazała palcem szczególnie urodziwego młodzieńca, który wyglądał jak model. Miał gęste jasne włosy i przenikliwe spojrzenie. Nie wiem, czy ktoś poza Lucy dalej mówi „byczek”, ale do niego pasowało to jak ulał.

- Widzisz tego przystojniaka? To mój siostrzeniec David. Spędzi u mnie lato. Będzie tu jutro, nie wiem dokładnie, o której. Jedzie z Columbii ze wszystkimi rzeczami.

- O mój Boże.

- Moja siostra mieszka w Greenville. David nie zna tu zbyt wielu osób w swoim wieku. Mogłabyś pomóc mi go rozerwać?

- O mój Boże.

Tyle tylko Emily powiedziała na temat Davida, a przez resztę wieczoru była bardzo cicha. Zjedliśmy kolację i pomogliśmy Lucy pozmywać. W stosownej chwili, we troje, ja z Emily i Jimem, podziękowaliśmy i wyszli, zostawiając tatę i Lucy samych.

- I co, Anno, myślisz, że oni, no wiesz, ruszą do akcji? - Jim!

Emily wybuchnęła śmiechem, a ja zaczęłam gonić Jima dookoła podwórka, udając, że chcę go zbić.

- Obrzydliwiec! Jesteś wstrętny, ot co!

- Em! Pomóż swojemu staruszkowi!

- Licz na siebie!

W końcu daliśmy spokój i zadyszani weszliśmy do domu. Jim wpatrywał się w kanapę. Wiedział, że będzie musiał spędzić na niej noc. Emily stała obok mnie.

- W porządku - odezwała się - weź mój pokój. Ja będę spała z mamą. Jim uściskał ją z całej siły.

- Dziękuję ci, dziecko! Dziękuję! Moje plecy uratowane!

- Co chcesz przez to powiedzieć? Piętnaście lat temu zapłaciliśmy za nią dwieście dolarów, nie pamiętasz?

- O tym ani słowa - odparł Jim. - A kanapa należała do markiza de Sade'a.

- Nie ma na tym świecie udanej transakcji, w której mama nie maczałaby palców.

Życzyliśmy sobie dobrej nocy i wreszcie zgasiliśmy światło koło łóżka. Emily i ja leżałyśmy w kompletnej ciemności.

- Wieczorem było fajnie - powiedziała.

- Tak.

- I co sądzisz o tym smarkaczu Davidzie?

- Wygląd ma dość konserwatywny, ale jest bardzo przystojny. A ty co myślisz?

- Najpewniej dupek. No wiesz, grupa dyskusyjna? Litości!

- Musisz mówić „duppek”?

- Muszę.

No to mów. Przynajmniej zwierzała mi się z tego, co o nim myśli. Ja z kolei postanowiłam zwierzyć się jej z tego, co mnie niepokoiło.

- Jutro przychodzi do nas Arthur. Co mam włożyć? - W gruncie rzeczy wcale nie dręczyła mnie sprawa ubioru, tylko jego przyjścia.

- Prześpij się, mamo. Chyba nie chcesz wyglądać jak stara, zmęczona baba.

- Och, bardzo ci dziękuję.

Zamilkłyśmy. Mnóstwo myśli chodziło mi po głowie, ale byłam taka śpiąca, że oczy same mi się zamykały. Akurat kiedy zaczęłam odpływać w sen, Emily znowu się odezwała:

- Mamo?

- Tak? - Wcale nie chciałam się budzić.

- Czy Jim to mój prawdziwy ojciec? Bo on wygląda przecież jak skończony gej. Zawsze taki był? To znaczy, czy wy, no wiesz...

W ciemności otworzyłam szeroko oczy. W pierwszej chwili nie wiedziałam, czy nie byłoby najlepiej udawać, że śpię. Zdecydowałam się na unik.

- A cóż to za dziwaczne pytanie? Jim jest więcej niż twoim ojcem, tak samo jak jest więcej niż moim byłym mężem. A teraz bądź cicho, porozmawiamy jutro.

Cudownie. Po prostu wspaniale.

Wiedziałam, że po czymś takim szybko nie zasnę. Nie kłam. Niedobrze jest kłamać. Poczekalam, aż oddech Emily się wyrówna. Nie było słodszej rzeczy na całym świecie od córki przy moim boku. Odczuwałam ogromną ulgę, że ona po prostu... tu jest.

Nigdy nie zamierzałam ranić Emily zatajaniem przed nią prawdy. Nigdy nikogo nie zamierzałam ranić. Nie należałam do ludzi złośliwych. Tylko że nigdy jakoś nie było odpowiedniej chwili czy pretekstu, żeby jej o tym powiedzieć. Powinnam była przewidzieć, że nadejdzie dzień, kiedy sama zacznie zadawać pytania. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że dopisze nam szczęście i świat wiecznie będzie nas brał za typową rozwiedzioną parę. Bo tak o nas myślałam. Jednakże istniała pewna różnica. Jim zawsze dość otwarcie mówił o swoim życiu.

Rano przedyskutuję to z Jimem. W odpowiednim momencie, delikatnie, oboje w końcu wszystko jej powiemy. Przyszli mi na myśl adopcyjni rodzice. Moi rówieśnicy zwykle mówili dzieciom, że zostały adoptowane, w pewnym momencie dzieciom pozwalano, wręcz zachęcano je, by szukały swych biologicznych rodziców. Czy jednak istniał podręcznik uwzględniający nasz przypadek?

Postanowiłam, że się pomodłę. Modlitwa zawsze uspokaja mój umysł. Może nie chodzę do kościoła w każdą niedzielę, ale co wieczór szczerze się modłę. Tego wieczoru chciałam zapytać Najświętszą Panią, czy powiedziałaaby swemu jedynemu dziecku, że urodziło się w wyniku gwałtu. Przecież Emily przeżywa trudny okres. Przyjechała do domu taka zła, gotowa z każdym o byle co się kłócić. Napadła na babkę w upokarzającej kłótni i straciła nie tylko panowanie nad sobą, ale i wsparcie finansowe. A uwagi Emily na temat siostrzeńca Lucy dowodziły niepewności dziewczyny wobec osobników płci przeciwnej.

Naprawdę jednak liczyło się jedno: moja dziewczynka wróciła do domu, leżała obok mnie i spokojnie spała. Wiedziała, że jest bezpieczna. A ja wiedziałam, co zrobić. Czasami fakty są zbyt brutalne. Będę chroniła ją przed prawdą tak długo, jak tylko się da.

19. Mavis i Angel konferują

Obserwowałam ten dom przez cały dzień. Działo się tam dość, by zaalarmować władze, bez dwóch zdań. Przez cały dzień zajeżdżały samochody, trzaskały drzwi, ludzie wrzeszczeli.

- Och! - Zaciągnęłam zasłony. - Mało brakowało, żeby mnie zobaczyła! Naprawdę mało! Angel? Jesteś tam? Anna z tą swoją córką szła do domu wiesz kogo.

- Nie, Mavis, właśnie się wybieram do Charlestonu poszukać facetów dla nas.

- Co? Nie rozumiem, co powiedziałaś. Chodź tutaj! Zawsze darła się jak nie wiem co, choć doskonale wiedziała, jak niegrzecznie jest krzyczeć przez zamknięte drzwi. Wreszcie się pojawiła, krocząc jak królowa.

- Jestem, Mavis. Co cię tak nakręciło?

- Nic mnie nie nakręciło! Popatrz przez okno i powiedz, co widzisz.

Stała przy oknie i wolno, bardzo wolno odciągnęła zasłonę, przez cały czas gapiąc się na mnie, jakbyśmy brały udział w zawodach, kto pierwszy mrugnie. Potem odwróciła się i powiodła wzrokiem od domu Anny do domu tej małej latawicy. Wystawiała na próbę moją cierpliwość, tyle ci mogę powiedzieć.

- Nic nie widzę, Mavis. Nic prócz gromady ludzi na tym wronim gnieździe Lucy.

- To taras, dobrze o tym wiesz.

- Myślę, że chcą obejrzeć zachód słońca. Coś w tym złego?

Cóż, wiedziałam, że w oglądaniu zachodu słońca nie ma nic złego.

- Na litość boską, Angel, chyba masz rację. W końcu Lucy wisi na ganku, odkąd ten ladaco, jej mąż, ją zostawił. Tylko się snuje i wypina tyłek! Ale masz rację, jestem zbyt krytyczna i chyba trochę wścibska. Nawet Maria Magdalena potrzebuje przyjaciół, prawda?

- Och! Jesteś wstrętna, Mavis!

Nagle ogarnęła mnie ochota, żeby też tam pójść, choć zdawałam sobie sprawę, że jestem zbyt słaba i nie pokonam tych wszystkich schodów. W pewnym wieku człowiek musi się wyrzec niektórych przyjemności dla własnego bezpieczeństwa. To też mnie irytowało.

- Doskonale! Moja matka zawsze powtarzała: pokaż mi swoich znajomych, a powiem ci, kim jesteś. Nie podoba mi się tylko, że Anna psuje sobie opinię, pokazując się w towarzystwie tej tam...

- Mów dalej, Mavis! Przecież nikogo poza nami nie obchodzi, z kim Anna się pokazuje! A poza tym jest dorosła! Dajże spokój! O co ci chodzi?

- Och, Angel, sama nie wiem. Pamiętasz, jak w zeszłą niedzielę rozmawialiśmy z nią o jej matce?

- Pamiętam. I pamiętam wyraz jej twarzy. Nie chciała słyszeć o tym, że jej mama mogła być uczciwą kobietą. Wcale nie! Człowiek zaczyna się

zastanawiać, jakimi bzdurami karmiono to dziecko przez całe życie, nie?

- I właśnie o to mi chodzi! Umarli nie mogą się bronić, a to, że jej matkę przyłapano z niewłaściwym kogutem, wcale nie znaczy, że była zła do szpiku kości.

- Masz rację, Mavis. Masz całkowitą rację!

- Nie pokazuj mnie palcem, Angel. To niegrzeczne. - Hm. Ja...

Chciała coś powiedzieć, ale jej nie pozwoliłam, bo moim przywilejem jest mówić, kiedy mam na to ochotę, w swoim domu. Angel to tylko pracownica, zatrudniam ją. Usiadłam w fotelu i gestem poleciłam jej, by zajęła miejsce na sofie, co też uczyniła.

- Pamiętam! Tak! Pamiętam, jaka była Mary Beth. Słodka dziewczyna, wydana za męża za dużo starszego mężczyznę. Percy i ja staraliśmy się z nią zaprzyjaźnić, prawda?

- Tak, Mavis, prawda. A ja mogę powiedzieć ci coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam.

- Co?

Cmoknęła zirytowana. - Mówiłam, że mogę...

- Słyszałam doskonale, Angel! Nie prosiłam, żebyś powtarzała! Pytałam, co wiesz!

- Och, przepraszam. Boże miłosierny! Raz mój siostrzeniec kręcił się tu, bo chciał ode mnie pieniędzy. Miał auto w warsztacie i nie mógł za nie zapłacić. Opowiadałam ci o tym i na śmierć zapomniałam, że on czeka przy kuchni. Kiedy wreszcie wyszłam do niego z portfelem, powiedział mi, że nie musi pożyczać ode mnie stu dolarów, bo panna Mary Beth dała mu już pięćdziesiąt.

- Pożyczył pieniądze od mojej sąsiadki! Co za tupet! Ale Mary Beth nie mogła mieć pięćdziesięciu dolarów! Skąd je wzięła?

- To pokazuje, ile wiesz! Potem powiedziała mi, że przez lata czyściła kieszenie Doktora i wybierała drobne spodędzy poduszek sofy, które tam wpadły, a także ściagała drobne sumki z jego portfela i w rezultacie zaoszczędziła ponad trzysta dolarów. Mówię jej, że nie powinna dawać mojemu siostrzeńcowi pieniędzy, bo nikt nie ma ich za dużo, a ona na to, że nie ma swoich siostrzeńców a mój niedawno się ożenił i żal jej go.

- Boże wielki! Ale cóż, taka była, fakt. Chciała się uczyć, tylko że Doktor nawet słyszeć o tym nie chciał.

- Bał się, że ją straci, no nie? Mogłaby poznać jakiegoś młodego człowieka i odejść z nim!

- Och, Mavis! Nie sądzę, ale może! Trudno to wykluczyć. Kto wie, co myślą mężczyźni? Wiesz, co chciała robić? Zostać pielęgniarką i

zajmować się starymi ludźmi w domach opieki. Po mojemu to nie wygląda na plany rozpalonej kocicy. Tak czy owak, z własnej woli chodziła do takiego domu w Charlestonie i czytała gazety starym grzybom jak my. No i tam właśnie poznała tego aptekarza.

- Och, Angel, nie rozumiesz, jak do tego doszło? Był młody jak ona, przypuszczalnie przy nim na nowo poczuła się pełna życia i piękna. Wiem, że to, co zrobiła, było złe, i jeśli mam być szczerą, gdyby nie umarła, naprawdę nie wiem, jak mogłaby dalej być żoną pana doktora Douglasa Lutz. To jak w tym filmie „Śniadanie u Tiffany'ego”, tylko że oczywiście Audrey Hepburn nigdy nie poszła do łóżka z aptekarzem i nie brała narkotyków. Tak czy owak, śmierć tej pięknej młodej kobiety była ogromną stratą. No i biedna Anna. Na myśl o niej chce mi się płakać.

- Hm. Zachowaj te łzy na co innego, Mavis. Moim zdaniem, panna Anna sobie poradzi. Ludzie muszą sami organizować swoje życie! Ma teraz dom dla córki i mnóstwo towarzystwa. Może i nie przepadamy za Lucy, ale Anna jest dość dorosła, żeby sama sobie dobierać przyjaciół -

- Wiem, wiem.

- A jeśli będzie chciała dowiedzieć się czegoś o swojej mamie, to nas zapyta. Najlepiej zrobimy, jak będziemy dobrymi sąsiadkami i zajmujemy się swoimi sprawami.

Angel miała rację. Zaczęła strzepywać poduszki i na nowo układać je na sofie. Na wszystkich są wyhaftowane zabawne powiedzonka, które mnie rozśmieszają. Dobry Bóg wie, że życie miałam okropnie nudne, skoro rozrywki musiałam szukać w haftowaniu poduszek. Na jednej widniało: NIGDY NIE POWTARZAM PLOTEK, WIĘC SŁUCHAJ UWAŻNIE. Na innej: JEŚLI CHCESZ ZAJĄĆ NAJLEPSZY FOTEL W DOMU, MUSISZ PRZEPĘDZIĆ KOTA. Wszystkie bardzo lubiłam.

20. Gorączkowe przygotowania

Pomyślisz pewnie, że to jakaś bzdura, ale tak nie jest. Kiedy rano wyszłam, żeby włączyć zraszacze, przez jedną właściwie noc na moich grządkach zamiast małych sadzonek pojawiły się bujne kwiaty. O mało nie zemdlałam. Przez chwilę myślałam, że to żart, że ktoś wśliznął się na moje podwórze i w środku nocy posadził co innego. Sprawdziłam nawet ziemię i mierzwę. Nic nie było poruszone.

Poszłam, żeby na bocznej ścianie obejrzeć pnącą roślinę, którą dała mi panna Mavis. Chociaż nie pokryła całego boku domu, to rozrosła się w bujny krzew i pięła po rurach licznika wody. Co się dzieje? Za domem kapryfolium też się rozwinęło. Wszystko, co zasiałam, rozplenilo się jak chwasty! Wybuchnęłam śmiechem. Nie miałam zielonego pojęcia, jak i

dłaczego tak się stało. Był to kolejny tajemniczy dar Lowcountry. Zastanawiałam się, czy ktoś jeszcze to zauważy. Może rośliny były większe, niż mi się wydawało? Niewykluczone. Odkręciłam kran i postanowiłam skoczyć po gazetę, bekon i jajka. Zakupy na obiad zrobię później.

Było wpół do ósmej, Emily i Jim wciąż spali. Wycofałam samochód z podjazdu tak cicho, jak się dało, i ruszyłam do Red & White. Myślałam, jak to miło być razem, a także o swoim salonie fryzjerskim.

Plany na dzień wyglądały następująco: wspólne śniadanie i prezentacja salonu. Z tytanicznym wysiłkiem wszystko zostało przygotowane i chciałam pokazać nasze dzieło Emily. Wszyscy, włączając Lucy, dokonamy ostatnich poprawek i uzupełnień, a potem koło piątej, kiedy ma przyjść Arthur, wrzucimy coś na grilla. Nie mogłam uwierzyć, że tak wiele zrobiliśmy w tak krótkim czasie. Ile jednak znaczy siła determinacji oraz odrobina szczęścia! Poniedziałek był właściwie zapelniony. Poprosiłam Bettinę i Brigitte, żeby przyszły wcześniej i zadzwoniły do klientek w wolnych chwilach pomiędzy umówionymi wizytami. Zgodnie z ich obietnicami, każda miała na dziś komplet. Ja też.

Zanim zaparkowałam przy Red & White, wjechałam na nasz parking, żeby zajrzeć do środka przez okna salonu. Muszę przyznać, że wstrzymałam oddech, kiedy wysiadałam z samochodu i nie wiadomo po co go zamykałam. Parking był zupełnie pusty. Popatrzyłam na biura i sklepy sąsiadów, były schludne jak pudełeczka. Wczoraj zawieszono nasz szyld: SALON FRYZJERSKI I KOSMETYCZNY „WYSPA PALM”. Zajrzałam więc do środka i pomyślałam: tu jest pięknie. Ustawione w szereg fotele czekały, wszystko wyglądało świeżo. Produkty kosmetyczne do sprzedaży ustawiono porządnie na półkach. Panna Angel oddała nam trochę koszy w komis, razem z Lucy zawiesiły je na pustych ścianach, i teraz koszyki przyciągały wzrok swoją urodą. Lampka przy recepcji stwarzała miły, przyjazny nastrój. Może to banalne, ale przepełniało mnie uczucie prawdziwej radości, kiedy tak stałam i patrzyłam. Wypowiedziałam na głos:

- Salon Fryzjerski i Kosmetyczny „Wyspa Palm”! - Byłam bardzo dumna.

Szczerze mówiąc, określenie „kosmetyczny” zostało użyte nieco na wyrost. Jedynymi usługami przypominającymi te świadczone w zakładach kosmetycznych były okłady z gorącego wosku na dłonie i stopy oraz standardowe woskowanie nóg, części, które odsłania bikini, oraz miejsc w okolicach ust. Miałam jednak swoje plany. Jeśli sklepik z pocztówkami w

sąsiedztwie kiedyś się przeniesie, zatrudnię zespół kosmetyczek i usunę ze świata złą cerę! Okay, może nie ze świata, ale uwolnię od niej osoby, które spędzają tu wakacje i regularnie się smażą na plaży. Istnieje wiele wspaniałych i skutecznych sposobów na regenerację skóry poparzonej słońcem, na przykład okłady z aloesu. Nie wspominając już o masażach i okładach błotnych - ale zacznijmy od spraw najważniejszych. Czas na śniadanie.

Zapach smażonego bekonu ściągnął do kuchni Jima i Emily.

- Cześć, mamó. Co robisz? - Córka objęła mnie i uściśnęła. - Jest kawa?

- Dzbanek stoi tam - powiedziałam. - Nalej też tacie. I nagle wróciła do mnie rozmowa z ostatniej nocy. Na szczęście Emily teraz, rano, o tym nie wspomniała. Jak większość z nas, przed stawieniem czoła nowemu dniu potrzebowała kawy, żeby oczyścić umysł z resztek snu. A może zapomniała o wszystkim. Chociaż wątpiłam w to.

- Jest gazeta? - Jim wkroczył do kuchni, odziany w bokserki i T-shirt. Kiedy ściągnął plasterek bekonu i wsunął do ust, trzepnęłam go po ręce.

- Niedobry piesek - powiedziałam. - Gazeta jest na stole.

- Super!

Uwielbiam śniadania - i nie mam tu wcale na myśli tak zdrowego błonnika, świeżych owoców czy koktajlu mlecznego. To nie jest śniadanie, tylko środki na oczyszczenie ludzkiego systemu kanalizacji. Śniadanie to dla mnie bekon (nie ten odtłuszczony), kiełbaski, kasza, jajecznica, grzanki ociekające masłem (no dobra, używam mieszanki White Lily, i co z tego?) oraz morze mocnej kawy. Wszyscy wiemy, że rano nigdy nie przyrządzam porządnego posiłku, bo po co, skoro jestem sama? To tylko wywołuje depresję. Jednakże dom pełen ludzi wymaga przyzwoitego śniadania, i takie właśnie tego dnia przygotowałam.

- Chodźcie, kasza stygnie!

Usiedliśmy i po kilku pierwszych kęsach rozmowa nabrała tempa.

- Jakie mamy plany na dzisiaj? - zapytał Jim. - Podaj mi dżem, proszę.

Przesunęłam słoik z dżemem truskawkowym oraz koszyk z grzankami w jego stronę. Sięgnął po kolejną i nagle zaczął kłąć, jakby nadział się na igłę.

- Auu! Co to jest, do diabła?

Jim dotknął niechcący mojego podgrzewacza; znalazłam jeden, który wyglądał całkiem jak spodek. Wkłada się go do koszyka z grzankami,

żeby nie wystygły. Ale sporym ryzykiem jest chwytać go gołą ręką, ponieważ jego temperatura wynosi jakieś czterysta pięćdziesiąt stopni. Zwykle wsuwam go pod serwetkę, dzisiaj jednak bardzo się śpieszyłam i po prostu wetknęłam podgrzewacz na dno koszyka.

- Nie bardzo się poparzyłeś? - zapytałam, szybko wstając, żeby przynieść lód.

- Nie. Siedź!

Ale ja już byłam w kuchni i szukałam w zamrażalniku kostek.

- Co to jest? Jakiś nowy rodzaj broni?

- Podgrzewacz do grzanek. Muszę odnowić patent.

- Mama jest niesamowita, no nie?

- Masz, chłopaku. - Podałam Jimowi plastikowy woreczek z lodem. -

Przyłóż to na parę minut do oparzonego miejsca.

- Przysięgam na Boga, że nic mi nie jest! Naprawdę!

- Jedzcie, czeka nas wiele zajęć.

- A co konkretnie, mam? Jest sok?

- Przepraszam, złotko, zapomniałam kupić. Poza tym sok jest zbyt zdrowy. Zaraz po śniadaniu zabieram was oboje do salonu!

- Super! - ucieszyła się Emily.

- Przeprowadzimy generalną inspekcję, a po południu urządzimy sobie grilla. Przyjdzie Arthur.

- I co, mam się schować pod łóżkiem?

- Bardzo śmieszne. Nie, myślę, że jakoś to przeżyję.

- Będę w pobliżu, wiesz, sama i nadęta, żebyś nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

- Doceniam to.

Śniadanie trwało dziesięć razy krócej niż jego przygotowanie. I to właśnie jest takie irytujące w przyrządzaniu posiłków. Najpierw trzeba iść do sklepu, potem wszystko przytargać do domu, pochować, znowu wyjąć i ugotować - a potem ludzie pochłaniają to w kilka chwil. Później trzeba sprzątnąć ze stołu, wyszorować garnki, wynieść śmieci. Można skonać ze zmęczenia na samą myśl o tym. Ale, odsuwając na bok te zastrzeżenia, przyjemnie było patrzeć, z jakim apetytem Jim i Emily zajadają to, co przyrządziłam. Przez chwilę czułam się jak jedna z tych pięćdziesięciu mam w „Ojciec wie najlepiej”, choć gdyby się przyjrzeć uważnie, moja córka wyglądała jak dziewczyna z chóru Marilyn Mansona, a mój były mąż potrafił zaśpiewać każdą piosenkę Barbry Streisand.

Kiedy sprzątnęliśmy po śniadaniu, postanowiłam zadbać o to, żeby wycieczka do salonu odbyła się w sposób zorganizowany. Zadzwoiłam

do Lucy i zapytałam, czy wybierze się z nami.

- Och, złotko, mogę spotkać się z wami na miejscu? Usiłuję właśnie znaleźć pościel i ręczniki dla Davida. Dzwonił, że będzie tu lada chwila.

- Nie ma sprawy. Przywieźć ci coś?

Z telefonem bezprzewodowym w dłoni szłam do pokoju Emily, żeby schować pościel Jima. Moja córka w garderobie szukała czegoś do ubrania.

- Nie! Mam dość jedzenia i piwa dla drużyny futbolowej! Wiesz, jak tacy chłopcy potrafią wsuwać! Ale dzięki.

- Dobrze, do zobaczenia później.

Rozłączyłam się i spojrzałam przez okno. Przed dom Lucy zajeżdżał akurat czerwony saab.

- Emily! - powiedziałam. - Chodź tu!

Moja córka włożyła stare džinsy i obcisłą czarną koszulkę z trasy koncertowej Grateful Dead. Wyglądała jak Miss Arogancji Stanów Zjednoczonych.

- Co?

Przez lekko uchylone zasłony patrzyłyśmy, jak młody człowiek - zakładaliśmy, że jest to David - wysiada ze swojego pięknego auta. Przeciągnął się.

- Cholera, on jest bardzo seksowny.

- Tak - orzekłam - wart grzechu.

Emily spojrzała mi w oczy i roześmiałyśmy się.

- Jesteś zboczona, mamo.

- Nic podobnego! No, może troszeczkę. - Zmarszczyłam surowo brwi. - Chodźmy, czeka nas mnóstwo roboty.

- Tylko się przebiorę, dobra? Daj mi minutkę.

- Nie ma sprawy.

Najwyraźniej Emily uznała, że jej strój nie stanowi atrakcyjnej kombinacji na spotkanie z ewentualnym partnerem na randkę, który - co można było wyczuć nawet przez ściany domu - emanował wibracjami zwierzęcia z dżungli. Odnosiłam przemożne wrażenie, że za chwilę oglądać będę moją córkę taką, jakiej nigdy nie widziałam. Gdyby to była nieznana nastolatka, rzecz mogłaby być całkiem zabawna. My jednak wciąż znajdowałyśmy się na linii startu i wcale nie wiedziałam, czy to będzie takie śmieszne.

- Zapytaj taty, czy możemy wziąć jego kabriolet.

- Jasne.

- No wiesz, będzie fajniej, co nie?

- Absolutnie.
- Ja prowadzę - oznajmiła Emily.

W jednej chwili uświadomiłam sobie, że w owo dziwne zakłopotanie wprawia mnie seksualność mojej córki, tak jak moja seksualność wprawiała zawsze w zakłopotanie ojca. Ha, to chyba nie jest nowoczesne podejście? Postanowiłam, że nie będę się zachowywała jak stara zrzęda i przyjmę postawę wyczekującą. W tamtym momencie wydawało się to bardzo rozsądnym wyjściem.

Nie mam pojęcia, czy siostrzeniec Lucy obserwował, jak wsiadamy do samochodu Jima i odjeżdżamy, ale Emily wystarczająco długo kręciła się przy aucie, przybierając najrozmaitsze pozy, żeby to sprowokować. Spośród swoich rzeczy wygrzebała spłowiałe dzinsy (obciste) i białą koszulkę (obcisłą). Kolczyki zdobiące jej ciało zostały tymczasowo usunięte. Włosy schowała pod czapkę baseballową i włożyła okulary przeciwsłoneczne. Niespodziewanie poczułam ukłucie niepokoju, że David nie uzna jej za pociągającą. Jaka to głupia reakcja! Jak żałośnie banalna! Jeśli jednak chłopak nie zakocha się w Emily od pierwszego wejrzenia, będę wściekła na niego, na Lucy oraz ich przodków jeszcze z czasów zarazy ziemniaczanej w Irlandii.

Krótką odległość dzielącą dom od salonu przebyliśmy z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę. Ruch na drodze był niesamowity, co nie stanowiło żadnej niespodzianki. Panowała cudowna pogoda i wyglądało na to, że wszyscy bez wyjątku postanowili spędzić dzień na plaży. Uwielbiam tę porę roku. Kobiety są pełne nadziei na nową miłość i uświadamiają sobie, że czas coś zrobić z odrostami. A może zafundować sobie pasemka? Ufarbować się na blond? Ostrzyć a la Glenn Close, Gwyneth Paltrow czy kto tam aktualnie pojawia się na okładkach magazynów? A my możemy to zapewnić! Nie potrafiłam się doczekać, kiedy otworzymy drzwi dla klientek.

- O czym myślisz? - zapytał Jim.
- Chyba cieszę się swoim szczęściem.
- Pilnuj się, mamó. Optymizm zabija.

Nie wiedziałam, co ma na myśli - był to przypuszczalnie jakiś slangowy studencki zwrot, oznaczający, że kosmos zetrze cię na proch, jeśli będziesz zarozumiała - odparłam więc:

- Dzięki za ostrzeżenie. Będę go używać w małych dawkach.
- Musiała to być prawidłowa odpowiedź, bo usłyszałam:
- Dobry pomysł.

Zaparkowaliśmy przed salonem. Podczas gdy oni oglądali witrynę, ja

szukałam kluczy. Otworzyłam drzwi, wyłączyłam alarm i zapaliłam światła.

- Tu jest pięknie - powiedział Jim.

- Super, mamó - dodała Emily, natychmiast opadła na jeden z foteli obitych materiałem w tygrysie cętki i zaczęła się na nim kręcić w kółko. - Podoba mi się.

Jim przemierzył salon wzdłuż i wszerz, obejrzał produkty i kosmetyczne akcesoria, po czym nabrał powietrza w płuca. Widziałam wyraźnie, że chce dorzucić swoje trzy grosze.

- Wal - zachęcałam go.

- Okay, oto opinia biznesmena. Miejsce jest rewelacyjne, absolutnie rewelacyjne! Ale wygląda zbyt tradycyjnie, zbyt czysto, zanadto lśni nowością. Nie krzyczy: Wejdz i zmień swoje cholerne życie! Prawdę mówiąc, jeśli mam być szczery, w ogóle nic nie krzyczy.

- A czego mu brakuje?

Musisz zrozumieć, że gdyby powiedział to ktoś inny, dostałby lewego sierpowego w szczękę, ale Jim był wizjonerem; wiedziałam, że powinnam go wysłuchać.

- Pozwól, żebym zrobił ci niespodziankę, zgoda? Ty możesz tu zostać, a ja i Emily pójdziemy na zakupy.

- Zgoda, złotko! Mam rzeczywiście mnóstwo roboty, ale nie mogę zostać, musicie zawieźć mnie najpierw do domu, żebym mogła wziąć swój samochód.

- No to jedźmy.

Byłam podniecona planami Jima, choć nie miałam pojęcia, co właściwie zamierza. Nieważne. Część mnie i tak wzdragała się przed wzięciem na swoje barki odpowiedzialności za wszystko bez wyjątku. Zawsze polegałam na Jimie i szalenie cieszył mnie fakt, że mogę się odprężyć i przez chwilę niczym nie martwić. Umyję sobie włosy, umaluję się i zrobię zakupy na obiad, który ma podbić Arthura, czyli na absolutnie niewinny wieczór, który powinien stanowić rekompensatę za tamten nieszczęsny incydent w High Cotton.

- Daj mi dwie godziny - poprosił Jim.

- Masz trzy! Dzięki! Kocham was!

Było południe. Zadzwoiłam do Lucy, żeby na razie nie przyjeżdżała.

- Salon został zaanektowany przez Emily i Jima aż do odwołania. Jim chce go trochę upiększyć, no wiesz, tu coś dodać, tam przesunąć, żeby nabrał wyglądu, na jakim mu zależy.

- Dobrze, ja i tak nadal karmię chłopaka. Sześć kanapek!

- Bóg jeden wie, co Jim wykombinuje! A ja muszę przygotować obiad dla Arthura. Wczoraj poszłam do Nowojorskiego Rzeźnika i wykupiłam cały sklep.

- Nowojorski Rzeźnik? To musi być poważna sprawa! - Jest. Szaleję za Billem, właścicielem. Powiedziałam

mu: „Wiesz co, wydaje mi się, że jutro na obiad przychodzi do mnie ten właściwy facet. Masz coś, co mogłabym rzucić na grilla i sprawić, żeby gość się we mnie zakochał?”. A on mi na to: „Najważniejsze, żebyś nie przypaliła mięsa”. No więc ja: „Taa” - wiesz, zupełnie bezwiednie zaczęłam naśladować jankeski akcent. Jakimś cudem Bill, kiedy otwiera usta, mówi w połowie jak Al Pacino, w połowie jak Tom Brokaw. Zawsze mi się wydaje, że rozmawiam z gwiazdorem filmowym, kiedy jestem w jego sklepie. Co to może być?

- Wielki Boże, Anno! Tom Brokaw? Weź antyhistaminę! Może to pyłki?

Czasami Lucy wygaduje okropne głupstwa.

- Pewnie tak. Teraz pędzę do Prosiaka po sałatę, śmietanę i kilka drobiazgów. Jak wrócę, pojedziemy razem do salonu, dobrze?

- Jasne, zawołaj mnie. Więc co robisz na obiad?

- Hm, niech się zastanowię. Mam trzy funty rozmaitych kiełbasek, Bill sam je wyrabia. Pyszne włoskie, z czosnkiem i pesto, dalej te z kurczaka, przyprawione jabłkiem i cebulą. Są wspaniałe. Kupiłam też małe kotleciki z nowozelandzkiej jagnięciny i trochę zrazów wieprzowych z rozmarynem, mozzarellą i czosnkiem. Pomyślałam, że wszystko upiekę na grillu i podam z nadziewanymi ziemniakami i mnóstwem sałaty. Jeśli to nie rzuci go na kolana, to naprawdę nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

- I co włożymy, żeby do reszty oszalał?

- Cholera wie! To, co akurat będzie czyste. Może kupię nowy T - shirt w Prosiaku, to się dobrze skomponuje z wieprzowiną. Co o tym myślisz?

- Prawdziwa z ciebie Pamela Anderson, złotko. A może wstąpiłabyś do Banana Republic i kupiła sobie bluzkę z dekoltem w V i jakąś krótką spódniczkę?

- Jeżeli znajdę czas. Może...

I stringi, i seksowny stanik... wiesz co? Miałam ochotę zapytać: Czy, twoim zdaniem, gdybym podała obiad z materacem przywiązanym na plecach, byłaby to nazbyt oczywista aluzja? Wiedziałam oczywiście, że wszyscy na świecie (poza mną) mają obsesję na punkcie seksapilu itede; no tak, siedziałam w biznesie piękności, ale od strony świadczenia usług.

Ludzie chcą skrócić włosy, skracam. Wycieniować? Proszę bardzo. Nie wierzę w promowanie braku pewności siebie. Dumna jestem ze swoich tradycyjnych porad oraz promowania zdrowej skóry i włosów. Człowieku, ale ze mnie nudziara, nie?

Rozmyślałam o swojej nieciekawej osobowości, chodząc między półkami w Piggly Wiggly. Winą za nią obciążałam ojca. To największy konserwatysta, jaki chodzi po tej ziemi. Muszę jednak przyznać, że zawsze uważałam szacunek dla tradycyjnych wartości za najlepszą postawę. Miłą i bezpieczną. Czy jednak tato poszukiwał równie konserwatywnie myślących kobiet? Wręcz przeciwnie, prawda? Przychodziły do niego pełne nadziei, z kurczakiem w parmezanie, przekonane, że potrafią wypełnić pustkę w życiu drugiego człowieka. Nie powstał z tych kontaktów nigdy żaden trwały związek. Nie, bo kiedy tato kierował się swoimi naturalnymi instynktami, preferował zupełnie inne typy kobiet. Lubił królowe piękności jak mama i laseczki o swobodnym sposobie bycia jak Lucy.

Kiedy dotarłam do działu z pieczywem, uświadomiłam sobie, że tata ma niezwykłą słabość do kobiet o atrakcyjnym wyglądzie zewnętrznym. Jak większość mężczyzn. Może jestem kolejną rozwiedzioną idiotką, która zawsze wyżej ceniła sobie treść od formy, zalety ducha od urody. Palące pytanie brzmiało: czy szacunek dla własnej osoby (czytaj: brak pewności siebie) ogrzeje mnie w nocy? Czy moje zasady (czytaj: obłędny strach przed odrzuceniem) zapewnią mi wygodne, komfortowe życie? Musiałam stawić temu czoło. Albo pozostanę samotna do końca moich dni, albo będę musiała trochę wyluzować. Zapłaciłam za zakupy i udałam się prosto do Belka.

Cóż, Belk to może nie jest sklep z najbardziej seksownymi ubraniami na świecie, ale ma bardzo ciekawe propozycje dla przyzwoitych kobiet. Wystarczyły jednak dwie minuty w dziale Ralpa Laurena, bym uświadomiła sobie, że potrzebuję czegoś więcej poza czarnymi spodniami i kolejnym czarnym topem. Przynajmniej na ten jeden jedyny raz do diabła z rozsądkiem. Wyszłam więc i skierowałam się do Banana Republic z zamiarem kupna czegoś bardziej młodzieżowego i odłotowego. Wydawało się, że każda sztuka odzieży ma tę samą cenę. W ciągu pół godziny przymierzyłam i kupiłam obcisły jasnozielony top z frędzlami oraz pasujący do tego mały, cienki sweterek, krótką prostą spódnicę z beżowego stretchu z niewielkim rozcięciem oraz jasnozielone klapki na małej platformie. Czułam się jak dziwka, ale ekspedientka zapewniła mnie, że jej matka nabyła taki sam komplet. W odpowiedzi uniosłam tylko

lewą brew (Muszę zapamiętać, gdybym kiedykolwiek miała zająć się handlem konfekcją: odciąć języki wszystkim kandydatkom na sprzedawczynie poniżej dwudziestu dwóch lat. I może niezłym pomysłem byłoby raz na dzień wytykać im ich młodzieńczą głupotę).

Wreszcie wróciłam do domu, żeby zająć się kuchnią i grillem. Rozłożyłam nowo nabyte szmatki na łóżku i popatrzyłam na nie. Jak to możliwe, że tych kilka skrawków materiału i paseczek skóry kosztuje ponad dwieście dolarów? Czy ja upadłam na głowę? Nigdy przecież tak nie szastałam pieniędzmi!

I dlatego jesteś sama.

Och, doskonale. Co powie Jim? Emily? Nic, bo gdyby tylko otworzyli usta, nie dam im jeść! Było wpół do czwartej, zadzwoniłam do Jima na komórkę.

- Cześć! Co słyszeć na linii frontu?

W tle słyszałam walenie młota. Cholera, co on tam robi?

- Wszystko w porządku! Hej, wpadłem na pomysł...

- A poza tym co nowego?

- Wypijmy koktajle tutaj, zgoda? Kupiłem już szampana i pasztet w sklepie z winami.

Bum! Bum! Łup! Bzzz!

- Jim, macie tam piłę łańcuchową czy co?

- Uuu, tak. Małą. Więc przyjdiesz koło piątej? O wpół do szóstej?

Mimo że Jim zasłonił ręką słuchawkę, usłyszałam, jak jakiś człowiek mówi:

- Panie Abbot, gdzie mamy zainstalować ekspres do cappuccino?

Serce zaczęło mi walić. A potem inny głos zapytał:

- Ma pan chwilkę, żeby zerknąć na te uchwyty? Było za późno na panikę. Wzięłam głęboki oddech

i odpowiedziałam:

- Do zobaczenia o wpół do szóstej.

Jeszcze raz zadzwoniłam do Lucy i poleciłam jej, żeby się odprężyła, bo do salonu pojedziemy dopiero, jak pojawi się Arthur.

- I bardzo dobrze. David dalej je.

Ubierając się, dziękowałam Bogu, że mam córkę, a nie odkurzacz w rodzaju Davida. Jakiś czas poświęciłam na rozmyślenia o Arthurze, bo uznałam, że lepsze to niż obsesyjne zamartwianie się Jimem i jego zagadkowymi poczynaniami w salonie. Cokolwiek tam zrobił, będę się tym zachwycać i wychwalać, a to, co mi się nie spodoba, zmienię później.

Rozległ się dzwonek u drzwi, a moją twarz i szyję zalała fala gorąca.

Sprawdziłam w lustrze, czy szminka mi się nie rozmazała, skropiłam się perfumami Chanel 5, po czym poszłam otworzyć. Arthur w jednej ręce trzymał bukiet kwiatów, w drugiej owinięty w biały papier pakunek. Sam już przez siatkę na owady w drzwiach pachniał cudownie.

- Cześć - przywitałam go. - Wejdz, proszę.

- Cześć. Boże, wspaniale wyglądasz! Naprawdę rewelacyjnie!

- Tak? - Więc nie wyglądałam jak oślica? To świetnie. Dobra. Głęboki oddech.

- Proszę, to dla ciebie. Przyniosłem trochę sera.

- Dzięki! To bardzo miło z twojej strony! - Nagle zupełnie nie wiedziałam, co robić. Poprosić, żeby usiadł na sofie? Pokazać mu dom? Co - dwie sypialnie i miejsce, w którym stoi?

Powiedz mu, żeby poszedł z tobą i otworzył wino. Racja. Dzięki.

- Chodź, pomożesz mi otworzyć wino.

Na miłość boską, Anno, tylko nie pokazuj mu sypialni, Arthur poszedł za mną do kuchni. Otworzyłam lodówkę i pochyliłam się, żeby wyjąć wino z dolnej półki a kiedy sobie uświadomiłam, że pewnie widać mi majtki szybko obciągnęłam spódnicę. Poczułam jego dłoń w talii.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Nie patrzę na twój okryty beżem, wybacz to słowo, tylek. Jestem dżentelmenem, pamiętasz?

Wolno wyprostowałam się z butelką w prawej dłoni i spojrzałam na niego. W każdym centymetrze ciała czułam mrowienie. Byłam równocześnie spięta i podniecona. Arthur stanowił przypuszczalnie najbardziej skondensowany koncentrat męskiej energii, jaki w życiu spotkałam. I w dodatku wziął dla mnie prysznic oraz skropił się boską wodą kolońską. Tak, gorąca noc przed nami. Więc wystarczy tylko prysznic? Spokojnie, powiedziałam sobie.

Stojąc tuż obok Arthura, czułam żar bijący od jego ciała.

- Ta kuchnia jest bardzo mała - odezwałam się - a ja nie jestem przyzwyczajona do spódnic. Korkociąg jest w tamtej szufladzie. - Wskazałam szafkę za nim i przygryzłam wargę. Wydawało mi się, że zaraz umrę.

- Mówiłaś coś o ciągu? - Wybuchnął śmiechem i ja też zaczęłam się śmiać.

- Wiesz co? Wystarczy, że uważasz mnie za pijaczkę. Czy mógłbyś, z łaski swojej, nie uważać mnie również za dziwkę? Chryste, te chłopy!

- Niech Bóg broni, Anno - odparł, grzebiąc w szufladzie w poszukiwaniu korkociągu - ale spójrzmy prawdzie w oczy. Oboje wiemy, że między nami potężnie iskrzy i żadne z nas nie będzie mogło się

skoncentrować, dopóki nie ustalimy, co to takiego.

- Posłuchaj, Casanovo - powiedziałam i poczułam się niezwykle błyskotliwa, tak się do niego zwracając, co powinno dać ci wyraźny obraz mojej głupoty - iskrzy na pewno, ale czy nie wolisz trochę pofantazjować? Wiesz, czasami przyjemniej jest przez jakiś czas po prostu wyobrażać sobie, jak to będzie smakowało. - To było super, Anno.

- Całą noc to robiłem. - Arthur wyciągnął korek. - Gdzie Jim i twoja córka?

- W salonie - wyjaśniłam i głośno przełknęłam ślinę. - A dlaczego?

Nalał wina do dwóch lampek, które przed nim postawiłam. Co za idiotyczne pytanie. Dlaczego? Dlaczego? Poważnie go o to pytałam?

- Bo nie chcę, żeby weszli do pokoju, kiedy... eee... to znaczy...

Cóż, powiedziałam sobie w duchu, przynajmniej ma na tyle dobrego smaku, że nie powiedział nic głupiego w rodzaju: Me chcę, żeby weszli i przyłapali mnie z ręką pod twoim sweterkiem.

- Kiedy co? - zainteresowałam się.

- Chciałbym spędzić z tobą kilka minut sam na sam. Wiem, że to brzmi jak urywek z filmu z Bogartem i Bacall, ale wczoraj w nocy nie mogłem zasnąć. Cały czas myślałem, że pragnę... sam nie wiem... pobyć z tobą i poczuć, jak to jest. No, przekonać się, jaką atmosferę wytwarzasz, coś w tym rodzaju. Nigdy nie znałem nikogo takiego jak ty.

Przy tych słowach uniosłam brwi. Nigdy nie znał nikogo takiego jak ja? Już prawie mnie miał, póki nie palnął tego głupstwa.

- Z wyjątkiem Sheili. To była kobieta! I z wyjątkiem Andrei! Andrea była... - I Arthur zapatrzył się w okno.

- Jesteś świrnięty, wiesz? - Zaczęłam się śmiać. Miał dołeczki.

- To wspaniałe początek romansu!

- Może - odparłam. - Zdrowie. - Uwielbiam dołeczki. Stuknęliśmy się kieliszkami i spojrzeli sobie w oczy.

Zbliżała się wspólna sekwencja.

Odstawiłam kieliszek i powiedziałam:

- Taaak, musimy zadzwonić do Lucy, mojej sąsiadki, i powiedzieć, kiedy będziemy gotowi pojechać do salonu. Emily i Jim serwują tam koktajle o wpół do szóstej. Przez całe popołudnie zajmowali się urządzaniem wnętrza.

Objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. Boże, jakie to było wspaniałe! Czułam, że wacha moje włosy, a potem całuje mnie w czubek głowy. Taki lekki pocałunek. Bardzo miły.

- W takim razie nie możemy pozwolić im czekać. - Odsunął mnie i

spojrzał mi w oczy. - Czy możemy?

- Pięć minut w jedną czy w drugą stronę nie gra roli.
- Weźmy ser!
- Jasne. Ser. Zgoda.

Do diabła z serem. Jim ma ser. Nie, Jim ma pasztet. Och, kogo to obchodzi? Chciałam tulić się do Arthura, chciałam, żeby mnie obejmował. Chciałam osunąć się na podłogę i pociągnąć go za sobą. Mówiłam sobie, że to przemożne pragnienie to zwykła żądza. I mówiłam sobie, że żądza to cenna i wspaniała rzecz, chemia, dzięki której przetrwały gatunki. Kto mógłby temu zaprzeczyć? To dowód na istnienie Boga i diabła, nieba i piekła.

- Lepiej stąd chodźmy - powiedziałam. - Jesteś niebezpieczny.
- Na pewno chcesz iść?

Przeznaczenie jednak wtrąciło się i przywiodło na mój próg Lucy i Davida, którzy pukali i pohukiwali za drzwiami.

- Ruszajcie się! Jedziemy! - zawołała Lucy. Wiedziałam, że zmierza do kuchni, gdzie staliśmy

z Arturem, jakby miała wszczepiony czujnik ciepła. Opuściliśmy ramiona i odsunęliśmy się od siebie, pokaszując i układając twarze w uprzejmy grymas, którego wymagały zasady dobrego wychowania.

- Tu jesteśmy! - powiadomiłam przybyłych. - Chodźcie, napijemy się wina!

- A mamy jeszcze czas? Butelka już otwarta? To David, mój siostrzeniec.

Zerknęłam tylko na Davida i oznajmiłam:

- Nie waż się zbliżyć do mojej córki. Nie żartuję.
- Anno! - zaprotestowała Lucy. - Nie mówisz poważnie!
- Oczywiście że nie! To taki żart, Davidzie. Miło cię poznać. To jest

Arthur.

Mówiłam poważnie. Nie chciałam, żeby David znalazł się blisko Emily. Był po prostu zbyt przystojny. To zapowiadało kłopoty.

21. Z niewielką pomocą przyjaciół

Lucy, Arthur, Młody Niebezpieczny, czyli David, oraz ja upchnęliśmy się w samochodzie Arthura i pojechaliśmy do salonu. Droga zajęła nam chyba nie więcej niż minutę. Nie chodzi o to, że Arthur prowadził za szybko; było to jedno z owych tajemniczych doświadczeń, kiedy czas mija jak błyskawica, ponieważ tak pochłania cię rozmowa. Wszyscy byliśmy podnieceni, choć z różnych powodów.

Lucy chciała, żeby David poznał Emily, i umierała z ciekawości, co

zrobił Jim. David chciał się przekonać, jaka jest Emily, salon zupełnie go nie obchodził. Arthur objawiał uprzejme zainteresowanie salonem, ale tylko dlatego, że salon był mój. Ja wiedziałam już, że Jim dokonał jakichś cudów, ale przede wszystkim z niepokojem zastanawiałam się, jaki będzie dalszy ciąg wieczoru z Arthurem. Facet był gorący - cóż mogę dodać? Gdzieś na dnie serca wiedziałam, że to rozstrzygający dzień, którego nigdy nie zapomnę.

W gruncie rzeczy nawet nie spojrzałam na wejście do salonu, kiedyśmy wjeżdżali na parking. Gadaliśmy jedno przez drugie niczym stado ptaków na drucie. Chwyciłam torebkę i mówiłam coś do Lucy o dzisiejszym obiedzie, kiedy nagle zauważyłam wyraz zaskoczenia na jej twarzy. Odwróciłam się i omal nie padłam bez zmysłów. Ledwo poznałam swój salon, wcale nie przesadzam.

Pod świeżo pomalowaną ścianą stały dwie olbrzymie gliniane żardiniery. U podstaw owinięte były łądygami bambusa przeplecionymi misternie konopiami i szpagatem. W obu rosły najpiękniejsze ciemnozielone i bujne palmy karłowate, jakie w życiu widziałam. Musiały kosztować fortunę. Przez drzwi wciąż wchodzili i wychodzili mężczyźni z narzędziami, kablami i innym sprzętem. A nasz daszek z aluminium, który w założeniu miał chronić przed deszczem, teraz pokryty był grubą warstwą liści palmy pierzastej.

Ale to wcale nie było wszystko. Wcale nie. Może sobie przypominasz, że mieliśmy okna wysokie od podłogi do sufitu, przez które widać było biurko recepcjonistki, niewielką poczekalnię i półki. Już ich nie było. Witryny przysłaniały teraz dwa bambusowe parawany i mogłam sobie tylko wyobrażać, co jest za nimi. Wzięłam głęboki oddech. Potem następny.

- Tak, tak, nabierz powietrza w płuca - powiedziała Lucy, klepiąc mnie po ramieniu. - Wchodzimy.

Skoro ona miała jakieś obiekcje, to możesz sobie wyobrazić, co ja czułam.

Arthur powiedział tylko:

- Super.

Wkroczyliśmy do środka pomiędzy tłum niezwykle przystojnych, doskonale ostrzyżonych mężczyzn w obcisłych T - shirtach, którzy snuli się tam i z powrotem, najwyraźniej kończąc pracę. Wyglądali tak bajecznie, że musieli być kumplami Jima.

- Przepraszam panią.

- Proszę wybaczyć, ale muszę to przepchnąć przez drzwi.

Nie pozostało mi nic innego, jak patrzeć na nich i wzdychać. W salonie krzątało się z piętnastu ludzi i nigdzie nie było śladu Jima. Przybiegła Emily, zadyszana i zarumieniona z podniecenia.

- Aż zatyka, nie, mamó? Chodź i zobacz!

- Och, mój Boże! - zawołała Lucy. - To jest cudowne! Moje stopy jednak przyrosły do podłogi zaraz za

drzwiami. To było oszałamiające. Człowiekowi w głowie się mąciło na sam widok! Nasz surowy i prosty wystrój ustąpił miejsca rozbuchanej fantazji. Znajdowałam się w nowoczesnej dżungli. Na tle bambusowej ściany na lewo od drzwi frontowych zobaczyłam jasnozielone półki z grubego szkła o zaokrąglonych krawędziach, zwisające z sufitu na stalowych linkach. Na co drugiej stał wypełniony towarami koszyk Angel. Tak wyeksponowane sprawiały, że chciało się każdy wziąć i zabrać do domu.

To była sprawa oświetlenia! Spojrzałam w górę - z sufitu zwieszały się maleńkie lampki, które dawało się obrócić w dowolnym kierunku. Wkręcono w nie żarówki w kolorze bursztynowym, co przydawało ciepła bambusowi w żółwi wzór. Przy prawej ścianie stała szafka z nierdzewnej stali. Pomyślałam, że idealnie nadaje się na zapasy żywności. Królował na niej skomplikowany, ale kuszący ekspres do cappuccino - z rodzaju tych, które widuje się w restauracjach - z miedzianymi rurami i szklanym pojemnikiem, błyszczący. Z obu stron umieszczono również szklane półki, na których stały wysmukłe czarne kubki i chromowane: cukiernica, miseczka ze słodzikiem oraz cylindryczny pojemnik z małymi łyżeczkami. Otworzyłam drzwiczki szafki i stwierdziłam, że jest tam mała lodówka, miejsce na zapasy oraz pojemnik na śmieci.

Naprzeciw regału z koszykami, oparta o bambusową ściankę, stała niska kanapa z czarnej skóry z metalowymi nogami; wygodnie mieściły się na niej trzy osoby. Górną krawędź ścianki zdobiły koszyki z rozkrzewionymi roślinami. Jim zmniejszył nieco poczekalnię; cóż, miałyśmy dopiero się przekonać, czy ktokolwiek będzie tu w ogóle czekał.

Popatrzyłam na biurko recepcjonistki; teraz ustawiono je skośnie. Druga kanapa stała pod jeszcze jedną bambusową ścianką, sprytnie maskującą biegnące od podłogi do sufitu kable, na półeczkach w kształcie drabinki leżały najnowsze czasopisma.

Z zaplecza wyłonił się Jim. Mocno mnie przytulił i uścisnął dłoń Davidowi, który nie odrywał wzroku od Emily, choć ona nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

- Cześć! Podoba ci się? Powiedziałem sobie: Jim, synu, temu miejscu

trzeba dodać czadu, jest trochę za małe. No to pomyślałem: afrykańska królowa. Wiesz, kombinacja tropiku i tajemnicy, ale w nowoczesnej formie. I co o tym myślisz? - Nawijał z szybkością karabinu maszynowego.

Stałam jak sparaliżowana. To było niewiarygodne. Klasyczny numer Jima.

- Uwielbiam cię! To myślę! O ile w ogóle mogę myśleć...

- To nie wszystko! Chodź i zobacz!

- Jim, jesteś prawdziwym czarodziejem! - oświadczyła Lucy. - Przysięgam! Może nie?

Poszliśmy za Jimem, który objaśniał każdy szczegół.

- Ekspres wypożyczyliśmy. Ściśle rzecz biorąc, dostaliśmy go za darmo. Musisz tylko kupować od tej firmy kawę w małych opakowaniach po czterdzieści pięć centów. Parzy się w nim boską kawę, trzydzieści sekund trwa napełnienie filiżanki. No, możesz też robić cappuccino, jeśli masz ochotę na mleczną piankę, ale co tam! Kto by miał do tego cierpliwość?

- Ja nie - odparłam.

- Ja też nie! Szkło i kable dostałem od znajomego, który zajmuje się wystrojem dla Dillarda. Jego ekipa zamontowała wszystko za darmo, bo ja wysłałem go na objazd winnic w Burgundii i Epernay trzy lata temu. Nie mogłem jechać, miałem grypę. Pamiętasz, jaki byłem chory? Nieważne, miał u mnie dług, i to potężny. Zrobił też oświetlenie, to resztki po renowacji pewnego lokalu sklepowego. Wszyscy ci chłopcy byli od niego. Kupiłem żarówki. Myślałem o różowych, bo w różowym świetle nawet najobrzydliwszy buldog wygląda lepiej, ale nie mieli. Ale właściwie ten bursztyń jest jeszcze lepszy, nie sądzisz? Ciepleszy.

Paplał jak przysłowiowa papuga.

- Jim!

- Co? Coś nie tak? Och, Boże! Jej się nie podoba! Wybuchnęłam śmiechem i on też.

- To jest po prostu piękne! - wykrzyknęłam. Zaraz potem usłyszałam głos Davida:

- Ty jesteś Emily?

Odwróciłam się, uświadamiając sobie, że zapomniałam ich sobie przedstawić. Emily patrzyła na niego przez zmrużone powieki z podejrzliwością, która unosiła się wokół i spowijała wszystko niczym rój komarów o zmierzchu.

- Tak. A ty jesteś David, mam rację? - Tak.

- Super.

- Tak. Super.

Popatrzyłam na Lucy i Jima, potem na Arthura i wszyscyśmy wruszyli ramionami, rechocząc przy tym jak stare pryki, kiedy do nich dociera, że są starymi prykami, bo następne pokolenie dobija się, żeby zająć ich miejsce. Co oni wiedzą? Są tacy młodzi! Jaka kabała może z tego wyniknąć? Ach, młodość! Tak myśleliśmy. Przypuszczalnie w innym miejscu i czasie poświęcałabym więcej uwagi tym dzieciakom, ale byłam zajęta oglądaniem zmian dokonanych w salonie i dałam sobie spokój, zakładając, że Emily i tak zainteresuje się Davidem tylko przelotnie. Nie był w jej typie. Wyglądał zbyt normalnie.

- Czy ten okręt ma mesę? - zapytał Arthur. - Przyniosłem przekąski.

- Och, a wino? Chętnie bym się napiła - oświadczyła Lucy.

- Mam szampana! Veuve Clicquot, naturalnie, to winnica prowadzona przez kobietę. Uznałem, że będzie odpowiedni! - odparł Jim. - Chodź, Arthur, pokażę ci część kuchenną.

Wiedziałam, że Jim żartuje, ale poszłam za nimi na zaplecze. Kto wie? Cztery stanowiska fryzjerskie pozostały właściwie bez zmian, doszły tylko ruchome lampki, które otaczały lustra jak głowy Meduzy, oraz szklane wazony z bambusem na szczęście. To wszystko.

Sufit w pomieszczeniu do mycia głów ozdobiły plakaty z tropikalnymi widoczkami. Przypuszczam, że ludzie muszą na czymś oprzeć wzrok, kiedy myje im się włosy, a oni odchylają głowy do tyłu. Czemu nie? Na zapleczu, gdzie zainstalowałam niewielki zlewozmywak i suszarkę do naczyń, Jim dodał półkę, na której stało co najmniej sześćdziesiąt tanich kieliszków do wina, oraz małą lodówkę w obudowie. Na suszarce rozpakowaliśmy ser i ułożyliśmy go na desce, którą Jim także kupił, razem z serwetkami koktajlowymi. Arthur podał mi pudełko krakersów.

- Niesamowite! - oznajmiłam. - Jim, brak mi słów na to, jaki jesteś cudowny!

Jim strzelił korkiem od szampana, śpiewając starą piosenkę Cole'a Portera i dorzucając do niej frazę: „To prawda!”.

- Mój Boże, Emily! Zapomniałem kupić stereo!

Znowu wybuchnęliśmy śmiechem. Jim napelnił kieliszki, Arthur częstował wszystkich krakersami z dwoma gatunkami pysznych serów. Piliśmy, wznosiliśmy toasty, i tak z tysiąc razy. Był to bardzo podniecający moment, kolejny dowód na szczodrość i uczucie Jima do nas.

- Gratulacje, Anno! - powiedział.

- Dzięki, kochany! Przecież bez ciebie by tego nie było. Chyba będę

musiała oddać ci jakiś organ do przeszczepu za tę przysługę, co? Dzięki tobie to miejsce wygląda tak wspaniale, jak ja się czuję! I tobie, Emily, też dziękuję! Jestem przekonana, że tatuś cię wykończył przy tych zakupach.

- Nie uwierzyłybyś! - Przewróciła oczyma na konto Davida. - Kazał mi biegać i dzwonić w tysiąc miejsc! Dzwoniłam do ludzi od ręczników...

- Zamówiłem dwieście czarnych frotowych turbanów z haftowanymi złotą nitką palmami - wtrącił Jim. - Na własny koszt! Będą booskie!

- Wielki Boże! - odparłam. - Dziękuję! Powtarzam, jesteś niesamowity!

- I fartuchy! - dodał Jim. - Emily, powiedz jej o fartuchach.

- Och, mam, są bombowe! Z kieszeniami! Z materiału w tygrysie cętki, w tym miejscu - pokazała - nowe logo, a najlepsze jest to, że...

- Nowe logo?

Spojrzałam na Jima, który szybko zakrył twarz dłońmi i zerkał przez palce.

- No, to właściwie był pomysł Emily, Anno. Wydawało się nam, że po tych wszystkich wspaniałych zmianach lokal potrzebuje bardziej przyciągającej nazwy.

- Takiej jak?... - zapytałam.

- Altana Anny. Szyld dostarczą jutro - neon w kolorze fuksji! Robota ekspresowa! Także na mój koszt! Wiem, wiem, to znaczy, że musisz mieć nowe wizytówki.

- Już są zamówione - wtrąciła Emily. - Będą we środę. A także rachunki i papier firmowy. Czeki zamówię jutro. Bank zamknięty, bo dziś niedziela.

- Również na mój koszt! - oznajmił Jim.

- Boże kochany! - Zaczęłam się śmiać i nie mogłam przestać.

Arthur żartobliwie trzepnął Jima w ramię.

- Jesteś super! Muszę ci uścisnąć dłoń!

- To znacznie bardziej opłacalne od alimentów, możesz mi wierzyć!

Arthur spojrzał na mnie zaskoczony i wzrokiem zapytał: Nie płaci alimentów?

Pokręciłam głową i wzruszyłam ramionami na znak, że mi nie zależy.

Od frontu dobiegło wołanie jakiegoś mężczyzny. Niósł wielkie pudło i wyglądał na wykończonego.

- Gdzie mam postawić urządzenie do mieszania koktajli?

Maszyna do koktajli?

- Niech pan ją zawiesi pod sufitem! Jim, czyś ty oszalał?

- Powinna się zmieścić koło ekspresu. Dwa razy wszystko

wymierzyłem! Teraz będziesz mogła rano proponować klientkom koktajl mleczny i wino po południu. N'estce pas?

- Uwielbiam koktajle! - oznajmiła Lucy. - Są bardzo zdrowe!

Jim i Emily poszli pomóc przy instalowaniu miksera do koktajli, Lucy i David za nimi. Spojrzałam na Arthura, a on na mnie.

- N'estce pas - powiedziałam. - Odkąd zaczął jeździć do Francji, n'estce pasuje wszystko. Zupełnie oszalał.

- Ja mam n'estce pas dla ciebie, dziewczynko.

Oczy Arthura tańczyły, dołeczki w jego policzkach znowu się pokazały, a ja pomyślałam, że to najprzystojniejszy mężczyzna na świecie.

- Oooch, powinnam się bać?

Łatwo flirtować, skoro tyle ludzi kręci się wokół. Pięć minut później żałowałam, że zbyt się zagalopowałam. Ale co tam, do diabła! Nie wobec Arthura. Nie potrafiłabym udawać niewiniątka, krygując się wstydliwie: Och, cicho bądź, niegrzeczny chłopaku! Potem zadałam sobie w duchu pytanie, czy w ogóle uda nam się choć przez pięć minut pobyć sam na sam, skoro wszystko wskazuje na to, że wieczorem będzie tyle ludzi, że wystarczyłoby na obsadę „Dziesięciorga przykazań”. Wśród nich oczywiście tatuś, kolejna para oczu. Bezpieczna. Jestem bezpieczna. Przemknęło mi przez głowę, że lepiej zrobię, pilnując Emily i Davida Gorące Usta.

Wkrótce potem opuściliśmy salon i w ciągu godziny posiłek z grilla znalazł się na stole. Wiele się przy tym działo, nie tylko w mojej głowie, ale i wokoło, bo dobrze się trzeba pokrzątać, żeby nakarmić siedem osób. Jak Jim tego dokonał? Czy pamiętałam, żeby kupić równe ilości wszystkiego? Nie potrafiłam przypomnieć sobie nikogo, kto kiedyś sprawiłby komuś tak podniecającą, oszalamiającą niespodziankę jak Jim mnie. W życiu nie przyszłoby mi do głowy zrobić to, czego on dokonał; to jeden z powodów, dla których zawsze byliśmy sobie bliscy. Miał niesamowitą wyobraźnię.

Kiedy pojawił się tato, Lucy zawiozła go do salonu. Wrócił, pogwizdując przez zęby. Usiadł w fotelu, Lucy przycupnęła na poręczy i podała mu piwo. Do twojej wiadomości: owinęła butelkę w papierową serwetkę. Jej drugim zajęciem było najwidoczniej rozpieszczanie taty.

- No i co? Jak ci się podoba? - zapytałam, przystając koło niego z tacą pieczonego mięsa.

- Altana Anny? No, robi wrażenie, kochanie. Ale mężczyźni nie będą chcieli tam przychodzić. To za bardzo dziwaczne, egzotyczne.

- Cieszę się, że ci się podoba, tato. Mężczyźni niech sobie chodzą do

Causeya. I tak są za skapi, żeby płacić za nasze fachowe umiejętności! Siadamy do stołu za jakieś dwie minutki, dobrze?

Fryzjerstwo męskie Causeya to jedna z najsolidniejszych instytucji w Mount Pleasant, istnieje od czasów potopu. Żaden znany mi normalny mężczyzna nie wyda u mnie czterdziestu dolarów na strzyżenie, jeśli może uzyskać tę usługę u Causeya za dwanaście. Z ekonomicznego punktu widzenia to jak najbardziej rozsądne podejście. Takie na przykład miał mój tata. Zawsze z lekka negatywnie nastawiony, trochę zbyt krytyczny i stale szukający dziur w całym. Taką już miał naturę. Szczerze mówiąc, mój salon nie był przeznaczony dla klientów tego pokroju, co przypuszczalnie - nie, zdecydowanie - było dobrą rzeczą.

Postawiłam tacę z mięsem koło misy z sałatą i koszykiem na chleb. Pozostało mi jeszcze tylko wyjąć ziemniaki z pieca - i mój pierwszy oficjalny obiad zaraz się rozpocznie.

Emily była w kuchni z Davidem. Moje drogie dziecko nakładało właśnie kwaśną śmietaną do miseczki. Ja musiałam postawić na stół masło, sól, pieprz i szczypiorek oraz pamiętać o podsłuchiowaniu.

- I jak tam uniwersytet w Karolinie?

- W porządku. A w Georgetown?

- Piekelnie ciężko, ale super - odparła, zadowolona, że trudniej dostać się na jej uniwersytet. - Myślałam, że lato nigdy się nie zacznie.

- Tak, ja też. Wybrałaś już specjalizację?

- Jeszcze nie. Mamo, chcesz, żebym posiekała szczypiorek?

- Byłoby świetnie, złotko - odparłam. Bezpieczna. Łagodna. Na razie.

Zaniosłam ziemniaki

na stół, myśląc, że Emily, która nigdy nie kiwnęła palcem, chyba że pod groźbą jego obcięcia, sieka szczypiorek. O rany, pomyślałam, ale te feromony mają siłę działania! Popatrzyłam uważnie na stół i uznałam, że wygląda dobrze.

- Okay, możemy siadać.

Jim pierwszy wziął talerz. Nachyliłam się do jego ucha.

- Naprawdę cię kocham - szepnęłam.

- Lepiej, żeby tak było! - Pocałował mnie w policzek. - Wszystko wygląda na przepyszne, a ja zasługuję na to, żeby mnie porządnie nakarmić.

- W każdej chwili, staruszkule, moje drzwi zawsze stoją przed tobą otworem. Siadaj gdziekolwiek.

Lucy następowała mu na pięty, też chcąc wziąć coś na talerz.

- A ja mogę usiąść twojemu tacie na kolanach? - Roześmiała się i

zatrzepotała powiekami.

Pocziwa Lucy spędzała czas sam na sam z Panem M., czyli martini.

- Jeśli tylko masz ochotę, to proszę bardzo! Jim wzruszył ramionami i odsunął się.

- Myślałam, że może do pracy ubiorę się w kokosowy stanik i drukowany sarong. Co o tym myślisz, Anno?

- Co to, to nie! - sprzeciwiłam się bez namysłu. Pojawił się Arthur z dwiema otwartymi butelkami czerwonego wina.

- A ja uważam, że tak!

- Matko Boska, Anno, to był żart - wyjaśniła Lucy, wydymając wargi.

Trzepnęłam ją lekko w ramię.

- Wiedziałam, nie musisz mi tłumaczyć.

Emily postawiła na stole miskę z kwaśną śmietaną i szczypiorek, a David, wypatrujący jak sęp kolejnej przekąski, kręcił się przy kiełbaskach i kotletach. Pociągał nosem. Wciągał w nozdrze ich zapach i gładził się ręką po płaskim jak deska brzuchu.

- Ludzie, umieram z głodu! - jęknął. - To wygląda super, naprawdę!

- Częstuj się! - odparłam, choć powinnam była raczej powiedzieć: „Poczekaj, cukiereczku, pozwól starym też się podelektować. Twoja ciocia Lucy ostrzegła mnie przed tobą”.

Ktoś jednak musiał chłopaka nauczyć dobrych manier, ponieważ oznajmił:

- Nie, dziękuję. Najpierw obsłużę innych. - Musiałam wyglądać na zaskoczoną, bo dodał: - Poważnie!

No, no! Co za dzieciak!

W chwilę potem rozejrzałam się po salonie, żeby sprawdzić, jaka panuje atmosfera. Arthur rozmawiał z Emily i Davidem. Lucy zabawiała tatę i Jima. Wzięłam ostatni samotny kotlet cielęcy, pół ziemniaka, łyżkę sałaty i usiadłam na podłodze koło stolika do kawy, podając sąsiadowi koszyk z chlebem.

- Toast! - powiedziałam. - Nie chcę być zbyt sentymentalna ani nic w tym rodzaju...

- Mamo, daj spokój! Oszczędź nam tego!

- Emily, złotko, pozwól mamie dokończyć, dobrze? - odezwała się Lucy.

Przypomniałam sobie, żeby zrobić kawy. Porządnej. Zdobywanie pola może być niebezpieczne.

- No, chciałam tylko podziękować! - Powiodłam wzrokiem po otaczających mnie twarzach. - Szczerze! Kocham was wszystkich i

dziękuję!

- Proszę! - Emily podniosła szklanę z dietetyczną colą.

- Nie ma za co. - Jim posłał mi całusa.

- My cię też kochamy! - oznajmił tato.

- Ojej! A mnie też kochasz? - zapytał Arthur. Wszyscy znieruchomieli i popatrzyli na mnie.

- Świr. Jedźmy, dobrze? - odparłam.

- Boże! Zaraz się rozplączę! - oznajmił.

Kobiety uśmiechały się, mężczyźni kręcili głowami. Arthur, choć odznaczał się idiotycznym poczuciem humoru, próbował stać się jednym z nas. A mnie, która nie miałam mężczyzny od ostatniej (a może i pierwszej) operacji plastycznej Lucy, ogromnie się to podobało.

Obiad, dzięki Bogu, był przepyszny. Wiesz, czasami pieczone ziemniaki mają chrupiącą skórę i mięciutki środek. I takie właśnie były. Osobiście uważam, że zależy to od ziemniaka i jego wilgotności czy czegoś w tym rodzaju. Mięso z kolei było średnio wysmażone i soczyste, sałata chrupka - ważne jest, by wybrać odpowiednią główkę - chleb świeży i smaczny. Doskonały pierwszy obiad. Wino sprawiło, że poczuliśmy się w swoim towarzystwie swobodnie i historie zaczęły płynąć jedna za drugą. Słyszałam wiele razy, że udane przyjęcie zależy od doboru gości, i teraz mogłam się przekonać, że to prawda. Grupka, którą zgromadziłam przy swoim stole, nadawała na tych samych falach. Idealnie dobrane towarzystwo.

Pierwsi wyszli tata i Lucy. Lucy oznajmiła, że musi natychmiast dokonać zmian na stronie internetowej, ale wiedzieliśmy dobrze, o co chodzi. David i Emily pojechali do Wal - Martu kupić miniwieżę do salonu; powiedzieli, że wrócą za jakąś godzinę. Jim upierał się, że pozmywa, i zaproponował, żebyśmy z Arthurem wybrali się na spacer po plaży. A choć o niczym innym nie marzyłam, wiedziałam, że pada z nóg, w rezultacie więc porządkami zajęliśmy się wspólnie. Kiedy zmywarka zaczęła szumieć, Jim wyszedł, zostawiając Arthura i mnie samych w kuchni.

- No to jak? Chcesz pospacerować?

- Na plaży zobaczyłam cię po raz pierwszy - odparłam - ale nie sądzisz, że powinniśmy poczekać na Emily i Davida?

- Pieprzyć ich. Dadzą sobie radę.

- Racja, do diabła z nimi. Wezmę tylko sweter.

Arthur poprawiał mi humor. Podczas gdy ja martwiłam się wszystkim, wyglądało na to, że on nie martwi się niczym.

Ruszyliśmy między wydmami. Uderzył nas ogrom nocy, oszalałając czarne niebo i śpiew oceanu. Świecił księżyc w pełni, rzucając słabą poświatę na plażę; takie światło widywałam w snach - ni to dzień, ni noc. Szliśmy brzegiem wody, buty zostawiliśmy na ścieżce. Włosy rozwiewał nam silny wiatr, twarze mieliśmy wilgotne i myślałam, że to najbardziej romantyczna chwila, jaką w życiu przeżyłam. Po kilku krokach Arthur przystanął, objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. Nogawki jego spodni były niemal w wodzie, zaczynał się przypiływ.

- Okay, Anno Lutz Abbot, teraz cię pocałuję.

- Uczciwe ostrzeżenie - odparłam bez żadnego absolutnie powodu, jak jakiś pokrecony mnich w domu aukcyjnym.

Kiedy jego usta spoczęły na moich, pomyślałam: Okay, rzuć mnie na ziemię. O nic nie dbam. Nie mogłabym się znudzić jego ustami, powiedziałam sobie. Pachniał dobrze, smakował dobrze i dobrze było go dotykać. Boże w niebiosach, myślałam, a serce biło mi coraz mocniej, wpadłam w tarapaty.

Staliśmy na skraju wody, całując się, odsuwając się od siebie, by spojrzeć sobie w twarz, i znowu się całując. Cofnęliśmy się w głąb plaży, żeby morze zupełnie nas nie przemoczyło, i dalej całowaliśmy się jak nastolatki.

- Arthur? - Tak?

- Od wieków tak się nie czułam - wyznałam, ujawniając prawdziwe emocje i narażając je na zranienie.

- Chcę się z tobą kochać, Anno.

O Boże! I co teraz, mądralo? Co teraz mu powiesz?

- Nie mogę - jęknęłam.

- Dlaczego? Głowa cię boli?

- Gorzej, mam w domu nastolatkę.

- Racja, więc może lepiej wracajmy. Chcesz już iść?

- Jeszcze nie.

Żadne z nas się nie poruszyło. Położyłam dłonie na jego twarzy i przesunęłam po niej palcami. Przysięgam, że miał idealny zarys szczęki i brody. Złapał mnie za przegub i pocałował w każdy palec, a potem we wnętrze dłoni. Przypiływ obmył nam stopy i znowu się przesunęliśmy. Tym razem oparłam się o jego pierś i objęłam go w pasie, a on mocno mnie przytulił. Mogłabym tak stać bardzo długo, może aż do wschodu słońca. Wydawało mi się, że spadam z krawędzi ziemi.

Później, kiedy przewracałam się na łóżku, starając się nie obudzić Emily, powtarzałam sobie, że moje uczucia do Arthura są czysto fizyczne.

Z drugiej jednak strony, naprawdę go lubiłam. Był sympatyczny, troskliwy, inteligentny, niezależny, miał poczucie humoru, może nie najwyższego lotu, ale zaraźliwe... Kiedy wyliczałam tak kolejne jego cechy, rozległ się głos z innego świata:

- Całowałaś się z nim?

- Jasne - odparłam. - Było świetnie.

- To dobrze, mamó. A teraz śpijmy, zgoda?

22. Czas rozpocząć przedstawienie!

Czy muszę w ogóle mówić, że w salonie byłam o wpół do ósmej, ubrana i umalowana tak, że każdy na mój widok padłby trupem, że piłam trzecią filiżankę kawy i byłam już po lekturze mojego horoskopu oraz felietonu Liz Smith? Bettina i Brigitte przychodziły o ósmej trzydzieści, Lucy, Jim i Emily mieli się zjawić o dziewiątej. Sprawdziłam rejestr wizyt. Brigitte miała klientki przez całe przedpołudnie, Bettina przez cały dzień, a ja trochę rano i trochę po południu. Altana Anny (Boże miłosierny, co za idiotyczna nazwa!) była prawie gotowa do działania.

Podniosłam głowę, kiedy wiekowy chevrolet Bettiny, krztusząc się i pokaszując, wjechał na parking, by znaleźć miejsce, gdzie mógłby podjąć próbę dokonania żywota. Skokami posuwał się do przodu, wyrzucając z rury wydechowej potężny obłok czarnych spalin. Kiedy Bettina wreszcie zahamowała, byłam pewna, że silnik wydał ostatnie tchnienie. Machaniem ręki rozpędzając spaliny, wydawała się mała przy swoim ogromnym aucie. Otworzyła wielgachny bagażnik i wyjęła jakieś pudło. Zgięta pod jego ciężarem, szybkim krokiem ruszyła przez parking.

- Hej! - zawołałam do niej. - Ale bryka, złotko! Mam wezwać ojca Michaela, żeby udzielił jej ostatniego namaszczenia?

- Tak wygląda, nie? Powiedziałam Tony'emu: „Słuchaj, jeżeli wlepią ci mandat za zanieczyszczanie środowiska tym jachtem, ty będziesz płacił, nie ja!” - odparła, po czym zatkało ją na widok wejścia do zakładu. - Cholera jasna! Co tu się stało?

- Mój były mąż miał przyływy natchnienia. Wejdz i zobacz, co jest w środku. Daj, pomogę ci. - Jacht, rzeczywiście. A raczej Kon - Tiki.

Zawróciła po następne pudło. Oto przybyła Bettina z Brooklynu i wprowadza się. Skrzynia, którą niosłam, musiała zawierać z tysiąc buteleczek z lakierem do paznokci. Upuściłam ją na kanapę przy drzwiach. Bettina szła tuż za mną z drugim pudłem.

- Zamówiłam lakiery - poinformowałam. - Chyba zapomniałam ci powiedzieć.

- Na razie przywiozłam swoje. Co jest, do diabła?... To miejsce

wygląda jak z Vegas!

Ta reakcja zdenerwowała mnie, mówiąc delikatnie. I tak dręczyła mnie niepewność.

- Myślisz, że za dużo tu wszystkiego?

- Na głowę upadłaś? Jest absolutnie rewelacyjnie! Bardzo mi się podoba! - Stała, drobny kościsty kurczak w czarnych stretchowych spodniach i czarnym topie, żuła gumę uśmiechnięta od ucha do ucha, komentowała każdy szczegół. - Jaki ekspres! W poprzedniej pracy mieliśmy zwykły, z filtrami! A te bambusy? Chryste! Chyba jestem w dżungli! I te rośliny! Wspaniałe! Kostaryka, bez dwóch zdań!

- Naprawdę?

- Przysięgam na Boga, Anno. Wieczorem w całym mieście będą o nas gadać! Może nawet przyjedzie ekipa z CNN! Z magazynu „People”! Kto wie? - Z rękami na biodrach obracała się w kółko. - Tak. Więc gdzie mam postawić stolik? O wpół do dziesiątej robię tipsy pani Milligan. Poczekaj, aż ludzie zobaczą ten salon! Zupełna rewelacja!

- Postaw go za fotelami po lewej. - Mały stolik do manikiuru zmieści się gdziekolwiek. - Albo nie, postaw tam, gdzie jest dobre światło.

- W lesie deszczowym nie ma za dużo światła, no nie? Dobra, tu jest przedłużacz, mogę zapalić lampę na stoliku. Jego plus to to, że zawsze mogę przejść z nim do klientki. Nie musisz mi mówić, dlaczego twój były mąż to wszystko zrobił. To nie moja sprawa. Zawsze pilnuję własnego nosa. Nauczyłam się tego w Nowym Jorku, jeśli wiesz, o czym mówię.

- Mój były mąż jest gejem i uwielbia tworzyć... sama nie wiem, scenerię?

- Jest kim?

- Posłuchaj, Bettino, coś ci powiem. Musimy mieć do siebie zaufanie. Przecież będziemy razem pracować, prawda? Prędzej czy później i tak wszystko sobie powiemy. Tak, dobrze słyszałaś, mój były mąż jest gejem. To długa historia...

- Nie wątpię!

- I kiedyś ci ją opowiem. W swoim czasie. On tu dzisiaj przyjdzie. Spodoba ci się, zobaczysz. Wszyscy go lubią.

- Cholera jasna, a mój Bobby myśli, że dekoracja wewnątrz to po prostu układanie piramidy z pustych puszek po piwie!

Bettina zaczęła się śmiać jak szalona, a jej drobne ciało całe przy tym aż dygotało. Był to zaraźliwy śmiech, którego od dawna mi brakowało, choć z drugiej strony, nie bardzo mi się podobało, że będzie przeklinać przy klientkach. Sama nigdy tego nie robiłam i miałam nadzieję, że ona też

się powstrzyma. Zaparzyłam dwie filiżanki kawy. Stuknęłyśmy się filiżankami i wypiliśmy.

- Witaj w Altanie Anny! Mąż i córka zmienili nazwę salonu.

- Pieprzysz!

- Nigdy nie pieprzę, Bettino, i nigdy nie używam takich słów w obecności klientów. Jeśli ty będziesz to robiła, za każdy brzydki wyraz będziesz musiała wrzucać dolara do skarbonki.

- Nie ma sprawy. Nie zobaczysz mojej forsy.

- Dobrze! Ty mojej też nie! - No, pomyślałam, mam nadzieję, że to załatwiło sprawę. - Tak, zmienili nazwę i zamówili nowy szyld. Ma być dostarczony dzisiaj rano. Będziemy zresztą mieć dwa. Ten nowy to neon. Czeką nas trochę zamieszania, ale co tam. Tacy byli z siebie zadowoleni i uradowani, że nie protestowałam.

- Też bym tak zrobiła. W końcu zbudowali ci tutaj plan filmowy i w ogóle.

- Właśnie!

- Cholera! Mam pomysł! Wiesz, co zrobimy? T - shirty! Możemy je sprzedawać. Z przodu napis ALTANA ANNY, a z tyłu POPRZEDNIO ZNANA PRZEZ PIĘĆ MINUT JAKO SALON FRYZJERSKI I KOSMETYCZNY „WYSPA PALM”!

- Absolutnie nie!

Ha, pomyślałam, zaczynamy. Trzymam bilet w jedną stronę do Tacky Town, pociąg już wyjeżdża ze stacji. Za późno, żeby ten bilet oddać w kasie. Może wszystko dobrze się ułoży. No, musiałam mieć taką nadzieję, bo przecież wszystko, co do mnie należało - i nie należało - było tutaj. Pokazałam Bettinie, jak obsługiwać ekspres, potem zajęłyśmy się naszymi stanowiskami pracy. Piętnaście po ósmej przyszła Brigitte.

Brigitte stanowiła kompletne przeciwieństwo Bettiny, co chyba było dobre. Za dużo wariatek w moim ciasnym salonie doprowadziłoby mnie do obłędu. Brigitte stanęła w progu i rozejrzała się zdumiona. Spodziewałam się takiej reakcji.

- Okay, powiedzcie mi, czy trafiłam pod podany adres.

- To długa historia, ale tak, jesteś we właściwym miejscu. Jest trochę zwariowane, prawda?

Brigitte milczała przez pięć minut, zastanawiając się nad odpowiedzią - cecha, którą bez wątpienia będę cenić, zważywszy tempo, z jaką słowa wrywały się z ust Bettiny.

- Tak, ale wiesz co? Wszystkie salony w Charlestonie wyglądają tak samo, to nudne! A to miejsce ma charakter. - Wzięła z moich rąk filiżankę

kawy i gwizdnęła cicho, wodząc wzrokiem po bambusowych ścianach i poczekalni. - Podoba mi się, naprawdę. Więcej, bardzo mi się podoba! Przypomina butiki z lat siedemdziesiątych, ale te światła i cała reszta są jak z „Jetsonów”. Wiesz, o co mi chodzi? Zasadnicze pytanie brzmi, kiedy to wszystko zrobiłaś?

- Mój były mąż to Szalejący Derwisz. Sprowadził swoich kumpli i razem poszli na całość.

- Powiedz im, że jak następnym razem będą się nudzić, niech wpadną do mnie! Boże kochany!

- Sama możesz mu to powiedzieć, niedługo tu będzie. Brigitte była profesjonalistką w każdym calu, o czym świadczył jej strój. Miała na sobie spodnie z czarnego lnu, klapki z czarnej skóry i wykrochmaloną białą lnianą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami, zupełnie niepogniecioną, co zważywszy na wilgoć, graniczyło z cudem. To była kobieta praktyczna i rozsądna, która potrafi poradzić sobie z każdym (czyli najbardziej nawet irytującą klientką), zachowując przy tym zimną krew. Taką miałam nadzieję.

O wpół do dziewiątej wtoczyła się reszta oddziału: Emily, Jim i Lucy.

- Cześć! Kupiłam pączki! Proszę, częstujcie się! Wszyscy wymienili słowa powitania, wszyscy zjedli po

pączku. Nie minęło pół godziny, a pierwsze klientki siedziały już w fotelu Brigitte i przy stoliku Bettiny. Jim, który najwyraźniej ustawił się na pozycji ulubieńca tłumów, zainstalował stereo. Wkrótce też wewnątrz wypełniły melodyjne, sentymentalne piosenki Sinatry.

Układałam świeżo umyte włosy Mary Meehan, kiedy drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich nie kto inny, jak panna Mavis.

- Przyszłam do Anny. Mycie i czesanie - zwróciła się do Lucy. - Czy ona robi loczki?

Z jej tonu każdy by się domyślił, że rozmowa z Lucy jej nie zachwyca.

- Witam, panno Mavis! - odparła Lucy. - Może tymczasem przejrzy pani gazetę. Anna na pewno zaraz panią przyjmie.

- Nie dzisiaj? - Panna Mavis pochyliła się, żeby usłyszeć, jak Lucy będzie powtarzać swoje słowa.

- Powiedziałam: Tak! Przyjmie panią za parę minut! Proszę usiąść, a ja przyniosę pani filiżankę kawy, dobrze?

Na nieszczęście Lucy powiedziała to za głośno, jak na gust panny Mavis.

- Nie musisz krzyczeć, młoda damo, nie jestem głucha. - Panna

Mavis wyprostowała się, prychnęła i odwróciła. Zajęła miejsce w rogu kanapy.

Wzięłam głęboki oddech i na sekundę oparłam dłonie o oparcie fotela. Mary Meehan, swoją klientkę, znałam od wieków.

Rozejrzała się i zapytała:

- Kim jest ta kobieta?

- To moja sąsiadka. - Pokręciłam głową. - Zaraz wracam, dobrze?

I szybko podeszłam do panny Mavis. Siedziała sztywno, tak daleko od Lucy, jak tylko się dało. Gdyby mowy ciała można było używać w charakterze broni, Lucy pewnie nie miałyby już którejś kończyny. Usiadłam obok staruszki. Wiedziałam, że kiedy do niej mówię, muszę być pewna, że patrzy mi na usta. Ujęłam jej dłonie i powiedziałam to, co - moim zdaniem - chciała usłyszeć od osoby, która szanowała jej drażliwe usposobienie.

- Tak się cieszę, że pani przyszła, panno Mavis! Co za cudowna niespodzianka! Zajmę się panią za dziesięć minut, dobrze?

- Dobrze - odparła - i myślę, że chętnie napiłabym się tej kawy. Proszę o czarną.

Lucy, z twarzą czerwoną jak pomidor, zerwała się na równe nogi. Panna Mavis posłała jej kolejne mordercze spojrzenie.

- Zostań na swoim miejscu, Lucy. Anna przyniesie mi kawę, prawda, moja droga?

Kawa już się parzyła. Mrugnęłam do Lucy, co jakimś cudem poprawiło jej samopoczucie, i uśmiechnęłam się do panny Mavis.

- A do tego może pączka? - zapytałam.

- Och, nie mogę! - odparła, wyraźnie czekając na słowa zachęty.

- Niech pani nie odmawia. Są jeszcze ciepłe.

- No dobrze, jeden na pewno mi nie zaszkodzi. Wiesz, muszę dbać o figurę.

Podaliśmy jej kawę i pączka na serwetce, po czym wróciłam do Mary, pochłoniętej rozmową przez komórkę z mężem.

- Tylko wpuść Sophie do domu - mówiła. Sophie to był jej pies, nie córka.

- Przepraszam! - szepnęłam.

- Nie ma za co.

Zaczęłam suszyć jej włosy, dostrzegając w lustrze, że Emily stoi i nic nie robi. Jak tylko skończę z Mary, to sobie z nią pogadam. Doprowadzała mnie do furii, kiedy tak się zachowywała. Leniwe dłonie to warsztat Szatana, powtarzały Siostry od Wyrzutów Sumienia. Jeśli czegoś

naprawdę nie znosiłam, to nadętych nastolatek, stojących jak słupy. Emily musi znaleźć sobie coś do roboty albo za chwilę wyjdę z siebie.

- Emily? Kochanie, poproś tatusia, dobrze?

Jim na zapleczu rozpakowywał kolejne pudło z czymś, co kupił, żeby wzbogacić nasz salon. Przyszedł z czterema butelkami kosmetyków do pielęgnacji włosów.

- Gwarantują proste włosy jak u dziewczyn, które uciekły z domu - oznajmił.

- Jasne! - prychnęła Mary. - Przy tej pogodzie!

- Ten spray mamy - powiedziałam, nie zwracając uwagi na ich wymianę zdań. - A to co, szampon?

- Podnieście głowy, tylko na minutę. Chodzi o rozmowę służbową, wiecie. - Jim obdarzył Mary jednym z tych swoich nieodpartyć uśmiechów, a ona o mało nie zemdląła z zachwytu. - Najpierw myjesz włosy tym. - I podstawił mi pod nos otwartą butelkę.

- Koktajl owocowy! - wykrzyknęłam. - Boże, można by go wypić!

- Daj powąchać - zażądała. - Jejku! Świetny!

- Następnie nakładasz to serum i tę odżywkę, spłukujesz po pięciu minutach - ciągnął Jim. - Na końcu rozpylasz spray przy cebulkach i rozczesujesz. Producenci przysięgają, że włosy będą proste i lśniące jak szkło.

- Skąd to wzięłeś? - zapytałam.

- Po co mam ci mówić? - odparł z przekornym mrugnięciem. - Wiesz, jeśli Mary zgodzi się wystąpić w charakterze królika doświadczalnego i jeśli te kosmetyki okażą się skuteczne, to może będziesz chciała mieć szampon i wszystko inne z nazwą swojego salonu. Produkują również coś takiego, żeby włosy się kręciły.

- Prostuj - oznajmiła Mary. - Ryzyk - fizyk.

I tak Mary wyszła z prostymi włosami, panna Mavis z loczkami, a ja poprosiłam Jima, żeby pokazał Emily, jak się używa szczotki do zamiatania.

- Chcesz w czasie wakacji trochę zarobić, prawda? - zapytałam.

- Tak - odparła, dogłębnie zszokowana faktem, że ktoś z jej inteligencją musi wymachiwać miotłą, żeby zapłacić za tatuaże zrobione henną oraz kolczyki wpinane w brwi. - Chyba tak.

- Nic lepszego nie mogę ci zaproponować. Będziesz przyjmowała zamówienia na lunch od klientek, układać wałki do trwałej, czyścić szklane półki, utrzymywać w porządku czasopisma.

- To wszystko?

- Jeśli jeszcze coś przyjdzie mi do głowy, dam ci znać.

W gruncie rzeczy Emily nie miała nic przeciwko pracy w salonie. Po prostu trochę udawała, że jest urażona. W dodatku, biorąc pod uwagę utratę funduszy od Trixie, nie zamierzała wcale się ze mną kłócić. No, a poza tym była tu Lucy, jej bezpośredni łącznik z Davidem, a tym samym z życiem towarzyskim. David na lato dostał pracę u Barnes'a & Noble'a w centrum handlowym. Przypuszczałam, że skończy się na tym, iż wieczory będą spędzać razem. W głębi serca liczyłam na to, że obecność Davida skłoni Emily do powrotu do naturalnego koloru włosów. Nie przeszkadzało mi wcale, że eksperymentowała w tej dziedzinie. Chodziło tylko o to, że Emily z włosami blond była bardziej do mnie podobna, a ja chciałam, żeby nasze związki były na pierwszy rzut oka oczywiste.

Przez cały dzień dzwonił telefon, a około trzeciej dostawca z Abide - A - While pojawił się w progu z palmą, na której gałęzi siedziała małpka. Na dołączonej karcie przeczytałam:

Poszalejmy!

Gratulacje! Życzę powodzenia!

Arthur

No, powiedziałam sobie, to dobry znak. Obiecujący.

Zadzwoiłam do Arthura, żeby mu podziękować.

- Nie musiałeś tego robić, ale bardzo mi się to podoba. Naprawdę. Dzięki.

- Wiesz, pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, co mi chodzi po głowie.

Od bardzo dawna nie zalecał się do mnie żaden godny zainteresowania wolny mężczyzna i teraz nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Poczułam, że się rumienię.

W końcu wyjąkałam:

- No tak. I co? Eee... no? - Oto ja, dorosła, opanowana kobieta, zamieniłam się w dziewczynkę z warkoczykami, o podrapanych kościstych kolanach, która bełkocze coś bezładnie.

- Doskonale powiedziane. I jak twój pierwszy dzień? Wiedziałam, że sobie ze mnie żartuje, przez co poczułam się jeszcze bardziej wytrącona z równowagi.

- Świetnie, naprawdę. Tak, bardzo dobrze. Lucy przyniosła pączki.

Cóż za idiotyzm! Powiedz mu, jak mile wspominasz spacer po plaży. Powiedz mu, że myślałaś o nim przed zaśnięciem. Do diabła, dziewczyno! Co go obchodzą pączki?

- Krispy Kremsy?

- Tak, są dobre. Martwa cisza.

- Jesteś tam? - zapytałam.
- Anno? - Tak?
- Nie mogę przestać o tobie myśleć.
- Cholera. Ja o tobie też.

Bettina podniosła głowę znad swojego stolika.

- Płacisz dolara - oznajmiła. Widziałam, że jej ramiona trzęsą się ze śmiechu.

- Chcę się z tobą zobaczyć.
- Dobrze - odparłam - ja z tobą też. Koło dziewiątej?
- Jasne. Przyjadę po ciebie.

Odłożyłam słuchawkę i rozejrzałam się. Bettina, jej klientka, Lucy, Brigitte, Jim i Emily gapili się na mnie.

- Cholera jasna - przemówiła Emily pierwsza - mama jest zakochana.
- Dolar! - wykrzyknęła Bettina.
- Nie bądź śmieszna - odparłam. - Mam randkę. Koniec tematu.
- Siadaj - poleciła Brigitte. - Zajmę się twoimi włosami.
- A ja zrobię ci manikiur - dodała Bettina.
- Anno - powiedział Jim - wrócę za godzinę.
- Dokąd się wybierasz? - zapytałam. Jest zazdrosny?
- Do sklepu Berlina, złotko. Potrzebujesz sukienki!

I zanim zdołałam go powstrzymać, zniknął za drzwiami. Nie był zazdrosny. Był wielkodusznym i szczodrym świętym.

- Chciałabym mieć takiego byłego męża - westchnęła Brigitte.
- A ja nie? - dodała Bettina.

Tego popołudnia miałam umówione jeszcze dwie klientki, przyszły też trzy osoby z biura handlu nieruchomościami w naszym centrum handlowym. Bettina wyszła o piątej, Brigitte skończyła pracę o szóstej.

- Nieźle jak na pierwszy dzień - orzekła Brigitte, porządkując swoje stanowisko. - Jestem zbyt zmęczona, żeby jeść, a to zwykle znaczy, że naprawdę się napracowałam! Anno, myślę, że będziemy miały tłok!

- Dzięki. Ciągle śnił mi się koszmarny sen, że otworzyłam salon i nikt nie przyszedł, no wiesz, jak do tego samotnego fachowca Maytaga.

- To ci nie grozi. Moim zdaniem powinnyśmy szybko znaleźć jeszcze dwie stylistki! Kiedy w czerwcu zjadą turyści, będzie tu dom wariatów!

- Oby tak było! Turyści!

- Dziewczyny z biura handlu nieruchomościami obiecały, że powiedzą o nas wszystkim swoim klientom. To dopiero będzie urwanie głowy!

- No cóż, wszystko ma dobre i złe strony. Do zobaczenia jutro.

W sumie był to obiecujący dzień. Zabrałam się do porządków przed zamknięciem: wycierałam umywalki i blaty. Emily mi pomagała.

- Tatuś jeszcze nie wrócił - zauważyła.

- Zadzwoń i powiedz mu, że jeśli nie zdąży tu przyjść, spotkamy się w domu.

- Okay. - Emily pobiegła do telefonu.

Do umywalni, gdzie starałam się posprzątać, nie niszcząc mojego francuskiego manikiuru, podeszła Lucy.

- Twoje wizyty na jutro - oznajmiła. - Tej klientce dodałam pół godziny, bo chce trwałą pasemka i coś tam jeszcze, a to, moim zdaniem, będzie wymagało trochę czasu.

- Dobrze, dziękuję - powiedziałam. A potem spojrzałam na listę. Mój dzień zaczynał się o ósmej i był wypełniony do siódmej. - Chcesz mnie wykończyć?

- Nie, dbam tylko o własną zainwestowaną gotówkę - odparła Lucy. - Nie sądzicie, że czas na drinka? Aha Emily! Dzwonił David, pytał, czy pójdziesz z nim dzisiaj do kina. Powiedziałam mu, że tak. Masz ochotę?

Spojrzałyśmy na Emily, której na twarzy malował się wyraz kompletnej paniki.

- Jasne - powiedziała. - Czemu nie?

Poszła do toalety, zamknęła drzwi, włączyła klimatyzację i wrzasnęła:

- Aaauuu! Nienawidzę dorosłych!

Lucy i ja wybuchnęłyśmy śmiechem. Drzwi otworzyły się i Emily wyszła.

- Już mi lepiej - oznajmiła, wyraźnie zadowolona z randki z Davidem.

- Dobrze - powiedziałam. - W takim razie spadamy. Mamy kilka serc do złamania.

23. Nocny spacer po krótkim molo

Jim wrócił koło siódmej, obładowany tyłoma pakunkami, że nawet wielbłąd padłby trupem. Szykowałam kolejny wystawny obiad (uwaga, słowo „wystawny” użyte żartobliwie), z tym zwariowanym makaronem, który Emily uwielbiała, kiedy była mała. Najpierw smażyysz cztery kawałki bekonu, aż jest naprawdę chrupiący, potem go osaczasz. Na odrobinie tłuszczu - odrobinie, bo inaczej serce ci pęknie - szklisz cebulę i rozpuszczasz kostkę bulionu z drobiu. Następnie dodajesz puszkę pomidorów i pokrojony bekon. Gotujesz i odcedzasz makaron, wrzucasz do sosu razem z parmezanem i już masz, dziecinko, pyszne jedzonko.

Do tego chleb czosnkowy, sałata - i czujesz się jak najlepszy włoski kucharz. O tak, pławiłam się we wspaniałości tego dnia. Nowy biznes,

prawdopodobnie nowy facet i jeszcze Jim, który zamierzał zmienić mój image jakimś superstrojem.

- Okay, dziewczęta! Chodźcie tu do mnie! Chodźcie! Tatuś wrócił do domu z mnóstwem dobrych rzeczy dla swoich kobiet! - Rzucił torby na podłogę, a sam padł na kanapę. - Ledwo żyję. Bolał mnie wszystkie kości! Nogi mi odpadają! Jestem starym, zmęczonym człowiekiem. Hej!

Udawał, że umiera, co wywołało u Emily atak śmiechu. Choć miewała swoje humory, Jim doskonale wiedział, jak ją rozbawić.

Podaliśmy mu lampkę wina.

- Proszę, najdroższy!

- A dla mnie też coś kupiłeś? - zapytała Emily.

- Przecież wiesz, że tak!

Emily zdjęła mu buty i zaczęła masować stopę, a ja połaskotałam go w drugą.

- Przestań! To okropnie na mnie działa! - Uwolnił się ze śmiechem. - Wy jędze, dlaczego mnie tak torturujecie?

- O, masz łaskotki? - zapytałam. - Przepraszam, złotko, nie miałam o tym pojęcia! - I rozmasowałam mu stopę. - Jesteś głodny?

- Mógłbym zjeść konia z kopytami - odparł. - Ściśle rzecz biorąc, kiedyś nawet jadłem. Był całkiem dobry. W niektórych miejscach to specjał.

Emily spojrzała na niego uważnie, by sprawdzić, czy nie kłamie. Kiedy zorientowała się, że mówi prawdę, jęknęła:

- Fuj. Fuj. Fuj. Okropne.

- I po to wydaję fortunę na twoje studia? Faj? Siadajmy do stołu - powiedziałam.

- Najpierw zjemy, a potem obejrzymy zakupy? - zapytał Jim.

- Tak, bo wystygnie.

Nałożyliśmy sobie makaron na talerze w kuchni, ciesząc się, że wszyscy jesteśmy szczupli.

- Jeśli kiedyś rozbudujesz dom, mamó, to absolutnie musisz zacząć od kuchni.

- Najpierw muszę ostrzyc dwa tysiące głów! - odparłam, stawiając na stole swój talerz i miskę z sałatą. - Niech ktoś wyjmie chleb z pieca, zgoda?

Przy stole znowu pomyślałam, jak bardzo jestem szczęśliwa. Wystarczało mi, że są ze mną. Mój Boże. Niektóre dni to czysta poezja.

- Dzień był super, no nie, mamó? Boże, ale to dobre.

- Dzień był cudowny - przytaknęłam. Po chwili dodałam: - Obiad

byłby nieudany, gdybym wam nie powiedziała, jak bardzo was oboje kocham. - Nie wiem, co mnie napadło, ale nagle zalałam się łzami. - Przepraszam, taka jestem szczęśliwa.

Emily wstała, żeby przynieść mi chusteczkę, a Jim mruknął:

- Kobiety.

Emily podała mi chusteczkę. Wydmuchałam nos, trąbiąc z siłą grzmotu, i wszyscyśmy wybuchnęli śmiechem. Emily pogładziła mnie po plecach, tak samo jak ja robiłam to jej, kiedy była mała. Znowu zachciało mi się płakać.

- Co za dzień - powtórzyłam.

Uniosłam głowę znad stołu i zobaczyłam Davida Przystojniaka w drzwiach. Najwyraźniej moje łzy wprawiły go w zakłopotanie i na pewno słyszał, jak wycierałam nos.

- Wejdz - zaprosiłam, pociągając nosem. - Jadłeś już?

- Cześć! Może przyszedłem nie w porę? Hm, właściwie nie jadłem. Ciocia Lucy wybiera się na randkę i jestem trochę... hej, wspaniałe pachnie.

- Przyniosę ci talerz - powiedziała Emily - siadaj.

- Dzięki.

Założyłam, że Lucy ma randkę z tatą, ale coś w środku mówiło mi, że chyba jednak nie. Zanim miałam czas dłużej się nad tym zastanowić, niesamowite ubrania, buty i dodatki zostały rozpakowane, wybrano dla mnie strój na wieczór, Emily opuściła dom, uczepiona ramienia Davida, naczynia były umyte, Jim leżał w łóżku, chrapiąc jak dzikie zwierzę, a Arthur pukał do drzwi. Jeśli już nic innego, to przynajmniej ładnie pachniałam. Jim od stóp do głów spryskał mnie perfumami Chanel o nazwie Allure. Cóż, lepszy chemiczny powab niż żaden.

- Cześć! - powitałam Arthura. - Fajnie, że jesteś! Co za zwariowany dzień.

On jednak nie wszedł do środka. Stał i patrzył na mnie jak na towar w folii, wystawiony w Piggly Wiggly. No, przynajmniej miałam nadzieję, że jego spojrzenie właśnie to wyrażało.

- Pięknie wyglądasz - oświadczył.

Jak mógł? Mnie się wydawało, że wyglądam jak dziwka w obcistej sukience, w której - zdaniem Emily i Jima - prezentowałam się rewelacyjnie. Kiedy jednak spojrzałam na Arthura, niepewność znikła i zobaczyłam kogoś, kogo pragnęłam z taką siłą, jak nikogo od długiego czasu. A może nigdy. To straszne znajdować się w takim stanie. Każda chwila pulsowała oczekiwaniem, w moich żyłach pienił się szampan

perrier.

- Dziękuję - powiedziałam, otwierając drzwi - pachniesz, no, cudownie.

- Nie zanadto wyrafinowane otwarcie randki, co? Chodź tu.

- Cóż, chyba wyszłam z praktyki.

I tam, w progu mojego nowego domu, w dniu, kiedy otworzyłam nową firmę, mój nowy chłopak pocałował mnie swoimi doskonałymi ustami. Próbowałam sobie przypomnieć ostatniego mężczyznę, którego usta tak idealnie pasowałyby do moich, i absolutnie żaden nie przychodził mi do głowy. Postanowiłam wykorzystać okazję do maksimum i pozwolić mu całować mnie do woli. Ucieszysz się pewnie, jak powiem, że wprowadziłam Arthura do salonu. Nie chciałam, żeby moje życie seksualne toczyło się na dworze, tak by cały świat mógł je skomentować. Wiesz, mam jednak pewne poczucie przyzwoitości.

Pchnęłam go na kanapę, a moja nowa granatowa sukienka z bawełny i spandeksu, dopasowana jak pończocha, zaczęła mi się lekko podnosić na biodrach. I co z tego? Oparty o poduszki Arthur wciągał mnie na siebie. Nie widział mojego tyłka. Zajęty był odczuwaniem tego, co ja też czułam. Robiło się coraz goręcej. Całowaliśmy się jak, Bóg wie, para erotomanów, którym desperacko potrzebna jest terapia; jeden z moich nowych czerwonych pantofli poleciał przez pokój i wylądował na podłodze z głuchym pacnięciem. Zaraz potem drugi podążył w jego ślady. Arthurowi koszula wysunęła się ze spodni i przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy w ogóle uda nam się dotrzeć do sypialni. Były przyśpieszone oddechy, długie spojrzenie wyrażające zgodę i całowanie zaczęło się od nowa, tym razem w sposób mniej zwierzęcy, spokojniejszy. Ale, Boże wielki, zmierzałam prosto do piekła po śliskiej drodze grzechu i byłam zachwycona tą przechadzką. Bez mojej inicjatywy nie mieliśmy zejść z tej kanapy. Dłonie Arthura przylegały ciasno do mojej pupy, moja dłoń od jego paska zmierzała w kierunku rozporka. Do diabła z nieśmiałością, pomyślałam. Usłyszałam czyjś krzyk.

- Och! Mój Boże! Co tu się dzieje? Chryste, mam, daj spokój!

Emily i David wrócili do domu. Usiadłam wstrząśnięta, nie patrząc w ich stronę, i usiłowałam poprawić włosy oraz odzyskać panowanie nad sobą. Temperatura mojego ciała wynosiła jakieś trzysta stopni. Arthur z wysiłkiem usiadł również, spychając mnie na sąsiednią poduchę. Obciągnęłam sukienkę tak, jak się dało.

- Eee, poczekam na zewnątrz - powiedział David uśmiechając się ironicznie.

Drzwi pokoju Emily otworzyły się i zamknęły.

- Obrzydliwość! - rzuciła przez ściśnięte gardło. Potem trzasnęły drzwi łazienki. Minęła minuta. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Następnie trzasnęły drzwi mojej sypialni.

- Aaaa! - wrzasnęła Emily. Drzwi się otworzyły. Trzasnęły. Emily minęła nas biegiem i trzasnęła drzwiami wejściowymi.

Spojrzeliliśmy na siebie z Arthurem. Usłyszeliśmy, jak samochód Davida odjeżdża. W domu zapanowała niemal martwa cisza, zakłócana jedynie chrapaniem Jima, przedzierającym się przez ściany. Tajemnicą jest, jak mógł przespać całe to zamieszanie.

- Twoja córka umie popsuć imprezę - odezwał się Arthur.

- Mogłabym umrzeć. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. No wiesz, gdybym ja ją przyłapała w takiej sytuacji, byłaby uziemiona na sto lat.

- Więc nie dajmy się drugi raz przyłapać - odparł Arthur. - Rusz się, idziemy do mnie.

- A co z kolacją? Chociaż ja już jadłam. - Głupszej rzeczy nie mogłam chyba powiedzieć, no nie? Ludzie, kiedy namiętność we mnie ostygła, spadła jak kamień prosto w dół do pieprzonego bieguna południowego! - Wrócimy później? Powinniśmy do kogoś zadzwonić? Co nie znaczy, że chcę do kogoś dzwonić...

Stał przede mną z rękoma skrzyżowanymi na piersi i kręcił głową. W policzkach miał dołeczki, oczy mu błyszczały.

- Wiesz co? Tutaj czuję się niewystarczająco bezpiecznie. Ja też już jadłem. Bierz torebkę i zmywamy się stąd, dobrze?

No, poczułam się jak oślica. Oślica pierwszej klasy.

Pojechaliśmy do niego czy raczej do jego przyjaciela. Był to kolejny stary dom, bardzo podobny do tego, w którym się wychowałam, tylko że ten usytuowany był nad szlakiem wodnym, frontem skierowany do oceanu. Z wnętrza dochodziło gwałtowne ujadanie psów.

Ustawiony był na palach, na osłoniętym moskitierami ganku wałały się stare malowane fotele na biegunach w najrozmaitszych rozmiarach. Lampa nad wejściem zardzewiała od słonego powietrza, drzwiom przydałaby się nowa warstwa farby. Bynajmniej nie chciałam nic krytykować. Wręcz przeciwnie, niedoskonałości nadawały domowi swojski wygląd. Poszłam za Arthurem do znajdującej się na lewo od wejścia kuchni. Nikki i drugi seter skakały wokół nas, błagając o pieśczętę, ciasteczko albo spacer. Nigdy nie wiem, o co chodzi psom. Dość mam problemów z ludźmi.

- No, mała, siad. Ringo, uspokój się. Wino? - Arthur wetknął głowę

do lodówki. - Piwo? Cos - mo - po - li - tan?

- Bardzo śmieszne. Boże! Czy to się będzie wlokło za mną do śmierci? Ringo? Ten pies wabi się Ringo?

- Tak. Mój przyjaciel jest wielkim wielbicielem Beatlesów. Ja też.

- I ja.

Uśmiechnął się do mnie, bo przypuszczalnie wiedza, że łączy nas coś jeszcze poza gwałtowną żądzą zderzenia z siebie ubrania, dodawała mu otuchy.

- Pomyślałem, że możemy posiedzieć na frontowym ganku i popatrzeć na światła albo pójść na spacer, jeśli komary nie będą za dużo dawały się we znaki.

Odetchnęłam.

- Z największą przyjemnością. Wieje miły wietrzyk. Poczułam ulgę, że nie zamierza zaczynać od punktu, w którym skończyliśmy. Powrót Emily i Davida sprawił, że nerwy miałam w strzępach i, szczerze mówiąc, dał mi okazję do zastanowienia się, czy warto z takim pośpiechem rzucać się na materac. Tak, chciałam uprawiać seks z Arthurem, ale staroświecka dziewczyna we mnie radziła, żeby się wstrzymać. Wiedziałam, że świat skacze do łóżka przy pierwszej sposobności, ale mnie to nie odpowiadało. Za bardzo go lubiłam.

Patrzyłam na jego dłonie, odkorkowujące butelkę. Były duże, piękne, męskie. Oczywiście zastanawiałam się nad związkami pomiędzy rozmiarem dłoni a - cóż, wiesz o co mi chodzi. Czytałam o tym w „Cosmopolitan”, ale nie jestem pewna, czy przeprowadzono stosowne badania na poparcie tej tezy. Powiedziałam sobie, że powinnam się wstydić, i zaraz się roześmiałam, zupełnie niezawstydzona.

- Co cię tak bawi? - zapytał Arthur, podając mi kieliszek.

- Wszystko. Zastanawiałam się, co też Emily powiedziała Davidowi. - Nie było w tym za grosz prawdy, ale za to zrećnienie udało mi się wybrnąć. - Potrafisz sobie wyobrazić?

- Twoim obowiązkiem jest zapewnianie dziecku trudnych przeżyć. Zdrówko!

- Człowieku, idę o zakład, że dalej się tym gryzie!

- No, jestem pewien, że w jej oczach był to skandaliczny widok. Chodź.

Poszłam za nim do głównego holu, gdzie przystanął, by zapalić kilka lamp. Dom był całkiem ładny, ale od razu rzucało się w oczy, że mieszka w nim mężczyzna. Z rozmiaru obitej czarną skórą sofy domyśliłam się, że się rozkłada. Telewizor miał wielki ekran (transmisje sportowe), przed nim

stały dwa fotele, żeby móc wygodnie obserwować, jak Clemson próbuje skopać Alabamie tyłek. Stolik do kawy był pusty, nigdzie ani śladu zdjęć żywych ludzi - tylko krajobrazy i zwierzęta - ani roślin. W jadalni po drugiej stronie holu pysznił się ciemny wiktoriański stół, zarzucony pocztą. Krzesła wyglądały tak, jakby nie używano ich od lat. Nie widziałam żadnej sypialni i domyśliłam się, że te pokoje znajdują się na piętrze. Nie poprosiłam jednak o ich pokazanie. Znowu grzecznie się zachowywałam. Na razie.

- Ach, ganek! Założę się, że spędziłem więcej wieczorów na tym ganku niż gdziekolwiek indziej, odkąd tu mieszkam.

Dla ścisłości: ganek był długi i szeroki, z jednej strony ustawiono ogromne fotele, z drugiej zawieszono hamak. Ten ganek stanowił największą zaletę domu i bez wątpienia był najważniejszym powodem, dla którego przyjaciel Arthura kupił ten dom. Stałam, patrząc na migoczące na wodzie światła i małe łodzie, kołyszące się na wzbudzonej przez siebie fali. Co za noc na marzenia, pomyślałam.

- Tu jest naprawdę pięknie - powiedziałam.

- Usiądź, proszę. Wiesz, o czym myślałem?

- Nie mam pojęcia.

- Myślałem, że chociaż widzę cię trzeci albo czwarty raz, nic o tobie nie wiem poza tym, że kiedyś byłaś żoną Jima, masz córkę, która byłaby oszałamiająco piękna, gdyby zmyła to świństwo z włosów, nie umiesz pić dobrej wódki, masz nowy dom i firmę. Kim jesteś, Anno?

- Co masz na myśli, pytając, kim jestem?

- To, co powiedziałem. Chcę wiedzieć, o czym myślisz, jakie miałaś dzieciństwo, z iloma facetami spałaś...

- Co?!

- Jeśli chodzi o facetów, to był żart. Siadaj obok mnie i wszystko mi o sobie opowiedz. Jaka jest twoja największa namiętność?

Namiętność?

- I tak bym ci przecież nie powiedziała! - Kolejna sprytna próba, mająca na celu uchylenie się od odpowiedzi.

Wstrzymałam oddech i usiadłam obok niego. No, jestem gadułą, ale nagle zabrakło mi słów. Zastanawiałam się, kto ostatnio zadał mi tak osobiste pytanie. Może wynikało to z charakteru mojej pracy, byłam jednak przyzwyczajona raczej do słuchania wynurzeń innych ludzi. To ja zajmowałam się cudzymi problemami i udzielałam rad przy każdym pociągnięciu szczotką.

A namiętność? Czy w ogóle jakąś miałam poza tą fizyczną? Teraz,

kiedy „geograficzna” namiętność do wyspy i pragnienie samodzielności zostały zrealizowane, co pozostało? Na czym jeszcze, o ile w ogóle, mi zależało?

I rzecz nie w tym, że moim zdaniem nikogo nie obchodziło, co dzieje się w mojej głowie - na pewno tata, Jim, Frannie i nawet Szalona Lucy z chęcią wysłuchaliby niemal wszystkiego. Ta sytuacja była inna. Pytanie Arthura stwarzało mi okazję do wypróbowania mojej nowej osobowości, tej szaty kobiety samodzielnej. Zaczęłam ją nosić, kiedy podpisałam umowę najmu i kredyt hipoteczny.

- Kot odgryzł ci język?

Wiatr wiał, powietrze słodko pachniało. Szukałam sposobu na powiedzenie Arthurowi tego, co chciałam, żeby o mnie myślał. Zdecydowałam, że po prostu zacznę i pozwolę, żeby słowa same płynęły. Łatwiej mówić prawdę w mroku, cokolwiek owej nocy było tą prawdą.

- Nie odgryzł, chodzi tylko o to, że od dawna nikt mnie o to nie pytał. Mnóstwo się zmieniło. Wiesz, ruszyłam do przodu po długim okresie spędzonym na wstecznym bądź jałowym biegu.

- W tej obcistej sukience masz automatyczną skrzynię biegów?

- Tak, a z ciebie naprawdę niezły komik.

- No, dalej, zwier się wujkowi Arthurowi ze wszystkich sekretów. Nikomu nie powtórzę!

- Proszę, to jeden z sekretów. Uwielbiam ganki nocą i tylko na tej wyspie mogę być szczęśliwa. Nie wiem, co takiego ma w sobie Wyspa Palm.

- A więc to znaczy, że nie zamieszkaż ze mną w Nepalu?

- To na północ od Columbii?

- O tak, sporo na północ.

- W takim razie nie mogę pojechać. Umarłabym tam. - Uśmiechnęłam się na myśl o ucieczce z Arthurem.

- Cholera. Ja naprawdę lubię Nepal, ser z mleka jaków i tak dalej. Więc chodzi o wyspę? A może to Atlantyk ma na ciebie taki tajemniczy wpływ?

- Nie, wyspa. Zdecydowanie wyspa. - Te słowa sprawiły, że wróciłam w czasy dzieciństwa, a niektóre wspomnienia z tego okresu były zabawne. A równocześnie usiłowałam rozstrzygnąć, czy Arthurowi zależy na prawdzie, czy też na rozrywce. Opowiedziałam się po stronie rozrywki. - Okay. Pomyślisz, że jestem głupia.

- Sam osądzę, co jest głupie.

- Zgoda. Kiedy byłam mała, naprawdę mała, myślałam, że jak

dorosnę, zostanę piratem. A mówiąc ściślej, chciałam odnaleźć kufry ze złotem Czarnobrodego, które podobno zakopane są na wyspie.

- Żartujesz? Czarnobrody?

- Tak, Czarnobrody. Wiesz, niektórym ludziom się wydaje, że na plaży są tylko bary, ale się mylą. Wyspa Palm kryje również zabytki historii.

- Jasne.

- Przysięgam!

- Słuchaj, zgadzam się, jeśli chodzi o Wyspę Sullivana i Charleston. Nawet jankescy cudzoziemcy, jak ja, wiedzą, że wykopano tam „Hunleya” („Hunley” to okręt z czasów amerykańskiej wojny o niepodległość (przyp. tłum.)). Myślałem, że wszyscy piraci mieszkali na Barbadosie i w podobnych miejscach.

- No, tam też byli, ale statki Czarnobrodego stanowiły pierwszą flotę wyspy, strzegąc portu, gdzie znajdowały się wszystkie łupy.

- Nigdy o tym nie słyszałem. No i co byś zrobiła, gdybyś znalazła kufer pełen złota?

- Trudne pytanie. Pewnie byłabym po prostu bogata. Wiesz, wspaniałe rowery, lepsze zabawki... takie rzeczy. Byłam wtedy dzieckiem. Teraz raczej zadzwoniłabym do maklera, żeby omówić portfel akcji.

- Jasne. - Arthur westchnął i wstał. - Nie wiesz, maleńka, że pieniądze to źródło wszelkiego zła? - I na nowo nappełnił mój kieliszek.

- Pieniądze mogą zepsuć ludzi, to nie ulega wątpliwości. Dzięki. Tak sobie myślę, że dosyć to zawsze było mniej więcej dwa razy tyle, ile w danym momencie miałam.

- Ja też.

Zapadła cisza. Wyczuwałam jego rozczarowanie, że nie powiedziałam nic więcej. I niewykluczone też, że byłoby miło, gdybym ja zainteresowała się nim. Ludzie często pytają o rzeczy, o które sami chcą być pytani, prawda?

- A ty co robisz w Charlestonie? I skąd jesteś?

Ku mojemu zaskoczeniu, podstawił mi pod nogi podnózek z ogromną poduchą. Wyciągnęłam się, kopnięciem po raz drugi tego wieczoru zrzuciłam buty. Gdybym wiedziała, że będziemy siedzieć na ganku, zamiast jechać gdzieś do

miasta, włożyłabym szorty. Gdybym jednak tak zrobiła, sukienka nie miałaby szansy wywołać takich oszałamiających reakcji. Jest coś o wiele bardziej seksownego w gołych nogach wystających z obcisłej sukienki niż z szortów w kolorze khaki.

- Urodziłem się w Connecticut, a po rozwodzie rodziców chodziłem do szkoły w Nowym Jorku. Rozwiedli się, kiedy byłem mały.

Nie myliłam się. Chciał mi o sobie opowiedzieć.

- Masz rodzeństwo? - Nie.

- Kolejny jedynak, jak ja.

- Zrobiłem dyplom z biznesu na uniwersytecie w Nowym Jorku, a potem zainteresowałem się branżą gastronomiczną, bo zacząłem z kumplem prowadzić restaurację. Zanim się spostrzegłem, po szyję tkwiłem w serach. Sery są obecnie modne.

- Wygląda na to, że wszystko ma swoje pięć minut. Jak quiche i tak dalej. Jim pewnie by się z tobą zgodził.

- Właśnie. Zapytaj go o zalety chardonnay w zestawieniu z białym sauvignonem. Albo merlota i caberneta.

- I co, byłeś kiedyś żonaty?

Głęboko westchnąwszy, odpowiedział w możliwie najkrótszy sposób.

- Boże, tak, byłem żonaty. Nigdy więcej tego nie zrobię. Ja też nie, pomyślałam.

- Masz dzieci?

- Syna. Mieszka z matką na Upper West Side. Mam kawalerkę w Village na East Tenth Street. Zawsze wołałem dolny Manhattan.

- Cóż, nigdy nie byłem w Nowym Jorku, ale też bym chyba wołała. No wiesz, ciągle się słyszy, że jest tam przyjemniej i spokojniej.

- Tak, ale nigdy tak cicho i spokojnie jak tu. Może masz rację co do tej wyspy. Popatrzmy na noc.

- Zgoda - odparłam. Arthur znowu sięgnął po butelkę.

- Ile lat ma twój syn?

- Jesienią skończy osiemnaście. Chcesz jeszcze kropelkę? - Jasne - powiedziałam, podnosząc się, by z nim

wyść. - Czemu nie. I jaki on jest?

- Lepszy ode mnie.

- W to wątpię. Jak ma na imię?

- Charlie. Chce zostać psychologiem dziecięcym. Przypuszczam, że próbuje uporządkować sobie całe to emocjonalne bagno, w którym żył, kiedy razem z jego matką dokładaliśmy starań, żeby mu zepsuć dzieciństwo. Ma wielkie serce.

- Nie wierzę, że zrujnowałeś mu dzieciństwo. To znaczy, jeśli wie, że oboje go kochacie, to już dużo.

I wtedy zobaczyłam jego oczy. Mimo mroku powiedziały mi, że nie udało mu się zapewnić synowi najbardziej podstawowej rzeczy, jakiej

wymaga się od rodziców: potwierdzenia, że go kocha. Zastanawiałam się dlaczego.

- Chodźmy - odezwał się. - Księżyc wschodzi. Drzwi z siatką przeciw owadom skrzypiały przy

otwieraniu i trzaskały przy zamykaniu na każdym ganku na tej wyspie, na którym bywałam. Wszystkie drzwi tego typu pęczniały od deszczu i kurczyły się z zimna. Nigdy nie wisiały całkiem prosto na zawiasach i nie stanowiły skutecznej bariery dla utrapionych moskitów. Wydawały jednak dźwięk, który był kojący. Ktoś przychodził, ktoś wychodził. Wilgotna trawa tłumiała kroki, ale każdy słyszał skrzypnięcie i trzask drzwi. To był odgłos dający poczucie bezpieczeństwa i stałości.

Zeszliśmy po drewnianych schodach. Na dole Arthur wziął mnie za rękę.

- Uważaj, gdzie stąpasz - uprzedził. - Grunt jest tu nierówny.

Miałam zdecydowanie nieodpowiednie buty. Po chwili potknęłam się i Arthur mnie podtrzymał. I tak po raz trzeci tego wieczoru zdjęłam pantofle i powiesiłam je sobie na palcu.

- Wiesz zapewne, że dzięki temu nigdy tych butów nie zniszczysz?

- Bardzo śmieszne, przystojniaku. Nie wiedziałam, dokąd pójdziemy.

- No, możemy potem wpaść na szklaneczkę do Boathouse.

- Zobaczymy - odparłam. - Już jest późno.

Zeszliśmy w dół podwórzem. Poruszałam się ostrożnie jak staruszka, omijając kamienie. Na końcu pływającego mola usiedliśmy, zwieszając nogi nad wodą. Zaczynał się przypływ.

- Gdzie łódź? - zapytałam. - Jaka łódź?

- Arthurze, nawet taki Janek jak ty musi wiedzieć, że bez sensu jest budować przystań, jeśli się nie ma łodzi.

- Nie wiem. Mike nie ma łodzi. Może powinienem jakąś wynająć. Popływalibyśmy sobie przy świetle księżyca. Sąsiad czasami korzysta z tego mola. Może pożyczmy nam łódź.

- Zapytaj go. Bardzo bym chciała. Przygotuję koszyk z jedzeniem.

Coś było nie tak. Arthur oddalił się, zamknął w sobie, jakby jego myśli powędrowały gdzieś daleko stąd. Zgadywałam, że myśli o byłej żonie, i żałowałam, że zadałam mu te wszystkie pytania na temat jego rodziny.

- Powiedz, o czym myślisz - wyrwała się moja wewnętrzna masochistka.

- Że chciałbym... sam nie wiem - odparł i przyciągnął mnie do siebie - że chciałbym umieć naprawdę kochać Coś jest ze mną nie tak, Anno?

- Ale? - Taka byłam skupiona na powiewie wiatru, ramieniu Arthura na moich plecach, księżycu, migotaniu słonej wody, że mogłoby powiedzieć: Przykro mi, ale straciłem to na wojnie, a ja usłyszałabym, że oboje jesteście doskonali, usłyszałabym wszystko, tylko nie to, co naprawdę powiedział. Według mnie wyznał, że chciałby kochać. A nie, że nie potrafi.

Pocałował mnie, zobligowany do tego sytuacją. No wiesz, w księżycowy wieczór przyprowadzasz dziewczynę na molo, więc co innego ci pozostało? Całujesz ją znowu i znowu, twoje serce przemawia do jej serca, a ona słyszy nieme wołanie o pomoc.

- Nie angażuj się w związek ze mną, Anno - ostrzegł. - Nie potrafię sobie z tym radzić.

- Chyba żartujesz. Nigdy się nie angażuję - zełgałam jak z nut.

Nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz w moim życiu, sprawię, żeby Arthur mnie pokochał. Potrzebował mnie. Tego byłam pewna.

24. Prawdziwy kocioł

Zostałam madame Ovary (Ovary (ang.) - jajnik. Aluzja do madame Bovary (przyp. tłum.)). Do końca tygodnia Arthur nie wychodził mi z głowy. Był moją pierwszą myślą rano, ostatnią przed zaśnięciem, a przez resztę czasu fantazjowałam na jego temat. To przez te cholerne usta i dołeczki. Nie wspominając już o jego zapachu, wzroście, sylwetce, cerze i o tym, jak czułam się w jego objęciach. Czy wspominałam, jak to było, kiedy mnie całował? Poza tymi drobnymi, acz częstymi myślami, które mnie rozpraszały, panowałam nad wszystkim doskonale.

Od niedzielnego wieczoru nie widzieliśmy się - pracy było tyle, że życie przypominało cyklon. A co ważniejsze, nie spaliśmy ze sobą. Tak jakoś wyszło. Kiedy dotarło do mnie tamtego wieczoru, jak jest późno, wyrwałam się z jakąś głupią uwagą o godzinie. Nadal staliśmy na końcu mola, ociągając się z odejściem.

- O mój Boże! Już wpół do dwunastej! - wykrzyknęłam.

- Naprawdę? W takim razie odwiozę cię do domu.

Odwiezie mnie do domu? I jak miałam na to zareagować? Och, pomyliłam się! Jest jeszcze wcześniej! No tak.

Ten mężczyzna trzymał mój umysł w kluczu francuskim. Łapiesz? Klucz francuski? Okay, to było głupie. Ale zrozum, jeszcze nie potrafiłam się zorientować, czy mówił poważnie, żebym się nie angażowała. Ale przecież już omal do tego nie doszło. Rozmawialiśmy krótko w czwartek - ja do niego zadzwoniłam, bo denerwowałam się (czytaj: obsesyjnie się lękałam), że on do mnie nie dzwoni. Mówiłam sobie, że wszystko jest w

porządku, bo przecież nie żyjemy w końcu w latach pięćdziesiątych, a ja jestem kobietą wyzwoloną. Tak czy inaczej, dopięłam swego, ponieważ umówiliśmy się na niedzielę. Trochę byłam niespokojna, bo chociaż chciał się ze mną spotkać, w jego głosie wyczuwałam mniejszy entuzjazm niż w poprzednim tygodniu. No cóż, w niedzielę pokażę mu się z najlepszej strony i sam się przekona, że to, co traktuje z taką rezerwą, warte jest posiadania. I porozmawiam o tym z Jimem. Oraz z Frannie. Z Emily nie, bo każdy wieczór spędza z Davidem. Dlaczego dla niej jest to takie proste? Jasne. Młodość.

Nadszedł piątek. W salonie cały tydzień miałyśmy wypełniony. Pojawili się ludzie od neonu i zamontowali nowy szyld, dostarczono też papier firmowy, Lucy zmieniła stronę w Internecie, a telefon od rana do wieczora wprost się urywał. Altana Anny była na topie, złotko.

Największym szokiem były jednak kwiaty na biurku Lucy. Od kogo je dostała, od taty? Nie pamiętałam, żeby tato kiedykolwiek posłał komuś kwiaty, ale doszliśmy z Jimem do wniosku, że musieli się poprztykać i teraz ojciec w taki sposób chciał Lucy przeprosić. Wydawało mi się, że chodzi o poprzednią niedzielę, ale nie zapytałam. Pomyślałam, że Lucy sama mi powie, jeśli będzie chciała. I nie pomyliłam się.

Miałam przerwę między klientkami. Przy kanapkach z tuńczykiem omawiałam z Jimem jego powrót do San Francisco. Staliśmy nad pralką, która stanowiła kolejne przypomnienie przyziemnej rzeczywistości salonu fryzjerskiego. Lucy podeszła do nas, przekonana, że jesteśmy ciekawi, od kogo dostała bukiet. Okazało się, że nasze przypuszczenia były słuszne.

- Nie chcę, żebyś pomyślała, że cię w to wciągają, Anno, ale wściekłam się na twojego tatę.

- Przypuszczalnie na to zasłużył - odpowiedziałam bez mrugnięcia okiem.

Jim uniósł brwi.

- Co zrobił ten utrapieniec?

- Ja chciałam gdzieś wyjść, a on nie miał ochoty. Woli bawić się w dom, jeśli wicie, o co mi chodzi.

- Błagam! ZDI! - zawołał Jim, machając rękami. Za dużo informacji.

Wstrząsnęłam się, bo przelotna wizja taty z Lucy przewierciła mi w mózgu dziurę na wylot.

- Ale to prawda! Nagadałam mu, ile wlezie. Powiedziałam: Dougle, kochanie, owszem, lubię coś ugotować i tak dalej, ale chciałabym też czasem pójść na przykład do restauracji!

- Wydaje mi się, że to uczciwe postawienie sprawy - odparłam,

unikając jej wzroku.

- On na to, że nie potrafi sobie wyobrazić miejsca lepszego od mojego domu i że nie powinnam mu mówić, jak ma wydawać swoje pieniądze. Słyszeliście kiedyś bardziej arogancką odzywkę? No więc w sobotę wybrałam się na kolację z kimś innym.

Cmoknęliśmy i pokręciliśmy głowami.

- To do niego podobne - orzekłam. - Nie jest to najgorsza rzecz, jaką można w życiu usłyszeć, ale przyznaję, nie jest też miła.

- Typowe dla Dougle'a - dodał Jim. - Ma strasznego węża w kieszeni.

- A z kim poszłaś?

- Z bardzo miłym facetem, którego poznałam na czacie. Zaprosił mnie do Cypress i zapłacił!

Czat. Któregoś dnia Lucy wpakuje się w kłopoty. Potruchtała z powrotem do recepcji, wzmocniona naszym wsparciem oraz bukietem obrzydliwych różowych goździków za dwadzieścia pięć dolarów. Nigdy nie znosiłam goździków, kojarzyły mi się z chorymi, którzy dostają kwiaty od ludzi przerzucających na obce osoby ich własne obowiązki. Salowa wyniesie basen, ty przyniesiesz bukiet. Z wielkim trudem potrafiłam uznać seksualność taty, a możesz mi wierzyć, jego niejasne intencje wobec Lucy były ostatnią sprawą, o jakiej chciałabym myśleć. Goździki wszystko zdradziły. Jezu Chryste.

Tak, Jim przygotowywał się do odlotu, wracał do San Francisco, a mnie bardzo się to nie podobało.

- Powiedziałeś Trixie, kiedy wyjeżdżasz? - zapytałam.

- Tak. Królowa matka dalej obgryza paznokcie z powodu Emily. Wiesz, jakie straty spowoduje zamknięcie przez nią kurka ze szmałem? Bo wiesz, mogę pomóc.

- Najdroższy, i tak już za dużo zrobiłeś! A poza tym Emily zarabia. Niech się trochę napoci. Będzie miała nauczkę.

- Boże, twarda jesteś. Kiedy się taka zrobiłaś?

- Zdradzę ci sekret. Matki wiedzą, że demony biorą w posiadanie dusze ich nastoletnich córek tuż po pojawieniu się pierwszego pryszcza. Przypuszczam, że u mnie proces twardnienia rozpoczął się, kiedy Emily miała mniej więcej dwanaście lat.

- Cóż, przypominam sobie, że w tamtym okresie wydzwaniała do mnie z płaczem, że dałaś jej klapsa albo nazwałaś ją gówniarą.

- Tak, to był początek. Boże, myślę, że mogłabym wychować dziesięciu chłopców, użytkując nie więcej energii, niż pochłanianie wychowanie jednej dziewczynki.

Wiem, wydaje się dziwne, że Jim nie płaci na dziecko, normalne zaś, że nie pomaga regularnie finansowo mnie. Jakże mogłabym go o to prosić? To by nie było uczciwe. Poza tym nasz układ świetnie się sprawdzał. Kiedy czegoś potrzebowałam, wystarczyło tylko napomknąć, a pieniądze lądowały na moim koncie. Jim był jedynym ojcem, jakiego Emily znała, i mimo że zaczęła artykułować swoje podejrzenia w tej kwestii, pozwalaliśmy, żeby dalej wszystko toczyło się jak dotąd.

Odgryzłam potężny kawałek kanapki i popiłam słodką herbatą. Jim i ja jedliśmy tak, jakby to były zawody. Za dziesięć minut miała przyjść umówiona klientka, a on chciał załatwić sprawy na mieście. Za każdym razem, kiedy sięgałam po ziemniaczanego chipsa, trzepał mnie po ręce.

- Nie jedz tego! Cellulitis! Chcesz mojego pikla?

- Robiłam tak, zanim spotkałam Arthura - odparłam, wiedząc, że nie powinnam tego mówić.

- Dziewczyno! Jesteś okropna! No i jak układa się z monsieur Camembertem? Masz coś do zrelacjonowania? Myślałem, że teraz kręci się przy tobie całutki tydzień.

- Chciałabym. Ten facet to ciekawy okaz.

- Ciekawy? Do jakiego stopnia?

- W zeszłą niedzielę po kolacji poszliśmy na spacer, pamiętasz?

- Tak, pamiętam.

- No i był prawdziwym uosobieniem romantyzmu, całował mnie, wtulał się w moją szyję i tak dalej.

- Jak dotąd, nie widzę problemu.

- I przysłał mi to drzewko z małpką...

- Urocze...

- Wystroiłeś mnie w nowe ciuchy, i znowu wyszliśmy.

Tym razem do jego domu, kiedy już Emily skokowo dorosła o dziesięć lat, przyłapując nas na kanapie...

- Mówiła mi. Na Boga, Anno! Nie jesteś na to trochę za stara?

- Och, zamknij się i słuchaj, nadęty głupku! - No!

- Nie przerywaj, bo zaraz muszę zrobić pasemka pani Stith. No więc siedzimy na moło, pijemy wino i on się do mnie dobiera. Bardzo mi się to podoba i jemu też. A potem znienacka mówi mi, żebym nie angażowała się w związek z nim. Do diabła, co to niby ma znaczyć?

- Stary jak świat sposób, by kobieta padła mężczyźnie do stóp. Prosty i skuteczny. Kobiety zawsze chcą tego, czego, w swoim mniemaniu, nie mogą mieć.

- Chryste. - A w duchu pomyślałam sobie, czy naprawdę bardziej by

mu na mnie zależało, gdyby sądził, że się w nim nie zadurzę? Cóż za bezdenne głupota! - Jim, zadam ci jedno pytanie. Dlaczego dwie chętne do tego dorosłe osoby nie mogą po prostu cieszyć się miłością, pożądaniem czy co to tam jest? Jak długo ludzie będą bawić się ze sobą w ciuciubabkę?

- Zawsze. Twój problem polega na tym, że masz za wysokie oczekiwania wobec związku. Mężczyźni zakochani są w sobie i swoich ptaszkach. Kropka, koniec opowieści. Zakochują się, kiedy jest już za późno na odwrót albo kiedy nie mogą dostać się do twoich majtek. I jeśli do końca życia nie będziesz hołubić ich ego, wcześniej czy później się odkochają. Takie są fakty, słoneczko.

- Matko Boska, to takie prozaiczne, no nie?

- Anno, przyszła twoja klientka - oznajmiła melodyjnym głosem przez interkom Lucy.

- Życie jest brutalne, Anno, dobrze o tym wiesz. Weź Gary'ego i mnie. Weź siebie i mnie.

- Tak, ale my się kochamy, prawda?

- To inna sprawa. Znamy się przez całe życie i mamy dziecko. Rozpoczynanie nowego związku z nowym partnerem w naszym wieku napawa, bądź co bądź, optymizmem. Palisz się do tego faceta, racja?

- Płonę.

- Więc po prostu pieprz się z nim, ile możesz, i zapomnij o reszcie. Zabaw się, rozumiesz?

Rozstałam się z Jimem kompletnie zniechęcona. Czy naprawdę tak to wszystko wygląda?

Tamtego popołudnia zrobiłam pasemka pani Stith, trwała pani Clarkin i ostrzygłam cztery inne klientki. Przez cały czas szukałam w pamięci pary, której małżeństwo trwałoby dziesiątki lat. Myślałam o tacie i mamie. Tata namiętnie kochał mamę, wszyscy to wiedzieli. Ale dlaczego? Znałam odpowiedź! Przykra prawda brzmiała tak, że kochał ją nie dla niej samej, tylko dla tego, jak dzięki niej się czuł. Czy taka jest natura miłości mężczyzny do kobiety? Nie chodzi o to, co masz do zaoferowania, tylko jak działasz na jego samopoczucie?

Piłam kawę, kiedy zjawiała się moja ostatnia klientka. Caroline Wimbley Levine.

Panna Wysokie Sosny zawsze podawała oba nazwiska. Napuszona, bogata, raczej upierdliwa, była moją klientką od mniej więcej roku. Byłam zaskoczona, że dla mnie przyjechała na Wyspę Palm, skoro mieszkała pod Jacksonboro na plantacji swojej matki. Chociaż, prawdę mówiąc, teraz, kiedy jej matka nie żyła, plantacja należała do niej. Boże, jak ja lubiałam

starą panią Lavinie. Uważałam ją za niezwykle miłą osobę. Caroline niegodna była czyścić butów swojej matce, w każdym razie ja tak sądziłam. Ale pieniądze to pieniądze, a ja dokonywałam cudów ze strąkami na głowie, bo sama takie miałam. Panna Caroline, z włosami rozczesanymi przez Emily, czekała na mnie w fotelu.

- Witam, panno Caroline - powiedziałam grzecznie - dziękuję, że zadała sobie pani trud, by przyjechać tutaj. - Stopą nacisnęłam pedał i podniosłam fotel.

- Anno, to miejsce jest po prostu niezwykle! Uwielbiam je! Czy to pani córka? Jest bardzo inteligentna!

Może jednak nie taka znowu suka z tej Caroline.

- Tak, to moja Emily. Studiuje w Georgetown. Teraz spędza wakacje w domu.

- Och, nie wiedziałam, że w Georgetown w Karolinie Południowej jest college.

- Nie ma. Emily studiuje na Georgetown University w Waszyngtonie. Przeszła właśnie na drugi rok.

- Żartuje pani. Jak jej się udało tam dostać? Cóż, jednak była suką.

- Jej prapradziadkiem był John Carroll, założyciel uczelni. - Była to absolutna nieprawda, ale nawet nie mrugnęłam powieką. - Poza tym miała bardzo dobre oceny, a na egzaminie końcowym uzyskała tysiąc sześćset punktów. - Jak łączyć, to na całego, no nie? - Tak, naprawdę jesteśmy z niej dumni. To skarb. - Wypchaj się tym swoim pochodzeniem, zarozumiała babo!

- Tak, musi pani być z niej dumna! - Niebieskie oczy Caroline były wielkie jak spodki. - Ja bym na pani miejscu była. Wie pani, mój syn ma problemy z nauką.

Okay, nie jest suką.

- Nie wiedziałam. Przykro mi.

- Och, jest bardzo inteligentny i w ogóle, ale zawsze miał kłopoty z pisaniem. Gadać potrafi jak najęty, ma bogate słownictwo i tak dalej. Ach, więc pani córka studiuje na Georgetown. To naprawdę wspaniałe. Co za dziewczyna!

Uśmiechnęłam się do niej w lustrze i pomyślałam, że rozmowa z nią jest dowodem na to, dlaczego lepiej słuchać, niż mówić.

- Tak - potwierdziłam. - Ma pani ochotę na koktajl mleczny? Albo filiżankę cappuccino?

- Cappuccino byłoby wspaniałe.

- Dzięki - powiedziałam i podeszłam do ekspresu. Stała tam Bettina.

Wszystko się w niej gotowało, bo

słyszała naszą wymianę zdań i tylko krok dzielił ją od popełnienia morderstwa.

- Kim ona jest, do diabła?

- Dobrą klientką - odparłam. - Nie denerwuj się. - Wsyłałam do maszyny kawę i speniłam mleko, czekając, aż aromatyczny płyn zacznie spływać do filiżanki.

- Anno, zrobię jej woskowanie jak do brazylijskiego bikini. To ją załatwi.

- Wyluzuj, Brooklyn. - Lekko trzepnęłam Bettinę po szczupłym ramieniu. - A może zaproponujesz jej manikiur? Chyba nie jesteś zajęta?

- Dobry pomysł.

Nim wróciłam do Caroline z kawą, Bettina już tam była.

- Wie pani co, kochana? Może zajmę się pani paznokciami?

- Dobrze, czemu nie - odparła Caroline. - Nie miałam manikiuru od tygodni.

- Proszę bardzo. - Podałam jej filiżankę. - Co dzisiaj robimy?

- Układamy. Jutro rano idę na wesele, przyjęcie odbędzie się na dworze. Przy tej wilgoci moje włosy trzeba by w zasadzie przybić gwoździami do głowy. Robią mi się tu te małe loczki. - Wskazała na czoło.

- A może wyprostuję pani włosy? Trochę to potrwa, ale będą proste przez pół roku.

Jej oczy znowu stały się wielkie jak spodki.

- To znaczy, że przez pół roku nie będę musiała używać żelazka?

- Gwarantuję. To środek najzupełniej pewny. No i będzie pani musiała tu spędzić czas mniej więcej do dziewiątej wieczór.

- Ile ten zabieg kosztuje? A zresztą, kogo to obchodzi? Niech pani zaczyna! Tylko najpierw zadzwonię do narzeczonego.

I z jaskrawoczerwonej torebki od Louisa Vuittona wyjęła lśniący telefon komórkowy, po czym jednym przyciśnięciem wywołała numer narzeczonego.

Poszłam wymieszać odżywkę i roztwory, myśląc o jej portfelu. Ile powinnam policzyć? Może na przykład czterysta dolarów - w tym sto jako gratyfikację za przetrzymanie mnie w salonie do dziewiątej.

Caroline nadal gruchała z narzeczoną, kiedy do niej wróciłam. Bettina już zaczęła manikiur, pilując paznokcie z taką samą zawziętością, z jaką żuła gumę. Będę musiała z nią o tym pogadać.

- Pozdrowienia od Jacka - uśmiechnęła się do mnie Caroline.

Pozdrowienia od Jacka, rzeczywiście. Nie znam go i ty też go nie

znasz.

- Jakie to miłe! Proszę mu powiedzieć, że też go pozdrawiam i zapraszam do mojego salonu. Jeśli zechce, zajmę się nim i będzie wyglądał jak Tom Cruise - odparłam, myśląc przy tym, że pewnego dnia przypadkowo na moim fotelu usiądzie telepata i będzie po zabawie.

- On już wygląda jak Tom Cruise! - wykrzyknęła Caroline dziewczęcym, egzaltowanym głosem, który mężczyźni tak uwielbiają. - No, może jak starszy brat Toma.

- Tak? - wtrąciła Bettina. - W takim razie niech pani mu powie, żeby koniecznie przyszedł! Zrobię mu masaż na koszt firmy!

I wybuchnęła tym swoim podobnym do chrapania śmiechem, a my nie mogłyśmy powstrzymać się od chichotów. Byłam speszona, bo zorientowałam się, że nasz śmiech - mój i Caroline - brzmiał pusto, jakbyśmy były po prostu złąknione okazji do niego, i może rzeczywiście tak było. Pewnie jednak miałam coś wspólnego z panną Wimbley Levine - jakiś rodzaj głodu.

Nałożyłam na jej włosy silnie działającą odżywkę i wsadziłam Caroline pod suszarkę na pół godziny. To miało chronić i przygotować włosy do zabiegu. Podałam klientce ostatnie numery „Skirt”, „W” i „Town & Country”. W szumie suszarki nie usłyszała ani słowa z tego, co do niej mówiłam.

Minęła szósta, większość personelu przygotowywała się do wyjścia. Pierwsza dobrej nocy życzyła nam Brigitte.

- O której mogę się tu rano zjawić? - zapytała.

- A o której masz pierwszą wizytę?

- Goście weselni chcieliby zacząć o siódmej. Panna młoda, sześć drухen, matka panny młodej. Och! Nienawidzę wesel.

- Mam ci pomóc?

- A mogłabyś? Boże! Dzięki, Anno, będę twoją dłużniczką.

- Nie ma sprawy. Do zobaczenia o siódmej! Przynieś pączki!

- Będą chyba chciały manikiuru, no nie?

- Możesz się założyć! - odparłam.

- Świetnie! - rzuciła i wyszła.

Patrzyłam za Brigitte i myślałam, że przez cały tydzień nieustannie ciężko pracowała i spokojnie, po cichu sprowadzała nową klientelę w hurtowych ilościach. Licząc według stopnia uciążliwości, goście weselni plasują się odrobinę wyżej od dziewcząt szykujących się na bal maturalny. Stres przeżywany przez pannę młodą i jej matkę już jest dostatecznie trudny do zniesienia, a dodaj do tego jedną ciężarną drухnę, jedną

zbzikowaną przyszłą szwagierkę i co najmniej jedną inną świeżo - poślubioną - - komuś - mądrzejszemu - i - z - większymi - perspektywami - - niż - przyszły - panny - młodej. Wiąże się z tym dla stylisty tyle nerwów, że usprawiedliwić by to mogło trzymanie w szufladzie całego opakowania zolofa. W tym wypadku oznaczało to jeszcze, że o dziesiątej rano będziemy wszystkie ugotowane na resztę dnia, za to z wyraźnie grubszym portfelem. Z punktu widzenia interesu trzeba jednak być skończoną idiotką, żeby odmówić gościom weselnym, a poza tym to naprawdę bardzo miłe, kiedy ma się pewien udział w czyimś święcie.

Lucy załatwiła przelew bankowy na następny dzień i zwróciła się do Emily:

- Dzisiaj też wychodzicie?

- Tak. Wybieramy się do meksykańskiej restauracji, a potem do kina. Miałaby pani ochotę pójść z nami? David chce obejrzeć „Gwiezdne wojny”.

Lucy i ja spojrzaliśmy po sobie. Jej to pochlebiało. Ja wiedziałam lepiej. To, że Emily zaprosiła Lucy, coś znaczyło. Albo Emily chciała zarobić u Lucy punkty z przyczyn absolutnie niepojętych, albo przestała lubić Davida. A przecież szalała na jego punkcie, natomiast za grosz jej nie obchodziło zdanie Lucy. Wszyscy o tym wiedzieli. Tak więc, i to wyjaśnienie było najbardziej prawdopodobne, smarkacze planowali po kinie gdzieś się urwać, ale zaprosili ciocię Lucy, żebyśmy obie sobie pomyślały: Co za wspaniałe dzieciaki, kiedy o pierwszej w nocy chyłkiem wślizną się do domu.

- Emily, masz wrócić najpóźniej o jedenastej. Chcę, żebyś rano była przytomna i zapięta na ostatni guzik.

- Cholera jasna! - rzuciła. Znam tę małą czy nie?

- David zrozumie. Pracujesz, no nie? A o siódmej mamy gości weselnych. Wrzuć dolca do puszk.

- Cholera jasna! - powtórzyła Emily, idąc po torebkę. . - Mogę się pożegnać z kinem. No, po prostu świetnie.

- Dwa dolce! - poprawiłam się.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała mnie szeptem Lucy.

- Znaczy, że nie będziesz musiała siedzieć na „Gwiezdnym wojnach” - mruknęłam pod nosem.

- Chwała Bogu. Em, złotko, dziękuję za zaproszenie, ale wieczorem chyba wcześniej pójdę spać. Wy z Davidem idźcie i dobrze się bawcie. Chodź, podwiozę cię do domu.

Sprawdzałam, jak długo Caroline musi jeszcze siedzieć pod suszarką,

kiedy drzwi się otworzyły.

- Och, wi - tam! - przeciągle zawołała Lucy. Podniosłam głowę i zobaczyłam bardzo przystojnego mężczyznę. Dobiegał pięćdziesiątki i był fatalnie ostrzyżony. Na jego twarzy malowała się konsternacja.

- Jack! - powitała go Caroline, po czym wysunęła się spod suszarki. - Słuchajcie, to jest Jack!

Bettina i ja przywitałyśmy się z przybyłym. Kiedy spojrzałam mu w oczy, przebiegła pomiędzy nami słaba iskra.

Podrywasz chłopaka swojej klientki, Anno. To nie wypada.

Natychmiast odwróciłam wzrok, mając nadzieję, że on też puści incydent w niepamięć.

- Co to za salon? Kto jest właścicielem? Tarzan? - I wybuchnął śmiechem, przekonany, że powiedział coś bardzo dowcipnego.

- Nie, ja. Może pan mi mówić Sheena. Napije się pan czegoś? - zapytałam. - Może kawy?

- Nie, dziękuję. - Jack zwrócił się do Caroline: - Co ty wyprawiasz? Zostajesz tu na noc? Myślałem, że pójdziemy razem na kolację.

Kiedy poirytowany obcy przekracza próg salonu i zaczyna się wściekać, doświadczona fryzjerka wycofuje się i natychmiast zaczyna się gorliwie czymś zajmować, by ktoś nie pomyślał, że podsłuchuje, choć zwykle jej uwagi nie uchodzi ani jedno słowo.

- Kochanie, tak mi przykro - mówiła Caroline - ale wiesz, trafiła mi się okazja wyprostowania włosów, a Anna akurat miała czas, więc się zdecydowałam. Może na kolację wybierzemy się jutro?

- Jutro wieczorem mam dyżur - odparł Jack.

Hm. Lekarz. Nieźle, powiedziałam sobie, i szybko wyrzuciłam z głowy myśl o zostaniu panią doktorową Jackową. Poza tym medycy na ogół mieli życie w ruinie. Niewiele trzeba, żeby zepchnąć Arthura na boczny tor, ale...

- No to może dzisiaj, ale później?

- O której będziesz gotowa?

Caroline stała na palcach, co było absolutnie zbędne, i całowała go w policzek, kiedy znów się pojawiłam.

- O wpół do dziesiątej - informowałam. - Boże, tak mi przykro, że pokrzyżowałam wam plany. Nic o nich nie wiedziałam. - No cóż, mówiłam szczerze. Chociaż nie wiem, dlaczego czułam się w obowiązku ich przeproszać, poza tym, że nie chciałam, by ten Jack źle o mnie myślał.

- Nic się nie stało, Anno. Bez przerwy chodzimy na kolacje, prawda,

kochanie?

- Tak, prawda - potwierdził narzeczony Caroline.

- Jack, jeśli miałby pan ochotę, w lodówce jest dobre wino i trochę sera. Bettino, może zaprowadzisz pana i wszystko mu pokażesz? Dzięki temu nikt nie będzie pokrzywdzony.

Jack pojaśniał, a Bettina powiedziała:

- Chodź ze mną, koteczku. Jack wzruszył ramionami.

- Właściwie czemu nie? Łyk wina dobrze mi robi. - Przez chwilę wszystkieśmy patrzyły, jak Bettina kręci biodrami i uśmiecha się szeroko, prowadząc Jacka na zaplecze.

- Niezły z niej numerek - orzekła Caroline. - To mężatka?

- Nie martwiłabym się tym, że Bettina będzie próbowała uwieść Jacka. Jest zupełnie nieszkodliwa i bardzo, bardzo zameżna.

- Skoro pani tak mówi...

Przyszło mi do głowy, że jeśli tak się niepokoi o Jacka, to czemu zrezygnowała z kolacji?

Wyplukałam jej włosy, posadziłam ją na krześle, rozczesałam i wysuszyłam.

- Dobrze. Zanim zaczniemy, powiem pani, co dalej robić. Żadnych kucyków, spinek ani gumek, żadnego mycia szamponem przez czterdzieści osiem godzin, dobrze? Nie może nawet pani zakładać włosów za uszy. Rozumiemy się? - Stałam i wlewałam do miski mydło niczym jedna z wieźm w „Makbecie”.

- Dobrze, ale dlaczego?

- Bo gumki i spinki zostawią ślady na włosach, a szampon zneutralizuje nałożony środek. Po trwałej też nie używamy szamponu.

- Powiem pani, że żyjemy w niesamowitym świecie. Moja mama bardzo często powtarzała: Duma nie zna cierpienia.

- Pani mama miała rację co do dumy i w każdej innej sprawie też. Bardzo ją kochałam.

- Tak za nią tęsknię, że omal nie umrę.

- No, jeśli pani umrze, to przynajmniej będzie pani miała świetne włosy w trumnie - odparłam i zaczęłam dzielić je na pasma.

Nałożyłam środek prostujący na każde, odczekałam dziesięć minut, po czym ręcznikiem wytarłam włosy, aż zrobiły się suche jak pieprz. Następnie przesunęłam po każdym paśmie żelazkiem do prostowania z neutralizatorem, od czasu do czasu upijając łyk wina. Pozostali gadali jak nakręceny. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy dokładnie takie czynności w takiej właśnie kolejności powinnam wykonywać, ale wyglądało na to, że

wszystko jest w porządku, skoro włosy nie spadały jeszcze na podłogę. To była ulga. Powoli głowa Caroline zaczęła lśnić jak nawoskowana i naprawdę patrzyliśmy na moje dzieło z podziwem.

- Niesamowite - orzekła Bettina. - Mnie też możesz to zrobić?

- Jasne, ale nie dzisiaj - odparłam. - W przyszłym tygodniu.

Bettina zdążyła już namówić Jacka na umycie głowy oraz masaż karku i ramion - na koszt firmy.

- Niech pan wszystkim powie, że Bettina robi najlepszy masaż, jakiego pan w życiu spróbował - powiedziała, z całych sił atakując mięśnie Jacka. - Człowieku, ale pan spięty! Za dużo stresu!

- Chyba tak. To jest świetne!

- Też będę musiała się tego nauczyć! - powiedziała Caroline.

Cieniowałam teraz jej proste jak drut włosy na pasma, żeby się swobodnie poruszały. Gdyby Jack był mój, znałabym na pamięć każdą wiązkę mięśni w jego ciele. Niektóre kobiety mają szczęście.

Włosy Caroline wyglądały cudownie. Nawet ona to przyznała.

- Rany, Anno! To cud!

- Tak - odparłam - rzeczywiście zadziwiające. Cieszę się, że się pani podoba.

- Wyglądasz rewelacyjnie, Caroline. Zapłaćmy i pozwólmy paniom wykorzystać resztę wieczoru.

Bettina posprzątała i zabrała się do gaszenia lamp. Wręczyłam Caroline rachunek na czterysta dwadzieścia dolarów. Dochodziła dziesiąta, padałam wprost z nóg. Caroline zapłaciła kartą, podpisała paragon i dodała hojny napiwek.

Torebkę przyniosła mi Bettina, która zapaliła też nocne światła i wyłączyła ekspres. Ja stałam i patrzyłam, jak Jack otwiera drzwi samochodu Caroline i sprawdza, czy zapięła pasy. Byłam zazdrosna i wstydziłam się tego uczucia.

- Ten facet jest uroczy - zauważyłam.

- Oto jakie życie jest łaskawe dla bogatych kobiet - rzuciła filozoficznie Bettina.

- To znaczy?

- Nie znają żadnych zmartwień, rozumiesz?

- Jej syn ma kłopoty z nauką.

- A ona jest naprawdę miła?

- To zwykła lalka.

- Cholera jasna.

- Daj spokój, Brooklyn, fajrant na dzisiaj. A jutro wrzucisz dolca do

pudelka.

Przez całą drogę zastanawiałam się nad jednym: czego brakuje mi do szczęścia poza tymi wszystkimi błogosławieństwami, które już na mnie spłynęły? Jaka namiętność wciąż kryje się w moim sercu niespełniona? Znałam odpowiedź. Dobry, solidny partner na długi czas. A co miałam? Arthura. Arthura, Serowego Eksperta, który nie chce się angażować.

25. Dobranoc i dzień dobry

W sobotę w salonie panowało szaleństwo. Po gościach weselnych klientki przychodziły jedna za drugą, nie miałyśmy chwili przerwy. Emily jęczała, Bettina nieprzerwanie żuła gumę, telefony się urywały, suszarki huczały, komórki grały wszystko, od „Claire de Lune” po „The Mexican Hat Dance”: oto odgłosy rentownego, dobrze rozwijającego się interesu, i gdybym nie była taka wykończona, uczciłabym to godnie.

Pamiętam, jak w pewnym momencie Lucy wepchnęła mi do ust kawałek bajgla z sałatką z tuńczyka. W innej chwili dostarczono kwiat doniczkowy - prawdopodobnie prezent od taty z życzeniami dla nas wszystkich albo od męża Bettiny, albo od wielbiciela Brigitte. Osoba nadawcy nie obchodziła mnie za grosz. W stopach czułam pulsowanie. Kiedy wreszcie wieczorem dotarłam do domu, byłam zbyt zmęczona, żeby cokolwiek zjeść. Jeszcze nie zapadł zmierzch, a ja już wczołgałam się pod kołdrę. Musiałam polegać na rozsądku Emily, a Jima zostawić samemu sobie. Nie budzili mnie, choć pamiętam, że słyszałam ich rozmowę.

- Jest wykończona - powiedziała Emily. - Niech śpi.

- Może powinienem dać jej jakieś witaminy - zastanawiał się Jim.

I dopiero poranne słońce obudziło mnie ze snu tak głębokiego, że kiedy otworzyłam oczy, nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Emily spała obok mnie, w domu panowała cisza. Wstałam po cichu i umyłam twarz. Postanowiłam pójść na spacer plażą, czego przez cały tydzień nie robiłam.

Jeszcze nie minęła szósta, lecz ptaki śpiewały i gorliwie przekomarzały się w najlepsze. Powietrze było gęste i wilgotne, niemal mokre. Przeszłam przez wydmy i spojrzałam przed siebie. Jak zawsze, zaparło mi dech w piersiach, tak wspaniały widok ujrzałam. Przyływ był prawie w pełni, ocean wdzierał się w ląd, ku wzgórkom wodorostów, i beztrasko rozrzucał na piasku kawałki drewna.

Przyływ na Wyspie Palm był przytłaczający, człowiek miał wrażenie, że coś się ku niemu skrada, żeby go porwać i pożreć. Uznałam, że lepiej będzie usiąść i patrzeć, niż iść po mokrym piasku brzegiem morza. Tylko bym się zamoczyła. Tak więc po kilku krokach usadowiłam się na pniu palmy.

No, powiedziałam sobie, z firmą chyba będzie dobrze. Mamy dość klientów, to pewne, i nikt nie narzeka na ceny. Wielki ciężar spadł mi z serca.

Późnym popołudniem miałam się spotkać z Arthurem. Nie angażuj się. I wtedy przed oczyma stanęli mi Caroline i jej chłopak Jack. Cudowna para. Jak ją traktował? Upewnił się, że zapięła pasy, powiedział jej, że jest piękna, a równocześnie patrzył na mnie pożądliwie.

Zrzuciłam klapki i zakopałam stopy w piasku. Tak robimy w Lowcountry, kiedy jesteśmy sami na plaży. Siedzimy, patrzymy na wodę, zrzucamy buty i zakopujemy stopy w piasku, żeby było nam chłodniej. Przy toczącym fale oceanie mogłam patrzeć na życie z innego punktu widzenia.

Na niebie ciemna szarość powoli ustępowała jasnemu błękitowi ze złotymi smugami światła, nikły ostatnie ślady nocy. Za jakieś pół godziny niebo znowu będzie lazuru. Barwa wody ze stalowej zmieniła się na połyskujący granat, gdy słońce weszło nad horyzontem i rozpoczął się następny dzień. Wraz ze zmianą pływu zaczynała się także i dla mnie nowa era.

Wyglądało na to, że w pracy odniosę sukces, który pozwoli na prawdziwą niezależność. Brakowało mi miłości. Miłość do Emily była cudowna i wszechogarniająca. Miłość do Jima - wyjątkowa. Teraz jednak wtrącił się Arthur. Co jest moją namiętnością? Zastanawiałam się nad tym pytaniem i doszłam do wniosku, że powinno ono brzmieć: gdzie jest moja namiętność lub kto nią jest?

Spoglądając wstecz, czułam głęboki niepokój. Tyle lat minęło bez romansu, bez namiętności. Nagle byłam jej zła. Chciałam, żeby Arthur patrzył na mnie tak, jak Jack na Caroline. Jack płonął, a ja pragnęłam, by ktoś tak samo płonął dla mnie. Może istotnie chodziło o to, żeby mężczyzna czuł się przy tobie jak król - tak mówił Jim. Cóż, wypróbuję to na Arthurze i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Kiedy wróciłam do domu, Emily była już w kuchni i robiła grzanki.

- Cześć! - Cmoknęła mnie w policzek. - Gdzie byłaś?

- Poszłam na plażę obejrzeć wschód słońca. Było pięknie - odparłam, nalewając sobie kawy. - Choć przy przyptywie plaża jest wąska. Wygląda to niesamowicie. Jim śpi?

- Piłuje jak drwal. Ludzie, czy nie umie normalnie chrapać?

- Tak, to robi wrażenie, fakt. Chcesz jajko? A może coś innego?

- Nie, dzięki. Mamo?

- Tak? - Zaglądałam do lodówki, jakby na drugiej półce kryła się

tajemnica życia.

- Muszę zrobić coś z włosami. Nie mogę już tego dłużej znieść.

- David woli blondynki? Co za niespodzianka. Emily z uosobienia spokoju błyskawicznie zmieniła się w cyklon.

- Mamo! Jak mogłaś coś takiego powiedzieć?!

Jest wcześnie, pomyślałam, a tu proszę. Nie znosiłam awantur przed śniadaniem.

- Przepraszam. To taka odruchowa reakcja.

- Jeśli myślisz, że zmieniałabym kolor włosów dla jakiegoś głupiego chłopaka, to w ogóle mnie nie znasz, wiesz? Jak w ogóle coś takiego mogło ci przyjść na myśl? Uuuch!

- Mów ciszej, Emily. Tata śpi.

- No właśnie, mamy kolejną sprawę. Nie sądzisz, że to trochę dziwne, że chodzisz na randki z innym facetem, kiedy jest tu tata? Chcesz, żeby poczuł się jak ostatnie gówno czy co?

- Zważaj na język, młoda damo. Twój ojciec i ja rozwiedliśmy się wieki temu i jemu w gruncie rzeczy zależy na tym, żebym sobie kogoś znalazła. Nigdy w całym swoim życiu nie miałam lepszego przyjaciela niż Jim i to, co się między nami dzieje, jest wyłącznie naszą sprawą. - Nie wiem, dlaczego dorzuciłam ten ostatni komentarz, chyba po prostu nie chciałam, żeby Emily przeskoczyła na następny temat, którym, z czego mgliście zdawałam sobie sprawę, byłyby okoliczności poprzedzające jej przyjście na świat.

- Ze wszystkich ludzi, których znam, ja mam najbardziej popieprzone życie. Czy kiedykolwiek w ogóle się nad tym zastanawiałaś?

- Emily, a mogłybyśmy przedyskutować twoje popieprzone życie trochę później? Dopiero co wstałam i jeszcze nie wypłam pierwszej kawy.

- Doskonale. Jak będziesz psychicznie gotowa na bycie matką, wyślij mi maila. Idę na spacer.

- Nie trzaskaj drzwiami. Trach!

- Ten, kto zaszczepił kobietom ideę macierzyństwa, był sadystycznym draniem - powiedziałam do pustej kuchni.

Wysunęłam głowę przez tylne drzwi i patrzyłam, jak moja córka kieruje się do domu Lucy. Dobrze, pomyślałam, wyładuj swój gniew w cudzych pieleszach. Mam cię dość.

Zanim pościeliłam łóżko i wzięłam prysznic, Jim, pogwizdując, stał już przy piecu. Poczulałam zapach bekonu i powiedziałam sobie, że idealny świat to taki, w którym można jeść tyle bekonu, ile dusza zapragnie, a

poziom cholesterolu nie ulega zmianie.

- Dzień dobry! Co robisz?

- Omlet z serem, cebulą i bekonem.

- Jak wyjedziesz do San Francisco, przez miesiąc będę nosiła żałobę.

Uśmiechnął się i zsunął idealny omlet na talerz, po czym postawił go na stole.

- Siadaj, za chwilę do ciebie dołączę.

- Nie będę protestować. Gdzie się tak nauczyłeś gotować?

- Ach, jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz. To dlatego jestem człowiekiem - tajemnicą na skalę międzynarodową.

- Aha, w końcu pojawił się prawdziwy Austin Powers! Zostawiwszy talerz na stole, poszłam do kuchni nalać

nam obojgu soku pomarańczowego. Omlet był złoty i puszysty. Postanowiłam wyjąć lniane serwetki. W moim świecie lniane serwetki przeznaczone są na wyjątkowe okazje. Wrzuciłam chleb do tosterka i pobiegłam na dwór ściąć kilka kwiatów, które ustawiłam w wazonie na środku stołu obok dżemu, masła na talerzyku oraz śmietany i cukru w najładniejszych pojemnikach. Kiedy Jim usiadł nie jedliśmy zwykłego śniadania, tylko braliśmy udział w wyjątkowym wydarzeniu w niedzielny poranek. Przynajmniej ja tak to odbierałam.

Pomiędzy kolejnymi kęsami omawialiśmy jego plany wyjazdowe.

- Chciałbym sprawdzić, czy uda mi się dostać bilet na czwartkowy lot. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia dla Hyatta i przypuszczalnie czeka na mnie góra korespondencji.

- Chciałeś też zatrzymać się w Ohio, żeby odwiedzić Gary'ego, prawda?

- Tak. Wiesz, Anno, nie mogę pozwolić, żeby siedział w domu rodziców i gnił, podczas gdy oni mówią mu, że pójdzie prosto do piekła.

- Jak cię nie wpuszczą za próg, wezwij mnie na pomoc.

- Oni myślą, że „wybrał grzeszne życie” i że to jego wina. Racja, to jego wina, ale nieostrożność to nie to samo co grzech, za który zostaniesz potępiony na wieki. Po prostu w to nie wierzę. Powiedz mi jedno. Kto został homoseksualistą z własnej woli? Kiedy świat wreszcie zrozumie, że niektórzy ludzie po prostu tacy są?

- Nie wiem, Jim, nie wiem. No, są fundamentaliści, którzy twierdzą, że dzięki intensywnej terapii można tę skłonność przewyciężyć. Ale posłuchaj, kocham cię i nie obchodzi mnie, co inni robią w nocy. Koniec. Przez całe życie byłeś cudownym przyjacielem i wspianiałym ojcem dla Emily. Do ciebie czuję tylko miłość, nic innego. Wiesz o tym.

- Wiem. I dodam, że prawdziwi chrześcijanie nie osądzają, i tyle.
- Wygłaszasz właśnie kazanie do prawdziwej chrześcijanki, głupku.
- Wiem.

- A skoro jesteśmy przy tym temacie, Emily parę dni temu zapytała mnie, w jaki sposób przyszła na świat.

Jim zakrztusił się i opluł kawą swoją świeżą lawendową koszulkę polo od Ralphi Laurena. - Co?!

- Mówiąc ściślej, chciała się dowiedzieć, czy została poczęta przez ciebie i przeze mnie w naturalny sposób.

- Chryste! I co jej powiedziałaś?

- O ile sobie dobrze przypominam, zapytała mnie więcej tak: „Czy Jim jest naprawdę moim ojcem? Czy wy... no wiesz?”. A ja jej na to: „Jeśli chcesz wiedzieć, Jim jest więcej niż twoim ojcem, a teraz śpij”. To była jedna z tych nocnych pogawędek. Wtedy na tym się skończyło, ale wcześniej czy później znowu zapyta.

- I co?

- Będziemy musieli coś wykombinować. Nie chcę jej okłamywać. Ma prawo poznać prawdę, ale szczerze mówiąc, Jim, jest ostatnio taka zmienna w nastrojach, że boję się jej powiedzieć. Nie zrozumie.

- Kto czego nie zrozumie? Dzień dobry.

To była Lucy. Weszła kuchennymi drzwiami bez pukania. Nie znosiłam, kiedy ludzie tak robią, i wiedziałam, że jakoś będę musiała zareagować, pora jednak nie wydawała się odpowiednia na mówienie przykłej prawdy w oczy.

- Cześć! Nalej sobie kawy i siadaj - zaproponowałam. - Rozmawialiśmy o temperamentie Emily.

- Odziedziczyła go po twoim tacie, tyle ci powiem. Wiesz, że teraz on jest wściekły na mnie? - zapytała z kuchni.

Odsunęłam talerz i oparłam czoło o stół.

- Nie mogę już tego znieść - szepnęłam do Jima.

- No, no, daj spokój. - Poklepał mnie po głowie. Lucy weszła do pokoju i usiadła obok nas.

- Tak, jest rozpalony jak zad capa na grządce z pieprzem.

Jim wybuchnął śmiechem.

- Zad capa? Coś ty zrobiła temu biedakowi?

- Jego pielęgniarzka znalazła moją stronę w Internecie i pokazała mu. Powiedziałam mu tak: „Wiesz co, Dougle, kiedy na tym palcu będzie pierścienek od ciebie, to wtedy i tylko wtedy przestanę umawiać się z innymi!”. Jemu się wydaje, że jestem jego własnością!

- Cały tatuś! - mruknęłam.

- Mężczyźni biorą w posiadanie kobiety, tak jak psy robią to z fotelem. Jak raz się w nim usadowią, należy do nich.

- Pijecie Krwawą Mary? - zapytała Lucy. - W końcu jest niedziela rano, no nie?

- Dziewczyno, spałam przez dwanaście godzin i po jednej wódce wrócę do łóżka na następnych dwanaście. Ale jak chcesz, to proszę bardzo. Wszystko jest w kuchni.

- Nie miej do mnie pretensji - powiedziała Lucy - ale w innym wypadku nie miałabym odwagi zapytać, skąd Emily wzięła się na świecie. Jest teraz u Davida, oglądają „Star Trek”. Nie wrócą tu wcześniej niż za godzinę. Możemy swobodnie rozmawiać.

Jim i ja wstrzymaliśmy oddech, patrząc na nią z niedowierzaniem. Ona będzie decydować, czy mam powiedzieć jej o czymś, o czym mało kto wie?

- Przepraszam, ale wszystko słyszałam. - Stała przed nami w pękającej na biuście turkusowej bluzce na ramiączkach i białych spodniach, które wyglądały jak druga skóra. - Uwierzcie mi, nie powiem absolutnie nikomu.

Nie wierzyłam w to ani przez chwilę.

- Może zrobię Krwawą Mary dla wszystkich? - odezwał się Jim.

- Doskonały pomysł - powiedziałam. - Dobra, Lucy. Siadaj.

Przez następne pół godziny razem z Jimem zapoznaliśmy Lucy z historią Everetta Fairchilda, Emily i naszą. Lucy była wstrząśnięta, a potem się rozplakała.

- Najpierw chcę wam powiedzieć, że bardzo was szanuję za to, że zatrzymaliście to dziecko i pokochaliście je. Nigdy nikomu tego nie mówiłam, Anno, ale kiedy byłam mała, miałam dwanaście lat, tata i mama zwiali, zostawiając mnie i młodszą siostrę, matkę Davida, w zimnej przyczepie bez pieniędzy i bez jedzenia. Mieszkaliśmy na wsi pod Greenville i powiem wam, że to najbardziej przerażająca rzecz, jaka kiedykolwiek mi się zdarzyła. Skończyło się na tym, że wylądowałyśmy w rodzinie zastępczej, aż w końcu przyjechała po nas babcia ze strony taty. Myślę, że dlatego... że dlatego... - Zaczęła szlochać. - Och, cholera, przepraszam was. Dlatego nigdy nie miałam swojego dziecka. Za bardzo się bałam. Jak ktoś taki jak ja mógłby zaopiekować się dzieckiem? Nigdy więcej nie widziałam ojca ani matki. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyją. To jeden z powodów, dla których nauczyłam się obsługiwać Internet, wiecie? Żebym mogła ich szukać.

- Jezu Chryste, za wiele jest historii takich jak twoja, Lucy - powiedziałam i wydmuchałam nos. Ta kobieta bezustannie zmusza mnie, bym zmieniała opinię o niej. - I za dużo nieszczęśliwych dzieci na świecie. Wiesz, choć Jim i ja nigdy... rozumiesz...

- Cholera - odparła Lucy. - A kogo to obchodzi?

- No, Anna okropnie mnie wpieniała, usiłując zedrzyć ze mnie bokserki, jeśli już musisz wiedzieć.

- A ty musisz wszystkich o tym informować? - zapytałam.

- Nie dziwię się jej - zareplikowała.

Była to szczypta humoru, rozładowującego sytuację. Wszyscyśmy się uśmiechnęli.

- Jeszcze jedną Mary? - zaproponował Jim.

- Jasne - zgodziła się Lucy. - A tam, do diabła.

- Ja nie, dziękuję. Po południu mam gorącą randkę.

- Anno - zwróciła się do mnie Lucy, kiedy Jim wyszedł do kuchni - przysięgam na Boga, że nigdy nikomu nie powiem.

- Proszę, nie mów. Emily o niczym nie wie i czułaby się okropnie, gdyby usłyszała o tym od osób postronnych.

- A skoro już o tym wspomniałaś, to dlaczego dotąd trzymasz ją w nieświadomości?

- Jakoś nigdy pora nie była odpowiednia albo nie potrafiłam znaleźć właściwych słów. Ale zrobię to.

Jakiś czas potem Emily i David tanecznym krokiem przemierzili dom, jakby rano nic się nie stało. Właściwie nie miałam nic przeciwko temu, że Emily chciała zapomnieć o swoim porannym wybuchu. Nastolatki z gwałtownością wodospadu przechodzą z nastroju w nastrój. Obie wiedziałyśmy, że czasem jest lepiej pozwolić, żeby wybuchy tych małych gejzerów po prostu zignorować.

- Idziemy na plażę - oznajmiła. - Wrócimy koło piątej.

- Weź daszek przeciwsłoneczny!

- Panno Anno - przemówił David. - Nie musi się pani martwić o Emily, kiedy jest ze mną. Naprawdę.

- Zawsze się martwię.

- Wiem, wszystkie matki takie są, ale mówię poważnie. Nigdy bym nie pozwolił, żeby przydarzyło się jej coś złego. Jestem ostrożnym kierowcą i świetnym pływakiem. Nie wejdziemy do wody, jeśli będą silne prądy, i nie pozwolę jej zanurzyć się głębiej niż po pas.

- Tak? To świetnie, będę mniej się niepokoiła. Uśmiechnął się do mnie, a ja do niego, myśląc przy

tym: ojej, co za miły młodzieniec.

Kiedy wyszli, Jim i Lucy powiedzieli to samo.

- Okay, może się z nią ożenić - dodał Jim.
- Wspaniały jest, no nie?
- Tak, naprawdę wspaniały.

Jim pojechał do przyjaciela do West of Ashley, ja zaś postanowiłam popracować w ogrodzie, gdzie roślinność dalej krzewiła się bujnie - w życiu czegoś takiego nie widziałam. Pewnie to sprawa nawozu. Wykopywałam hosty, żeby je rozdzielić, kiedy poczułam na sobie czyjś wzrok. Mimo to postanowiłam się nie odwracać. Przypuszczalnie przyszła panna Mavis. I rzeczywiście.

- Byłaś w kościele?
- Nie, proszę pani, nie byłam.
- Tak też myślałam.

Usłyszałam, jak z szelestem przedziera się przez krzaki, wracając do domu. Nie byłam dla niej zbyt miła, ale ona też niezbyt miło mnie potraktowała. Tyle że stare damy jej pokroju wcale nie uważają, że powinny być miłe. Mówią, co im ślina na język przyniesie. To zadziwiające zjawisko, ta wiara starych ludzi w przywileje, jakie zapewnia podeszły wiek.

Znowu usłyszałam szelest.

- Jadłaś obiad?

Tym razem wyprostowałam się i spojrzałam jej w twarz.

- Nie, proszę pani, nie jadłam. - No i?
- Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale jestem w okropnym stanie, cała w ziemi.
- Twój ogród i tak wygląda ładnie. Idź umyć ręce i wracaj. Za pięć minut. Zgoda?

Cóż mogłam powiedzieć?

- Dziękuję, panno Mavis. Zaraz przyjdę.

26. Mavis mówi: musimy coś zrobić

Odoczywałam w moim fotelu, czytając o ostatnich weselach w „Post & Courier”. Wielkie nieba, niektóre z panien młodych były takie tłuste, a suknie miały takie tandetne, że zaczęłam się zastanawiać, kim są ich matki. Naprawdę. A fryzury! Litości!

Skoro mowa o fryzurach, to już myślałam, że Anna obje nas ze szczętem. Ten apetyt nie jest normalny. Wiem, że jej życie to nie moja sprawa, ale dzieje się u niej coś dziwnego. Podejrzana sprawa, i tyle. Ta dziewczyna za dużo dźwiga na swoich barkach. O wiele za dużo. Jako

dobra chrześcijanka mam obowiązek jej pomóc. Nie wiedziałam jednak, od czego zacząć, poza zaproponowaniem jej od czasu do czasu dobrego posiłku i udzieleniem paru rad. Cóż, omówię to z Angel.

- Angel! Angel! Milczenie.

- Odezwij się!

- Słyszałam, Mavis, o co znowu chodzi? - Co?

Angel stała tuż przede mną, podparta pod boki, i patrzyła takim wzrokiem, jakby chciała mnie opluć. Nie znoszę, kiedy tak robi.

- Powiedziałam, że słyszałam cię za pierwszym razem tylko akurat wycierałam ręce. Boże, tak bym chciała, żebyś sprawiła sobie aparat słuchowy.

- Nie potrzeba mi żadnego aparatu, dziękuję bardzo. - Hm.

- Żadnych komentarzy, jeśli łaska. Siadaj na chwilę. Muszę coś z tobą omówić.

- Chcesz herbaty?

- Nie, dziękuję. Jak piję za dużo, muszę wciąż biegać do toalety, a tutaj bardzo mi wygodnie.

- Chcesz ciasteczko?

- Nie! Możesz wreszcie przestać i usiąść? Wielki Boże! W końcu usadowiła ten swój kościsty tyłek na krześle naprzeciwko i złożyła ręce na podołku.

- Dobrze, Mavis. Powiedz, co ci chodzi po głowie.

- Anna. Musimy coś zrobić.

- O czym ty mówisz?

- To dziecko ma za dużo na głowie. Widziałaś, jak ona je? To reakcja. Boże wielki! A jest taka chuda! I dlaczego jej były mąż mieszka teraz u niej? Co oni robią? I, Panie w niebiesiech i wszyscy jego święci i aniołowie, co ten człowiek zrobił z jej salonem? Wygląda tam jak w burdelu! A ta jej córka?

No, nie muszę mówić, że Angel zaczęła śmiać się tak serdecznie, że widziałam jej migdałki oraz złotą koronę na trzonowym zębie. Niezbyt przyjemny widok, wyznam szczerze.

- Przestań, Angel. Przestań się śmiać jak głupia i rozmawiaj ze mną!

- O Boże, Mavis! - Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. - Nie pamiętasz, jak to było? No, nie prowadziłaś nigdy takiej firmy, ale na pewno miałaś upierdliwego męża i dwoje dzieci, i musiałaś się nieźle napocić. Zapomniałaś już, jak to jest, kiedy człowiek jest ciągle zajęty?

- Martwię się o nią. Przykręć klimatyzator, dobrze? Mam uderzenia gorąca.

I zaraz usłyszałam, jak mamrocze pod nosem:

- Od trzydziestu lat nie miałaś uderzeń gorąca, starucho!

- Słyszałam!

- Ale to prawda.

- Dobrze. Przykręć i już. Dziękuję. - Skubałam rękaw, póki Angel znowu nie usiadła. - Powiedz mi jedno. Jak to wygląda, że jej były mąż sypia u niej w domu? Czemu ona na to pozwala? Co sobie pomyśli jej córka? Czy to nie jest niemoralne?

Nagle Angel popatrzyła na mnie tak, jakbym była dziecinniałą sklerotyczką. Tego jej spojrzenia nie cierpię najbardziej.

- Mavis, coś ci powiem, a ty masz mnie uważnie wysłuchać. Jestem twoją najstarszą przyjaciółką, tak czy nie?

- Można tak powiedzieć.

- Wiesz, co sprowadza kłopoty? Tylko na nią patrzyłam.

- W - ś - c - i - b - s - t - w - o! Rozumiesz? Cały czas szukasz czegoś tam, gdzie nic nie ma, a Bóg mi świadkiem, już powinnaś wiedzieć, że wtykanie nosa w sprawy innych ludzi nie prowadzi do niczego poza sprowadzaniem kłopotów na próg własnego domu. Tak, szanowna pani. W ten sposób zapraszasz kłopoty, żeby sobie przyszły i rozsiadły się na twojej kanapie.

- To ty mnie posłuchaj, panno Wszechwiedząca. Wczoraj w nocy wstałam, bo musiałam... przypudrować nos, jak to się mówi. Było pewnie koło wpół do trzeciej. Usłyszałam jakiś hałas na dworze i wyjrzałam. I jak myślisz, co zobaczyłam?

- Nie mam pojęcia.

- Zobaczyłam jej córkę, tę Emily, którą ona uważa za świętą, wymykającą się tylnymi drzwiami z domu do tego chłopaka, co mieszka u Lucy. Pobiegli i zniknęli za wydmami, zanim zdążyłam mrugnąć okiem!

Oczy Angel zrobiły się wielkie jak spodki.

- Kłamiesz. Powiedz, że kłamiesz.

- Nie kłamię i ty dobrze o tym wiesz.

Angel gwizdnęła przeciągle. Osobiście zawsze uważałam, że gwizdanie jest bardzo niekobiece.

- Matka urwie jej głowę, jak się dowie. Och, Boże wielki! - Angel uniosła ręce i z rozmachem plasnęła się po udach. (Tego też nigdy nie robię). - Nie powiesz jej, prawda?

- Tego jeszcze nie wiem, za to wiem, że spanie z mężczyzną, z którym się rozwiodłaś, nie może być dobrym przykładem dla dziewczyny, w której szaleją hormony.

- Ona nie śpi z tym cherlakiem.

- A ty skąd to wiesz?

- Bo sama mi powiedziała. On jest gejem. Tak, proszę pani. To jeden z tych.

- O losie! Mówisz, że on jest homoseksualistą?

- Właśnie.

Patrzyłyśmy na siebie, każda na swój sposób zszokowana, tyle mogę ci powiedzieć. W końcu uznałam, że Angel zrozumiała potrzebę działania.

- No, to teraz wiem, czemu się z nim rozwiodła - powiedziałam.

- Amen.

- Biedactwo! Biedactwo! Anna zaharowuje się na śmierć, jej córka robi to, czego nie powinna, z gościem Lucy, a były mąż nawet nie potrafi ukoić jej nerwów, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Tak, szanowna pani, wiem.

- Nic dziwnego, że jest taka chuda. - Przerwałam, żeby z kieszeni wyjąć chusteczkę i wytrzeć nos. - Angel, mam pomysł.

- Jaki?

- Wyślemy do niej ojca Michaela.

- Miłosierny Boże, panna Mavis ma zamiar nawarzyć piwa!

- No, pomóż mi - powiedziałam i Angel podtrzymała mnie, żebym mogła wstać. - Nie musisz mi wyrywać ręki. Dobry Boże! Czeka mnie sporo zajęć.

- A co teraz zamierzasz zrobić?

- Zadzwoń na plebanię.

Spojrzałam na nią, mierzyła mnie wyzywającym wzrokiem. Wtrącić się. To właśnie chciałam zaraz zrobić.

- Ojej, Angel, rzeczywiście nie mogę posłać księdza do jej domu! Więc co możemy zrobić?

- Po mojemu, patrzeć i czekać. Jak następnym razem zobaczysz, że dziewczyna wymyka się do tego chłopaka, powiesz mi, a już ja się tym zajmę, dobra?

27. Rozkołysz łódź, kochanie

Tyle zjadłam na obiad, że myślałam, iż nie zapnę spodni. Rany! Ta Angel to umie piec kurczaka, nie? Jest pyszny. Po powrocie do domu odłożyłam narzędzia ogrodnicze, cały czas myśląc o tym, że dzisiaj wieczorem Arthur prawdopodobnie przypości atak na moje figi. Czy miałam zamiar się sprzeciwić? W żadnym wypadku. W grze w miłość istnieją zasady dotyczące protestów. On bez słowa zaczyna odpinać ci bluzkę, a ty mówisz: Och, nie wiem, czy powinniśmy to robić..., a potem,

kiedy on już wie, że twoje protesty nie są poważne, zaczyna się zabawa.

Co powinnam włożyć? Coś ze skomplikowanym zapięciem? Wyzwanie dla oczu i palców! Czy mam elegancką bieliznę? Pewnie nie. Zrzedliwy głosik w mojej głowie - ten, który trzeba powściągać - przypomniał mi, że Arthur wygłosił tę bzdurę o angażowaniu się. Świetnie. Zobaczmy, co będzie.

Kiedy przekopałam się przez wszystkie szuflady i stwierdziłam, że nie mam bielizny, w której mogłabym spokojnie ulec wypadkowi samochodowemu, wsiadłam do auta i pełnym gazem ruszyłam przez most do Towne Center. Równie błyskawicznie wracałam z dwoma stanikami i dwiema parami fig, zapakowanymi w różową bibułę, które nabyłam w sklepie, gdzie nie ma żadnych sekretów. I staniki, i figi mogą wywołać arytmie, doszłam do wniosku, uradowana, jakby mnie kto na sto koni wsadził.

Wzięłam prysznic, wydepilowałam każdy centymetr kwadratowy skóry, który tego wymagał, po czym w lustrze dokładnie obejrzałam pachy, żeby się przekonać, czy czegoś nie ominęłam, i nasmarowałam się balsamem po opalaniu. No, może i nie wygląda to najlepiej, za to odstrasza owady. Na mojej wyspie wszystko kręci się wokół owadów, czy raczej odwrotnie. Stałam owinięta w ręcznik, z włosów wciąż mi ciekło i wycierałam zaparowane lustro, kiedy zadzwonił telefon. Tak się przestraszyłam, że o mało nie wyskoczyłam ze skóry. Przebywałam w innym świecie, wyobrażając sobie siebie z Arthurem.

- Halo?

- Ojej, co za zmysłowy głos, szanowna pani. Czyżbym w czymś przeszkodził?

To był on. Odchrząknęłam.

- Nie! - Zachichotałam. - Właśnie wyszłam spod prysznica.

- O, doskonale! Prysznic to wspaniały wynalazek! Boże. Taki sam z niego idiota, jak ze mnie.

- Tak. Akurat pracowałam w ogrodzie.

- Aha! Rozumiem. Więc o której się spotykamy?

- A która jest teraz?

- Szósta. Co powiesz na minutę po szóstej?

- A co będziemy robić? - Istotne pytanie...

- Nie wiem. Myślałem o kolacji, dobrym winie i księżycu, a potem zobaczymy. Może przyjadę po ciebie o wpół do ósmej? Będziemy mogli obserwować zachód słońca.

- Brzmi zachęcająco - powiedziałam. - Jaki strój obowiązuje?

- Swobodny. Ja gotuję.
- Cudownie! - I na tym skończyliśmy rozmowę.

Toczyłam walkę z moją szafą, kiedy wróciła Emily, oblepiona piaskiem od stóp do głów i roztaczająca zapach piwa. Nie muszę dodawać, że była spalona słońcem.

- Wielki Boże, Emily! Co się stało?

- Siatkówka, śmiech do rozpuku i za dużo słońca. Auu, muszę się położyć. David chce iść wieczorem na imprezę, ale ja jestem okropnie zmęczona.

- Weź prysznic, dwie aspiryny i kładź się. - Aspiryna jakimś cudem powstrzymywała niekiedy mdłości i ból głowy, które są skutkiem nadmiernego przebywania na słońcu. Nie wspominając już o piwnym kacu.

- Tak, zaraz to zrobię. Idziesz gdzieś?

- Do Arthura. Gotuje kolację.

- Baw się dobrze. Ja nie żyję. Gdzie tata?

- Chyba wyszedł z jakimiś przyjaciółmi. Nie wiem, o której wróci.

- Okay. - Drzwi łazienki zamknęły się i zaszumiała woda z prysznica.

Włożyłam obcisłe, zwężane spodnie z czarnego jedwabiu, które mimo że wysłużone, ciągle nieźle się prezentują, a do nich na próbę seksowny sweterek z dekoltem w V i rękawami trzy czwarte w poziome czarne i białe pasy. Była to jedna z tych robionych na drutach bluzeczek, które naprawdę ładnie leżą - zaleta podstawowa i najważniejsza. Z drugiej strony, wyglądała niewinnie, a równocześnie mogła zsunąć się z ramienia, odsłaniając koronkowe ramiączko ledwo skrywanej broni natychmiastowego rażenia. Och, byłam bardzo niegrzeczna. Wysuszyłam włosy, zrobiłam naturalny makijaż, tylko oczy zaznaczyłam wyraźniej. Wiedziałam, że znowu będziemy siedzieć na molo i jeśli nie podkreślę ich dramatyczną kreską, Arthur nie będzie w stanie zareagować na to, jak go hipnotyzuję. Jesteś całkowicie odprężony. Nie pilnujesz się. Chcesz się we mnie zakochać. Chcesz mnie zdobyć... Uznałam, że zaloty, pogoń czy jakkolwiek obecnie się to nazywa, może być równie świetną zabawą, jak samo pojmanie ofiary. Nie czułam się tak może na sto procent gotowa do polowania - ale cóż, nigdy się tak nie czułam. Tym razem włożyłam sandały na płaskim obcasie.

Był kwadrans po siódmej. Emily już spała. Kiedy zadzwonił David, powiedziała mu, żeby odezwał się znowu o dziewiątej, a jeśli będzie jeszcze żyła, to wybiorą się na lody albo coś w tym rodzaju. Zabrzmiało to rozsądnie, więc cmoknęłam ją w czoło i opuściłam w jej pokoju żaluzje.

Słyszając samochód Arthura, na palcach ruszyłam do drzwi, żeby jej nie obudzić.

- Cześć! - szepnęłam. - Emily śpi, przesadziła dzisiaj ze słońcem.

- Cześć. Chodźmy.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Wyglądał na lekko zakłopotanego i podenerwowanego. Pojechaliśmy, gadając po drodze o niczym. Ciągłe na mnie spoglądał, kiedy jednak przechwytywałam jego wzrok, natychmiast odwracał oczy.

- Nakryłem do kolacji na molo - oznajmił. Jak romantycznie!

- Zapowiada się nieźle - odparłam.

Przeszliśmy przez dom na ganek i od razu rzuciło mi się w oczy, że sporo się natrudził nad odpowiednią scenerią. Na końcu molo stały dwa krzesła i okrągły metalowy stolik, a na nim butelka w srebrnym wiaderku, obok zaś mały grill, posyłający w niebo dymne sygnały z żarzących się węgli, oraz chłodziarka, która przypuszczalnie chroniła nasze jedzenie przed robalami i nas przed salmonellą. Wystarczy lekki aromat dymu i od razu przed moimi oczami stają dawne, dobre czasy, kiedy wszyscy używaliśmy brykietów i nie przejmowaliśmy się nowotworami. Koło wiaderka przekąski na małej desce do krojenia przykryte były czystą ściereczką do naczyń. A przy molo cumowała łódź.

- Och, wspaniały piknik - zachwyciłam się.

- Tak. - Arthur nalał wina i podał mi kieliszek.

- Dzięki. Czyja to łódka?

- Chłopaka od sąsiadów, mówiłem ci.

Łódź była całkiem przyzwoita: nowiutkie włókno szklane, pokłady rufowy i dziobowy, pod nimi kabina. Z tyłu stało krzeselko wędkarskie.

- Popatrz w górę - powiedział Arthur, obejmując mnie w talii.

Na niebie jaśniały promienie światła, przebijające się przez chmury, plamy barwy złota i indygo znaczyły nieboskłon, z którego za moment zniknie słońce. Słońce latem nie chowa się za horyzont, tylko w dolnej połowie nieba otwiera się ognista szczelina w każdym odcieniu żaru. Białe słońce otaczały ogromne kleksy czerwieni i głębokiego różu, jakby potężny malarz wytarł w niebo szczotkę z farbą z opalizujących kamieni szlachetnych. Im gorętszy dzień, tym efektowniejszy zachód słońca.

Stałam z Arthurem i patrzyłam, podobnie jak tyle razy wieczorem na dachu Lucy, przepelniona podziwem i zachwytem.

- Bajeczne - powiedziałam. - Wiesz, człowiek zaczyna się zastanawiać...

- Nad czym?

- Nad wszystkim.

- Co to, poruszamy poważne tematy?

- Nie, za wcześnie na filozofowanie. Poza tym obiecałeś mnie nakarmić, a ja umieram z głodu.

- Lubię głodne kobiety.

- Więc mnie powinieneś uwielbiać - pośpieszyłam z odpowiedzią.

- I właśnie to mnie martwi - odparł. Zignorowałam jego słowa.

- Potrafię jeść jak drwal. Ale oczywiście bez względu na to powinieneś mnie uwielbiać - ciągnęłam. - Jestem kobietą idealną.

Było to dość zarozumiałe stwierdzenie, dlatego lekko uderzyłam go w ramię, żeby zrozumiał, że ma się rozluźnić. Uśmiechnął się i ja też. - Jesteś?

- Tak!

- Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę, jakie masz zalety jako ideał.

- No, przede wszystkim sam musisz zrobić przyzwoite rozeznanie. Po pierwsze, mam tyle lat, że nie musisz posyłać mnie do college'u.

- Co sugeruje, że...

- ...że za wielu mężczyzn w twoim wieku goni za dziewczynami na tyle młodymi, że mogłyby być ich córkami.

- Ojej! Czyżby to była prawda?

- Wiesz, że tak. One nie znają muzyki, którą ty lubisz, a o czasach twojego dzieciństwa słyszały od rodziców. Może nie?

- Auuuu!

- To tyle na temat umawiania się z dziewczętami zamiast z kobietami. Po drugie, niczego od ciebie nie chcę.

- Nie?

Przyciągnął mnie do piersi, ręce wykręcił mi do tyłu i polizał po szyi, od czego dostałam gęziej skórki i poczułam, jak nogi się pode mną uginają.

- No, poza tym, co oczywiste.

Wymieniliśmy znaczące uśmiešky, potem mnie puścił.

- Rzucę teraz na grill kotlety cielęce, nim robi się za ciemno. Chcesz średnio wysmażone?

- Jakie sam lubisz - odparłam. - Widzisz? Kolejna zaleta. Jestem zgodna. Większość kobiet wydaje rozkazy i zrzędzi. Ja nie.

- No, jeśli czegoś szczerze nie znoszę, to ludzi mówiących mi, co źle robię w życiu. To najszybszy sposób na pozbycie się mnie.

- Mnie też. Chodziłam do szkoły prowadzonej przez zakonnice i miałam babkę, która mnie serdecznie nie lubiła. Przede wszystkim dlatego,

że byłam podobna do mamy, a babka jej nienawidziła.

- Aha, oto pojawia się skaza! Bagaż emocjonalny!

- Mylisz się! Bagaż zachowuję dla siebie, dziękuję bardzo. Jestem zresztą w tym wieku, że już się z tego otrząsnęłam.

- Naprawdę? Nie niepokoją cię duchy przeszłości? (Do końca tej randki rola Uwodzicielki grana będzie przez Kłamczuchę).

- Nie.

- Fiu, fiu!

- A poza tym, podobnie jak ty, też się nie angażuję. To znaczy, chciałabym mieć mężczyznę przyjaciela, no może z pewnymi przywilejami.

- Przywilejami?

- No wiesz...

Mimo zapadającego zmroku widziałam, że się uśmiecha; był przekonany, że trafił na żyłę złota.

- To wydaje się całkiem rozsądne. W końcu jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi, no nie?

- Właśnie.

Z chłodziarki wyjęłam plastikowy pojemnik z sałatą, wymieszałam ją z sosem i dodałam octu winnego, a potem patrzyłam, jak Arthur krząta się przy grillu. Podczas kolacji, która była naprawdę pyszna, rozmawialiśmy o nim. Jeśli czegokolwiek w życiu się nauczyłam, to tego, że mężczyźni lubią mówić o sobie.

- Naprawdę? Przyjechałeś do Charlestonu na lato, bo w Nowym Jorku jest nudno? To coś nowego.

- No wiesz, bywalcy restauracji w czwartek albo piątek wyjeżdżają do Hamptons i w mieście są tylko turyści. A w sierpniu prawie nikogo nie ma. Poza tym zawsze chciałem się przekonać, jak jest w Charlestonie.

- I do jakiego wniosku doszedłeś?

- Moim zdaniem Charleston to najlepiej strzeżona tajemnica w całych Stanach. To znaczy, wszyscy o nim słyszeli, ale nikt nie wie, że tutaj jest naprawdę super. Gdybym nie miał w Nowym Jorku syna, pewnie bym tu został. Kto wie? I ludzie są mili.

- Tak, jesteśmy mili.

Po skończonym posiłku wstałam, by wziąć jego talerz; myślałam, że schowam naczynia do chłodziarki i pomogę mu je zanieść do domu. Potem pozmywamy i usiadziemy na ganku. Może uda mi się go zwabić na hamak. On jednak miał inne plany. Kiedy sięgnęłam po talerz, chwycił mnie za przegub.

- Nie tak szybko - powiedział - tu jest tak przyjemnie. - I pociągnął mnie na kolana. Odstawiłam talerz na stolik.

- Co ci chodzi po głowie? - Ty.

I tak to było. Zaczęliśmy dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwaliśmy w zeszłą niedzielę. Nim się zorientowałam, leżeliśmy na plażowym ręczniku, który Arthur rzucił na deski. Dzięki Bogu, było już ciemno. A potem dotarło do mojej świadomości, że jesteśmy nadzcy i gotowi do akcji na tym cholernym molo, gdzie każdy mógł nas zobaczyć. Nie potrafiłam aż tak się wyluzować.

- Arthur!

- Co?

- Nie możemy robić tego tutaj!

- Czemu nie?

Kiedy nie odpowiedziałam, podał mi rękę i pomógł wstać.

- Wchodź na pokład.

To było idealne rozwiązanie. Bez słowa, golutcy, jak nas Pan Bóg stworzył, weszliśmy na pokład. Jak się spodziewałam, była tam niewielka kajuta z wersalką. Rozłożyliśmy ją i podjęliśmy działanie. Przez następne dwie godziny było sporo jęczenia, gimnastyki i czego tylko chcesz.

- Arthurze!

- Anno!

Niezbyt wyrafinowana rozmowa. Ale wypowiedział moje imię, a ja uwielbiałam sposób, w jaki je wymawiał. Bo brzmiało to tak, jakby mówił: Nareszcie. W końcu. To mi wystarczało. Nie potrzebowałam żadnych wyznań i zapewnień. Znasz to stare powiedzenie „Czyny przemawiają głośniejsz od słów”? Arthur był niesamowity. Ciasna przestrzeń kajuty i kołysanie łodzi na falach dodawało jeszcze uroku całemu szaleństwu - cóż, powiedzmy tylko, że było niewiarygodnie, i dajmy sobie spokój z detalami. Z wyjątkiem jednego: w pewnym momencie serce tak mocno mi waliło, że myślałam, że chyba umrę. A gdyby na olimpiadzie dawali medale za wytrzymałość, Arthur zdobyłby złoto.

Okay, to więcej, niż zamierzałam powiedzieć.

Ukołysał nas ruch wody. Kajuta pachniała nami i zapach ten bardzo mi się podobał. Arthur wyglądał tak niewinnie! Kto wie? Od czasu do czasu słyszałam krzyk mew, regularny plusk wody o burty sprawił, że zapadłam w głęboki sen. Musiała być wtedy druga w nocy.

W jednej chwili o czymś śniłam, w następnej usłyszałam coś w rodzaju rogu. Arthur wstał.

- Hej, wy tam, wszystko w porządku? Cholera! Cholera! Cholera!

Zerknęłam przez malutkie okienko. Tuż obok nas stała łódź Straży Przybrzeżnej z dwoma funkcjonariuszami na pokładzie. Okazało się, że przedryfowaliśmy z naszego mola na Wyspie Palm do mostu Bena Sawyera na Wyspie Sullivana. I dzień już wstał. Ja byłam naga, Arthur był nagi. Słońce wzeszło. Znaleźliśmy się w najgorszej z możliwych kompromitującej sytuacji. Nie mieliśmy pod ręką ręcznika plażowego ani T - shirtu, żeby się okryć. Czy nas aresztują? Spanikowałam i zasłoniłam się poduchą z wersalki, licząc, że strażnicy nie wejdą na pokład. Próżne nadzieje.

- Zechciałby pan włożyć spodnie?

Głos dobiegł z odległości kilku kroków. Facet stał na naszej łódce.

- Niestety, zostały na molo. Wygląda na to, że prze dryfowaliśmy spory kawał. I... eee... moja żona jest w środku, proszę pana, i jest... eee... w tej samej sytuacji. Rocznicą ślubu.

Żona? Rocznicą ślubu? PROSZĘ TU NIE ZAGLĄDAĆ!

- Rozumiem - oświadczył przedstawiciel władzy, który w każdej chwili mógł zrujnować mi życie i prawdopodobnie to zrobi. - Potrafi pan uruchomić łódź?

- Eee... prawdę mówiąc, łódź należy do mojego sąsiada. Ja zupełnie nie znam się na łodziach.

Chciałam umrzeć. Nie było tu zasłon. Nie było nic. Tylko poduchy. Teraz dowiedziałam się, że ten Król Pieprzenia nie umie uruchomić cholernej łodzi. Świetnie. Już oczyma wyobraźni widziałam nasze zdjęcia w gazecie i sensacyjne nagłówki: PARA ZE STATKU MIŁOŚCI ZASKOCZONA NAGO I ARESZTOWANA!

- Zredukuj obroty i przekręć kluczyk! - wrzasnęłam. - Czy ktoś ma jakiś T - shirt?

- Harry, daj mi moją wiatrówkę - powiedział oficer i kurtka zaraz wpadła do kajuty, lądując niedaleko moich stóp. - No, bardziej zwariowanej sytuacji od tej tutaj dawno nie widziałem. Popłynę z wami do domu i zweryfikujemy sobie kilka faktów.

Wyciągnęłam nogę i chwyciłam kurtkę palcami stopy. Zostaniemy aresztowani za kradzież łódki, przebywanie nago w miejscach publicznych i Bóg wie za co jeszcze. Rozważałam samobójstwo. Włożyłam kurtkę i w tej samej chwili zauważyłam żółte pudło z workami na śmieci, tymi wielkimi i czarnymi. Otuliłam się kurtką i wzięłam jeden. Zrobiłam dziurę na głowę i dwie z boków na ręce. Cofnęłam się od wejścia, zdjęłam kurtkę i przez głowę wciągnęłam worek. Ładna suknia. Jim powinien mnie teraz zobaczyć, pomyślałam. Drugi worek przygotowałam dla Arthura i

podalam mu.

- Włóż to przez głowę, nudysto.

- Dzięki.

Przechwyciłam wzrok oficera - śmiał się pod nosem. No, jeśli, jego zdaniem, to jest śmieszne, to może jednak nie wpadniemy w kłopoty. Postanowiłam iść na całego, bo pomyślałam, że jeśli go rozbawimy, łatwiej nam będzie rozmawiać, gdy dopłyniemy do naszego molo. Wyszłam na pokład w swojej wspaniałej czarnej kreacji, Włosy miałam rozczochrane i czułam, że spierzchły mi wargi. Musiałam przedstawiać niezły widok.

- Potrafi pani uruchomić łódź, proszę pani? - Jasne, że tak! Jestem stąd, w przeciwieństwie do

mojego jankeskiego męża! - Przekręciłam kluczyk i zniżyłam silnik do wody, a następnie dodałam gazu. - Wciągnij zderzaki, dobrze, kochanie? I cumę.

Patrzyłam, jak Arthur wciąga na pokład białe zderzaki i namoczoną linę.

- Złotko, jak wrócimy do domu, to cię zabiję. Wiesz dlaczego, prawda?

- Przepraszam, dziecinko - odparł Arthur. - Powinienem był sprawdzić węzły.

- Cóż, kochanie, to na pewno najbardziej niezapomniana rocznica, jaką mieliśmy.

- Od ilu lat jesteście małżeństwem?

- Od dziesięciu - poinformowałam. W tym samym czasie Arthur oznajmił:

- Od dwunastu.

- Jak się pan nazywa? - zapytałam, udając, że nie dzieje się nic niezwykłego.

- Och, przepraszam. Komendant Bill Benton. Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy.

Podczas gdy łódź nabierała prędkości, modliłam się w duchu do Boga, żebym sobie przypomniała, gdzie jest to molo. Arthur stał obok mnie, w pewnej chwili łokciem dał mi znak, że pora zwolnić i zrobić zwrot. Komendant Benton pomógł mi zacumować łódź. Kiedy zobaczył nasze ubrania, stolik i całą resztę wyposażenia na molo, uśmiechnął się i pokręcił głową. Zeskoczyliśmy z pokładu i uścisnęliśmy mu dłoń.

- Łódź należy do syna sąsiada - wyjaśnił Arthur wskazując pobliski dom. - Która jest godzina?

- Wpół do szóstej. Nie chcę ich budzić. Wygląda na to, że łódź jest w porządku. Wiecie, szkoda, że nie zrobiłem tego z moją Patsy trzydzieści lat temu. Bardzo by się jej to podobało.

- No, nam też wydało się to doskonałym pomysłem - zapewnił Arthur.

- Może nie jest jeszcze za późno! - dodałam, udając nową przyjaciółkę komendanta.

Puścił do mnie oko i powiedział:

- Chyba nic złego się nie stało. Szczęścia życzę. - Dał znak partnerowi, żeby podpłynął do mołu. Śmiejąc się do rozpuku, wsiadł na swoją jednostkę pływającą i już ich nie było.

Arthur odwrócił się do mnie i ryknęliśmy śmiechem, aż łzy popłynęły nam z oczu. Wkładałam spodnie, wciągając je pod worek i gimnastykując się jak kobieta - guma. Udało mi się z jedną nogawką, potem z drugą. Na końcu włożyłam sweterek i przeczesalam dłonią włosy.

- Żałuję, że nie miałam aparatu - powiedziałam. - Och, mój Boże! Szkoda, żeś nie widział swojej miny!

- A ty swojej! Kiedy wyszłaś w tym worku, myślałem, że padnę!

- Wydawało mi się, że wyglądam nieźle! Co za rocznica!

- Chcesz rozvodu? - zapytał.

- Zwariowałaś? Ciekawe, co zrobimy na bis! Wróciłam do domu i na palcach przekradłam się do sypialni. Emily i Jim spali, a ja podziękowałam Bogu za tę małą łaskę. Wzięłam prysznic, a ponieważ było jeszcze wcześniej, postanowiłam położyć się na kanapie. Mogłam myśleć tylko o Arthurze i o tym, co między nami zaszło. pomijając akcję ratowniczą Straży Przybrzeżnej, było cudownie. Zalaźł mi za skórę, naprawdę. Zakochałam się, pożałowałam go i nie potrafiłam ustalić, czy nastąpiło to właśnie w takiej kolejności. Nie angażować się? Cóż, życzę powodzenia.

28. Szansa jedna na milion

Do salonu dowlokłam się o dziewiątej, wdzięczna losowi, że nikt nie ma pojęcia o nocnych wypadkach. Z drugiej jednak strony, biorąc pod uwagę charakter tego incydentu, bardzo chciałam komuś opowiedzieć o „rejsie”, ponieważ bez wątpienia była to najśmieszniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła. Była bardziej szalona niż którakolwiek z opowieści Lucy, a te dla mnie stanowiły wyznacznik skandalu. Mimo to nie pisałam o całej sprawie słówka; postanowiłam, że przy okazji opowiem o niej Jimowi i Frannie. Historia była zbyt zabawna, żeby ukrywać ją przed światem.

- To twój plan pracy na dziś. - Lucy wręczyła mi listę. - Wyglądasz na

zmarnowaną. Coś robiła w nocy?

- Miałam upojną randkę z Ekspertem Serowym.

- Zawsze powodem są faceci, nie?

- Na to wygląda. - Na podłodze obok biurka Lucy stała tajemnicza roślina. Zupełnie o niej zapomniałam.

- Kto to przysłał?

- Nie mam pojęcia. Nie było żadnego bileciku.

- A skąd ją przysłano?

- Od Belvy.

- Jak będziesz miała czas, zadzwoń tam i dowiedz się, dobrze?

Jakoś udało mi się dotrzeć do końca pracy, nie zdradzając przy tym nocnego sekretu, i oczywiście od razu zapomniałam o roślinie. Poza tym zadzwonił Pan Nie Chcę Się Angażować.

- Jak leci, pani Abbot? Zajęta?

- W tej chwili nie. A co?

- Myślałem o tobie. No wiesz, o zeszłej nocy i tak dalej.

- Do końca życia nie wejdę na żadną łódź. Roześmiał się, a ja natychmiast zaczęłam na nowo

przeżywać ten drugi, intensywniejszy epizod, dzięki któremu zasnąłam jak zabita. Nie potrafiłam się zdecydować, czy nigdy więcej się z Arthurem nie spotkać, czy też wziąć go na krótką smycz. Kogo próbowałam oszukać? Chciałam go całego tylko dla siebie.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

- Przepraszam, Arthurze, rozmyślałam o ostatniej nocy, a tu u mnie jest trochę za głośno. Co mówiłeś?

- Ze w czwartek wieczorem nie pracuję. Chcesz gdzieś się wybrać?

- Jasne - odparłam i przypomniałam sobie, że Jim wyjeżdża w czwartek. - Masz zamiar coś ugotować? Iść do kina?

- Myślałem o restauracji, którą znalazłem w centrum. Jest urocza.

- Czyli masz już plan.

- Jeszcze coś, Anno.

- Słucham?

- Wiesz, ostatnia noc bardzo mi się podobała, mam na myśli to, co zaszło między nami. Naprawdę bardzo mi się podobało.

- Mnie też.

Rozłączyłam się taka wkurzona, że myślałam, że będę pluć ogniem. Jemu się podobało? Co ja jestem, krawat? Nie mógł powiedzieć czegoś w rodzaju: To było niewiarygodne? Nie. Ten kompletnie wyzuty z romantyzmu tępy dupek dziękował mi, jakbym dała mu kawałek ciasta, a

nie własne ciało i duszę, żeby na końcu wylądować w worku na śmieci, upokorzona nad wszelkie wyobrażenie.

Jemu się podobało.

To dopiero wyjątkowe. Musiałam jednak uznać, że jego telefon do mnie to pewien krok naprzód. Po prawdzie, jeśli się weźmie pod uwagę strategię Arthura, telefon od niego przypuszczalnie należało uważać za molestowanie. A może chwyciłam łąpczywie rzucony okruch i wyolbrzymiałam rozmiary zdobyczy?

Tak.

Cała ta sprawa z umawianiem się na randki odebrała mi zupełnie pewność siebie.

Zaczęłam się zastanawiać, jak w środowy wieczór powiedzieć bon voyage Jimowi. Potrzebował trochę otuchy, bo mało prawdopodobne, żeby wizyta u Gary'ego przebiegła bez zgrzytów. Uświadomiłam sobie, że moje idiotyczne, niemal obsesyjne rozważania na temat Arthura plasują się całkiem nisko w hierarchii prawdziwych problemów, na przykład w porównaniu z tym, co czeka Jima i Gary'ego. Po raz kolejny związek z Jimem pomógł mi spojrzeć na sprawy z odpowiedniej perspektywy. Postanowiłam, że wydam prawdziwy bankiet za domem, na podwórzu.

Zadzwoiłam do Frannie w nadziei, że może akurat będzie wolna i przyleci, żeby zrobić Jimowi niespodziankę. Poza tym sama bardzo chciałam się z nią zobaczyć. Już za długo się nie widziałyśmy, a Jim stanowił wspaniały pretekst, żeby pokonać wiele mil.

- Cześć, Frannie! To ja. Masz chwilkę?

- Dziewczyno, gdzie ty się podziewała? Tak mi ciebie brakuje! Masz dom, otworzyłaś firmę, a ja okazałam się takim skapiradłem, nie posłałam ci nawet kwiatka! Jak leci?

Przedstawiłam jej najnowsze wydarzenia, pomijając historyjkę o Arthurze i łodzi. Potem powiedziałam jej o Garym i o tym, że Jim bardzo się martwi i zamierza go odwiedzić.

- Myślę, że nas potrzebuje, Frannie.

- Hej, to jasne. I jak myślę, Trixie o niczym nie wie.

- Chyba nie. Nie pytałam, czy jej powiedział. Powinnam do niej zadzwonić i zaprosić ją na kolację we środę.

- Pozwól, że uporządkuję informacje. Dzwonisz do mnie w poniedziałek, żeby się dowiedzieć, czy mogę być u ciebie w środę?

- Tak. Nie dasz rady, co?

- Poczekaj. W piątek muszę być w Raleigh, chodzi o przemysł tytoniowy, nie pytaj. Mogłabym we wtorek polecieć do Charlestonu. Czy

mogę spędzić noc w Chez Anna?

- Oczywiście!

- Do Raleigh zdążę polecieć w czwartek wieczorem. Zobaczę, czy mam połączenie, i dam ci znać.

W ciągu godziny sprawa została załatwiona. Frannie miała przyjechać.

Zadzwoiłam do taty i też go zaprosiłam, najpierw jednak wypytałam Lucy, jaka jest obecnie temperatura ich związku. Znowu byli zakochani. Zaprosiłam Brigitte oraz Bettinę z mężem, obecność Davida i Emily przyjął za pewnik. Powinnam była powiedzieć Arthurowi, ale wyglądało na to, że prawdopodobnie będzie zajęty pracą. Wszyscy zgodzili się pomóc i zachować sekret przed Jimem.

Po pracy razem z Emily przeprowadziłyśmy inspekcję podwórza. Nie miałam tarasu, nie miałam nawet hamaka w moim posiadaniu znajdował się zaledwie jeden mały grill na węgiel drzewny. Na podwórzu stała tylko szopa, rosła trawa i kwitły rozłożyste krzewy. Zerknęłam do książeczki czekowej - suma nie była budująca. Ale dysponowałam też kartą Visa z dość dużym limitem, z której prawie nigdy nie korzystałam. Po raz kolejny, odkąd zamieszkałam z dala od czujnych oczu taty, szykowałam się do skoku na bank.

- Emily, jedźmy do Lowe'a i przekonajmy się, ile by kosztowało doprowadzenie tego podwórza do porządku.

- A możemy wstąpić też do Taco Bell?

- No jasne.

Sześć tacos i dwie dietetyczne pepsi później przechadzałyśmy się między regałami u Lowe'a. Obliczyłam, że możemy dostać stolik z parasolem, sześć krzeseł, średniej wielkości grill marki Fiesta oraz niewielki hamak na ramie za niecałe tysiąc dolarów. Ta kolekcja mebli Sydney nie pochodziła ze „Stylu życia sławnych i bogatych”, ale dobrze spełniała swoje zadanie.

- A, do diabła, mam - powiedziała Emily - bierz to.

I tak zrobiłam. Za kolejnych czterdzieści dolarów nabyłam mnóstwo cytrynowych pochodni, dzięki którym można było nadać podwórzu taki wygląd jak na hawajskiej uczcie luau.

- Nie chciałam być natrętna, mam, ale kupiłaś sześć krzeseł, a zaprosiłaś dziesięć osób.

- Wyniesiemy krzesła z domu.

- I musisz jeszcze kupić jedzenie. Co chcesz podać?

- No, to chyba jasne! Coś z grilla! Nie psuj mi dobrego nastroju,

panienko. Dla Jima zastawiłabym nawet biżuterię.

- Nie masz biżuterii.
- Ale gdybym miała...
- No dobra.

Do środy rano miałam już przygotowane menu, a to dzięki Bettinie i Brigitte. W lodówce Lucy marynowało się siedem funtów żeberek. Zaplanowałam też krewetki gotowane na parze, które chciałam podać na przekąskę. Brigitte przynosiła sałatę i melony, Bettina pulpety, Lucy swój mikser.

No i zaprosiłam Trixie. Odbyło się to tak:

- Trixie? Cześć, mówi Anna.

Odpowiedziało mi westchnienie, znacząca cisza i kolejne westchnienie.

- Cześć - przemówiła wreszcie. - Co u ciebie, moja droga?

W słowniku Trixie przymiotnik „droga” zarezerwowany był dla tych, do których czuła coś na kształt odrazy. Pomyślałam sobie: Pieprzyć ją, załatwmy to zaproszenie i miejmy to z głowy.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Nie narzekam na brak zajęć, rozumiesz.

- W to nie wątpię. To dobrze.

- A dzwonię, bo jak wiesz, Jim w czwartek wyjeżdża...

- Nie, nie wiedziałam. Wraca do Kalifornii?

- Eee, tak. Pomyślałyśmy z Emily, że miło by było wydać dla niego przyjęcie w środę wieczór, i mamy nadzieję, że będziesz mogła wpaść.

- Dam ci znać. Muszę zajrzeć do kalendarza i sprawdzić, czy nie mam innych planów, a biegłam właśnie do drzwi. Zadzwoń później, dobrze?

Jak dla mnie, możesz nigdy nie dzwonić.

- Jasne, nie ma sprawy.

Dlaczego pewni ludzie wywołują we mnie wyrzuty sumienia z powodu każdego drobiazgu? Czy to moja wina, że Jim nie powiadomił jej o wyjeździe? Nie. Po tym, jak potraktowała Emily, powinnam ograniczyć kontakty z nią do okolicznościowych kartek z życzeniami. Ale nie, do diabła. Dobra mała katoliczka we mnie zawsze gotowa jest nadstawić drugi policzek. Królowa Ciemności w Trixie zawsze gotowa jest w ten policzek wymierzyć cios. Nigdy nie potrafiłam przyjąć do wiadomości, że moja była teściowa z takim samym zaangażowaniem wyrządza innym przykrość, z jakim ja staram się dążyć do zgody. Przez rozum chciałam być dla Trixie miła ze względu na Jima i chciałam też, by brała udział w życiu Emily. Przed laty bardzo starała się mi pomóc i coś byłam jej za to

winna.

Zadzwoniła później i powiedziała, że przyjmuje zaproszenie. Zapytała, czy ma coś przynieść. W takim razie będzie nas jedenaścioro. Może powinna przynieść krzesło.

W środę wysłałam Jima z długą listą spraw do załatwienia. Większość to były głupstwa, mające na celu utrzymanie go z dala od domu, żeby się nie zorientował, że na wieczór coś szykujemy. O trzeciej zadzwonili od Lowe'a z informacją, że mogą już dostarczyć meble, więc Lucy i Emily pojechały do domu. Ktoś musiał zająć się ich ustawieniem i umyciem. Kiedy wróciłam, stolik i krzesła lśniły czystością, parasol został rozpięty, hamak zawieszony, a cytrynowe pochodnie umieszczone w odpowiednich miejscach. Wszystko było przygotowane do przyjęcia z jednym wyjątkiem - Frannie dotąd się nie odezwała, a miała się zjawić koło czwartej. Może lot był opóźniony. Kazałam Emily zadzwonić do linii lotniczych.

- Kontrolerzy przesunęli lot z powodu układów burzowych, które mogą się tędy przemieszczać, mamó. Trudno, siła wyższa.

- Układy burzowe, co za brednie. Jest osiemdziesiąt pięć stopni i niebo czyste jak szkło. Przypuszczalnie to zalecenie ochrony. - Wyszliśmy na dwór i popatrzyłyśmy w górę. Nigdzie ani jednej chmurki. - No, miejmy nadzieję, że przed wieczorem Frannie zdąży się pojawić.

Lucy poszła wziąć prysznic i wróciła o wpół do siódmej z aluminiowym składanym stolikiem do ewentualnego wykorzystania w charakterze bufetu; mebel targał na plecach David. Wykąpał się chyba w jakiejś wodzie kolońskiej o intensywnym zapachu i nie odrywał wzroku od Emily, która tego popołudnia zmyła z włosów czarną farbę i ubłagała Brigitte, by zrobiła jej platynową płukankę. Brigitte uległa jej prośbom i wreszcie Emily wyglądała jak Emily. To znaczy tak, jakby nigdy nie wyjeżdżała z Lowcountry, co oznaczało istotną zmianę w jej stroju i zachowaniu. Być może rzeczy, które tego dnia włożyła, wisiały w jej szafie przez cały czas, ale miała na sobie T - shirt w kolorze dziecięcego różu i białe szorty, stanowczo za kuse, choć nie powiedziałam słowa na ten temat. Ze swoimi falującymi jasnymi włosami i zielonymi oczyma wyglądała wreszcie na swój wiek i była śliczna.

- Masz białe prześcieradło? - zapytała mnie Lucy.

- Przyjęcie w togach? - odezwała się Emily.

- Nie, spotkanie Ku - Klux - Klanu - odparłam. Emily zrobiła charakterystyczną minę.

- Och, na litość boską, Emily. Lucy potrzebuje prześcieradła na stół! Idź i zobacz w komodzie z bielizną.

Lucy i ja wymieniliśmy spojrzenia. Dorosłym zabrania się żartów, które nie są w stu procentach politycznie poprawne. Dorosłym nie wolno mieć poczucia humoru, które stanowi konkurencję dla poczucia humoru nastolatków. Dorośli powinni przyznać, że są starzy i nudni, i po prostu siedzieć cicho w kącie, chyba że nastolatkom potrzebne są pieniądze, kluczyki do samochodu albo wyratowanie z tysiąca możliwych opresji.

- Dzieci - powiedziała tylko Lucy.

Bettina i Bobby pojawili się z przykrytym naczyniem, tak gorącym, że Bobby niósł je w rękawicach kuchennych. Wyprzedził Bettinę, która wyławiała coś z bagażnika.

- Cześć - powitałam go.

- Ty pewnie jesteś Anna. Sporo o tobie słyszałem.

- Cieszę się, że cię poznałam, Bobby. Uwielbiamy Bettinę!

- Ładnie tu - pochwalił, ruchem głowy wskazując moje rabatki. - Gdzie mam to postawić?

- Och, daj mi to!

- Nie, jest za ciężkie - sprzeciwił się. - Zaniosę to do kuchni.

Męski gest. Bardzo męski. Ho, ho.

- Przyniosłam płyty i odtwarzacz tranzystorowy - oznajmiła Bettina, przemykając obok mnie w sandałach na drewnianych platformach. - Mam nowojorską muzykę klubową z lat osiemdziesiątych!

No, pomyślałam, będziemy mieć turniej tańca. Chyba będę musiała wziąć parę lekcji.

Następna przyszła Brigitte z wielkim melonem, wyciętym na kształt koszyka z rączką i napełnionym truskawkami, kantalupami i wszelkimi możliwymi owocami pociętymi w kawałki.

- Wielkie nieba! Jak to zrobiłaś?

- To rezultat zbyt rzadkich kontaktów seksualnych. Świrnięty gen kucharski dochodzi do głosu i zaczynasz wycinać rozety z rzodkiewek.

- Ja też jestem sama, a powiem ci, złotko, że nie zrobiłabym nic takiego, nawet gdyby zależało od tego moje życie. Ale znam się na ogrodnictwie.

- No właśnie, sama widzisz - odparła, stojąc z koszem z melona opartym o biodro. Przyglądała się uważnie eksplozji kwiatów, które sięgały już okien. Odwróciła się ku mnie i unosząc brew, oznajmiła: - Wygląda tu jak w cholernym ogrodzie botanicznym!

- Wszystko zależy od gleby.

- Jasne.

- Daj, pomogę ci.

- Weź. - Brigitte wręczyła mi melonowy koszyk. - Ja pójdę po sałatę.
- Dobrze. Jesteśmy na tyłach domu. - I przez kuchnię przeszłam na podwórze.

Stała tam chłodziarka z piwem i kilkoma otwartymi butelkami białego wina. Emily rozkładała na stole obrus w różowo - szare pasy, który ładnie się komponował z białymi i szarymi pasami na poduchach do siedzenia.

- Najpierw wzięłam adamaszkowy - powiedziała. - Ale musisz przyznać, że ten pasuje idealnie.

Lucy rozpakowywała plastikowe kieliszki, talerze i papierowe serwetki, a kiedy przyszedł tata, zaczął pracować mikser. Nowy grill, który ustawiliśmy obok składanego stolika, został rozpalony i wkrótce żeberka umieszczone na ruszcie napęliły powietrze aromatem przyprawy do barbecue Stubba i topiącego się tłuszczu. Nic nie da się porównać z zapachem karmelizującego się brązowego cukru i musztardy oraz pieczonego mięsiwa.

Na podwórze wkroczyła Trixie, strosząc piórka. Tatuś natychmiast do niej podszedł i odegrał rolę wytrawnego dyplomaty. Wreszcie matka Jima zwróciła się do Emily:

- Patrzcie, patrzcie! Ślicznie wyglądasz!

- Dziękuję, babciu - odparła moja córka. - Uznałam, że blond to odpowiedniejszy kolor na lato. Chciałam sobie zrobić granatowe pasemka, ale zabrakło czasu.

- Słyszałam! - Chwyciłam ją za ramię, gdy próbowała mi się wymknąć. - Czy to był konieczny komentarz?

- Tak - oznajmiła Emily. - I bardzo przemyślany, nie?

- Jesteś moją córką i nigdy o tym nie zapominaj - powiedziałam cicho.

- Ta uwaga rzuca na kolana! - odcięła się, po czym biegiem ruszyła w stronę Davida, któremu Lucy kazała pokruszyć lód.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że Trixie pęka ze śmiechu, a tata kręci głową.

Potem usłyszałam, jak mówi do Trixie:

- Młodzi zawsze chcą nas wkurzyć, no nie?

- Tak myślę - odparła, zadzierając brodę i ściągając usta.

Tata ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę Lucy, która mieszała koktajl rumowy z owocami w mikserze podłączonym w kuchni najdłuższym pomarańczowym kablem, jaki w życiu widziałam. Daj jej jedną z twoich zamrożonych bomb, Lucy. To jej dobrze zrobi!

Bettina włączyła na cały regulator swój odtwarzacz i tańczyła z

Bobbym, który sądząc po ruchach, był sobowtórem Johna Travolty z „Gorączki sobotniej nocy”. Dobry Boże, pomyślałam, to wcale nie jest przyjęcie typowe dla Lowcountry. Nikt nie miał butów marki Weejuns, w zasięgu wzroku nie było kreacji Lily Pulitzer - wyjątek stanowiła jedynie Trixie, spowita w szatę drukowaną w melony, z pasującym do tego zielonym sweterkiem. Uświadomiłam sobie, że czasy się zmieniły, bo wszyscy pozostali na oko mogli pochodzić z jakiegokolwiek innej części kraju. Lowcountry po raz kolejny padło ofiarą inwazji - tym razem była to jankeska sieć sklepów z konfekcją. Groziła nam utrata naszej tożsamości odzieżowej. A potem roześmiałam się, bo raczej wyszłabym nago - co też zrobiłam, no nie? - niż ubrała się jak Trixie.

Kiedy wreszcie pojawił się Jim, przyjęcie było w pełnym toku.

- Niespodzianka! - zakrzyknęliśmy.

- Czy wyście poszaleli? Skąd się wzięły te wszystkie meble?

- A jak myślisz? - zapytałam, biorąc go pod ramię i prowadząc ku gościom.

- Maleńka! Chodzisz na zakupy do Lowe'a, jak inne dziewczęta do Saksa!

- Zaczynałam się już bać, że nie przyjdiesz - odezwała się Trixie.

- Cześć, mamó! - Pocałował ją w policzek. - Wyglądasz jak uosobienie lata!

Trixie uśmiechnęła się i nawinęła na palec długi sznur swoich pereł.

Jim był zachwycony. Wszyscy do niego podchodzili, życząc mu szczęśliwej podróży, mówiąc, że jest wspaniały i że będą za nim tęsknić, pytając, kiedy znowu tu przyjedzie. Gdy zauważył Emily i jej włosy, uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony ze zmiany.

- Wyglądasz pięknie, Emily - powiedział, po czym zwrócił się do Davida, który obejmował ją za ramiona. - Pilnuj się z tą ręką, młodzieńcze. Zamknąłeś w zaborczym uścisku moje jedyne dziecko. Zawsze mogę tu wrócić i...

- Och, tato - jęknęła Emily.

Wystarczyło, że powiedziała tylko „tato”, a Jim zmienił się w rozgotowaną kluczę.

- No, do tej ręki dołączona jest cała reszta! - Ujął ją za ramiona i szepnął: - Och, Emily, będę za tobą tęsknił, kochanie. - Objął ją mocno i tak długo ścisnął, że zaczęłam się bać o jej żebra. - Znasz numer mojej komórki, tak?

- Na pamięć.

- Więc dzwoń, dobrze? Dzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, a

zwłaszcza gdybyś zastanawiała się nad zrobieniem jakiegoś głupstwa. - 1
Jim rzucił Davidowi spojrzenie, które mówiło wszystko.

- Nie robimy nic głupiego, proszę pana - zapewnił David, rumieniając się jak burak.

Emily wzięła go za rękę i odeszli.

Zdjęłam z grilla ostatnie żeberka, położyłam je na tacy i postawiłam na stole. Minie tysiąc lat, nim uda mi się oczyścić grill.

- Ładnie pachnie - odezwał się znajomy głos. Odwróciłam się ku mojej najstarszej przyjaciółce.

- Frannie! Jesteś nareszcie!

- W życiu nie zrezygnowałabym z okazji, żeby to zobaczyć! Hej! Masz dom, ogród i wszystko! Święci pańscy, miejcie nas w opiece! Jak ci się to udało beze mnie?

- Miałam Jima.

- A gdzie jest ten stary kundel, dla którego przeżyłam piekielne katusze w powietrzu?

- Jest tutaj i na twój widok chyba zemdleje! Och, tak się cieszę, że przyjechałaś, nie masz pojęcia, jak bardzo. Gdzie druga połowa ciebie? O ile schudłaś?

- Miliard funtów! Stres, nowy facet i Strażnicy Wagi. Ale ty nawet w połowie tak się nie cieszysz jak ja! Nie mogę uwierzyć, że tu jestem!

Uściskałam ją tak mocno, że aż kości mi chrupnęły jak przy zabiegu kręgarskim.

- Jest wolny, mam nadzieję?

- Nie, w separacji...

Spojrzałam na nią z dezaprobatą, a ona wydeła wargi.

- No wiesz, ten podchodzi do sprawy poważnie... Bo przecież w Waszyngtonie mieszkają sami łgarze. W naszym wieku to wszystko nie jest takie proste. Masz nadzieję, że skończy się dobrze, i powtarzasz sobie, że to ich grzech śmiertelny, nie twój, rozumiesz?

- Sama nie wiem, Frannie. Randki to w ogóle śmierdząca sprawa. Napijmy się i poszukajmy Jima.

- Czy to Frannie? - podszedł do nas tatuś, trzymając Lucy za rękę. - Co za miła niespodzianka!

- Tak, to ja, doktorze Lutz. Tak się cieszę, że znowu pana widzę!

Uścisnęli sobie dłonie. Z miny Frannie jasno wynikało, że rozbawiła ją obecność Lucy przy tacie, w dodatku taka zażyła. Lucy od razu postawiła sprawę jasno.

- Cześć, jestem Lucy. Mieszkam obok, a Dougle, złotko, to mój

cukiereczek.

- Świetnie! Wspaniale! - odparła Frannie, po czym odwróciła się do mnie, bezgłośnie mówiąc: Ho, ho! - A co z drinkami?

Jim wyjmował piwo z chłodziarki.

- Hej, brzydalu! - Poklepała go po ramieniu. - Co ja słyszę, chcesz porzucić Wschodnie Wybrzeże?

- Ojej! Patrzcie, kto tu jest! I kogo nazywasz brzydalem? Uściskaj mnie porządnie!

- Po co ci tyle tego wstrętnego żelu we włosach? Idź się wykąpać!

- Co? Lepiej się przyjrzyj własnym włosom! Nigdy nie słyszałaś o salonach fryzjerskich?

- Puknij się w głowę!

- Tak? Sama się lepiej puknij!

I tak to trwało, dopóki oboje nie zdecydowali się normalnie ze sobą pogadać. Żartowali i śmiali się, jakby mieli znowu po dziesięć lat. Ta sama stara melodia, tyle że nowe słowa. Byłam tak uradowana, że spędzę z nimi wieczór, że nagle zapragnęłam, by wszyscy sobie poszli. Jednak musiałam nakarmić gości.

Niepotrzebnie martwiłam się o rozstawianie naczyń ponieważ gdy tylko wszyscy zobaczyli zeberka, natychmiast sami poszukali sobie talerzy. Część usiadła przy stole, inni stanęli koło bufetu, śmiejąc się i rozmawiając. Tata i Lucy gorliwie bawili Trixie, naturalnie Jim także poświęcił jej trochę czasu. Schlebianie Trixie i łagodzenie jej wybuchów wymagało więcej zachodu, niż to warte. Jeśli Jim chciał się jej podlizywać, mogłam to ostatecznie zrozumieć, bo była jego matką. Ja natomiast, usadowiona wysoko na moralnej grzędzie, nie miałam najmniejszego zamiaru brać w tym udziału. Każdy, kto znieważył moje dziecko, był dla mnie skreślony.

A potem myślałam o tacie. Od Jima ugłaskiwanie teścia wymagało sporo wysiłków. Śmieszne, że własnych krewnych potrafimy zawsze usprawiedliwić, członkom rodziny partnera czy partnerki wybaczymy w każdej, najdrobniejszej nawet sprawie z takim trudem i niechęcią, jakby chodziło o oddanie im nerki. Może powodem jest to, że od pierwszej chwili gdy nas poznali, oparli wzajemne relacje na zasadzie szukania odwetu za to, że odebraliśmy im dziecko, i nigdy nie potrafią wyzbyć się podejrzeń, czy naprawdę jesteśmy dobrzy dla ich pociechy. Coś ci to mówi? Tak, to święta prawda.

Rozejrzałam się za Emily. Kołysała Davida w hamaku. Rozmawiali i śmiali się - przypuszczalnie z bandy starych zgredów, jaką byliśmy w ich

oczach - i wyglądało na to, że świetnie się bawią. David wydawał mi się naprawdę miły i według mnie miał na Emily dobry wpływ.

Wreszcie około jedenastej goście zaczęli się rozchodzić, aż zostali tylko Frannie i Jim, którzy podjęli się posprzątać w kuchni, a Lucy i ja robiłyśmy to samo na podwórzu. Tata odjechał pierwszy, żeby podrzucić Trixie za most na Cooper. Oświadczyła, że będzie się czuła bezpieczniej, bo boi się tego pijaka, który zwykle nocuje pod mostem od strony Charlestonu. Eskorta będzie mile widziana. Emily i David zniknęli. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że zwinęli sześciopak piwa i czym prędzej zmyli się na plażę. Ale to tylko przypuszczenie, rozumiesz. Brigitte, Bettina i Bobby wyszli razem, wcześniej jednak wręczyli Jimowi prezent.

- Otwórz! - zażądali.

Bobby przewrócił oczami i oświadczył:

- Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Zupełnie nic.

Był to T - shirt z naszym logo z przodu i tyłu oraz z różowym napisem calowymi literami na kieszonce: WIELKI JIM, PIERWSZA SZYCHA.

- Zdajecie sobie sprawę, jak to wpłynie na moje życie towarzyskie w San Francisco? - zapytał Jim żartobliwie.

- O mój Booże! - wykrzyknęła Bettina. - Nie pomyślałam o tym. Przysięgam na Boga!

- Jesteś niesamowity, Jim - dodała Brigitte. - Chodźmy w końcu, jutro pracujemy.

- Dziękuję, żeście przyszli - powiedziałam, odprowadziwszy ich do samochodów. - Myślę, że dla Jima bardzo wiele to znaczy.

Staliśmy w świetle księżyca, weseli i zadowoleni, więcej, zaczęliśmy tworzyć jakby własny szczep. Należeliśmy każde do każdego i do wszystkich. Nawet Lucy. Emily. Jim. Altana Anny połączyła rozmaite osobowości. Gdybym wiedziała, że niezależność może spowodować taki przyływ adrenaliny, już dawno bym jej spróbowała.

Godzinę później Lucy wciąż u nas była, pijąc wino. Pomyślałam, że pewnie nie rozumie, że chciałabym mieć starych przyjaciół tylko dla siebie, i z początku byłam zirytowana, że nie wyszła razem z tamtymi. Wzięłam piwo z lodówki, pierwsze tego wieczoru, i poszłam na tylne podwórze, gdzie siedzieli we trójkę Frannie, Jim i Lucy. Bardzo miło było zobaczyć ich przy moim nowym stole, odprężonych i pogrążonych w rozmowie, tyle że robili wrażenie poważnych. Zbyt poważnych.

- Co się dzieje? Ktoś zmarł czy co? - zapytałam.

- Nie - odparła Frannie - ale ty możesz umrzeć, kiedy usłyszysz, co

właśnie powiedziała nam Lucy.

- Coś z Emily?

- Emily ma się świetnie. Siadaj - poleciał Jim. - Nie mam ochoty podnosić cię z ziemi.

Powiodłam wzrokiem po ich twarzach. Czekala mnie jakaś okropna wiadomość, tak okropna, że Jim i Frannie nie byli w stanie mi jej przekazać.

- Co się stało, Lucy?

- Anno, nie uwierzysz w to.

- Dobrze, ale w co?

- Przysięgam na wszystko, co święte, że nie miałam zamiaru wtrącać się w twoje sprawy.

- Przejdź wreszcie do sedna, dobrze?

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że przez Internet szukam rodziców?

- I znalazłaś ich? To naprawdę cud...

- Nie znalazłam taty ani mamy. Za to znalazłam Everetta Fairchilda.

- Cooo?!

- Wystarczyło wejść do wyszukiwarki Google i napisać jego nazwisko. Jest dealerem Sea Pro w Clearwater na Florydzie.

Dobrze, że usiadłam. Z trudem łapałam oddech.

- Zgadnij, co jeszcze? - zapytała Lucy.

- To ci się nie spodoba - ostrzegł Jim.

- Na pewno nie - dodała Frannie. Czekałam.

- Jest dyrektorem regionalnym do spraw sprzedaży i przyjeżdża tu w sierpniu na spotkanie w Wild Dunes. Wszystko to znalazłam na jego stronie internetowej.

- Będziecie tu oboje w sierpniu? - zwróciłam się do Frannie i Jima.

- Nie, w sierpniu jest tutaj za gorąco - odparł Jim.

- Robi cię w konia, Anno. Oczywiście, że przyjedziemy. Ale musimy wszystko dokładnie omówić i przygotować jakiś plan. - To była dawna Frannie: energiczna, biorąca sprawy w swoje ręce.

- Matko Święta! - Wypiłam spory łyk piwa. - Muszę się poważnie zastanowić. Lucy, mówiłaś tacie?

- Do diabła, nie! - Przewróciła oczami. - Przez cały wieczór się pociłam, jak mam o tym powiedzieć tobie! Nikomu bym słowa nie pisnęła!

- To dobrze. Tak trzymaj. Na razie najlepiej będzie, jak zachowamy tę wiadomość dla siebie. To moja sprawa i ja muszę się nad nią zastanowić. Wiedziałam, że któregoś dnia do tego dojdzie.

- To nie wszystko - powiedziała Lucy. - Znalazłam bilet, który był przy tych kwiatach. Musiał spaść i wsunąć się pod moje biurko.

- I co? - Czekałam, choć to w żadnym razie nie mogło być bardziej denerwujące niż wiadomość, którą przed chwilą usłyszałam.

- No, według mnie to jakaś dziwna sprawa. Karta jest od faceta nazwiskiem Jack Taylor. Píše tak: Nasze spotkanie, Sheeno, sprawiło mi ogromną przyjemność. Zostańmy przyjaciółmi. Jack Taylor. Kim, do diabła, jest Jack Taylor?

- To narzeczony jednej z moich klientek. Wielkie nieba. I co ja mam z tym począć?

29. Wskreszenie Everetta

Kiedy Lucy wreszcie poszła do siebie, było po jedenastej. Jim, Frannie i ja - Nieświęta Trójca - zostaliśmy na podwórzu, żeby podziwiać nocne niebo i rozbroić bombę rzuconą przez Lucy, a także odnaleźć jakiś sens w życiu. Jim nalał sobie lampkę chablis z butelki, którą cały czas trzymał na boku. Frannie z kieszeni szerokich lnianych spodni wyłowila paczkę parlamentów i zapaliła jednego.

- Ona jest niesamowita - odezwał się Jim; miał na myśli Lucy. - Ma któraś na coś ochotę?

Pokręciłyśmy głowami. Byłam zbyt oszołomiona, nie wiedziałam nawet, czy będę w stanie przełknąć choćby łyk czegokolwiek.

- Zgadza się, jest niesamowita. - Frannie wypuściła w niebo mały obłoczek dymu. - A w dodatku to prawdziwy prywatny detektyw.

Papieros Frannie pachniał cudownie, ale i tak postanowiłam przywołać ją do porządku.

- Kiedy rzucisz palenie? Wiesz, że to świństwo zabija.

- Gdybyś prowadziła takie życie jak ja, też byś paliła. Mam przy sobie laptopa - odparła, zaciągając się głęboko.

Patrzyliśmy, jak dym spiralnie unosi się nad naszymi głowami, a potem, niby mgiełka w śnie, odpływa wolno wraz z wiatrem.

- Dobrze - powiedział Jim i wstał. - Idziemy.

Zadrżałam na samą myśl o ujrzeniu twarzy człowieka, który w ciągu jednego wieczoru zmienił całą moją przyszłość, przyszłość Jima i sprowadził na świat moją jedyną córkę. Mimo to poszłam za nimi do domu.

- Sama nie wiem - mruknęłam, zamykając za sobą siatkowe drzwi. - Chyba nie chcę nic o nim wiedzieć.

Przez minutę panowała absolutna cisza. To było déjà vu z mojego najgorszego koszmaru sennego. Nie miałam pewności, czy w ogóle chcę

wracać w przeszłość. Najmniejszej pewności.

Zawsze myślałam o Emily bez związku z Everettem. Jedyłą karą, jaką mogłam temu facetowi wymierzyć, było odebranie mu możliwości bycia jej ojcem. Nie miał w ogóle pojęcia o istnieniu Emily i najprawdopodobniej o mnie też zapomniał. Nie wiedział, że ma wspaniałą córkę, która odziedziczyła po nim urokliwe zielone oczy i platynowe włosy. Przypuśćmy, że teraz wywołamy tego upiora? Jak to odbierze Jim? Planowałam ślub Emily od dnia, kiedy przyszła na świat, i Jim był jedynym człowiekiem, którego widziałam prowadzącego ją kościelną nawą. Everett zepsuje tę scenę, mówiąc najogólniej. Jaka korzyść może wyniknąć z dopuszczenia go do naszego życia teraz, po tylu latach?

A jak to przyjmie Emily? Sformułowała już pewne podejrzenia względem Jima, nie miała jednak pojęcia, że jej przyjście na świat było wynikiem gwałtu. Wskreszenie Everetta sprawi, że trzeba będzie powiedzieć mojej córce prawdę.

- Nie musisz patrzeć - odezwał się Jim. - Ja to zrobię.

- Boisz się, prawda? - zapytała Frannie.

- Do diabła, tak, boję się. A ty byś się nie bała?

- Tak, bałabym się. Ale to nie powstrzymałoby mnie od popatrzenia.

Taka jestem, i tyle.

- Tak, baba z jajami pod spódnicą. Ty je masz, ja nie. Słuchajcie, wykreśliłam tego drania z mojego życia wiele lat temu, i to dzięki waszej pomocy, chciałabym podkreślić. Dlaczego miałabym teraz chcieć wiedzieć, co się z nim dzieje? Osobiście mam nadzieję, że jego życie to piekło.

- No cóż, niewykluczone - zauważył Jim. - Nigdy nie wiadomo.

- Z drugiej strony - odezwała się Frannie - masz szansę, żeby naprawdę zmienić jego życie w prawdziwe piekło. - Szczęki miała zacisnięte, jak wtedy, kiedy w dzieciństwie szykowała się do bitwy.

- Cóż, warto się temu przyjrzeć! - Jim zacisnął pięści i potoczył wzrokiem po pokoju, uosobienie Złego.

- Masz rację. - Wzięłam głęboki oddech. - I tak będę musiała to zrobić, wcześniej czy później, a później oznacza przejście przez całą tę sprawę z Lucy. Z wami wydaje mi się to mniej przykre.

- Och, wielkie dzięki - powiedziała Frannie. Włączyła laptopa do gniazdka telefonicznego. - No, szybciej! Boże, nienawidzę czekania!

- Przyniosę krzesła - oznajmił Jim. - W laptopach wszystko trwa wieki.

Poszłam za nim. Noc była chłodna i spokojna. Słyszałam szum

przyływu, a powietrze pachniało jak zawsze, sosnami, jaśminem i solą. Jak świat może być taki normalny, kiedy we mnie dosłownie przewracają się wnętrzności?

- Nie wiem, co mam zrobić, Jim.

- Kiedy przyszłość jest niepewna, najlepszym wyjściem jest stanąć z nią twarzą w twarz. Od kiedy to jesteś takim tchórzem?

- Od zawsze.

- Tak jak Eleanor Roosevelt.

Każde z nas wzięło po dwa krzesła. Po krótkiej przepychance w drzwiach wreszcie udało nam się je wnieść do środka.

- A jeśli wróci Emily? - zapytałam, z sekundy na sekundę bardziej zdenerwowana.

- Przełączę się na inny ekran. Daj spokój, nie szalej. Przecież tylko rzucimy okiem na jego stronę.

Najpierw wystukała SEA PRO, markę łodzi, którymi handlował, i wywołała oficjalną stronę firmy. Następnie kliknęła na „Dealerzy”, „Floryda” i „Clearwater”. To wszystko. Tak po prostu.

I oto przed nami pojawił się Everett Fairchild, starszy, ale opalony i wesoło uśmiechnięty; w okularach raybanach i koszulce z dzianiny stał koło przyczepy z łodziami. Był tam jego numer telefonu, adres, informacje o przedstawicielstwie firmy, które prowadził, pochwały od licznych zadowolonych klientów oraz link do modeli, które oferował. Zajęło nam kilka minut dowiedzenie się wszystkiego na temat miejsca pobytu najbardziej znieawidzonej osoby, jaką kiedykolwiek los postawił na mojej drodze. I w drugim tygodniu sierpnia Everett miał przyjechać na Wyspę Palm. Wielkie nieba, co ja mam począć?

- O mój Boże, to on. - W moim głosie nie było cienia emocji.

- Nadal wygląda jak kompletny dupek - skomentowała Frannie.

- Założę się, że wciąż nim jest - dodał Jim. - No, Anno, co myślisz?

- Chyba muszę się położyć - odparłam. - Jest mi niedobrze.

- Mnie też - powiedziała Frannie, zamykając po kolei ekrany. - Jim, ty śpisz na kanapie. Przykro mi.

- Nie ma sprawy. Jestem spakowany.

- Dobranoc wszystkim, kocham was!

Dopiero pół godziny później Emily padła na łóżko, cuchnąc jak browar.

- Wiesz co? - szepnęłam do niej. - No?

- Jeśli podkradasz matce piwo, a jesteś nieletnia, to powinnaś umyć zęby, żeby nie poczuła twojego cuchnącego oddechu.

- Jasne, mamo.

- Niegrzeczna dziewczynka. Bardzo niegrzeczna. - Nagadam jej rano, pomyślałam. - Jak tam David?

- Super. Jest nieeesamowity.

Uznałam, że znaczy to, iż wszystko jest w porządku.

- Dobrze, złotko. Spijmy.

Wiedziałam jednak, że miną godziny, nim nadejdzie sen, że całą noc dręczyć mnie będą myśli o Everecie Fairchildzie. Postanowiłam się pomodlić. Nie należałam do tych, co Boga doprowadzają do szaleństwa niekończącymi się prośbami, naprawdę. Chowałam błagania na rzadkie i dramatyczne okazje, a ta na pewno taka była. Może jeśli poproszę o wskazówki, to jakieś otrzymam. Na szczęście ta myśl była ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, następną było wyłączenie budzika. Spałam tak twardo, że rano mnie zaskoczył. Może Bóg uznał, że bardziej niż rady potrzebuję snu. Choćby dla urody.

Śniadanie było ostatnim wspólnym posiłkiem we troje z Frannie i Jimem. Emily spała tak długo, jak się dało. Nastolatki odznaczają się tą niewiarygodną wręcz zdolnością snu. Tak czy owak, śniadanie nie było żadnym wystawnym bankietem, jedliśmy tylko grzanki i płatki, ale kawa była mocna. Rozmowa też robiła wrażenie. A co więcej wyjazd obojga wcale mnie aż tak nie martwił, ponieważ Frannie głośno i długo planowała ich przyjazd na wyspę w sierpniu.

- Wiesz - mówiła - sierpień to martwy okres w moim interesie. Wszyscy politycy są w Hamptons albo gdzieś na jachtach, spędzając przyjemne weekendy w towarzystwie najważniejszych sponsorów partii, a wszystko pod pozorem strategicznego planowania kampanii wyborczej.

- Nienawidzę polityki i polityków - oświadczyłam. - Nie wiem, jak znosisz stałe kontakty z tymi wszystkimi egoistycznymi maniakami, opętanymi obsesją władzy. Dla mnie byłoby to nie do wytrzymania.

- To nic takiego. Płacą mi wystarczająco dużo, żebym nie zwracała uwagi na fakt, że jestem jak kumpel Ralpa Cramdena, pracuję w ściekach. To brudna robota, ale ktoś musi ją wykonać. To znaczy, ktoś taki na pewno się znajdzie i dostanie za to pieniądze, więc równie dobrze mogę je wziąć ja. To praca, a nie powołanie.

- Z tym mogę się zgodzić, tylko co to właściwie nam daje? Lubię poprawiać wygląd ludzi, naprawdę lubię. Ale nie stanowi to pokarmu dla mojej duszy.

- Nie sądzę, żeby wiele ludzi miało komfort wykonywania pracy, która pozwala zarabiać i równocześnie stanowi pokarm dla duszy - odparła

Frannie. - Może artyści, gwiazdy filmowe, aktorzy z Broadwayu, muzycy rockowi, dziennikarze...

W tym momencie gładko włączył się Jim:

- ...lekarze zwalczający straszliwe choroby, śpiewacy operowi, kuratorzy muzeów, handlarze dzieł sztuki z Madison Avenue, międzynarodowi fotograficy mody, wielcy kucharze, niektórzy nauczyciele akademicy, historycy kultury...

- Czyli wszyscy oprócz nas - przerwałam.

- W zasadzie tak - zgodziła się Frannie. I znowu wtrącił się Jim:

- A wielcy winiarze z Europy, doliny Napa i Sonomy? Dobre wina karmią duszę, zmysły i pozwalają płacić rachunki, no nie? A dekoratorzy? Wielu z nich robi fortuny i uwielbia swoją pracę! A antykwariusze?

- Tak - powiedziała Frannie - to naprawdę wkurzające, kiedy codziennie trzeba robić coś, co nie rozpala w tobie świętego ognia. No wiesz, pomagam tym białym koszulom bronić ich interesów i dostawać to, czego chcą. Usprawiedliwiam się, myśląc o sobie jako o misjonarce lub przewodniczce, rozumiesz? Przeprowadzam bezpiecznie te niewiniątka przez ognie piekielne.

- Powinnaś być adwokatem - zauważył Jim. - Potrafisz znaleźć uzasadnienie dla wszystkiego i sprawić, by świat w to uwierzył.

- Tak, światu rzeczywiście jest potrzebny jeszcze jeden prawnik.

- Nie wiem, co bym robiła, gdybym mogła od nowa zaplanować swoje życie - odezwał się. - Może zostałabym architektem krajobrazu albo coś w tym rodzaju.

- Ja chyba uciekłabym od świata. Może ukryłabym się na jakiejś odległej wyspie, jak na przykład Fidżi - powiedziała Frannie. - Jim? Mógłbyś prowadzić restaurację, a Anna do znudzenia zmieniać układ kwiatów na grządkach. A potem kołysalibyśmy się w fotelach na bieżunach i czytali wspaniałe książki.

- Brzmi to okropnie nudno, naprawdę strasznie - odparłam. - Raczej zostanę przy moim małym salonie i będę podawać mleczne koktajle turystom. Przyślijcie mi widokówkę.

- Nie ja, złotko - oznajmił Jim. - Nie wybieram się na morza południowe, chyba że ścigać mnie będzie urząd skarbowy.

- Dobra, w takim razie godzę się na jeden długi weekend leżenia na słońcu i lekturę którejś z tych książek, co to kupiłam, ale nie miałam czasu do nich zajrzeć. Byłoby wspaniale razem gdzieś wyjechać i pobyć ze sobą. Wiecie, o co mi chodzi?

- Oczywiście - odparł Jim. - Mam straszne przeczucie, że w sierpniu

będzie mi potrzeba potężnych dawek humoru.

- Wiecie, co to wszystko znaczy, prawda? - Przeniosłam wzrok z twarzy Frannie na twarz Jima. - Musimy złożyć przysięgę, że częściej będziemy się widywać. Praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy rodziną, a przynajmniej kiedyś byliśmy.

- Anna ma rację, Jim. Trafiła w dziesiątkę! Popatrz na nas! Nie robimy się młodszy. Życie w dzisiejszych czasach pędzi z większą prędkością niż światło. Już niedługo zacznę znajdować w skrzynce z pocztą kupony na pieluchy dla dorosłych! Och!

- To fakt, starzejemy się z każdą sekundą - przyznał Jim. - Frannie nie ma męża. Prawdę mówiąc, żadne z nas nie ma, ale ty przynajmniej znalazłaś sobie Arthura. Jak wam leci?

- Jest wspaniały, ale nie chce się angażować, chociaż jest zaangażowany. A ponieważ wiem, że umieras z ciekawości, powiem, że chłopak jest gorący, okay? Dzisiaj się z nim spotykam. - Wzięłam talerz, żeby zanieść go do kuchni. - Chcecie jeszcze kawy? Muszę iść do pracy.

- Ja dziękuję - odparł Jim. - Idę na plażę.

- Anno - powiedziała Frannie - zamierzamy spędzić z Jimem przedpołudnie na plaży. A ja liczę na to, że ty czy ktoś w twoim salonie zajmie się moimi włosami, nim będę musiała jechać na lotnisko.

- Nie ma sprawy! Od wieków nie mogę się doczekać, kiedy dostanę cię w swoje ręce! Idźcie na plażę i do zobaczenia koło trzeciej, dobrze? I tak przed wyjazdem musisz zobaczyć salon!

- A ja też mogę iść na plażę? - zapytała Emily, wyłaniając się z sypialni. Ziewała i z trudem unosiła powieki.

- Zapomnij o tym - odparłam. - Masz szczęście, że nie przetrzepałam ci tyłka za wczorajszą noc.

- Matko przełożona, jesteś twarda jak kamień! - wykrzyknął Jim. - Pozwól jej pójść! Nigdy nie widuję naszej córki! Przywiozę ją w południe, zgoda? Na lotnisku muszę być o drugiej. - Popatrzył na Emily. - Co robiłaś, dziewczyno?

- Nic - odparła Emily, zalewając się rumieńcem.

- Razem z Davidem zwinęli sześciopak piw. Do łóżka wczołgała się na wpół pijana po północy - wyjaśniłam. - Cuchnęła jak nieświeże zwłoki.

- Emily! - rozpoczął przemówienie Jim. - Jestem wstrząśnięty. Jeśli ten młody dżentelmen nie potrafi zapewnić kontrabandy na wspólne rozrywki, tylko każe ci uprawiać drobne kradzieże, to rzuć go od razu! O tak! - Pstryknął palcami. - A tak w ogóle to ile trzeba mieć lat, żeby móc używać alkoholu?

- Jeszcze nie jest w odpowiednim wieku - powiedziała Frannie. - Ale my też nie byliśmy, kiedy ze sfalszowanymi dowodami kupowaliśmy skrzynki piwa.

- Słuszna uwaga - odparłam. W żadnym razie nie aprobowałam picia nieletnich, ale prawdą było, żeśmy wszyscy to robili. - Dobra. Bądź w salonie o dwunastej, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Emily. - Niech będzie. Uwielbiam, kiedy mówi „niech będzie”. Co to niby ma znaczyć? Ze nie obchodzi jej, co mówię, chociaż wiem, że ją obchodzi?

Do salonu dotarłam przed wpół do dziesiątej. Bettina i Brigitte tłoczyły się koło Lucy, a mnie włosy stanęły dęba na głowie. Wiedziałam, że zostałam zdradzona. Nie ulegało wątpliwości, że powiedziała im o Everecie, robiąc z całej historii operę mydlaną. Przez chwilę chciałam ją zamordować. Przysięgała na wszystkie świętości, że słówka nie piśnie, a tu masz. Nie mogłam w to uwierzyć. To nie był wytwór mojej imaginacji, ponieważ wszystkie trzy wyglądały na poruszone i gnębione wyrzutami sumienia.

- Cześć, Anno - powitała mnie Brigitte, odchodząc od tamtych i sięgając po chusteczkę, żeby wytrzeć nos. - Przepraszam, alergia. Dzięki za wczorajszą wieczór. Świetnie się bawiliśmy, prawda?

- O tak! - wykrzyknęła Bettina. - Nigdy nie widziałam, żeby Bobby tyle jadł. Te krewetki były fantastyczne!

Lucy zaczęła przemykać w stronę łazienki zwinnie jak wąż.

- Cześć wszystkim. - Nie patrząc na nie, wrzuciłam torebkę do szafki koło mojego fotela i zamknęłam drzwiczki głośniejszym, niż powinnam. - Lucy, mogę zamienić z tobą słówko?

Milczenie.

- Jasne! Tylko przypudruję nos, dobra? - odezwała się po chwili.

Wiedziały, że jestem zła. Spojrzałam w lustro i starłam ślady tuszu spod oczu. Przez ułamek sekundy wyobraziłam sobie siebie jako wynalazczynię nierozmazującego się tuszu dla kobiet mieszkających tam, gdzie panuje klimat pełen wilgoci. Stałam i nie mogłam przestać rozczesywać włosów grzebieniem.

- Poczekam - zwróciłam się do pleców Lucy. - Ma ktoś plan na dzisiaj?

- Nie - odparła Bettina.

- Jest tutaj - powiedziała równocześnie z nią Brigitte i podała mi kartkę.

- Wygląda na to, że czeka nas kolejny zwariowany dzień, co?

Otworzyły się drzwi i weszły dwie pierwsze klientki, ratując Bettinę i Brigitte z dość kłopotliwej sytuacji. Zająły się pracą, ja tymczasem czekałam na Lucy, która siedziała w łazience tak długo, że zdążyłaby chyba zmienić tapety, zdanie i swoją opowieść. Wreszcie podeszłam pod drzwi i delikatnie zapukałam.

- Mam wezwać hydraulika?

W końcu drzwi się uchylily. Twarz ukryta w chusteczce, drgające ramiona, bezgłośnie łkanie. Typowa Lucy.

- Przykro mi, Anno...

- Cicho bądź, bo nie wiem, co ci zrobić. - Byłam taka zła, że właściwie chciałam ją uderzyć. - I słuchaj, dobrze? - Wyglądało na to, iż rozumie, że jej życie wisi na włosku, kontynuowałam więc: - Rozmawiamy o zaufaniu, Lucy. To, że wiesz o mojej przeszłości, nie uprawnia cię do mielenia ozorem na prawo i lewo. Chodzi o życie mojego dziecka i moje, to są nasze intymne sprawy. Zdradziłaś najgłębszy sekret, mój, nie twój, i nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek jeszcze potrafiła ci zaufać. Teraz idź do domu. Jak się uspokoję, porozmawiamy.

- Wyrzucasz mnie z pracy? O Boże! Tak mi przykro! To jakoś samo tak wyszło!

- Jasne. Wpadło ci po prostu do głowy i spłynęło z języka bez twojego udziału. Nie, nie wyrzucam cię z pracy, ale jestem tak wściekła, że nie wiem, czy zniosę twój widok przez cały dzień. Więc idź.

Ruszyła przez salon, a ramiona tak mocno jej się trzęsły, że klientki na pewno musiały pomyśleć, że ktoś umarł. Teraz niemożliwe będzie utrzymanie sprawy w tajemnicy przed Emily. Byłam przerażona, na sercu leżał mi ogromny ciężar i myślałam, że chyba zaraz padnę trupem na miejscu.

Patrzyłam, jak Lucy wychodzi na parking. Och, tak bym chciała, żeby Jim nie wyjeżdżał. Ani Frannie. Musiałam z nimi porozmawiać. Nie mogłam zwrócić się z tym do taty. On by od razu poszedł do Lucy i cała cholerna rzecz rozniosłaby się jak epidemia. Musiałam stłumić sprawę w zarodku.

Przez następne dwie godziny odbierałam telefony, obsłużyłam dwie nieumówione klientki i wciąż byłam zajęta. Bettina i Brigitte unikały mojego wzroku, mając świadomość, że znajdują się w pobliżu głowicy nuklearnej, lada chwila grożącej wybuchem. Żadna nie zapytała, dlaczego Lucy wyszła. Wreszcie, kiedy się trochę uspokoila, wzięłam je na zaplecze.

Klientka Brigitte siedziała pod suszarką, a klientka Bettiny suszyła

paznokcie, popijając koktajl przez słomkę; żadna nie zdawała sobie sprawy z mojego stanu. We trzy stanęłyśmy koło pralki.

- Słuchajcie, Emily zaraz tu będzie. Jedno słowo, jedno głupie spojrzenie, a zacznie zadawać pytania, na które nie jestem jeszcze gotowa odpowiedzieć. Nie mam pojęcia, co Lucy wam powiedziała, ale nie powinna była mówić nic. To nie jej sprawa.

- Zgadza się - odparła Brigitte - i szczerze mówiąc, wcale nie chciałam o tym wiedzieć.

- A ja rozumiem Lucy - oświadczyła Bettina. - Jest głupia i nic na to nie może poradzić. Świat pełen jest lalek o pustych głowach. Nie wkurzaj się na nią, Anno. Prawdopodobnie i tak wcześniej czy później wyrzuciłabyś to z siebie. Niemożliwe, żebyśmy się nie dowiedziały. Mam rację czy nie? - Powiodła wzrokiem po naszych twarzach.

Brigitte wzruszyła obojętnie ramionami.

- Przypuszczalnie tak by się stało - zgodziłam się. - Ale ja wybrałabym odpowiedni czas na to, nie ona.

- Jeśli tylko to cię tak denerwuje, to daj sobie spokój. Pod koniec dnia będziesz mogła nam wręczyć dwa Oscary dla najlepszych aktorek, co, Brigitte?

- Jasne. Emily nic nadzwyczajnego nie zauważy.

- Dobrze. Wracajmy do pracy.

Kiedy Emily przyszła, posadziłyśmy ją przy telefonie, a ja wyszłam na dwór z Jimem, który pożegnał się już z Brigitte i Bettiną. Słońce paliło niemiłosiernie, wiedziałam, że długo tu nie wytrzymam. Byłam bardzo wzruszona. Jim wsiadł do wynajętego samochodu, włączył klimatyzację i znów wysiadł.

- Masz czerwony nos - powiedziałam.

- Bo mam delikatną arystokratyczną cerę. - Jasne.

- Za pięć minut będzie w wozie dziesięć stopni poniżej zera. - Uśmiechnął się do mnie. - To największa zaleta tych z Detroit, znają się na klimatyzacji. Niemieckie auta? Zapomnij o nich.

- Och, Jim, tak bym chciała, żebyś nie wyjeżdżał. Wyszło szydło z worka i teraz potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek.

- Jakie szydło? Opowiedziałam mu o Lucy.

- A, o to chodzi! Posłuchaj, Anno. Mniej więcej od piątej klasy ratujemy sobie wzajemnie tyłki, a to po prostu kolejne wyzwanie na długiej liście tych, z którymi daliśmy sobie radę.

- Wiem, ale do cholery! Dlaczego ona to zrobiła? - W gruncie rzeczy nie oczekiwałam odpowiedzi na to pytanie, musiałam tylko zastanowić się,

co zrobić, żeby Emily nie dowiedziała się o wszystkim przed czasem.

- Bo jest głupia jak but. Nie martw się. Przemyślę wszystko i zadzwonię do ciebie jutro, dobrze? Powiedz Frannie, zobaczymy, co ona na to. - Pokiwał głową. - Ta Lucy to miła dziewczyna, ale Boże! Ma tyle rozumu, co dwuletni dzieciak bawiący się zapałkami.

- Właśnie. Boże, będę za tobą tęskniła. Powodzenia w Ohio. Myślami jestem z tobą. - Wiedziałam, że niepokój o Gary'ego musi zjadać go żywcem.

- Mam filozoficzne podejście do życia, wiesz? To znaczy, uważam, że sprawy same się rozwiążą, bo w końcu zawsze tak jest. Ciebie też to dotyczy. Nie szalej, robią się od tego zmarszczki, a my nie chcemy zmarszczek.

Pokiwałam głową, kiedy wsiadał do samochodu. Opuścił szybę, by jeszcze raz się pożegnać.

- Kocham cię. Możesz na mnie liczyć.

- Wiem. Ja też cię kocham, Jim. Aż po grób.

Ucałowałam czubki swoich palców, a potem przeciągnęłam nimi po jego policzku. Mruknął coś i szybko zamknął okno, przycinając mi rękę. Pisnęłam i odskoczyłam ze śmiechem. Pomachaliśmy do siebie. Kiedy odjeżdżał, po raz kolejny uświadomiłam sobie, że nigdy w życiu nie miałam lepszego przyjaciela. Będę liczyła dni do jego powrotu.

Reszta dnia upłynęła szybko. Po południu pojawiła się Frannie, witając wszystkich, jakby znała ich całe życie. Pasowała tu niczym ostatni element układanki, dzięki niej miejsce wydawało się wreszcie kompletne, bo swym ironicznym poczuciem humoru dorównywała Bettinie, a opanowaniem Brigitte. Frannie miała bardzo dużo różnych uwag o salonie. Po piętnastu minutach, koktajlu i filiżance cappuccino wreszcie usiadła na moim fotelu.

- No więc wzięłam ten magazyn i zaczęłam się zastanawiać, czy nie mogłabyś mnie zrobić na Julię Roberts, ale potem doszłam do wniosku, że to nie z powodu włosów nie jestem do niej podobna. Racja? Taaak! Potem przyszła mi na myśl Elizabeth Taylor i to, jak kiedyś wyglądała. „National Velvet”? Ale to też beznadziejne. Możesz mnie ostrzec na supermodelkę?

- Pewnie, po prostu skrócę trochę boki - odparłam. - Chcesz jeszcze cappuccino?

- Czemu nie?

- Zaraz przyniosę. Cała przyjemność po mojej stronie! - oświadczyła Bettina. - Potem zajmę się twoimi paznokciami. Chcesz, to na małym palcu namaluję ci Brada Pitta!

- Boże, czy jej można nie kochać?

- Kocham ją bardzo, ale porozmawiajmy teraz o włosach, dobrze?

Zdjęłam gumową opaskę, którą były ściągnięte włosy, upięte potem w ogromny kok. Gęste, przetykane tu i ówdzie srebrnymi nitkami, opadły na plecy w nierównych pasmach. Frannie miała włosy, za które dziewczyna taka jak ja mogłaby zabić.

- Patrzcie na to! Chryste! Kiedy ostatnio się strzygłaś?

- Kiedy ojczulek Dubyi (Dubya - ironiczne przezwisko George'a W Busha (przyp. tłum.)) rządził w Białym Domu. Czego się spodziewałaś? Jestem potwornie zajęta!

- Ile mamy czasu? Półtorej godziny? - Zastanawiałam się gorączkowo, czy to wystarczy. - No więc do roboty.

Nałożyłam na włosy Frannie mahoniowy szampon koloryzujący, żeby wydobyć z nich ogniste błyski. Po wysuszeniu pasma były o całe trzy cale dłuższe. Odcień też bardzo mi się podobał.

- Dziewczyno, masz za dużo włosów! Chryste! Wystarczyłoby ich dla czterech kobiet!

- Więc je zetnij!

- Pomaluję ci paznokcie na czerwono - oznajmiła Bettina. - Z twoją niewyparzoną buzią powinnaś mieć czerwone paznokcie!

Zwilżyłam włosy i zaczęłam je ścinać, tak żeby sięgały do ramion, z przodu zostawiając kilka dłuższych pasemek. Kiedy znowu je wysuszyłam, były błyszczące i pięknie się układały.

- Ojej! Ruszam na polowanie na mężczyzn! - oznajmiła Frannie. - Nie można tego zmarnować.

- Wyglądasz rewelacyjnie! - orzekłam, spoglądając za Bettiną, która z wózkiem kierowała się ku następnej klientce. - Wsiadaj do samolotu, zmusz jakiegoś faceta, żeby zapłacił za przyjemność podziwiania twojej urody, i zadzwoń do mnie z hotelu. Musimy pogadać.

- Coś się stało? - szepnęła Frannie.

- Tak.

- Lucy się wygadała? - zapytała wciąż tak samo cicho.

- Tak.

- Cholera. Tak mi się wydawało.

- Właśnie.

- Zadzwonię, jak tylko będę mogła.

- Dobrze.

Uściskałyśmy się, tak jak robią to dobre przyjaciółki, po czym Frannie wyszła.

A ja zaczęłam się martwić wieczornym spotkaniem Emily z Davidem. Jeśli ja wybiorę się gdzieś z Arthurem, a ona zechce u Lucy oglądać telewizję, to kłopoty gotowe. To straszne, że ktoś taki jak Lucy znowu może mnie zdradzić. Ta myśl sprawiła, że mój gniew odżył z nową siłą.

Postanowiłam zadzwonić do taty i spróbować go namówić, żeby zaprosił gdzieś Lucy na wieczór albo przy - najmniej spędził go u niej. Jeśli on tam będzie, Lucy nie odważy się nic powiedzieć Emily. Zrobi sobie kilka martini, wstawi się i może w pijackim odurzeniu zapomni to, o czym wie. No tak, nie ma to jak pobożne życzenia. Wyszłam na parking i zadzwoniłam do taty z komórki.

- Tato? Jestem ugotowana. Potrzebuję twojej pomocy.

- Co się dzieje, słoneczko?

- Chodzi o Lucy i jej język, długi jak autostrada międzystanowa numer 95.

Tata chrząknął, a ja uświadomiłam sobie, że albo sprowokowałam go do nieprzyzwoitych myśli, albo już o wszystkim wie. Już wiedział.

- Dzwoniła do mnie jakąś godzinę temu. Na tym polega problem z kobietami. Za dużo gadają.

- Nie wszystkie, bardzo przepraszam. Ta, o której mowa, uważa, że ma obowiązek rozgłaszania wszystkiego, jakby była z „National Enquirer”. Jestem taka wściekła, że mogłabym ją zabić.

- Nie dziwię się, że się wściekasz, ale wcale nie jestem pewien, czy musisz cokolwiek mówić Emily. W każdym razie nie teraz.

- Ale wkrótce. - Gardło mi się ścisnęło na tę myśl. - Niedługo będę musiała spłacić swój dług diabłu.

- Może nie. Myślę, że uda nam się znaleźć sposób na przekazanie Emily prawdy, tak by nie mieszać w to mocy piekielnych. Teraz jesteś zdenerwowana i nie myślisz jasno.

Nie znosiłam, kiedy tak mówił, sugerując, że ulegam kobiecej histerii.

- Myślę całkiem jasno, a problem wymaga natychmiastowego rozwiązania. - Powiedziałam mu, że umówiłam się z Arthurem i nie chcę tego odwoływać, ale martwię się tym, co może się stać wieczorem.

- Czyli chcesz, żebym zadziałał jako bezpiecznik? Dobrze. Zadzwonię do Lucy i zaproszę ją gdzieś na kolację.

- A mnie pozostanie jedynie zamartwianie się, czy Emily i David nie zrobią czegoś, czego nie powinni, zostając w domu sami, bez nikogo z dorosłych.

- Dobry Boże, Anno, posłuchaj, co mówisz! Czym się zajmujesz? Seksem bez zabezpieczenia? Ile lat ma Emily? Naprawdę myślisz, że jest

tak zepsuta, że wskoczy z facetem do łóżka, gdy tylko będzie miała okazję?

- Wiesz co, tato? Jest w takim wieku, że i tak zrobi to, co będzie chciała. Mam tylko zastrzeżenia, że im tę okazję stwarzamy, zostawiając ich samych w domu, gdzie są łóżka. To namawianie do grzechu. - Tata ryknął śmiechem, a ja uświadomiłam sobie, że mówię jak babka. Wtedy i ja też zaczęłam się śmiać.

- Idiotka ze mnie - przyznałam. - Violet wiecznie żywa!

- Ty... och Boże, ależ to było śmieszne... nigdy nie słyszałaś o tylnym siedzeniu samochodu? Złotko, jeśli młodzi chcą uprawiać seks, zawsze znajdą na to sposób!

- Zaproś tylko Lucy na kolację, a potem trochę się tam pokręć, dobrze?

- Dobrze. A teraz przestań się martwić. Wszystko to sobie jakoś ułożymy, bo kiedyś i tak będziesz musiała powiedzieć Emily prawdę. Ona ma prawo ją znać, Anno.

To była święta prawda. Czekałam zbyt długo, ponieważ cała historia wydawała się zanadto skomplikowana i trudna do zaakceptowania. Chciałam mieć pewność, że Emily jest dostatecznie silna, by przyjąć ją jak osoba dorosła. Zawsze miałam nadzieję, że będzie szczęśliwa ze mną i Jimem jako rodzicami i nie zechce dogrzebywać się czegoś więcej.

- Słuchasz mnie?

- Przepraszam, tato. Co mówiłeś?

- Że zadzwonię do ciebie później, dobrze?

- Dzięki. Tato, kocham cię, wiesz? Bardzo.

- Musisz nauczyć się wybaczać, Anno. Ludzie popełniają błędy. Lucy już taka jest.

To prawda, nie wybaczałam zbyt łatwo. Ale i on w tej dziedzinie nie był ideałem.

Później, tego samego wieczoru, po wspaniałej kolacji i mnóstwie wina, leżałam w łóżku z Arthurem, przeżywając wciąż na nowo niedawną rozkosz. Powiedziałam mu, co zrobiła Lucy, a więc musiał się dowiedzieć również o Everecie. Myślałam, że coś mi doradzi. Czekałam, aż się odezwie, ale on był dziwnie milczący.

- O czym myślisz? - zapytałam.

- O tym, że właśnie tego nie znoszę w związkach. - Przekręcił się na bok, oparł na łokciu i spojrzał na mnie. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie - odparłam. Byłam spięta, bo wiedziałam, że jak amen w pacierzu zaraz usłyszę od niego coś, czego wcale nie chcę usłyszeć. -

Powiedz mi.

- Nie chcę mieć do czynienia z całym tym gównem, które się wiąże z zaangażowaniem. Dlaczego dwoje ludzi nie może po prostu być razem i cieszyć się swoim towarzystwem? To znaczy, dlaczego każdemu od razu się wydaje, że może na tę drugą osobę zwalić wszystkie swoje problemy, bo akurat tak się zdarzyło, że spędzili razem kilka nocy?

Popełniłam wielki błąd, zakładając, że Arthur chciałby wiedzieć, co mnie dręczy.

- Bo... cóż... sama nie wiem. Chyba dlatego, że spanie ze sobą wiąże się z określonym rodzajem intymności. Rozumiesz? Dzielisz się ciałem. Dzielisz się duszą. A może w Nowym Jorku tego nie robią?

- Nie tak, jak kobiety z Południa. Jankeski są bardziej niezależne - odparł chłodno. - No wiesz, oczywiście nie jesteś może taka wymagająca, jak pewne kobiety, które znałem. Ale pewnie nie chciałabyś o nich słuchać, tak samo jak ja nie mam ochoty wiedzieć o tym, czym pragnęłabyś się ze mną podzielić.

Wstałam i zaczęłam się ubierać. Jak dla mnie, impreza się skończyła.

- Cóż, możesz uznać to za przewrażliwienie z mojej strony, ale czuję się obrażona. I chcesz wiedzieć, co myślę? Myślę mianowicie, że niektóre kobiety gotowe są brać mniej, ponieważ mniej jest i tak lepsze niż nic. I, moim zdaniem, nie ma to absolutnie nic wspólnego z jankeską niezależnością.

Patrzył, jak zapinam bluzkę.

- Nie miałem zamiaru cię obrazić, Anno. Powiedziałem ci prawdę o sobie. Nie chcę się angażować.

- Więc dlaczego ze sobą sypiamy?

- Bo tego chcemy. Bo czujemy do siebie pociąg. Bo obojgu nam sprawia to przyjemność. Czy to nie wystarczy?

Wstał i poszedł do łazienki. Nie odpowiedziałam mu. Nie, jego argumenty mnie nie przekonały. Temu facetowi potrzebne były lekcje sztuki romansowania. Rozejrzałam się po pokoju, pragnąc jak najszybciej stąd wyjść, bo uświadomiłam sobie, że albo zaakceptuję Arthura takiego, jaki jest, albo odejdę, nim jeszcze bardziej mnie zrani. Zanim zaczął wykład o „warunkach związku”, byłam pewna, że go w sobie rozkocham. Jego wyraźny strach przed uczuciem zmusił mnie do działania. Co się ze mną dzieje? Czyżbym aż tak rozpaczliwie pragnęła miłości?

- Chodź - powiedział, wróciwszy do pokoju. - Odwiozę cię.

- Okay.

W samochodzie milczałam. Kiedy zajechaliśmy przed mój dom,

Arthur odezwał się:

- Wiesz, Anno, to nie twoja wina, chodzi o mnie. Małżeństwo okazało się dla mnie śmiertelnie niebezpieczną pułapką. Nigdy więcej nie chcę być taki bezbronny. Przepraszam.

- Niech będzie - odparłam. - Dobranoc.

Niech będzie stanowiło idealne podsumowanie. Było to powiedzonko Emily, doskonałe na każdą okazję. Będę musiała jej kiedyś powiedzieć, że czegoś się od niej nauczyłam. Arthur może i jest Królem Pieprzenia, ale po raz ostatni widział moje majtki na podłodze.

30. Przepaść emocjonalna

Cześć, Anno, tu siostra Francesca. Konfesjonał otwarty. Jestem w Raleigh, leżę w wygodnym łóżku w uroczym Ramada Inn z dwiema puszkami dietetycznej coli i całą paczką papierosów.

- Cześć, Frannie.

- Jestem gotowa wysłuchać wszystkich szczegółów z twojego życia prywatnego oraz udzielić ci nieocenionych rad.

Zadzwoiła zgodnie z obietnicą. Był sobotni wieczór, spędzałam go samotnie w domu. Wzięłam prysznic i szykowałam się do oglądania starego filmu i pogryzania popcornu. Wypolerowałam blaty w kuchni (nie dlatego, że czekałam na telefon Arthura - tak, pewnie - lecz dlatego, że było im to potrzebne - tak, pewnie) i popijałam wino z zapasu zostawionego mi przez Jima. Arthur nie zadzwonił, co mnie nie zaskoczyło. Emily zatrudniła się w Barnes & Noble i pomagała Davidowi do północy przy remanencie. Lucy pojechała po pracy do Myrtle Beach, żeby spędzić tam noc Bóg tylko wie z kim, co mnie akurat odpowiadało, bo wciąż byłam na nią wściekła.

- Nie wiem, od czego zacząć - odparłam. - Od Lucy czy od Arthura?

- No, Arthura na oczy nie widziałam podczas mojej krótkiej wizyty, więc zacznijmy od Lucy. W samolocie wpadł mi do głowy pewien pomysł.

- Mów.

- Powinnaś ją zabić.

- Z początku też tak myślałam, ale doszłam do wniosku, że spędzenie reszty życia za kratkami za zamordowanie laleczki o kurzym mózdzku to nie jest szczyt moich marzeń. Lepiej chyba byłoby podać jej znieczulenie i wyciąć język.

- To zbyt obrzydliwe! - skomentowała Frannie.

- Mogłabym kogoś wynająć.

- Chyba że tak. Poczekaj, idę po lód. - Słyszałam, jak krząta się po pokoju. Po chwili znowu się odezwała: - Wiesz co? Sieci hotelowe

naprawdę zmuszają do wysiłku umysłowego. W zeszłym miesiącu w Peorii miałam identyczny pokój, łącznie z widokiem na parking. Skąd człowiek może wiedzieć, gdzie jest? Trzeba nieźle pogłódkować. Niesamowite.

- Nie wiem nawet, kiedy ostatnio mieszkałam w hotelu.

- O tym też chciałam mówić. Raz na jakiś czas musisz wyjechać z Charlestonu. Ale wracając do Lucy. Sprawa w skrócie wygląda tak. Dopóki tylko kilka osób wiedziało o Everecie, nie warto było się tym przejmować. Teraz dzięki genialnej Lucy stało się to tematem rozmów i szanse, że Emily usłyszy o tym od kogoś obcego, zwiększyły się co najmniej czterokrotnie. I oczywiście istotne pytanie brzmi, co zamierzasz zrobić, kiedy on przyjedzie do Wild Dunes?

- Jeśli mam być szczerą, byłam tak zdenerwowana i zajęta, że w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

- Cóż, Anno, oto co myślę. Masz do wyboru dwa wyjścia. Albo nie robić nic i zostawić sprawę przypadkowi. Ryzyko, że gdzieś na niego wpadniesz, jest małe. Albo też zastawić na sukinsyna pułapkę i rozwalić jego życie w proch i pył. Ja osobiście wolę to drugie rozwiązanie bo przecież kiedyś i tak będziesz musiała powiedzieć Emily prawdę, no nie?

- A co powiedzenie prawdy Emily ma wspólnego z rozwaleniem mu życia?

- Bo powiedzenie prawdy Emily rozwali na jakiś czas twoje życie.

- Wiem. Dlatego do tej pory nic jej nie mówiłam. - Anno, posłuchaj. Pewnego dnia, całkiem niedługo,

Emily będzie chciała założyć własną rodzinę i powinna przynajmniej wiedzieć, od kogo pochodzi połowa jej genów. Nie wydaje mi się natomiast, żeby on próbował wdrzeć się w twoje życie. Wyobrażam sobie, że najpierw będzie zszokowany jak diabli, a potem wczółga się z powrotem do swojej nory. Wiesz, zawsze doprowadzało mnie do szału, że ten facet zrobił to, co zrobił, a potem żył sobie jakby nigdy nic. Do jasnej cholery, wydaje się mu, że kim niby jest? To zły człowiek, Anno. Bardzo zły!

- Frannie, już wiele lat temu wyrzuciłam z serca gniew. Zawsze pocieszałam się myślą, że Everett nie może się z nami kontaktować, rozmawiać, oglądać popisów tańca Emily, jej świadectw, przedstawień szkolnych, nie obchodzi z nami świąt Bożego Narodzenia i tak dalej. Przez wszystkie te lata miałam Emily tylko dla siebie. Gdybym mu powiedziała, że to jego córka, musiałabym się nią z nim dzielić.

- Nieprawda. Emily to dorosła kobieta, skończyła już osiemnaście lat.

Sama zadecyduje, czy chce go poznać. Nie ty. Poza tym jest przecież możliwe, że on od lat ma żonę, dzieci. Kto wie? Może stał się przykładowym chrześcijaninem, co byłoby idealnym rozwiązaniem, ponieważ już teraz mógłby zacząć smażyć się w piekle.

- No, sama nie wiem, Frannie. - W brzuchu mi burczało; bałam się, że chyba się rozchoruję. - Bardzo się tym wszystkim dręcę.

- Cóż, powiedziałabym, że potrzebujesz jakiegoś planu. Wiesz, co ja bym zrobiła na twoim miejscu? Poradziłabym się Brigitte i Bettiny. Nie są głupie, a Bettina to w dodatku dobra dziewczyna, może trochę ostra, ale dobra. A poza tym i tak już wiedzą.

- Problemem będzie utrzymanie sprawy w tajemnicy przed Emily.

- No, mówię ci, co ja bym zrobiła. Teraz opowiedz mi o tym Arthurze.

Opowiedziałam jej o ostatniej randce. Frannie wygłosiła rozsądny komentarz.

Mężczyźni to świny! Powiedz mu, żeby spływał! Prędzej by mi ręka uschła, niżbym do niego zadzwoniła!

- Co on sobie myśli, że będzie żył wiecznie? Jak długo chce pielęgnować uraz związany ze swoim małżeństwem? - Potem jednak zadała najważniejsze pytanie: - A jaki jest w łóżku?

- Gdybym ci powiedziała, nie uwierzyłybyś.

- Spróbuj. Jestem dziewczyną z miasta.

- Frannie, wiesz, że nigdy nie rozmawiam o tych sprawach. Porządne dziewczęta nie mówią o swoich kochankach.

- Porządne dziewczęta nie mają o czym mówić. Zachichotałam. Frannie trafiła w sedno.

- Dobra, powiem, a ty od razu zapomnisz, że to ode mnie usłyszałaś.

- Zgoda.

- Nigdy przedtem w całym moim życiu nawet nie słyszałam, żeby ktoś tak uprawiał seks. Nigdy.

- A dokładnie co to znaczy? Czy on jest, no, dziwny?

- Och, nie! Nic podobnego! Tylko kiedy było po wszystkim, myślałam, że nie żyję!

- Co? - Frannie wybuchnęła śmiechem. - A co on robił? Trzymał cię za nogi i walił twoją głową w materac?

- Nie! Boże, jaka ty jesteś głupia! On jest... do diabła! No wiesz, to trwało wiecznie! I było niesamowite! Miałam wrażenie, że lecę w kosmos! Nie żartuję! Na miłość boską, Frannie, byłam złana potem!

- Co? - Frannie zanosila się śmiechem, słyszałam, że nawet się

zasmarkala. - Bylaś zlana potem?

- Tak!

- A zwykle nie jesteś? - spytała, zakrztusiła się i znowu zaczęła się śmiać.

- Co nie jestem?

- Zlana potem!

- Do diabła, nie!

- Poczekaj, muszę wziąć chusteczkę.

Usłyszałam, jak mruży do siebie: „Dobry Boże! Chyba muszę ją zabrać do Club Med czy co?”. Wysiadała nos, zakaszła, roześmiała się i znów dmuchnęła w chusteczkę.

- To nie jest śmieszne, Frannie. Próbuje coś ci powiedzieć, co wcale nie jest łatwe, kiedy ciągle się śmiejesz.

- Och, przepraszam. Mów.

- Posłuchaj, pytanie brzmi następująco. Jim mówi, że facetom zależy wyłącznie na pieniądzu i fiutach i że zakochani są sami w sobie. Czy to źle związać się z mężczyzną wyłącznie dla seksu oraz, co jeszcze ważniejsze, czy można to zrobić i nie zaangażować się?

- Mężczyźni zawsze tak robią.

- Naprawdę? Chyba masz rację.

- Kobiety uprawiają seks, żeby zdobyć miłość, a mężczyźni dla poprawienia sobie samopoczucia.

- Dobry Boże. A gdzie cały romantyzm tego wszystkiego?

- Pragniesz romantyzmu, Anno? Od tego masz Jima. Przylatuje do Charlestonu, urządza na nowo twój salon, kupuje ci wystrzałowe ciuchy, mówi, jaka jesteś fantastyczna, jaka fantastyczna jest Emily, jaki fantastyczny masz dom. Jeśli to nie jest romantyczne, to już nie wiem, co jest. To chyba Harry Truman powiedział, że jeśli ktoś w Waszyngtonie pragnie miłości, powinien sobie kupić psa. No i zawsze masz mnie. Kocham cię, nie szalenie, ale jak siostra. A co do tego Arthura...

- Tak?

- Następnym razem oblej się potem, aż będziesz cała mokra!

- Dobrze.

- Jeden facet nigdy ci nie da wszystkiego, złotko. Nie zapewni ci miłości, romantyzmu, wspaniałego seksu i pieniędzy jednocześnie.

- Wiem. Wszyscy cudowni faceci są gejami, a wszyscy sympatyczni mają żony.

- Tak, a co gorsza, jesteśmy w tym pieprzonym wieku, kiedy sympatyczni faceci wciąż są żonaci z tymi sukami, bo czekają, aż ostatnie

dziecko pójdzie do college'u. Zgodnie z moimi wyliczeniami, za pięć lat będzie nadmiar wolnych mężczyzn.

- No, tylko że za pięć lat ci faceci nie będą chcieli kobiet w naszym wieku.

- Nie bądź taką pesymistką. Radziłabym, żebyś na razie skoncentrowała się na Everecie Fairchildzie, a swoje frustracje wyładowywała w łóżku Arthura.

- Dobry plan. Życzę powodzenia w twoich spotkaniach i dziękuję, że przyjechałaś. Jim był zachwycony.

- Ja też. Dzwonił z Ohio?

- Nie, ale to typowe dla Jima. Pojawia się i znika. Chyba odezwie się, dopiero jak wróci do San Francisco.

- Jasne. Boże! Cudownie było zobaczyć się z tobą Emily, twoim tatą i całą resztą. Myślisz, że z Lucy dobrze mu się układa?

- Każdy mnie o to pyta. Rodzice nie prowadzą życia seksualnego, przecież wiesz, nie? Mają w tych miejscach tylko takie obłe wzgórki, jak Barbie i Ken.

Roześmiałyśmy się i na pożegnanie przyrzekłyśmy sobie, że wspólnie opracujemy plan ofensywy przeciwko Fairchildowi.

Powiedziałam Frannie, że zgadzam się z nią w kwestii widywania się z Arthurem dla samego tylko seksu, ale nawet przez minutę nie myślałam tego poważnie. Strasznie chciałam spotykać się z Arthurem, i okropnie mnie męczyło, że nie dzwoni. Spoglądałam na telefon, wahając się, czy wystukać jego numer. Co miałabym mu powiedzieć? Och, Arthurze! Kiedy w czwartek wysiadłam z twojego samochodu, powiedziałam: „Niech będzie”, pamiętasz? Miałam na myśli to, że zgadzam się na każdy rodzaj płytkiego i niemoralnego związku, jaki tylko zaproponujesz... Wciąż dręczył mnie fakt, że wszystko mu opowiedziałam, a jego to za grosz nie obeszło. W głowie mi się nie mieściło, że można się z kimś kochać, a potem leżeć obok tej osoby i wcale się nie przejmować jej sprawami.

Spojrzałam na zegar. Kwadrans po jedenastej. Arthur za chwilę pewnie wróci z pracy, kuchnię zamykają o jedenastej. Może mój problem polega na tym, że za wiele od niego oczekiwałam w zbyt krótkim czasie. To znaczy, mogłam zrozumieć, że nie chce się angażować. W końcu na wyspie spędzał tylko lato. To miało sens. Gdyby tu mieszkał, a, to by była zupełnie inna para kaloszy. Może powinnam spakować koszyk na piknik o północy i czekać na Arthura na schodach, kiedy wróci z pracy. Tak, dobry pomysł. Wezmę butelkę wina i jakieś przekąski, po czym delikatnie,

bardzo delikatnie udowodnię mu, że się myli. Naprawdę nie istnieje żaden powód, dla którego nie miałabym przeżyć z nim wakacyjnego romansu, a potem się pożegnać, prawda? Bo przecież spotykałam się z innymi mężczyznami, choć też nie układało się między nami tak, jak oczekiwałam. Czy mam z nim zerwać tylko dlatego, że na drugiej czy trzeciej randce nie przyrzekł, że będzie mnie kochał i szanował aż do śmierci?

Biedna Frannie, jest taka cyniczna. Przez te swoje nieudane romanse zupełnie wyzbyła się złudzeń. Ja nadal wierzyłam, że można mieć romantyczną miłość i udany związek. Trzeba tylko czasu, żeby go zbudować. Chociaż gdyby się tak rozejrzeć wśród znajomych, udane małżeństwa należały do rzadkości, ale to było bez znaczenia. Czułam tak wielki, przemożny pociąg do Arthura, że to nie mogło być nic złego. Wystarczyło, że o nim pomyślałam, a wszystko w środku aż mi dygotało, jak u młodej dziewczyny. Gotowa byłam podjąć ryzyko odrzucenia po raz drugi. Zachowam ostrożność. Jeśli o nic nie będę go prosiła, to przecież nie ucieknie, prawda? Nie, bo wiedziałam, że ja też go pociągam. To nie ulegało wątpliwości.

Włożyłam białe levisy i granatową koszulkę polo, włosy zebrałam opaską ze stretchu. Nagryzmoliłam kartkę do Emily, że wychodzę na kilka godzin, po czym wsiadłam do samochodu z butelką schłodzonego wina oraz paczką doritos o smaku cytrynowym. Nic lepszego nie znalazłam.

Jego samochód stał przed domem, musiał wyjść z pracy wcześniej, pomyślałam. Kiedy wysiadłam, psy zaczęły ujadać i zapaliło się światło na ganku.

- Cześć! - powiedziałam. - Może potrzebujesz towarzystwa?

- Jasne - odparł z uśmiechem. - Wejdz. Właśnie wróciłem.

Stał, przytrzymując drzwi. Wbiegłam po schodach i na powitanie pocałowałam Arthura lekko w policzek. Zamierzałam minąć go i od razu skierować się do kuchni, ale mi na to nie pozwolił. O tak, jego usta już się do mnie zbliżają! Boże, ten facet umie całować!

- Wiesz co, panie Wielki Kawał Sera?

- Co, panno... eee... Północny Jeźdźcu?

- Uwielbiam, jak mnie całujesz. - Wyciągnęłam paczkę doritos. - Patrz, jakie specjały przyniosłam!

- Chciałem sobie zrobić jajka. Masz ochotę na jajka?

- Nie, dzięki. Wzięłam też wino. Jim kupił mi skrzynkę takiego, które, jego zdaniem, powinno mi smakować. Nowozelandzkie sauvignon blanc z Fairhall Downs, cokolwiek to jest. Masz korkociąg?

- Powiedziałaś „ciąg”?

- Bardzo śmieszne, ale nie, najdroższy, nie przyszedłam tu na późnowieczorne łowy. - Otworzyłam torbę i wzięłam jednego chipsa. - Boże, ale wstrętne. Nie jedz tego. Chciałam z tobą porozmawiać.

- Przykro mi to słyszeć - odparł z udanym rozczarowaniem. Sięgnął do szuflady. - Daj butelkę. Czy to znaczy, że nie chcesz już ze mną sypiać?

- Matko Boska! Czy faceci myślą tylko o jednym?

- Nie, do diabła! Myślmy o piłce nożnej, zapasach, pieniądzach, władzy - naprawdę sądzisz, że jesteśmy bandą cynicznych drani?

- Tak, ale to nic, kobiety wiedzą przynajmniej, z czym mają do czynienia.

- Auu! Auu! Chodźmy na ganek.

Powietrze było gęste od mgły. Skrywała także molo.

- Czy łódź tam jest?

- Masz na myśli Statek Miłości?

- Wielki Boże. - Usiadłam w tym samym fotelu co poprzednio, a Arthur podał mi kieliszek z winem. - To była najbardziej niesamowita noc w moim życiu.

Arthur wziął chipsa z torby i rzucił ją na podnózek.

- To było naprawdę zabawne, Straż Przybrzeżna i cała reszta. - Patrzyłam, jak wkłada chipsa w usta. - Miałaś rację, są ohydne.

Przez kilka chwil milczeliśmy, podziwiając sekrety nocy, potem się odezwałam:

- No więc, Arthurze, sporo myślałam.

- Tak? A o czym?

- Ze powinniśmy zostać przyjaciółmi. To znaczy, nie twierdzę, że nie możemy ze sobą sypiać, ale moim zdaniem, najważniejsze, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

- A nie jesteśmy nimi?

- Tak, ale nie chcę, żebyśmy przestali się widywać z powodu tej sprawy z zaangażowaniem. Wiesz, wszystko rozumiem. Na początku uważałam, że to trochę pokręcone, ale potem rozjaśniło mi się w głowie. Tak czy owak, co za różnica? Przyjechałeś tu tylko na krótko, w sierpniu wyjeżdżasz. Masz rację.

- Angażowanie się w związek z osobą mieszkającą w odległości tysiąca mil jest głupie, nie wspominając już, że cholernie niewygodne.

Poczułam, jak serce mi się ściska, mimo to ciągnęłam:

- Słuchaj, pomyślałam, że gdybyśmy zapomnieli o tym całym zaangażowaniu się, to kto wie? To znaczy, może znowu naszłaby cię ochota,

żeby tu przyjechać, i potrzebowalibyś kanapy...

- Kanapy? Kazałabyś mi spać na kanapie?

- Jasne, że nie, chyba że Emily byłaby w domu. Niewykluczone, że i ja będę chciała pojechać do Nowego Jorku. Byłoby miło wiedzieć, że mogłabym do ciebie wpaść tak po prostu, bez zobowiązań.

- Cieszę się, że mi to mówisz, naprawdę. Miałem nadzieję, że do takiego właśnie wniosku dojdiesz, kiedy to sobie przemyślisz, bo wiesz, strasznie mi głupio z powodu tego, co powiedziałem w czwartek. Rozumiem, że zabrzmiało to egoistycznie i w ogóle...

Tak. Egoistycznie to właściwe słowo, panie Pokolenie Ja.

- Ależ wcale nie - zaprzeczyłam. - Słuchaj, gdybyś tu mieszkał, sprawy mogłyby się zupełnie inaczej ułożyć. Ale nie mieszkasz, więc korzystajmy z tego, co mamy.

- A co mamy?

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- Racja. Przyjaciółmi. Doskonale. Cóż, chyba wiesz, że Arthur wstał, wziął mnie za rękę,

przyciągnął do siebie i zaczął się do mnie dobierać. Możesz być pewna, w duchu chichotałam tak szaleńczo, że sama nie mogłam uwierzyć, jak udało mi się nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Zamiast tego pozwalałam mu się całować, gdzie tylko chciał. I całował mnie. W rękę trzymał moją lewą pierś, i to też mi się podobało. Potem jednak zdecydowałam, że albo wskoczę z nim do łóżka, albo zafunduję mu temat do przemyśleń. Tak więc, zgodnie z tradycją tradycyjnych przekomarzanek z Południa, poczekałam, aż temperatura osiągnie odpowiedni poziom, po czym ruszyłam do odwrotu.

- Arthurze? Jesteś taki rozpalony, że najchętniej wczołgałabym się pod ciebie, ale muszę lecieć.

- Lecieć?!

- Dziecinko, jesteś najbardziej seksownym facetem, jakiego w życiu spotkałam, i absolutnie nie można ci się oprzeć, ale mam nastoletnią córkę, która najprawdopodobniej spija teraz cały alkohol, jaki jest w domu, a poza tym muszę rano wstąpić.

- Jutro jest niedziela, słoneczko.

- Racja, ale msza zaczyna się o wpół do dziesiątej. Dobranoc, kochanie. Postarajmy się oboje znaleźć czas i zobaczyć się w przyszłym tygodniu, dobrze?

- Pracujesz w poniedziałek? Muszę się ostrzec.

- Jasne! - Jak tylko zaplotę ci w warkoczyki wszystkie krótkie wioski.

- Przyjdź! Nie ma sprawy!

Nie wiem, co myślał Arthur, ale ja przez całą drogę do domu myślałam, jak bezskutecznie usiłuje teraz zasnąć, i nie mogłam przestać sobie gratulować. Pierwsza bitwa się zakończyła, Janes o sercu z kamienia został pokonany przez piękność z Południa. Ha! Pojęcia nie ma, komu się naraził. Każda kobieta z tych stron, jeśli jest coś warta, potrafi zmusić mężczyznę, by o niej myślał, po prostu odmawiając mu wdzięków.

31. Pogawędki nie tylko przy woskowaniu

Arthur, dzięki rozpalonej na nowo żądzy, zaczął okazywać mi więcej uwagi i w tamtym tygodniu widziałam go dwa razy, bo w poniedziałek przyszedł do salonu. Bettina przyjęła go entuzjastycznie, co drugie zdanie zaczynała od: Też jestem z Nowego Jorku, nie rozumiejąc, że Arthur wciąż uważa się za człowieka z Connecticut, przez to trochę ważniejszego. Ale puszczałam te odzywki mimo uszu, bo Arthur jeszcze nie pojął, że dla ludzi z Lowcountry każdy, kto pochodził z terenów na północ od Columbii, był podejrzany. Sam ciągle powtarzał: Prawdę mówiąc, jestem z Connecticut, Bettina odpowiadała: To to samo, co on prostował: Ale to zupełnie inne miejsce, aż wreszcie uświadomiłam sobie, że Connecticut nie znajduje się w jednym tyglu z Brooklynem. Nigdy nie myślałam o Nowym Jorku, Brooklynie czy Connecticut. Bo i po co? Jednakże Arthur wyraźnie chciał nam dać do zrozumienia, że należy do innej, wyższej warstwy społecznej niż Bettina. Pomyślałam sobie, że chyba jest głupi, skoro musi to podkreślać, i martwiłam się, czy nie obrazi Bettiny. Na jej plus trzeba zapisać, że właściwie go podpuszczała, bo chciała się przekonać, czy wart jest mojego zainteresowania.

Po jego wyjściu powiedziała mi:

- Connecticut. Wielki owłosiony palant.
- No, przypuszczam, że to w skrócie twoja opinia na jego temat.
- Trafiłaś w dziesiątkę.

Lucy i ja załagodziłyśmy nasz konflikt, bo innego wyjścia i tak nie miałyśmy, a ona naprawdę bardzo była nieszczęśliwa, że przysporzyła mi tylu zmartwień. Tata rzadziej do niej dzwonił; orientowałam się, że jej zdaniem powodem była zdrada. Z mojej strony gniew na Lucy przypominał trochę irytację na psa, który posikał się w domu, bo na dworze lało jak z cebra. Pies nie mógł dłużej wytrzymać, ale było mu przykro. Co właściwie miałam zrobić? Ostrzegłam, że zalepię jej usta taśmą, jeśli znowu przyłapię ją na mieleniu ozorem. Złożyła przysięgę.

- Klnę się na wszystkie świętości - oznajmiła prawie bez tchu. -
Prędzej umrę.

- Okay. Nie zmuszaj mnie, żebym cię trzymała za słowo. I Jim wreszcie zadzwonił w jakiś tydzień po wyjeździe.

- Cześć! Myślałam już, że w ogóle się nie odezwiesz! Jak było w Ohio? Dzwonisz z San Francisco?

- Tak, jestem w domu, który wydaje się okropnie pusty. Mówiąc krótko, w Ohio było okropnie. Rodzice Gary'ego są zdruzgotani perspektywą, że niedługo będą musieli pochować syna. Mnie traktowali całkiem miło; Gary chyba musiał im powiedzieć, że sam ściągnął na siebie chorobę, że to nie była moja wina. Kiedy się przekonali, że naprawdę mi na nim zależy, okazali mi większą serdeczność. Ale to bardzo skomplikowane, za wiele w tym różnych niuansów, rozumiesz?

- Tak. Wyobrażam sobie.

- Skontaktowałem się w ich imieniu z hospicjum.

- Czy jego stan jest taki poważny?

- Wiesz co? Nie potrafię powiedzieć, choć Gary wydaje się pogodzony ze śmiercią, a z tego, co czytałem, jest tak, kiedy ciało zaczyna się powoli wyłączać. Jego rodzice zachowują się fatalnie. Matka ciągle płacze, ojciec prawie w ogóle się nie odzywa. Hospicjum zajmuje się też poradnictwem psychologicznym. W gruncie rzeczy zrobiłem to raczej dla nich niż dla niego. Poza tym Gary będzie mógł skorzystać z pomocy profesjonalistów.

- Jim, tak mi przykro z powodu Gary'ego.

- Wiem. I wiem też, że wiele lat temu sporo przez niego wycierpiałaś...

- Te cierpienia były moją winą, nie jego.

Jim milczał przez kilka chwil, a ja zastanawiałam się, o czym myśli.

- Dobrze, że to powiedziałaś, Anno, dobrze z wielu względów.

- Zawsze możesz na mnie liczyć, Jim.

- Wiem, i ta świadomość pomaga mi jakoś się z tym uporać. Wiesz, tak często podróżuję, że mój świat całkiem się skurczył. Zawsze byłem bardzo wdzięczny losowi, że - nie licząc Gary'ego - mam ciebie, Emily i Frannie. Nic nie może się równać ze wspólną przeszłością.

- Masz rację. Powiedziałabym, że stanowimy inny model rodziny. W przeciwieństwie do tych ludzi, którzy razem się męczą, my męczymy się oddzielnie.

- Tak. Niedługo do ciebie zadzwonię.

Mijał lipiec, czas odmierzały hordy turystów i nieprawdopodobny upał. Słońce na Wyspie Palm prażyło, smażyć wszystkich i wszystko. Późne popołudnia przynosiły ciemne chmury i nagłe ulewy, a potem

znowu robiło się jasno aż do zachodu słońca o wpół do dziewiątej.

David i Emily mieli swoją pulę wybuchów złości i godzenia się, ale z jakiegoś powodu doskonale do siebie pasowali zarówno jako przyjaciele, jak i młodzi kochankowie. Doszło do tego, że prawie pozwalałam Emily wychodzić i wracać, kiedy jej się podoba. Wiedziałam, że postępuję źle, ale za każdym razem, gdy mówiłam: Musisz o tym sama zdecydować, Emily wydawała się odrobinę bardziej dorosła. Taki był cel: by jak najbardziej dojrzała, nim w mieście pojawi się Everett Fairchild. Wciąż jeszcze nie postanowiłam, co wtedy zrobię, kiedy wtrącił się los.

Od jakiegoś czasu nie widziałam Arthura ani nie miałam od niego żadnej wiadomości. Och, wspaniale, pomyślałam sobie, znowu te gierki. Na początku sierpnia późnym wieczorem poszłam do niego do domu. Zapukałam do drzwi, psy zaczęły ujadać. Po kilku minutach w progu pojawił się mężczyzna w spodniach od piżamy i T - shircie, skrobiąc się w głowę. Nie ulegało wątpliwości, że go obudziłam.

- O co chodzi? - zapytał, przyglądając mi się uważnie, żeby się przekonać, czy mnie zna.

- Och, tak mi przykro! Czy zastałam Arthura?

- Nie, wrócił do Nowego Jorku. Mogę pani jakoś pomóc?

Stałam tam przez chwilę, która wydawała mi się wiecznością, i nie potrafiłam znaleźć żadnych słów. Wreszcie powiedziałam:

- Nie, nic się nie stało. Przepraszam, że pana obudziłam.

Szłam już w dół po schodach, kiedy za mną zawołał: - Jeśli Arthur zadzwoni, mam mu coś przekazać?

- Tak, proszę mu powiedzieć, że Anna nie jest zaskoczona.

Biorąc pod uwagę stan mojego umysłu, uważałam, że zachowałam się z godnością na wieść o Arthurze, który zebrał manatki i wyruszył na Północ. Gnida. Nawet nie zadzwonił. Może jego synowi coś się stało i Arthur za jakiś czas tu wróci. A może nie. Nic mnie to nie obchodziło. To bardzo wiele o mnie mówi - dawno posiadałam sztukę szybkiego dochodzenia do siebie. Kiedy człowiek ma trzydzieści parę lat i przeszedł długą drogę, znaczoną osobistymi rozczarowaniami, wie, że życie toczy się dalej. Powiadają, że każdy garnek ma swoją pokrywkę. Na nieszczęście każda pokrywka, którą ja znajdowałam, była trochę wypaczona albo też ja nie byłam odpowiednim dla niej garnkiem. Co i tak nie miało znaczenia, ponieważ Arthur wyjechał, a zastanawianie się nad tym byłoby stratą czasu. W końcu dotrzymał słowa w sprawie nieangażowania się. Poza tym na jego korzyść świadczyło to, że nie dysponowałam dostatecznymi informacjami, by wydać werdykt.

Bez rozpraszającej obecności Arthura - i przyznaję, po porządnym zroszeniu łzami faktu, że zostałam porzucona - zaczęłam koncentrować swoją złość na Everecie Fairchildzie. Przez cały tydzień obie z Brigitte pracowałyśmy do późna, kończąc koło dziewiątej. We dwie wychodziłyśmy z salonu.

- Hej, masz ochotę coś przekąsić? - zapytałam.

- Czemu nie?

- Nie jestem bardzo głodna, ale chętnie coś przegryzę. Skrzydełka?

- U Dunleavy'ego?

- Pojadę za tobą - powiedziałam.

Wsiadłyśmy do swoich samochodów i pojechałyśmy do małego klubu na rogu Station Twentytwo i Middle Street na Wyspie Sullivana. Było trochę problemów z zaparkowaniem, w końcu jednak wypatrzyłyśmy wolne miejsca. Spotkałyśmy się przy drzwiach i ruszyłyśmy przez tłum. Powitała nas Vicki, kelnerka.

Musiałybyś ją znać, by docenić to doświadczenie. Vicki, pełna życia rudowłosa cycatka z mapą Irlandii na twarzy, powinna występować w „Daily Show”. Była chyba najzabawniejszą kobietą na wyspie i wszyscy ją uwielbiali. A w pubie bywało bardzo tłoczno, mnóstwo ludzi stało między stolikami i oglądało program w jednym z czterech telewizorów podwieszonych pod sufitem, wszędzie kręciły się labradory i dzieci. Czasami grała muzyka, zawsze jednak było wesoło, a w samym środku tej wesołości znajdowała się Vicki, kierując ruchem i przyjmując zamówienia.

Znalazłyśmy niewielki stolik i usiadłyśmy, świadome, że będziemy musiały krzyczeć, żeby Vicki nas usłyszała.

- Co ma być, szanowne panie?

- Ja poproszę piwo i tuzin skrzydełek, niezbyt gorących - powiedziałam.

- Dla mnie krewetki i kieliszek chardonnay - dodała Brigitte.

Vicki zapisała, po czym powiedziała:

- Widzicie tego faceta tam?

Podążyłyśmy wzrokiem za jej dłonią i zobaczyłyśmy uroczego faceta o kilka lat od nas młodszego.

- Tego w niebieskiej koszuli? - upewniłam się.

- Tak - potwierdziła Vicki. - Jak dalej będzie tu o jedenastej, to może, powtarzam może, dostarczę mu niezapomnianych przeżyć.

- Też bym chętnie tak zrobiła. - Brigitte patrzyła na niego przez przymrużone powieki. - To pewnie turysta. Za bardzo wykrochmalony.

- A czy to ważne? - zapytałam. - Jest uroczy.

- Na jedzenie poczekacie - powiedziała Vicki. - Drinki przyniosę wam za sekundę.

Jakie to śmieszne, że w tym najbardziej konserwatywnym społeczeństwie istniało miejsce, w którym kobiety mogły mówić o mężczyznach tak, jak mężczyźni od początku świata mówili o kobietach. Żartowałyśmy oczywiście. Choć może nie całkiem.

Brigitte i ja rozprawiliśmy się ze skrzydełkami, krewetkami i stosem wilgotnych serwetek. W końcu tłum się przerzedził i mogłyśmy wzajemnie się słyszeć.

- Słuchaj, Brigitte, muszę cię o coś zapytać.

- Strzelaj.

- Wiesz wszystko o sprawie z Everettem Fairchildem i jego przyjeździe na Wyspę Palm za dwa tygodnie?

- Cieszę się, że sama zaczęłaś o tym mówić. Co zamierzasz zrobić?

- A co, według ciebie, powinnam?

- No, ponieważ nie muszę co wieczór stawiać na stole pieczeni, mam czas na refleksje.

- Dobre wyrażenie.

- Dzięki. Mój ojciec był nauczycielem angielskiego. - Aha.

- Problem wygląda następująco. Gdybyś była osobą złośliwą, sprawa byłaby prosta. Mogłabyś pojechać na jego osiedle z pięćdziesięcioma zdjęciami Emily i każde podpisać: Czy to dziecko kogoś ci przypomina? Zadzwoń na podany numer. Ale ty taka nie jesteś. I za mało wiesz o jego życiu, o tym, jaki on teraz jest, rozumiesz, o co mi chodzi? Bo może być teraz wspaniałym człowiekiem, choć osobiście w to wątpię. Albo mieć cudowną żonę, w co też wątpię. Gdybym jednak była na twoim miejscu, musiałabym się dowiedzieć, jaki jest. Chciałabym zobaczyć tego łajdaka.

- Masz rację - odparłam. - Nie chcę nikomu rujnować życia. Wątpliwa przyjemność. Ale bardzo bym chciała wiedzieć, jaki teraz jest.

- Więc zrobimy tak. Pójdziemy do organizatora tego zjazdu w Wild Dunes i zaproponujemy loterię, losowanie czy coś w tym rodzaju na całodzienne usługi w naszym salonie, no wiesz, strzyżenie, farbowanie, pedikiur, manikiur dla szczęśliwej żony lub partnerki. To da ci możliwość dokładnego przyjrzenia się jego małżonce. Lepiej nawet, możesz jej zrobić zdjęcia przed i po zabiegach, razem z Emily, i odesłać je przez nią do domu.

- O mój Boże. - Serce zaczęło mi walić. - Jedno jest pewne: jeśli uda się nam zwabić ją do salonu, Bettina wyciągnie z niej każdy szczegół dotyczący ich małżeństwa.

- Ma się rozumieć - zgodziła się Brigitte. - Będiesz wiedziała, co jadł na śniadanie, nim Bettina z nią skończy.

- A jeśli on nie ma żony?

- A jeśli ma?

- A jeśli ona nie wygra?

- Uspokój się, Anno, to my zajmiemy się losowaniem.

- Racja. Chciałam tylko się przekonać, co o tym myślisz.

- Jasne.

Vicki przyszła przyjąć zamówienia na następne drinki.

- Macie na coś ochotę?

- Tak - powiedziałam. - Proszę Cosmopolitan.

- To niebezpieczne - zauważyła Brigitte.

- My jesteśmy niebezpieczne - odparłam.

- No to jak? Facet na mnie czeka, złotko.

- Dla mnie to samo - oznajmiła Brigitte.

- To mi się podoba. - I Vicki odeszła, wsuwając ołówek za ucho.

Z Brigitte była niezła spryciara. Przy drinkach - piłam swój powoli - zaplanowałyśmy szczegóły naszego planu. Jego błyskotliwość polegała na prostocie. Zyskam dzięki temu czas, który jego żona spędzi w naszym salonie, na podjęcie decyzji o zrobieniu lub nie następnego kroku, czyli powiadomieniu Everetta o istnieniu Emily. Może to głupie, ale wiedziałam, że decyzja ta w głównej mierze zależeć będzie od charakteru jego żony. Jeśli okaże się mądra i miła, to znaczy naprawdę sympatyczna, przypuszczalnie będę bardziej skłonna powiedzieć córce prawdę. Mądra żona, żona z głową na karku, zrozumie i przyjmie to lepiej niż jakaś laleczka, która jest niepewna siebie i swojego małżeństwa. Brigitte zgodziła się ze mną.

- Słusznie. Jeśli jego żona nie jest właściwym typem kobiety, powiedzenie Everettowi prawdy o Emily ściągnie na dziewczynę mnóstwo kłopotów, a po co miałyby się stać przez to nieszczęśliwa. Życie i tak jest dostatecznie skomplikowane.

- Dziewczyno, możesz to powtórzyć - odparłam. - Ostatnia rzecz potrzebna Emily to zła i dokuczliwa kobieta. Od tego ma babkę. Matka Jima uwielbia psuć Emily nastrój i budzić w niej wyrzuty sumienia.

- Cudownie. Sama miałam taką ciotkę. - Na jej wspomnienie Brigitte przewróciła oczami. - Dobra, założmy, że jego żona jest przyzwoitą i zrównoważoną osobą, która przypadła nam do gustu. W jaki sposób skłonimy ją, żeby przekazała wiadomość Everettowi?

- Dobre pytanie. Niestety, wydaje mi się, a jeśli masz lepszy pomysł,

to od razu powiedz, że będę musiała po prostu do niego zadzwonić. Jedyna inna możliwość to taka, że żona Everetta rozpozna jego oczy w twarzy Emily, ale to chyba za wielkie ryzyko.

- I co czujesz na myśl, że będziesz musiała do niego zadzwonić?

- A ty co jesteś, mój psychoanalityk? Będę śmiertelnie przerażona! Czego się spodziewałaś?

- Nie jestem twoim psychoanalitykiem, złotko. Powiedziałam ci, że sporo się nad tym zastanawiałam. Sporo. I na twoim miejscu też bym się bała. Ale kiedy dokładnie to sobie przemyślałam, doszłam do innego wniosku. To on powinien się bać, nie ty. Bo ty możesz go oskarżyć.

- A jeśli powie, że mnie nie pamięta?

- Istnieje coś takiego jak test na ustalenie ojcostwa. Wystarczy zwrócić się do sądu o wydanie nakazu. Chociaż jeśli to, co mówisz o oczach Emily i jego, jest takie oczywiste, wystarczy, że raz na nią spojrzysz.

- No, jeśli uznam, że za bardzo się boję, żeby do niego zadzwonić, to zawsze mogę wsunąć plik zdjęć Emily do torby jego żony.

- Według mnie i tak powinnaś to zrobić. Niech wróci do domu i zapyta go, dlaczego dostała te zdjęcia. Przez jakiś czas będzie się nad tym zastanawiała, a w końcu zacznie zadawać mu pytania. Ty byś tak zrobiła, nie?

- Do diabła, jasne - powiedziałam. - To znaczy, ona musi wiedzieć, że chodził tu do szkoły, a fakt, że zostawił po sobie wrzeszczące zawiniątko jako owoc szaleństw młodości, nie jest chyba rzeczą, która nie mieściłaby się w głowie normalnej żonie.

- I wiesz, co jeszcze mogłybyśmy zrobić?

- Mogłybyśmy zaoferować darmowe strzyżenie i masaż mężczyźnie...

- A tym mężczyzną byłby Everett? Ale nie jestem pewna, czy nerwy by mi przy tym nie puściły.

- Ani ja. To wódka przez nas przemówiła - powiedziałam. - Lepiej chodźmy do domu, zanim wpadnie nam do głowy wspaniały pomysł, żeby o trzeciej nad ranem posłać mu pizzę.

- To w gruncie rzeczy nie byłoby takie złe - ucieszyła się Brigitte, na którą koktajl najwyraźniej zaczął już działać.

- Czas płacić.

Wiedziałam, że ten plan wypali. Gdybym miała określić stan mojego układu nerwowego od tamtej chwili do momentu, gdy jego żona przekroczyła próg salonu, powiedziałabym tylko, że na naszej planecie nie istniała żadna kombinacja leków, która mogłaby zapewnić mi równowagę emocjonalną.

Oczywiście przedyskutowałam wszystko z Jimem i Frannie. Jim wracał do Ohio i do Charlestonu mógł przyjechać dopiero w ostatniej chwili. Gary pytał o niego, zostało mu mało czasu, choć jakoś się trzymał. Jak zwykle jednak, mimo własnych problemów, Jim podsunął mi rewelacyjny pomysł.

- Zrób zdjęcia całego personelu w kolorze, przyklej ładnie na tekturce i opraw. Włóż jej do reklamówki, tak będzie wyglądało bardziej normalnie, rozumiesz? Dołącz kartkę ze słowami: Żeby nie zapomniała Pani przyjaciół z Altany Anny. Emily wstaw w sam środek, a fotografowi powiedz, że zależy ci na zbliżeniu jej twarzy.

- Super. Poproszę dziewczyny z delikatesów, żeby zrobiły nam zdjęcia cyfrowym aparatem Lucy. Masz rację. Po prostu wsunę je do koperty.

- Zawsze mówię, że nie powinnaś robić nic poważnego, nie konsultując się najpierw ze mną w sprawie dopracowania szczegółów.

Zadzwoiłam do Frannie, która nie szczędziła rad i tryskała typową dla siebie radością i podnieceniem wywołanym oczekiwaną przygodą.

- Matko święta! Moja babcia w grobie się przewraca! Muszę zapalić! Poczekaj chwilkę! - W słuchawce rozległy się jakieś szelesty, a potem znowu przemówiła Frannie: - Okay. Podaj mi jeszcze raz cały plan.

Wyglądało to tak: Lucy zadzwoniła do szefa działu obsługi gości w Wild Dunes i oznajmiła, że chcemy zostać pierwszym salonem dla klientów ich hotelu. Przez miesiąc organizować będziemy losowania, a wygrany kupon upoważnia do bezpłatnych zabiegów, terapii przeciwko oparzeniu słonecznemu, pedikiuru i manikiuru raz w tygodniu dla jednego z gości. Pozostałym proponujemy dziesięcioprocentową zniżkę.

- Oszaleli ze szczęścia! Uznali to za rewelacyjny pomysł!

- Fajne jesteście wszystkie - powiedziała Frannie. - Okay, dorzucisz do tego lunch?

- Dobry pomysł.

- A co powiesz na limuzynę, która by odbierała szczęśliwców? Szampan na tylnym siedzeniu i inne bajery?

- Otwarta butelka to w Karolinie Południowej wykroczenie.

- W takim razie dołącz ostrzeżenie, że salon nie bierze odpowiedzialności za problemy wynikające z faktu, iż butelka jest otwarta.

- To zbyt skomplikowane.

- No to karteczkę: Wypij mnie! Dwie szklaneczki rozwiążą babie język na tyle, że kiedy przekroczy próg salonu, od razu możesz się zabrać do roboty. Jakie pytania chcesz jej zadać?

- Matko jedyna, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. A ty jak myślisz?

- Na litość boską, najpierw musisz się dowiedzieć, czy mają dzieci! Chyba chcesz wiedzieć, czy Emily ma przyrodnie rodzeństwo, no nie?

- Dajże spokój, Frannie, nie jestem kompletną idiotką! Oczywiście, że to sprawa najważniejsza! - Miała rację. Dotąd ta kwestia nawet przez myśl mi nie przeszła. - A poza tym o co powinnam pytać?

- No, skoro już chcemy załatwić skurwysyna, to najlepiej będzie, jak Bettina pogawędzi sobie z nią o ich życiu seksualnym. A ty tymczasem obejrzysz dokładnie jej biżuterię, buty, torebkę, żeby się przekonać, czy stary Everett robi duży szmal.

- O rany boskie, Frannie, ich życie seksualne to ostatnia rzecz, o jakiej chcę się dowiedzieć.

- Nieprawda, bo jeśli nie są ze sobą szczęśliwi, to może nie będziesz chciała, żeby Emily miała z nimi coś wspólnego. No wiesz, Anno, ta kobieta może być rozwrzeszczaną i zrzędzącą jędzą. Albo wariatką. Albo zazdrośnicą, niepuszczającą od siebie Everetta na krok. Kto wie? Może jest skapiradłem i nie pozwoli Everettowi dać Emily na college ani centa.

- Boże wielki, Frannie! Myśl o pieniądzach nawet do głowy mi nie przyszła!

- W takim razie poczekaj, mała, a ja z drugiego aparatu zadzwonię do Rzymu, żeby wpisali cię na listę oczekujących na kanonizację.

- Śmieszna jesteś.

- Słuchaj, rzecz w tym, że im szybciej skłonisz ją do mówienia, tym większą zyskasz szansę na zorientowanie się, jakim on się stał człowiekiem. I będziesz mogła zdecydować, czy powiesz Emily o nim teraz, czy później.

- Co to znaczy, teraz czy później?

- Anno, powiedzmy, że jego żona to prawdziwa perła, a ty pokochałaś ją jak siostrę. Wtedy weźmiesz Emily na stronę i razem z Jimem powiecie dziewczynie, że odnalazłaś jej biologicznego ojca, a teraz ty pytasz, co ona na to.

- Tak sobie mniej więcej wyobrażałam całą tę historię, dlatego tak ważny jest przyjazd Jima. Nie wydaje mi się, że powinnam w ogóle zaczynać rozmowę na ten temat z Emily bez niego.

- Oczywiście, to byłoby nie fair. A jeśli żona Everetta okaże się jędzą z piekła rodem, nie musisz od razu o wszystkim mówić Emily. A może musisz? Czy ona coś podejrzewa?

- Myśli, że jestem zdenerwowana, bo mam za dużo pracy, i smutna,

bo król Arthur wrócił do Nowego Jorku.

- Co takiego?

- Właśnie. Wymknął się z miasta razem ze swoim Ekskaliburem (Ekskalibur - miecz legendarnego króla Artura (przyp. tłum.)).

- Ekskalibur? On tak nazywa...

- Nie, ja tak to nazywam.

- Ekskalibur? Ho, ho! Naprawdę? Ho, ho! Zarykiwała się śmiechem, a moja twarz mieniła się czerwienią wszelkiego rodzaju szminek, włączając w to darmowe próbki.

- Nie pęknij ze śmiechu u tych Jankesów, mała! Poczekaj, aż przyjedziesz na wyspę, a wszystko ci o nim opowiem, jeśli tylko starczy mi odwagi. Pójdę do piekła, co?

- A kogo to obchodzi? Módl się, żeby on też tam był! Anno?

- Tak?

- Ekskalibur?

- Tak. Daj już sobie spokój, co?

Pułapka została przygotowana, teraz potrzeba nam było tylko ofiary. Próbę przeprowadziłyśmy w pierwszą sobotę sierpnia na kochanej staruszce z Birmingham. Recepcja spisała nazwiska wszystkich gości spędzających sobotnią noc w Wild Dunes, my musiałyśmy tylko pojechać tam i odebrać listę. Następnie wrzuciłyśmy karteczki z nazwiskami do akwarium, wyciągnęłyśmy jedną i miałyśmy zwyciężczynię. Zadzwończyłyśmy do recepcji, żeby ustalić termin wizyty - podałyśmy do wyboru trzy. Byłyśmy bardzo zadowolone, ponieważ żona pana Dana Gaby'ego z Birmingham kupiła trzy koszyki Angel za prawie pięćset dolarów i dwudziestopięciodolarową butelkę balsamu z aloesu dla męża, który poparzył sobie skórę na słońcu. To były korzyści, których w ogóle nie wkalkulowałam w pierwotny plan. Poza tym wiedziałam, że pani Gaby wróci do naszego salonu, jeśli znowu przyjedzie na Wyspę Palm. Poznawanie nowych klientek jest zawsze interesujące, zwłaszcza jeśli lubią mówić. Kobiety nie chodzą do salonów fryzjerskich i kosmetycznych po to, żeby dusić w sobie swoje problemy.

- Dan spiekł się na raka, wędkując na głębokiej wodzie razem z innymi durniami - powiedziała.

- A złapał coś? - zapytałam, pokrywając farbą odrosty. Na pewno skończyła już siedemdziesiąt pięć lat.

Zachichotała.

- Złapał? Nic poza oparzeniami i kacem. Teraz leży na kanapie i ogląda Golf Channel. Czy można sobie wyobrazić coś nudniejszego? Golf

Channel! Wolalabym robić porządki w szafie, niż marnować czas na oglądanie golfa w telewizji.

- Czasami mi się wydaje, że wędkowanie to po prostu pretekst do picia piwa - zauważyłam. - A golfa nie oglądałam ani w telewizji, ani na żywo. Od razu zasypiam!

- Ja też!

Była niezwykle zadowolona zarówno z fryzury, jak i zakupów, a nas zaledwie tydzień dzielił od spotkania z panią Everettową Fairchild.

32. Ale bomba!

Wczesnym rankiem w drugą sobotę sierpnia nie potrafiłam wyrzucić z głowy natrętnych obrazów ze snu. Byłam nastolatką, jasnożółtym kabrioletem jechałam z przyjaciółmi z Breach Inlet w kierunku Fort Moultrie na Wyspie Sullivana. Matka siedziała na tylnym siedzeniu furgonetki przed nami. Była w lawendowej sukni i żakiecie, uśmiechała się i machała do mnie. We śnie zdawałam sobie sprawę, że nie żyje, ale ciągle powtarzałam: To moja mama! Widzicie ją? Tak ślicznie wygląda!

Odnosiłam wrażenie, że większość moich snów to informacja o tym, co w danym dniu zaprzętać mi będzie myśli. Chociaż urodziłam się w Lowcountry i wychowałam w kulturze gullah pomieszanej z dziwaczną odmianą katolicyzmu - napędzanego głównie przez świętych i nowenny - to nie byłam do końca przekonana, że wszystkie sny o matce są duchowymi nawiedzeniami. Mogłam tylko mieć taką nadzieję. Może mój ogród rozrastał się bez kontroli, ale nad wyobraźnią panowałam. Mimo to sny powtarzały się często, wiedziałam, że coś się niedługo stanie i że jeśli rzeczywiście ukazuje mi się w nich matka, to chce w ten sposób dać mi znać, że jest w pobliżu i czuwa nade mną.

Cóż, istotnie coś musiało się zdarzyć, ponieważ tego właśnie dnia nasz salon odwiedzić miała żona Everetta Fairchilda.

Frannie odwołała przyjazd w celu wsparcia emocjonalnego, bo nie pozwalały jej na to obowiązki, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, wieczorem miał przyjechać Jim. Pośród innych dręczących mnie spraw poczesne miejsce zajmowała pewna paląca kwestia, wzmagając najgorszy przypadek nerwowego niepokoju, jaki był w życiu moim udziałem.

Jak należy się zachowywać, jak poradzić sobie z emocjami podczas spotkania z żoną gwałciciela?

Wcześniej nie poświęcałam stanowi swego ducha zbyt wielkiej uwagi, ponieważ wyglądało na to, że zaakceptowałam plan w całości - wraz z wszelkimi możliwymi komplikacjami, mogącymi wyniknąć tego dnia. Tak jednak nie było. Kiedy się obudziłam i dotarło do mnie, co muszę zrobić,

ogarnęło mnie przerażenie.

Chciałam, żeby ta kobieta potraktowała mnie poważnie. Kto by nie chciał? Myślałam ciągle, że jeśli dowie się, że jej mąż jest ojcem Emily, nie uwierzy w gwałt, zaprzeczy, że to jego dziecko, a wreszcie dojdzie do wniosku, że jeśli nawet jej mąż zrobił jakiejś tam kobiecie dziecko, to co z tego? Byłam gęsią z Południa, zwykłą fryzjerką, dla ludzi jak ja, białej hołoty, popadanie w takie tarapaty to rzecz normalna.

Oczywiście, czułabym się o niebo lepiej, gdybym była światowej sławy neurologiem, a ona przychodziła do mnie, bym uwolniła ją od dręczących migren, rozumiesz, o co mi chodzi? Myślałam, że pogodziłam się z faktem, że jestem fryzjerką, a nie lekarką czy prawniczką, i w gruncie rzeczy pogodziłam się. Byłam wręcz z siebie bardzo dumna. Ha, w końcu miałam własną firmę, a to stanowiło wielką pociechę.

Czy w mojej szafie było coś, co wysłałoby w jej kierunku pożądany sygnał? Doprowadzona do rozpaczki własną niepewnością, zdecydowałam się wreszcie na obcisłą suknię z białego lnu do pół łydki i lawendową koszulę na wierzch. Włożyłam każdą sztukę biżuterii z fałszywych turkusów, jaką posiadałam, a nie było tego wiele, oraz białe sandały na niskim obcasie. Zastanawiające, że wybrałam biel. Wyglądałam świeżo i niewinnie. Było to jakby przypomnienie faktu, że zanim stałam się celem fatalnego w skutkach awaryjnego lądowania rakiety sterowanej przez męża Joanne Fairchild, byłam niewinna, jeśli nie nieskalana.

Długo i często zastanawiałam się nad tym, jak powinnam ułożyć sobie życie, nigdy jednak w tych planach nie uwzględniałam Everetta Fairchilda. Nie byłam zresztą bynajmniej przekonana, że poznanie jego żony ułatwi mi podjęcie decyzji, nie wiedziałam też, czy zbliżenie się do jego orbity jest rzeczą słuszną, czy nie. Przez całą tę sprawę stałam się kłębkim nerwów.

Od dziś miałam zastanawiać się, czy Everett i jego żona stanowią na tyle godny zaakceptowania związek, bym pozwoliła córce wkroczyć w ich życie. Jak mogłam się skupić, skoro ręce bez przerwy mi latały? Żałowałam, że Jima jeszcze nie ma.

Zdjęcia zostały zrobione, całość oprawiona. Emily znalazła się w samym środku, zielone oczy jej ojca przyciągały wzrok patrzącego. Włożyłyśmy wszystko do reklamówki razem z szamponem, odżywką i T - shirtem; tych ostatnich miałyśmy tuziny. Postanowiłam, że jeśli Joanne mi się nie spodoba, usunę fotografię, nim wręcę jej reklamówkę. To żaden problem. Nasza mała ekipa była gotowa. Z wyjątkiem Emily.

O wpół do dziewiątej termometr wskazywał już ponad

dziewięćdziesiąt stopni, tak samo jak przez cały tydzień.

Emily nie chciała iść do pracy. Miała jeden z tych swoich napadów złego humoru, absolutnie nieświadoma, że musi wstać, bo czeka nas przełomowy dzień. Pokłóciła się o coś z Davidem, przypuszczalnie o seks albo o sprawę dominacji, co w ich wieku zwykle sprowadza się do tego samego.

- To kompletny świr - oznajmiła.

- Mężczyźni dojrzewają później niż kobiety - przypomniałam. - Przecież wiesz.

- Z wyjątkiem Lucy. A on jest taki jak ona. Dzisiaj nie idę do pracy. Mam dość.

O co chodziło poza tym, że nie miała ochoty oglądać Lucy? Nie zamierzałam dowiadywać się, co zaszło, byłam też pewna, że Emily nie chciała, żeby Lucy ją o to wypytywała. Twarde sztuki z tych młodych drażliwców.

- Złotko, jest sobota! To nasz najbardziej zwariowany dzień! Jesteś mi potrzebna!

- To powiedz Lucy, żeby nie pokazywała mi się na oczy, dobra?

- Dobra.

Rozumiałam ją. Naprawdę rozumiałam. Niestety, dziś nie mogła opuścić pokładu.

Na trzęsących się nogach weszłam do salonu - cała załoga była już na swoich miejscach, gotowa do działania. Najtrudniejszą część stanowiło utrzymanie tajemnicy przed Emily, liczyłam jednak, że nawał zajęć pomoże nam jakoś przetrwać. Lucy, Bettina i Brigitte powitały nas tak, jakby to był dzień jak co dzień i niczym się nie wyróżniał.

Wiedziałyśmy jednak wszystkie, że tak nie jest. Joanne Fairchild miała tu być za dwadzieścia minut, razem z przyjaciółką. Mężowie w tym czasie brali udział w rozgrywkach golfowych.

Drzwi otworzyły się i obie przybyłe skierowały się do biurka Lucy. Jedna przyciągała wzrok oszałamiającą aparycją, jakby właśnie zeszła z kart magazynu ilustrowanego, druga natomiast, no, niech Bóg ma ją w swej opiece, robiła wrażenie wyraźnie zaniedbanej. Nie znaczy to, że miała złą figurę, ale była niegustownie ubrana; należała do kobiet, za którymi nikt się nie ogląda, które nawet na chwilę nie potrafią przyciągnąć wzroku. Założyłam słusznie, że ta, która jest żywą reklamą osobistego stylisty oraz trenera, to Joanne. Zresztą Lucy przedstawiła ją Brigitte.

Zmierzyłam Joanne wzrokiem. Była w kobaltowych obcisłych spodniach i czarnej bluzeczce na ramiączkach, która odsłaniała sporą część

twardych jak kamień piersi. Ramiona miała wyrzeźbione dzięki ćwiczeniom z ciężarkami, na nadgarstkach podzwaniały grube złote bransolety. Czterokaratowy brylant błyskał niczym migocząca pochodnia na tle ciemnej opalenizny, rzucając na ściany maleńkie tęcze przy każdym ruchu dłoni. Czarne jak sadza włosy ściągnięte były w węzeł; wyobrażałam sobie, że za ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi od Chanel kryją się równie czarne, mocno umalowane oczy. Joanne stanowiła moje kompletne przeciwieństwo. Była ciemna, modnie ubrana i najwyraźniej bogata. Była też bardzo zaabsorbowana sobą. Wada numer jeden: egocentryzm.

Tak, Brigitte zajmowała się Joanne. Zanim zaczniesz pytać: Dlaczego? Przecież to była dla ciebie niepowtarzalna okazja!, pozwolisz, że przypomnę, iż cała sprawa nie miała bynajmniej przypominać skakania sobie do oczu w toalecie dla dziewcząt. Wszystko zostało szczegółowo zaplanowane, a równocześnie miało wyglądać najzupełniej naturalnie. Na długo przed tym dniem wiedziałam, że kiedy pojawi się Joanne Fairchild, Brigitte zachowa się w sposób najbardziej opanowany z nas wszystkich. Poza tym nie była głupia, ufałam, że zada właściwe pytania. Ja będę stała o kilka kroków od niej i strzygła uszami. Na więcej nie byłoby mnie stać. Nikt zresztą nie oczekiwałby chyba tego od kogoś w mojej sytuacji.

Lucy przyprowadziła do mnie towarzyszkę Joanne i przedstawiła jako Marszę, następnie obie klientki poszły włożyć pelerynki. Brigitte myła włosy Joanne, ja posadziłam Marszę na fotelu. Bettina podgrzewała wosk i przygotowywała pomieszczenie, jej obcasy stukały drobno po podłodze. Lucy poinformowała, że do dyspozycji klientek są magazyny ilustrowane i napoje.

Gdy tylko Marsha usiadła, wyczułam, że jest spięta. Nie uległo wątpliwości, że wizyta w naszym salonie jest dla niej o wiele ważniejsza niż dla mnie. Skąd mogła wiedzieć, że jedynym moim marzeniem było schować się w mysiej dziurze i tam wszystko przeczekać, a dopiero potem wysłuchać relacji z ust współpracowniczek? Nie miała o tym pojęcia. Ale do diabła. Moje drugie imię powinno brzmieć Nie Poddawaj Się i Idź Do Przodu.

- No... zastanawiałam się nad rudymi włosami. Co pani o tym myśli?

O Boże, tylko nie dzisiaj! Dlaczego zawsze w te dni, kiedy ledwo mogę zebrać myśli, trafiają mi się desperatki błagające o natychmiastowy ratunek?

- Zobaczmy najpierw, co tu mamy - odparłam i ściągnęłam gumkę z jej krótkiego końskiego ogona.

Sięgające ramion włosy opadły niczym puch po bitwie poduszkami. Kobietom wydaje się, że wiedzą, czego chcą, ale z mojego doświadczenia wynika, że lepiej wychodzą na tym, jeśli najpierw mi opiszą, na jaki rezultat liczą po kilku godzinach spędzonych na moim fotelu. Niekiedy klientka upiera się przy zwariowanej fryzurze, która wygląda fantastycznie u gwiazdy rocka, za to z pewnością okaże się fatalna u osoby z potrójnym podbródkiem, popękkanymi naczynkami i w okularach jak denka od butelek. Mówię to, kierując się jak najlepszymi intencjami. Moja praca nie polega na robieniu komukolwiek przykrości, ale na pomaganiu ludziom w uzyskaniu możliwie najkorzystniejszego wyglądu.

Kiedy ustępuję i zgadzam się na skopiowanie fryzury gwiazdy, której wycięte z czasopisma zdjęcie klientka nosi w torebce od miesiący, kończy się to prawie zawsze rozczarowaniem. Czasami taka klientka siedzi w fotelu i płacze. Nie miałam dziś dość odporności psychicznej na takie przeżycia.

- Jasne, możemy je ufarbować na rudo. Wie pani, mam całą paletę odcieni, które zachwyciłyby Rembrandta. Do wyboru, do koloru, cokolwiek pani wybierze. - Przez chwilę patrzyłam na nią w lustrze. Na pewno często farbowała włosy - sama - ponieważ przypominały siano; elastyczność zachowały tylko przy cebulkach. Tak naprawdę potrzebowała przede wszystkim dobrego strzyżenia. Oraz zmycia z powiek niebieskiego cienia o metalicznym połysku.

- Marsha, jeśli zależy pani na nowym wyglądzie, to powinniśmy skupić się raczej na strzyżeniu i zastosowaniu odżywki, a nie na farbowaniu. Na pani miejscu zresztą wybrałabym blond. Jest w tym roku najmodniejszy. Mogę pani zrobić pasemka i nabłyszczyć włosy, żeby były lśniące i wydawały się gęściejsze. Trzeba też ściąć martwe końcówki.

- Jeśli wychodząc, będę wyglądała tak, że każdy zgadnie, że tu byłam, to się zgadzam.

- To znaczy, strzyżenie i odżywka?

- Chyba tak. Proszę posłuchać. - Zniżyła głos. - Mój mąż pracuje u męża Joanne. Ciągłe wysłuchuję: Joanne to, Joanne tamto. Byłoby miło, gdyby mąż patrzył na mnie tak, jak patrzy na nią. Rozumie pani?

Pomyślałam sobie: Oho, dziecinko, nie trzeba dużo czasu, żeby znaleźć haka na Joanne Fairchild. Wada numer dwa: Joanne flirtuje z pracownikami męża.

- Załatwione - oznajmiłam. - A więc blond. Mogę też pani pokazać kilka sztuczek z makijażem, jeśli to panią interesuje.

- Interesuje mnie wszystko, ale nie mówmy głośno o tym, co robimy,

dobrze?

- Może pani być spokojna, Marsha. Ten fotel jest jak konfesjonał w Watykanie. Zaraz wracam.

Poszłam na zaplecze, gdzie mieszałam farbę z utleniaczem, myśląc jednocześnie o setkach kobiet, które w ciągu tych wszystkich lat poznałam. W ciągu miesiąca więcej czasu poświęcają dobroczynności niż sobie samym w ciągu całego roku. Zapominają, że mężczyznom zależy na tym, żeby ich kobiety dobrze wyglądały, miały klasę, że wcale nie chcą, żeby się poświęcały, zdobywając kwalifikacje mistrzyń świata w prowadzeniu gospodarstwa domowego.

Wiedziałam, że muszę Marshy pomóc. Zamierzałam najpierw ufarbować jej włosy, a potem zrobić pasemka. Bettina przechwyciła mój wzrok i podeszła do mnie.

- No i jak myślisz, co powiedziała, kiedy Brigitte zaczęła jej myć włosy? - zapytała, sycząc i niemal plując. Kiedy Bettina jest zła, widać to z daleka, jak lampki na choince przed Rockefeller Center.

- Poddaję się, nie wiem - odszepnęłam, mieszając farbę w plastikowej miseczce.

- Spytała, czy to nie zabawne, że bezpłatny kupon wygrała właśnie ona z całej tej grupy kobiet, z którą przyjechała? Bo przecież jej taki darmowy dzień piękności jest o wiele mniej potrzebny niż pozostałym. No, no! Co za tupet!

- Bądź dla niej miła, Bettino. Podpuszczaj ją. Nie zachowuj się agresywnie.

- Dobrze, dobrze, ale przecież mnie znasz. Pierwsze wrażenie i tak dalej. Chętnie bym ją sprąła! Nie znoszę takich bab jak ona!

Postawiłam miskę i odwróciłam się do Bettiny.

- Ja też - szepnęłam - ale nie krytykuj jej. To byłby koniec. Musimy ją skłonić do mówienia, pamiętasz? Przede wszystkim postaraj się z niej wyciągnąć jak najwięcej informacji o jej życiu seksualnym.

- Jasne. - Oczy Bettiny załśniły na myśl o czekającym ją zadaniu. - Wszystko wyjdzie na jaw przy woskowaniu. - Nabrała głęboko powietrza, wyprostowała się i poszła, jakby nie było żadnej rozmowy. Daj jej popalić przy woskowaniu, pomyślałam, a potem przy manikiurze wytnij skórki aż do bólu.

Wada numer trzy: przesadne wyobrażenie o swojej urodzie. Wróciłam do Marshy, która prowadziła ożywioną rozmowę z Lucy.

- Anno, mówiłam właśnie Marshy, że musi ożywić swoją garderobę, bo nosi wszystko w jednym kolorze. Marsha, kochanie, jest pani za ładna

do beżu! Pamięta pani „Pokoloruj mnie pięknie”? Jeśli włożyłaby pani różową koszulę...

- Co to takiego „Pokoloruj mnie pięknie”? - zapytała Marsha.

- Niech się pani tym nie przejmuję - wtrąciłam. - Lucy, wygląd Marshy za chwilę zupełnie się zmieni, więc nie marnuj energii! Wróć, jak włosy będą ufarbowane, dobrze?

- Och, ale ja jestem głupia! Kto wie, może przyszła pani jako Zima, a wyjdzie jako Wiosna?

- O czym ona mówi?

- To stara sprawa - powiedziałam, uśmiechając się do niej w lustrze. - Żargon wizażystów. Okay. Jest pani gotowa na rozpoczęcie nowego życia?

- Oczywiście!

Stojąc za nią, dalej mieszałam farbę, aż nabrała konsystencji majonezu. Wciąż intensywnie myślałam, co mogłabym zrobić z jej włosami, oszczędzając jej jednakże załamania nerwowego. Powinnam je właściwie ostrzyć do skóry, takie były spalone. Marsha miała ładne kości policzkowe i w ogóle owal twarzy. Nowy makijaż musi podkreślić jej oczy. Nie mogłam się doczekać, kiedy zacznę.

- Dobrze - powiedziałam; wreszcie doszła we mnie do głosu profesjonalistka - niech mi pani opisz, jaki tryb życia pani prowadzi. Spędza pani dużo czasu na słońcu?

- A jak pani myśli? Mieszkamy na Florydzie! Gram w golfa, tenisa, a resztę czasu spędzam na łodzi. Mąż pracuje w tym biznesie, pamięta pani.

- Jasne. Czyli zależy pani na fryzurze łatwej w utrzymaniu.

- Tak. Nie mam czasu na układanie włosów, które wiatr i tak zaraz rozwieje.

Zaczęłam rozdzielać włosy na pasma i pokrywać odrosty farbą. Wybrałam średni blond. Wiedziałam, że w jej oczach musi to wyglądać na brąz, bo taką barwę przybiera mieszanka, ale nie protestowała. Gdy jej wzrok wędrował od lustra do otwartego pisma ilustrowanego, za każdym razem miło się do mnie uśmiechała. Polubiłam ją, chciałam, żeby wyglądała pięknie.

- Więc co dzisiaj robimy? - zapytała Brigitte.

- Tylko suszenie i modelowanie - odparła Joanne. - Nie potrzebuje innych zabiegów.

O nie, ta kobieta nie dawała się lubić.

Żadna z nas by się do tego nie przyznała, ale obie z Marshą słuchałyśmy, jak Joanne Fairchild gawędzi z Bettiną i Brigitte. Bettina robiła jej manikiur. Najpierw zajęła się zmywaniem starego lakieru.

- Co za wspaniały kamień - powiedziała, mając na myśli brylantowy przycisk do papieru na palcu Joanne. - Pani mąż musi być fantastycznym facetem, co?

- O tak, jest całkiem w porządku - odparła Joanne. - To ja jestem okropna. Ale po piętnastu latach nawet Brad Pitt by mi się znudził.

- Mnie nie, jeśli kupowałyby mi takie pierścionki, złotko! - chlapanęła Bettina, a ja posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie. Natychmiast się poprawiła: - Ale rozumiem, o co pani chodzi. Mój mąż Bobby wypływa w rejs na kilka miesięcy, więc nie mamy czasu się sobą znudzić, ale gdyby ciągle był w domu, pewnie bym oszalała! To jasne!

- Dlatego jestem sama - wtrąciła Brigitte, ruszając na odsiecz. - Jeszcze mi się nie zdarzyło trafić na takiego, który po pewnym czasie śmiertelnie by mnie nie nudził. Komu potrzebny facet? Mam ładny dom, przyzwoity samochód i nikt mi nie mówi, co mam robić. Życie jest fajne.

- No, mój mąż nie może mi mówić, co mam robić. Rhett, tak ma na imię mój mąż, to zdrobnienie od Everetta...

- O rany! Rhett Butler! Wiedziałam, że on żyje! - Bettina roześmiała się i wydała charakterystyczne prychnięcie. Wszystkie zaczęłyśmy chichotać, rozbawione nie tyle żartem, ile tym zabawnym odgłosem.

- O nie! Wcale nie! Everett Fairchild to nie Rhett Butler, w żadnym wypadku! Wolne żarty! Kiedy szanowny pan Fairchild sprzedaje łódź, jest najbardziej uroczym człowiekiem pod słońcem, ale tylko dlatego, że chodzi o pieniądze. A kiedy wraca do domu? Od razu staje się nudny jak flaki z olejem! I taki wykończony, że stać go tylko na zjedzenie kolacji i zwalenie się na łóżko. Ale dom to moja domena, nie jego. Robię, co chcę.

Założę się, że tak, pomyślałam i spojrzałam w lustrze na Marszę, która uniosła brwi i kiwnęła lekko głową na potwierdzenie tych słów.

- I tak powinno być - oświadczyła Bettina. - Teraz też nałożymy francuski?

- Tak, francuski - odparła Joanne.

- A gdzie pani mieszka? - zapytała Brigitte. - Mają państwo dzieci?

- Nie mamy, ale tak jest dobrze. A mieszkamy pod Clearwater.

- Dzieci to utrapienie - orzekła Brigitte. - Kocham je zresztą, niech mnie pani źle nie zrozumie. Moje rodzeństwo dochowało się całego stadka potomstwa, wszystkie dzieciaki są wspaniałe. Ale wieczorem wracają do domu, wie pani.

- Tak. I powiem pani coś jeszcze - znów odezwała się Joanne. - Mnóstwo naszych przyjaciół nie ma dzieci i są z tego bardzo zadowoleni. Jeśli są dzieci, trzeba zupełnie zrezygnować z własnego życia!

Wada czwarta: nie lubi dzieci. To załatwia sprawę.

- No, ja to bym chciała mieć szóstkę - wyznała Bettina. Posłałam jej zabójcze spojrzenie, zauważyła to i natychmiast przywołała się do porządku:

- Ale mogę zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak pani nie chce być uwiązany. Ma pani rację. Dzieci to pętla na szyi!

- Właśnie! Cały czas jestem bardzo zajęta i lubię takie życie.

- Ja też - uśmiechnęła się Brigitte. - A jakie jest pani życie?

- Och, no cóż. Lubię robić zakupy, umawiać się na lunch z przyjaciółmi. I gram w tenisa w naszym klubie, a to poważna sprawa. Należę do klubu interesującej książki, do klubu inwestycyjnego i jako ochotniczka biorę udział w organizowaniu różnych imprez w mieście. W tym roku przewodniczę zbieraniu funduszy na naszą bibliotekę. Zapowiada się super. Mają do nas przyjechać Pat i Sandra Conroyowie.

- No, no! - Brigitte była pod wrażeniem. Zaczęłam rozprowadzać farbę na włosach Marshy.

- Jeszcze pięć minut - zapowiedziałam.

- Nie ma sprawy - odparła. - Rozwiązuję ten test w „Cosmopolitan”, jak się dowiedzieć, czy kochanek cię zdradza.

- Po co? Niech pani poczeka do wieczora. Jak panią zobaczy, będzie się ślinił z wrażenia!

- Świetnie!

Brigitte skończyła z idealnymi włosami Joanne, obróciła fotel i podała jej lustro, żeby się obejrzała z tyłu.

- W porządku - powiedziała tylko Joanne bez cienia wdzięczności w głosie. - Dzięki.

Bettina i Brigitte na chwilę wstrzymały oddech, z niedowierzaniem przyjmując ten obojętny ton. Jej słowa zabrzmiały tak, jakby odbierała burgera w samochodowej restauracji. Wada? Była niewdzięcznicą.

- Okaaay! - odezwała się Bettina. - Zajmijmy się teraz woskowaniem.

- Zaraz przyjdę - odparła Joanne. - Może ktoś poprosi tę leniwą smarkulę, żeby przyniosła mi colę ze sklepu?

Twarz mi płonęła. Ta leniwa smarkula? Ta smarkula jest jej pasierbicą i moim dzieckiem. Nic nie powiedziałam. Wada? Nieuprzejma i wyniosła, ot co.

- Proszę za mną - zwróciłam się do Marshy. - Wypluczemy teraz włosy.

Posadziłam ją koło zlewu i gestem wezwałam Emily.

- Co mam zrobić, mamó? - zapytała. - Pomagam Lucy adresować

pocztę.

Wyjęłam z kieszeni dolara.

- Biegnij do sklepu, dziecko, i kup colę w puszcze, dobrze?
- Jasne - odparła Emily i wyszła. Marsha uśmiechała się.
- To pani córka?
- Tak, ma na imię Emily. Jest teraz w domu, na wakacjach.
- Och.

Uświadomiłam sobie, że zobaczyła oczy Emily, a ponieważ знаła Everetta, ten widok ją poruszył, nic jednak nie powiedziała. Zastanawiałam się, co sobie pomyślała, choć oczywiście nie miałam zamiaru jej o to pytać. Moje myśli zaprzętało tylko jedno pytanie: O Boże, a jeśli przez nią wszystko się wyda, nim zdążymy rozegrać naszą partię do końca? Serce zaczęło bić mi szybciej, na karku poczułam kropelki potu.

Po kilku minutach wróciłam z Marshą na fotel i Emily przyszła z colą.

- Co mam z tym zrobić?
- Przelej do szklanki, dodaj lodu i zanieś tej pani w pomieszczeniu do woskowania. Ale najpierw zapukaj. Dziękuję, złotko!
- Dobra.

Marsha miała teraz w oczach wyraz kompletnego niedowierzania, jakby zobaczyła ducha.

Udając, że nic nie zauważam, powiedziałam:

- Teraz zrobię pani pasemka i zaraz zaczniemy strzyc. - Powinnam była zostać zawodową pokerzystką.

Kiedy skończyłam, Marsha miała śliczną krótką fryzurkę, która odmłodziła ją o dziesięć lat. Włosy ładnie układały się warstwami; z tyłu zostawiłam jej dłuższe cienkie pasemka.

- Boże, cudownie! - wykrzyknęła. - Jak mam pani i dziękować?
- Niech pani powie o mnie swoim znajomym. Naprawdę pięknie pani wygląda. A teraz zrobimy makijaż.

Joanne Fairchild nie zauważyła nic niezwykłego w oczach Emily, a Marsha najwyraźniej postanowiła zachować swoje wrażenie dla siebie. Kiedy wreszcie wyszły, zakupiwszy najpierw po koszyku Angel oraz po tonie środków do pielęgnacji skóry i włosów, padałam z nóg. Wydawało mi się, że mogłabym spać przez miesiąc. Joanne nikomu nie dała napiwku.

Ostatnia wada? Skapiradło.

Marsha natomiast rozdawała napiwki, aż zabrakło jej pieniędzy, nawet Emily dostała pięć dolarów.

- Za co to? - zapytała moja córka.
- Za to, że jesteś wspaniałą dziewczyną - wyjaśniła Marsha z

uśmiechem.

Kiedy wyszły, odetchnęłyśmy z ulgą. Pojawiły się trzy niezapowiedziane klientki. Zadzwoił telefon - to był David do Emily. Z aparatem bezprzewodowym poszła na zaplecze, my natomiast z okrzykami triumfu klepałyśmy się po plecach, odczuwając wielką ulgę, że całą sprawę mamy już za sobą. Klientki czekały, patrząc na nas jak na wariatki. Brigitte miała rację. Trzeba jak najszybciej zatrudnić jeszcze jedną stylistkę, a może i dwie.

Emily wróciła cała w uśmiechach. David ją przeprosił i zapraszał do kina.

- Mogę iść?

- Jasne. Tylko wróć do domu o przyzwoitej godzinie.

- Jesteś najlepsza na świecie, mamó. Dzięki.

Zamknęłyśmy salon o szóstej, przez dalsze pół godziny sprzątałyśmy i przygotowywałyśmy wszystko na poniedziałek.

- I co myślicie? - zapytała Lucy. - Bo mnie ta Joanne nie bardzo przypadła do gustu.

- Nie zbliży się do Emily - oznajmiłam. - Nigdy w życiu.

- Nie cierpię baby - wyznała Bettina. - Wiecie, co mi powiedziała w czasie woskowania?

- No? - zapytała Brigitte.

- Zapytała mnie: „Miała pani kiedyś romans?”. Ja na to: „Co pani ma na myśli? Romans w czasie małżeństwa z Bobbym?”. „Tak”, powiedziała. Wtedy ja: „Co też pani? Nie zna pani Bobby'ego! Połamałby mi wszystkie kości!”. Roześmiała się, tak jakoś złośliwie i nieprzyjemnie, no, wiecie „he - he - he”, a ja sobie pomyślałam: A niech to! Ale głośno zapytałam: „Co panią tak śmieszy? A pani miała romans?”. I wiecie, co odpowiedziała?

- Co? - zapytałyśmy chórem, Brigitte, Lucy i ja.

- Powiedziała: „Kto, ja? Ależ nigdy w życiu bym sobie na coś takiego nie pozwoliła”. I to z miną niewiniątka. Jestem pewna, że łąze jak najęta i sypia, z kim popadnie. Myślę, że również z mężem tej sympatycznej Marshy, bo właściwie niemal wprost się do tego przyznała, pamiętacie.

- A kogo to obchodzi? - odezwała się Brigitte. - Wydała mi się okropna już na długo przed tym, nim zaczęłaś ją woskować.

- Ma włosy łonowe jak zwierzę! - wykrzyknęła Bettina. - Coś obrzydliwego! Prawdziwe zoo. Dałam jej popalić, nie bójcie się! A resztę wyrwałam pęsetą. To zawsze na nie działa.

- Świetnie! - pochwaliła ją Brigitte.

- Bettino, Boże wielki! No, mnie się ona też nie spodobała -

przyznałam; chciałam jak najszybciej wrócić do domu. - Jest okropna.

- A najgorsze ze wszystkiego, że nie dała żadnej z nas napiwku! Co za kobieta robi sobie manikiur, pedikiur, woskowanie ciała i modelowanie włosów na koszt firmy, nie dając nawet napiwków! Jest skąpa jak zaraza - oznajmiła Lucy - a znacie mnie. Nie znoszę skapiradeł. Zaczęłam gasić światła. I nagle stanęłam jak wryta.

- O nie! - krzyknęłam.

- Co się stało? - zapytała Brigitte.

- Ona ma zdjęcie Emily! Cholera! A jeśli Everett je zobaczy, to co? Będę musiała mieć z nią do czynienia! I Emily także! A ja nie chcę, żeby ta kobieta kiedykolwiek się do niej zbliżyła.

- Nie dojdzie do tego! - powiedziała Brigitte.

- Nie znasz mojego pecha! - odparłam.

- Anno, przestań się martwić! Prawdopodobnie wyrzuciła już to zdjęcie do śmieci - pocieszyła mnie Lucy.

- Tak - dodała Bettina. - Zatrzymała ramkę, a zdjęcie wyrzuciła.

- Boże, mam nadzieję, że się nie mylicie. Co ja narobiłam?

Po powrocie do domu odsłuchiwałam wiadomość od Jima na automatycznej sekretarce. Nie mógł przyjechać. Dzwonili rodzice Gary'ego, Gary chciał się z nim zobaczyć. Jim obiecał im, że przyleci, jak tylko będzie mógł.

33. Szczęśliwa kobieta

W sierpniu interes bujnie kwitł, za to pogoda dawała nam porządnie w kość. Takich upałów nie notowano dotąd w historii ludzkości. Nawet w telewizji facet od prognoz żartował, że Charleston od ogni piekielnych oddzielają tylko drzwi z siatką na owady. Pomyśl o tym przez chwilę. Mówimy o porażającym, parzącym, dokuczliwym gorącu i wilgotnym powietrzu, przy którym nawet moje włosy wyglądają jak czupryna Dona Kinga. Codziennie po południu szalały burze, po nich moskity wyruszały ze swoich fortec i oblegały wyspę. Nigdy nie usłyszysz tego od Departamentu Turystyki, ale możesz mi wierzyć na słowo. Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się spędzić tu wakacje, zostaw wszystkie perfumy w domu. A ten środek SSS firmy Avon? Ha! Robale z Lowcountry żłopią go jak przystojniaki piwo.

Tak więc podczas kolejnego wieczoru bez mężczyzny i w temperaturze przekraczającej słupek rtęci w termometrze leżałam boso na sofie, oglądając powtórki „Saturday Night Live”. Steve Martin i Dan Aykroyd odstawiali parodię Szalonych Facetów, a ja byłam sama i zaśmiewałam się do rozpuku, myśląc przy tym, że chętnie bym ich

ostrzygła. Emily wyszła gdzieś z Davidem, ale spodziewałam się jej wkrótce. Nagle zadzwonił telefon. To był Jim. Mówił głosem łamiącym się i zdławionym z emocji.

- Gary odszedł.

Serce ścisnęło mi się boleśnie. Nie potrafiłam znieść rozpaczyny Jima, a choć wiedzieliśmy, że Gary umrze, to mimo wszystko jego śmierć nas zaskoczyła.

- Och, Jim, tak mi przykro.

- Tak. Mnie też.

Bardzo długo rozmawialiśmy o różnych rzeczach: jak radzą sobie rodzice Gary'ego, jak wyglądały jego ostatnie chwile. Gary był zły, że musi umierać, nie chciał się poddać. Jim trzymał go za rękę, powtarzał ciągle od nowa, że wszystko jest w porządku, że pomoże jego rodzicom załatwić sprawy majątkowe i wszystkie inne też. Gary walczył do ostatniego tchu, a towarzyszenie odejściu przyjaciela było traumatycznym przeżyciem i naprawdę wstrząsnęło Jimem.

- To chyba najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

- Nie każdemu przeznaczona jest łatwa śmierć. Tak mi przykro, Jim.

- Tak... biedny drań. Jego ciało po prostu przestało funkcjonować, i wiesz co? Cóż z tego, że miał wolę walki, a miał, i to bardzo silną - nic nie mogło powstrzymać nieuniknionego. Została z niego skóra i kości. Serce mi się krajało, kiedy na niego patrzyłem. Był dobrym człowiekiem. Nikt nie zasługuje na taką śmierć. Jestem załamany.

- Cholera. Tak bym chciała coś zrobić, Jim.

- Och, do diabła, a czy ktoś w ogóle może w takim wypadku coś zrobić? Ale dziękuję. Rozmowa z tobą poprawiła mi samopoczucie.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut, a potem zapytałam:

- Chcesz, żebym wylała kubek pomyj na głowę Joanne Fairchild, czy nie?

- Boże, jasne, że tak. Właśnie miałem o to zapytać. Jak poszło?

W rezultacie tematowi Joanne Fairchild poświęciliśmy tylko kilka minut. Relacja z jej wizyty była zupełnie nieistotna w porównaniu ze śmiercią Gary'ego, a poza tym i tak niewiele było do opowiadania.

- Boże wielki, Jim, wiesz, ciągle coś planujemy, intrygujemy. Wydaje nam się, że jesteśmy tacy mądrzy, że dzięki odkryciu prawdy wszystko uda nam się naprawić. W tym wypadku prawda jest taka, że jego żona to egoistyczna, zmaterializowana snobka. Oboje, ty i ja, nie chcielibyśmy, żeby znalazła się w życiu Emily z powodu pieniędzy. I chyba zdradza męża. W każdym razie zrobiła aluzję do swoich wyskoków

pozamałżeńskich.

- Wspaniale, po prostu wspaniale - odparł Jim. - No cóż, próbowaliśmy. Ale wiesz co? Nie zmienia to wcale niefortunnego faktu, że jeśli ty wiesz, kim jest biologiczny ojciec Emily, ona też ma do tego prawo. Nawet jeśli ta baba, jego żona, jest wstrętną jędzą. Nie sądzisz?

- Tak. I staram się wymyślić sposób, w jaki powinniśmy jej to powiedzieć. I zaczekać na odpowiedni moment. Dzięki Bogu, Emily o nic nie pyta, więc po co się śpieszyć?

- Może masz rację. Boże, przygnębia mnie perspektywa kilku następnych dni.

- Kiedy pogrzeb?

- We wtorek.

- Chcesz, żebym przyjechała?

Po raz pierwszy wyraziłam chęć uczestniczenia w jakimkolwiek pogrzebie, ale dla Jima zrobiłabym wszystko.

- Nie. Dam sobie radę.

- A może potem wpadłbyś tu na kilka dni? Żeby odreagować ten stres?

- Dzięki, ale chyba nie. Muszę wracać do pracy, a zupełnie nie mam do tego nastroju. Ale może zadzwonimy do Frannie, czyby nie wpadła na Święto Pracy? Muszę być piątego września na degustacji w Burgundii, wylatuję trzeciego.

- Najpierw przyjedź tutaj!

- No, o tym właśnie myślałem. Mógłbym najpierw przylecieć do Charlestonu. Chyba powinienem też odwiedzić Trixie. Nie czuje się zbyt dobrze.

- O? A co jej jest?

- Kto wie? Przypuszczalnie załatwił ją upał. Albo samotność. Ona zawsze na coś narzeka. Ta kobieta to prawdziwa zagadka. Ma tak wiele, że można by przypuszczać, iż co pięć minut powinna znajdować sobie jakiś powód do świętowania. Ale nie ona! W jej duszy, jak sądzę, nie tli się ani jedna iskierka radości. Tak czy siak, mógłbym zostać na kilka dni, a potem polecieć do Francji.

Założyłam, że Trixie jeszcze nie wie o Garym, a jak się dowie, to uzna, że sprawa nie jest godna jej zainteresowania. Powiedziałam Jimowi, że może przyjechać, kiedy zechce, i zostać tak długo, jak zechce. Będę dla niego opoką.

Zapytał o Arthura, więc mu powiedziałam, że zmył się bez pożegnania.

- Złotko, na świecie są miliony Arthurów - przypomniał mi Jim. - Jak przyjadę, wybierzemy się razem na łowy.

- Wiesz co? Jesteś niesamowity, Jimie Abbot. Nawet w najgorszych chwilach swojego życia potrafisz poprawić mi samopoczucie. Wciąż w głowie mi się nie mieści, że w ogóle się nie odezwał. To jakieś pochrzanione, nie?

To pytanie skłoniło Jima do niewesołych refleksji.

- Czy ty jesteś pokręcona? Nie. Czy on jest pokręcony, bo nie zadzwonił? Tak. Powiem ci coś o facetach, którzy nie potrafią zaangażować się w związek. Oni nie dzwonią. Całe życie szukają pretekstów, żeby nie budować więzi z inną osobą. Jest za wysoka albo za niska, za gruba, za chuda, za brzydka, za piękna, za mądra, za głupia, za bogata, za biedna, co tam chcesz! Jedyłą rzeczą, którą sobie cenią, są oni sami. To zbankrutowani emocjonalnie pozerzy.

- Ale jazda, złotko! - Kiedy Jim się nakręca, jest tak, jakby w ferrari przydusił gaz do dechy.

- Kiedy to prawda.

- Wiem, tylko że za nim tęsknię, rozumiesz?

- Naprawdę go polubiłaś, co?

- Chyba tak. Tak. Drań jeden.

- Moja biedna dziewczynka.

- Jim, co się dzieje z ludźmi? - Było to kolejne zaproszenie do wygłoszenia wykładu, ale wiedziałam, że trzeba pozwolić mu mówić. A poza tym spędzenie wieczoru na rozmowie z Jimem mnie też dobrze robiło.

- Nie wiem. Myślę, że ludzie po prostu nic nie rozumieją, Anno. I nie znają prawdziwej hierarchii wartości. Nie wiedzą, co jest ważne, a co nie. No i zawsze siebie stawiają na pierwszym miejscu. - Umilkł i westchnął. - Coś ci powiem. Do końca moich dni będę tęsknił za Garym i do końca moich dni będę się cieszył, że byłem z nim do ostatniej chwili. Niewiele jest w naszym życiu osób, które naprawdę kochamy. I które nas kochają. Rozumiesz?

- Oczywiście - przytaknęłam i pomyślałam, jak bardzo kocham Jima. I tatę. I Emily. I Frannie. - Sama mogę policzyć je na palcach jednej ręki.

- No właśnie. Te osoby znają cię na wylot, ze wszystkimi twoimi wadami, a mimo to nadal cię kochają. I na nich możesz się oprzeć. Cała reszta nie jest warta naszych łez.

Wiedziałam, że Jim ma rację, ale wciąż pragnęłam, żeby Arthur zadzwonił i podał jakieś rozsądne wyjaśnienie swego nagłego zniknięcia.

Na przykład, że kiedy kupował dla mnie brylant, został porwany, dostał cios w głowę i wylądował w szpitalu z przejściową amnezją.

W niedzielę chodziłam do kościoła, a potem zajmowałam się ogrodem, ścinaniem kwiatów i wstawianiem ich w każdy wazon czy pojemnik, jaki mi wpadł w rękę. Mój ogród rozwijał się z kosmiczną szybkością. Znosiłam bukiety do salonu, do Lucy, do sióstr Wścibskich, a kwiaty odradzały się niemal z dnia na dzień, jak szalone.

W niedzielę po rozmowie z Jimem zjadłam obiad z pannami Mavis i Angel i świetnie się bawiłam. Później znowu zajęłam się ogrodem. Emily i David poszli na plażę. Podczas pracy w ogrodzie do głosu dochodziła najłagodniejsza część mojej natury, rozmyślałam o swoim życiu i widziałam, jakie naprawdę było. W myślach wciąż smakowałam gorącą szarlotkę, którą panna Angel podała na deser.

Rozmowa przy obiedzie dotyczyła dawnych czasów na wyspie, kiedy był tu diabelski młyn, karuzela, cukrowa wata i bingo. Śmiałam się, gdy panna Mavis opowiadała o suszonych ziarenkach limy, którymi ludzie znaczyli karty bingo, o pluszowych misiach, radiach i okropnych lampach, które można było wygrać. Na samym początku małżeństwa z tatą mama kilka razy wybrała się na bingo z panną Mavis i podobno świetnie się bawiły. W czasie jednej z tych wypraw mama wygrała metalowy pojemnik na lód, w szkocką kratę.

- Była taka podniecona, można by pomyśleć, że wygrała na irlandzkiej loterii! Wciąż pamiętam, jak oczy jej błyszczały, kiedy wybierała nagrodę. Mężczyzna, który wywoływał liczby, miał na imię Gabe, rzecz niesłychana w tej części kraju. Chyba był Włochem z pochodzenia. B - - 12! Pod 0 - 64! Miał bardzo męski głos. Czy wiesz, że ten Janek puszczał oczka do twojej mamy, a ona omal nie umarła z wrażenia? Och, jak się śmiałyśmy!

Pamiętałam ten pojemnik, stał na tylnym ganku i miał trochę porzewiałe zawiasy przy uchwycie. Siadałam na nim, kiedy był pełen lodu, bo przyjemnie chłodził.

Panna Mavis opowiadała o tramwaju, którym jej rodzice przyjeżdżali z Charlestonu przez Wyspę Sullivana na Wyspę Palm, i o tym, jak od pierwszego wejrzenia zakochali się w tym miejscu.

- Nie było mnie wtedy na świecie, ale słyszałam tyle opowieści, że pamiętam to, jakbym sama widziała wszystko na własne oczy. Mama i tato poszli na Cumberland Street, żeby złapać „Sappho” - tak się nazywał prom, którym płynęli. Rejs przez zatokę był cudowny, wiatr rozwiewał mamie włosy, tata musiał przytrzymywać kapelusz. Mama miała koszyk z

kanapkami i stroje plażowe. Wyszli w porcie na Mount Pleasant, stamtąd tramwajem pojechali w górę Railroad Avenue na Wyspie Sullivana - teraz ta aleja nazywa się Jasper Avenue albo Jasper Boulevard - a potem na naszą wyspę. Było to w święto Czwartego Lipca, puszczano fajerwerki, cudowne, mówiła mama. I zawsze były specjalne występy, na przykład skoki z samolotów na spadochronach; w jednym roku jakiś pechowy pilot się zabił. O tak, pamiętam, jak mi o tym opowiadali. Okropne!

Mama i tata długą promenadą spacerowali pod gwiazdami. Grały orkiestry i rodzice tańczyli, aż nadchodziła pora odjazdu ostatniego tramwaju. Zawsze wsiadali do ostatniego.

Jej rodzice tak bardzo pokochali wyspę, że zbudowali tu jeden z pierwszych letnich domków. Nie miał ogrzewania ani kanalizacji, była tylko elektryczność. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że potrafiłabym znosić takie niewygody i jeszcze nazywać to świetną zabawą. Ale takie były te historie z przeszłości. Jakie to cudowne, że kobiety w rodzaju matki panny Mavis bardziej sobie ceniły piękno wyspy niż bieżącą wodę!

Najciekawsze rozmowy i najlepsze rady pochodzą od starych ludzi. Zastanawiałam się, czemu pozwalamy, by bogactwo ich wiedzy i doświadczenia rozplywało się w nicości. Staliśmy się jednak krajem, gdzie każdy stawia sobie za cel przede wszystkim młodość. Kobiety sześćdziesięcioletnie muszą wyglądać jak trzydziestoletnie, martwiąc się przy tym, żeby prawdziwe trzydziestolatki nie ukradły im sześćdziesięciopięcioletnich mężów.

O ile mogłam stwierdzić, Wyspa Palm nie zaprzedała się całkowicie temu światu, pełnemu konsumpcyjnej wrzawy. Ludzie wciąż odwiedzają tu starszych wiekiem sąsiadów, i to nie z poczucia obowiązku, ale dla szczerzej przyjemności przebywania w ich towarzystwie. I to właśnie najbardziej mi się podobało - że nikt nie był na wyspie samotny. Życie dla każdego potrafiło znaleźć właściwe miejsce.

Tata i Lucy znowu się pogodzili, wyglądało na to, że ich związek nabiera coraz poważniejszego charakteru. A choć Lucy dalej sporo inwestowała w botoks, operacje kosmetyczne, odsysanie tłuszczu, kroplówki z soli fizjologicznej, ubrania w stylu Barbie, alkohole i - sporadycznie - w środki farmakologiczne dla poprawy samopoczucia, w gruncie rzeczy nie mogłam mieć do niej pretensji. Tatę zawsze pociągało piękno zewnętrzne, wszelkie inne ewentualne zalety uważał po prostu za premię. Jeśli Lucy miała być atrakcyjna dla mężczyzny, to mógł nim być tylko starszy facet, a ona powinna zrobić, co w jej mocy, by pozostać

młodą dziewczyną z jego snów. Nieważne, jak wielkie brzuszyska i jak mało włosów mają ci goście, większość z nich chce, żeby ich kobiety wyglądały tak ładnie i młodo, jak tylko to możliwe. Niektóre kobiety oceniają własną wartość jedynie oczyma mężczyzn, niektórzy mężczyźni zaś potwierdzają swoją nieustającą męskość za pośrednictwem pięknego wyglądu kobiety.

A choć takie podejście wcale mi się nie podobało, to przecież je rozumiałam. Nikt - poza ludźmi pogrążonymi w beznadziejnej depresji - tak naprawdę nie chce umierać. Wszystkie te pozornie daremne, neurotyczne akty zatrzymania młodości w gruncie rzeczy związane są z przetrwaniem. Pewien element owych praktyk istnieje również w tym, co daję moim klientkom. To pewne, że pomogłam Marshy z Clearwater poczuć się lepiej i spojrzeć na siebie samą przychylniejszym okiem.

Pieląc frontowe grządki, cieszyłam się, że mogłam coś dla Marshy zrobić, i zastanawiałam, czy Joanne Fairchild wyrzuciła zdjęcie. Myślałam też, że chyba byłaby ładna rabata obrzeżona kępami ozdobnej trawy. Podniosłam głowę i zobaczyłam Emily wracającą z plaży z Davidem.

David biegł boso po parującym asfalcie, niosąc dwa krzesła plażowe i niewielką lodówkę turystyczną. Emily, która miała dość rozumu, żeby włożyć sandały, przez jedno ramię przewiesiła torbę, przez drugie zapiaszczone ręczniki plażowe. Szła z tyłu, śmiejąc się z podskakującego chłopaka. Wydawali się piękni i szczęśliwi, beztroscy. A choć Emily upierała się, że są tylko przyjaciółmi, znałam swoją córkę. Była zakochana.

- Opluczę się pod prysznicem Lucy, dobrze?

- Cześć, panno Abbot - powiedział David. - Na plaży jest super! Powinna pani pójść popływać!

Lucy sprytnie zainstalowała dla wszystkich zapiaszczonych plażowiczów prysznic przed domem. Powinnam zrobić to samo, pomyślałam, wtedy nie musiałabym się martwić, że moja córka wchodzi pod prysznic razem z chłopakiem, nawet w kostiumie kąpielowym. Ale wiedziałam też, że Emily nie będzie taka głupia, aby pozwalać sobie na jakieś nieprzyzwoitości dwadzieścia stóp od mojego nosa. A może będzie?

- Doskonały pomysł! Oplucz się, a potem wracaj do domu. Jesteś czerwona jak burak!

- Okay! Będę za dziesięć minut!

Jedną z wielu rzeczy, które podobały mi się w związku Emily z Davidem, była równorzędna pozycja obojga. On był o rok starszy, ona więcej wiedziała. On miał własny samochód, ona знаła wyspę. Byli

niemal tego samego wzrostu, szczupli, ale umięśnieni, i tworzyli ładną parę. On żartował z niej, ona z niego, i o ile się orientowałam, każde płaciło za siebie. Oboje uwielbiali filmy i zaliczyli każdy, który pojawił się na ekranach tego lata. Oboje uwielbiali książki i wspólnie je czytali. Lubili krzyżówki i w niedzielę kupowali u Barnes & Noble'a „New York Timesa”, po czym spędzali popołudnie w hamakach, próbując sobie przypomnieć iluś tam literową nazwę trzypalczastego leniwca. Jeśli nie byli zakochani, to powinni się w sobie zakochać. Od pierwszego spojrzenia przypadli sobie do gustu, a Emily porzuciła pozę młodej gniewnej i znów była sobą.

Cóż to było za lato! Podniosłam się z klęczek i spojrzałam na słońce. Może rzeczywiście pójde popływać, a potem wezmę prysznic. Zastanawiałam się, jakie Lucy ma plany co do kolacji. Poszłam do domu włożyć kostium kąpielowy i zadzwoniłam do niej.

- Cześć! Masz ochotę popływać?

- Jasne, jest tak parno! Daj mi pięć minut! Zgodnie z obietnicą po kilku chwilach pukała już do

drzwi. Miała na sobie czerwone bikini, czerwoną hawajską rozpiętą koszulę, ogromny słomkowy kapelusz i wielkie czerwone okulary przeciwsłoneczne. Nie trzeba dodawać, że sandały też miała czerwone. Była gotowa na podbój francuskiej Riwiery.

Rozchyliła koszulę i powiedziała:

- Popatrz na mnie! Czerwona piękność!

- Lucy, przysięgam, jesteś najbardziej godną pożądaną kobietą, jaka trafiła na tę plażę od czasu squaw z plemienia Seewee! - Ja włożyłam czarny jednoczęściowy kostium, klapki z Gapa, czapkę baseballową i raybany. W ostatniej chwili chwyciłam jeszcze bawełnianą koszulkę, na wypadek gdybym się zbyt spiekła.

- Kogo? Dziękuję!

- Kiedy Anglicy wylądowali koło Awendaw, kobiety z plemienia Seewee śpieszyły im na spotkanie. Miały na sobie spódnice z trawy i nic więcej - klasyczny topless!

- Przysięgasz?

- Tak. Niech skonam na miejscu, jeśli to nieprawda. Chodźmy.

Wzięłam z szopy dwa krzesła i ruszyliśmy w stronę pobliskich wydm. Rozejrzałyśmy się za odpowiednim miejscem. Nadchodził przypływ, plaża była wąska. Postanowiłyśmy ulokować się na miękkim piasku, zwrócone przodem ku położonej na zachodzie Wyspie Sullivana. Niebo za nami ciemniało, pewny znak, że w ciągu godziny rozpęta się

burza, która ochłodzi powietrze przed nocą. Za to nad Wyspą Sullivana niebo było czyste i piękne, jak przez cały dzień. Lucy i ja wspominałyśmy wydarzenia mijającego lata.

- Wiesz co - mówiła Lucy - gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że w ciągu kilku miesięcy będę miała prawdziwą pracę i prawdziwego faceta, uznałabym go za kompletnego świra!

- A gdyby mnie ktoś rok temu powiedział, że będę miała własny dom i firmę, też bym go uznała za kompletnego świra!

- I że zakocham się w ojcu mojej szefowej.

- A moja córka straci głowę dla twojego siostrzeńca.

- I że ja odnajdę Everetta Fairchilda. Wzdrygnęłam się.

- Co się stało? - zapytała Lucy.

- Nie wiem. Chyba chodzi o to, że jego żona okazała się taka okropna, a ja miałam nadzieję, że będzie zupełnie inna. Jestem rozczarowana, to wszystko.

- Coś ci powiem, Anno. Zastanawiałam się nad tym, i wiesz co? Zastawiłyśmy na nią pułapkę. Nie miała pojęcia, że będzie przesłuchiwana, prawda? Może gdyby się orientowała, w co się pakuje, zaprezentowałaby się nam od najlepszej strony, a nie od najgorszej.

Spojrzałam na Lucy i po raz kolejny uświadomiłam sobie, że trafiła w samo sedno. My, a w każdym razie ja, nie chciałyśmy, żeby Joanne okazała się dobrą kobietą. Podstępными pytaniami skłoniłyśmy ją do ironicznych uwag i cynizmu. Może pod tą nonszalancją na pokaz kryje się przyzwoitość? Tak, nie grałam fair. Nienawidziłam jej, zanim w ogóle ją zobaczyłam.

- A niech to szlag, Lucy, masz rację. Dobijasz mnie, kiedy mówisz takie rzeczy. Dlaczego sama o tym nie pomyślałam?

- No, nie wiem, niewykluczone, że ona naprawdę jest wstrętną jędzą. Nie zapominajmy, że zachowała się okropnie. Żadnych napiwków, pamiętasz?

- Fakt.

Poczułam się trochę lepiej. Ostatni komentarz Lucy pozwolił mi usprawiedliwić intrygę uknutą przeciwko Joanne oraz negatywną opinię o niej. Umiejętność racjonalizowania najgorszych zachowań nie była jednak dla mnie powodem do dumy, chociaż ją posiadałam. Cóż, podobnie jak reszta ludzkości, też miałam swoje wady.

Przez kilka minut milczałyśmy, a potem, nagle, powiedziałam:

- Poszłam dzisiaj na mszę. Na wpół do dziesiątej. Chór śpiewał cudownie.

- Tak? Chodziłam do kościoła, kiedy byłam mała. Uwielbiałam śpiewać. Od lat nie byłam na mszy.

- Wiesz, co naprawdę jest pokręcone, Lucy? - zapytałam i od razu pomyślałam, że pytanie Lucy o to, co pokręcone, otworzy przede mną możliwość zupełnie nowego sformułowania odpowiedzi.

- Co?

- No, może „pokręcone” to nie jest odpowiednie słowo. Ale czy zauważyłaś, że usiłujemy traktować życie tak, jakby to był bieg z przeszkodami? Wiesz, przedtem mówiłam, że zacznę żyć, kiedy będę miała własny dom. Gdy otworzę własną firmę, to stanę się kobietą. Jak tylko zrobię to czy tamto, zaraz zajmę się następną pozycją z listy. Prawdziwą zagadką dla mnie jest, dlaczego przez wszystkie te lata nie chodziłam do kościoła. No wiesz, siedziałam dziś w ostatniej ławce i myślałam o tym, jakie mam szczęście. Dziękowałam Bogu za milion rzeczy. Wspaniale się czułam. Nie wiem, jak to ująć, ale miałam wrażenie, że jestem połączona z Bogiem, rozumiesz?

- Od lat nie byłam w kościele, ale wiem, o co ci chodzi. Kiedy tu przychodzę albo patrzę na zachód słońca, też zastanawiam się nad swoim życiem. Naprawdę. I wydaje mi się, że też miałam sporo szczęścia, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

- Mhm.

I znowu przez kilka minut milczaliśmy, obserwując małe brodzce, które biegały wzdłuż linii wody, uciekając przed łagodnymi falami, zalewającymi brzeg. Musiały koniecznie zdobyć coś na kolację.

- Anno? - Tak?

- Urządzmy przyjęcie w Święto Pracy. Jim i Frannie przyjeżdżają, tak?

- Tak.

- Pamiętasz grilla, którego urządziliśmy dla Jima? Powtórzmy to. Przeszedł piekło. Ty też miałaś trudne lato, cały ten stres związany z Joanne i resztą, przeprowadzką, otwarciem firmy... Co ty na to? Zaprosiłabym siostrę z Greenville. Kiedy Emily wraca na uniwersytet?

- Zajęcia zaczynają się dziewiątego września. Wyjeżdża trzeciego, chyba że ktoś wszystko spieprzy.

- Wielki Boże, Anno! Nawet tak nie myśl!

- Racja. To wysyła złe wibracje w kosmos.

- Właśnie! Słuchaj, będzie wspaniale. Do diabła, zaprosiłabym nawet te dwie staruchy z sąsiedztwa! W Święto Pracy zakład będzie nieczynny, prawda?

- Tak, ale wiesz co, Lucy? Jest pewien problem. - Jaki?
- Jeśli ty będziesz gotować, wylądujemy wszyscy w kostnicy.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

- Matko jedyna! To szczerza prawda! Pamiętasz, jak się poznałyśmy? I przyniosłam tę okropną potrawkę? Była w zamrażarce od dwóch lat! Nie potrafię nic ugotować! Ale mam propozycję.

- Jaka?

- Ty przyrządzasz jedzenie, ja kupuję produkty. Powiemy wszystkim, żeby przynieśli przekąski albo desery, tak jak na przyjęcie dla Jima. Dougle'a postawimy przy grillu, zrobimy szwedzki stół. Co ty na to?

- Ale nie chcę słuchać muzyki disco Bettiny!

- No to nazwijmy to barbecue w stylu Lowcountry. Tylko muzyka plażowa! No, co powiesz? Mogę wydrukować zaproszenia na komputerze! Hej! - Usiadła i popatrzyła na mnie.

- Co?

- Czy ty w ogóle zadzwoniłaś do tego Jacka Taylora i podziękowałaś mu za tę paskudną roślinę?

- Do diabła, nie! Chyba zdążył się już ożenić z Caroline!

- A może ich też byśmy zaprosiły, to się przy okazji dowiemy? Prawdę mówiąc, byłoby fajnie zaprosić kilka klientek. Dlaczego nie?

- Świetnie. Zrób listę i zadzwoń do nich. Hej! Jim mógłby Bettinę nauczyć tańczyć. O, widzę to oczyma duszy? U mnie czy u ciebie?

- I tu, i tu. Ja mam większą kuchnię. I taras. Ale możemy połączyć podwórza. Razem obejrzymy zachód słońca. Kupiłam sobie nowy aparat cyfrowy i zrobię wszystkim zdjęcia. Mogłabyś zaprosić Harriet!

- Odbiło ci?

- To tylko luźna sugestia.

- Jasne. Okay. Urządzimy przyjęcie, ale bez Harriet. Musimy jakoś uczcić koniec lata. Masz rację, to świetny pomysł.

- Jeśli urządzasz imprezę dla pracowników i klientów możesz ją sobie odliczyć od podatku!

Co do tego też miała rację. Stara poczciwa Lucy.

W niedzielę rano pierwszego września Jim chrapał na kanapie, Frannie w pokoju Emily, a Emily w moim łóżku. Nie mogłam spać w tym potwornym hałasie, więc wstałam. Wszędzie walały się jakieś bagaże. Kieliszki, torby po chipsach ziemniaczanych i opakowania po hamburgerach poniewierały się na stole; to była pozostałość po naszym nocnym posiedzeniu. Frannie i ja słuchałyśmy, jak Jim aż do kompletnego wyczerpania opowiada o śmierci Gary'ego. Najpierw współczułyśmy mu i

pocieszałyśmy go, potem jednak, w środku nocy, przeszliśmy do ogólnych refleksji filozoficznych i doszliśmy do wniosku, że na tym świecie nie ma przypadków i że stanęliśmy wzajemnie na swojej drodze z jakiegoś określonego powodu. O pierwszej w nocy wierzyłam w przeznaczenie. O szóstej rano byłam przekonana, że wszyscy wypiliśmy za dużo wina.

Dzień dopiero wstał, światło przesączało się przez okna jasnymi prostokątami, z początku łagodne, z każdą minutą jednak nabierając ostrości. Postanowiłam pójść na plażę z gazetą i kawą. Na palcach obeszłam cały ten bałagan, włączyłam ekspres, ubrałam się i z pełnym kubkiem wymknęłam przez tylne drzwi, żeby nie obudzić Jima. Nigdy nie widziałam go tak wykończonego i przygnębionego, chciałam, żeby porządnie wypoczął. Z progu podniosłam „Post & Courier”, potem jednak postanowiłam go zostawić.

Popatrzyłam na kwiaty i krzewy. Jim nazwał mój ogród Turbo Eden. To była prawda. Teraz bugenwilla i jaśmin porastały boczne ściany domu, które były przesłonięte różowym i białym kwieciem. Pomyślałam o panie August, właścicielce domku, który wynajmowaliśmy z Jimem, kiedy urodziła się Emily. Kobieta od lat już nie żyła; przyszło mi na myśl, że może to jej spojrzenie z góry przyczyniło się do tego nieprawdopodobnego wzrostu moich roślin. Wydawało mi się, że słyszę śmiech panny August, i to tak, jakby stała tuż obok mnie.

Łączność z tamtym światem jest w Lowcountry na porządku dziennym, krzewi się bujnie, acz nie stanowi tematu do rozmów z turystami. Turyści uważają nas za trochę zwariowanych, ale coś ci powiem, kupują całe tomy historii o naszych duchach, jakby to była kontrabanda z jakiegoś tajnego stowarzyszenia w Saint Germain! Kiedy klientki z Indiany czy innego podobnego miejsca pytają mnie o Szarego Człowieka z wyspy Pawley albo światła w Summerville, słysząc moje rzeczowe odpowiedzi, są przekonane, że skrywam przed nimi jakieś sekrety. Kiedy jednak człowiek tu mieszka, uznaje takie sprawy za naturalne.

We wczesnych godzinach rannych rozmyślałam o różnych sprawach. Po pierwsze, jak zawsze, o wspaniałości pustej plaży. Bez względu na to, jak często chodziłam na wydmy, nigdy nie było tu tak samo. Znowu przyszła mi na myśl panna August i zastanawiałam się, czy może mnie teraz widzieć. Wspomnienia o niej były miłe, zanotowałam sobie w pamięci, żeby przywoływać je codziennie. Była taką szczęśliwą kobietą. A potem pomyślałam o mamie i śnie, który miałam. Bardzo za nią tęskniłam, choć nie wiedziałam dlaczego. Może powodem było to, że tak mało mi po

sobie zostawiła - poza wyglądem. Z drugiej jednak strony, może wcale nie o to chodziło. Czy byłam taka jak ojciec albo babka? Nie. Przecież mama też lubiła pracę w ogrodzie. I była ambitna. Bo choć wychodząc za tatę, z rodzinnego miasta wywiozła koronę królowej piękności, to jakaż przyszłość by ją tam czekała?

Poślubienie ojca stanowiło dość odważny krok, jeśli tak się na to patrzyło. Była jeszcze dzieckiem, rówieśnicą Emily, kiedy rozważyła wszystko i podjęła ryzyko. Ja postąpiłam podobnie.

Stałam, popijając gorącą kawę, a ocean zalewał mi stopy. Doszłam do wniosku, że tak, mama popełniła błąd. Była pełna życia, ale gdy nagle okazało się, że jest - jak powiedziała panna Mavis - przykuta do tego miejsca na końcu wyspy i w dodatku w ciąży, pewnie kompletnie straciła głowę. No bo jeśli bingo i wygranie pojemnika na łód stanowiło dla niej aż taką atrakcję, to jak nudne musiało być jej życie? Okropne.

Spojrzałam w kierunku Wyspy Sullivana - ani żywego ducha. Przypomniałam sobie, jak pierwszego dnia rano zobaczyłam Arthura, i zaraz nakazałam sobie raz na zawsze wyrzucić go z pamięci. Jeśli rzeczywiście pasował do portretu psychologicznego nakreślonego przez Jima, to nigdy do mnie nie wróci. A skoro mowa o mężczyznach, Lucy naprawdę zaprosiła Jacka Taylora i Caroline Levine na nasze przyjęcie. Zapewnili, że przyjdą, choć ja w to wątpiłam. Mając takie pieniądze, z pewnością znajdą lepszą rozrywkę niż grill z bandą fryzjerek i ich rodzin. Zastanawiałam się za to, czy Susan Hayes przyprowadzi Simona - nigdy go nie spotkałam, a wiedziałam o nim sporo! Niemało mi opowiedziała, siedząc w fotelu! Zadziwiający.

Szłam wzdłuż brzegu, sama na pustej plaży, myśląc, że jestem prawdziwą szczęściarą. Mam wspaniałą córkę, cudownych przyjaciół, na których wsparcie mogę liczyć, dobrych sąsiadów, szczerze cieszących się z mojego towarzystwa, i kochającego ojca, co wreszcie się pozbierał. I Wyspę Palm. Czego jeszcze może potrzebować kobieta?

34. Wszyscy się bawią

Jak się okazało, kobiecie potrzeba jeszcze czegoś. Kucharza. Kiedy w niedzielę po południu razem z Lucy przeglądałam listę gości, okazało się, że na nasze przyjęcie przyjedzie siedemdziesiąt pięć osób. Jak miałam nakarmić taki tłum? Wcześniej zaplanowałam menu, ale teraz musiałam o nim zapomnieć. Siedemdziesiąt pięć osób! Czy ona upadła na głowę? We trójkę z Jimem i Frannie słuchaliśmy usprawiedliwień Lucy.

- No, sami wiecie, jak to jest. Zapraszasz kogoś, a on mówi: „Ojej, akurat przyjeżdża do mnie brat z żoną i dziećmi”, więc odpowiadasz: „Nie

szkodzi! Ich też przyprowadź!".

- Siedemdziesiąt pięć osób? - powtórzyła Frannie. - Jesteś tego pewna?

Lucy zgrzytnęła zębami i zmrużyła oczy.

- Na wszelki wypadek założmy, że będzie osiemdziesiąt - oznajmiła.

- Jadę do Lowe'a - powiedział Jim. - Frannie, jedziesz ze mną?

- Jasne, tylko wezmę torebkę.

- Wielki Boże! - wykrzyknęłam. - Co chcecie zrobić?

- Ty i Lucy zajmijcie się jedzeniem, tekturowymi kubkami, talerzami i drinkami, a resztę zostawcie mnie i Frannie. Stary Jim się wszystkim zajmie.

- Uwielbiam cię! - oświadczyłam tylko i posiałam mu całusa.

Natychmiast też zadzwoniłam do Brigitte.

- Zabij trzy melony - poleciłam. - Jutro będzie u nas tysiąc osób.

- W takim razie będę miała co siekać - usłyszałam w odpowiedzi. - To dobrze robi na nerwy. Hej, potrzebny ci składany stół? Mogę pożyczyć.

- Tak, jasne. A masz składane krzesła?

- Nie, ale mogę pożyczyć z biblioteki. Mam zadzwonić do Bettiny?

- Boże, tak! Poproś ją, żeby kupiła u Sama blachę ciasta, dobrze?

- Załatwione. Powiem jej więcej: żeby kupiła ciasteczka czekoladowe i wiadro kurzych skrzydełek na przystawkę. Oraz tonę chipsów i sosu pomidorowego.

- Tylko przynieście mi rachunki.

- Okay.

- Brigitte, dziękuję. Bardzo.

- Przynajmniej nadałaś mojemu życiu jakiś sens. Miałam zamiar spędzić wieczór na przeglądaniu starych numerów „National Geographic” w poszukiwaniu zdjęć nagich tancerzy z egzotycznych szczepów.

- Fakt, to naprawdę żalosne.

- Tak. Zwłaszcza że mam za sobą gapienie się na męskich modeli w obcisłej bieliźnie. Zadzwonię do ciebie później.

- Potrzeba ci chłopca, złotko.

- Tak myślisz? Może to i racja. Bo odkąd powiedziałam Evanowi, żeby spadał, zaczęła się posucha.

Okazało się, że Brigitte zajmuje niekwestionowane pierwsze miejsce w naszej grupce, jeśli chodzi o poczucie humoru. Odłożyłam słuchawkę i odwróciłam się do Lucy. W zdenerwowaniu przygryzała wargę.

- Lucy, nie przejmuj się przyjęciem. Wszystko będzie dobrze. Weź lepiej ten swój mały czarny notatnik. Jeśli do jutrzejszego wieczoru nie

znajdziemy dla Brigitte żadnej ofiary, może się to źle skończyć.

- O czym ty mówisz?

- O chłopach, Lucy. Poszukaj jakiegoś dla Brigitte.

- Aha, jasne! Okay. Mogę zadzwonić do kilku facetów, ale czy nie powinniśmy najpierw pojechać na zakupy? W Piggly Wiggly jest obniżka na napoje orzeźwiające, a w Harris Teeter na wyroby z papieru.

- Racja! Dobra, wskakujmy do auta. Gdzie Emily?

- U mnie, oglądają z Davidem jakiś film na DVD. Siedzą jak zombi i gapią się w ekran.

- Zrób mi przysługę i powiedz im, żeby zaczęli sprzątać podwórko. Trzeba je zagrabić, a stół i krzesła porządnie wyczyścić.

- Okay, zaraz wracam. Jak znajdziesz chwilkę, możesz to zanieść pannie Angel?

- Jasne. A co to takiego?

- Tysiąc dwieście dolarów za koszyki. Pewnie chciałyby w końcu dostać swoje pieniądze.

- Fiu, fiu! Widziałam, że koszyki dobrze się sprzedają, ale tysiąc dwieście dolarów?

- Nie są tanie, a poza tym, złotko, nie został nam już ani jeden.

- Fiu, fiu! - powtórzyłam.

Lucy pobiegła do siebie, a ja sporządziłam listę potrzebnych rzeczy. Była tego cała masa. Wsunęłam listę do torebki i pośpieszyłam do sąsiadek. Najpierw zapukałam do drzwi panny Angel. Otworzyła je po dobrych paru minutach.

- Nie jesteś chyba wysłanniczką świadków Jehowy, co?

- Nie, ale przynoszę dobre wieści - odparłam, podając jej kopertę. - Chyba potrzebujemy więcej koszyków.

Panna Angel wsunęła okulary na nos, otworzyła ko - pertę i przeliczyła pieniądze.

- Wejdz - powiedziała. - Mój pitbull siedzi w budzie.

- Przecież nie ma pani pitbulla.

- A ty nie masz poczucia humoru - mruknęła. - Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję, muszę czym prędzej wziąć tylek w troki i jechać na zakupy do Mount Pleasant. Jutro oczekujemy około siedemdziesięciu pięciu osób.

- Chcesz, żebym zatrzymała Mavis w domu?

- Wielkie nieba, nie!

- Dobrze. Przyniosę dwie blachy ciasta czekoladowego. Śniło mi się, że idziesz na pogrzeb.

- Nie, tylko nie to!

- Co się z tobą dzieje, dziewczyno? Nie wiesz, że to znaczy koniec starego i początek nowego? Hej, od jak dawna tu mieszkasz?

- Przez całe życie! - Zarzuciłam jej ramiona na szyję i mocno ją uścisnęłam. - Jest pani cudowna! Dziękuję, panno Angel! Wszyscy zemdleją z wrażenia, kiedy skosztują pani ciasta!

- Cóż, tego się właśnie spodziewam. Chyba będzie potrzebny lekarz, co?

- Zaprosiliśmy aż trzech. Przynajmniej o tyłu wiem. Do zobaczenia później.

Dwie godziny później miałyśmy z Lucy zamówione mięsa, pieczoną fasolę, sałatkę coleslaw i pieczywo na grzanki w Mister B, najlepszej na świecie restauracji, serwującej dania z grilla, które miano dostarczyć w podgrzewanych pojemnikach, oraz bagażnik wypełniony tekturowymi talerzykami, serwetkami, plastikowymi kubkami i sztućcami, zgrzewkami wody mineralnej i piwa, butelkami wina oraz taką ilością sprayu przeciwko owadom, że wystarczyłoby chyba na wybicie wszystkich insektów nad Amazonką. Czulałam rosnące podniecenie. Dotarło do mnie, że - nie licząc imprezy dla Jima - od lat nie uczestniczyłam w wielkim przyjęciu ani też żadnego sama nie wydawałam. Nie mogłam się już doczekać.

Nazajutrz o pierwszej po południu podwórze za moim domem nabrało odświeżonego charakteru. Tata rozwieszał dwadzieścia pięć sznurów z lampkami, które Jim kupił w Pottery Barn. Na każdym było dziesięć żarówek, umieszczonych w miniaturowych japońskich latarenkach.

- Potrzebujesz tarasu - powiedział tato - bo grunt jest tu bardzo nierówny. Jeżeli nadal będziesz robiła te imprezy, to bez tarasu się nie obejdziesz. Moglibyśmy wtedy postawić grill, lodówkę i zlew, zrobić ładny blat i szafki. A wkoło ławki, tak że ludzie mieliby gdzie siedzieć.

- Masz rację. - Cmoknęłam go w policzek, myśląc o przyszłym tarasie. - Jeśli chcesz mi zbudować taras na trzydzieste urodziny, nie będę się sprzeciwiała.

- Dawno temu skończyłaś trzydziestkę.

- I co mi dałeś?

- Nie pamiętam.

- W tym właśnie rzecz. - Roześmiałam się, a tata mi zawtórował.

- Masz diabła za skórą, Anno. Może w przyszłym tygodniu wybierzemy się do Home Depot albo do Lowe'a i trochę się rozejrzemy.

- Bardzo bym się cieszyła, tato, naprawdę.

- Mogłabyś też mieć tu brodzik.

- Kup go dla Lucy. Co ja bym robiła z brodzikiem? Siedziałabym w nim sama i czytała „Salon”?

- Dla Lucy, powiadasz? To niezły pomysł!

Jęknęłam na myśl o tacie i Lucy siedzących razem w brodziku, zaraz jednak powiedziałam sobie: a co tam, dlaczego właściwie nie mieliby robić tego, na co mają ochotę?

Na razie jednak nie miałam ani tarasu, ani brodzika. Jim i Frannie ustawiali stoły. David z obu domów przynosił ciężkie ceramiczne donice z kwiatami, ozdabialiśmy nimi tylny ganek i stoły. Ten chłopak był prawdziwym skarbem, zawsze chętny do pomocy. Emily spryskiwała zarośla środkiem na owady, który miał trzymać z dala od nas moskity i inne paskudztwo.

- Zzerają mnie żywcem! - narzekała.

- Psikaj dalej!

Usłyszałam ciężarówkę zatrzymującą się przed domem i poszłam zobaczyć, kto przyjechał.

Nie był to dostawca ze sklepu Mister B, tylko zupełnie ktoś inny. Na boku samochodu widniał napis: TAYLOR SLACK'S BEACH MUSIC UNLIMITED. Na mój widok z szoferki wyskoczył młody człowiek.

- Czy pani Abbot?

- Mój mąż pana sprowadził? - Nie mogłam przestać kręcić głową z zadziwienia.

- Chyba tak, proszę pani. Zastałem go?

- Chodź za dom, Taylor - odezwał się Jim, popatrując na mnie z miną niegrzecznego chłopca. - No co? Mamy przyjęcie czy nie?

- Jesteś niesamowity - odparłam.

- Przyjechałem wcześniej, żeby zmontować parkiet do tańca. Czy ktoś mógłby mi pomóc przy stopniach?

- Nie ma sprawy, synu, chodź ze mną. Parkiet do tańca ?

Następna ciężarówka przyjechała ze szklarni Margaret Egan. Wyszłam na dwór, Jim deptał mi po piętach.

- Mam czterdzieści czerwonych i żółtych hibiskusów oraz dwadzieścia palm. Gdzie je postawić?

- Co?! - Byłam kompletnie oszołomiona.

- Nie przejmuj się - uspokoił mnie Jim. - Są pożyczone. Gdzie masz lampki na choinkę?

- Nie mam, ale spytaj Lucy.

O piątej wzięłam prysznic i włożyłam śmiercionośną sukienkę, którą

miałam na sobie tej nocy, gdyśmy z Arthurem żeglowali Rzeką Grzechu.

- Rany, siostrze, wyglądasz super! - wykrzyknął Jim.

- Dziękuję! - Okręciłam się na pięcie. - Nie miałbyś ochoty dotknąć towaru, chłopaczku?

- W takich chwilach jak ta? Owszem.

- No to już!

- Eee - mruknął Jim. - Może zamiast psuć idealnie platoniczny związek, sprawdzimy, na jakim etapie są przygotowania do przyjęcia?

- Jasne! - Strzeliłam do niego ze złożonej dłoni, jak to widziałam w „Aniołkach Charliego”, i zdmuchnęłam dym z czubka palca. - Idziemy!

Jak zawsze, Jim dokonał cudów. Podwórze wyglądało wspaniale, ozdobione hibiskusami i palmami, pośród których migotały światełka, pomyślałam, że mogłoby się tu odbyć nawet wesele. Parkiet do tańca wznosił się tylko dwanaście cali nad ziemią, a ponieważ słupki można było regulować, to mimo nierówności gruntu był dobrze wypoziomowany. I wchodziło się nań po stopniach bezpiecznie i wygodnie. Kochany młody Taylor, którego Emily obserwowała z ukosa, otoczył krawędzie taśmą przymocowaną zszywaczami, a Jim ustawił rośliny z lampkami, tworząc w ten sposób ścianki. Wszędzie paliły się pochodnie, rozsiewając cytrynowy zapach.

- Wygląda bosko! - wykrzyknęła Lucy. - Zaraz idę się przebrać, ale najpierw powiedzcie, co o tym myślicie?

- Jezu! Lucy dała mi w kość niczym siostra Tortura, kiedy uczyła mnie tabliczki mnożenia! - oświadczyła Frannie. - Muszę wziąć prysznic!

- Myślałam, że Frannie jest Greczynką. Chodziła do katolickiej szkoły? - zdziwiła się Lucy.

- Jej matka była Irlandką - wyjaśnił Jim.

- Aha. Sprawdźmy jeszcze wszystko, nim pójdę zrobić makijaż i w ogóle.

DJ miał własny generator, co uznałam za praktyczne wyjście. Przed oczyma miałam wizję, jak to wysiadają wszystkie korki i ludzie wpadają na siebie w ciemności, podbijając sobie oczy i lądując na pogotowiu. Ten facet jednak był przygotowany na wszystko. Miał pudła z marakasami, hawajskie girlandy z kwiatów, słomkowe kapelusze, zwariowane okulary przeciwsłoneczne i świecące w ciemności naszyjniki. Jim był szalony i taki zabawny - pewnie planuje konkurs na odtańczenie karaibskiego limgo. Ale nie będę go zachęcać.

Mister B dostarczył jedzenie. W jednym ogromnym pojemniku na śmieci chłodziło się piwo, w drugim napoje orzeźwiające. Wszystko było

przygotowane.

Wtedy właśnie pojawiła się Brigitte z wyciętym w kształt koszyka melonem.

- Mam wrażenie deja vu - zwróciła się do mnie i Lucy.

- Zaprosiłam sześciu facetów specjalnie dla ciebie - powiadomiła ją moja sąsiadka.

- No, nieźle jak na początek - orzekła ze śmiertelną powagą Brigitte. - Proszę, weźcie to. W samochodzie mam jeszcze dwa.

Kiedy doszliśmy do wozu Brigitte, przyjechali Bettina i Bobby.

- Jestem strasznie podniecona! - oznajmiła Bettina, trzaskając drzwiami tak mocno, że Bobby aż się skrzywił. Włożyła białe obcisłe spodnie do połowy łydki, białą bluzeczkę na ramiączkach, jasnoniebieską koszulę z batystu i wyglądała naprawdę promiennie. Ta dziewczyna była po prostu słodka. - Dostałam wiadro soku pomarańczowego! Za pięć dziesięćdziesiąt dziewięć! Taka okazja! I mam sześć worków doritos, dziesięć tuzinów ciasteczek oraz ciasto z amerykańską flagą, to chyba wystarczy, nie? Poczekajcie, jak zobaczycie ciasto! Jest super!

- Od tygodnia gada tylko o tym przyjęciu - poinformował Bobby i pocałował mnie w policzek. - Instrukcje takie same jak wtedy? Jedzenie na tylne podwórze?

- Tak. Dzięki - odparłam.

Ludzie się schodzili, muzyka już grała, a gdy słońce zaczęło zachodzić, goście ruszyli na dach domu Lucy. Przyjęcie toczyło się już własnym trybem. Mikser pracował, Lucy, pilnując go, tańczyła shimmy. Tak, włożyła jedną z tych swoich kreacji z frędzlami. Tata nie spuszczał z niej zafascynowanego spojrzenia.

Panny Angel i Mavis przedarły się przez oleandry, niosąc tace z pokrojonym ciastem. Poszłam przywitać staruszki.

- Och, panno Angel! Co za pyszności! Bardzo pani dziękuję! Panno Mavis, ślicznie pani wygląda!

- Cicho, dziewczyno, zabierz to ode mnie i znajdź mi jakieś miejsce do siedzenia. W moim wieku mogę paść trupem w każdej chwili.

- Od lat nie była na przyjęciu - wyjaśniła panna Angel.

- Co ona powiedziała? - zapytała panna Mavis.

- Powiedziałam, że tę sukienkę, którą dziś włożyłaś, ja też najbardziej lubię! - krzyknęła panna Angel.

- Och! Dziękuję, Angel.

Zabrałam od nich tace z ciastem, Emily wzięła je ode mnie, a ja usadziłam obie staruszki przy stole pod parasolem.

- Przynieść wam tu coś do jedzenia albo do picia?

- Nie trzęś się nad nami, Anno, wracaj do swoich młodych przyjaciół.

Damy sobie radę, a ja zaopiekuję się Mavis - odparła panna Angel. - Hej, podoba mi się ta muzyka!

Z głośników rozbrzmiewała piosenka „Under the Boardwalk”.

- Co to jest? - krzyknęła panna Mavis.

Panna Angel rzuciła mi spojrzenie, w którym rozpacz była pomieszana z przywiązaniem, po czym odwróciła się do panny Mavis:

- Powiedziałam, że przy tej muzyce nogi same rwą się do tańca!

- No to idź i tańcz. Ja nie pójdę! Nie mogę sobie pozwolić na złamanie szyjki kości udowej.

Zostawiłam je przekomarzające się i rozejrzałam się dokoła. Podwórce wypełniali ludzie, których od wieków nie widziałam, i osoby, które widziałam po raz pierwszy w życiu. To przypuszczalnie przyjaciele Lucy, pomyślałam. Wyglądało na to, że wszyscy świetnie się bawią; byłam zachwycona.

Dostrzegłam Carlę Egbert, recepcjonistkę z Domu Horroru Harriet, i przedarłam się przez tłum, żeby zamienić z nią słówko.

- Carla!

- Cześć! Boże, co za wieczór na przyjęcie! Anno, masz śliczny dom! Bardzo dziękuję, że mnie zaprosiłaś!

- Tak się cieszę, że cię widzę! - odparłam. - Jak leci? Stara Harriet dalej jest na mnie wściekła?

- Anno, nie wytrzymam u niej ani chwili dłużej! Daj mi jakąś robotę!

Na te słowa właśnie czekałam.

- Kiedy możesz zacząć?

- Pytasz poważnie?

- Jak najpoważniej! Możesz poprowadzić mój zakład?

- Mogę robić wszystko!

- I w tym rzecz, Carlo, że możesz robić wszystko! Powiedz Harriet, żeby się pocałowała w swój chudy zadek, i przyjdź jutro!

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Otwieram o dziewiątej.

- Umowa stoi!

Uściskałyśmy się, a ja pomyślałam, że to naprawdę cudowny wieczór.

Wszyscy tańczyli, bo upał dnia ustąpił miejsca jednej ze sławnych balsamicznych nocy Lowcountry. W powietrzu unosił się zapach soli, a mimo muzyki - dosyć głośnej - słychać było szum oceanu. Zgodnie z przyrzeczeniem Jim uczył Bettinę tańczyć shaga, a Frannie uczyła

Bobby'ego. Na głowach mieli sombrero i śmiali się serdecznie.

David biegał z aparatem cyfrowym Lucy w rękę i Emily przy boku. Muszę znowu to powtórzyć. Ten David miał na moją córkę znakomity wpływ. Jego plany na wieczór polegały na tym, żeby wypełnić kartę, zmienić i dalej robić zdjęcia. Odbitki znajdą się w przyszłym tygodniu w salonie i każdy będzie mógł je sobie wziąć. Co za wspaniały pomysł! Kiedy kilka minut później spojrzałam na parkiet, tato tańczył wolnego fokstrotę z panną Ma - vis, która była wprost wniebowzięta.

- Zrób im zdjęcie! - poleciłam Davidowi, a ten natychmiast pstryknął ich tuzin, bo wiedział, jak ważne jest uwiecznienie tej pary.

Przybyła też Trixie w jasnożółtej lnianej sukni bez rękawów. Przeszła się przez tłum do miejsca, gdzie stałam.

- Witaj, Anno - powiedziała, nadstawiając mi policzek.

Cmoknęłam starą komediantkę ze słowami:

- Trixie, tak się cieszę, że mogłaś przyjść.

- Jak rozumiem, mój syn miał mały problem - oznajmiła takim tonem, jakby Jim obciął sobie nadłamanym paznokiem.

Wyczuwałam w jej oddechu dżin. A na moim przyjęciu nie było dżinu. I nie do końca wiedziałam, czy naprawdę chodzi jej o śmierć Gary'ego.

- Mówisz o Garym?

- Oczywiście, że mówię o Garym - przytaknęła z wyraźnym niesmakiem.

Co za okropny babsztyl!

- No tak. Gary przez wiele lat był najlepszym przyjacielem Jima. Cieszę się, że Jim został z Garym i jego rodziną do końca. Myślę, że wszyscy dzięki temu znieśli tę śmierć łatwiej.

Trixie patrzyła na mnie, jakby nie miała zielonego pojęcia, o czym mówię. Przez chwilę niepokoiłam się, czy aby nie powiedziałam czegoś, co Jim wolałby przed nią ukryć.

- Rozumiem - odezwała się wreszcie. - Jestem pewna, że tak. Mój syn jest bardzo współczującym człowiekiem.

- Twój syn, Trixie, zawiesił księżyc na niebie i większą część swojego życia spędził, ucząc mnie i naszą córkę rozmieszczania na nim gwiazd.

- Waszą córkę? Daj spokój, Anno. Kiedy wreszcie skończysz z tą bajeczką? Patrzyłam na nią.

- Daj mi kluczyki od swojego samochodu. Otworzyła torebkę i wyjęła kluczyki.

- Dlaczego? Zablokowałam komuś dojazd?

- Tak, ekipie ratowniczej z kliniki odwykowej Betty Ford. Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, żeby siadać za kierownicą, dobrze?

- Jak śmiesz! Coś podobnego! Co za tupet!

- Emily jest naszą córką, a ty gówno wiesz, Trixie. Wsadź to sobie w fajkę i wypal.

I czym prędzej odeszłam, żeby jej nie uderzyć. Nie zepsuje mi tej cudownej nocy. Może sobie iść ze swoją złością do psychoterapeuty albo ugotować się w niej, nic mnie to nie obchodzi. Kiedy byłam już w odległości jakichś dziesięciu stóp od niej, wpadłam prosto na Jacka Taylora.

- Cześć! - powiedział. - Wspaniałe przyjęcie!

- Cześć! - odparłam, próbując odzyskać dobry humor. - Nie miałam jeszcze okazji podziękować ci za kwiatek. To było strasznie miłe z twojej strony. Niepotrzebne, ale bardzo miłe. Gdzie jest Caroline?

- Gdzieś tu. Masz ochotę zatańczyć?

- Czemu nie? - Rzuciłam kluczyki Jimowi i powiedziałam: - Pilnuj ich.

DJ puszczał akurat „Caroline Girls”, ale po jakichś dwóch sekundach zmienił to na „You've Lost That Loving Feeling” Righteous Brothers i zanim się zorientowałam, Jack Taylor obejmował mnie w talii, a ja czułam zapach jego płynu po goleniu. Podobał mi się ten facet, tak samo jak sposób, w jaki mnie obejmował. Oho. Nie, nie, Anno. Nie pakuj się w to! Wyprostowałam się, a on spojrział na mnie pytająco.

- Co się stało?

- Och, nic! Tylko nie mam ochoty, żeby Caroline przetrzepała mi tyłek na moim własnym przyjęciu! - No, pomyślałam, oto odzywka prawdziwej damy! Dobra robota, Anno.

Jack wybuchnął śmiechem.

- Co? Chyba żartujesz! Spójrz tam!

I rzeczywiście, kiedy popatrzyłam we wskazanym kierunku, zobaczyłam Caroline ostro flirtującą z jednym z przyjaciół Lucy. Najwyraźniej chciała odczytać wzór na klamrze jego kowbojskiego pasa biodrami okrytymi jedwabiem. No wiesz, tak jak czyta się alfabet Braille'a. Ojej! Mimo to nie wydawało mi się słuszne, żeby uwodziła jej chłopaka.

- W gruncie rzeczy jesteśmy tylko przyjaciółmi - powiedział Jack. - To znaczy kiedyś łączyło nas coś więcej, ale uznaliśmy, że przyjaźń przetrwa dłużej. A ty? Czy tam to nie przypadkiem twój mąż?

- Rozwiedliśmy się, a poza tym on jest gejem. - Ach! - mruknął,

wodząc po mnie wzrokiem. - To
wiele wyjaśnia.

Nie miałam pojęcia, co chce przez to powiedzieć, ale to nie miało
znaczenia.

Kiedy muzyka ucichła, powiedział:

- Dziękuję. Przynieść ci coś do picia?

- Tak. Pójdę z tobą.

Zeszliśmy z parkietu i ruszyliśmy w stronę baru. Jack wyjął z
chłodziarki butelkę wina i nalał do plastikowych kubeczków. Miał białą
koszulę z podwiniętymi rękawami i granatowe spodnie; jakimś cudem
ubranie nie było wymięte. Stanowiło to dowód, że musi być trochę
szywniakiem. Chociaż kiedy Brigitte pojawiła się w niepogniecionym
lnianym stroju, wydawało się to w porządku. I skąd wiedział, że nie chcę
piwa? Może uważał, że kobiety powinny pić wino? Zirytowałam się na
niego i równocześnie na siebie, że w ogóle zirytowałam się na niego.

- Proszę. - Podał mi kubek. - Na zdrowie!

- Na zdrowie! - odparłam i stuknęliśmy się.

Co się ze mną dzieje? Oto idealnie sympatyczny, atrakcyjny, samotny
facet, w dodatku lekarz, zainteresował się mną, a ja czuję do niego tylko
lekki pociąg. Podobał mi się jego zapach i wygląd, sposób, w jaki tańczył,
ale nie czułam w nim tej iskry elektrycznej, którą miał Arthur. Jack był
nudny jak wiadro zielonej farby. Wszyscy lekarze są nudni, pomyślałam.
Włącznie z tatą. No, w każdym razie Jack sprawiał wrażenie nudnego.
Może zbyt pochopnie go oceniłam? Rozmawiałam z nim jakieś dwie
minuty i już zdecydowałam, że nie jest dla mnie odpowiedni.

- Piękny wieczór - zauważył.

- Tak, za dnia było goręcej niż w piekle. Mamy szczęście, że się
ochłodziło. - Nie byłam w stanie wypowiadać się jak dama, choćby od
tego zależało moje życie.

- Chciałbym kiedyś umówić się z tobą na kolację, to znaczy pójść
gdzieś, o ile oczywiście się zgodzisz. Och, źle to wyraziłem.

Wyrzucił z siebie tę propozycję i jakby się zmieszał. To była pierwsza
rzecz, którą w moich oczach zrobił jak należy. Pomyślałam: Okay, daj mu
szansę.

- Jasne, byłoby wspaniale. W tym tygodniu chętnie bym się gdzieś
wybrała. Jutro rano moja córka wraca do college'u i będę potrzebowała
jakiejś rozrywki.

- Masz córkę? Gdzie jest?

Pokazałam mu Emily i zobaczyłam, że aż go zatkało. .

- Na imię jej Emily. Studiuje w Georgetown. - A potem w przemyślny sposób, znany wszystkim nadopiekuńczym matkom, postanowiłam wyciągnąć z niego więc informacji. W końcu równie dobrze mógł być pedofilem. - Jaką masz specjalność?

- A co? Źle się czujesz? Mam ci zmierzyć puls?

- Nie! Pytam z ciekawości.

- Jestem dermatologiem. Studiowałem w Medical University of South California i w Citadel. Kiedyś będę musiał pokazać ci wszystkie swoje dyplomy - odparł z uśmiechem.

- To bardzo ważne, żeby dobrze poznać seryjnych morderców, zanim pójdzie się z nimi na kolację, nie sądzisz?

- Ależ oczywiście! Zapewniam cię jednak, że okres seryjnych morderstw mam już za sobą. Obecnie koncentruję się na poprawianiu wyników. Grasz w golfa?

- W golfa? Złotko, raczej wsadziłabym sobie igłę w oko! Nie, nie gram w golfa.

- W takim razie dobrze, nie będę cię zabierał na pole. Zaczniemy od kolacji.

Nie będzie mnie zabierał na pole? Ile on ma lat? Tysiąc?

Zauważyłam idących ku nam Marilyn i Billy'ego Daveyów. Liczyłam, że przyjmą zaproszenie.

- Oto moja agentka od handlu nieruchomościami! Cześć!

- Anno, to mój mąż Billy.

- Cześć, miło cię poznać. Nie jestem jej mężem. Nie mam pojęcia, czemu wszystkim tak mówi.

- Zamknij się, Billy! Nie mogę pojąć, czemu on wygaduje takie bzdury! Jesteśmy małżeństwem od prawie trzydziestu lat!

- Nie! - zaprzeczył Bill, ściskając rękę Jackowi. - Jesteś mężem Anny?

- Jeszcze nie. A, twoim zdaniem, powinienem jej zaproponować małżeństwo?

- Do diabła, w żadnym wypadku - zastrzegł się Billy. - Żeniaczka to najlepszy sposób, żeby mieć w domu starą babę.

- Billu Davey! Wprawiasz mnie w zakłopotanie! - I Marilyn, okręciwszy się na pięcie, ruszyła w przeciwną stronę.

- Marilyn! Wracaj, kochanie! Tylko żartowałem! Daj spokój...

Jack i ja zaczęliśmy się śmiać.

- Idealna para! Niezły z niego numerek, co?

- Mówisz jak Susan Hayes. Gdzie oni są? - Zerknął na zegarek,

potem rozejrzał się wokół i do kogoś pomachał. - A, oto i oni!

Simon trzymał Susan za rękę, ciągnąc ją przez tłum. Oboje byli opaleni i uśmiechnięci.

- Cześć! - powitała mnie Susan. - Tak miło, że o nas też pomyślałaś! Co za wieczór! Jedliście już? Umieram z głodu!

- Ona zawsze umiera z głodu - oznajmił Simon, po czym się przedstawił. - A ty na pewno jesteś Anna. Dzięki za zaproszenie.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Bo mój zdradziecki przyjaciel doktor Taylor uprzedził, że znajdę go z najładniejszą dziewczyną na przyjęciu. Stąd.

- Ale macie gadane, chłopaki - powiedziałam. - Umiecie zawrócić dziewczynie w głowie!

- A może napelnilibyśmy żołądki, zanim zemdleję? - wtrąciła Susan. - Chodź, Anno. Jesteś za chuda. Muszę cię nakarmić.

I zostawiłyśmy mężczyzn samych.

- Wyjdź za niego jutro - powiedziałam - jest uroczy.

- Nie, bo będę musiała zbierać jego ubranie z podłogi.

Boże, co za niebiański zapach! To twoja zasługa? - Nałożyła sobie sosu na talerz.

- Jasne! Złożyłam zamówienie u Mister B przy Coleman Boulevard. Gotuję, ale nie dla tylu ludzi. Chcesz kawałek rolady?

- To tak jak ja. Żadnych rolad, jestem na diecie Atkinsa. - Wrzuciła sobie do ust kawałek mięsa. - Auu, gorące!

- Upiła wielki łyk wina. - Rany, złotko, ale to dobre! A z jakiej okazji jest to przyjęcie?

- Pożegnanie lata. Wiesz, chciałam wszystkim podziękować za pomoc przy otwarciu mojego salonu.

- Wspaniały pomysł! I jak ci się mieszka na Wyspie Palm?

- Nie uwierzyłabyś. Po prostu wspaniale.

- W mieście taki upał, że człowiek życie by oddał za haust świeżego powietrza! Prawdę mówiąc, zastanawiamy się z Simonem nad przeprowadzką tutaj, to znaczy, jeśli zdecydujemy się na skok.

- Chodź ze mną, przedstawię cię mojej agentce, Marilyn Davey. Jest fantastyczna.

- Marilyn Davey? Złotko, znam ją od piaskownicy! Chodziłyśmy razem do Bishop England i do Stella Maris! Jest najlepsza! A ten jej mąż to wariat, nie? Okropnie śmieszny!

- Nie zgadłabyś, ale ja też chodziłam do Stella Maris i Bishop England!

- Niemożliwe!

- Świat jest mały, co?

Zaprowadziłam Susan do Marilyn; natychmiast wdały się w ożywioną rozmowę, która przypuszczalnie doprowadzi do kupna domu.

- Tylko na pewno zaproszcie mnie z Simonem na ślub - powiedziałam do Susan, nim zostawiłam je same. - Muszę zobaczyć, co u taty.

- Spotkajmy się kiedyś, co? - zaproponowała Susan. - Możemy pójść na podwójną randkę!

- Wspaniale! - Pomyślałam sobie, że jeśli rzeczywiście jutro wieczorem zdecydowałabym się pójść na kolację z Jackiem, obecność Susan i Simona bardzo by mi pomogła.

Koło baru spotkałam Brigitte.

- Lucy znalazła ci kogoś interesującego?

- Nie. Są tu mili faceci, ale nie dla mnie. Jedyne przyzwoite tańczy z inną.

- Hej, Lucy ma w swoim notatniku mnóstwo pozycji. Będziemy szukać. Teraz muszę znaleźć tatę.

- Okay. Nie martw się o mnie. Mój książkę w końcu się pojawi.

Znalazłam tatę i Lucy u niej w kuchni; nalewali kawę Trixie. Starłam się wyjść niepostrzeżenie, ale Lucy mnie zauważyła.

- Wchodź! Chcesz kawy?

- Jezu, wpadłam - powiedziałam tak cicho, jak tylko potrafiłam. - Nie wiedziałam, że Trixie tu jest.

- Coś ty jej nagadała? - zapytała Lucy szeptem. - Jest nabuzowana niczym gniazdo szerszeni.

- Nie angażuj się w to - doradziłam, choć wiedziałam, że Lucy już to zrobiła. Wkroczyłam do kuchni, choć miałam Trixie powyżej uszu.

- Cześć, złotko - powitał mnie tata. - Wspaniale przyjęcie. - I wskazując na Trixie, bezgłośnie dodał: Jest zalana!

Jakbym sama tego nie wiedziała.

- Paacie, kogo tu ma - my! - zawołała Trixie, omal nie spadając z krzesła.

- Dobrze! Dostyc tego! Trixie, jesteś pijana jak bela. A ja nie wdaję się w dyskusje z pijakami. Wystarczająco nieprzyzwoite jest już to, że się tak nawalilas w obecności własnej wnuczki. Ale nie będziesz więcej przychodziła do mojego domu i pluła jadem na prawo i lewo, kiedy tylko masz na to ochotę. Skończyłam z tobą. Słyszysz mnie?

- Słyszę dobrze, pani Abbot.

Trixie oczy dosłownie pływały w głowie.

- Anno - zaczął tata - o co cho...

- Nie martw się tym, tato. - I zwróciłam się do Trixie: - To dobrze. Więc tego też posłuchaj. Jesteś podłą, wstrętną babą, Trixie. Jak wytrzeźwiejesz i sobie o tym przypominasz, to zadzwoń, gdybyś mnie chciała przeprosić. W przeciwnym razie nigdy więcej nie dzwoń.

- Jim jest gejem - powiedziała i zaczęła płakać. - I ma kochanka.

Spadła z bujanego fotela, a potem z ganku?

- Tak, wiemy, Trixie, i kochamy Jima, ponieważ jest najcudowniejszym, najmądrzejszym, najzabawniejszym i najhojniejszym człowiekiem na świecie. Co się z tobą dzieje? Emily i mnie w ogóle by nie obchodziło, gdyby Jim był z jakiejś popieprzonej planety Mongo!

- Ale to takie upokarzające! - jęczała Trixie.

- Wcale nie - wtrąciła Lucy.

- A, co ty tam wiesz, ty... ty... - Trixie zmierzyła Lucy wzrokiem od stóp do głów. - Ty dziwko!

- Co takiego? - zapytała Lucy.

- Dam ci coś na uspokojenie, Trixie - zaproponował tatuś. - Chodźmy stąd. Kiedy dama jest w takim stanie, nie wygląda zbyt pociągająco. - Ujął ją za ramię i postawił na nogi.

- Nie jestem dziwką! - Lucy odzyskała głos.

- Idziemy. - Pociągnęłam ją za sobą do drzwi. Coś jednak kazało mi przystanąć i rzucić w stronę Trixie jeszcze jedną gorzką prawdę: - Obudź się, Trixie! Jest rok 2002 i, według współczesnych standardów, Lucy jest większą damą, niż ty kiedykolwiek byłaś! Zbiegłyśmy po schodach.

- To najpodlejsza, najwstrętniejsza...

- Ona jest zazdrosna, Lucy.

- Co takiego?

- Złotko, ona ma słabość do Doktora.

- Wydrapię tej suce oczy!

- No, odezwała się w tobie dama!

I obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Nie było najmniejszej obawy, żeby tata wymienił tę gorącą kobitkę na napuszoną starą kwokę Trixie.

Rozejrzałam się po podwórzu. Frannie tańczyła przytulona do bardzo sympatycznie wyglądającego mężczyzny.

- To Jake - wyjaśniła Lucy. - Zajmował się u mnie hydrauliką.

Spojrzałyśmy na siebie i znowu się roześmiałyśmy.

- Nie wątpię!

Nagle DJ zmienił płytę i usłyszałam: Tu się robi gorąco! Chcę się rozebrać! Zanim się zorientowałam, Jim złapał mnie za rękę, wsadził mi

na głowę słomiany kapelusz i zaczęliśmy robić węża, który zygzakiem okrążył parkiet, spełził w podwórzu i wrócił na parkiet. Przyłączyli się wszyscy obecni, z wyjątkiem panny Mavis, która spała w fotelu, i panny Angel, która stała koło niej, klaszcząc do taktu i śmiejąc się.

Wieczór był wypełniony zabawą i marzeniami. Kiedy ostatni samochód odjechał, jedenasta dawno minęła. Emily i David sprząkali, niech Bóg im błogosławi, ale tylko dlatego że obiecałam im po sto dolarów, jeśli bałagan zniknie. Z początku Emily się sprzeciwiała.

- Mamo, jestem zmęczona! Wyjeżdżam wcześniej rano i chcę trochę pobyć z Davidem!

- Muszę pracować trzy dni, żeby zarobić stówę - odezwał się David. - Uporamy się z tym w godzinę. No już, zabieramy się do roboty!

- No dobrze - poddała się Emily.

Jim, Frannie i ja siedzieliśmy przy stole z tatą i Lucy.

- Wspaniałe przyjęcie - pochwalił tatuś. - Niestety, Trixie śpi w twoim pokoju gościnnym, Lucy. Jak zabita.

- Och, nie ma sprawy.

- Za dużo sosu? - zapytał Jim.

- Niewiele brakowało, żeby zapełnić Jezioro Szampańskie - odparłam.

- Tak! - powiedziała Frannie. - Byłam tam z moim Jakiem, kiedy pojawiła się Trixie, kręcąc tyłkiem.

- Szkoda, że mnie to ominęło! - westchnęłam.

- Niech się pani nie martwi! - zawołał David. - Zrobiłem zdjęcie!

Pośmialiśmy się i daliśmy sobie spokój z Trixie. Wszyscy byliśmy za bardzo zmęczeni, żeby się zastanawiać, czy dorobiła się poważnego problemu alkoholowego, czy też chodzi o jednorazowy wyskok.

- Chodź, staruszk. - Lucy pociągnęła tatę za rękę. - Pozwolę ci u siebie zostać, jeśli mi powiesz, że jestem królową Wyspy Palm!

- Tak jest, wasza królewska wysokość! - Tata skłonił się przed nią, po czym pomachał do nas. - Dobranoc wszystkim.

Tatuś i Lucy razem weszli po schodach na ganek i wydawało się to całkiem naturalne. Ona była wspaniałą dziewczyną, a on mógł trafić gorzej.

- Dobrali się jak w korcu maku! - orzekł Jim.

- O żadnym z nas nie można tego powiedzieć! - odparłam.

- Mów za siebie, dziewczusko - zaprotestowała Frannie. - Jutro jem kolację z Jakiem. Usłyszysz ode mnie nowinę.

- Jaka? - zapytałam.

- Ze za niego wyjdę.
- Postaraj się poczekać z tym do trzeciej randki, Frannie - poradził Jim. - Mężczyźni nie lubią, kiedy się ich tak od razu łapie na wędkę.
- Powiedział mi, że szuka żony. Chce się ożenić w tym roku.
- A, to zupełnie inna sprawa - przyznałam. - Koniec głosowania, mamy zwycięzcę. Może.
- Pomogę ci wybrać pierścionek - zaproponował Jim. - No, dziewczyny, czas do wyrka.

Później, kiedy już prawie zasypiałam, do łóżka wsunęła się Emily.

- Mamo? - Mhm?
- Nie chcę wracać do Waszyngtonu. Chcę się przenieść do Karoliny.
- Zakochana?
- Tak. Ugotowana. Nie, usmażona w głębokim oleju.
- Porozmawiamy o tym rano. Dobranoc, dziecinko.
- Nie, ja mówię poważnie. Kocham go, mamó. A on kocha mnie.
- Wiem, słoneczko, widzę. Porozmawiamy rano.
- Nie rozumiesz. Powiedział mi, że mnie kocha.
- To cudownie, słoneczko.
- Ja nie wracam.
- Wracasz. Teraz idź spać.
- Nie możesz mnie zmusić.
- Mogę. Poczulałam, że wali pięścią w materac.
- Świetnie. Po prostu super. Nienawidzę swojego życia.
- Kiedy byłam w twoim wieku, też nienawidziłam swojego życia.

Przez kilka minut milczała; słyszałam, jak pociąga nosem, i wiedziałam, że płacze. Potem łamiącym się głosem powiedziała:

- Chodzi o to, że nad niczym nie mam kontroli. Rozumiesz? Nie chcę się rozstawać z Davidem, mamó. Umrę bez niego.

Obróciłam się na drugi bok i pogładziłam ją po plecach.

- Nikt nie umrze, dziecinko. Porozmawiamy o tym rano, dobrze? O tej porze wszyscy podejmujemy niemądre decyzje. Spróbuj się teraz trochę przespać.

Moje biedne dziecko. Choć przypuszczalnie by w to nie uwierzyła, dokładnie wiedziałam, co czuje. Musiało minąć kilka dziesięcioleci, nim uzyskałam kontrolę nad swoim życiem. Rzuciałam się na posłaniu, wspominając starcie z Trixie, taniec z Jackiem, popisywanie się przed Jimem, wyobrażając sobie tatę i Lucy. Carla jutro zgłosi się do pracy. Co ja powiem Lucy? A potem znowu wróciłam myślami do Emily i tych wszystkich wieczorów, kiedyśmy przed zaśnięciem rozmawiały o tym, co

leży jej na sercu. Bardzo mi będzie brakowało tych chwil. Bardzo. Więcej, wiedziałam, że będę za nimi boleśnie tęsknić.

Wstałam, żeby nalać sobie szklanek wody, i na palcach minęłam Jima leżącego na kanapie. Już był stracony dla świata, otwartymi ustami wydawał odgłosy jak pociąg towarowy. Uśmiechnęłam się do niego, próbując zrozumieć, dlaczego zrobił tak wiele nadzwyczajnych rzeczy dla mnie i Emily. A potem zrozumiałam. Pragnął, byśmy miały dobre wspomnienia z naszego nowego domu, i chciał być ich częścią. To miało sens. Wiedziałam, że niezależnie od tego, jakie niespodzianki życie nam jeszcze zgotuje, Jim zawsze będzie w samym centrum wydarzeń.

35. Koniec z koszmarami

Wtorek trzeciego września zaczął się jak każdy inny, poza tym, że byłam wyczerpana, nim w ogóle wstał dzień. I niespecjalnie zadowolona, że dwoje ludzi, których kocham, tego samego dnia poleci samolotem. Widzisz, mam teorię, że to moje zdrowaśki utrzymują te maszyny w powietrzu. Będę musiała podwoić ich liczbę i gorliwiej je odmawiać, mając nadzieję, że zadziałają. A co gorsza, przez długi czas nie zobaczę ani Jima, ani Emily.

Wsadziłam Emily do samochodu i o wpół do siódmej wyruszyliśmy za wynajętym autem Jima na lotnisko.

- Nie musisz jechać, Anno - powiedział wcześniej Jim. - Ja zabiorę Emily.

- Wiem, ale chcę pojechać.

- Mama myśli, że wracam na uczelnię - wtrąciła Emily. - Myli się.

Jim i ja zapewniliśmy ją, że naprawdę wraca i że powinna skończyć się pakować. Pakowała się z ociąganiem przez cały tydzień, a ostatniej nocy klóciła się ze mną o ten wyjazd, aż zasnęła.

Jim leciał liniami Continental do Newarku o ósmej, Emily US Airem do Waszyngtonu z przesiadką w Charlotte o wpół do dziewiątej.

Oddali bagaże, kupili czasopisma, a potem postanowiliśmy, że zjemy śniadanie. Nie miałam ochoty na nic, ale zamówiłam jajko na miękko i gorącą angielską bułeczkę, Jim wybrał omlet z frytkami i grzanki, Emily grymasiła.

- Chyba wezmę naleśniki - powiedziała. - Jeśli samolotem będzie trzęsło, żołądek lepiej sobie poradzi z naleśnikami.

- Dobry wybór - pochwaliła kelnerka i poszła po kawę dla nas.

Rozmawialiśmy z Emily o studiach i stanęło na tym, że jeśli na Boże Narodzenie nadal będą z Davidem tak bardzo w sobie zakochani, to rozważymy zmianę uczelni w następnym semestrze.

- Och, o to niech was głowa nie boli - oznajmiła Emily, bawiąc się sygnałami w nowym telefonie komórkowym, który Jim dał jej awansem jako prezent urodzinowy - my z Davidem będziemy razem przez milion lat. Masz mój numer, mamó?

- A jak sądzisz?

Jim i ja uśmiechnęliśmy się, słysząc to ostatnie oświadczenie. Myślałam, jakie to musi być cudowne, znaleźć w jej wieku kogoś, z kim spędzi się resztę życia, a potem uświadomiłam sobie, że wyszłam za mąż za Jima, mając osiemnaście lat.

- Jeśli ten facet ma mózg choćby odrobinę większy niż papuga, Emily, to nie pozwoli ci odejść - oznajmił Jim. - Ruszajcie się, muszę iść do bramki.

Odprowadziłyśmy go do punktu kontrolnego terminalu B, gdzie zaczęło się ogólne ściskanie i całowanie. Wszyscy nienawidzili pożegnań. Mieliliśmy za sobą długie, upalne lato, znaczone wielkimi sukcesami, osobistymi stratami i wieloma nieoczekiwanymi zakrętami naszych życiowych dróg. Dni i tygodnie, któreśmy ze sobą spędzili, będą nam pociechą do następnego spotkania w Święto Dziękczynienia. Oby ten dzień nadszedł jak najszybciej.

- Kocham cię, tato.

- Ja też, dziecinko, ja też cię kocham. Widziałam łzy w oczach Jima. Od śmierci Gary'ego

stał się bardziej sentymentalny, ale kto by się nie stał? A może jego stan emocjonalny miał inny powód. Nie wiedziałam.

Wyjęłam z torby chusteczkę i podałam mu.

- Proszę. Zadzwoń do mnie z Francji, żebym wiedziała, gdzie cię szukać, dobrze?

- Boże, ale dureń ze mnie! - Jim wysiąkał sobie nos. - Wiesz, już chciałem się odwrócić i odejść, ale nagle popatrzyłem na was obie i pomyślałem, jakie jesteście piękne, a ja mam wielkie, nieprawdopodobne szczęście, że obie mnie kochacie.

Więcej mi nie było potrzebne. Wybuchnęłam łzami i zarzuciłam mu ramiona na szyję.

- Nie, proszę pana, to my mamy szczęście. Kto by ciebie nie kochał?

- Boże wielki! - jęknęła Emily. - Opanujcie się, wy dwoje. Jesteśmy w miejscu publicznym!

Jim i ja z trudem odzyskaliśmy panowanie nad sobą i roześmialiśmy się.

- Dobra - powiedział - dobra. - Wziął głęboki oddech. - Jutro do

ciebie zadzwonię.

Patrzyłyśmy, jak idzie korytarzem, aż zupełnie straciłyśmy go z oczu.

- Jest wspaniały - odezwała się Emily.

- To pewne.

Skierowałyśmy się do terminalu A. Obejmowałam Emily, co parę minut ściszałam.

- To było dobre lato, prawda, dziecinko?

- Najlepsze. I wiesz co, mamó? Naprawdę polubiłam nasz mały domek.

- Tak?

- Tak, bo jest nasz. - I zaraz zmieniła biegi. - Jak myślisz, czy Doktor ożeni się z Lucy?

- Kto wie?

- A jak się ożeni, to czy David będzie moim kuzynem?

Roześmiałyśmy się.

- Kogo to obchodzi? - powiedziałam.

- Właśnie. Czy w Święto Dziękczynienia możemy przemaalować mój pokój?

- Na jaki kolor?

- Powiedziałaś, że kolor nie ma znaczenia.

- Racja, powiedziałam. Lepiej już idź. - Pocałowałam ją w czoło i spojrzałam jej prosto w oczy. - Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, mamó. Zadzwonię, jak dojadę na miejsce.

Podaliśmy jej torbę i uściskałam moją córkę po raz ostatni.

Jadąc z powrotem na Wyspę Palm, czułam smutek. Będę za nimi bardzo tęsknić, już tęskniłam, choć miałam sporo zajęć, dzięki którym do listopada nie będę narzekać na nadmiar wolnego czasu.

Skreśliłam przed dom, żeby przebrać się do pracy, i cóż zobaczyłam? Zgodnie ze swą obietnicą tata sprowadził ekipę z Charles Blanchard Construction Company, która właśnie dokonywała pomiarów przyszłego tarasu z aneksem kuchennym, o którym poprzedniego dnia rozmawialiśmy. Stary skąpiec Doktor zupełnie się zmienił, dowody widoczne były na każdym kroku. A więc będę miała taras.

Samochodu taty nie było, zauważyłam natomiast Lucy, która wyszła po poranną gazetę.

- Cześć! Musimy pogadać!

- Ale było przyjęcie, co?

- Tak. Posłuchaj, pamiętasz Carłę?

Ku mojemu zaskoczeniu, kiedy powiedziałam Lucy, że postanowiłam

zatrudnić Carłę, nie miała żadnych pretensji.

- Świetnie! - oświadczyła. - Bo jeśli mam być szczerą, wolałabym raczej skupić się na zakupie towarów niż ciągłym załatwianiu telefonów. Stale nam czegoś brakuje! Poza tym myślałam, że powinnyśmy mieć własny szampon i tak dalej. Pamiętasz, jak Jim przyniósł te buteleczki pachnące owocami? Oczywiście mogę pomagać Carli, jeśli będzie trzeba pokazać jej, co i jak. Ale może znajdę też czas, żeby znowu chodzić na aerobik. Szczerze mówiąc, złotko, trochę sflaczałam.

Lucy chciała pokazać Carli, co i jak? Miałam nadzieję, że Carla zdoła rozśmieszyć Lucy.

- Zastanowimy się nad tym - odparłam, oddychając z ulgą.

Wracając do siebie, zobaczyłam samochód Trixie i przypomniałam sobie jej zachowanie. Sama nie potrafiłam uwierzyć, że moje serce aż tak stwardniało wobec niej. Zaskoczyło mnie to, bo nie odczuwałam równie negatywnych emocji względem nikogo, odkąd moją babkę trafił szlag i poszła prosto do piekła. Przynajmniej zakładałam, że tam jest.

Za dwadzieścia dziewięć otworzyłam salon, zaraz miała pojawić się Carla. Jeśli będzie z nami pracować, mogę przestać myśleć o mnóstwie spraw, bo doprowadzi wszystko do porządku w jednej chwili. A co ważniejsze, przyciągnie za sobą całą gromadę nowych klientek. Niewykluczone też, że pomoże mi znaleźć dwie nowe stylistki. W mojej głowie wirowały optymistyczne obrazy: pełne fotele, dzwoniąca kasa, wysiłki, by w magazynie nie zabrakło produktów... Nie, przykro mi, pani Snodgrass, Anna ma wolne terminy dopiero za sześć tygodni... Tak, możemy zapisać panią na manikiur do Sonyi. Tak, ona jest nowa... Ach, Carla. Trzeba się pośpieszyć!

Zrobiłam sobie kawę i zobaczyłam, że skończył się zapas. Poszłam do sąsiedniego sklepu pożyczyć paczkę i zobaczyłam, że przed telewizorem stoi grupka ludzi.

- Co się stało? - Moją pierwszą myślą - chyba odgadłaś - było to, że jakiś świr tydzień wcześniej postanowił uczcić dzień jedenastego września.

- Nic, tylko wiadomości, że nie ma żadnych wiadomości - uspokoił mnie jakiś mężczyzna.

- To dobrze - odparłam. - Lubię, jak wiadomości są nudne.

- Na Wyspach Dziewiczych szaleje huragan, a to jest nawet dość interesujące - odezwała się ekspedientka. - Chce pani bułeczkę? Jagodowe są jeszcze gorące.

- Nie powinnam, ale co tam! - Wzięłam jedną i czując jej ciepło przez

plastikowe opakowanie, nie mogłam się doczekać, kiedy ugryzę pierwszy kęs. Dałam dolara, a resztę wrzuciłam do słoja z napiwkami koło kasy. - Dzięki.

Wyszłam, rozmyślając o zmianach oczekiwań wobec klientów i o tym, że zmiana ta była niezwykle subtelnie przemyślana. Przedtem kupowałaś coś i sprzedawczyni odliczała ci resztę. Teraz oczekiwano od ciebie, nie, nie oczekiwano, dawano do zrozumienia, że byłoby bardzo miło, gdybyś resztę zostawiła w słoju dla personelu, który na koniec dnia podzieli się jego zawartością. W zamian mogłaś sobie w razie potrzeby wziąć centa. Przez lata liczyłam każdy grosz, więc moja pierwsza reakcja na słój z napiwkami była negatywna. Chociaż kiedy zaczęłam się nad tym zastanawiać, zmieniłam zdanie. No wiesz, świat jest dostatecznie zimny i bezduszny, w codziennym życiu na każdym kroku odczuwa się brak ludzkiego podejścia do drugiego człowieka. Bilety przez Internet. E - mail. Poczta głosowa. Zakupy przez Internet - począwszy od nowego samochodu, skończywszy na loku włosów Matta Lauera z ostatniego strzyżenia. Co za świat! No, przynajmniej nie wsadzasz głowy w maszynę jak Jane Jetson i nie wychodzisz z fryzurą, którą wystukałaś sobie na klawiaturze. Wciąż żyłam w świecie ludzi i cieszyłam się z tego.

Wróciłam do salonu i chwilę stałam, rozglądając się po miejscu, które Jim doprowadził do prawdziwie idealnego stanu. Ekspres do kawy, neon, bambus; ślady jego działalności były wszędzie, sofy, fartuchy, turbany - elementy wyobraźni Jima, które nasuwały mi myśli o fantazji, luksusie, dobrym nastroju. Jim nie przesadził, on przesadę wykorzystał w dobrym celu. Był jak rzadki gatunek ptaka. Jak rajski ptak. Najwspanialszy. Nic dziwnego, że nigdy w nikim innym się nie zakochałam. Jaki mężczyzna mógłby być od niego lepszy? Był serdeczny, inteligentny i zabawny. Życzliwy, elegancki i wyrafinowany. Lista jego zalet była długa jak moja noga. Odkąd skończyłam siedemnaście lat, Jim trzymał drzwi swego serca otwarte na oścież dla mnie i Emily. Mimo to zdawałam sobie sprawę, że na jakimś etapie będę musiała otworzyć drzwi swojego serca dla kogoś innego.

Miałam ochotę roześmiać się głośno, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przestanę go uwodzić. To zabawne, że ciągle z nim flirtowałam. Może byliśmy jak Franciszek z Asyżu i święta Klara albo Abelard i Heloiza, albo też po prostu współczesna, nietypowa para. Cóż, pomyślałam, jakkolwiek się to określi, jesteśmy lojalni i przywiązani do siebie. Niewielu znajdzie się lepszych, a zarazem bardziej zwariowanych od nas.

Zadzwoił telefon. To był Jack Taylor. Puk, puk.

- Cześć, jak leci? Wszystko dobrze? - zapytał.

- No, rano wsadziłam Jima i Emily do dwóch różnych samolotów...

- Kiedyś latanie było podniecające - odparł. - Teraz go nie znoszę.

- Tak, ci faceci zepsuli ludziom całą przyjemność, no nie? -

Popatrzyłam w lustro i zobaczyłam, że pod oczami mam ciemne kręgi. Porządny makijaż byłby dobrym rozwiązaniem.

- To na pewno. Dzwonię w sprawie kolacji.

- A, racja!

- Cóż, z dzisiejszym wieczorem jest pewien problem. Moja matka ma osiemdziesiąt cztery lata, mieszka w Monck's Corner. Niestety, nie czuje się dobrze i chce, żebym do niej przyjechał. Powiedziałem, że przyjadę, pod warunkiem że uda mi się zmienić plany.

Naprawdę mówił poważnie? Nie pojedzie do matki, jeśli nie uda mu się zmienić naszych planów? Coś z nim jest nie tak czy co? Przestań, odezwał się mój wewnętrzny doradca. Chce być po prostu uprzejmy. Po Arthurze nigdy nie spodziewałam się żadnych względów, co było jednym z powodów, dla których nie powinnam po nim płakać.

- Jack, na kolację możemy się wybrać innego dnia. Jedź do matki, kto wie, może naprawdę jest chora?

- Szanowna pani, ma pani dobre serce i ja to doceniam. Zadzwoię jutro, dobrze?

- Oczywiście.

Rozległ się dzwonek nad frontowymi drzwiami, obwieszczając początek dnia pracy. Bettina i Brigitte przyszły razem. Bez makijażu, z włosami ściągniętymi w końskie ogony.

Bettina z szybkością karabinu maszynowego mówiła o przyjęciu. Brigitte odpowiadała półsłówkami w rodzaju: Uhm. Masz rację, mała, i zawsze niezwykle użytecznym: Możesz to powtórzyć?, co Bettina z przyjemnością zrobiła. Powiedziałyśmy sobie „cześć”, zrobiłyśmy kawę i podzieliły bułeczkę na trzy części. Wtedy przyjechała Lucy.

- Wyglądacie wszystkie jak z krzyża zdjęte!

- No, przynajmniej mamy uzasadniony powód - odparła Bettina. - Czy jest coś gorszego niż straszny wygląd bez żadnego powodu? O której mam pierwszą klientkę?

- O dziesiątej - poinformowała Lucy. - Będę pilnowała ekspresu. Wszystkie jesteście przez cały dzień zajęte!

- Wyglądam jak z lekka rozmrożone zwłoki! Kto ma korektor? - jęknęłam. - Ludzie, ależ ja fatalnie wyglądam!

- Żeby dzisiaj usunąć moje zmarszczki, potrzeba noża! - oznajmiła Bettina. - Nogi mnie bołą jak jasna cholera!

Punkt o dziewiątej drzwi się otworzyły i w porannym świetle stanęła Carla z dwoma młodymi stylistami z Piekła Harriet i torbą na zakupy. Uśmiechała się od ucha do ucha.

- W porządku, imprezowe widma, Carla przybywa z posiłkami. To jest Raymond, a to Eugene.

- Carla? Co się... Co się dzieje?

- Jak powiedziałam Harriet, że odchodzę, to się wściekła. Oni się śmiali, więc ich wyrzuciła. Jeśli dzisiaj ich nie potrzebujesz, to będziesz na pewno potrzebowała w przyszłym tygodniu. - Otworzyła torbę i wyjęła koło - notatnik z adresami. - To własność Harriet. Gdzie jest najlepsze ksero?

No, nasz śmiech słycać było aż w Columbii, a może i w Greenville.

Pod koniec dnia Eugene i Raymond byli częścią rodziny. Kołonoratnik Harriet został skserowany i podrzucony na miejsce. Carla zapisała dość klientek, żebym utrzymała płynność finansową przez rok, i wszyscy nie mogliśmy się doczekać, kiedy wreszcie pójdziemy do domów się przespać. Ucałowałam cały zespół na pożegnanie w policzki i wyszłam przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Zatrzymałam się przed domem i wysiadłam z samochodu. Przy bocznej ścianie zobaczyłam słupki i sznurki, pozostałości po pomiarach; ciągnęły się na tylne podwórze, gdzie miał być taras. O bocznej werandzie jednak nie było mowy. Ale w tamtej chwili nic mnie to nie obchodziło.

Panna Angel siedziała na schodach przed swoim domem i wyplatała koszyk.

- Hej! - powitała mnie. - Robię dla ciebie koszyki!

- Witam, panno Angel! To świetnie, bo są nam bardzo potrzebne!

- To dobrze. Budujesz taras czy co?

- Na to wygląda.

- Twoje dziecko już wyjechało?

- Tak, choć najpierw Emily strasznie przeciw temu protestowała! Chyba się zakochała.

- Nie ma nic, co dałoby się porównać z miłością, panno Anno. Nic na całym świecie nie da się z nią porównać.

- Ma pani rację! Święta prawda! Do zobaczenia później!

Gdzieś pomiędzy dwoma praniem i tęsknymi spojrzeniami, jakimi obrzucałam moje łóżko, telefon zadzwonił kilka razy. Emily bezpiecznie dotarła do akademika.

Frannie, która wyszła z Jakiem, zadzwoniła, żeby uprzedzić, że nie wraca na noc. Zjadłam kanapkę z masłem orzechowym i przed dziesiątą zasnęłam, postanawiając zmienić pościel kiedy indziej.

Reszta tego tygodnia i cały następny minęły mi jak we mgle. Frannie wróciła do Waszyngtonu, zarzekając się, że znajdzie sposób, by przenieść się do Charlestonu i wyjść za faceta, którego znała w sumie jakieś pięć minut.

- Nie żartuję, Anno, Jake naprawdę jest inny.
- Oblewasz się przy nim potem?
- Hm! Oblewam się potem na samą myśl o nim!
- Ho, ho! - odparłam, mając nadzieję, że zrealizuje swoje zamiary.

W sobotę pracowałam do późna, do domu wróciłam koło dziewiątej. Światła się paliły, ktoś był w środku. Otworzyłam drzwi, na kanapie w salonie siedzieli tata i Lucy.

- Co się stało? - Czy nie tak zachowują się ludzie, kiedy ktoś umarł?
- Chodzi o Emily - odparł tata - ona...

Zanim zdążył wypowiedzieć następne słowo, zaczęłam wrzeszczeć: - Co?! Co?!

- Wróciła do domu, Anno - wyjaśniła Lucy. - Nic jej nie jest. Śpi, jakby ktoś ją walnął młotkiem w głowę.

- Co to ma znaczyć? - Opadłam bezwładnie na fotel.

- Ona jest taka jak ty, Anno - uśmiechnął się tata - uparta jak muł. Zadzwoniła do mnie rano, a ja wysłałam jej bilet. Nie spała od wczoraj od jedenastej i jest wykończona. Zrezygnowała z uczelni, chce mieszkać tu z nami. I przeniosła się do College of Charleston.

- Coś ty zrobił? Nie mogłeś tak po prostu pozwolić jej...

- Anno - wtrąciła Lucy - zanim zaczniesz się wściekać, powinnaś jej najpierw wysłuchać. Nie chodzi tylko o Davida. Nie tylko o niego.

Wiedziałam, że nie chodzi tylko o chłopaka czy chłopaka, którego Emily kocha, albo wydaje jej się, że kocha, ale oczywiście mieli rację. Powinnam wysłuchać, co moja córka ma mi do powiedzenia, i zrobię to.

- Emily mówi, że tutaj jest jej miejsce - dodał tata. - Ty pierwsza ze wszystkich powinnaś to zrozumieć.

- Rozumiem.

- Ona uważa, że jest ci potrzebna, no wiesz, do pomocy w salonie i w ogóle.

- Dodatkowa para rąk zawsze się przyda - przyznałam z uśmiechem.

- Otworzyłem moimi kluczami, a Lucy powiedziała, że powinniśmy tu na ciebie zaczekać.

- Tak, żebyś nie ściągnęła jej z łóżka za uszy i nie wykopała siłą z powrotem do Waszyngtonu.

- Dziękuję, naprawdę.

- Wracamy teraz do mnie. Chcesz iść z nami i napić się czegoś?

- Nie, dzięki. Chcę... eee, zastanowić się. Dobrze? Tata wstał i pocałował mnie w policzek.

- Emily to wspaniała dziewczyna, Anno, postaraj się ją zrozumieć. Jest dobra i serdeczna.

- W porządku, tato. Dziękuję.

Gdy tylko wyszli, zjrzałam do pokoju Emily. Spała spokojnie w swojej lawendowej pościeli, jasne włosy rozrzucone były na poduszce. Pochyliłam się i pocałowałam ją w głowę.

- Witaj w domu, dziecinko - szepnęłam.

Serce miałam wezbrane uczuciami, postanowiłam więc wyjść i popatrzeć na noc, nim wybuchnę płaczem. Zmiana dobrze mi zrobi, dziękuję, Sheryl Crow.

Piasek chłodził mnie w stopy, kiedy szłam plażą. Myślałam o minionym dniu i o tym, co dla mnie znaczył. Uniosłam wzrok ku gwiazdom i wielką falą napłynęły wspomnienia: dzieciństwo, przeprowadzka do Mount Pleasant, zmiana przyjaciół i szkoły, mozolne dochodzenie do siebie po incydencie z Everettem Fairchildem, urodzenie Emily, małżeństwo z Jimem. Z tak wieloma sprawami musiałam sobie radzić i nigdy w siebie nie wierzyłam. Może o to właśnie chodziło Emily - żeby znaleźć sposób na zapanowanie nad własnym życiem i zyskanie wiary w siebie.

Dzięki Jimowi i Frannie, tacie, a nawet poczciwej starej Lucy moje życie uległo zmianie pod każdym względem. I nie zapominajmy, że sporo się przy tym napociłam. Powinnam to samo umożliwić Emily. Tak czy owak, pomimo zwariowanego świata za miedzą, moje życie było całkiem dobre.

Pomyślałam o Jimie. Przypuszczalnie czyta karty win, jeżdżąc po Francji, a Emily, miejmy nadzieję, śni teraz słodkie sny. Jak dwa miesiące temu powiedziała panna Mavis: „Świat zmienił się wokół mnie...”. A, pieprzyć świat.

Szłam w kierunku Wyspy Sullivana, patrząc na światła latarni morskiej, które obracając się, zalewały morze i plażę smugami złota. Zastanawiałam się, co przyniesie przyszłość. Postanowiłam parę minut posiedzieć na pniu palmy. Przesiewając zimny piasek przez palce, rozmyślałam o tym, czego nauczyłam się o sobie, otaczających mnie

ludziach i życiu w ogóle. Przeżywanie życia wymaga wielkiej siły, odrobiny fantazji i bezwzględnie szczypty szczęścia. Pomocny jest też dobry humor. Miłość nadaje trudom sens.

Wstałam, przeciągnęłam się i znowu popatrzyłam w niebo. Było tak piękne, że zapierało dech, nieskończone; przeszedł mnie dreszcz od stóp do głów. Ruszyłam w kierunku domu, czując, że wreszcie będę mogła zasnąć, kiedy się położę.

Jutro porozmawiam z Emily i dowiem się, co ją skłoniło do opuszczenia Waszyngtonu. Miałam wielką ochotę zatrzymać ją przy sobie. Bądźmy szczerze: może zostać ze mną, jak długo będzie chciała.

Kiedy Jim przyjedzie na Święto Dziękczynienia, wyjaśnimy raz na zawsze sprawę przyścia Emily na świat, choć nie zdradzę jej, że jest owocem gwałtu. Powiem tylko, że zachowałam się bardzo nieodpowiedzialnie. Uświadomiłam sobie, że bałam się wyznać córce prawdę, ponieważ tak nierozzerwalnie łączyła się z przemocą. Moja słodka dziewczynka nie musi spędzić reszty życia ze świadomością, że na świat sprowadził ją trudny nawet do ujęcia w słowa akt brutalnej przemocy. To niepotrzebny szczegół.

Zanim wsunęłam się pod kołdrę, raz jeszcze zajrzałam do Emily. Spała cichutko, przez okna wpadała bryza, pachnąca tak samo jak za czasów mojego dzieciństwa.

To prawda, że miałam maty dom, mały salon i tylko jedno dziecko. Lecz w tej właśnie chwili uświadomiłam sobie, że to bardzo ważne wiedzieć, jak niewiele nam wystarcza do szczęścia.

36. Nieoczekiwany gość

Emily przedstawiła swoją sprawę i wygrała. Zamierzała natychmiast rozpocząć zajęcia w college'u w Charlestonie, a nie w Carolinie, i nikt nie sprzeciwiał się jej argumentom.

- Posłuchaj, mam, nie wracam do Waszyngtonu. Bez przerwy puszczali w telewizji powtórki z jedenastego września, mam tego po uszy. Niepotrzebne mi całe to wariactwo. Mogłabym studiować w Carolinie, ale wtedy musiałybyśmy płacić za mieszkanie, a to by było głupie, nie sądzisz? Poza tym tu jest moje miejsce. Tęskniłam za tobą.

- Ja też za tobą tęskniłam. College of Charleston jest w porządku, ale moim zdaniem wszystko zależy od tego, jaki główny przedmiot wybierzesz.

- Mam, wiem, pomyślisz, że to chore, ale chcę być pisarką, a tu mają naprawdę rewelacyjne...

- Pisarką? Umrzesz z głodu!

- Nie umrę. Poradzę sobie. Będę pisała scenariusze do sitcomów. W Charlestonie są zajęcia z wszystkich potrzebnych mi przedmiotów. I wydają też nowy magazyn, zatytułowany „Crazy Horse”, który jest absolutną rewelacją, i...

- Jeśli chcesz, żeby ludzie traktowali cię poważnie, lepiej przestań ciągle powtarzać „rewelacja” i „absolutnie”. - Sitcomy? Nie znosiłam sitcomów. Och, ale przynajmniej nie chciała być lekarzem.

- Niech ci będzie. I mają tu więcej kursów kreatywnego pisania niż gdziekolwiek indziej. Poza tym moja pomoc ci się przyda. I mogę widywać Davida w weekendy.

Zadzwoiłam do Jima i udało mi się go złapać. Uznał, że przeniesienie Emily można zaakceptować.

- Wiesz, Anno, może uznasz mnie za historyka, ale czuję się lepiej ze świadomością, że wyjechała z Waszyngtonu. Zdaję sobie niby sprawę, że jest tam bezpieczna, ale... Tylko skoro nie może spać i nie może się uczyć, to jaki w tym sens?

Sprawa została załatwiona. Emily zaczęła uczęszczać na zajęcia, Frannie przysłała wszystkie jej rzeczy, a choć nie było powodu do wszczynania powszechnego alarmu, wszyscy spaliśmy trochę lepiej. Tak to jest, gdy wszystkie kurczaki człowiek ma we własnym kurniku.

W ciągu kilku następnych tygodni parę razy wybrałam się na kolację z Jackiem Taylorem. Wyglądało na to, że zaczynamy stanowić coś w rodzaju pary, przez co należy zrozumieć, iż zbliżaliśmy się ku drzwiom sypialni, a ja nie byłam jeszcze na to gotowa.

Dowiedziałam się też, że jest ode mnie o wiele starszy. To zresztą nie miało znaczenia, jako że - wiem, wiem, zabrzmiało to cynicznie - wcale mi się nie śpieszyło do odkrywania, jak sprawuje się w łóżku pięćdziesięcioletni facet; co ważniejsze, krótki romans z Arthurem pozostawił we mnie poczucie, że zostałam wykorzystana.

Nasza ostatnia rozmowa o sprawach intymnych odbyła się w domu Jacka w zeszłym tygodniu. Byliśmy na kolacji w Cypress, prawdziwym rajem na ziemi, a potem wstąpiliśmy do niego na drinka. Staliśmy w salonie, sprawy toczyły się zwykłą koleją, i zanim się zorientowałam już mieliśmy sprofanować jego perski dywan.

- No, nie wiem, Jack - powiedziałam. - Wydaje mi się, że może działamy zbyt pochopnie, i to z nieodpowiednich pobudek.

- Sądziłem, że ci na mnie zależy.

- Bo zależy, ale wiesz, ostatnio dużo o tym myślałam. Nie chcę wchodzić w kolejny związek oparty jedynie na seksie, a nie na miłości.

Moim zdaniem to nie w porządku tylko, no, się pieprzyć.

Usiadł i przeczesał włosy palcami.

- Z tego właśnie powodu rozpadł się mój związek z Caroline.

- To znaczy?

- Ja jestem tradycjonalistą. Jej w gruncie rzeczy wcale nie chodziło o małżeństwo. A ja bardzo chciałbym mieć żonę i może jeszcze jedno dziecko. Chyba nie jestem taki jak inni mężczyźni.

Okay, w tym momencie dochodzisz pewnie do wniosku, że mam jakąś nieuleczalną wadę i nie da się mnie zreformować. Jeszcze jedno dziecko? Ludzie, niedługo dobieję czterdziestki! Co gorsza jednak, Jack Taylor był uroczym mężczyzną, ale bez najmniejszej tajemnicy do odkrycia. To nie przestępstwo, oczywiście, tylko że nie stawia przed kobietą żadnych wyzwań. Nie znaczy to, że tak bardzo pragnęłam wyzwań, ale chciałam, by miał w sobie coś, czego jeszcze nie ujawnił.

Tamtego wieczoru nie poszliśmy do łóżka. Przysłał mi potem kwiaty i ciągle wydzwaniał. Przyzwoitość w pewnym sensie popłaca, bo która dziewczyna nie lubi, jak okazuje się jej względy? Problem polegał tylko na tym, że mężczyzna okazujący owe względy nie był mężczyzną z moich marzeń.

A potem to się stało. W ostatnim tygodniu września król Arthur wraz ze swym Ekskaliburem wrócił do Charlestonu. Było późne popołudnie, szliśmy plażą i rozmawialiśmy. Do zachodu słońca pozostało niewiele czasu, niedługo zaczną wyć psy. Po tylu wspólnie spędzonych wieczorach Jack Taylor pozostał nieskazitelnym dżentelmenem. Po dziesięciu minutach biedny Arthur mógł właściwie myśleć tylko o jednym. Szczerze mówiąc, facet wciąż budził we mnie mieszane uczucia i do wściekłości doprowadzało mnie to, że moje ciało sprzeciwia się gwałtownie podjętej przez rozum decyzji, by po raz drugi nie popełnić tego samego błędu.

Jak pewnie powiedziałyby zakonnice, gdyby znane im były te grzeszne fale gorąca: feromony nie uznają zasad dobrego wychowania.

Boże wielki! W chwili gdy zobaczyłam Arthura, zapragnęłam go z ogromną siłą. Pociągał mnie jak nikt. Bardzo, bardzo, bardzo. Och! Lecz nie pokazałam tego po sobie.

- Przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłem - powiedział. - Dostałem propozycję z Citarelli, to restauracja w Nowym Jorku. Mój stary przyjaciel z Bouley, Dominique Simon, zajął się odnowieniem ich wizerunku i potrzebował kogoś na maitre d'fromage. Od razu. No więc wyjechałem, a teraz przepraszam.

- Jesteś cuchnącym wężem.

- A ty jesteś taka kobieca.

- Och, możesz mnie ugryźć. Dlaczego wróciłeś do Charlestonu?

- Bo sobie uświadomiłem, że tu było mi lepiej. Będzie musiało wystarczyć mi trochę mniej pieniędzy. Jak znajdę inwestorów, to może otworzę własną restaurację.

A więc nie przyjechał z mojego powodu! Ale zadzwonił, prawda? To chyba coś znaczy?

- Poczekaj chwilę. Mówisz o zaangażowaniu się w coś? Czy to nie jest sprzeczne z twoim podejściem do życia?

- Tak, ale to podejście ulega zmianom. Chyba za długo byłem Jankesem. A poza tym tęskniłem za tobą, Anno. Powtarzałem sobie, że mi nie zależy, a jednocześnie nie potrafiłem przestać o tobie myśleć. Ciągłe się zastanawiałem, co też porabiasz.

To było dobre, bardzo dobre, i wcale nie miałam zamiaru mu mówić, że na zawsze pozostanie Jankesem.

- Mieszkaś u Mike'a?

- Tak, to wspaniały przyjaciel. I wiesz co? Myślałem właśnie dzisiaj, że nie widziałem Mike'a od wieków, a on zgodził się, żebym mieszkał u niego za darmo, kiedy wyjedzie. Okazał się dla mnie lepszym przyjacielem niż ja dla ciebie, choć z tobą sypiałem. Uświadomiłem sobie, że coś tu chyba było nie w porządku.

- Tak, i dlatego jesteś do chrzanu, panie Introspektywny.

- Proszę wybaczyć, panno Poetyczna, ale próbuję ci powiedzieć coś bardzo poważnego. Posłuchaj, chciałbym, żebyśmy zaczęli od nowa, dobrze?

Spojrzałam na niego. Nie kłamał. I wtedy odezwała się praktyczna, wyważona część mojej natury. Arthur nie był lekarzem jak Jack, nie nosił kosztownych garniturów jak Jack, nie jeździł kosztownym starym mercedesem jak Jack, po prawdzie, w ogóle nie miał samochodu. Korzystał z auta Mike'a. Był Ekspertem Serowym, na litość boską. Gdybym wyszła za Jacka - a nie wątpiłam, że doprowadziłabym do małżeństwa, gdybym tylko zechciała - grałabym w golfa (broń mnie, Panie Boże!) i wiodła godne szacunku, przewidywalne w każdym szczególe życie. A gdybym wyszła za Arthura, choć wcale nie byłam taka pewna, czy kiedykolwiek do tego dojdzie, ryzykowałabym złamane serce, a poza tym do końca życia musiałabym pracować. Lecz z drugiej strony, robiłabym to, co lubię! I niepotrzebny mi mężczyzna z pieniędzmi, ponieważ sama potrafię na siebie zarobić. Jeśli chcę sobie wybrać partnera, nie muszę się martwić o to, czy będzie w stanie mnie utrzymać!

- No, powiedz coś!
- Kiedy nie ma tu nic do powiedzenia...
- Naprawdę? Boże! Mów wreszcie!
- Do powiedzenia mam tylko jedno: chodźmy do Mike'a!
- Jest teraz w domu.
- To daj mu dychę na kino. Możesz mnie nazwać rozpustnicą.

Powrót Arthura zakończył moje kontakty z Jackiem, który też zdawał sobie sprawę, że czegoś nam w tym wszystkim brakuje. A brakowało chemii, której nic nie może zastąpić. Powiedziałam Jackowi, że spotykam się z kimś, kogo od dawna kocham, i chcę się przekonać, czy jeszcze mi na nim zależy.

- W porządku, Anno - odparł Jack. - Zadzwoń, jeśli się wam nie uda, dobrze?

Następna niespodzianka czaiła się tuż za rogiem. W drugim tygodniu października zadzwoniła Frannie z wiadomością, że przeprowadza się do Charlestonu.

- Fantastycznie!
- Taka jestem zakochana w Jake'u, że nie potrafię jasno myśleć.
- Nie ma to jak romans, co?

- Ty to powiedziałaś, siostrze. Był u mnie trzy razy, wieczorami rozmawiamy przez telefon. Wiem, że niekoniecznie musi się to zakończyć małżeństwem, ale gdybym nie spróbowała, prawdopodobnie popełniłabym największy błąd swojego życia.

- Mogę coś dla ciebie zrobić, w czymś ci pomóc? - Znasz jakiegoś agenta handlu nieruchomościami?

Wystawiłam mieszkanie na sprzedaż i podejmuję pracę w biurze Joego Rileya. Muszę jeszcze tylko wynegocjować jeden punkt w umowie.

- Znalazłaś pracę w Charlestonie i ja nic o tym nie wiem?

- Powinnam była do ciebie zadzwonić, ale przyleciałam rano, a po południu już wracałam. Wszystko stało się tak szybko. W Internecie znalazłam niezłą ofertę, natychmiast do nich zadzwoniłam i przesłałam faksem wszystkie dokumenty. Powiedzieli, że bym przyjechała, więc wsiadłam w samolot. Mówię ci, sprawy toczyły się z kosmiczną szybkością. Co robisz w Święto Dziękczynienia?

- Gotuję obiad dla ciebie i Jake'a?
- Tłuczone ziemniaki?

- Oczywiście! Jeśli przyjdzie Irlandzka Bogini, będą góry tłuczonych ziemniaków! I zadzwonię do Marilyn Davey. Niedawno znalazła dom w Wild Dunes dla moich znajomych, Susan i Simona. Siódmego grudnia

biorą ślub.

- No, no! Pamiętam ich. Ona jest bardzo miła.

- Tak, zostałam zaproszona, będę wszystkich czesała. Pomyśl tylko, pójdę i jak dwa razy dwa wpadnę na Caroline uwieszoną na ramieniu Jacka.

- Weź Arthura i włóż tę granatową sukienkę.

- Absolutnie rewelacyjny pomysł...

- Spędzasz za dużo czasu z Emily.

- Odczep się. Hej, chcesz usłyszeć najświeższe nowiny o tacie?

Kiedy jej powiedziałam, że Lucy i tato ni mniej, ni więcej, tylko żyją w grzechu, zaczęła się śmiać jak wariatka, a ja razem z nią.

Jednakże wspaniale było patrzeć na szczęśliwego tatę. Kilka tygodni później siedzieliśmy razem na moim nowym tarasie i piliśmy herbatę, czekając na Lucy - wybierali się na kolację we dwoje. Tata przyniósł mi naczynie do pieczenia indyka, dyskutowaliśmy więc, jak najlepiej go przyrządzić. Najwyraźniej postanowił, że na Święto Dziękczynienia będziemy mieć pieczonego indyka.

- Sama nie wiem, tato. To znaczy pieczony indyk jest pyszny, ale nie wiem, czy mi się uda...

- Och, zapomnij o tym! Sam go upiekę!

- Czasami jesteś okropnym starym zrzędą, wiesz? - Pocałowałam go w policzek, a on się uśmiechnął.

- Te kobiety! - Milczał chwilę, a potem głęboko westchnął. - Coś ci powiem, Anno, to chyba był błąd, żeśmy się w ogóle wyprowadzili z Wyspy Palm.

Naprawdę?

- Tu jest wspaniale.

- A to powietrze! Chyba kocham to miejsce prawie tak samo mocno jak ty. Gdybyś tutaj nie wróciła, pewnie nigdy nie poznałbym Lucy.

- Masz bzika na jej punkcie, co?

- Przy niej odżyłem, Anno. Nie wiedziałem nawet, że mogę taki być. Coś ci powiem, ale jeśli to komuś powtórzysz, zaprzeczę i nazwę cię kłamczuchą.

- Co?

- Ona uważa, że jestem seksy - szepnęła. Zakrztusiłam się herbatą.

- Auu! Fe! Tato! Auu!

- A twój Arthur nie myśli, że jesteś seksowna?

- Strzał w dziesiątkę.

- Tak czy owak, chcę ją poprosić, żeby za mnie wyszła. Myślisz, że

dla takiego starego człowieka jak ja jest już za późno na szukanie szczęścia?

- Wręcz przeciwnie, to cudowne, ale Boże wielki! Lucy będzie moją macochą!

Za tydzień przypadało Święto Dziękczynienia, co znaczyło, że przygotowania szły pełną parą. Na temat tego szczęśliwego dnia miałam własną teorię. Moje drzwi otwarte były dla każdego, kogo znałam, a kto nie miał dokąd pójść. Może fakt, że nasza rodzina była taka mała, przyczynił się do wizji stołu, wokół którego pełno jest biesiadników. Pewnie tak. Jednakże tradycja, którą wprowadziłam, z upływem lat umacniała się i rodziła nowe przyjaźnie. Przychodził każdy, kto był w okolicy. Wszyscy brali udział w przygotowywaniu potraw i zawsze był to dzień wypełniony jedzeniem i piłką nożną. A teraz czekało nas piękne Święto Dziękczynienia na plaży, przy wtórze szumu oceanu.

Któregoś dnia w salonie omawialiśmy nasze plany. Na mojej liście gości znaleźli się Jim, Emily, David, Frannie, Jake, tato, Lucy, Arthur i naturalnie panny Mavis i Angel. Zaprosiłam też Carlę, Brigitte i Bettinę. Brigitte przyjęła zaproszenie, Bettina się zastanawiała, w końcu jednak postanowiła na tydzień wyjechać do rodziny w Nowym Jorku. Carla wybierała się do matki.

- Sprawa wygląda tak - wyjaśniła. - Moja matka, niespożyta i tryskająca życiem pani Joyce Hahnebach, gotuje tysiąc różnych potraw na Święto Dziękczynienia i przychodzi do niej mnóstwo ludzi. Zwłaszcza na ciasta. Gdybyśmy z mężem się nie zjawili, to byłabym martwą kaczką. Martwą i nafaszerowaną.

- Nie potrzeba nam tu martwych kaczek. Idź do matki i przynieś nam trochę ciasta w piątek.

- Do Nowego Jorku wybieram się pociągiem - powiedziała Bettina. - Najpierw Bobby zamierzał jechać autem, ale mu to wybiłam z głowy. Potem chciał lecieć, ale go zapytałam, czy całkiem ześwirował, bo przecież to kosztuje fortunę! A poza tym w pociągu możemy całą drogę spać. Mama już od miesiąca gotuje i piecze. Nie mogę się doczekać! Zobaczę wszystkich kuzynów. Szykuje się prawdziwy zjazd, tyle ci powiem.

- Szkoda, że mnie tam nie będzie! Baw się świetnie, zrób milion zdjęć i każdemu powiedz, że my też kochamy Nowy Jork, dobrze? Będziemy za tobą tęsknić.

- Ja za wami też. To zabawne, że spotkałyśmy się przez przypadek i tak dobrze się między nami ułożyło, no nie?

- Tak, to rzeczywiście wspaniałe.

Polubiłam Bettinę i Bobby'ego, jakby byli członkami mojej rodziny. Zawsze się niepokoję, kiedy ktoś znajomy leci samolotem albo podróżuje innym środkiem transportu, choć zdaję sobie sprawę, że to taka moja prywatna paranoja. Na pewno nic im nie będzie.

Poranek w Święto Dziękczynienia był chmurny i mglisty, ale koło jedenastej wyszło słońce i od oceanu zaczęła wiać cudowna bryza. Lucy i ja gotowałyśmy w jej kuchni, bo u niej było więcej miejsca, lepsze piece i większa lodówka. Zaplanowałyśmy, że zrobimy kanapki do przegryzienia przed obiadem. Tata, jak już wiesz, piekł indyka.

O pierwszej pojawiła się Brigitte, spotkałam ją w progu. W rękach trzymała kartonowe pudło. Zerknęłam do środka i zobaczyłam osiemnaście pomarańczy nadziewanych słodkimi ziemniakami.

- A czego się spodziewałaś? - zapytała Brigitte. - Wesołych świąt!

- Dziękuję! Jesteś niesamowita!

- Mam jeszcze jedno pudło w samochodzie. Zanieść to do Lucy?

- Gdybyś mogła.

- Ugotowałam też zupę z ostryg i upiekłam ciasto lady Baltimore.

- Matko jedyna! Nie jadłam tego ciasta, odkąd byłam małą dziewczynką!

- Pieczone bez tłuszczu. Zachichotałam.

- Ale z ciebie kłamczucha!

- No tak. - Poszła przez podwórze do domu Lucy, a ja wróciłam sprawdzić ozdoby.

Jim i Arthur zawiesili sznury z lampkami dokoła tarasu i wynieśli na dwór zestaw stereo. W salonie David i Emily oglądali paradę Macy'ego. Telewizor był rozkręcony na cały regulator. Oficjalnie ich zadaniem było nakryć stoły i posprzątać po obiedzie.

- Pięćdziesiąt dolców - powiedziałam.

- Wchodzę w to - odparł David, a Emily tylko jęknęła.

- Dobrze, dobrze - dodała zaraz.

Oboje skończyli zajęcia we wtorek. Poza tym nadal świetnie się między nimi układało. Przez ostatnie dwa dni zbierali muszle i kawałki drewna na plaży. Skarby te, razem z grubymi świecami, tykwami i orzechami pekanowymi umieszczone w gniazdach z trzciny, zamierzali rozstawić na dwóch długich składanych stołach (w końcu się zламаłam i kupiłam je), przykrytych tanimi hinduskimi bawełnianymi narzutami. Kiedy zobaczyłam całość, nie mogłam wyjść z podziwu.

- Jak myśmy żyli, zanim zaczął się ten import z Indii?

- Dobre pytanie - odparł Jim. - Anno, wejdźmy na chwilę do środka. Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym, najdroższy? Coś się stało?

- Ehm! - chrząknął Arthur znacząco. Cmoknęłam go w czoło.

- Zaraz wracam.

I poszłam za Jimem do kuchni.

- Chodzi o Trixie. Chyba dzieje się z nią coś złego, to znaczy, wszyscy wiemy, że nie całkiem z nią w porządku. Jest złośliwa jak wąż mokasyn. Ale teraz nie przypomina tego dawnego węża. Nie zachowuje się normalnie.

- Rzadko to robi.

- Nie o to chodzi. Narzeka, że nie dość często ją odwiedzam. Nigdy dotychczas nie pytała, kiedy przyjadę do domu. Znasz ją. Nie cierpiała, gdy musiała mieć styczność z moim sposobem życia.

- Może po prostu się starzeje? No wiesz, popatrz na tatę. W ogóle się stąd nie rusza. Zawsze był taki skąpy, a teraz? Zbudował mi taras i werandę, zaprojektował cały ten kram! Ba, kupił nawet brytfannę do pieczenia indyka!

- Może to rzeczywiście wiek. Ale ona zapomina. W zeszłym tygodniu zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że przyjeżdżam. Nazajutrz znowu zadzwoniłem, żeby zapytać, co mam jej przywieźć z San Francisco. Zwykle prosi o żytni chleb albo czekoladę Ghiradellego. Ale jej kompletnie wyleciało z głowy, że dzwoniłem poprzedniego dnia. To zupełnie do niej niepodobne.

- Ile ma lat?

- Poderznęłaby mi gardło, gdyby ci powiedział. Ujmijmy to tak: dziesięć lat temu przysługiwała jej już bezpłatna opieka medyczna.

- Cóż, wspaniale wygląda jak na swój wiek.

- Nic dziwnego. Jej chirurg plastyczny z Atlanty niedawno kupił sobie udział w Netjet, tych prywatnych liniach lotniczych! Musi być dobry.

- Ale z ciebie wstręciuch! - Pogroziłam mu palcem i śmialiśmy się chwilę. - No wiesz, z wiekiem ludziom psuje się pamięć.

- Tak, to są uroki życia. Ale do rzeczy. Wczoraj coś mi strzeliło do głowy i wynająłem dom w centrum...

- Co? Ojej! Boże kochany! Odzyskałam mojego Jima! - Uszczypnęłam go w policzki i głośno pocałowałam, tańcząc przy tym wokół.

- Nie potrafisz tańczyć.

- Cicho bądź! Jestem królową tańca, żebyś wiedział!

- Wybacz, ale chyba najwyższej księżniczką. Tytuł królewski jest zarezerwowany dla mnie!

- Jesteś niesamowity! Kocham cię do szaleństwa!

- Ja ciebie też kocham! Posłuchaj, będę tu spędzał mnóstwo czasu. Przy tych wszystkich współczesnych urządzeniach, faksach, Internecie i tak dalej, które można dostać za grosze, to nic wielkiego prowadzić firmę stąd. Naturalnie będę musiał często bywać w Napie i Sonomie, ale to żaden problem. Mogę latać. A poza tym odkąd odszedł Gary, no, brakuje mi ciebie i Emily. Uświadomiłem sobie, że jestem tam sam, bez rodziny.

- To najlepsza wiadomość, jaką w życiu słyszałam, Jim.

- Myślisz, że zwariowałem? Bo wiesz, lata lecą.

- Masz rację, lecą. Wcale nie zwariowałeś. Myślę, że człowiek powinien otaczać się ludźmi, którzy go kochają. Takie jest moje zdanie. Więc spróbuj! Jeśli się uda, będzie cudownie, no wiesz, Frannie, Emily, wszyscy pozostali. Nawet Trixie.

- Tak, mam z jej powodu wyrzuty sumienia, wiesz? I muszę pogadać z Frannie. W moim domu są dwie sypialnie i pomyślałem, że może zechce rozbić namioty u mnie, że tak powiem. Emily też może czasem nocować, jak będzie późno kończyła zajęcia.

- Myślę, że nasza stara Frannie woli raczej dzielić namiot z Jakiem.

- A racja. Kiedy się przeprowadza?

- Pierwszego grudnia.

- Wspaniale będzie występować w charakterze piątego koła u wozu.

- Może kogoś poznasz. Emily będzie uszczęśliwiona, Jim. I wiesz co?

- Co?

- Zadzwoń do tej starej jędzy Trixie i zapytaj, czy do nas przyjedzie.

- Już to zrobiłem, ale ma chyba inne plany. Tak czy owak, powiedziałem jej, że to twoja inicjatywa, więc zyskałaś punkty.

- Jak mogłabym je w ogóle odrobić?

- Co tu się dzieje? Dociekliwe umysły pragną wszystko przeniknąć. - Tylnymi drzwiami weszła Emily. - Nadal uważam, że powinnaś powiększyć kuchnię, mamo.

- Nigdy nie zagłądaj darowanemu koniowi w zęby, słoneczko.

- Racja. Właśnie mówiłem twojej mamie, że wynająłem mieszkanie w Charlestonie z kuchnią mniejszą niż ta.

- O mój Boże!

- Więc oczywiście muszę kupić samochód. No i oddawać go komuś pod opiekę, kiedy będę wyjeżdżał w sprawach służbowych.

Zastanawiałem się nad kabrioletem...

Piski wydawane przez oboje okazały się dla moich uszu nie do zniesienia.

Wyjęłam z szuflady sekator i wyszłam przed dom sprawdzić, czy są jakieś róże nadające się do ścięcia. Drogą wolno jechał kosztowny zagraniczny samochód, potem się zatrzymał. Zignorowałam go, przekonana, że ktoś wybiera się na plażę, co ciągle się zdarzało. Kiedy jednak trzasnęły drzwi, podniosłam głowę.

Zobaczyłam, że kieruje się w moją stronę Everett Fairchild.

37. Do czego służy niewinny młotek

Na moim podwórzu stał Everett Fairchild, w dłoni trzymał zdjęcie, które oprawiłam dla jego żony.

- Anna? Anna Lutz?

- Jak mnie znalazłeś?

- Na drzwiach twojego salonu jest numer telefonu. Szukałem w książce, aż znalazłem adres. Co prawda nazwisko brzmiało: „A. Abbot”, ale postanowiłem zaryzykować.

Zaległa długa cisza. Do diabła, co właściwie miałam zrobić? Zaprosić go na obiad? Nie zamierzałam okazywać mu gościnności. Przecież nie stałam tu i nie czekałam, żeby się pojawił, i to akurat w Święto Dziękczynienia.

Widziałam, że najwyraźniej szuka odpowiednich słów.

- Nie spałem zbyt dobrze...

- Fatalna sprawa - odparłam. - Ja też nie sypiałam zbyt dobrze dziewiętnaście lat temu.

- To było dawno.

Nie potrafię opisać uczuć, jakie mnie ogarnęły. Gdybym miała pod ręką broń, zastrzeliłabym go na miejscu. Nie ulegało wątpliwości, że danie zdjęcia Joanne było straszliwym błędem, ponieważ teraz Fairchild stał przede mną. Jak powinnam sprawę rozegrać?

- To chyba nie najlepsza pora na wizytę.

- Nie sądzę, żeby jakkolwiek pora była odpowiednia. Wiem, że uważasz mnie za najgorszego łobuza, jakiego ziemia nosi...

- Nic dodać, nic ująć - powiedziałam, uświadamiając sobie, że nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że poczuję tak potworny gniew na jego widok. Nagle zapragnęłam zadźgać go na śmierć sekatorem. Chciałam, żeby wił się z bólu i wykrwawiał na moich oczach, a ja bym się z tego śmiała.

- Ale ja taki nie jestem. Naprawdę nie. - Odwrócił wzrok w stronę

plaży i westchnął głęboko, a potem tak cicho, że ledwo go usłyszałam, dodał: - Ona jest moja, prawda?

- Nie, ona jest moja. - Patrząc na niego po raz pierwszy od tylu lat, przypomniałam sobie złamany nos i to, że nawet nie zadzwonił, żeby przeprosić. Gniew zmienił się w oślepiającą wściekłość. Traciłam rozsądek. A co więcej, nie obchodziło mnie, czy zrobię scenę na tyle głośną i przerażającą, by ktoś wezwał policję i by odwieziono mnie w ambulansie do wariatkowa.

- Chciałbym się z nią zobaczyć.

- Doprawdy? Wiesz co? Jeśli ci się wydaje, że po tych wszystkich latach ot tak pojawisz się i zepsujesz nam święto, to możesz iść do diabła.

- Anno, rozumiem, że jesteś zła, i wiem, że mnie nienawidzisz. To zrozumiałe. Ale jeśli mam córkę, chciałbym to wiedzieć. - Mówił głosem spokojnym i starannie modulowanym, jakby sto tysięcy razy przećwiczył sobie to „chciałbym wiedzieć”.

- Nie masz żadnego prawa tu być. Wynoś się natychmiast albo dzwonię na policję! Wynoś się i nigdy więcej tu nie wracaj! Nigdy!

Widziałam, że Everett Fairchild nie jest przyzwyczajony do tego, że ktoś mu każe wynosić się z podwórka albo zniknąć z czyjegoś życia.

Drzwi się otworzyły i wyszedł Jim.

- Co tu się dzieje? - zapytał, aczkolwiek wystarczyło mu jedno spojrzenie na Everetta Fairchilda, by poznał odpowiedź. Przybył Szatan, wystrojony na przyjacielską wizytę.

- No, no. Pan Fairchild, jak mniemam?

Jim uściśnął mu dłoń, a mnie ten widok tak rozwścieczył, że miałam ochotę odrąbać mu rękę w przegubie.

- Och, więc będziesz miły dla tego gnoja, Jim? Chcesz się z nim zaprzyjaźnić, tak?

- Anno, najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do Lucy i pozwolisz mi z nim porozmawiać.

- Świetnie, Jim! Cudownie! Zajmij się tym! - Spojrzałam na Everetta z najbardziej jadowitą miną, na jaką mnie było stać. - Ty draniu - syknęłam, po czym zostawiłam ich, żeby sami przebrnęli przez tę kupę gówna.

Kiedy wkroczyłam do kuchni, Lucy i Brigitte siedziały przy kontuarze, popijały wino, obierały ziemniaki i wrzucały je do ogromnego garnka z wodą. Ledwie na mnie spojrzały, od razu wiedziały, że stało się coś strasznego.

- Co? Z Dougle'em wszystko w porządku? O co chodzi? - zapytała

Lucy, podchodząc do mnie.

- Co się stało? - wtórowała jej Brigitte.

- Everett Fairchild. Stoi przed moim domem i rozmawia z Jimem. Zaraz chyba eksploduje. - Przytrzymałam się kontuaru, żeby zachować równowagę.

- Chodź, kochanie, i usiądź - powiedziała Lucy, prowadząc mnie do salonu.

Brigitte podążyła za nami ze szklanką wody, którą mi podała.

- Jak mu się udało?...

- Książka telefoniczna - odparłam i wybuchnęłam płaczem. - Nie dzisiaj! Wszyscy tu są! O Boże!

Lucy wyjrzała na moje podwórze.

- Frannie jest tam teraz z Jakiem i Arthurem.

- Kazałam mu spadać i nigdy nie wracać - poinformowałam. - Nie zdawałam sobie sprawy, że spotkanie z nim będzie takie okropne.

Brigitte podeszła do okna.

- Ma wycucie chwili, trzeba mu to przyznać. Święto Dziękczynienia? Co za idiota!

Lucy podała mi pudełko z chusteczkami. Wzięłam trzy i wytarłam oczy i nos.

- Wiecie, co zrobię? Nie pozwolę, żeby to się stało dzisiaj!

- Za późno - powiedziała Brigitte. - Czyj to samochód?

Wstałam i podeszłam do okna.

- O nie! To Trixie!

- Powiem Douglasowi, żeby ją czymś zajął - oznajmiła Lucy, wybiegając z domu.

- Równie dobrze od razu mogłabym palnąć sobie w łeb! - Zaczęłam krążyć po pokoju. - Jak do tego doszło? Dlaczego takie rzeczy ciągle muszą mi się przytrafić?

- Anno, przestań natychmiast!

Odwróciłam się - za mną stała Frannie, z rękami na biodrach.

- Tak? - zapytałam. - A co ty byś zrobiła na moim miejscu? Nic nie rozumiesz?

- Powiem ci, co rozumiem. Po pierwsze, to on jest złym człowiekiem, nie ty. Po drugie, jedyną rzeczą, z którą chyba za długo zwlekałaś, było powiedzenie Emily prawdy. Po trzecie, przestań uważać się za ofiarę. Wychowałaś cudowną córkę i nie masz czego się wstydzić. Jeśli jeszcze raz usłyszę, jak się nad sobą użalasz, ukrećę ci głowę. Opanuj się teraz i chodźmy porozmawiać z tym upartym jak muł sukinsynem. Nie wyjedzie,

póki jej nie zobaczy. Powtórzył to ze dwadzieścia razy. Masz dwa wyjścia: możesz okłamywać Emily i wszystkich innych, co musi się skończyć fatalnie, albo zachować się jak dorosła kobieta i rozwiązać problem teraz.

- A co z Trixie? Zrobi potworną scenę! Emily... sama nie wiem, chyba się nas wyrzeknie!

- W tej chwili Trixie siedzi na tarasie, pije wino i rozmawia z Lucy, Douglasem, panną Mavis i panną Angel. A jeśli piśnie choć słówko, dam jej po tej głupiej buzi. Nie widzę powodu, żebyś tylko ty dzisiaj się w to bawiła. Co o tym myślisz, Brigitte?

- Bardzo się cieszę, że nie poszłam do kawiarni S&S. Ominęłaby mnie cała ta afera. - Odwróciła się do mnie. - Przepraszam. Posłuchaj, Anno, zrobimy tak. Najpierw się uspokoisz. W tej chwili.

- Nic mi nie jest. To był tylko szok. Teraz jestem porządnie wkurzona. W życiu bym się po nim nie spodziewała, że tak ni z tego, ni z owego się pojawi.

- Gdybym była tobą, pewnie bym się porzygała - oświadczyła Brigitte, kręcąc głową. - Dobra, przyprowadzimy go tu i porozmawiamy jak kulturalni ludzie. Poprosimy, żeby wrócił jutro.

- Dobry pomysł - zgodziła się Frannie. - Wytrzymaj tusz spod oczu i idziemy.

- Pieprzyć tusz.

Zeszliśmy po schodach. Kiedy byliśmy w połowie podwórka, Emily wypadła z tylnych drzwi naszego domu, o mało nie zwalając Everetta z nóg. To było jak oglądanie filmu w zwolnionym tempie, gdy dziecko na oczach matki przewraca się na tory przed pędzącym pociągiem. Niiieeee!!! Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, Everett chwycił ją za ramiona i uratował przed upadkiem. Stałam jak wryta. Żadne z nich się nie odezwało, patrzyli tylko na siebie, jak na odbicie w lustrze. Jim chciał ich sobie przedstawić, lecz Emily powstrzymała go gestem dłoni. Dzieliło mnie od nich zaledwie pięć stóp.

- Wiem, kim jesteś - odezwała się wreszcie zdumiona. - O mój Boże!

Wróciła mi zdolność poruszania się. Podeszłam do Emily i objęłam ją.

- Chodźmy do Lucy, tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać - zaproponowałam; zależało mi, żebyśmy skryli się przed tatą i Trixie. Uświadomiłam sobie bowiem, że tatuś wpadnie w wojowniczy nastrój, kiedy się dowie, że jest tu Everett. Może go nawet zabić.

Emily nawet nie drgnęła.

- Jesteś moim biologicznym ojcem, prawda? - Wydawało się, że nie może oderwać wzroku od jego twarzy. Nagle parsknęła, a potem

roześmiała się głośno. - Wiesz, zawsze miałam nadzieję, że jestem do ciebie podobna. Co za niezwykły dzień. Matko jedyna! Popatrz na siebie! Mam twoje oczy! Niech tylko David się dowie! Ale odlot! Zostaniesz na obiedzie, prawda?

- Nie sędzę. No wiesz, jest Święto Dziękczynienia i w ogóle. Ale mogę przyjechać jutro.

- W żadnym wypadku! Eee, przepraszam, ale jak się nazywasz?

- Everett Fairchild. Mów mi Rhett. A ty jak masz na imię?

- Emily.

- Piękne imię, tak piękne jak ty.

- Dzięki. Tak w ogóle, Rhett, staruszk, mamy Święto Dziękczynienia i, na Boga, po co w ogóle jest to święto? Ależ to pokręcone! Ojej, genetyka. Człowieku, spójrz na swoje oczy! Już myślałam, że jestem wybrykiem natury! A teraz widzę jeszcze jeden! - I znowu zaczęła się śmiać, a Everett, słysząc to, uśmiechnął się także.

Nigdy wcześniej nie słyszał jej śmiechu. Po raz pierwszy słyszał, jak śmieje się jego osiemnastoletnia córka.

Ich rozmowa sprawiła, że uszła z nas cała para - z Jima, Arthura, ze mnie, Brigitte i Frannie. Spojrzeliśmy po sobie i wzruszyli ramionami, choć moja złość nie całkiem wygasła. Nie chciałam tu Everetta. Z drugiej jednak strony, wcześniej obawiałam się, że Emily wpadnie w histerię, a okazało się, że zainteresował ją głównie biologiczny aspekt sprawy. Przez głowę galopowały mi najróżniejsze myśli. Tata. Trixie. Co ja im powiem?

- Jim?

- Tak?

- Co z Trixie?

- Niech stara jędza sama się domyśli, a my popatrzemy, jak się zwija.

- Matka McCree! Gdybym miała czas, mogłabym chyba sprzedawać bilety! - wykrzyknęła Frannie.

- To w ogóle nie jest śmieszne - powiedziałam. Wszyscy umilkli.

- Mamo, a kogo w ogóle obchodzi, co pomyśli Trixie? Chodźmy, trzeba położyć na stole jeszcze jedno nakrycie.

- Nie - odparłam - nie tak szybko.

- Słyszę, jak ziemniaki płaczą - odezwała się Frannie. - Chodźmy do Lucy.

Spojrzałam na Everetta.

- Do głowy nie przychodzi mi ani jedna rzecz, którą mógłbyś powiedzieć, a którą ja chciałabym usłyszeć. Wy wszyscy możecie iść do Lucy. Ty też, Emily. Natychmiast! Ruszajcie się!

Jak mógł tak po prostu przyjechać? Co sobie myślał? Sądził, że powiemy: Everett! Miło znowu cię widzieć! Jak ci leci, stary? Wiedziałam, że żart Frannie o sprzedawaniu biletów był skutkiem zdenerwowania. I oczywiście nieważne było, co pomyśli Trixie.

Patrzyłam, jak idą przez podwórze i wchodzą po schodkach do domu Lucy. Wpuścili go tam, jakby był normalnym człowiekiem. Normalnym człowiekiem. A on podał mi narkotyk, złamał nos i zgwałcił, przez co zaszłam w ciążę. A teraz wchodził po schodach z moją córką i najbliższymi przyjaciółmi, jakby uważał, że tu jest jego miejsce.

Już wiedziałam, że Emily poradzi sobie z tą sprawą. Prawdę mówiąc, wszyscy jakoś sobie z nią radzili - oprócz mnie. Miałam zamiar zrobić coś strasznego.

Poszłam do siebie i z szafki pod zlewozmywakiem wyjęłam młotek. W domu nie było nikogo. Wszyscy byli albo na tarasie, albo u Lucy. Spojrzałam na lśniącego czarnego mercedesa SL600 i zadałam sobie pytanie, jak by poczuł się Everett, gdybym w drobny mak rozwalila wóz.

Zaczęłam od reflektora. Pękł i szkło posypało się na ulicę. Obejrzałam się na dom Lucy, by sprawdzić, czy ktoś usłyszał hałas. Nikogo nie zobaczyłam. Rozwaliłam drugie światło. Czułam, jak pot spływa po mnie strugami. Z całej siły waliłam w karoserię: drzwi od strony pasażera, dach, bagażnik. Obeszłam auto i uderzyłam sześć razy w drzwi od strony kierowcy, kiedy usłyszałam głosy.

- Anno! Przestań! Jim, każ jej przestać! Anno!!! Mamo!!! Błagam, przestań!

Odwróciłam się - wszyscy goście zaproszeni na obiad stali i gapili się na mnie. Wyraz przerażenia na twarzy Emily będzie mi towarzyszył do grobowej deski. Podobnie jak wyraz twarzy pozostałych. Znowu wybuchnęłam płaczem i rzuciłam młotek na ulicę. Poczułam, że zsuwam się po drzwiach samochodu. Usiadłam na ziemi z głową ukrytą w ramionach i gdzieś jakby na zewnątrz usłyszałam własne konwulsyjne łkanie.

Zaraz też ktoś ujął mnie za łokcie i podniósł. Co ja narobiłam? Rozejrzałam się, by sprawdzić, kto jest przy mnie, i z jednej strony zobaczyłam Arthura, a z drugiej Jima.

- Chodź, dziecinko - powiedział Arthur. - Wszystko w porządku.

- Niech ktoś znajdzie dla niej jakąś tabletkę na uspokojenie, dobrze? - poprosił Jim. - Anno, chodźmy do domu.

Frannie, Lucy, Trixie i Brigitte ruszyły na poszukiwanie tabletki. Obejrzałam się na samochód - był zniszczony. Nic mnie to nie obchodziło.

Zanim zdążyłam zebrać myśli i coś powiedzieć, pojawił się przed nami Everett. Stanęliśmy.

Spojrzał na samochód, potem na mnie i oświadczył:

- Nie mam do ciebie żadnych pretensji. Gdybym tylko wiedział o Emily... wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie przejmuj się samochodem. Dobrze się czujesz?

- Pierdol się, Everett. Mówię poważnie. - Popatrzyłam na niego. - Chyba mi lepiej. Nie jest mi przykro z powodu twojego samochodu.

- Nie przepraszaaj, Anno.

- To nie były przeprosiny.

I wtedy, ku naszemu absolutnemu zaskoczeniu, Everett Fairchild wybuchnął płaczem, wsiadł do samochodu i zablokował wszystkie drzwi.

- Litości! - jęknęła Trixie. Ostatni przemówił tatuś:

- Czy ktoś wreszcie może mi powiedzieć, co tu się, do diabła, wyprawia?

- No, złotko, spokojnie - Lucy wzięła go pod ramię. - Chodź, włączymy mikser. - Następnie zwróciła się do pozostałych: - Wszyscy idziemy! Wy też, panno Mavis i panno Angel! Nie umrzecie, jak przekroczycie próg mojego domu! Wszystko wyjaśnimy!

Goście usłuchali, z wyjątkiem Emily, Jima i Arthura, którzy zaprowadzili mnie do mojego domu, oraz Everetta, który z głową opartą na kierownicy szłochał w zamkniętym samochodzie. Jeśli chodzi o mnie, mógł tak siedzieć do Bożego Narodzenia.

Opadłam na kanapę, zrzuciłam buty i podwinęłam nogi. Jim dał mi kieliszek wina, Arthur przyniósł chusteczki. Emily stała, wciąż zszokowana moim występem. Odezwała się pierwsza.

- Mamo, zwariowałaś? Dlaczego?...

- Cicho bądź, Emily - przerwał jej Jim. - Twoja mama zrobiła to, co musiała.

- Tak, Everett miał szczęście, że jego nie walnęła tym młotkiem - dodał Arthur.

Emily nie odrywała ode mnie wzroku. Coś zaczynało jej świtać. Jeśli Everett jest jej biologicznym ojcem, a ja zdemolowałam mu samochód, nasz związek nie mógł być udany.

- Na balu maturalnym Everett podał twojej mamie narkotyk i zgwałcił ją, Emily - wyjaśnił Jim. - Zaszła w ciążę, nie złożyła pozwu w sądzie, a potem ja się z nią ożeniłem. On nigdy nie dał znaku życia, my nigdy nie próbowaliśmy go szukać. Nie powiedzieliśmy ci prawdy, bo nie potrafiliśmy znaleźć sposobu, w jaki ci ją przekazać. Teraz wiesz

wszystko. Przykro mi.

- Cholera jasna, mamó. Nic dziwnego, że zmieniłaś jego samochód we wrak!

Jim powiedział Emily, że to był gwałt. Ale teraz przynajmniej cała prawda wyszła na jaw, nie został żaden sekret do ukrycia. Poczułam, że się odprężam. Usiadłam i wydmuchałam nos.

- Napij się - powiedział Arthur, podsuwając mi kieliszek.

- Nie, dzięki - odparłam. - Nic mi nie jest. Dziękuję wam wszystkim.

- Anno - odezwał się Jim - nikt cię nie obwinia za to, co zrobiłaś. Szkoda tylko, że ci w tym nie pomogliśmy.

- Historia na tym się nie kończy - dodał Arthur. - Ty jej powiesz czy ja mam to zrobić?

- Ja zacznę - zaproponował Jim - a ty mnie poprawisz, jeśli się pomylę.

Everett opowiedział im wszystko u Lucy. Bettina miała rację. Jego żona, Joanne, miała romans z jednym z pracowników. Przyłapał ich w motelu, kiedy przypadkiem zauważył ich samochody.

- Powiedział, że to była nieprzyjemna scena. Zapukał do drzwi, a ten głupi sukinsyn mu otworzył. Była tam Joanne, goła jak ją Pan Bóg stworzył siedziała na łóżku z materacem wodnym, z miną: A niech to szlag!

- Możesz to sobie wyobrazić? - zapytał Arthur. - Trzeba być facetem z jajami, żeby tak po prostu zapukać do drzwi.

- A żeby tu przyjechać, trzeba mieć jaja King Konga - wtrącił Jim. - Everett mówi, że w ogóle się nie zastanawiał. Wystarczyło, że zobaczył jej auto z tablicą rejestracyjną CARPEDIEM. Chwytaj dzień. Fiu, fiu! Chwytaj siebie i dobrego adwokata, mała.

- Pracownika od razu wylał, a żonie powiedział, że koniec z nimi - dodał Arthur.

- Świetnie - odparłam. - Joanne zasłużyła sobie na to.

- Kto to Joanne? - zapytała Emily.

- Jego żona - wyjaśniłam. - Zaraz ci wszystko opowiem.

- No tak - ciągnął Jim - potem wrócił do domu i wrzucił wszystkie jej rzeczy do czterech walizek. Dzięki temu znalazł zdjęcie, było w szufladzie. Wydawało mu się, że poznał cię, Anno, ale całkiem stracił głowę, gdy popatrzył na Emily. Była podobna jak dwie krople wody do jego matki. A oczy załatwiły sprawę. Odesłał wszystkie rzeczy Joanne do Holiday Inn, po czym przyjechał tu i to by było mniej więcej wszystko.

- Faktycznie, niezła historyjka - skomentowałam. Plan zadziałał,

aczkolwiek niezupełnie zgodnie z przewidywaniami.

- Ten Everett w college'u musiał być strasznym dupkiem - zauważył Arthur - ale wtedy też był po narkotykach. Wiedziałaś o tym?

- Nie, choć powinnam się była domyślić. Co jeszcze powiedział?

- Ze wylali go z Citadel, siedział za handel narkotykami, chłopaki w pudle dały mu niezły wycisk. Jak wyszedł, zaczął od początku. Nie pije, nie pali, nie bierze żadnych narkotyków. I chce płacić chesne Emily.

- Żartujesz.

- Nie. Zadzwoń do ciebie w weekend, żeby to omówić.

- A czego oczekuje w zamian? Naszego uwielbienia? - Wygląda na to, że niczego nie oczekuje - odparł

Jim. - Choć chyba będzie potrzebował odholowania...

Spojrzałam na niego, potem na Arthura i Emily. Na wszystkich twarzach, w tym i na mojej, pojawiły się uśmiechy i wyraz ulgi.

- Powiedz mu, żeby wziął swój ohydny tyłek w troki, wysiadł ze swojego pieprzonego auta i przyszedł ze mną porozmawiać.

We trójkę poszli po niego. Wrócili po kilku minutach.

- Emily - odezwał się Arthur - może byśmy poszli do Lucy i sprawdzili, co tam u staruszków?

- Świetny pomysł. Poza tym i tak będziemy musieli coś zjeść.

Gdy tylko znaleźli się wystarczająco daleko, by nas nie usłyszeć, zaczęliśmy rozmawiać.

- Nie wiedziałem, Anno - odezwał się Everett pierwszy. - Skąd miałbym wiedzieć?

- Nie mam pojęcia - odparłam. - Ta wiadomość zabiła moją babkę.

- Boże wielki! - jęknął.

- Nie przejmuj się. Wyświadczyłeś mi przysługę. Była okropna, naprawdę okropna.

Uśmiechnęłam się do niego półgębkiem i zrozumiałam, że nie warto się dłużej wściekać. Najwyższa pora dać już z tym spokój. Everett musi radzić sobie z własnym cierpieniem i poczuciem winy, a ja postaram się mu wybaczyć albo przynajmniej zaakceptować możliwość, że naprawdę się zmienił i szczerze żałuje.

Zerknęłam na Jima i powiedziałam:

- No, dobra. Zadzwoń do Lucy, niech Emily położy jeszcze jedno nakrycie.

Jeśli miałam wybaczyć temu sukinsynowi, to musiałam wreszcie to zrobić. Dzięki temu bezwzględnie zasłużył sobie na skrócenie odsiadki w piekle. Ze sto razy myłam twarz, starając się doprowadzić do jakiego

takiego wyglądu.

Po mniej więcej godzinie zgromadziliśmy się przy stole, by zasiąść do najdziwniejszego i najbardziej denerwującego świątecznego obiadu.

Tata był spokojny.

- Jeśli ty potrafisz mu wybaczyć, Anno - powiedział - to ja też. Ja też.

Uściskał mnie i poszliśmy wyjąć ptaka z elektrycznej brytfanny.

Trixie triumfowała, a ja wiedziałam, że jak amen w pacierzu chlapnie coś w najmniej odpowiednim momencie. Byłam na to przygotowana.

Frannie, która zlizywała z palca tłuczone ziemniaki, a równocześnie karmiła Jake'a, zapytała:

- Jak to jest, że serce mi śpiewa, kiedy czuję ten smak?

- To masło - odparła Brigitte. - Wszyscy mają talerze? A więc zaczynajmy.

Wykorzystaliśmy mój stół z parasolem w charakterze bufetu. Był zastawiony wszelkimi możliwymi specjałami, jakie udało nam się przyrządzić. Na jednym końcu leżał indyk na desce do krojenia; tata stał przy nim niczym admirał dowodzący bitwą morską, na sobie miał śmieszny fartuszek, na którym indyk ubrany w strój ojców pielgrzymów trzymał tabliczkę z napisem: „Jedzcie więcej kurczaków!”.

- Skąd wzięłeś ten fartuch? - zapytałam, stawiając obok sosjerkę i naczynie z dodatkowym farszem.

- Ja mu go kupiłam - odparła Lucy. - Wygląda uroczo, prawda?

- Uroczo! - parsknął tato. - Jestem poważnym, szanowanym człowiekiem!

Uśmiechnęłyśmy się do siebie z Lucy. Rozglądając się dokoła, stwierdziłam, że wszystko jest w porządku, tornado dokonało zniszczeń i najwyraźniej przeniosło się gdzieś indziej. Goście wymieniali uwagi, zbierając się przy stole, by za chwilę nałożyć sobie jedzenia na talerze.

Everett rozmawiał z Brigitte; pomyślałam, że dobrze by było, gdyby tematy szybko im się nie wyczerpały. Teraz muszę tylko dołożyć starań, żeby nie usiadł naprzeciwko Trixie. Los jest głuchy jak pieprzony pień.

- Zmówmy modlitwę - odezwał się tata.

Wszyscy staliśmy wokół bufetu. Zapadła cisza, pochyliliśmy głowy.

- Ojciec w niebiesiech, dziękujemy Ci za ten piękny dzień, obfitość pożywienia i za obecność przyjaciół przy tym stole. Spraw, byśmy patrząc w nasze serca i badając nasze dusze, umieli dostrzec Twą wolę. Pobłogosław nas swoimi łaskami i miłością, tak byśmy lepiej potrafili służyć Tobie i naszym bliźnim. Boże, ześlij specjalne łaski na tych...

- Ziemniaki stygną - szepnęła Frannie.

- Szsz - uciszyłam ją, tłumiąc śmiech.

- Dziękujemy ci, Panie. Amen.

- Amen! - powtórzyli zebrani, po czym zaczęli nakładać sobie jedzenie.

Panna Mavis pierwsza przyjrzała się Everettowi.

- Niech na ciebie spojrzę, młodzieńcze! Skąd pochodzisz?

- Moja rodzina jest z Atlanty, proszę pani, ale ja mieszkam w Clearwater na Florydzie.

- Jak to?

- Flo - ry - da! - powtórzyła panna Angel dostatecznie głośno, by spłoszyć wszystkie ryby w Atlantyku aż po Golfsztrom. - Musisz nieco podnieść głos, młody człowieku, jeśli chcesz rozmawiać z Mavis.

Everett kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Nie tak dawno wybrałam się na Florydę - oznajmiła panna Mavis. - Rozglądałam się za osiedlami dla rencistów, gdzie mogłabym mieszkać sama!

- Hm - mruknęła panna Angel. - Ona nigdzie nie pojedzie. Zerknęłam na Trixie, wyglądała na smutną.

- Bardzo ładnie wyglądasz, Trixie - powiedziałam. - Cieszę się, że mogłaś przyjechać.

- No, nie byłam pewna, czy naprawdę chcesz mnie tu widzieć, Anno, ale...

Uwierzyłybyś, że tej jędry głos uwiązł w gardle? Dość już płaczów jak na jeden dzień. Położyłam jej dłoń na ramieniu. Nie chciałam, żeby tu szlochała. Niech sobie szlocha w domu.

- Daj spokój, Trixie, jest Święto Dziękczynienia. Spróbujmy być dla siebie mili.

- Nie chciałam dzisiaj być sama, wiesz? I kiedy zadzwonił Jim, pomyślałam, a co tam, na pewno mogę się postarać. Jesteście jedyną rodziną, jaką tu mam.

- Bądźmy dzisiaj weseli. I tak za dużo nieszczęść na tym świecie.

Szło nieźle, aż - co było do przewidzenia - zaparkowała swój tłusty tyłek dokładnie naprzeciwko Everetta i zaczęła się w niego wpatrywać. Koło Everetta siedziała Emily. Myślałam, że oczy Trixie za chwilę wylądują na jej talerzu.

Zaraz się zaczniesz, pomyślałam.

Jednakże przez cały obiad Trixie nic nie powiedziała. Cud. Cud na skalę światową, aczkolwiek dość krótkotrwały, muszę dodać, ponieważ kiedy się żegnała - a dzięki niebiosom, pożegnała się najwcześniej ze

wszystkich - szepnęła do mnie:

- Wiedziałam.

Stara żmija nie potrafiła utrzymać języka za zębami! Spojrzałam na nią i zapytałam:

- Co, Trixie? O czym wiedziałaś?

Stojąc we frontowych drzwiach mojego domu, z triumfującą miną odparła:

- Ze w żyłach Emily nie płynie moja krew. Wiedziałam o tym od dawna.

- Dzięki Bogu, że w jej żyłach nie płynie twoja krew, bo mogłaby być do ciebie podobna. Zegnam.

Słyszałam, jak się śmieje, idąc do samochodu, i pomyślałam: Tak chyba śmieją się w piekle.

Tata, David i Lucy wnosili stopy naczyń przez tylne drzwi. Frannie, Brigitte, Jim, Everett i Emily wciąż siedzieli przy stole.

- Gotowi na deser?

- Gotowi na wszystko - odparła Emily.

- Ona jest cudowną młodą kobietą, Anno - oświadczył Everett.

- Dzięki. To prawda.

Chociaż bardzo się starałam, nie mogłam się już doczekać jego odjazdu. Ciekawa byłam, czy samochód w ogóle zapali. Pewnie tak. Krzątałam się, starając się go unikać. Nie próbował mnie naciskać.

Później, kiedy wszyscy w końcu poszli do domu albo położyli się spać, wybraliśmy się z Arthurem na plażę. Dzień byłby wyczerpujący, nawet gdyby Everett się nie pojawił, nie chciałam jednak, żeby się zakończył bez spaceru brzegiem oceanu.

Listopadowe niebo oświetlały miliardy gwiazd. Widok wprost oszałamiał. Na początku Arthur wziął mnie za rękę. Temperatura spadła, drżałam w wilgotnym powietrzu. Arthur przystanął, zdjął sweter i podał mi. Włożyłam go i ruszyliśmy dalej, teraz Arthur objął mnie za ramiona.

- Życie jest cudowne - powiedział.

- Tak. Z wyjątkiem niespodziewanego gościa i typowych dla Trixie odzywek. Co sądzisz o pojawieniu się Everetta?

- No, nie powiem, żebym był zachwycony. Ale wiesz co? Kiedy przyjechała pomoc drogowa, żeby odholować wrak, uścisnęliśmy sobie ręce jakby nigdy nic.

Przystanąłam i spojrzałam na niego, myśląc: Ty i Jim tak się namęczyliście, że chyba macie wszystkiego dość. Takie przyjacielskie gesty to już raczej przesada.

- Dobra, słuchaj, w tamtej chwili wydawał mi się przyzwoitym facetem, więc podałem mu rękę. Co wcale . nie znaczy, że chcę jeździć z nim na ryby.

- Ha, miło to słyszeć.

- Boże kochany! Masz zrozumiała, ale wciąż nierozwiązany problem, wiesz o tym? Jest nim twój gniew.

- A ty byś nie był wściekły?

- Jasne, że tak. Ale Emily powiedziała do niego: „I co teraz? Czy jeszcze cię zobaczę?”. A on na to: „Tu jest mój numer telefonu i adres. Kiedy tylko zechcesz, możesz przyjechać sama albo z przyjaciółmi, mam wielki dom w Clearwater i bardzo chciałbym cię poznać. W końcu jesteś moim jedynym dzieckiem”. Musisz przyznać, że facet też miał stresujący dzień.

- Wybacz, ale za grosz mnie nie obchodzi jego stres! Musiałam poradzić sobie z własnym.

- Tak, oczywiście. Cóż, biorąc pod uwagę okoliczności, była to chyba najlepsza rzecz, jaką mógł powiedzieć.

- Do diabła, to było tak dawno temu, a ja byłem całkiem głupia.

- Teraz nie jesteś głupia.

- Naprawdę? Zniszczyłam dzisiaj samochód wart sto tysięcy dolarów.

- To nie było głupie, tylko genialne. Ale przypomnij mi, żebym schodził ci z drogi, kiedy będziesz w złym humorze, dobrze? Może wybiorę się do Lowe'a ze starym Douglasem i kupimy zamykaną na wielką kłódkę skrzynkę na narzędzia.

- Dzięki.

- Poza tym on w gruncie rzeczy aż tak bardzo się nie przejął. Powiedział, że spodziewał się czegoś w tym rodzaju.

- I nie mylił się. Miał szczęście, że nie spędził dwudziestu lat za kratkami.

- Tak, wywinął się z tego niewielkim kosztem. Pomyślałam o Arthurze i tacie, którzy u Lowe'a szukają skrzynek na narzędzia.

- Hej, słyszałaś nowinę? Tata chce poprosić Lucy, żeby za niego wyszła.

- Poważnie?

- Tak. To niesamowite, nie?

- Wcale nie. Kochają się, prawda?

- Bardzo.

- No, kiedy dwoje ludzi się kocha, zwykle się pobierają, nie?

- A niech to, Arthurze! Oświadczasz mi się? Zakaszłał, a potem zaczął

się jękać:

- Co? Nie! To znaczy, sam nie wiem! To znaczy...

- Ale z ciebie drań! Sam nie wiesz, czego chcesz!

- Za to wiem, że cię kocham. - Odchrząknął, potem stanął i spojrzał mi w oczy. - Czy to odpowiedni wstęp?

- Mówisz serio?

Boże wielki. Powiedział mi, że mnie kocha.

- A ty mnie kochasz?

- Co to ma być? Jesteśmy w piątej klasie?

- No więc?

- Oszukałeś mnie, wiesz o tym.

- Wyduś to wreszcie!

- Kocham cię, Arthurze. Wiesz, że tak.

- Wiem. A choć brzmiałoby to przerażająco w uszach kogoś, kim byłem trzy miesiące temu, teraz nie potrafię bez ciebie żyć.

- A ja bez ciebie.

Szliśmy, słuchając odgłosów plaży nocą, podziwiając lśnienie wody, wdychając zapach soli, powtarzając sobie, jakie wielkie mamy szczęście, jak bardzo jesteśmy bogaci, mając siebie nawzajem.

Przypadkowe zdarzenia w moim nowym życiu stanowiły fascynujące studium synchronizacji w działaniu ręki losu. Przeprowadzka, poznanie Lucy, przyjazd Davida i jego wkroczenie w życie Emily. Moja miłość do plaży postawiła na mej drodze Arthura. Everett na zawsze związał mnie z Jimem i Emily. Śmierć Gary'ego sprowadziła Jima z powrotem do nas, a Frannie znalazła Jake'a. Nawet panna Mavis i panna Angel miały więcej towarzystwa i rozrywek. Wszystko zmieniło się wraz z pierwszym krokiem. W moim życiu nie może być aż tak wiele zbiegów okoliczności.

Może było ono częścią planu, a dokonane przeze mnie wybory wpłynęły w niewielkim tylko stopniu na ogólny rezultat. Już w to nie wątpiłam. Cynik we mnie otrzymał w ostatnich miesiącach kilka potężnych ciosów. Teraz stałam się właściwie romantyczką. Stałam twarzą w twarz z moimi najgorszymi wrogami i wyszłam z tego cało, mogę teraz opowiadać historie.

- Arthur! - Tak, kochanie?

Kochanie? Świetnie. Coraz lepiej.

- Życie jest cudowne. Naprawdę cudowne.

- Chodźmy - powiedział - robi się późno. Musisz się położyć. Sporo się dzisiaj napracowałaś.

- Dobry pomysł.

Zastanawiałam się, czy w ciemności widzi uśmiech na mojej twarzy.

Będę spała, jasne, że tak, jak dziewczyna z Lowcountry, jak smarkula, wdzięczna losowi i szczerze zakochana w swoim życiu. W moim śnie przypuszczalnie pojawi się mama i odtańczy taniec zwycięstwa. Kto wie? Może zatańczy charlestona. Miałam nadzieję, że tak. Będę przytupywać razem z nią.

Epilog

Ona ma nerwy w strzępach, choć zupełnie tego nie rozumiem - mówiła Maggie. - Zna Simona od dzieciństwa. Maggie, w fantastycznej malej czarnej i perłach, była świadkiem na ślubie Susan Hayes (oraz jej starszą siostrą).

- Złotko, każda kobieta, która wychodzi za męża, powinna mieć dość rozumu, żeby się denerwować. Nienormalne byłoby, gdyby się nie denerwowała!

Skracałam włosy Maggie, Eugene mył głowę Beth, córce Susan, a Susan siedziała pod suszarką. Ślub miał się odbyć o piątej po południu w kościele Stella Maris, a po nim zaplanowano przyjęcie na plaży przed rodzinnym domem panny młodej, noszącym nazwę Gniazdo Szulerów. Podobało mi się, że tak wiele domów miało tutaj nazwy, i zastanawiałam się, czy nie powinnam naszego ochrzcić Ambicja Blondynki albo Schronisko dla Dzikich Zwierząt. To drugie zwłaszcza przypadło mi do gustu. Życie było dzikie, a dom był moim schronieniem. Nadanie nazwy domostwu stanowiłoby świetny pretekst do sprosznienia gości, urządzenia grilla i odsłonięcia tabliczki nad drzwiami.

- Jestem sucha! - wrzasnęła Susan spod suszarki, więc poszłam sprawdzić.

Włosy ciągle miała wilgotne.

- Jeszcze kwadrans - zarządziłam. - Chcesz koktajl?

- Nie, dziękuję. Ale, matko jedyna, siedzę pod tym już całe wieki!

- Masz bardzo gęste włosy.

Zamknęła oczy i pokręciła głową z rozpaczą. Wcześniej Bettina zrobiła jej manikiur, pedikiur oraz woskowanie od stóp do głów. Odciągnęła mnie na bok.

- Powinnyśmy dać jej zniżkę za woskowanie, bo wszystkie włosy ma na głowie. Na nogach był tylko puszek.

- To moja ulubiona klientka. Nie policzę jej ani grosza. To będzie prezent ślubny.

- Miło z twojej strony. I wiesz co, Anno? - Co?

- Opłaca się być w życiu miłym, nie sądzisz?

- Tak. Dobre serce wszystko zmienia, Brooklyn, wszystko.

Susan, Beth i Maggie wyszły, wyglądając oszalamiająco. Jeśli moja Emily miała zielone oczy, to tej trójce w twarzy szalały wody Bermudów.

- Wygląda pięknie - powiedziała Brigitte. - Niech Bóg jej błogosławi!

- Amen - dodała Bettina.

- Jest piękna i wychodzi za właściwego człowieka. Godziny mijają niepostrzeżenie. O trzeciej wyszłam

z salonu, żeby wrócić do domu i przebrać się. Arthur, który wreszcie kupił samochód, przyjechał po mnie o czwartej. Chciałam sprawdzić fryzury przed uroczystością.

- Wyglądasz tak, że chętnie bym cię zjadł! - oznajmił Arthur, całując mnie w policzek. - I pachniesz tak, że można by cię wypić.

- Nie zaczynaj, mały, to wciąż dzień pracy, później...

- Zawsze jest jakieś później, moja ty winorośli rozkoszy...

- Winorośl rozkoszy? Ze niby co, mogę się owinać wokół ciebie? Wsiadaj do samochodu, bo się spóźnię!

Arthur zawsze wygadywał takie głupstwa, ale prawdą było, że z wielką chęcią bym się wokół niego owinęła. Ha! Zadziwiające!

Z Middle Street skręciliśmy na Station Nine i wjechaliśmy na podwórze. Poręcz schodów przystrojona była kremowym tiulem, asparagusem i pękami ogromnych białych lilii, związanych kremowymi wstążkami. A to było dopiero tylne wejście!

Ozdobne pochodnie wytyczały ścieżkę prowadzącą na front, co miało sens, bo nie potrafiłam sobie wyobrazić, że komuś zależałoby, by goście wchodzili na przyjęcie weselne przez kuchnię. Ja jednak i tak poszłam do kuchni, gdzie panowało prawdziwe szaleństwo. Około dwunastu kelnerów i dwóch albo trzech kucharzy wykrzykiwało polecenia, przestawiało rzędy kieliszków i garniowało tace z przystawkami.

Susan nigdzie nie dostrzegłam.

Przepchnęliśmy się z Arthurem do jadalni.

- Fiu, fiu! - gwizdnął.

Wszystkie krzesła usunięto, stół przykryto długim do podłogi, wspaniałym obrusem z adamaszku. Od pierwszego wejrzenia uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, tort. Składał się z czterech pięt, u podstawy każdego były maleńkie białe różyczki i gardenie zrobione z lukru. Boki otaczały maleńkie srebrne kuleczki, układające się w romby. Na szczycie stały dwie figurki. Panna młoda czytała książkę i na palcu miała pierścionek z ogromnym brylantem, a pan młody ubrany był w lekarski kitel i na szyi wisiał mu stetoskop. Ale sprytnie! Po drugie, w

każdym kącie pyszniły się największe bukiety, jakie w życiu widziałam. Masy białych róż i gardenii stały w wazach w niebiesko - białe wzory na lakierowanych czerwonych postumentach i wypełniały pokój aromatem.

Susan dalej ani śladu.

Odwróciłam się i zobaczyłam wyjście na werandę.

- Chodź - powiedziałam do Arthura. - Ktoś tam musi być.

- A przynajmniej znajdziemy bar.

Kiedy mijaliśmy salon, Arthur nagle przystanął.

- Co? - zapytałam.

- To lustro! Mógłbym przysiąc, że kogoś zobaczyłem.

- Jasne. No, chodźmy.

Arthur jednak zawrócił i stanął przed lustrem w pozłacanej ramie, sięgającym od podłogi do sufitu, bez wątpienia zabytkowym.

- Przysięgam, Anno, widziałem starą Murzynkę, szalenie wystrojoną. Obok niej był mężczyzna i oboje do mnie machali, starając się zwrócić moją uwagę. Nie kłamię! Widziałem ich!

Ja tam nic w lustrze nie widziałam i pomyślałam, że może Arthur za długo siedział na słońcu.

- Weź sobie drinka i poczekaj na mnie w jakimś bezpiecznym kącie, a ja poszukam Susan, dobrze?

- Dobrze. Pewnie. O ludziku! To było... a, zapomnijmy o tym!

Na końcu werandy był bar, a werandę, nawiasem mówiąc, zdobiły takie same potężne bukiety na lakierowanych czerwonych postumentach. Podałam Arthurowi lampkę wina. Jeden z braci Susan - miał chyba na imię Henry - zaproponował, że zaprowadzi mnie do panny młodej. Poszliśmy na górę, zostawiając Arthura, wciąż lekko popielatego na twarzy, opartego o balustradę i wpatrującego się w ocean. Co się z nim dzieje?

- Ile osób ma przyjść? - zapytałam Henry'ego.

- Nie tak wiele, od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu. Cały ten kram przygotowano w takim pośpiechu, że gdybym się nie orientował w sytuacji, powiedziałbym, że ten szatan Simon zrobił mojej biednej siostrze dziecko.

- Na pewno nie. Oczy mu błysnęły.

- Proszę, myślę, że Susan jest tu.

Otworzył drzwi i Susan obejrzała się, by zobaczyć, kto przyszedł. No, mogę ci powiedzieć, że zawsze kiedy widzę pannę młodą, bardzo się wzruszam. Susan, oblana popołudniowym światłem, wyglądała pięknie i promieniała szczęściem; o mało nie wybuchnęłam płaczem.

- Cześć, Anno, dzięki, że przyszedłeś wcześniej. Możesz uwierzyć, że

naprawdę to robię?

- Och, Susan, wyglądasz tak cudownie, że chyba się rozplaczę!
- Nie płacz, tylko pomóż mi włożyć to kretyństwo na głowę!

Suknię miała z ciężkiego kremowego atłasu z leciuteńkim odcieniem różu, z kimonowymi rękawami i stójką, do ziemi. Na plecach rząd maleńkich guziczków sięgał do karku. „Kretyństwem” był toczek z długim wdzięcznym welonem. Sznur pereł i także kolczyki uzupełniały całość i nie wyobrażałam sobie elegantszego stroju ślubnego, zwłaszcza dla kobiety, która w końcu nie jest już niewinną dziewczeczką.

Drzwi znowu się otworzyły, to Maggie i Beth przyszły po raz ostatni rzucić okiem na pannę młodą.

- Mamo, ślicznie wyglądasz! - Beth pocałowała matkę w policzek.

- Tak, to prawda! - dodała Maggie, także ją cmokając. - Susan, czas się zbierać. Chcesz uciec na Tahiti? Wykonać ostatni telefon?

- Zwariowałaś? Całe życie czekałam, żeby wyjść za tego faceta!

Zwykła nerwowa paplanina, zupełnie zrozumiała w tych okolicznościach. Uświadomiłam sobie, że Susan coś do mnie mówi.

- Przepraszam, zamyśliłam się.

- Nie szkodzi. Pytałam, czy przyprowadziłaś Arthura.

- Tak, i wiecie co? Chyba oszalał! Wydawało mu się, że coś widział w lustrze w waszym salonie.

Zapadła martwa cisza.

- Co się stało? - zapytałam.

- A co mu się wydawało, że widział? - zapytała Beth tłumiąc chichot.

- O Boże. Pomyślicie, że to idiotyzm, jak wam powiem.

- Nie, na pewno tak nie pomyślimy - odparła Maggie.

- Okay. Widział starszą, wystrojoną Murzynkę i mężczyznę. Machali do niego. Czy to nie najbardziej zwariowana rzecz, jaką w życiu słyszałyście?

- Liwie. I Nelson - powiedziała Susan łamiącym się głosem, rozcierając ramiona pokryte gęsią skórka.

- Na pewno - dodała Beth.

- Kto to jest Liwie?

Popatrzyły po sobie i w końcu odezwała się Susan:

- Liwie była wszystkim. I nigdy żadnej okazji nie przepuściła. Opowiem ci o niej kiedy indziej.

- Chyba muzycy zaczynają stroić instrumenty - odezwała się Maggie.

- Pójdę zobaczyć, czy limuzyna już zajęła.

Gadałyśmy jeszcze kilka minut. Kiedy już upięłam toczek i welon,

powiedziałam do Susan:

- Nie martw się, może być huragan, a to nawet nie drgnie!

Maggie wsunęła głowę do pokoju.

- Pora iść! Mężczyzna twoich marzeń czeka! Henry przyniósł Susan bukiet - naręcze kremowych

róż z zielonym przybraniem, związane kremową wstążką.

- Najwyższa pora zaprowadzić siostrzyczkę na gilotynę. Jezu, Susan, naprawdę wspaniale wyglądasz. To znaczy, biorąc pod uwagę to, jak wyglądasz normalnie i w ogóle.

- Dzięki, świrze - odparła Susan. - Ja też cię kocham. Wyszłam, żeby mieli minutkę dla siebie. Arthura znalazłam na podwórzu.

- Wszystko gotowe! Panna młoda zaraz schodzi! Jedźmy.

Pojechaliśmy do niezbyt oddalonego kościółka i zaparkowaliśmy. Kościół oświetlały świece, organy pięknie grały. Wsunęliśmy się na miejsca w ławce. Arthur ujął moją dłoń i ścisnął ją.

- Uwielbiam śluby - oznajmił.

- Naprawdę? - Naprawdę?

- Tak. Czy jest coś, co daje więcej nadziei niż małżeństwo?

- Nic mi nie przychodzi do głowy, może poza urodzeniem dzieci.

Organy zagrały teraz jakiś klasyczny kawałek, dając nam znak, że już czas. Wszyscy wstali i odwrócili się w stronę wyjścia. Pierwsza nawą szła Beth. Niosła ogromny bukiet różnokolorowych gerber, związany wstążkami barwy burgunda, kremowej i ciemnozielonej. Miała ciemnozieloną suknię bez rękawów. Wyglądała jak odbitka ksero swojej matki w młodości. Za nią kroczyła Maggie, jasnowłosa i piękna. W jednej dłoni trzymała bukiet, drugą machała znajomym. I nagle, przy wtórze organów, w drzwiach pojawili się Susan i jej brat.

- Przysięgam - szepnęłam do Arthura - możesz Cruellę DeVille ubrać w suknię ślubną, a mnie dalej będzie dławić w gardle.

- Spójrz tylko, jaka jest szczęśliwa.

Susan ujęła Simona pod ramię. Ceremonia się rozpoczęła. Kiedy ojciec Michaels zapytał: „Czy bierzesz sobie tego mężczyznę za męża?”, Susan donośnie odpowiedziała: „Tak” - i wszyscy się roześmiali. Nie minęło wiele czasu, a Susan i Simon byli mężem i żoną, my wszyscy wróciliśmy do Gniazda Szulerów.

Arthura i mnie rozdzielił tłum gości i dopiero po chwili dostrzegłam go na podwórzu. Rozmawiał z Jackiem Taylorem i Caroline. Miałam na sobie suknię uprzednio znaną jako druga skóra. Wywarła pożądane wrażenie zarówno na Jacku, jak i Arthurze. Przełknęli głośno ślinę, a

Caroline powiedziała:

- Cześć, Anno! Miło cię znowu widzieć!

Na podwórzu także były kwiaty na postumentach! Smyczki zaczęły sunąć po strunach.

- Nie wierzę - mruknęła Caroline.

Grali „How Sweet It Is to Be Loved By You”, choć dla mnie nie brzmiało to jak kompozycja Jamesa Taylora.

- Napisał to James Taylor - powiedziałam.

- Nieprawda - sprzeciwił się Arthur. - Nie on, tylko Holland - Dozier - Holland.

- Wiedziałam - odparłam - sprawdzałam tylko, czy wy wiecie!

Jack, Caroline i Arthur piorunowali mnie wzrokiem.

- To był żart! O Boże!

- Ale to nasza muzyka, młoda damo!

Ich pokolenie to banda przemądrzałych zarozumialców.

Susan i Simon dołączyli do gości. Zupełnie nieoczekiwanie Simon pocałował ją, wziął na ręce i pobiegł na plażę. Zespół zagrał „I Feel Good”, a goście, podśpiewując, tanecznym krokiem ruszyli ku wydóm, by patrzeć na państwa młodych. Nawet ojciec Michaels, który przybył złożyć im życzenia, wykonał twista.

- Dobry Boże! - wykrzyknęłam. - Schodźcie! To James Brown! Ruszamy w miasto!

Arthur popatrzył na mnie, potem na Jacka i Caroline i znowu na mnie.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał. - Jesteś taka, no, sam nie wiem! Inna! Szczęśliwa!

- Wiem. - Miałam wrażenie, że mogłabym fruwać. Pocałowałam go w policzek. - To pewnie tutejsze powietrze tak na mnie działa.

- A kiedy jestem przy tobie, chcę czuć się tak jak ty.

- Złotko, jeśli czegoś mamy tu w nadmiarze, to dobrego samopoczucia.

Poczekaliśmy, aż pokroją tort, potem się pożegnaliśmy. To było wspaniałe wesele. Młoda para na miesiąc miodowy wyjeżdżała do Bangkoku. Oboje byli tak podekscytowani jak dzieci po raz pierwszy wybierające się do Disneylandu. Wszyscy obecni cieszyli się z ich szczęścia.

Kiedy wróciliśmy do domu, Arthur zapytał:

- Zmęczona?

- Powinnam być, ale nie jestem.

- Chcesz pójść do mnie?

- Chciałabym, ale nie mogę. David przyjechał na weekend i Emily z nim wyszła. Powinnam, no wiesz być tutaj.

- I jak przypuszczam, nie mógłbym tu zostać, co?

- Wiesz, że to nie byłoby w porządku. Zły przykład i tak dalej. Zszokowani sąsiedzi.

- Anno? - Tak?

- Nie chcę dalej spędzać wszystkich nocy samotnie, bez ciebie przy boku.

- Więc co proponujesz?

- Nie wiem. A co, według ciebie, powinienem zaproponować?

- Arthurze, znowu jesteśmy w piątej klasie.

- Widziałas, jak ten Jack się na ciebie gapił?

- Nie - skłamałam.

- Cóż, będziemy musieli się tym zająć. Niedługo Boże Narodzenie, może powinnaś zastanowić się, co chciałabyś dostać. Ode mnie. No wiesz. Jakiś prezent.

Ujęłam jego twarz, pocałowałam, a potem się cofnęłam.

- Nie przejmuj się za bardzo, dobrze? Kocham cię. Wszystko w porządku.

- To dobrze - odparł.

Wsunęłam się do łóżka, a kawałek weselnego tortu Susan w plastikowym woreczku (owady, rozumiesz) położyłam pod poduszkę na szczęście. Drzemałam, aż wreszcie usłyszałam trzask zamykanych drzwi samochodu, co znaczyło, że Emily bezpiecznie wróciła.

Przewróciłam się na drugi bok i pomyślałam o Arthurze. Anna Fisher? Ładnie brzmi, prawda? Zobaczymy. Usłyszałam, jak Emily najpierw zamyka drzwi wejściowe, a za kilka minut drzwi swojej sypialni.

Wspaniale było znać odgłosy własnego domu, choć przecież było wiele innych miejsc w moim życiu, w których spotykało mnie coś dobrego. Wiedziałam, że zapracowałam na to wszystko, czułam wdzięczność dla losu, choć jeszcze nie byłam gotowa na rezygnację z własnej niezależności.

Moje myśli zwróciły się ku mamie, bo chciałam się za nią pomodlić, a zawsze jakaś częśćka mojego serca miała nadzieję, że mama na mnie patrzy. Zostałam ulepiona z twardszej gliny niż ona. Byłam samodzielna, miałam oszczędności na czarną godzinę oraz niezwykle użyteczny młotek w szafce pod zlewozmywakiem. Mimo że matka nie żyła dostatecznie długo, by się przede mną wytłumaczyć - a brakowało mi tylko jednego: by usłyszeć całą historię z jej ust - zdołała obdarzyć mnie poczuciem

niezależności i ambicją.

Tata dał mi hart ducha. Hart ducha to nie byle co, to wielka rzecz. Bez niego załamałabym się i umarła. Powiedzenie, że lepiej trudne sprawy odłożyć do rana, to nie banał, tylko doskonała rada, że powinniśmy wszystko jeszcze raz rozważyć i przemyśleć w świetle dnia.

Przez moją głowę przemknęły na palcach panny Ma - vis i Angel. Dzięki nim ujrzałam rzeczy w innym świetle i z perspektywy, która pozwala bardziej docenić dobroć i umiejętność wybaczenia. I przypomniały mi o wielu ważnych prawdach: że przeszłość jest cenna i tłumaczy teraźniejszość. Gdyby mama żyła i rozwiodła się z tatą, do czego najprawdopodobniej by doszło, czy byłaby podobna do Mavis i Angel? Czy kogoś by obchodziła? Myślę, że mnie by na niej zależało.

Och! Czy nie jest tak, że każdy, kogo kochasz, zbliżając się do ciebie, zostawia na tobie ślad swoich najlepszych cech? Tak to jest. Dzięki nim możesz stać się kimś i przekazać coś innym. A chociaż moje życie nigdy nie zmieni świata, jak życie Gandhiego czy jemu podobnych, doszłam do wniosku, że jednak ma znaczenie. Dlatego dalej będę pracować na moim małym skrawku ziemi.

Czas pokaże, jak ułoży mi się z Arthurem. Chociaż jestem w nim zakochana. Och, kogo chcę oszukać? Mam na jego punkcie takiego bzika, jak Emily na punkcie Davida, a tata - na punkcie Lucy. Może to coś w wodzie, w powietrzu?

Zabawne w tym wszystkim jest to, że się nie boję. Za wiele czasu spędziłam na martwieniu się. Na troskach. Nie ma powodów do pośpiechu. Nie. Żadnych powodów do pośpiechu.

- Wróciłam, mamo!

To Emily woła zmęczonym głosem. Mówi, że jest w domu. W naszym domu. Już to wystarczy, by na długo dodać mi ducha.

- Dobrze, dziecinko! Do zobaczenia rano!

Emily. Moja dziewczynka. Arthur. Zwariowany, cudowny Arthur. Wszyscy. Każdy z nich.

Naciągnęłam kołdrę do ramion, poklepałam poduszkę, by wygodnie spoczęła na niej moja skołatana głowa, i mocno zacisnęłam powieki. Przez chwilę zastanawiałam się, co przyniesie poranek, a potem... potem uznałam, że niech duchy Lowcountry i Wyspy Palm zastosują swą legendarną magię. Och, Boże. Jeśli w ogóle czegoś się nauczyłam, to tego, że naprawdę mogę polegać na tym miejscu. Tak. Zdecydowanie mogę polegać. Gdyby tylko ludzie dowiedzieli się o tej wyspie... Biorąc jednak pod uwagę względy praktyczne, to chyba dobrze, że nie wiedzą. Wyspa

Palm jest za mała, żeby się na niej wszyscy zmieścili - może więc reszta świata powinna trochę się zmienić. Świat stałby się cudownym miejscem do życia, gdyby każdy choć odrobinę się zmienił. Och. Ale to nie ode mnie zależy. Ja swoje zrobiłam i dalej robię.

Co? Przepraszam. Śniłam, że jest jutro, a ty znowu siedzisz na moim fotelu.

Oto kilka z rzeczy, które tak bardzo chciałam ci powiedzieć. Ze jest wiele spraw, o które warto walczyć. I że w rezultacie, nawet jeśli podjęcie ryzyka śmiertelnie cię przeraża, życie postawi ryzyko na twojej drodze w tak pięknym przebraniu, że je podejmiesz, choć nie będziesz miała pojęcia, dokąd właściwie masz iść. Pierwszy krok jest najważniejszy. Najpierw prostujesz się, potem stawiasz pierwszy krok. Trzeba żyć własnym życiem, nie życiem innych.

Teraz wszystko to widzę wyraźnie. Jutro przyjdiesz do salonu, poprosisz, żeby ułożyć ci włosy na przyjęcie. Poczęstuję cię szklanką herbaty, kawy czy coli. Obu nam buzie nie będą się zamykać, będziemy gadały o przyjęciu, na które się wybierasz, i o sukni, którą włożysz. Obie opowiemy, co wydarzyło się nam od ostatniego spotkania, i będziemy się śmiać z tego i tamtego. A potem usiądziesz w fotelu, ja z przyjemnością zajmę się twoimi włosami, a ty spojrzysz w lustro. Twoje włosy będą wyglądać cudownie, będziesz zadowolona. A ponieważ zawsze to robisz, chyba i tym razem przez chwilę będziesz marudzić w sprawie koloru, ja zaś powiem: nie, złotko. Twoich odrostów nie widać, moje - tak.